



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Żnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

WIDENER



HN YDDL Z

242.4.5 (1-3)

**HARVARD
COLLEGE
LIBRARY**



**FROM THE
Subscription Fund
BEGUN IN 1858**

W I E C Z O R N I C E.

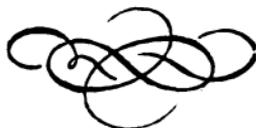
WIECZORNICE.

**Powiaſtki, Charaktery, Życiorysy
i Podróże,**

Z E B R A N E

PRZES
Stypendy
Lucjana Siemińskiego.

TOM PIÉRWSZY.



W I L N O.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1854.

27242.4.5

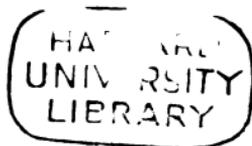
~~27242.4~~

(1-3)

Subscription fund of 1880.
(I, - III.)

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie
Cenzury prawem oznaczonej liczby egzemplarzy. Wilno, 15 Grudnia
1852 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.



8189
52-94
46

Do Panny Alfonsy III.

CHCĄC żeby tytuł książki był niepretensjonalny, potrzeba aby odpowiadał więcej lub mniej wewnętrznej jej treści, lub składowi — ale w takim razie wpada się w drugą niedogodność tytułów zbyt ogólnych i oklepanych, jak: Powieści, Nowelle, Gawędy, Pogadanki. Owoż chcąc jako tako wybrnąć z tej trudności, i przytyku uniknąć od kogoś, co nawet i tytułu nie przepuści, choć się do niedrobiazgowych liczy — wolałem już nie gonić po Wschodzie, a bliżej koło siebie poszukać.

Jakoż, *Wieczornice*, dość odpowiadają istocie niniejszego zbioru, a odpowiadają tém trafniej, że w ciągu ostatniej zimy, na wieczorkach spędzanych tak mile w rodzinném naszym gronie, lubiłaś i czytywać

niektóre z tych powiastek i obrazków, i słuchać, kiedy je czytywałam. Gwoli to więc Twojej, na pamiątkę tych drogich wieczorów, zebrałam je i ochrzciłam mianem *Wieczornic*. Tworzą one, jakby dalszy ciąg, tych samych uczuć, wrażeń i obrazków, które kiedyś poświęciłam był czcigodnej Twojej Matce. Widać, że z prawa natury musisz wszystko po niej dziedziczyć, wszystko, aż do dedykacji moich powiastek. Możesz to przyjąć za przychylne życzenie, ja zaś wolę uważać za niemyślną wróżbę.

Autor *Wieczornic*.



C I E Ń

KRÓLOWÉJ BARBARY,

powieść z r. 1551.

Nie klóćmy siedzib duchów.

: BRODZIŃSKI.

Smutno było w komnatach zamku krakowskiego; wicher zamiętał śniegiem po długich kurytarzach; szyby dzwoniły w ołowianych ramach, z trzaskiem płonęły w piecach stósy drzew suchych.

W dolnej części zamku jurgeltnicy, drabanci i pacholęta, poszykowani w różne grupy, to z hiszpańska, to z węgierska i z niemiecka poumierani, jedni rzucali kości, sypiąc garściami

drobne grosze; drudzy ścisnąwszy się u ciepłego komina, wiedli poważniejsze rozmowy przy ogromnych kubłach ogrzanego piwa.

Na górném piętrze zupełna panowała cisza, od śmierci królowej, nigdy tu głośny śmiech, nigdy huczna radość nie powstała.

W wysokiej komnacie, czarnym adamaszkiem obitej, stało łoże samotne, kotarą zasunięte.

Ile dozwalał pochmurny dzień zimowy, i niestały połysk główki, dogorywających na kominu marmurowym, o tyle rozeznac można było przez mały otwór, człowieka w stanie cierpiącym; twarz blada, lica zapadłe, oczy przymknięte, broda czarna, niegdyś starannie w dwa przedziały trefiona, dziś splątana, w nieładzie na piersi spadła.

U łożka siedział na niskim stołku, a z wysokim węzłowiem, obitym skórą malowaną i złotoną w chińskie kwiaty, mężczyzna wzrostu słusznego, chudy; rysy twarzy wydawały pochodzenie wschodnie. Siedział nieruchomy i poważny, pogłaskiwał niekiedy brodę, i długie kręcone włosy na twarz spadające, wtedy na rękę

jego błyszczał kosztowny sygnet, gdzie na okrągłym krwawniku wyryta rzeka Sabbathion; prócz tego klejnotu nie widać na nim było ani kawałka drogiego kruszcu; szabla krzywa bez ozdób wisiała u boku, wyglądając z pod obszernej delii, którą swój krótki niebieski żupan okrywał.

Był-to doktor żyd, Szymon z Gincburga. Nachylał się on często do łoża, macał puls u ręki, i długo oczu nie zdejmował z twarzy cierpiącego króla Zygmunta Augusta; wstrząsając zawsze głową, wracał do wielkiego pergaminowego zwoju, w którym czytał, zapewne jaki traktat Majmonidesa, arabskim charakterem spisany.

Nieukontentowanie i niepewność malowały się w rysach lekarza. Chory przewracał się w łożu, niekiedy ręce gwałtownie wyciągał i zamykał; widać, że boleść duszy była słabości przyczyną; bo prócz westchnień ciężkich i głębokich, żadnego jęku cierpienia nie wydał. Oczy miał ciągle zawarte, ale wyprężone żyły na czole, ale usta drgające i przeciągnięte niekiedy uśmiechem krótkim, pełnym goryczy, kazały się

domyślać, że w duszy jego żywemi farbami stał obraz wyryty ukochanej, straconej istoty.

Ręce, jakby złożone do pacierza, na pierśsiach spoczywały i opadały po obu stronach. Pod jedną dłonią uczył August coś, czém, jakby ze snu obudzony, otworzył oczy wielkie, czarne, błyszczące dawnym ogniem namiętym, którego żywości, ani długa choroba, ani łyzy zgasić nie mogły. Rumieniec gorączkowy, jak wypieczony, wystąpił na lica wyżółkłe słabością. Usiadł na łożu o swojej mocy, odsunął firranki, a jasność dzienna od okna, oświeciła portret niewielki, który trzymał w swym ręku; był to portret królowej Barbary, ten sam, jaki przed niedawnemi czasy dochowywał się w zbiorze pamiątek puławskich.

Wspomnienie towarzyszki, co przelotném szczęściem okrasila najpiękniejsze dni życia Augusta, rozdarło serce, i tak zakrwawione; łyzy gęste twarz królewską zalały; nie mógł wytrzymać gwałtownego wzruszenia, głowa znowu opadła na łożko, i bladość śmiertelna okryła oblicze.

Lekarz, który pilnie uważał wszystkie symptomata słabości królewskiej, stracił prawie głowę na widok tych serdecznych mdłości. Jak na wiek ówczesny, umiejętność medyczna nie rozciągała się szeroko. Eskulapowie nie znali się na owych pół-słabościach, owych migrenach, splinach, spazmach modnych i niemodnych. Natura ojców naszych była twardą i hartowną, jak icu zbroje.

Nie mógł jednakże doktor zostawić króla w tym stanie, poszukał w zanadrzu, wyjął małą flaszeczkę, odetkał, a woń jej aromatyczna przywróciła Augustowi zmysły.

„Dziękuję ci Szymonie!” zawołał król otrzezwiony, wyciągając ku niemu rękę z dobrocią: „dziękuję ci, widzę jak męczysz się, i chcesz ugodzić w słabość moją, daremna mozoła! ani ty, ani mędrcy padewscy, u których brałeś nauki, tegoby nie dokazali. Tu, tu, (mówił pokazując na serce), jest źródło wszystkiego, a na to ludzkie środki wystarzyć nie mogą. Od czasu jak ona., . . .” tu chwilę zatrzymał się, i westchnął: „tak nagle, tak niespodziewanie osierociła moje

łże.... ani pojmuję jak się to stało, nigdy o podobieństwie rozdziału ani pomyślał! nawet temu przekłętemu astrologowi, co rokiem naprzód śmierć jej wywróżył, nawet jemu nie chciałem wierzyć, i jak oszusta wygnałem precz z kraju; gdy niestety! patrz wszystko się sprawdziło! wszystko tak okropnie! Tęsknota niszczy mię do reszty; usycham, patrz na moje ręce i nogi, skóra tylko i kości; patrz na oczy, w dół zapadły głęboko. Och Szymonie, Szymonie! mnie ludzkie środki nie pomogą. W nocy, kiedy snem marzę, w dzień, kiedy przymknę powieki, zawsze ją widzę, tu przed sobą, taką, jak owęj ostatniej nocy, wyciągam ręce, chciałbym zatrzymać w objęciu, z którego wiecznie mi się wyrывa.” Tu nastąpiło kilka minut milczenie, po czém król, jakby niespodziewaną myślą uderzony, odezwał się: „Doktorze! słyszałeś ty kiedy o potędze sztuki czarnoksiężkiej? w niej jeszcze cała moja ufność. Ten starzec, co go widzisz, co tak smacznie przy kominie zasypia, bawił dawniej młodość moję opowiadaniem dziwnych wypadków, jakich sam bywał świadkiem.

Ja go i dziś lubię słuchać; niedawnym czasem plótł mi, jak jakiś książę niemiecki, wywołał z grobu kochankę swoją; stare to dzieje! Ale że są tak biegli w magii, co wywołują cienie umarłych, to wiem, jestem mocno przekonany!”

—Miłościwy panie!—ozwał się poważnie Szymon z Gincburga, z pewnym rodzajem osobistej dumy: „mądrość moja tego mię nie uczy, my prostych, naturalnych używamy środków, gdzie idzie o przywrócenie zepsutego zdrowia. Są jacyś zwolennicy czarnej magii, ci jak mówią, spotykają ze złym duchem; to dzieci Molocha! Takiego znałem owego Nostradama, uczył się ze mną sztuki lekarskiej; nauka długa, zysk mały. Niepodobało mu się, rzucił w kął Hipokratesa, połamał stary skielet, przyjął służbę u astrologa, i dziś jest pierwszym z oszustów.”—„Nostradamus!” przerwał król z żywością, niedosłuchawszy ostatnich wyrazów doktora; „on dziś cuda wyrabia na dworze francuzkim. Czytałem jego Centuryę, całą w nich przyszłość odsłonił prorockim duchem. Szczęśliwy Henryk drugi, wielkiego człowieka ma sobie przyjacie-

lem; a ja biedny król Polski, pan szerokich krajów, ani jednego maga, lub astrologa nie mam na całym dworze!”

—Ale miłość poddanych, większe ci szczęście zapewnia, miłościwy królu!— zawołał jak przebudzony staruszek, siedzący przy kominie. Dotąd zdawało się że drzymał po bezsennej nocy, którą u króla przepędził, lecz on z całej rozmowy i słowa z uwagi nie spuścił. Miał przeszło lat sześćdziesiąt, w poruszeniach zachował całą żywość młodzieńczą. Oczy małe, jaskrawe, latające; usta najwięcej szyderskim uśmiechem przekrzywione; głowa duża, łysa, spiczastą ze złotej lamy czapczką przykryta, ubiór w szachownicę z żółtej i niebieskiej barwy, do tego pas z dzwonkami i w rękę klaskające cepy, z łisiami ogonki; to wszystko razem, stanowiło liberję ówczesnego nadwornego trefnisia. Ten urząd godnie sprawował staruszek, co się tak śmiało wmieszał do rozmowy. Był to Gąska, istota niegdyś gdakająca i złośliwa, jak ptak, od którego sobie nazwiska pożytył. Współczesny Stańczyka, dowcipem walczył z nim o pierw-

szeństwo, z nim głośne figle płatał po stolicy. Dawniej, z jego conceptów się śmiano; dziś wiele stracił na bystrości, i sam sobie każdy concept długim śmiechem opłacał.— Wiem miłościwy panie! do czego ta mowa zmierza— mówił dalej trefniś:—o, dziś takich ludzi trudno; był jeden, i ten przepadł jak wiatr w polu. Ale przebaknij słówko, dworacy ci usłużą, bo ztąd wysokie względy, ztąd starostwa, ztąd dygnitarstwa dla nich urosną; a kto wie, może królowa matka naszle jakiego zręcznego Włocha... Te słowa domawiał trefniś ciszej, z wyrazem szyderyczym, i z silnym wstrząśnieniem dzwonek u czapki.

— Zgadłeś! zawołał August: — mnie potrzeba człowieka, coby się podjął, gwiazdę szczęścia mojego... rozumiesz, coby się podjął z grobu cień drogiej małżonki mojej Barbary wywołać. Pięćset sztuk złota nagrody, ręczę słowem królewskiem, i jeszcze więcej, bo znajdzie prawo osobistej wdzięczności monarchy. Niech to całemu światu wiadomém będzie. Taka jest wola moja.

— Pokój umarłym! nieboszczka spoczywa

snem anielskim, nie budź ją miłościwy panie, jój tu niedobrze było na tym świecie, czemuż ma się wracać? Bez pomocy czarta nie pójdzie ta sprawa; a jeśli dasz mu tylko za włos się uchwycić, to jak swego, potrzyma cię na wieki.

Zygmunt-August, mimo przestrogi błazna, ani na jotę nie odstąpił zamiaru. Z dziwnych bo się żywołów składał charakter tego monarchy: przy słabościach dziedzicznych domowi Jagiellonów, stawał niekiedy upornie przy swoim zdaniu. Wychowany na dworze królowej matki, wśród zbytków i zepsucia włoskiego, (bo krew południowych Sforców w jego żyły wpłynęła) lubił we wszystkim dogadzać urojeniom najdziwaczniejszym. Nic dobrego August nie wróżył dla Polski; mógłże wśród kobiet dworskich nauczyć się stawać w radzie, lub w boju z orężem? Cud tylko, że nie spełniły się słowa rotmistrza Raczkowskiego, w chwili, gdy zbyt troskliwa Bona, ośmnastoletniego królewna z wyprawy włoskiej odwołała: — że ten pan, co zamłodu strzelby nie słyszał, już nigdy walecznym nie będzie.

Wiara w magję i czarnoksiężkie sztuki, była

wówczas powszechną wiarą. Po dworach królów, pełno trzymano astrologów i magów, i August wiernie swój wiek reprezentował. Ogromne sumy wydawał rocznie na sprowadzenie czarownic, które zabijały swemi ziołami i lekarstwami łatwowiernego monarchę, kto wie, i Polska może straciła przez to następcę, z błogosławionego domu Jagiełłów.

Tegoż samego dnia, przybyło jeszcze wielu panów koronnych z wywiadywaniem się o zdrowie królewskie. Był pan krakowski, dowcipny podkanclerzy Ocieski, ksiądz Podlodowski, ulubieniec królowej Barbary, i wielu innych.

Zdziwili się ci panowie nie pomału, słysząc króla mówiącego z żywością i zapałem; zrazu przypisywali to doświadczonym radom uczonego Szymona z Gincburga, lecz ten wyznał ze skromnością mędrca, że król żadnego lekarstwa od niego przyjąć nie chciał. Następnie dopiero, gdy August umyślnie skierował mowę o czarnoksiężnikach i czarach, gdy opowiadano sobie wzajemnie cuda téj sztuki, i gdy wręcz ogłosił życzenie swoje wywołania z grobu nieboszczki ma-

żonki, z sowitą za to nagrodą, każdy łatwo się domyślił, że przyczyną polepszenia zdrowia królewskiego, mogło być nagłe przejście z rozpacz do cienia choćby urojonęj nadziei. Myśl o możliwości cudu, wielką sprawiła odmianę w Augustie; tém się dniem i nocą zajmował, rojąc dziwaczne obrazy, jakich nie mała fantazyja gorączkowa dostarczała; tém się leczył od trawiącej tęsknoty, bo gwałtowne uczucia pod wpływem nowęj górującej żądzy, na mocy swojęj traciły.

Co o postanowieniu królewskiém myśleli dworacy w duchu, trudno wiedzieć, lecz otwarcie każdy popierał życzenie monarchy. Jednym, chęć zysku potężnym była bodźcem, drudzy, przychylniejsi i bezinteresowni, sądzili, że przez to zdrowie ich pana do dawnęj wróci czerstwości: a wszyscy, jeśli niezupełnie, to przez połowę wierzyli, że sztuką czarnoksiężką i większych rzeczy dokazać można, bo takie były wyobrażenia XVI wieku.

Dni następných, wielki ruch panował na zamku; krzątano się od rana do wieczora. Mnóstwo napłynęło ludzi z całego świata, jak na

wielki bazar w Wenecyi lub Konstantynopolu. Tu banda obdartych cyganów, z bębenkiem i dzwonekami; tam kuglarz Niemiec, z podróżnym tómczkiem, ówdzie alchemik, rozkładał wszystkie swoje retorty i flaszki, i kabalista mruczał zaklęcia niezrozumiane z księgi. Tłum bez braku. Każdy przybywał w nadziei, że jeśli nie odpowie celowi swojemu, i nie utarguje jakiego grosza, to przynajmniej dobrze się nasyci i napije. Wszystkiego albowiem do zbytku przygotowano; przybyszów częstowano hojnie, i nie szczędzono wydatku na wszystkie ich wymysły i sztuki; a nie jeden ciarlatan lub oszust, narobiwszy dosyć hałasu i zamętu, zniknął, jak gałki z pod kubka kuglarza.

Pokazało się w końcu, że daremne były zabiegi i koszta; z mnóstwa przybyłych włóczęgów, żaden nie podjął się wywołać cienia zmarłej królowej: jedni składali się niemożnością, inni brakiem potrzebnych ziół lub narzędzi, których kazali szukać gdzieś w kościele Jowisza amońskiego, albo w piramidach egipskich. W takim zostawimy rzeczy zawieszonym, zostawimy króla

powątpiewającego o możności cudu, usługnych dworaków w zabiegach, oszustów bez pieniędzy, a sami w inną udamy się stronę.

Ze wszystkich kościołów w Krakowie odzywały się dzwony nieszporne, zaczynając długi wieczór adwentowy, gdzie większa część czynności dziennych przeciąga się do nocy.

Po wązkich, a nieoświeconych ulicach, toczyły się wspaniałe kolebki bogatych panów, poprzedzane laufram i zgrają hajduków przy pochodniach. Tłumy jezdnych i pieszych, jak fala przenosiły się z miejsca na miejsce; zgietk ludu kupczącego u kramów i na rynkach; do piąter naładowane bryki towarami Holandyi lub Wenecyi, toczące się od Wisły z łoskotem po bruku; nakaz porządku i odgrażania się straży miejskiej, słowem, cały ten ruch i wrzawa, jak krew w żyłach, nadawały życie wielkiej stolicy i miastu Hanzy pod szczęśliwym rządem Jagiełłów.

Szum pańskiego świata, konał powoli w oddalonych ulicach, gdzie sami ubożsi mieszkańcy osiedli, rzadko migają pod wystawami domów przechodzące postacie; skąpo światłem rozjaśnio-

ne okna, nie dawały żadnego na ulicę widoku, gdzie tylko białość śniegu zmniejszała ciemność nocy.

Przez jedną z takich uliczek, mężczyzna wzrostu słusznego, obwinięty płaszczem, na wzór doktorów akademii owego czasu, bardzo wolnym krokiem, ze spuszczoną głową i założonemi rękoma, przesuwiał się z ostrożnością, zdawał się szukać cienia i unikać spojrzeń przechodzących osób.

— Ja mam być wybawcą jakiejś nieznajomej dziewczicy! — mówił do siebie w myśli, i co krok, to stawał. „Horoskop jój pomyślnie pisze, nowa gwiazda łśni się całym blaskiem bogactw i szczęścia! jakże mam tłumaczyć to dziwne przeczucie, które mię niesie w tę stronę miasta? Dziewica z świetną przyszłością, może i mnie dopomódz!

Zatopiony w takim monologu, już się nasz człowiek znajdował na skrawku ulicy, kiedy usłyszał przed sobą hałas przybywający z kupą ludzi, z latarniami i pochodniami. Nie długo myślał nieznajomy co ma z sobą zrobić, aby uni-

knać spotkania: kilkunastą krokami cofnął się w ulicę, i w ciemnościach za filarem ukryty stanął. Cała zgraja zawróciła się ku niemu. Byli to, jak mógł poznać z liberyi, żołnierze nadworni Zebrzydowskiego, biskupa krakowskiego, uzbrojeni w halabardy i partyzany. Na czele szedł jakiś duchowny, zapewne urzędnik kapituły, światło latarni objaśniało twarz księdza. Nieznajomy, jak przykuty do muru, zadrżał na ten widok: — o przekłętę przeczucie! — zawołał do siebie, co mię tu zaniósło. Otóż mogę dostać się w pazury tych oprawców, dwakroć im wywinąłem się; ale za trzecim razem, pewnie mię poszłą z dymem do ojca Lucypera!

Widać, że nieraz miał do czynienia ze sługami inkwizycyi, bo oddech w sobie zatrzymał, i pot zimny z czoła obcierał. Lecz kiedy o kilka kamienic od niego cały tłum zatrzymał się pod wystawą jakiegoś domu, nieznajomy dopiero wolno odetchnął, i ciekawej scenie przypatrywać się zaczął.

Zakołatano do bramy, nikt nie otwierał; zako-

łatano mocniej, wśród groźb i odgrazań, przy czém głos duchownego najwięcej był słyszany.

— Otwórzcie i poddajcie się! — wołano ze dworu. Milczenie było całą odpowiedzią.

— Wywalić bramę! — zagrział głos rozkazujący.

Żołnierze biskupi ciężkimi ciosami toporów, zaczęli łamać drzwi dębowe, mocno okute. Lud tłoczył się ze wszystkich ulic, przerażeni sąsiedzi powybiegali z domów.

Już wyskoczyły z zawiasów zapory, żołnierze wpadli do sieci. Wtém otworzyło się okno na górném piętrze, a w oknie stanął siwy starzec z lampą w rękę; było Krupka Przecławski, obwiniiony o jawne wyznanie błędów lutra. Na ten widok lud uciszył się. — Wolnoż taki gwałt wyrządzać obywatelowi Rzeczypospolitej w jego własnym domu? jeśliś przewinił, stanę przed sądem i oczyszczę się; o ty ludu!... Chciał dalej mówić, ale krzyk: — na stós z heretykiem! ukamienować go! na pal kacerza! na tortury odszczepieńca! — zagłuszył mówcę; a ze wszech stron miotane przeklęstwa, i jak grad lecące

kamienie, zmusiły go, że z okna ustąpił. Nasz człowiek w czarnym płaszczu, mimo wewnętrznej obawy, zbliżył się o kilkanaście kroków i z natężeniem oczekiwał końca.

Nie minęło dziesięć minut, a w całym tłumie powstał nowy okrzyk dzikiej przeraźliwej radości, na widok starca i młodej dziewczyny, których śtudzy inkwizycyi wyprowadzali z domu. Lud fanatyzmem uniesiony, rzucał się na nich, rozdzierał im suknie, plwał, i lżył ostatnimi słowy. Halabardnicy daremnie używali długiej partyzany, i drzewcem i grotem, aby obronić się napaści. Starzec, bez jęku, z spokojną twarzą odbierał ciężkie razy, dziewczyna zemdlona, z rąk do rąk padała. Cała ta masa ruchoma, sunęła się wąską ulicą, oświeconą palącemi się księgami i papierami, które lud z domu Krupki wynosił i rzucał na stosy.

— Stójcie! — ozwał się głos silny z przeciwnej strony. — Stójcie burzyciele! zapaleńcy! dalej wiara rozpędzić ten motłoch głupi, i tych kościelnych rycerzy! — To ludzie kasztelana kaliskiego! zawołało wielu. Natychmiast wszczęła

się zacięta bójka, to po nocy, to przy świetle połączonych latarni, między sługami biskupa krakowskiego, którzy bronili swojej ofiary, a ludźmi Marcina Zborowskiego. Długo jeszcze było słycać szcęk szabel i świst kul z samopalców; długo zbiegowisko wrzało nakształt wzburzonego morza, przenosząc się z ulicy na ulicę. Smutny przykład nienawiści przedniejszych panów, pod pozorem bronienia opiniiów tworzących się partyi, lub praw Rzeczypospolitej,

Jakby wymiótł, znowu głucho milczenie osiadło w tej stronie miasta, gdzie przed półgodziną, w małej wojnie domowej, szal fanatyzmu mazał się krwią współbraci. W zakęcie ulicy, któredy mało kto przechodził, ów nieznamy trzymał na ręku omdlałą dziewczynę; głowę nacierał jej śniegiem, dobył szczególniejszego napoju z flaszka, którą miał przy sobie, wpuścił do ust jej kilka kropel, po czém nieszczęśliwa otworzyła oczy i zaczęła głośniej oddychać. Cudowny elixir sprawił swój skutek; dziewczyna podniosła się, usiadła na kawałku muru, i zawołała przerywanym głosem:— Jakież to sen

okropny! uciekajmy ztąd! Czy to Waszmość panie Przecławski, drogi mój opiekunie! oni na twoje życie godzą, uciekajmy ztąd!

— Uspokój się dziecię moje! zawołał nieznajomy, nie jestem ja Przecławski, ale dobry przyjaciel, który chce nieszczęśliwą ratować. Niema czasu do stracenia, zbierz siły, jeśli cokolwiek ich masz, i uciekajmy z tych miejsc, gdzie wszystko zgubą tobie zagraża! To mówiąc nieznajomy, zdjął swój płaszcz; — odziej się, zawołał, zimno jest dokuczające, potrzeba aby cię nie poznano. Dziewczyna w śmiertelnój trwodze, zdając się na człowieka, którego los jój na obronę zesłał, owinęła się od stóp do głowy i udała się za swoim przewodnikiem, tak prędko, o ile w osłabieniu i trwodze pośpieszyć mogła. Najtrudniej było wydostać się z miasta, gdzie ciekawe oczy na tę parę uciekającą zwracano; lecz gdy minęli bramy, wtedy wolniejszym krokiem zbliżali się do celu podróży.

Dziewczyna dotąd nie mogła opamiętać się, zdawało się nieszczęśliwój, że tłumy ludu gonia, aby ją rozszarpać; i w najmniejszym szmerze

słyszała ich okrzyk dziki, morderczy, który na całe życie w uszach jój pozostał; myśli jój jak na fali, nie mogły się zebrać, tylko jedno uczucie trwogi machinalnie posuwało ją w ślady przewodnika.

Nieznajomy zwracał niekiedy uwagę na towarzyszkę, przemawiał krótkie, ucięte wyrazy, któremi drogę wskazywał, lub do pośpiechu zachęcał. Zresztą przez cały ciąg podróży utonął w głębokich myślach: dwa dziwne wypadki z tamtego i tego świata, tak cudownie zbiegające się, zajęły całą nieznajomego duszę. Przepowiedzenie, które czytał w literach pisanych palcem Przedwiecznego, zaczynało się sprawdzać... Więc on posiada istotę, do której tak wysokie przywiązane losy, ona całą wdzięczność kiedyś zleje na niego, na swego wybawcę. Wyłożył sobie aż teraz owo ciemne przeczucie i cudowny wypadek, jakim dziewczica na jego znalazła się rękę. Z marzenia tonął w marzenie, i nie opatrzyłby się tak prędko, gdyby nie nadchodzący od Wisły tłum ludzi wśród głośnych śmiechów i krzyków. Nie było im czasu ustąpić z drogi, choć

to poruszenie skutecznie miał w myśli, bo zbyt blisko nadeszła zgraja pijanych rybaków i szyprow. Przyspieszył więc kroku, unikając długiego spotkania, ale kilka rybaków wyskoczyło ku niemu z przyjacielską otwartością: „Bracie!” wołali, „chodź z nami na kubeł miodu, pohulamy przy dzisiejszém święcie, kompania nasza dobrana, i wszyscy weseli.”

Nieznajomy był nie do żartów; patrz, jak odepchnął natrętów, krzyknął groźnie i pójrzał zapewne niezwyčajnym wzrokiem, bo kilku co go pochwyciło za ręce, mimo głów zawróconych trunkiem, w największej trwodze, zrobili mu wolne przejście. „Wszelki duch!” zawołał towarzysze pijatyki, żegnając się od strachu. „Myślałem, że do piekła polecę, tak mię potrafił! a jak spójrzał! przysięgam, że wszystek miód wyszumiał mi z głowy.”

— „Patrzcie bracia, jak śmiga na łopacie z godną małżonką z Łysěj-góry! Powiadali, że służbę przyjął u diabła; nie było go przez lat kilka, a on jest wszędzie, gdzie go nie posiejesz. Oj źle-to bracia! kiedy lichy przejdzie dra-

gę.” „Na frasunek dobry trunek! krzyknęło wielu, chodźmy pod koguta, tam miód wysmienity, zapijem złą sprawę.” Cała rozmowa dostała się do uszu nieznanego. „Co za traf przeklęty naprowadził mi tych opilców przed oczy!” mruknął pół-głosem. „Śpiesz dziecię moje, droga niedaleka; w tych skałach znajdziesz schronienie, tu ci włos z głowy nie spadnie.” Nie wiadomo, jak dziewczyna wzięła te słowa, szła tylko za nim jak duch zaklęty, za skinieniem różczki czarownika. Okropność odludnych Krzemionek, nie robiła teraz na nią żadnego wrażenia; gminna wyobraźnia wystawiła w tych miejscach napowietrzne pałace, gdzie czart co nocy harce odprawiał, nie jednego podróznego obłąkał, lub mu karku ze skały nadkręcił. Długo widać ich było to na wierzchołku, to na nizinie, znikli nakoniec pośród zakrętów i wądołów.

Przez otwór wybity w sklepieniu skały, wpadała jasność dzienna do obszernej świetlicy; ściany jej kamienne, wygładzone dłotem, okryte dziwaczными figurami płaskorzeźby, z których jedne wyrażały 12 znaków Zodiaku, a drugie po-

stacie sfinxów i mumij, poumieszczanych w wykutych framugach. Na kamiennych stołach stały sfery i banie kryształowe, drogim płynem nalane, w których wyrabiało się złoto; zwoje okopconych pergaminów stosami sklepienia sięgały. W jednym kącie, łańcuchem do ściany przykuta, na dębowym pulpicie spoczywała księga *Liber magnus*, essencja sztuki czarnoksiężki, bicz na potęgę piekielną. Na dorys obrazu, dodać jeszcze kilka ogromnych teleskopów, stos narzędzi astrologicznych i zwierciadło kruszcowe misternej roboty, zapuszczone pół-przezroczystą zasłoną.

To całe pandemonium, dziwne sprawiło wrażenie na umyśle młodej dziewczyny, tulącej się z widoczną bojaźnią w rogu sali. Miasto podartych sukien, piękna jubka z złotogłowi, obłożona futrem dobrze jój przypadła; lica niegdyś wybladłe od trwogi i posiniące od zimna, krasał lekko występujący rumieniec. Dziewczyna umiała czuć wartość przemiany losu; ale jak mgła przelotna, snuły się w jój umyśle jakieś niepokojące przypomnienia. Bała się kroku postawić,

bała się ust otworzyć do swego dobroczyńcy, który na przeciw siedział w ogromném krześle, i wzroku z niej nie spuszczał.

Był to człowiek nie piérwszej młodości: brodę gęstą i długą przypruszała siwizna; w ruchomej, głęboko zapadłej źrenicy, malował się ogień namiętny i bystra przenikliwość; rzadko kto mógł wytrzymać jego spójżenia. Na czole szerokiém, łysém, czy to czas, czy umysłowa praca porała zmarszczki równoległe, które się czasem w trójkąt zbiegały. Gęstym włosem wierzchniej wargi zastonił usta, jakby chciał ukryć wyraz szatański w częstym uśmiechu, co jego wewnętrzne uczucia zdradzał. Czarna, długa suknia okrywała całą postać; brzegi jój bramowane w hieroglificzne znaki, wielki jakiś amulet wisiał mu na piersiach, a na głowie miał birecik doktorski. W żylastych rękach rozwijał pergamin szczególnym charakterem spisany; to czytał w nim, to znowu z widoczném ukontentowaniem przypatrywał się rysom dziewicy.

—Zbliź się do mnie Barbaro! znałem jedną niewiastę tegoż imienia; świetnie błyszczała jój

gwiazda, ale prędko zgasła! dziwne upatruję podobieństwo w składzie twojego lica, do jej prześlicznych rysów, co serce wielkiego króla podbiły! Ta kibić, te oczy, to łono jeszcze młode i niedoskonałe u ciebie, wyrówna z laty sławionej piękności. Niemniej wielkie przeznaczenie niebo ci gotuje; czytałem w gwiazdach, wszystkie lśniły się pomyślnie! oto twój horoskop! mówił wskazując palcem na pargamin. Ulubienica jednego z panów ziemi, nieprzebrane skarby zleją się na ciebie; w rozkoszach ubiegną lata, poznasz szczęście w całym blasku, ty! com cię wyrwał z rąk śmierci, to wszystko mnie winna będziesz.”

Ogień wieszczy błyszczał w źrenicy astrologa; krew wystąpiła mu na lice. Ująwszy dziewczynę za rękę, powiódł ją przed zakryte zwierciadło, zdarł zasłonę: „Patrz, zawołał, czy prawdę wyrzekłem?” Ciekawość górę wzięła nad nieśmiałością i bojaźnią; dziewczyna wlepiła spójrzenie w wypolerowany kruszec; astrolog z boku ją uważał. Z razu, z zimną uwagą patrzyła na pasmo rozwijających się zdarzeń; po-

tém uśmiech radośny, wykrzyk podziwu, nakoniec szła uniesienia. Widziała tam drugą podobną sobie istotę; jój był się zmięszał z rysami widma, dusza przeszła jój w oczy; nieruchoma, nakształt posągu z marmuru, zdawało się, że wiekby tam patrzyła, gdyby nie zastona, którą astrolog nagle spuścił; zakrył zwierciadło i wszystkie mary przyszłości rozproszył.

Dziewica zakryła sobie oczy obiema rękoma, jakby chciała ochronić szczątki rozbitych obrazów. Astrolog w uniesieniu stawiał ją w rzędzie tych kobiet, co pięknoscią i intrygami panowały na dworach słabych królów. W jego głowie snuł się zamiar: piękność jój mogła mu służyć za narzędzie w obszernych widokach. W charakterze mędrca, łakomstwo było górującą żądzą. Złoto, które w tyglach wyrabiał, chętnieby zamienił, bodaj na srebrniki z twarzą panującego Zygmunta-Augusta. Tułacz, ścigany przez sądy inkwizytorskie za czary, straciwszy łaskę u dworu za jakąś ciemną kabałę, wzdychał teraz do owego znaczenia i dobrego bytu, w jakim inni jemu podobni opływali. Ze dworu dało

się słyszeć stukanie, znak trzy razy powtórzony został. Astrolog natężył ucho. „Dziecię moje! ktoś obcy nadchodzi, nie trzeba, aby cię widziano, oddal się czém prędej.” To mówiąc, popchnął drzwi ukryte w ścianie, dziewczyna zniknęła; a on sam pośpieszył na przyjęcie niewidomego gościa.

— Witam Waszmość, panie Twardowski! zawołał wchodzący Gaska.— Witaj stary przyjacielu! zawołał stary czarnoksiężnik, i uściskali się wzajemnie.— Ledwie trafił do waszej pieczary, musiałem długo błądzić od skały do skały; bo to już wiele upłynęło wody, jak byłem w tej stronie. Od śmierci nieboszczki królowej włączym się po całej Litwie, po sejmach, a teraz dobry panisko w ciężkiej niemocy, od miesiąca pilnuje łożka, trudno go porzucić dobremu słudze, i ja Waszmości odwiedzić nie mogłem— Rozpowiedz-że mi panie Gasko, co tam słychać u dworu? jakie odmiany? Czy król zawsze trwa na mnie w zawziętości? czy zawsze mię posądza o spisek z królową matką? czy nie wie, że ja tu przebywam, mimo jego zakazu, pod za-

słoną baśni ludu, który o mnie prawi, że mię czarci do piekła porwali? — „Król wie o wszystkim.“

— Wie? i kto mu to powiedział? — „Ja“

Twardowski stanął cały w płomieniach: „Zgubiłeś mię przekłety gaduło!“ — „Hola bracie! uspokoj się i czekaj końca. Król wie o wszystkim, a wie odemnie. Od czasu nieszczęśliwego owdowienia, powziął on myśl, nie wiem, szaloną czy nie szaloną, widzieć koniecznie cię nieboszczki. Z całego świata sprowadzano włóczągów i oszustów, ale żaden ani się podjął, chociaż obiecana nagroda pięćset sztuk złota, powinna była nie jednego złakomić.“...

— „Co mówisz? pięćset sztuk złota!“ przerwał Twardowski, „i nikt się nie podjął?“...

— „Otoż ani jeden. August stracił nadzieję, znowu zaczyna chorować i rozpaczać. Żal mi się zrobiło pana... Natenczas przypomniałem sobie o Waszeci i dałem królowi do zrozumienia, że jeden tylko człowiek mógłby mu usłużyć, ale kto wie, gdzie się teraz obraca! — Kto, Twardowski? (zawołał król) jakby chciał więcej się

dowiedzieć; — on (odpowiedziałem). Zapewne (mówił dalej, po małym przestanku), ale gdzie go szukać; przebaczyłbym mu wszystko. — Królu daj mi słowo! — Masz go, rzekł podając mi rękę, tylko pamiętaj stary, nie żartuj ze mnie. Wtedy opowiedziałem królowi historią Waszmości; jeszcze nie dokończył, kiedy rozkazał mi natychmiast udać się na Krzemionki, abym Waszmość przyprowadził tajemnymi drzwiami do komnaty królewskiej. Twardowski milczał, wielkimi krokami mierzył pieczarę; a chód jego, raz powolniejszy, drugi raz prędszy, w miarę jak wyobrażenia przesuwały się w duszy. Nagle stanął w obec trefnisia, jakby myśl szczęśliwą schwycił, która mu zaraz błysnęła w oku.

— Idę za tobą mości Gaska! wołał wstrząsając go za ramię. Idę zanieść pociechę w pałace królów. Wielka nagroda pięćset sztuk złota! ale nie zysk mię łudzi; sława mędrca i zdrowie korony, oto wszystko czego pragnę.

Daremnie dworzanie suszyli sobie głowy, aby odgadnąć tajemnicę przygotowań, czynionych na zamku; nikt bowiem nie wiedział o Twardow-

skim i o jego sekretnych naradach z królem. Dniem i nocą pracowali mularze i cieśle w dolnej wielkiej sali, która za ojca Zygmunta przeznaczona była na skład zbroi i wojennych rynsztunków. Wszystko się działo skrycie. August kilku dworzanom, przypuszczonym do pańskiej ufności, nakazał największe milczenie i ostrożność; z Twardowskim późno w nocy miewał rozmowy, których jeden tylko Gaska był świadkiem i uczestnikiem. Panowie koronni głośno wynurzali nieukontentowanie swoje, że król powierza się ludziom złej wiary; że drogie dla narodu zdrowie na szwank naraża; że skarb wypróżnia na niepotrzebne wydatki, z uszczerbkiem własnym i dobra poddanych. Takie wyrzekania i przedtém i potém często jeszcze dawały się słyszeć. Przywiązanie jednakże Augusta do rzeczy nadprzyrodzonych, do czarów i guseł, zostało w charakterze jego do ostatniej godziny życia.

Było już po 11-tój w nocy. Cały zamek usypiał od kilku godzin; bo tak bywało w zwyczaju dziadów naszych, że wcześniej do spoczyn-

ku się kładli. W królewskiej komnacie paliła się wielka srebrna lampa, najczystsza podsycana oliwą. W szerokiem krześle siedział August, okutany w kozuch sobolowy, z czarném axamitném pokryciem; nogi oparte miał na stołeczku, a obok stał Gaska i coś rozprawiał. Król mało na niego zwracał uwagi; w twarzy, w której ślad choroby powoli się zacierał, malowała się największa niecierpliwość i niespokojność.

— Cóż Januszu! zawołał król do wchodzącego dworzanina, czy długo mam czekać?

— Za kilka minut on sam przybędzie i uwiadomi miłościwego pana, odrzekł dworzanin i stanął przy drzwiach nieruchomy.

Ten krótki przeciąg czasu zdawał się Augustowi wiekiem.

— Rozpowiadaj mi co, bo się nudzę! mówił do Gaski i sfukał nadwornego trefnisia, że ma przestarzałe koncepta, i że go bawić zapomniał. Dwóm pajukom u drzwi stojącym, kazał się wziąć pod ręce i oprowadzać po komnacie; po krótko złajał ich za niezręczność i znowu do krzesa się wrócił. Niecierpliwość Au-

gusta dochodziła do najwyższego stopnia; już miał piorunować na astrologa, gdy drzwi się uchyliły i wszedł sam Twardowski; spójrztał, król głowę jak winowajca spuścił i nie wyrzekł pół-słowa. W całej postaci czarnoksiężnika było coś tryumfującego, z mniej-więcej udaną powagą. Zbliżył się, stanął u węzłowania krzesła królewskiego, i rzekł po cichu:

— Nadeszła godzina duchów, miłościwy panie! czyś się już przygotował do przyjęcia zjawiska?

— Gotów jestem na wszystko, gdybym i same piekło, i wszystkich czartów miał zobaczyć, zawołał August z żywością. — Lecz, miłościwy panie! warunek, twardy warunek; inaczej, zgubisz i nas i siebie; duchy mścić się umieją.

— Ach! dopełnię, wszystkiego dopełnię! wiem co będę cierpieć, potrafię zapęd hamować, potrafię być martwym jak posąg kamienny, nie dręcz tylko dłużej, prowadź mię, ta niepewność zabija całą moją odwagę. Astrolog raz jeszcze cisnął wzrokiem, którym poparł żądanie swoje.

Dwóch sążnistych pajuków skoczyło; podjęli

króla siedzącego dla niemocy w krześle. Gaska szedł naprzód i dwóch dworzanów ze światłem udało się przez kryte wschody, sklepione kurytarze i ganki do onej dolnej sali, gdzie wszystko w gotowości, wraz z astrologiem, przybycia króla czekało.

— Ach! jak mi serce bije! mówił król zajmawszy przeznaczone miejsce: ten przeklęty tak mi pogroził, że się zaczynam lękać o siebie; trzymajcie mię za ręce, nie podobna abym w tej uroczystej chwili zachował całą przytomność umysłu i moc duszy; a kto wie, na cobym się jeszcze naraził!

Twardowski laską zakreslił koło na ziemi, wymówił kilka formuł czarnoksiężkich i kazał wynieść ostatnią lampę, co słabe światło dawała na ogromnej sali. Ciemność była jak w grobie. August milczał i drżał w oczekiwaniu; przy nim stało dwóch dworzanów i stary trefniś, trzymając go za ręce; reszta ludzi odeszła. Zrazu szum daleki, podobny wezbraniu wód na wiosnę, następnie wicher gwałtowny, zdawał się spychać stary Wawel z jego granitowej posady.

Głos czarownika stopniami to się zniżał, to podnosił; jakaś nadludzka siła targała łańcuchy i klamry wielkiej księgi, której karty ognistym charakterem spisane, w ciemnościach nocy przewracał. Burza nieco ucichła. Zegar zamkowy zaczął bić dwónastą, donośnym i czystym dźwiękiem. August uczuł się słabym, schwycił za rękę obok stojącego dworzana, który gdzieindziej miał zwróconą uwagę, i „ratuj mię!” — zawołał. Astrolog groźne wyrzekł zaklęcia. Wielkie drzwi od dworu z trzaskiem z zawiasów wypadły... wydmuch wiatru wyniósł na środek sali postać kobięcą w bieli, olśnioną jakby ogniem bengalskim. Była to królowa nieboszczka, jak w owym ostatnim wieczorze. Lilje grobowe na licu, uśmiech nie z tego świata, miała ręce złożone na piersiach i zamknięte oczy.

Na chwilę August zmysły postradał, lecz prędkiej się jeszcze opamiętał, niżli dworzanim pospieszył podać mu kubek z trzeźwiącym napojem. Widział widmo; krew mu wszystka zbiegła do głowy, naprężyły się żyły na czole, oczy grały nadludzkiem płomieniem; już zerwał się z krze-

sła równemi nogami, wyciągnięte ręce, postać na przód podana, leciał. „O Barbaro! o żono!” leciał, gotów do serca przycisnąć widmo, gotów przelać w nią duszę. Pochwycili go słudzy, co przerażeni zjawiskiem, powinności swój zapomnieli, pochwycili go jedni za szaty, drudzy za ręce. Widmo znikło; tylko głos rozgniewanego Twardowskiego grzmiał po sali: „Światła, światła! król zemdłał! (wołano), przyzwać lekarza! ratunku, ratunku!” Zleciał się tłum przebudzonych dworzan. Rozpalono mnóstwo lamp i pochodni, cały zamek zostawał w ruchu. Dziwne wieści biegały od ucha do ucha. August bez zmysłów, wrócił niesiony na krześle do swojej sypialnej komnaty; a Szymon z Gincburga znowu stał przy łożu.

Twardowski do końca życia, czyli idąc za powieścią gminną, do czasu, w którym go czarci w karczmie Rzym, po siedmiu léciech od zawarcia traktatu, na *verbum nobile* porwali, zawsze nocną porą, tajemnymi drzwiami przychodził

do króla, gdzie wielkiej wagi roztrząsali tajemnice. Wywróżył on Augustowi, że w 72 roku życie zakończy; młody pan myślał używać świata, pokąd można, na stare lata odkładając pokutę i rozpamiętywanie grzechów młodości; puścił się więc na wszystkie rozpusty; siły żywotne gasły w nim powoli, i zstąpił do grobu ojców, dwadzieścia lat wprzód niż sobie zamierzył, bo w roku 1572, a 52 swego wieku.

Dziewczyna, którą Twardowski ocalił z rąk rozhukanego ludu, ukryta, przepędzała lat kilka w jaskini na Krzemionkach, i nad podziw mistrza, zrobiła wielkie postępy w sztuce czarnoksiężkiej. Ziściło się nawet jego przepowiedzenie. Używana od króla w różnych słabościach, które leczyła ziołami i czarami, obsypana klejnotami i złotem, długo wicherzyła dworem, jak sercem monarchy, i jak zły duch, stała jeszcze przy jego łożu w godzinę śmierci; słowem, była to znana z sekretnej historyi naszego Augusta, faworyta Barbara Giżanka.



KOCHANKA HETMAŃSKA.

Powieść z dawnych czasów.

Nie dzisiejsza to historia, którą wam opowiem. Będzie tam hetman, co znosi kosze tatarskie, hołdy miast i województw odbiera, a na Wielki piątek w kapicy, boso, obchodzi pańskie groby; tryumfator i pokutnik razem. Będzie tam hetmańska żona, ostatnia z starożytnego gniazda, o którym szeroko pisał Paprocki, a jak gołąbek pokorna, przybrana w zakonne sukienki, (tak się nosiły matrony nasze, gdy mężowie chodzili po rycerskim chlebie) zlatuje w najniższe strzechy, jałmużną i lekarstwy dopomaga ubóstwu, szyje ornaty i antypedia do kościołów, a

ojca spowiednika woła na radę przy każdej burzy wewnętrznej. Będzie tam nakoniec prosta dziewczynka: serce ją sprowadzi z drogi niewinności, ale to samo serce wzniesie ją wyżej nad najczystsze lilije. . . . Z tego zaczęcia widzicie, że nie dzisiejsza historia — nie dla tego że w niej hetman — że Tatarzy — że ta matrona półświecka, pół-klasztorna — nie dla tego iżby namiętności, uczucia, miały być inne. Gdzie tam! namiętności, uczucia dziś te same, co przed dwa, trzy, cztery wieki; tylko charaktery rysowały się wyraziściej, tylko w duszach panowało coś, czego żadna nie złamała siła, nad czém żadne nie przemagało rozumowanie; dla tego z walki uczuć ludzie inną wówczas ustępywali drogą niż dzisiaj — i zawsze prawie rozwiązaniu towarzyszył krok jakiś wzniosły i szlachetny.

Ale do rzeczy. W opowiadaniu wystąpią osoby, charaktery, wypadki, czyny, myśli, wyrazy; niech każdy wyciągnie z nich pomysł ogólny i niech stosuje z czasami, ludźmi, charakterami, myślami swojego wieku, a znajdzie różnicę, i jaką!

Owoż, przed wielą laty,— wybaczcie żem tą razą zerwał historią z datami, miejscowością, barwami — zgoła z całym arsenałem Walter-Szkockim — natomiast uchwyciłem parę charakterów ogólnych i namiętność dość spowszechniałą — bo miłość.

Przed parąset laty, w miasteczku, czy w mieście, nazwiska nie wiem, wszakże podobno na Rusi, mieszkała sobie dziewczynka, uboga, ale szlachcianeczka, i co lepsza, niesłychanej urody. Na końcu przedmieścia, stał małeńki dworek, od starości do połowy schowany w ziemię: ze strzechą, co pozieleniała od wilgoci i deszczu; i w tym-to lichym pokrowcu mieścił się najokazalszy dyament, nasza uboga Nastusia. Nie było przy niej ani rodziców, ani krewnych, ani przyjaciół; tylko głucha i niema staruszka, którą, że tak powiem, znalazła na gościńcu stygnącą od zimna. Rodzice odumarłszy Nastusię, nic jej nie zostawili, prócz czterech ścian i kilku grządek ogrodu, i dobrego imienia. Lecz Nastusia umiała prząć na najcieńsze płótno, szyć najdrobniejszym ściegiem i ubierać się czysto i skromnie.

Wdzięcznie też było patrzeć na nią, jak w święto lub niedzielę szła do OO. Reformatów na mszę. Ciemny włos gładko umuskawszy nad czołem i puściwszy w długie warkocze, zaplecione na końcu błękitną wstążeczką, i kilką bławatków ukwieciwszy skronie, i wązkim stanikiem opiąwszy smukłą kibić, i migając śnieżną pończoszką i safianowym trzewiczkiem na korkach, zwracała na siebie oczy przechodzących i przejeżdżających, że aż nieraz jak wryci stawali, nie mogąc się nadziwić i oczom ciemnym a wstydliwym, i zgrabnemu ruszeniu, i owemu wyrazowi poważnej niewinności, co mówić się zdaje: zdaleka wszystko wolno, zblizka nic.

Ztém wszystkiém, żyjąc w tój przystojnej uczciwości panięskiej, Nastusia nie pyszniła się ze swojej cuoty, nikt też nie pragnął ją poniżyć; roztropność jęj nie trąciła dzikością; o bliźnich nie mówiła ze szkodą, jak to zwykle się dzieje, aby podnieść swą wątpliwą wartość. Nie zliczyła by zwawych chłopaków, dostatnich i dworskich, którzy do nięj smolili cholewki; jedni sami swój affekt nieśli, drudzy przez swaty — ale panna

zawsze odmówiła, a tak grzecznie, tak bez obra-
zy miłości własnej konkurentów, że żadnemu
przez myśl nie przeszło, gniewać się za wzię-
tego odkosza.

— Nie zarzekam się kochania, mawiała czę-
stokroć,— ani czuję się na sile pokonać je, gdy-
by przyszło. Bo kochanie bierze się niewiedzieć
z kądem, jak jaskółki na wiosnę, i jak jaskółki w je-
sieni, niewiedzieć gdzie się podziewa. Być mo-
że, że jutro przyjdzie na mnie kreska; ale co
dziś, jeszcze tu serduszko wolne jak ptaszek i
dobrze mi z tém; więc dzięki mojej świętej pa-
tronce, że mię od téj pokusy broni.

Z drugiej znowu strony, stare kmoszki osia-
dłe na dewocyi blisko cudownego miejsca, na-
mawiały sierotę aby wstąpiła do klasztoru; lecz
ona patrząc jeszcze na świat przez kolory tęczo-
we, tajemnicę życia odgadując w biciu serca dla
otaczających ją zjawisk, odpowiadała prostodu-
sznie: — nie czuję w sobie dotąd tak wielkiego
powołania, mogłabym później żałować, a tak,
zamiast zbawienia duszy, zyskałabym potępienie
wieczne.

I dobrze zrobiła Nastusia, bo ta namiętność, której się tak obawiała, wisiała nad nią w powietrzu z swojemi złotemi obłoczkami, z barwi-
stą tęczą, burzą i piorunem. . . .

Koło onego czasu chorągwie nasze usarskie wracały z dalekiej wyprawy perekopskiej. Młody hetman, okryty sławą odniesionych zwycięstw, z kupą brańców tatarskich, z mnóstwem wozów naładowanych łupami, wjeżdżał do swego dziedzicznego miasta i zamku, co nad niem pięcią wystrzelonemi basztami panował.

W kościele farnym odprawić się miało so-
lenne nabożeństwo na podziękowanie Panu Za-
stępów, iż pobłogosławił oręż polski — na ryn-
ku stały beczki miodu i piwa, które pan hetman
kazał wytoczyć ku uweseleniu ludu. Mnóstwo
też wielkie tłoczyło się wdłuż kasztanowej uli-
cy, wiodącej od zamku do fary, witając okrzy-
kami hetmana, który z małżonką swą jechał
w złocistej kolebce, z niezliczonym poczem ry-
cerstwa i służby, towarzyszącą mu na tureckich
bachmatach.

Pobożny lud kruszył się i budował na widok,

gdy dzielny hetman krzyżem padł przed wielkim ołtarzem, i podziwiał postawę jego okazałą, gdy powstał, o bo też było co podziwiać! Na czerstwej ogorzałej wiatrem stepowym twarzy ledwie znać było lat trzydzieści, oko czarne, wielkie, pełne życia; wąs miękki, broda gęsta, zwyczajem ówczesnym podstrzyżona, a blach stalowy, naramienniki, karwasze, okrywały go jak do boju; zdało się nawet, że jeszcze nosiły na sobie kurz bitwy i dym samopałów. Poddani kochali go jak ojca, szlachta jak obrońcę kraju, miał też przymioty niepospolitej wielkości duszy; hojny, przystępny, stoły trzymał otwarte, ubóstwu co W. czwartek umywał nogi, jałmużn nie szczędził, zakładał klasztory, fundował bursy i szpitale; a uchem zawsze prawie był przy ziemi, słuchając czy Turek lub Tatar nienajeżdża granic rzeczypospolitej.

Po hetmanie, myśl ludu i błogosławieństwa przenosiły się na głowę jego małżonki. Z przybyciem męża, zdjęła ona zakonne szaty, i przybrała się w złotogłów i drogie kamienie; w oczach jej malowała się radość, ziszczenie mod-

litw gorących, pewność posiadania najukochańszej istoty. Pani ta z książęcego rodu, wniosła wielkie imie i ogromny majątek w dom hetmański, a co droższe, wniosła cnoty, które ją czyniły bożyszczem ubogich i cierpiących. Lubo natura nieobdarzyła ją pięknnością, lubo na licach jój nigdy nie kwitnął rumieniec, oko niebieskie niepłonęło ogniem przenikającym, jednakże tyle w rysach było słodkiego wyrazu, tak wszystko mówiło o dobroci serca, żeś czuł mimowolny pociąg, ku tej uosobionej miłości chrześcijańskiej. Ztąd też wszyscy mówili, że to dobrana para; on, cały oddany usługom publicznym, gdy nieraz mu przyszło podnosić miecz sprawiedliwości, słuchał łagodnego jój wpływu, którym zręcznie umiała władać dla otarcia łez, lub ocalenia nie jednej głowy.

Owego to ranka, odgłos dzwonów i wystrzałów, a najbardziej wesolość między mieszkańcami, doleciały do cichego dworku pięknej Nastusi. Z jakąż niecierpliwością radaby się przypatrzeć panu hetmanowi, o którym zawsze słyszała jak o jakim cudzie. Jeszcze w wilią upra-

ła sobie białą sukienkę, a teraz umuskawszy czarny włos, wplotłszy kilka różyczek, takież bukiet u piersi przypiąwszy, a zastaniając się białą chusteczką od słońca, biegła z drugimi na nabożeństwo. Widok się tam przedstawiał jakiego niewidziała w życiu. Około hetmana rycerstwo w tygrysiach i lamparcich skórach; około hetmańskiej żony, fraucimer w okazałych szatach. Nastusia przedarłszy się przez tłum, znalazła sobie miejsce blisko wielkiego ołtarza, i tą razą nie tyle co zwykle, parzyła w książeczkę od nabożeństwa, ile wesołym i ciekawym okiem skakała po zbrojach, kornetach, kołpakach, robronach... aż spójrzzenie jej całkiem zawisło na okazałym obliczu hetmańskim; a jakkolwiek wzbudzała w sobie chęć spuszczenia wzroku ku ziemi, niemogła go przecież oderwać, tak dziwna moc ciągnęła ku niemu. Hetman zaś, ze swojej strony, uradowany tą miłością ludu, wodził wzrokiem po tym różnobarwnym tłumie, i uśmiechał się doń w podziękę. Aż na raz stał się wielce zamysłony i niby posępny; ogień wewnętrzny gorąca uderzył mu na czoło, w

sem kręcił, a brwi fałdował, jak ten co walczy ze sobą i tłumi mocne jakieś wzruszenie; i darmo przez cały ciąg nabożeństwa odganiał niby pokusę wdzierającą się w głąb rycerskiego serca, nic niepomogło! po skończonej ceremonii, hetman wyszedł z głębszą raną niż od tatarskiej strzały. Medyolańska najlepsza zbroja niewytrzymała ognistego spójrzenia Nastusi! On, co tyle zimnej krwi okazał w najgorszych przeprawach z Wołoszą, teraz ciężko wzdychał; niespokojnie oglądał się przejeżdżając ulice miasteczka, a na widok każdej młodej twarzyczki, wzdrygał się jak od ukąszenia gadu. Ale już więcej anielskie to dziewczę nie pojawiło się na drodze do zamku, tylko jej obraz wił się w głowie hetmańskiej, jak sen, jak przypomnienie innego świata.

W duszy hetmańskiej niemniejsza walka się toczy, dotąd nigdy ani pomyślał złamać wierności małżonce, którą ubóstwiał, która wychowała mu dwóch małych synków, ale miłość zwyczajnie najchytrzejsza syrena, gdy się raz uwiłła, wszystkie swe postanowienia pogrąża w nie-

pamięć, a umysłem najtwardszym, zwykle najcięższe jarzmo nakłada. Ktemuż to duszno i nudno hetmanowi w zamkowych komnatach, nie tęskno mu do dworu, nie tęskno na łowy, biesiada go nudzi, żona nie bawi, i choć głaszcze po licu bieluchną rączką, marszczków nierozgładza, weselszego nie wywoła uśmiechu.

W poobiednich godzinach zawsze go widać jak zamysłony przechadza się po zwierzyńcu przypierającym do zamkowego ogrodu, nikt z dworskich mu nie towarzyszy, wszyscy się dziwią czemu tak polubił samotność? Pewnego razu faworyt jego, chart darowany mu od Oczakowskiego baszy, bez którego nigdzie ani kroku nieruszył, a który wiernie pana się trzymał i równie z nim używał samotnych przechadzek, rzucił się nagle w krzaki, zaszczekał, zaskowyczał i wzięwszy ogon pod siebie, wracał jakby się żaląc przed panem.

— Kto tam śmiał trącić Sokoła? — krzyknął hetman i poskoczył ku krzakom, gotowy skarcić zuchwalca.

— Głupia sobaka sama się nastraszyła — od-

powiedział głos piskliwy, i hetman ujrzał przed sobą zgiętą ku ziemi i zbierającą zioła kobietę, a raczej czarownicę; szpetne też miała wejrzenie i taki włos pokołtuniony, że sam, choć mąż nie zajęczego serca cofnął się i wzdrygnął.

— A ty poco w zwierzyńcu? — ofuknął groźnie — Precz mi straszyciło, bo każę psami wyszczuć, lub kamień do szyi i w wodę.

— Nie tacy wy srodzy paneńku — rzekła prostując się przed nim, i przymrużając oczy niby umizgiem.

— Zobaczysz. —

— Może podziękujecie paneńku, że starą Irenę czort tutaj przynióstł...

— Jakto?

— Irena zbiera zioła, zna się na chorobach... a mnie się widzi, że wy panie hetmanie nie całym swoim.

— Niepleć mi dubów i wynoś się pókiś cała, bo jak marszałek zobaczy...

— To mię obronisz paneńku, prawda, obronisz, jak wtedy, gdy burmistrz z ławnikami,

chcieli mię pławić, jam ci wywróżyła za to hetmańską buławę i dwóch synów...

— Ach, to ty! przepomniałem, Bóg widzi, prawda, prawda! — I hetman zamyslił się, walczył wewnętrznie aż mu rumieniec na twarz wybiegał, i w końcu przewyciężając wstyd i dumę, ozwał się:— Choć to grzech zachodzić z tobą w praktyki, chciałbym się dowiedzieć od ciebie...?

— Dajcie rękę: może i zgadnę.

Hetman ze wstrętem podał jój dłoń szeroką, ona czytała, nakoniec jakby lekceważąc odkrycie, mówiła z uśmiechem:

— O, wielkie dziwo! kochacie się, i to od niedawna. Chcecie panie wyleczę was z tego, mam sposób, do tygodnia znowu będziecie zdrowi.

— Idź do biesa z takim lekarstwem; mnie nie tego trzeba.

— Ha rozumiem! wy chcecie przejść przez całą chorobę, chcecie tę posiadać, która wam wpadła w oko. O! miało co wpaść: dziewczynka jak rybka, czarne ślepki, czarna kosa, a liczko krew z mlekiem; szkoda że prostego stanu....

— Co? i ty ją znasz? tę najładniejszą, tę, za którą przepadam od dwóch tygodni?

— Jak zły szeląg, ba, jak dobry, bo to niewiniątko, aniołek, któżby nieznał Nastusi, sieroty po starym wojaku.

— Słuchaj stara dam co zechcesz.

Baba pokręciła głową:

— Trudna bo sprawa, ją i piernikiem z domu niewywieźdź.

— Powiedz tylko gdzie szukać, a ja sam...

— Pan hetman!

— Cóż sobie myślisz?

— Do takiej chudźiny?

— Mów tylko.

Baba wrzuciła mu do ucha kilka wyrazów; hetman cisnął jej garść monety, i oddalił się usłyszawszy różne głosy na zwierzyńcu.

Jeszcze tego samego popołudnia, gdy był dzień piękny majowy, kazał hetman podać sobie wierzchowca; gotową do towarzyszenia mu czeredę odprawił, ino z jednym poufnym swym dworzaniem, pojechał w pole za miasto.

Długo czwałowali tędy owędy płosząc wrony i kawki, nareszcie zhasawszy rumaki wracali szłapiąc wzdłuż długiego przedmieścia ciągnącego się białymi dworkami, i ogródkami pełnemi lili i bzu tureckiego.

Przed jednym z takich dworków, ale najubożuchniejszej powierzchowności, siedziała na kamieniu ona staruszka, która się pojawiła hetmanowi w zwierzyńcu.

Hetman wlepił w nią oczy, wyczytał odpowiedź, a obracając się do dworzanina, rzekł:

— Januszu! potrzyмай konia, zleżę, i ochłódzę się w tój tu chałupie, bom mocno zmęczony.

— Lepiej, ja poskoczę i wyniesę wody, lub mléka miłosciwemu panu — przedstawił dworzanin.

— Nie, nie, im to przyjemniej, gdy ich sam nawiedzam.

I hetman wszedł prosto do chaty, ledwo drzwi uchylił, a Nastusia ujrzała go, wielce się zmięszała i upuściła wrzeciono.

— Niebój się, dziewczeczko — rzekł hetman — zmachałem się na koniu, daj napić się czego.

Dziewczynka podała mu kubek mleka, ale drżącymi rękoma.

— Pięknie ci dziękuję — a jakie wyborne! czy masz krówki, gospodarstwo?

— Gdzie tam miłościwy panie! rodzice mię odumarli, żyję z pracy.

— Że też nie znajdziesz sobie jakiego porządnego chłopaka.

— Mnie chudemu pachołkowi ani myśleć o tém.

— Ba, ba! postaramy się — i hetman cedząc słówko po słówku mówił po chwili — Słyszałem-ci żeś uczciwa dziewczeczka, wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi — dla tego wyznaczę ci posag, i wydam za którego z mych dworskich; rozumiesz . . . ?

Nastusia zarumieniła się jak wiśnia, a skrobiąc palcem po ścianie, odpowiedziała z równą mocą i skromnością.

— Wstyd mi miłościwy panie odmówić takiego dobrodziejstwa. Nie дума to ani żaden upor, ale gdzie idzie o postanowienie całego życia, nie chciałabym ręki mojej oddawać pierw-

wszemu lepszemu; dla tego też wolę już pozostać w moim stanie panińskim.

W twarzy hetmana błysnęło wewnętrzne zadowolenie, i znowu mówił, a słowa mu prędko i słodko płynęły.

— Nie mój to zwyczaj, mościa panno, robić dobrze i jakieś uciążliwe warunki nakładać. Szukałem sposobności dopomożenia ci, bom tyle dobrego słyshał o twoich przymiotach. Dla tego wyznaczam tysiąc złotych na posag; męza sobie dobierzesz jakiego zechcesz. Nader byłoby mi markotno, gdyby taka ładna twarzyczka i takie poczciwe serduszko, poniewierały się w biedzie. A teraz bywaj zdrowa moja dziewczko, kup sobie krówkę, abys miała dla mnie mléko, gdy będę tędy przejeżdżał.

To powiedziawszy pan hetman, pogładził ją po liczku, za co ona mu pięknie dygnęła; przytém z mocnego wzruszenia pierś jęj gwałtownie się wzniosła, oczy zaś wyrażały coś więcej niż uszanowanie i wdzięczność.... może to było przywidzenie, jednakże w sercu hetmańskim

krw nagle zakipiała, i wrócił na zamek trzykroć więcej chory, niż wprzód.

Zaraz gruchnęło po całym mieście, że hetman nawiedził chatę Nastusi, i co większa, tysiąc złotych opatrzył posagu, za co? za szklanę mleka. Wszyscy prawie mówili, że zasłużyła na to, a choć się znaleźli zawistni, milczeli. Od tego czasu Nastusia, nieoddawała się takiej pracy, przyjęła sobie gospodynię, i mniej często biegła do komoszek na szarowieczne pogadanki. Lecz natomiast przechadzała się sama jedna nad brzegiem stawu, po błoniach, zamysłona, zbierająca i wiążąca trawki lub puszczająca wianki na wodę; a co nocy prawie widziano jak długo po północy świeciło się w jej okienku. Takież światło o tejsze porze, widziano i na zamku? cóż dziwnego. — Hetman, najpotężniejszy z panów w Koronie, równie spać niemoże jak prosta szlachcianka, i wielkimi krokami deptąc adziamskie kobierce swojej sypialni, bije się w czoło i mówi:

— Przecież to wstyd, dla mnie, hetmana, tak się zakochać w prostytutce!

O! bo też się kochali zapamiętale.

Zdarzyło się iż pani hetmanowa wyjechała odwiedzić siostrę swoją panią Wojnickę. Hetman, przyzwał swego poufnego Janusza, wprzód kazał mu przysiądz na milczenie, potém przebrał się w suknie jego, wziął klucz od furtki ogrodowej i chyłkiem dostał się na przedmieście. Nastusia siedziała właśnie w swoim ogródku, główkę oparła o drzewo, oczyma patrzyła w księżyc, i żalospną nuciła dumkę, gdy w tém pan hetman stanął przed nią.

— Ciężko mi, choro na sercu, ty mię chyba uleczysz — mówił do niej miękkimi słowy. — Aczkolwiek Pan Bóg mię stworzył tak wielkim panem, moja dola lub niedola w twojój jest mocy. Od kiedym cię zobaczył, pamiętasz, u fary, srodze cię pokochałem sam nie wiem jak się to stało, dość że przepadam za tobą. Jeżeli mi się nieuda skruszyć twego serduszka, ot wiesz co zrobię: żonę, dzieci, majątek, zdam na Bozką opiekę, a sam zbiorę wojsko i pójdę gdzie w Krym, na Wołoszę, zahazarduję się, i może gdzie tatarska szabla grób mi wykopie. . . . Mów, mów Nastusiu jaka mię dola czeka od ciebie?

Szkoda wielka, że cnota naszej dziewczynki niemogła się oprzeć tylu ponętom. Niechby hetman był w step pogonił, niechby był głów napłatał, zawsze zysk dla kraju, a dla niego, że te amory wywietrzałyby z głowy na czarnomorskim wietrze. Ale tak się nie stało! Nastusia niezdołała ukryć ogromnej radości, usłyszawszy miłą jego przemowę. Dwie cienkie łezki potoczyły się z rzesów, uśmiech mdlejącego rozczulenia rozsznurował usteczka; złożyła rączki jak do modlitwy i rzekła:

— O czyż podobna, aby taki dostojny pan, zniżał się do prostej szlachcianki...!

— Mów, czy tylko nie gniewasz się, czy mnie nie odpychasz?

— Miałażbym się gniewać, odpychać? Mój Boże! to takie szczęście żem marzyć o niem nieśmiała, tyle w niem było niepodobieństwa.

— Więc pokochałaś mię.

— Od pierwszego wejrzenia, zdało mi się żem rozum straciła.

— Ja ci go wrócę, moja gołąbko...

Tu hetman wziął ją za ręce i gorący poca-

łunek wycisnął na ustach. Dziewczyna drżała, i usiłowała się uwolnić z jego objęcia.

— Zkądże ci ta trwoga Nastusiu?

Ona ocierając fartuszkiem oczy mówiła łkając:

— Boję się, bo czuję, że źle czynię; ale choć przepaść przedemną, skoczę z zamrużonemi oczyma.

Miłość moja przeciw całemu światu cię zasłoni.

— Tylko nie przeciw mnie samej...

Ostatnia ta myśl malowała całą walkę niezepsutej duszy, i całą wielkość rezygnacyi. Pojęła ona w prostocie serca, że raz wyznawszy hetmanowi swą miłość, niemogła być szczęśliwą bez poświęcenia mu swęj dobrej sławy; że opór byłby tylko komedią kobiet zręcznych a przewrotnych, które tym sposobem pokazać się chcą wyższemi nad ludzką ułomność, a zwykle tém kończą, od czego by zacząć miały.

Odtąd widywali się często, przy świetle księżycy i gwiazd, w silnem uczuciu stopiła się i nierówność stanów, i przesady, i duma rodowa, i

gminna nienawiść, dla siebie niczém więcej nie-
byli tylko pierwszemi mieszkańcami rajy stwo-
rzonego miłością.

Oprócz pani hetmanowój, biorąc rzecz z wła-
ściwego stanowiska, kogoż mogły obchodzić tak
mocno miłostki hetmańskie z piękną Nastusią?
Nikogo, a przecież choć nikt żywy ani umarły
na tém nie cierpiał, po całym mieście i jeszcze
w okolicy, o niczém nie szeptano tylko o tém,
jak się pan hetman zakochał. Gdyby morowe po-
wietrze miało grasować, albo orda zagony za-
puścić, niebyłoby większej gadaniny. Stare
kmoszki stawały na ulicach, i udzielały sobie
wzajemnych wieści. Szlachta na każdym zjeździe
toż samo podawała sobie w sekrecie; a co dwor-
scy to i o pacierzu zapomnieli, tak ciągle jedno
było im na języku; a każdy prawie przybierał
zasmuconą postawę poglądając na młodą swą
panią. Panny pokojowe zachodziły w głowę jak-
by hetmanowój udzielić onój tajemnicy, która
miała zniszczyć jój domową spokojność i szczę-
ście; zwykły to sposób nadania sobie ważności,
choćby zakrwawić najdelikatniejszą stronę serca.

Już od dwóch miesięcy jak hetman miewał ponicne schadzki z Nastusią, gdy żona jego dowiedziała się o wszystkiem przez jedną z panien pokojowych. Z obojętnością zdała się słuchać zwierzenia, i aczkolwiek z wielu innych względów niemogła wątpić o prawdzie, odrzekła surowo:

— Bądź to szczerą prawdą, bądź potwarz na mego małżonka, zawsze to nikczemną podłość ze strony waćpanny, a dla mnie obraza, której niewybaczę nigdy. Ułożyłaś sobie, albo mi zadać cios największy w życiu, albo odjąć cześć małżonkowi mojemu; dla tego ustąpisz z mego dworu.

Po takim przykładzie, już nikt się nieodważył, otwierać ocz swój pani; cios jednakże niechybił. Hetmanowa miała zawsze twarz wypogdzoną dla wszystkich co ją otaczali. Hetman ani przypuszczał by tajemnicę jego odgadła; tymczasem ona, zamknawszy się nieraz w kaplicy w modłach i łzach szukała ulgi boleściom, a osamoczone łożo co noc bywało powiernikiem naj-sroższych męczarni. W takim stanie były rze-

czy, gdy panu hetmanowi wypadło wyjeżdżać na sejm do stolicy. Nastusia ręce łamała i zanosiła się od płaczu, gdy jój to postanowienie objawił. Tylko długie zapewnienie niezmiernj stałości, tylko przyrzeczenie, że przez umyślnego gońca będzie jój dawał o sobie wiadomość, utuliły niebogę, uśmiechnęła się i przyrzekła czekać cierpliwie powrotu.

Już minęło było parę tygodni od wyjazdu pana hetmana, gdy pewnego wieczora kolebka, zaprzęgnięta cugiem białych rumaków, toczyła się przedmieściem; siedziała w niej hetmanowa z pannami, wracając z poobiednj przejazdźki. Jednemu z towarzyszących jój konno dworzan, kazała się wypytać o mieszkanie Nastusi. Wszyscy którzy ten rozkaz słyszeli, spojrzeli po sobie znaczącem okiem, dorozumiewając się jakiejś sceny ze strony małżonki zazdrością dręczonj. Gdy powóz przed dworkiem się zatrzymał, Nastusia, w wyobrażeniu, że to jaki goniec z nowinami od jój pana i kochanka, poskoczyła radośnie ku wrotom; lecz jakżeż się zmięszała nieboga ujrzawszy hetmanowę! ręce ją opadły, ru-

mieniec z lica ustąpił, i stanęła jakby przed ostatecznym sędzią.

— Uspokój się małeńka — rzekła pani z dobrocią: — Nic ci się złego nie stanie. Ludzie cię chwalał żeś dobra, kochają żeś ładna; czegoż się masz obawiać odemnie?

— Miłościwa pani, mówiła drżącym głosem, taki zaszczyt wielki dla mnie ubogiej dziewczyny, sama niewiem z jakim respektem...

— Respekt a bojaźń, dwie rzeczy odmiennie, niebój się dziecko. Tyle mi nagadano o twojej urodzie, że sama chciałam przekonać się o prawdzie. W samej istocie, piękniejszą cię znajduję niż sobie wyobrażałam; a po całym ułożeniu miarkuję, że musisz być łagodna i dobra. O tych dwóch skarbach można być szczęśliwą, nieprawdaż Nastusiu?

— Miłościwa pani, nienarzekam też na moją dolę.

— Zapewne, zapewne, — mówiła hetmanowa poglądając na ubożuchne sprzęty — szczęście częstokroć omija wysokie pałace, a ciśnie się

do niskich chatek. Dla tego też w twojej nigdy
 płaczu nie słychać.

— Płaczę i ja czasami miłościwa pani, ale
 z radości.

— Mówisz jak z książki moje dziecko. Masz
 słuszność; dla nas kobiet, żyły są powszednim
 chlebem w szczęściu i niedoli. Niepowiadano
 mi, że masz taki prosty i zdrowy rozumek; po-
 winnam się była domyśleć. O, co teraz, to się
 niedziwię

Hetmanowa niedokończyła swęj myśli, jakby
 ją chciała utaić, lecz my się łatwo domyślimy
 jak posępne uczucia rodziły się w sercu tęg pani
 na widok świeżości i miłego układu Nastusi.

Po chwili milczenia — Weź tę pamiątkę —
 mówiła, zdejmując z palca kosztowny pierścio-
 nek, — i powiedz twoim przyjaciółom, że cię
 pocałowała w czoło, i mówiła z dobrocią.

Hetmanowa siadłszy do kolebki, nim wje-
 chała na zamek powtórzyła sobie: — O, co teraz
 to się niedziwię! . . .

Długo Nastusia niemogła przyjść do siebie
 po tak niespodziewanych odwiedzinach. Inna o-

soba, mniej dobrej natury, byłaby niechybnie wnioskowała, że tajemnica jej miłostek niewyszła na świat; lecz ona, poczuwając się do równej wspaniałości i słodyczy gdyby ją los był postawił na miejscu hetmanowej, nie wiedziała jakie nadać znaczenie słowom swojej rywalki.

Już to było napisane w księdze przeznaczeń, że w ciągu nieobecności hetmańskiej spotykać ją będą tak niespodziane wypadki, jak w bajkach, o królewiczach i czarnoksiężnikach. Siedząc jednego poranku u okna, i patrząc na wypogodzone niebo, postrzegła jak wielki wóz wyładowany zatrzymał się przed jej dworkiem.

— Panienko — mówili ludzie od wozu, — przywozimy wam rozmaite sprzęty. Gdzie nam każecie ustawić?

— Dla mnie sprzęty? przeżegnajcie się! to chyba pomyłka.

— Co nie, to nie. Wyraźnie tutaj nam zawieść kazano.

— Od kogóż?

— Tego nam mówić nie wolno, dość że od pewnej wysokiej osoby.

—Róbcież więc co się wam podoba.

Ci ludzie, zaraz wzięli się dó roboty: ściany obciągnęli bogatemi makatami, podłogę kobiercami usłali, postawili spaniąte łoża z kotarą, pownosili stoły i stołki obite złotogłowie. Za każdym sprzętem Nastusia niemogła się wstrzymać od podziwiania, w końcu, niemogąc nic od tych ludzi wybadać, domyśliła się że to pan hetman taki dał przykaz, któremu ze swoich powiernych dworzan.

Tegoż wieczora tajemny goniec hetmański przyniósł jój pismo tak długo oczekiwane, w treści następującój:

„Sejm się już kończy, najdalój za dwa tygodnie będę u ciebie, przybycie moje na zamek „zapowiedziałem o parę dni później, dla tego, „by z tobą ten czas przepędzić. Tęsknota co „dzień gorzej mi dojmuje; szczęśliwym będę, „gdy się dostanę do twojój chatki; kochanie, „przemieniło ją w najspanialsze dla mnie pałace. „Twój kochający cię i t. d.”

Ostatnie wyrazy szczególnie naprowadzały

Nastusię na pomysł, że to hetman jęj chatkę w pałac zamienił.

Im bardziej zbliżał się termin przyjazdu kochanka, tém Nastusia niespokojnięj wyglądała go oknem, tém częściej wybiegała ku stronie zkąd miał nadjechać.

Właśnie przedzwoniono u Reformatów na Aniół-Pański, ona zabierała się wybiedz na spotkanie, gdy drzwi się otwały, i hetman w burce kozackięj stanął przed lubą. Po zwykłych ucałowaniach, po wzajemném zapytaniu: czyś myślała o mnie? czyś myślał o mnie? gdy pięrw-sza gwałtowność uczuć cokolwiek uciszyła się w duszach, hetman spójrzał po świetlicy i mocno się dziwił.

— A to zkąd takie odmiany — zawołał — zkądżeś to wzięła tę sprzęty, Nastusiu, te bogate opony?

— Jako! nietyżešto panie je przysłał, nie tyś moję chatkę w pałac zamienił?

— Mnie to i przez myśl nieprzeszło, wierzaj Nastusiu.

— Wolne żarty miłościwy panie.

—Szczerze ci mówię, i niepojmuję... Ale te kobierce, te makaty gdzieś mi znajome, wszak to zamkowe sprzęty! sprzęty z sypialnej komnaty mojej żony, ba, i to łoże jój własne!

—O cudowna moja patronko! więc to miłościwa pani opatrzyła mię temi zbytkami, a ludzie oni nie chcieli powiedzieć kto ich przysyła.

—Odkryliśmy moje dziecko! widzisz czego użyła, aby mi dać do poznania, że nasze miłości nie są jój tajne. Jutro! o jutro zetrzemy się mościa pani.

—Jednakże ja widziałam panią hetmanową, była tutaj. Jaka dobra! pocałowała mię w czoło, pochwaliła żem urodziwa, i że godnam być szczęśliwą. Sama życzliwość przebiejała w każdym słowie, a zazdrości ni cieniu.

—Hetmanowa tu była! żona moja obeszła się z tobą łagodnie?!

—Więcej jak łagodnie, bo jak matka, jak siostra, jeżeli śmiem przyrównać taką panią do siebie. Oto pierścień, który mi zostawiła na pamiątkę.

Hetman pogrążył się w głębokie dumanie.

Postępek jego małżonki wcale nie zdał mu się nagannym; lecz trybem ludzi na których stronie bywa niestusznosc, usiłował wmówić w siebie, że źle postąpiła sobie; a zmuszony wybierać między wstydem a gniewem, poszedł za ostatniem uczuciem.

— A to zuchwałość mościa pani — mówił do siebie, chodząc wielkimi krokami po świetlicy — tak ze mnie żarty stroić! Dam jej do poznania, że takich nauczek nie lubię. Patrzcie! zachciało się jej szpiegować mężowskie postęпки? płatny zauszniak wdzierał się w moje tajemnice? pożalujesz tego, i będziesz przeklinać godzinę w której ci ta myśl przyszła. Ale dosyć już o tém, szkoda czasu i atłasu, szkoda mi każdej minutki niespędzonej z tobą mój ty aniołku.

Przecież rozkochany hetman o niczém niekazał sobie rozpowiadać przez resztę wieczora, jak o tych odwiedzinach swój żony, o całej rozmowie i o przysłanych sprzętach; tak bowiem dalece go ubodła wspaniała zemsta kobiety.

Z brzaskiem poranku, gdy musiał pożegnać swoją pieszczoszkę, i pośpieszyć do dworskich,

których w jednym z bliskich folwarków zatrzymał, aby zatracić ślad bytności u Nastusi, uniesienie gniewu zaczęło w nim wolnieć. Wnosząc z wczorajszych jego zamachów, zdawało się, że z powrotem na zamek wybuchnie, że biedną małżonkę w proch zetrze, tak zapęd jego gniewu w innych razach bywał niehamowny, choć zresztą w gruncie serca miał uczucie najczystszej sprawiedliwości. Dla tego też, w miarę jak się zbliżał z swoim orszakiem, szacunek ku małżonce brał górę, stygło oburzenie, czoło się zasępiło pomroką myśli, a koń pod nim coraz wolniej kroczył, jakby chciał tę drogę przedłużyć, która mu teraz zbyt krótką się zdała. Nim wjechał na górę, raz jeszcze zatrzymał się przy kaplicy Ś. Jana, i usiłował zebrać rozpierzchnione myśli.

Tu mu się nasunęły trudności, o jakich jeszcze nie marzył. Nie przypuszczał on, aby hetmanowa chwyciła się jakiego ostatecznego środka. Znał jej charakter słodki i uległy, znał sposób postępowania, który nigdy nie zboczył z toru godności. Przytém nigdy nie uchybiła mu w czułości i przywiązaniu; miałże pierwszy za-

czepić ją w tej mierze, czy czekać aż ona zacznie? Oto był węzeł gordyjski. Już niewątpił, że wiedziała o wszystkiém i oczekiwać wypadku, było jedno, co stawić się w położeniu żaka oczekującego kary od swego mistrza. Z drugiej strony, jakże przystąpić do tak ślizkiego przedmiotu? kłótnią? rzecz niegodna, nikczemna, tém bardziej że przeczuwał, iżby go pokonała swoją wyższością, iżby mu przebaczyła niewdzięczność. Nad tém zaś wszystkiém górowała ślepa miłość do Nastusi, od której niechciał na jotę odstąpić, i stokroć wolałby znosić całe piekło domowe, niż zaprzestać swych nocnych nawiedzin. Stawiając się tak między namiętnościami, dumą i prawością swego charakteru, niewidział innego środka, jak ustąpić w którymkolwiek z tych punktów zawitych. Dla tego chwycił się najzręczniejszej drogi, to jest, postanowił niewywoływać żadnych tłumaczeń, dopóki ich druga strona nie wywoła.

Stanąwszy na zamku, hetman prosto poszedł do swoich komnat, przebrał się z sukni podróżnych, i udał się powitać małżonkę.

Właśnie nieszczęśliwa Anna wychodziła z kaplicy, gdy się spotkali w przysionku. Mimo wewnętrznych zgryzot, wyglądała na twarzy dość świeżo, zapewne z regularnego i cichego sposobu życia, radość z ujrzenia męża, uśmiech wdzięczny rozlany po licu, użyczyły jej tego wdzięku, jaki zwykle nazywamy: pięknnością duszy. Uderzyło to hetmana na wstępie; i oboje byli wzruszeni. Z początku chcieli się tylko uścisnąć za ręce; lecz ona podała mu swoje tak życzliwie, że hetman otworzył ramiona, i w pół ująwszy do piersi przytulił. Kilka chwil trwało to serdeczne powitanie, i chociaż wybuch wzajemnych wyrzutów zdawał się być nieuchronnym, on nie miał przecież serca zatruwać téj chwili małżeńskiego pojednania; owszem, czule ją wypytywał o zdrowie, o dzieci, o wszystko co zaszło w jego niebytności. Kobiety bystry wzrok mają, gdy idzie o wyśledzenie skrytości duszy; Anna wyczytała w przymuszonych ruchach hetmana, w pomięszaniu jego oczu, iżby mu trudno było zacząć o przedmiot tak drażliwy. Dla tego też niechcąc sobie zamącić krótkiej ro-

skoszy wynikającej z téj aczkolwiek podejrzanéj
czułości małżonka, milczała i o Nastusi i o swo-
ich odwiedzinach.

Cały dzień przeszedł, a hetmanowa najmniej-
szą wzmianką nie dała poznać mężowi o tajemni-
cy jaka się między nich wcisnęła, hetman miał
nadzieję, że burza ta przesunie się i pójdzie w za-
pomnienie. Wyobrażał on sobie, że cały jéj od-
wet skończy się na wspaniałém milczeniu, że mu
da uczuć obrazę, bez wyrzutów, bez uzaleń. A
wtenczas ona się tylko podniesie, a on jakże nisko
upadnie! Przyszłość malowała mu rosnącą winę
z dniem każdym, sumienie szarpane coraz głę-
bszemi zgryzotami: nakoniec widział się w ta-
kiém poniżeniu, żeby i ócz niemógł podnieść na
niewinną matkę swych dzieci. Te myśli drę-
czyły go, zwiesił głowę na piersi, i czuł jak
jéj spojrzenie słodkie, łagodne, paliło go w czo-
ło. Wielkie serce hetmańskie niemógło znieść
dłużej własnego upokorzenia. Bądź jak bądź,
chciał raz zrobić rachunek z sumieniem.

—Widzę żeś mi płakała moje kochanie; —
przerwał nagle z pewnym rodzajem wyrzutu.

— Ja zaś? — odrzekła Anna blednąc. — I nacóżbym miała płakać, tyś przecie nie na wojnie mój drogi Zygmuncie, łzy moje chowam gdyż niebezpieczeństwami otoczony.

— Ciekawym czy też potrafisz skłamać choć raz w życiu. Mów, płakałaś czy nie?

— Cóż ci to się dzieje Zygmuncie? przed chwilą byliśmy w zgodzie, a teraz szukasz rozterki?

— Muszę się przekonać czy umiesz kłamać. Przyznaj się. Nieczas z tego robić tajemnicę; kiedyś mi tak zręcznie umiała wyrzucić lekkość moich postępów, milczenie byłoby wcale nie w porę.

— Ach! mężu, Zygmuncie! — zawołała Anna składając przed nim ręce — jeżeli płakała, to nie z innéj przyczyny, jak żem się stała powodem twego nieukontentowania. Nie tysiąc razy przysięgałam sobie, ukryć ci moje cierpienie, gdybyś kiedy stać się miał niewiernym, trudno! niemogłam zwyciężyć pokusy, i zamknąć w sercu tego ogromu bóleści. Niemyśl żem uprzedzona o moich wdziękach, matce dwojga dzieci, kwiat młodości przeminął, a twoja Nastusia tak piękna, tak świeża, tak czarująca. Należało mi

przetrzymać cierpliwie, namiętność twoją czasby zwolna ostudził, a prędzej czy później, jeżeli nie z gorącą miłością, tedy z przyjaźnią wróciłbyś do mnie. Nieprawdaż Zygmuncie, że w twojem sercu jest jeszcze dla mnie zakątek, że niepowinam zazdrościć tego uczucia jakie chwilowo téj lub innéj rzucisz kobiecie? To dziewczę wcale miłe i zajmujące, Bóg świadkiem, że jéj nic złego nie życzę, a jeżeli mam prawdę wyznać, tedy nie dla wyrzutów tobie, upiękniałam jéj chatkę mojemi sprzętami, tylko bym ci na myśl przyszła każdą razą, gdy obok niéj będziesz chciał o mnie zapomnieć.

Kiedy tak Anna wynurzała tajniki najwznieślejszego umysłu, hetman mięszał się, jak winowajca ciągniony na torturę. Wyrzuty, gniew, nienawiść, toby go najmniej obeszło, lecz tyle niespodziewanego poświęcenia się, całą szalę zwycięstwa przeważyły na jéj stronę. Cóż mu pozostało? oto użył fortelu, i rezygnacyę małżonki wziął za obojętność ku sobie, niezręczny! w jeszcze większe uwikłał się trudności.

—Ciesz się mię to—odrzekł hetman z uszczy-

pliwym uśmiechem. — Cieszy mię że cię to nie martwi tak srodze; gdybym był przewidział tyle obojętności z twój strony, mniej byłbym usiłował tać się z mojemi czynnościami.

— Dla BOGA! — zawołała Anna — dla BOGA, mężu ty widzę mię obwiniasz o obojętność w chwili, kiedy dla twego kaprysu poświęcam to, co najtrudniej poświęcić kobiecie! Mości hetmanie, alboście najniesprawiedliwsi z ludzi, albo niegodną siebie przywdziewacie maskę. Ale wiem ja co wam na myśli; wiem, że w przekonaniu swém, nie obwiniasz mię o obojętność. Nieżądaj więc panie, abym ci się wyśpowiadała z wszystkich moich udręczeń, bo serce twoje aczkolwiek dziś zbłąkałe, krwią by ci zaszło. Dużoś przeciw mnie zgrzeszył, nacóż obraźliwém powątpiewaniem poniżasz moje uczucia? Nieszczęśliwam ci ja, to prawda; ale niewiem czy twoje położenie nie jest godniejsze litości: idź używaj rozkoszy przy innój kobiecie; dziś już się nieobawiam a byś mię w jój objęciu zapomniął, nie owe sprzęty, ni makaty, ni kobierce, ale krzyk sumienia przypomni ci matkę twych dzieci.

Łzy niedały jój domówić, chwiejącym krokiem odeszła do swojej sypialni zostawując hetmana miotanego najsprzeczniejszemi uczuciami. W gruncie serca przywiązany do niej, wyższy nad zwyczajnych ludzi przymiotami duszy, cierpiał niewypowiedzianą mękę na widok żony przywiedzionej do rozpaczey. Jednakże gdy się wszystko w zamku pokładło, hetman nieomieszkał szukać ochłody myślom strapionym przy bijącym łonie Nastusi. Ona już go czekała z natężoną ciekawością, chcąc się dowiedzieć jakie było powitanie męża z małżonką. Hetman opowiadał co zaszło; Nastusia słuchała ale smutna, jakby jój wyrok śmierci czytano.

— Miłościwy mój panie i dobroczyńco! — mówiła na pół z płaczem — źle się to skończy dla mnie. Gdybym mogła była przewidzieć w zaślepieniu miłości, że zakłócę spokojność małżeńską, nigdybyś panie nie był usłyszał mojego wyznania. O, żeby się to dało jeszcze naprawić: okupić własną osobą szczęście, jakiem zepsuła, najdostojniejszej, najlepszej pani!

Hetman jak mógł usiłował ukoić niebogę, zapewniając ją o mocy swój miłości, którą ani mowy złych ludzi, ani narzekania małżonki, ani żadne względy światowe, osłabić niezdolają. Z nadejściem ranku kiedy się od niej oddalił, biedne dziewczę pograżyło się w głębokim smutku. O-tóż w żywych barwach stanęły przed nią błogie dni niewinności; wszystko jój uśmiechało się wtedy, dzień ubiegał na śpiewie i pracy, noc, na snach o aniołkach i kwiatkach, sąsiedzi mówili o niej z uwielbieniem, matki, gdy przechodziła ulicą, pokazywały ją za wzór córkom swoim. Dzisiaj, dzisiaj cóż że kochanką hetmana, że w dostatkach, kiedy łyzy stały się jój powszednim chlebem! Zapłakała też gorzko; sama jak palec, nie miała komu i wylać się z cierpieniem. Stara przyjaciółka, zakurzona, zapomniana w kącie książeczka od nabożeństwa ściągnęła jój uwagę, otworzyła i wpadła na modlitwę o odpuszczeniu grzechów; wzbudziwszy w sobie skruchę z trwogą spostrzegła, iż od czasu bytności hetmańskiej, niedopełniała obowiązków religii. Bez długiego wahania, narzuciwszy na siebie

jedwabną jubkę z futerkiem, szpiesznie biegła do klasztoru OO. Reformatów.

— Boże miłosierdzia! — mówiła przestępując próg kościoła — cokolwiek mi każesz uczynić przez usta twego kapłana, święcie dopełnię, tak dopomóż Panie zbawieniu duszy mojej.

Zdarzyło się iż ksiądz, który ją spowiadał był człek wielce pobożny i surowy równie dla siebie jak dla drugich. Niewiadomo jaką jej nazańczył pokutę, jakich rad udzielił; lecz to łatwo odgadnąć z postępu Nastusi. Po przyjęciu Ciała i Krwi Pańskiej, gdy wychodziła oczyszczona, widać było w jej oczach wyraz mocnego postanowienia, bo je wzniosła ku niebu i rzekła po cichu.

— Wszystko musi mieć koniec, i moja miłość także!

Pani hetmanowa siedziała przy gotowalni otoczona swoim francymerem, kiedy jej oznajmiono, iż w sieniach stoi jakaś dziewczyna z miasta. Dobra ta pani nie lubiąc by na nią czekano, kazała ją natychmiast wprowadzić. Była to Nastusia, weszła, i zaraz padła na kolana.

— Miłościwa pani! — mówiła całując jej ręce — przychodzę się ukorzyć ja niegodną grzesznica, i błagać, abys przebaczyła moje ciężkie winy. Mam nadzieję, że nieodmówisz żałującój, która ten świat porzuca i wstępuje do klasztoru. Wiem, jakom zakłóciła spokojność domową, jakom odkradła serce twego pani małżonka, masz wszelką słuszną pogardzać mną niegodną. Dla tego idę pokutą odkupywać błąd niedoświadczonego serca.

Hetmanowa rozczuliła się skrucłą dziewczyną; podjęła ją i pogładziła po twarzy.

— Dziecko moje! — mówiła — nie kwap się z tak wielkiem postanowieniem. Małoż pokuty i poświęcenia, gdy się wyrzekasz miłości, młodaś jeszcze, nie zrywaj ze światem. Co do mnie, nie tylko, że ci odpuszczam, ale miłuję i uwielbiam; i niczego nie pragnę, jak przyjaźnią moją wynagrodzić ci stratę, którą dobrowolnie dla mnie ponosisz. Szczęście uśmiechnie się jeszcze do ciebie z niejednej strony. Nie wstępuj do klasztoru Nastusiu!

—Nie mogę! uroczystą przysięgę złożyłam na spowiedzi.

—Kapłan cię z niej rozwiąże; postanowienie twoje przywiodłoby do rozpaczki hetmana.

—Nielekaj się miłościwa pani; pan hetman uzna słuszność mego kroku, jemu i mnie ciężko żyć z tym niepokojem w duszy, a ta ofiara wszystkich nas uszczęśliwi.

Daremniemi były namowy i przedstawienia hetmanowej, rozbiły się one o niezachwianą wolę Nastusi. Długo obie płakały nad losem, który zażądał ofiary i wziąć ją musiał, długo toczyła się walka dwóch wspaniałomyślnych kobiet, nareszcie stanęło na tém, że Nastusia miała napisać list do hetmana, donoszący mu, jako jutro przywdziewa sukienkę w klasztorze PP. Benedyktynek. Właśnie pisać zaczęła, gdy oznajmiono przyjście hetmana.

—Lepiej, bym go już nie widziała— zawołała Nastusia— jednakże z łaską nieba, może i tę próbę wytrzymam.

Skoro hetman wszedł do komnaty, Nastusia mówiła doń z natchnieniem religijném.

— Miłościwy panie! Bogu podobało się oświecić mnie, i naprowadzić na lepszą drogę, niż dotąd. Za błędy moje odpokutuję w klasztorze, zyskałam już przebaczenie tej świętej pani, a teraz błagam, wróć do niej, i nie szukaj gdzieindziej szczęścia, kiedy go masz pod własnym dachem, tak blisko siebie. Zły duch kusił nas panie; dzięki niebu, wyzwalam się z jego sideł, abysmy żyć mogli dla zbawienia dusz naszych, wszysy troje szczęśliwie.

— Jeżeli to szczęście twoje zapewnia — odrzekł hetman z trudnością — nie mam nic przeciw temu.

Więcej nie mógł domówić, tak widocznie cierpiał wewnętrzną srogą męczarnię. Nastusia widokiem tym tknięta do żywego omdlała w rękach hetmanowej; było ostatni hołd wypłacony ułomnej naszej naturze, — odtąd z zimną odwagą przechodziła wszystkie koleje, pożegnania, opuszczenia swego dworka, i przyjęcia sukienki. Po roku nowicyatu wyrzekła ślub uroczysty w obec niezmiernego mnóstwa ludu, który się zbieżał oglądać raz jeszcze tę nieporównaną piękność.

W kilka lat potém hetman z powrótem z Turcycyzny, fundował klasztor panien Benedyktynek, uposażył go hojnie, i wyrobił, iż Nastusia została w nim ksienią.

Z małżonką swoją żył najpobożniej. Został z nią kilku jeszcze synów i córek; o którym to potomstwie szeroko rospisał się Niesiecki; synów sadowiąc w senatorskie stołki, a córki wydając za wojewodów i kasztelanów.

O samym zaś hetmanie to jeszcze mam dołożyć: że pokutując za grzechy, czy też tak z pokory chrześcijańskiej, zwykł był co wielki piątek w kapę się przystroiwszy, bosemi nogami, obchodzić Pańskie groby.



Przypadki Karola Chełkowskiego w po- dróży z Tunis do Konstantyny.

Myśl nasza towarzysząc jakiej śmiałej podróży, czy to przez piaski Sahary, czy lody północnego bieguna, czy nakoniec w przedpotopowych puszczech nowego świata, ulega tysiącnym a najrozmaitszym wrażeniom: równo z zabłąkanym podróżnym na widok grożącego niebezpieczeństwa oddech zapiera się, serce nam gwałtownie bije, podniebienie wysycha, gdy on omdlewa z pragnienia i upału, a dreszcz przeszywa na odgłos ryku tygrysa lub czającego się Indyanina; zgoła będąc uczestnikami nieledwie wszystkich mąk jego i trudów, jakże radośnie z nim razem witamy, czy to port spokojny, czy chatę gościnną ucy-

wilizowanego kolonisty. Ten rodzaj zainteresowania czytelnika, to owładnienie jego uczuć, często najprostszém opowiadaniem, głęboko zrozumiane zostało przez tylu a tylu pisarzy bądź romansów, bądź podróży, fikcya szczęśliwie utkana z szczegółów noszących cechę prawdopodobieństwa równie, a może lepiej odpowiada temu celowi, niż czysta prawda. Wielu jest jeszcze, którzy widma swojej wyobraźni podają nam za rzeczywiste niebezpieczeństwa. Przygoda Pawła Ludwika Courier w karczmie kalabryjskiej, może być niejako próbą owych przygód, jakimi są napchanne dzisiejsze podróże, odbywane najczęściej na rozkaz księgarza za stolikiem przy ciepłym kominku. Wszakże co do niniejszej relacyi, rzecz się ma inaczej. Osoba grająca główną rolę jest żyjącą, nie zmyśloną, powieść jej objęła się o uszy piszącego, który nic nie dodał prócz często małych uwag potrzebnych do objaśnienia obyczajów lub zwyczajów afrykańskich; dalej, osoba ta, nie żaden to bywalec światowy, ale młody niedoświadczony chłopiec, podówczas 19letni, wyrwany z cichego domowego życia drobniej-

szej szlachty naszej, znajduje się nagle wśród miejsc, ludzi, wypadków, w których mąż więcej otrząskany z światem, nieraz byłby utracił głowę i odwagę, gdy on, wśród niepodobieństw, z ułożonym planem, mocą tylko silnej woli usiłuje dojść do zamierzonego kresu. Zapewne nie jeden, czytając to krótkie opowiadanie, rzeknie: spodziewałem się czegoś więcej! Czy może dojścia do źródeł Nilu, lub posunięcia się głębiej w środek Afryki niż sam La Caille? Na to odpowiem, że mój podróżny więcej zrobił; bo nie mając żadnych środków, zwiedził najdziksze strony, i doznał przygód, za jakimi młodzieńcza jego fantazyja goniła.

Pominąwszy szczegóły, które do zdarzeń dość zajmujących, lecz niewchodzących w obręb niniejszej rzeczy należą, zaczniemy (używając ciągle jego własnego opowiadania) od chwili, w której się Chetkowski znajdował w Tryjeście.

— „Los mój wielce był opłakany; zawanturowawszy się tak daleko, wstyd mi było wracać do domu, a znowu niepewność na jaką się narażałem, przejmowała nieraz trwogą. Załamując ręce, i ciągle przemyśliwając co tu począć, przypomniam

łem sobie pewnego znajomego, który był niegdyś konsulem amerykańskim, a teraz obywatelém tryestskim; kto wie, rzekłem w duszy, czy mi nieda choć zdrowej rady— i pobiegłem czémprędzej do jego mieszkania. Ów exkonsul wziął do serca moje położenie, kazał mi czekać, i niebawem zapoznał z kupcem tunetańskim, nazwiskiem Ali-Baba, zaręczając, iż to stary jego znajomy i że mi dobrze z nim będzie. Wiedząc tylko tyle, że Tunis po téj samej stronie ziemi co i Europa, zdecydowałem się od razu jechać z muzułmanem, jakoż puściłem się na morze. Przyjęcie, jakiego doznałem zaraz prawie na wstępie w dom mego patrona, nie najlepsze rokowało nadzieje, zamknięto mię howiem natychmiast w osobnej ciupie, jak zwierzę jakie, ogolono czuprynę i wszystkie włosy obyczajem mahometańskim (co zaś do ceremonii, z której tak szczęśliwie udało się wykręcić sławnemu hrabi Bonnewal, podróżny nasz nie czyni wzmianki) moje suknie precz zdjęto, a natomiast dano mi długą koszulę, szerokie spodnie po kolana, trzy kamizole, które kładłem jedne na drugie, na te znów kurtę czerwoną, a

biały bernus na wszystko; do reszty zaś stroju dostałem jeszcze żółte papucie, czapkę czerwoną z długim kutasem, turban do okręcania około czapki, i pas około bioder. Zdało mi się, że po skończeniu téj toalety będę już sobie Turkiem, ale oni wzięli mię uczyć pacierza i obrzędów religijnych, brali do meczetu, kazali bić pokłony, umywać się i odprawiać bajram aramadan. Trwało to dosyć czasu, alem się poduczył, za to wolno mi było chodzić po mieście, które wcale brudne i brzydkie, przysłuchiwać rozmowom w kawiarniach, i nic nie robić założywszy nogi pod siebie. Taki sposób życia zaczął mi coraz bardziej się przykrzyć, przemyślałem o jakimś rzemiośle, a najbardziej wojenném; albowiem z liniową służbą obeznany już cokolwiek, mogłem spodziewać się, że lepiej potrafię, jak prosty Turk. Weiaęgu tego zdarzył mi się wypadek, który widno przez opatrność zesłany, był mi na potem jedynym ratunkiem w najostrzejszych rzeczach. Wiadomo, że Turcy gdy zobaczą jakiego cudzoziemca, zaraz go pytają o leki, myśląc, że doktor, toż było i ze mną: pewien stary kupiec,

od lat wielu cierpiał ból żołądka, ten, gdy mię spotkał, a wiedział kto jestem, uskarżał się, iż teraz cierpi jak nigdy, przyczem zaklinał, bym go ratował: zrazu wymawiam się, lecz widząc, że nieustaje, chciałem zbytęj głowy dać co bądź, i tym końcem narwałem zielska różnego, szczęściem był tam ślaz, ten ugotowawszy na gęsto, kazałem mu wypić, a raczej zjeść, co tak wyborny sprawiło skutek, iż mój Turczyn ogłosił mię za największego doktora. Leczyłem wiele jeszcze osób mniej więcej szczęśliwie, brałem się nawet do puszczenia krwi i stawiania baniek. Na takich zatrudnieniach, a raczej rozmyślaniach zeszło mi prawie dwa lata; znudzony nakoniec bezczynnością, zaciągnąłem się do wojska. Nędza jakiej doznałem w tém ich wojsku, dobrze dała mi się we znaki, ale cóż było robić, ćwiczyłem przynajmniej siły, i hartowałem się w częstych wyprawach na trybuty, gdzieśmy wychodzili na lato wybierać podatki. Przy lichym żołdzie trzech franków na miesiąc, lichszémżywieniu, bośmy ledwo raz na miesiąc fasowali mięso, życie miewałem lepsze wtenczas, gdy ja-

ki zbuntowany trybut kazał nasz bej zniszczyć ogniem i mieczem. W takim przypadku płacono nam za każdego przyprowadzonego konia lub wołu, barany oddawano żołnierzom na strawę, Arabów ścinano, a kobiety zaś przedawano drugim Arabom, jak u nas krowy; młodych zaś ładnych chłopców sam bej zabierał do swego seraju. Owóż w takiej piekielnej służbie przebyłem trzy miesiące, pracując by niewolnik, nie zaś jak u nas artylerzysta, bom musiał dźwigać działa na muły, to znowu składać na ziemię do strzelania, co nieraz krwawy pot wyciskało mi z czoła. Po powrocie do garnizonu do miasta zacząłem rozważać, że trudno mnie uczciwemu człowiekowi wybyć u tak tyrańskiego pana, który dla lada fantazyi może mi zdjąć głowę, i postanowiłem nasamprzód przedrzeć się ku Algierowi. Na tę drogę zaopatrzyłem się w maść na świerzbę, w puszczało i w różne plastry; i tak udając hakim-baszę, czyli doktora, wyszedłem nocą. Trzeciego dnia szczęśliwój mojej ucieczki, gdym sobie odpoczywał pod cieniem kilku drzewek, napadnięty zostałem przez Arabów. Zrazu, dusza

moja siedziała już na ramieniu, bo rozumiałem o nich, iż są żołnierze beja Tunis, lecz po krótkiej rozmowie dowiedziałem się przeciwnie; byli to raczej jego nieprzyjaciele, należący do jednego ze zbuntowanych trybutów. Powiedziawszy im iż jestem doktor, ci wielce się ucieszyli; i zaraz mię wzięli do najbliższego trybutu, gdzie było wiele chorych na świerzbę, ból oczu, wrzody i kolki. Jak mogłem, tak leczyłem moich pacjentów, jednym puszczając krew, innym gotując zioła, a najwięcej sposobem krajowym używając zabobonów, a to w ten sposób, iż pisałem kartki i te obszywszy w skórę kazałem nosić na tém miejscu, gdzie najwięcej dolega. System mój bardzo im się podobał, albowiem arabscy lekarze używają gorszego, to jest palenia żelazem, i tak: niech człowiek lub zwierzę ma kolkę, przykładają rozpalone żelazo, niech kurcz żołądka, żelazo, ból głowy lub zębów, żelazo: dla tego wszyscy Beduini i konie ich, noszą liczne znamiona téj bolesnej operacyi. Za te leki, które mi się dość udawały szczęśliwie, chcieli mi płacić, alem ja zawsze nic nieprzyjmował.

wiedząc, iż nie ma łakomszych ludzi na grosz jak oni, przeto gdybym był co zebrał, niechybnieby zabili. Taka bezinteresowność zrobiła mi wielką wziętość, uważali mię bowiem za człowieka świętego, i puścić od siebie niechcieli. Wszakże mając już zamiar uknuty, postanowiłem ruszać dalej, zwłaszcza że się poznał z okolicą; nie myśląc też długo, zabrałem się i uciekłem, dążąc ku miastu Byskrie, lecz w drodze złapany od wojska Beja Achmeta, zaprowadzony zostałem przed tego pana, który dowiedziawszy się com za jeden, kazał opatrywać chorych, a do tego pełnić służbę przy artyleryi. W tej artyleryi poznałem czterech Francuzów, którzy pewnej nocy uciekli, lecz pojmani, skazani zostali na zaszczucie psami. Wyprowadzono ich w pole i tam puszczone na nich te psy, które większe od naszych chartów, w jednej chwili rozdarły nieszczęśliwych w kawałki. Patrząc żywemi oczyma na to barbarzyństwo, ryzykowałem się uciec. Widzieć takie pastwienie się nad bliźnim, równało się śmierci; ważyłem więc jak to mówią: starosta albo kapucyn. Wybraw-

szy dogodną porę, uszedłem; kierując się trochę ku wschodowi, dostałem się na wielką równinę, gdzie nic a nic nie rosło; było to bowiem słone jezioro, ale wyschłe, i tylko sól podobna do lodu naszego po przymrozku, łamała się pod nogami. Trzy dni i trzy nocy szedłem tą solą. Bez kawałka chleba, bez kropli wody, cierpiałem czyscowe męki. Czwartego dnia, kiedy mi już prawie sił brakło do chodu, ujrzałem nagle zielone pastwisko; któż opisze z jaką radością zbliżałem się do ogromnej trzody bydła pasącego się na niém. Tam znajdę przecież żywą duszę, nie odmówi posiłku, gdyż gościnność u Arabów rzecz święta. Opatrzność jednakże na ciężką wystawiła mnie próbę, albowiem uszedłszy kilkaset kroków, mniemane owe bydło zamieniło się w sarny, które widokiem moim przestraszone, uciekły. Załamałem z rozpaczny ręce i szedłem oną szeroką łaką; tak ciągle idąc przed siebie, postrzegłem nad wieczorem sześciu leżących Arabów. Zbliżam się, widzę tylko trupy nadgniłe do pół zagrzebane w piasku. Taki los, pomyślałem, i mnie tu spotka w tym przeklętym kraju, gdzie

siedzi na karczmie dwóch gospodarzy: głód i pragnienie. Po krótkim wypoczynku przy nieszczęśliwych, zebrałem wyschłe moje kości i szedłem znowu dzień cały. Już słońce miało się ku zachodowi, kiedy naraz odstania się przedemną widok kilkutyśięcy wielbłądów, podniosłem ręce, dziękując Opatrzności, że mię jeszcze zachowała od śmierci, lubom w duszy obawiał się, czy to wszystko znowu nie zniknie z przed oczu, jak owe sarny; gdy wtém, na uspokojenie moje wyskakuje trzech pastuchów na koniach, przypadają z pistoletami do mnie i przykładając do piersi pytają, com za jeden i jakiej religii: omdlewający z trudu i głodu zaledwiem mógł odpowiedzieć. Ci ludzie postrzegłszy mój stan, prowadzą zaraz do wielbłądzicy, która miała źrebię i każą ssać; jakoż ja za jeden cycek, źrebię za drugi; podessawszy tego mleka, które jest zimne, przyszedłem cokolwiek do sił, ale gdy mi dali konia, abym jechał z nimi do bliskiego trybutu, nie mogłem nań wsiąść i wolałem iść piechotą. Przybywszy do nich, dają jeść i pić mleko. Napivszy się znowu, padłem prawie bez duszy na

dywan, taki mocny sen mię zmorzył. Po wypoczynku, który trwał wiele godzin naszło duto Arabów do domu i wypytuja, ktom taki? Odpowiedziałem, że doktor podróżujący z Tunis; jakoż znowu narobiwszy maści, leczyłem sposobem wyżej wymienionym. Przepędziwszy jakiś czas z nimi, oświadczam, iż życzę sobie dostać się do moich braci (Turków) zostających w Maroko, lecz oni się przeciwia, odradzając, iż po drodze mnóstwo rozbójników. Na szczęście, przechodziła wtedy karawana do miasta Busady, leżącego na zachód ku Maroko, o 10 dni od Konstantyny. Zabieram się z karawaną i dostaję się do pomienionego miasta. Tam ogłoszony za sławnego lekarza przyjęty byłem najgościnniej; pewien kupiec, który często chodził z karawaną do Maroko, zbliża się do mnie i prosi, abym został u niego, a łatwo przy sposobności sam mię zawiezie. Propozycyę jego przyjmuję, a w duchu układam sobie, jakby tu dostać się do Konstantyny, będącej teraz w ręku francuzkim. Kuracyę moją zaczynam nieco na większy sposób, mój gospodarz się cieszy, że tak sławnego leka-

rza ma w domu. Chorzy idą jak na miejsce cudowne, a ja za każdą wizytę biorę barana, którego Arabi z taką dawają radością, jakby na ofiarę dla Mahometa. Daninę tę oddawałem memu gospodarzowi zowiącemu się Sydy Ezeies; on to dał mi radę, niebrać pieniędzy i nigdy nie odwiedzać żadnego Araba, dopóki dziesięciu lub piętnastu nie przyjedzie dla mego bezpieczeństwa; w takiej to ja eskorcie wyjeżdżałem sobie by jaki generał ze sztabem. Sydy Ezeies rozkochał się we mnie, jak w bracie. Dla spraw handlowych zmuszony wyjeżdżać z domu, zostawia mnie na gospodarstwie, i przyrzeka za powrotem dać mi jedną z żon swoich, których miał cztery. W niebytności jego mając sobie powierzone klucze, wydawałem kobietom ze spiżarni mąkę, masło, figi, daktyle, a one wciąż mizdrzyły się i pochlebiały, dopytując, którą z nich sobie wybiorę na żonę. Jak mogłem cieszyłem się niebogi, a sam codzień wychodziłem na minaret meczetu, rozpatrując, w którą tu stronę najlepiej będzie uchodzić. Pewnego razu już za powrotem kupca, kiedy jestem na obserwacyi, postrzegam, jak tam

na łeb na szyję z gór spędzają bydło do miasta, i wszędzie wielka trwoga a zamieszanie. Pytam, zeszedłszy na dół o przyczynę, i dowiaduję się, iż to Bej Achmet z Byskry, od którego uciekłem, przybył dla wybierania ; podatku. Zrazu myślałem ratować się ucieczką, ale miasto było już wojskiem otoczone. Gospodarz mój dotąd nic o méj ucieczce nie wiedział, wreszcie myślałem, iż sprzyja swemu bejowi, i bałem się zdrady. Gdy jestem w takiej trwodze, mieszkańcy się godzą dobrowolnie i płacą haracz, a wojsko Achmetowe kwateruje się w mieście. Myśląc, że wszystko dobry koniec wzięło, wychodzę przed sień i w samych drzwiach przed domem spotykam żołnierza z téj samej artyleryi, gdzie i ja służył. Człowiek ten poznaje mię odrazu, rzuca się na mnie, uderza w głowę, zrywa turban, a związawszy ręce w tył, wlecze przed beja. Już mi w myśli stanął ów los okropny czterech Francuzów rozszarpanych psami, już koniec widziałem niechybny, gdy mój gospodarz przestraszony wybiega, i zacznie żołnierza pieniędzmi łagodzić. Szczęściem, że nikt na to nie patrzył.

Żołnierz dał się namówić i tak dobroczyńca mój ocalił mię od niechybnej śmierci. Nie wyszło jednakże dni dziesięć po odejściu wojska, gdy Achmet przysyła szpiega do rządzcy miasta, z rozkazem aby odbył rewizyę i mnie dostał żywcem lub trupem, że zaś ten rządzca był moim i mego kupca przyjacielem, ostrzegł nas bym się przechował. Widząc, jak biedna moja osoba niejednego może złakomić dla podłego zysku, umknąłem w nocy i szedłem na wschód słońca ku Konstantynie.

Drugiego dnia, gdym dochodził do jednej równiny, napadają mię rozbójniki, obdzierają do naga i ledwo darowują życiem. Nie wiedząc, gdzie jestem, przytém nagi, zgłodniały, wlokę się przez puszcze i dopiero trzeciego dnia napotykam pomiędzy górami gurbię czyli chałupkę, przy niej cmentarz i ogród pomarańczowy. Tam zastałem dwóch Arabów, trzy kobiety i kilkoro dzieci, lecz wszyscy byli nadzy, co mi się bardzo podobało, gdyż własna moja nagość mniej mi się wstydną wydawała. Ludzie ci zaraz mię poczęstowali leguminą z jaglanej mąki, którą zo-

wią kuskussu; podjadłszy zaprowadzony zosta-
łem do obory, gdzie było ciele i koza, i tam mia-
łem nocować; że zaś to się działo w porze zi-
mowej, dano mi trochę drzewa; roznieciłem o-
gień, który prędko wygasł i znowu trząsnę się
od zimna; niemając niczem się okryć, wpadłem na
myśl poprosić kozy o tę usługę, jakoż przycią-
gnąwszy ją za rogi położyłem przy sobie i tak
jój długą wełną zabezpieczyłem się jak mogłem.
Nazajutrz podziękowawszy za ten nocleg arabski,
zciągnąłem do wsi nazwiskiem Bołałob. Arabcy
obskakują jak zwykle, pytają, odpowiadam że
doktor, i natychmiast bierze mię ich marabut, u-
biera, i każe zostać u siebie. Marabut ten, któ-
ry także zajmował się leczeniem, miał u siebie
rozmaite zioła z różnych stron Afryki, a nie
wiedział do czego służą, lubo i ja niemędrszy,
przecież nie tracąc fantazyi porobiłem lekarstwa
z nich, powiadając, że to na taką, a to na owa-
ką chorobę, czemu wierzył, jak w koran. Gdy
mi się naprzykrzyło z tym marabutem, rzucam
go, jak tylu innych, i trzymam się ciągle ku
Konstantynie. Na wieczne nieszczęście wpadam

znowu w ręce Arabów, którzy obdzierają mię do naga.

Postrzegłszy w niewielkiej odległości wiele gitanów czyli namiotów, idę za temi Arabami, prosząc aby mi dali czémkolwiek okryć ciało, lecz ci sami wypadają na mnie, dobywszy kandzarów, i już chcą łeb uciąć, gdy inni i kobiety ujmują się za mną, i prowadzą do swego gitanu. Za nadejściem nocy dali mi kawałkiem bernusa owinąć biodra, a wywiodłszy cichaczem, kazali uciekać. Podziękowałem czule za tę pomoc, i puściłem się dalej aż do wsi Folchama, leżącej na granicy ziemi Beja Achmeta i Abdel-Kadera, i tylko o pięć dni drogi odległej od Konstantyny; tam przystojnie okryty znowu leczyłem Beduinów. W ciągu zdarzyło mi się zapoznać z wielką Arabami, którzy z Konstantyny byli tu na robocie, a po onęj ukończeniu mieli wracać do siebie; jednakże ociągali się jeszcze, czekając póki nie przygotuje się transport żywności i różnych towarów wysyłanych na sprzedaż do miasta przez mieszkańców tego trybutu; a to, aby bezpieczniej w wielkiej liczbie mogli się oprzeć napaści. Gdy ta

karawana gotową już była do pochodu, jam oświadczył chęć dostania się z nimi do Milii, wielkiej wsi o dwa dni drogi od Konstantyny, składając, iż tam mieć mogę znaczne dochody z mojej sztuki.

Radzi nieradzi przystali na moją prośbę. Niedługo kiedyśmy weszli pomiędzy ogromne góry i przebywali jedną dolinę, część Arabów co miała dobre muły, puszcza się czwałem, reszta i ja z nimi, jak możemy zdążamy na piechotę, aż tu ze wszech stron sypią się rozbojnicy na koniach w liczbie najmniej trzystu! Jak kto może zmyka przed nimi, ale kogo nie zgonią, ustrzelą. Trzymając się ciągle jednego Araba z Konstantyny, uchodziłem co tchu stało, ale oskoczeni jak drudzy już paść mieliśmy od strzałów, kiedy mój towarzysz za pociągnięciem tasiemki zrzuca swój ubiór i woła; bierz, tylko daruj życiem! zrobiwszy to co on, naraz zostałem nagi, jakbym się na świat narodził. Po tém zdarzeniu usiedliśmy pod drzewem patrząc, co też drudzy poczną, co równego z nami doznali losu; i widzimy, iż wszyscy jak cielęta na zarznięcie idą za Arabami od-

ciągającymi ze zdobyczą w góry. Nie było ratunku, jak zrobić to samo, i zebrać od zwycięzców litości. Niezbyt daleko rozłożyli się oni obozem, dokąd i my nadeszli. Inni z naszej karawany, co mię poprzedzili, rozgłosili sławę moją, zem podružujący doktor. Obstępują mię w koło, pytają, aż w końcu przybywa starzec z ogromną brodą, ten wprost do mnie się zbliża, całuje w głowę i niejako cześć oddaje, pytając co mi zabrali. Odpowiedziałem: Bernus i Chaik. Natychmiast kazał zwrócić, był bowiem wodzem tej hordy. Cała ta zgraja, bojąc się napadu bliższego trybutu, spieszenie ruszyła dalej, a ja nie mogąc zdążyć za nimi, zwróciłem się ku Konstantynie. Po całonocnym chodzie nazajutrz koło południa niedaleko drogi, spotykam pod figowemi drzewy siedzących brodaczy uzbrojonych po uszy; zagabałem śmiało sposobem muzułmańskim; Salem alekum! Salema, odpowiedzieli i roszą siadać, pytając: z kąd i dokąd? Odpowiadam: idę do Milii, a jestem lekarz z Tunis. Przyjmują mię dobrze przez dni kilka, a w końcu mówią, iż zład niedaleko mieszka książę Chadż Ahmet,

do którego Milia należy; do niego dostawszy się, będę miał się dobrze, bo on w przymierzu z Francuzami. W to mi graj! pomyślałem sobie i układałem plany, jakby dostać się do niego. Szczęśliwym trafem niedługo wypada jarmark w jednej wsi w górach leżącej niedaleko od mieszkania księcia; gospodarz mój, który nań się wybierał, pozwala, bym mu towarzyszył. Przybywszy tam, dowiedziałem się nad wszelkie spodziewanie że ów książę Chadź Ahmet znajdował się swoją osobą. Mój Arab wie mnie przed niego, przedstawia i opowiada, z kąd przybywam. Książę snadź wielce był z tego uradowany, bo gospodarza pieniędzmi wynagrodził, mnie kazał dać nowe całkiem ubranie i dobrego konia i sobie towarzyszyć, gdy jeździł po jarmarku. Zdarzył się tu jeszcze wypadek, który mię znowu trwogi nabawił. Ażeby handel odhywał się spokojnie, książę ten przybył tu z wojskiem swoim dla zastłony kupców i kupujących; tym końcem porozsyłał liczne patrole w góry. Po południu, kiedy książę miał już wracać do domu nagle pokazuje się z za góry oddział jazdy około 600 ludzi, wszyscy w bia-

tych bernusach na karych koniach; z po za drugą górą też samo. Mieszkańcy w wielkiej trwodze rozumieli, że to rozbojnicy; Arabi tworzą czworobok, trzymają broń do ataku, a ja przy księciu stoję i myślę, jak to się dla mnie skończy. Ale straż jarmarku, która przeciw nim skoczyła, powraca krzycząc: awija! co znaczy; swoi, i był to w rzeczy samej wracający patrol. Po tej małej trwodze jedziemy do mieszkania księcia, bardzo porządnie zbudowanego, zupełnie na sposób europejski, ino, że warownego by jaki zamek. Życie u niego miałem wyśmienite, żem już zapomniał, kiedym takiego kosztował, brakowało tylko wina, którego religia im zakazuje; natomiast kawa była dobra i lulki huk. Wojsko jego składało się z 6000 głów, samej jazdy, artylerji nie miał, prócz jednego działka, którego nikt nieumiał użyć. Pokazawszy mi takowe, pyta, azali nie umiałbym się z niem obejść? odpowiadam, że owszem. Jakoż polecił zająć się tą robotą, dodawszy podręcznych Arabów. Wkrótkim czasie pokazałem, jak zrobić lawetę, jak osadzić; sam sporządziłem wycior, a zacią-

gnąwszy gotowe działo przy jego zamku, wypaliłem zeń. To zyskało mi jego względy, zaraz robi mnie dowódcą artyleryi, czyli topczybaszą, daje dobrego konia i wszystkie wygody, i prawie bezemnie obejść się niemoże. Tak przebywszy trzy miesiące w téj służbie, pewnego razu, gdy książę wysyłał konie i muły na sprzedaż do Konstantyny, wnoszę doń prozbę, aby mi pozwolił zwiedzić to miasto, książę przystaje, dając mi oraz pełnomocnictwo zajęcia się sprzedażą koni i mułów. Wszystko to wybornie posłużyło na rękę. Jak tylko stanąłem w mieście, a obejrzałem się, że żaden Arab niema na mnie oka, natychmiast pobiegłem do placu i zameldowałem się gubernatorowi francuzkiemu. Ten wysłuchawszy w krótkości mojej relacyi uzalił się mojej nędzy i zatrzymał mię przy swojej kancelaryi jako tłumacza; tym sposobem mogłem się lepiej ćwiczyć w nauce arabskiego języka i w poznaniu obyczajów tego narodu, który tak młodocianą moją fantazją zaprzątnął.

Oto jest w krótkości opowiedziana historia sześćoletniego pobytu Chełkowskiego między

dzikim ludem Afryki. Charakter to niepospolity co umiał być panem wzruszenia; roli renegata pilnie strzedz, aby się nie zdradzić, zwłaszcza że fizyonomia i język, pomawiały go o cudzoziemskie pochodzenie.



PODRÓŻE I PAMIĘTNIKI

Tomasza Kajetana Węgierskiego.

Przypadek, to bóstwo wszelkich wynalazków i odkryć, rzucił w ręce pewnego miłośnika starych autografów wór papierów, kupiony przez Żydów na licytacji w Krakowie, którego smutnym przeznaczeniem było pójść do sklepów korzennych na zawijanie pieprzu. Instynkt amatorski niezawiodł naszego antykwaryusza; odkrył bowiem w steku nic nieznaczących szpargałów wiele listów pisanych ręką znakomitych osób, a przede wszystkim kilkanaście zeszytów podróży, pamiętników i listów w języku francuz-

kim, przygotowanych jakby do druku przez Jana Węgierskiego pośła województwa podlaskiego.

Wiedzieliśmy tak z życiorysu Węgierskiego w klasykach polskich, które wydał Mostowski jak z Bentkowskiego historii literatury polskiej tylko ten szczegół, że Węgierski (Kajetan): „po wielu przykrościach wyjechał z kraju, zwiedził znaczną część Europy, opisał w języku francuzkim podróże swoje we Włoszech i we Francyi południowej, w którym opisanu umiejętność doskonała obcej mowy i częste błyskawice dowcipu jego okazują się; a wkrótce, mało zdrowia szanowawszy umarł w roku 1787 dnia 7 kwietnia, w Marsylii, gdzie w kościele katedralnym jest pochowany.” Tymczasem ten sam przypadek, który towarzyszył odkryciu, sprawił, że z tego worka, część pamiętników i podróży i listów powędrowała już na drogę swego przeznaczenia, do sklepów korzennych. W tém, co pozostało, okazały się niezmierne luki; i tak: listy z podróży po Włoszech mają początek i koniec, brakuje środka, traktującego o pobycie w Rzy-

mie, z pamiętników jego doprowadzonych aż do 5^{go} stycznia 1787 r., a zatem na trzy miesiące przed śmiercią, zostały cztery ostatnie ćwiartki. Za to dowiadujemy się, oczém biografowie nasi niewspomnieli, że zwiedzał Martynikę, St. Domingo i stany Ameryki północnej; świadczą o tém listy w kształcie pamiętnika, opisujące żeglugę do Martyniki (rękopis zupełny), i cztery zeszyty (pierwszego niedostaje), obejmujące amerykańską podróż, a nakoniec kilkanaście listów do znakomitych osób w kraju i za granicą, datowanych z Londynu i Spa, pierwotnie pisanych po angielsku, a na francuzkie wytłómaczonych przez Jana Węgierskiego, który, ile się zdaje, miał zamiar podać do druku cały zbiór téj pisanéj puścizny po zmarłym swoim krewnym.

Nie sądziłem, aby materyały te, jakkolwiek rozerwane i niezupełne, zasługiwały na zapomnienie, lub na los, jaki spotkał utraconą ich część; aczkolwiek ściśle wzięwszy, opisy Włoch i podróży morskich przed 80^{cią} laty, jeśli nie nacechowane osobistemi przygody, nie mogą dziś budzić wielkiego interesu: jednakże da się z nich

wyczerpać wiele ciekawych szczegółów odnoszących się już do osoby autora, już do epoki w której żył, co nie poślednią jest dla nas zdobyczą, zwłaszcza, żeśmy tak bardzo ubodzy w szczegóły biograficzne. Większa część osób, grających w dziejach naszych, lub w zawodzie naukowym i literackim ważniejszą rolę, ledwo w szkieletowych rysach przechowuje się: urodził się wtedy a wtedy, taki lub owaki urząd piastował, miał żonę lub nie miał żony, pisał wiersze, odprawiał poselstwo, i leży pochowany w tym lub owym kościele.

Dzisiaj, kiedy koniecznie ciekawiśmy wie-
dzieć w jakich stosunkach żył autor lub czło-
wiek publiczny, jakie okoliczności wpływały na
czyn jego w polityce, lub na utworzenie jakie-
go wiersza lub dzieła; kiedy nas żywo obchodzi
atmosfera jego, łamanie się z przeciwnościami,
rozkosze tryumfów, smutne koleje upadku; kie-
dy słowem, chcemy zajrzeć w tajemnice ducho-
we, i widzieć go, że tak powiem, w negliżu:
pytam, jak tu zrozumieć, jak poznać fizyogno-
mją i charakter człowieka z takiej suchej nota-

tki? jak np. dowiedzieć się czego z akademickich szumnych a pustych pogrobowych pochwał, jakie miewał *ex officio* na posiedzeniach towarzystwa Przyjaciół Nauk Stanisław Potocki?

Jakkolwiek tedy, cząstka znalezionych rękopisów nie uzupełnia żywota Kajetana Węgierskiego, ale go przecież poznać daje z tej strony, z jakiej dotąd nieznaliśmy go wcale. W ogóle wiedzieliśmy tylko, o ile każdy mógł sądzić z pozostałych po nim wierszy, że miał dużo dowcipu zaprawnego na Wolterowskiej szkole, dużo złośliwości także z tej szkoły, i cynizmu z jakim się zwykle popisywali nasi ówcześni nowatorowie, którym tak wszystko było niesmak w rodzinie, że nawet pocziwe obyczaje i wstyd staropolski wystawiali na pośmiewisko. Kapłani zwierzęcego materyalizmu nie przestawali szerzyć go przykładem i piórem, jakby wychodząc z tej zasady: że chcąc naród na swoje zreformować kopyło, trzeba mu odjąć cnoty domowe, ochrzcić je mianem grubego przesądu i na bezwstydy rozpasać. Węgierski, aczkolwiek bardzo obcięty w swoich utworach, wydanych przez

Mostowskiego, nosi to piętno właściwe ówczesnym modnym dowcipom. Poczujesz za każdym słowem, że duch encyklopedystów całym legionem wstąpił w dwudziestoletniego młodziana. Postawiwszy się na jakimś quasi racjonalnym stanowisku, nie wie już co do czego należy, żadnej tradycji niepojawia, ani chce pojąć; powstając na zepsute obyczaje stolicy, nawet dla słabiej płci niema względu. Z drugiej strony, w jakichże to przedmiotach czerpie natchnienie? Myślałbyś, że w lupanarze osadził swój Helikon! Takie rymy napłodził Pironowskiego bezwstydu, że nawet duch czasu, acz tak osławiony, nie śmiał je drukiem ogłaszać; do dziś też krążą w rękopisach ku wielkiej uciechu starych rozpustników i zbudowaniu ciekawych studentów.

Zawód Węgierskiego jako poety, od razu został zwichniony. Serce, co jeszcze nic nie doświadczyło, co niemięło czasu zetrzeć się ze światem, ani się przeżyć; zamiast uczucia swoje wlewać w to wszystko, co je otacza: czy to w bożką naturę, czy kochankę, czy naród, od razu przeczy, bluźni, wyszydza lub filozofuje;

lub znowu chcąc niby szczepić swoją naukę, wpada w suchy morał, w deklamację i ogólniki. Sądzony jako wierszopis nie wytrzyma porównania z Krasickim, z którym go łączy niejakie powinowactwo; Krasickiemu płynął wiersz szczęśliwy, tryskał dowcip niewymuszony, samorodny; utwory jego zdobiła gładka i piękna polszczyzna, przyprowadzona do form najbardziej może popularnych; a co najważniejsza, w Krasickim przebijała wytrawność męża, co żył doświadczeniem, i ta filozofja praktyczna, ten zdrowy rozsądek i talent spostrzegania, które aczkolwiek nie liczą się za główny przymiot poezyi, odpowiadały ówczesnej potrzebie, nie wchodząc, czy zawsze dobrze lub źle zrozumianej. Węgierski mniej jeszcze z Trembeckim może stać na równi. Sam to w wierszu do niego wyznaje:

— „Jam szukał sławy — ciebie zaś szukała sława.”

Śpiewak Zofjówki, to mistrz w rymowania sztuce, to rzeźbiarz, którego każdy wiersz jest jakby misternej roboty fryzją, choć przyklejoną

na murach świątyni bez bóstwa. Trembecki pełną pierśią żyje jeszcze duchem starożytnych; dźwięki mowy Zygmuntofskich pisarzy nie zamary mu w uchu; gdy u naszego starościca Korytnickiego rozplynęło się to wszystko w pustej gadatliwości francuzkiej; gdy od niego, można twierdzić, wychodzi zawiązek tej szkoły rymotworców, których apoteozą były czasy księstwa Warszawskiego. Owoż, jak widzimy, Węgierki nie zajmuje, ani mógł zajmować tak wysokiego stopnia w plejadzie poetów Stanisławowskich; chociaż dowcip złośliwy musiał go czynić upragnionym gościem na takich czwartkowych obiadach, kiedy dla obudzenia dobrego humoru, a razem strawności, ciskał strzały po strzałach w nieszczęśliwego a nieumiejącego się odcinać autora *Natretów*. I sam Węgierki w późniejszym wieku doświadczeniem życia, dojrzalszą odwagą wiedziony, gdy głowę nauką świata i rzeczy wzbogacił, sądzi pierwotne prace swoje surowo i dość sprawiedliwie, jak to wyczytujemy w liście z Londynu r. 1785, pisany do Rogalińskiego:

„Gniewam się, że wydrukowano tę nędzotę, *Organy*. Kiedym je składał, miałem zaledwo lat 18. Śmiało powiem, że wydawcy nie mało dodać musieli błędów do błędów autora; ale mniejsza o to. Już blisko ośm lat jak wierszy nie piszę: a zatém ty, i twoi przyjaciele, grubo się zawiedziecie, oczekując ode mnie poetycznych utworów.”

W ogóle rozpatrując się w jego wierszach, spostrzegamy nie wytrawny umysł młodzieńczy, który zarwał wyobrażeń przesadzonych, jakimi J. J. Rousseau tak wymównie a tak nie praktycznie świat częstował. Ztądto owe marzenia o uszczęśliwieniu rodu ludzkiego, o ideale, którego szukać mamy w dzikim człowieku, o bezwzględnej równości, o filozoficznej republice; a wszystko pomieszane z jakiemiś odłamkami epikureizmu, z nieświadomością celu w tém i przyszłym życiu, a przeto z rozpaczaniem we wszelką inną szczęśliwość, krom tej, którą się złotem osiąga; nakoniec z szyderczym politowaniem dla cierpiącej cnoty, to znowu wychwalaniem Horacyuszowskiej maxymy: *medium tenere beati*.

Zbrojny takim bigosem wyobrażeń bez podstawy i busoli, ognisty, ambitny, z siłami nieobrachowawszy się, rzucę rękawicę stolicy i jój społeczeństwu, drwiąc z panów, z mnichów, z urzędów, z obyczajów; myślałbyś, że drugi Kato równie surowy i dla siebie, gorąca dusza, zatopiona w swoich ideałach, ale przeciwnie! to młokos, co dopiero *piąty lustr zaczyna*, a już się gniewa, że świata nie uczył (*). Używać, używać! przed 80 laty godło to błyszczało na chorałkach reformatorów, kapłanów materializmu, tak samo jak dzisiaj błyszczy.

Posłuchajmy, jak się też sam odmalował w wierszu do Bielińskiego. Spowiedź ta, to jedy-ny w swoim rodzaju wizerunek wewnętrzny; mało który z autorów zdobył się na tyle szczerości. Rozmiłowany w filozofii swego wieku, prawdziwy roztargniony kochanek, ani postrzegł, w jak niepoczesnym stroju przedstawił się potomości. Otoż i treść spowiedzi:

„Gdyby być panem dobrej wioski (bardzo

(*) Patrz wiersz jego do Bielińskiego: *Myśl moja*, 386, wyd. Mostowskiego.

skromne życzenie), gdyby moi przodkowie byli zbijali grosz do kupy, a mniej dbali o buławy i krzesła (takie marności obywatelskie), byłbym miał pieniądze, zaszczyty i tytuły; ale wziąć zaszczyt i tytuł w puściznie, cóż po tém: za to nikt i szeląga nie da!" A dalej:

„przy licznym majątku,

Nigdybym się nie kwapił do żadnych urzędów,

Co komu po tym kłopotcie? Wreszcie urzędując trudno utrzymać imię nieskażone (dobre imię to nie pieniądze), a potem, że:

Mnie dobre wychowanie i względna natura,

Kazała naśladować ściśle Epikura.

Otóż i tajemnica życia; ale żeby przyzwoicie rolę Epikura utrzymać, potrzeba mieć duży majątek i wszystkie wygody: dla gołego nie pozostaje nic innego, tylko albo sobie kamień do szyi uwiązać, lub naśladować Cynika:

„Który w beczce zamknięty pędząc nudne lata

Dziwem i obrzydzeniem stał się razem świata.”

Tu znowu westchnienie do losu, czemu go nie uczynił panem! Gdyby tylko mógł się pań-

stwa dochrapać, zobaczmy jakiby plan w zawo-
dzie życia nakreślił. Oto:

„Najpierw, tve Paryżu szedłbym widzieć dziwy,
I z źródła różnych zabaw czerpając po trosze,
Chwilebym na nauki dzielił i rozkosze;
Póki by krew gorąca i potrzebne siły,
Takiego mi sposobu życia pozwoliły.
Ale, jakbym się tylko zbliżał do starości.
Gdzie mniej trzeba uciechy, a więcej wolności,
Tamby najpierwsze osiąść było me staranie,
Kędy ojczyzna Russa, Woltera mieszka nie.
Tam, wespół z pracownemi obcując Szwajcary,
Paliłbym tym dwóm mężom niezgastę ofiary;
I od brzegów Genewy rzekłbym sobie z cicha:
Darmo Polak do dawniej szczęśliwości wzdycha.”

Otoż i całe życzenie, cała niejako treść ży-
cia w tych wierszach zawarta! Ileż to nędzy
w tej filozofii XVIII wieku! Używać, póki siły i
zdrowie starczą; a gdy krew oziębnie, palić ka-
dzidła genewskim i fernejskim mędrcom, i lito-
wać się nad rodzinną ziemią, że tam są tak nie-
postępowi ludzie, co mogą wzdychać do ducho-
wej potęgi wiary, która nas czyniła przedmu-
rzem chrześcijaństwa, do prostego obyczaju, do

cnót patryarchalnych, do poświęceń się i gotowości obywatelskiej. Przesiawszy to wszystko na pyłku bezwzględnej negacyi, zważywszy na wagę grubego materyalizmu, cóż zostanie? garść plewy.

I prawda: w ręku tych reformatorów plewy tylko zostały z ojczystego ziarna! Takimi pomysłami harcowała młodzież Węgierskiego. Zuchwały wyobraziciel zbrodni swojego czasu ma tę zaletę, że nie obwija w bawełnę, i świeci całym cynizmem nagości. Inni mniej od niego niezawisli, a raczej co są na drodze pewnych widoków, garną się pod płaszczyk protekcyi, modyfikują się podług dworu, gęstym dymem kadzi-deł osłaniając swoje nędzoty. Węgierski acz szambelan J. K. Mości, rozpuszcza bicz satyry, i smaga nim niekiedy zbyt nieuważnie, z obrazą nie jednej młodości własnej, a zawsze z obrazą dobrego smaku i moralnego uczucia. Dla tego też, jak suchy biograf jego powiada:

„Wyszędłszy ze szkół, wkrótce zbytnią wolnością myślenia i pisania zrobił w stolicy wrześnie; wyznać trzeba, iż niedosyć miał pomiar-

kowania w używaniu tego łatwego, ale mylnego sposobu nabywania sławy, którą na cudzej krzywdzie swawolny dowcip buduje.” Dziwne to zaiste musiało być wówczas wychowanie szkolne, kiedy Węgierski, jak wiemy, pobierał naprzód nauki w konwikcie u Jezuitów na Nowém Mieście, a później u Teatynów w Warszawie. Mury klasztorne nie były zapewne dość grube, kiedy przepuszczały ze światowém zepsuciem tyle wyobrażeń wręcz przeciwnych zasadom edukacyi, zostającej w ręku duchownych; lubo z drugiej strony wiemy i to, że w pewnych epokach, wyobrażenia stają się jak atomy, które pierś młoda mimowolnie wciąga w siebie z powietrzem. Nie posiadamy szczegółów, odnoszących się do wstępu na świat młodego dowcipnisia i wierszopisa; zapewne gładysz, przystojny, światły i cięty podobał się damom, i te go ze salonu do salonu podawały sobie jak piłkę, a stare fircyki słysząc, jak cytuje wolterowskie wiersze i z kiepska po węgiersku jego fraszki przebiera, roznieśli sławę geniuszka po całej Warszawie. Łatwo przypuścić, iż tą drogą dostał się, wsparty ja-

kimś osobliwym protektorem, na dwór królewski, jak to napomknięto w wierszu Bielawskiego; musiał urzędować w kancelaryi królewskiej, bo mu radzi:

„ Przepisuj raczej ustawy i listy,
Kiedy masz i zapłatę, i godność kopiisty.”

Żywość dowcipu, prędkie, śmiałe odpowiedzi, czasem jakie impropta wierszami, które się podobały królowi: wszystkie te zalety, popłatne wówczas, zjednały naszemu kopiście tytuł szambelański.

Wysoka protekcja, dużo zarozumienia o sobie, w które go w prawyły pochwały i adoracje tych, co się jego uszczypliwości lękali, wreszcie i gust ówczesny, sprawiły, że pióro rozpuścił na wiatry, i językowi też niefolgował. Wiersze Bielawskiego, w których tenże odcina się na zaczepki młodzika, napomykają cośkolwiek o nieprzyjemnościach, jakie ztąd go spotkały. Cóż tam jest i o wypędzeniu od szlachetnych stołów, coś i o szarpaniu literackiej sławy autora Doświadczyńskiego, za co omal nie został zhańbiony; a wreszcie i podanie napomyka, nie wiem

azali wiarogodne, że za wiersz: *cztery Elżbiety*, spotkała go naprawdę nieprzyjemna konfuzja. Niewiadomo mi, azali te wszystkie ugryzki za ugryzki, czy też napisanie poematu obrażającego pewne wysoko położone osoby, spowodowało wyjazd jego za granicę, ile się zdaje nie przymuszony żadnym wyższym rozkazem, lecz wynikający z drażliwego położenia, w jakim się przez lekkomyślność postawił.

Słyszac go lamentującego nad niedostatkiem fortuny, a wnosząc po skłonnościach do pańskiej ostentacyi i szumnego życia, przypuścić można, że nie najlepiej musiał być opatrzony w fundusze na podróż; w takim razie jeden pozostawał ratunek, udać się pod skrzydła jakiego możnego pana, co to jeszcze sobie miał za obywatelską zasługę robić młodzieży karierę. Wiersz Trembeckiego, pisany z pożegnaniem do odjeżdżającego, objaśnia nas cokolwiek w tej mierze. Węgierski pojechał za *łukowskie bory*:

„Gdzie ładne dziewczę domu wyrządza honory....

Co to wiernością znańsze wyrówna małżonki....

Ni ja sztuczne przysięgi, ni grodzczy pisarze,
Przez kontrakt z urzędowskim umieścili w parze”....

Wiersz ten zostałby hieroglifem, gdyby go nie wytłómaczyć na prozę. Podług niego Węgierski udał się do Radzyna, za łukowskiemi borami, gdzie Ignacy Potocki starosta urzędowski, później marszałek nadwórny litewski, zrezygnowawszy i z duchownego stanu i kanonii warmińskiej, żył z piękną Francuzką, panią Etouville; z niemi to więc poeta nasz miał do Paryża wyjechać.

Owóz tak, marzenie jego wypowiedziane w wierszu do Bielińskiego, spełniło się. Węgierski podług dat na listach pisanych z Włoch, które odnoszą się do r. 1779, mógł wtenczas mieć nie więcej nad lat 24. Umysł przepadający za nowością, wyobraźnia łaknąca niezwyuczajnych przygód, dowcip całkiem wykształcony na sposób francuzki, pragnęły szerszego, świetniejszego dla siebie pola; co wszystko ponętném czyniło to wygnanie w krainę sztuk pięknych i życia tak rozwolnionego, jakie się wówczas objawiało w Paryżu, przechowującym tradycye regencji

i dworu Ludwika XV. Ta swoboda i lekkość niefrasośliwa, przebija szczególnie w listach pisanych z podróży włoskiej, którą odbywał zwiedziwszy naprzód stolicę Francji. Władając doskonale francuzkim językiem, przyswoił sobie całą powierzchowność i dowcip pisarzy tego narodu, będących najbardziej w modzie; a chcąc przytém powagę uczonego zachować, lubi przytaczać starożytnych autorów, i takie źródła, które dziś nie mają krytycznej wartości, ale o erudycyi zaszczytnie świadczą: w czém widać jeszcze szczątki jezuickiego trybu wychowania. Daleko byłby nas więcej zainteresował, gdyby był pisał co czuł i widział, a nie to, co czytał. Ztąd podróż ta, aczkolwiek; trafnymi niekiedy przeplatana obrazami, niema nawet téj zasługi, co lada *przewodnik podróży*. Gdyby przynajmniej poszukiwania swe zwrócił był do rzeczy polskich, jużby nie małą ściągnął na siebie zasługę; ale on w Padwie, nic nie widział, acz zwiedzał uniwersytet, nic nie znalazł, krom jakiegoś pana A.... wiolonczelistę, wielkiego gadułę, brokantera w Wenecji, a nadającego sobie szumny tytuł ajenta polskiego.

Ażeby dać wyobrażenie o jego stylu, przytaczam początek pierwszego listu pisanego z Weroni pod dniem 13^{go} listopada 1779 roku.

„Niegodziwy czas towarzyszący mi od Spa aż dotąd, i szybkość jazdy, nie dozwoliły mi korzystać z przyjemności, jakie mogłem być zebrać na téj drodze. Wyjechałem ze Spa żałując towarzystwa, które tam pożegnałem, pieniędzy które przegrałem, i czasu strawionego bez żadnej korzyści. Dwie pierwsze straty powetować można, lecz ostatniej niczém nie powetuję. W półtoréj doby stanąłem w Akwisgranie we Frankfórcie nad Menem. Ani trzój królowie w Kolonii, ani szynki mogunckie, nie zdołały zatrzymać mnie dłużej jak trzeba było do przeprzégu koni. Jednakże dla nabożnisia bardzo ciekawém miastem byłaby Kolonja. Oprócz trzech królów pochowanych tamże, pogrzebiono także i jedenaście tysięcy panien. Tylu świętych obojéj płci pogrzebionych, i tysiące innych cudownych rupieci, przyczyniły się, że Kolonja została miastem świętém i niejako Rzymem niemieckim... Aniby nikt nie wpadł na myśl, że Moguncja da się w czém porównać

z Polską. A tymczasem szczury, podobnie jak u nas, zjadły tam księcia, a do tego biskupa. Hattona ten sam los spotkał co Popiela. Śmierć ostatniego! Sarmaci uświęcili przynajmniej poematem prześlicznym, kiedy tutaj w tej stolicy szynek, za ledwie wiedzą o smutnym końcu biskupa. Trithemus w swoich kronikach i Kamerarius w Medytacjach, szeroko się rozpisali o bohaterских czynach szczurzego rodu.”

W podobnym tonie pisane są wszystkie listy z Werony, Wicency, Padwy, Wenecyi i Rzymu. Czasami przeplata je powiastką jaką, opisem publicznej ceremonii, obiadu, balu, sądem krytycznym o jakim autorze, jak to uczynił z powodu sonetów Petrarki. Zdanie jego, jak na ów czas warte uwagi:

„Przypominam sobie jakieś mi recytowała kilka jego (Petrarki) sonetów, łając mię, że mi je nie znalazł tak zachwycającemi, jak Labè M. . . . w mówić w nas usiłował. Nie masz bowiem nic łatwiejszego jak dowieść ludziom nieuprzedzonym, iż obok mnóstwa piękności znajdujących się w jego utworach, jest co niemiara tak nazwa-

nych *Concetti*, stek myśli wyalembikowanych, wymuszonych, i to, co Boalo nazywa du Galimathias double. Lecz inaczej być nie może, kiedy kto pisze 317 sonetów i 50 pieśni w jednym i tym samym przedmiocie. Choćby kto miał dziesięć razy więcej geniuszu niż Petrarca, musiałby popaść w podobne płaskości... Przeczytałem uważnie wszystkie sonety pana Franciszka, i nie mogłem zrozumieć, azali był szczęśliwy lub nieszczęśliwy w miłości. Prawda jest, że często się żali, ale za to często oddaje się uroczym nadziejom, i prawie powiada, że jest kochanym. Najpodobniej z wszystkiego, że nadobna Laura więcej była z nim kokietką, niż tkliwą kochanką."

To zdanie Węgierskiego, li oparte na zdrowym rozsądku, uderzyło mię tém mocniej, że dzisiejsi badacze poezyi Danta, Petrarki i Boccacjusza, dostrzegli wiele symboliki i tajemniczości w ich utworach. Owe Beatryxy, Laury, Fiametty niekoniecznie mają znaczenie i przymioty zwyczajnych kochanek; uważać je raczej trzeba jako pewne umówione godła. Nie dziw więc, dla czego dzieje miłostek Petrarki przed-

stawiały mu się tak zawile; śledząc historyi ser-
ca, natrafił na polityczny zamęt.

W ostatnim liście, który acz bez początku
pokazuje, że pisany z Rzymu, napomyka, iż ma
zamiar udać się do Wenecyi, aby widzieć zaślubi-
ny Doży z morzem. Z powrotem jednakże przy-
rzeka opisać Rzym szczegółowiej. Z rękopisu
wnieśćby można, że więcej listów nie pisał, bo
zaraz następują przypiski i objaśnienia. Z pozo-
stałych rękopisów nie dowiadujemy się nic, co
robił, gdzie przebywał od czasu włoskiej podró-
ży, czyli od 1779 do 1783 r. w którym przed-
sięwziął zwiedzić nowy świat. Zdaje się, że
prędko skończywszy z Włochami, przepędził te
lata w Paryżu, już w sposób, w jaki zwykle prze-
pędzali czas nasi wojażerowie w tej stolicy, to
jest na grze i miłostkach, już na kształceniu się
mystowem, do którego Węgierski miał i spo-
sób i usposobienie niepospolite. Rzecz pewna,
że ruch sprawiony we Francyi z powodu wojny
i niepodległość w Stanach Zjednoczonych, i je-
go porwał. Wiemy, jak Francya przez antago-
nizm ku Anglii, dzielnie poparła kolonie ame-

rykańskie, jak filozofowie klaskali patrząc na urzeczywistnienie swoich teorii. Węgierski sympatyzując i z Francją i z filozofami, a przytém syn rozpadającego się narodu, niewątpliwie uderzony został wielkością scen i charakterów. Taki Washington, Jefferson, Franklin, zasługiwali aby ich bliżej poznać; również i instytucje, zapewniające tak szeroką wolność i niezawisłość kolonjom, aby je zbadać na miejscu.

Że ta myśl przewodniczyła mu w przedsięwzięciu téj żeglugi, świadczy ustęp jeden z dziennika pisanego w Ameryce. Pewnego razu z okien domu gościnnego widząc smutną sosnę, a pod nią mizerny grobowiec Sir Francis Clarke, adjutanta generała Bourgogne, który ranny śmiertelnie pod Stillwater i wzięty w niewolę, tu oddał ducha, taki robi zwrot myśli do siebie:

„Jakiż to smutny los umierać w obcej stronie! Niemogę się wstrzymać od wzruszenia i nad sobą samym nie zadumać. Jeżeli zdrowie moje nie wytrzyma trudów podróży i wpływów zmiennego klimatu, umrę, nim jeszcze pożytecznym się stanę memu krajowi, nim zdołam *ulożyć*

w dzieło materiały, zbierane z tak ciężkim móżdżem."

Podróż do Martyniki pisana jest w listach do jakiejś Julii w paryżu. Szczegóły zawarte w niej ubogie i mało zajmujące. Za to co niemiara wrażeń i strzelistych uniesień do opuszczonej kochanki. Węgierski daje raczej obraz wewnętrznych uczuć, spowiedzi miłosnych, obaw o utratę ubóstwianego przedmiotu (na którego stateczność zdaje się niewiele liczył), niż swoich przygód, lub ścisłych postrzeżeń. Jest to ustęp całkiem romansowy z życia poety. Widać, że oderwanie się od Julii, kosztowało go wiele; ale darmo! świątynia sławy wabiła go... „Ty Juljo, wyraża się w jednym liście, jesteś niezbędną do upięknienia, do ugruntowania téj budowy... Niema bowiem istoty, któraby mogła własne szczęście czerpać z siebie samej.” A dalej:

„Miłość moja wyrównywa méj niecierpliwości, i nigdy nie martwię się bardziej, jak gdy pomyślę, jaki czas i jaka przestrzeń nas dzieli; za to w obec nagrody, która mnie czeka, czémże jest długość chwil, czém cierpienia moje?”

Możnaby twierdzić, że prawdziwe przywiązanie ciągnęło go do tej osoby; nie mogłem się jednak nigdzie dowiedzieć, jak się ten romans skończył: czy Julją za powrotem znalazł wierną, czy już w objęciach jakiego kawalera de Narbonne, do którego smagłej twarzy musiała mieć niejaki pociąg, kiedy z tego powodu żartuje z niej, pisząc za przybyciem do portu św. Piotra w Martynice.

„Widzę do koła same czarne i żółte twarze; twoja skłonność do podobnej cery miałaby tu piękne pole, a wtenczas płeć pana de Narbonne wydałaby się twym oczóm białą jak alabaster.”

Najpewniej, że intryga ta skończyła się jak tyle innych: *les absents ont tort*, powiada przysłowie; wreszcie dla obu stron próba zdawała się może za długą. Wiemy przytém, że z obyczajem ówczesnym niebardzo się zgadzał wyegzaltowany sentyment: lada kaprys wpływał na zmianę lekkich uczuć. Jeden list, zaplątany przypadkiem, rzuca światło na naturę ówczesnych miłostek. Są to wyrzuty jakiejś Alexandryny,

która piérwój panowała w jego sercu, nim to miejsce Julja zajęła. Istota tkliwa i silnie kochająca pyta go: „Czyliż się nigdy nie dowiem, jakie uczucie kierowało tobą, gdyś mię odepchnął? Czyliż ta nowa kochanka żądała od ciebie téj ofiary? Czyliż dla ujęcia jój musiałeś poświęcić tkliwą istotę, powierzając ci się bez obrony? Czyliż to poświęcenie się zapłaciła ci choćby dwakroć silniejszą miłością? Ale nie! onaby nie kazała ci być tak nieludzkim!!... Mnie ją wystawiono jako osobę czułą, słodką, uczciwą *w swym stanie*.... Kto wie, możeby więcej nad moim losem okazała litości, niż ty pokazujesz!”... Mimo téj niestałości ze strony kochanka, nie przestaje ubóstwiać go; wyrazy te malują stan jój serca: „Uczyniłeś mię najnieszczęśliwszą z istot na ziemi; nic mię od ciebie oderwać nie może. Jakaż to męka kochać pomimo woli! Kochać i wątpić, że kiedykolwiek byłam kochaną, i że za moje przywiązanie, czeka mię tylko wzgarda... Biedne to serce nie może skruszyć bożyszczka, które stworzyło samo, a które miłość odziała takim urokiem.” Tutaj następuje historia całego

romansu; pokazuje ona, że poeta nasz jedném wejrzeniem umiał podbijać serca kobiet. Ciekawy to ustęp; posłuchajmy go: „W przeszłym roku, na tym balu, jedyném źródle wszystkich moich nieszczęść, na balu, gdzie nigdy już noga moja nie postanie, rozmawiałam z baronem de Staël. Zbliżyłeś się do niego. Spójrzawszy na ciebie, niemogłam już oczu moich oderwać, i każdą razą coś przechodził, choć byłam innym jakim przedmiotem zajęta, mimowolnie wzrok mój kierował się ku tobie. W kilka dni potem znajdowałam się na wieczery u barona; mówił ze mną o balu dawany przez gwardję (gardes du corps), gdzie pewna kobieta, którą mniemał że ja byłam, bardzo go zaintrygowała; nieznajoma ta miała wiele z tobą rozmawiać. Gdy twoje nazwisko wymienił, zmieształam się tak okropnie, że baron nabrał prawie pewności w swoim domyśle. Na drugi bal znowu poszłam. Oczy moje szukały cię wszędzie. Sama nie wiedziałam, dla czego cię szukam; a jednakże upatrywałam, dopokąd cię nie znalazłam. Chciałam zawiązać rozmowę, a nie wiedziałam co powiedzieć... zapytałam tyl-

ko, czy nie wiesz gdzie się baron obraca? Zajął maskami, przyjął mnie dość zimno. Ubolewało mnie to, lecz nie przestałam wypytywać o ciebie; wszyscy mówili z pochwałą. Jednego słowa nie uroniłam z tych pochwał, i nie widząc cię potem przez cały rok, z wspomnień tworzyłam sobie twój obraz. Nakoniec na pierwszym tegorocznym balu, kiedy cię znowu ujrzałam, serce tak mi gwałtownie zabiło, że bojąc się bym nie zemdlała, nie mając na czem usiąść, oparłam się o łożę. Tyś kilka razy przechodził koło mnie; każdą razą chciałam do ciebie zagadać, a nie mogłam się zdobyć na słowo. Odważyłam się jednakże; tyś zaledwo mi odpowiedzieć raczył. Chciałam już bal opuścić... i toby mnie ocalało. Panie de Gou... i de Mon... które mi towarzyszyły, zagadały się ze mną; hrabia de... miał nas odprowadzić. Tymczasem ty nadszedłeś. Nie mogłam się wstrzymać i nie wymówić twego nazwiska, zatrzymałeś się i słuchałeś mnie po raz pierwszy. A kiedy te panie oddaliły się szukając kogoś, drżałam i radowałam się na tę myśl, że z tobą zostanę sam na sam. Jednakże

nie długoś bawił. Odtąd obraz twój nazawsze został w méj głębi.”

Nieskończony to labirynt zamaskowanych intryg, prześliczna historia serca kobiety, rzucającej się na ślepo w objęcia kochanego przedmiotu, którego jednakże przykuć do siebie nie mogła, pomimo tylu delikatnych uczuć, pomimo poświęcenia mu dobrego imienia i cnoty. Julja żywa, dowcipna, kokietka, lubiąca lecieć z balu na operę, z przechadzki na przechadzkę, szatać się po wodach w towarzystwie dawnych adoratorów, bardziej mu zapewne przypadła do gustu, niż ta czuła istota, co widząc egzystencją swą złamaną, postanawia wstąpić do klasztoru... Ale też Julja ta nie mało roznieca obaw i zazdrości w sercu kochanka, bijącego się z burzami oceanu. Posłuchajmy kilka ustępów z listów, jakie, do niej pisał z st. Domingo:

„Widzę z przerażeniem i rozpaczą, że w chwili kiedy to piszę, w sercu twojem miejsce moje zastygło. Jakżeby miłość twoja zdołała wytrzymać siedmio-miesięczną próbę? jakżeby oparła się szatańskim podszeptom osób, które cię ota-

czają, a mnie nienawidzą?” Dalej znowu łagodząc swoje podejrzenia, przysięga jej, że ona jest celem jego życia: „Jeżeli potrzeba, powiedz, żeś połączona ze mną węzłem małżeńskim: ja się cię nie wyprę. Wszystko uczynię, aby twe szczęście zapewnić; bo moje od niego zawisło. Znasz przesady twego narodu: w tym stanie nie możesz pozostać. Przy mnie będziesz na całe życie ubóstwianą i szanowaną od moich krewnych. Jeżeliś tedy padła w objęcia uwodziciela, zrób krok heroiczny, i zerwij ten związek hańbiący cię.”

Trudno jest połapać wszystkie pasma tych romansowych komeraży, i złożyć z nich jakąś całość. Kto były te kobiety? napewno niełatwo odgadnąć. Alexandryna, acz taka uczuciowa, ciągle tylko rozpowiada o balach maskowych, o kolacyjkach z baronem de Staël, o śniadaniach to w klasztorze, to w kolizeum, Julja ma być *uczciwą w swym stanie*, tak o niej rywalka wyrokuje: ale lubi kręcić się po świecie w tłumie wiskontów i markizów. Miałyżbyto być kapłanki Talii lub Melpomeny, czy też coś z rodzaju Ni-

nony? Koniec końców, cała podróż do Martyniki i Hajti jest raczej romansem w listach, niż podróżą. Z wielu nieznaczących postrzeżeń i uwag, to jedno mię uderzyło, że stan Negrów na Martynice, daleko znośniejszym uważa, nizeli stan chłopów w Węgrzech i Polsce. Powierzchnowość sądu nie do darowania! Zapomniał nasz encyklopedysta, że chłop mógł u nas zostać szlachcicem, że miał sobie stan duchowny otwarty, że żadne potępienie nie ciąży na jego rasie; gdy przeciwnie nie tylko Negr, ale Mulat w czwartym pokoleniu, wyłączony jest do dziś z towarzystwa białych.... W ogóle nasz Saint-Preux nie mając czém zapełnić nudnej żeglugi, w ciągu której trapiła go niemiłosiernie morska choroba, pisał epopeję serca, i to mu zapewne przynosiło ulgę i zajęcie. Przeciwnie, listy ze Stanów Zjednoczonych adresowane do jakiegoś hrabiego, noszą wręcz odmienną cechę. Widać, że autor stanął u celu swych poszukiwań; społeczeństwo, historia, charaktery osób, miejscowości, zajęły go potężnie. O tém, co go więcej uderza, sądzi rozumnie; rzucony między ludzi

praktycznych, praktyczniej zaraz rozumuje: rozmarzenie kochanka zostawił na Antylach.

Nieodżałowana szkoda, że w dzienniku podróży amerykańskiej, brakuje pierwszego zeszytu, w którym zapewne powiedziałyby nam, do kogo listy te pisał, i niechybnie musiałyby zrobić wzmiankę o pobycie Kościuszki i o zgonie Puławskiego; zaraz bowiem na początku drugiego zeszytu opisując szance Clintona i Montgomery, napomyka o Grabowskim w tych wyrazach:

„Generał Clinton pokazując mu te szance, które mniemał, że mogą łatwo być wzięte, pytał go w tej mierze o zdanie. Grabowski miał mu odpowiedzieć, gdy w tém uczuł się przeszytym kulą i zaraz ducha wyzionął. Prędko przebiegliśmy szance Clintona i Montgomery, zdobyte przez Anglików po morderczej obronie. Młody Grabowski zginął przy tym ostatnim szancu; był on kapitanem w służbie angielskiej, zasłużywszy na przyjaźń i poważanie swoich generałów.”

Pokazuje się, że i w wojnie Amerykańskiej rodacy nasi i na jednej i na drugiej walczyli stronie. Ta część jego zamorskiej wycieczki inte-

resuje trafnym i niepretensjonalnym opowiadaniem; chociaż opisy miejsc zwiedzanych przez niego, daleko dziś mamy dokładniejsze, jednakże potrafił zachować im rysy i charakter ówczesny. Tam, kędy teraz przebiegają koleje żelazne, lub bite gościńce, kędy po szerokich strumieniach z szumem statek parowy przepływa, kędy kanał przerzyna błota i łączy jeziora; koń jego zapadał po biodra, obłęd wśród przedpotopowych borów sprowadzał na bezdroże, a krucha łódź przemykała się gnana siłą wiosłarzy. Nudna i męczolna musiała być podróż po tych pustyniach nowego świata, do których dało się wtedy zastosować to, co lord Baltimore wyrzekł o naszym kraju: że w Polsce zawsze w bród musisz jechać obok mostu, a przez most, gdzie wody niema; a co jeszcze dobitniej Krasicki scharakteryzował:

Nocleg, popas niewygodny,
Przewodniki bałamutne,
Droga ciemna, lasy smutne.

Za to gościnność wszędy zastawał najpatryarchalniejszą: każdy dom rad był, jeżeli mógł

podróżnego jak najdłużej zatrzymać i ugościć; lubo z drugiey strony po domach zajezdnych tacy kapitanowie, majorowie, półkownicy, karczmarze zdzierali niemiłosiernie, z niemałym podziwieniem i zgrozą Polaka, przywykłego do tych tytułów przywiązywać pewną rycerską wspaniałość, niezgodną z kupiectwem. Podróż ta wydana na dobre, mogła sprawić niepoślednie wrażenie: autor bowiem za świeża zwiedzca miejsca wielu bitew, kędy jeszcze po okopconych i kulami pooranych sosnach, staniały się kruki i inne drapieżne ptastwo, ogryzając kości poległych, a tu i ówdzie znać było ślady niedawnych spustoszeń i pożogi, lubo przemysł i czynność amerykańska, śpiesznie usiłowały, zacierać te krwawe pomniki domowój wojny.

Uważałem, że gdy przytacza sceny wojenne, malując jakiś wielki czyn rycerski, lub heroizm poświęcenia się, szuka ich raczej w obozie angielskim, niż amerykańskim: zimny i sztywny purytanizm nieobudza w nim wielkiej sympaty. Dla instytucyi republikańskich i dobrego bytu Stanów Zjednoczonych ma głębokie posza-

nowanie; ale Polak, syn rycerskiego narodu, nie może upodobać sobie w płaskościach i prozie demokratycznego społeczeństwa, które jeszcze samo nie wie, gdzie dąży, i gdzie zajdzie. Dla tego też robi długi wyciąg z opisu krwawej rozprawy pod Freemans-Tarm podług relacji samego generała Sir Bourgogne, w którym napotykaśmy przecudny i pełen starożytnej wielkości i powagi ustęp o pięknej Henryecie Achland, żonie majora tegoż nazwiska, przedzierającej się wśród największych niebezpieczeństw wojennych do obozu amerykańskiego generała Gates, aby opatrywać śmiertelnie ranionego małżonka. „Któż jest, coby nie zazdrościł losu majora Achland, woła z uniesieniem Węgierski, z taką kobietą jak Milady, nie można być nieszczęśliwym!”

W inném miejscu swego korespondencyjnego dziennika, mówiąc o kanclerzu Livingstone, którego cnoty obywatelskie w uroczém świetle maluje, wspomina o rysach charakterystycznych osób grających główną rolę w rewolucyi amerykańskiej, które zebrał podług opowiadań Livingstonea i panów J...n, i D...n; początkowe

te litery oznaczać mogą: Jeffersona i Dickinso-
na. Żałować potrzeba, że te charaktery nie znaj-
dują się w pismach jego, które mamy pod ręką.
W ogóle instytucje społeczne zdawały się zajmo-
wać go przed wszystkiém inném. Widząc po-
myślność i przyszłość Stanów Zjednoczonych wy-
obrażał sobie zapewne, że dość przesadzić na
naszą ziemię ich prawa, organizacją rządu, oby-
czaje, a błogie te owoce wznijdą i dla nas. Jest
to obłąd, któremu hołdowało i hołduje tylu, co
radzi gonią za radykalną abstrakcją. Jednakże
przemawia tu na korzyść Węgierskiego jego zdro-
wy rozsądek i krytycyzm. Chciwy nauki, powia-
da, że przeglądał wielką księgę, gdzie są ze-
brane ustawy krajowe.

„Przekonałem się, że jak wszędzie tak i tu
powstały z widoków bardzo ciasnych, i że się
zużywają prawie co dwa lata. Geniusz człowie-
ka, który rozszerzył granicę tylu nauk oder-
wanych za obręb właściwy niedoskonałości na-
tury naszej, zbyt mały uczynił postęp w naukach
obchodzących go najbliżej. Ta odrobina wiado-
mości jaką mamy o kształcie rządu, i o praw-

dziwych zasadach handlu, nie wystarcza do utworzenia rozumnego systematu, a ciągłe usterki, prawodawców i polityków, świadczą tylko o ich niewiedomości. Niezliczone mnóstwo tomów napisanych w tym przedmiocie, okazały tylko próżność autorską, najzawołaliśmy zaś ludzie stanu, przekonywają nas bardziej o swych niedostatkach, niż o rozległości swych planów i pewności zasad. Wierząc mi hrabio, najdoświadczęsi w rzeczy tej, są jeszcze żakami, ponieważ, jeżeli mi wolno użyć przysłowia Sancha: mniej postępuje ten, co cwałuje po złej drodze, niż ów, co kroczy po dobrej; a o ile wiem nikt jeszcze nie trafił na drogę właściwą.”

Podróżny nasz w wycieczkach swych na północ do Albana i granic Kanady, na południe do Charlestown i Konnekticut, zbiera ciekawe spostrzeżenia co do sposobu życia mieszkańców, ich zwyczajów i obyczajów, nie pomijając tu i ówdzie wspaniałej natury, którą maluje w pięknych i żywych opisach, jak to mianowicie zrobił z wodospadem na rzece Mohawek, z jeziorem Gorge i Champlain, po których puszczał się łodzią przy

efektowém świetle księżycá. Wynurzając zdziwienie swoje, że po wojnie świeżo skończonój wszystko wróciło do porządku i spokoju, że po drogach śród puszczy nie spotkał ani włóczących się band, że żadna nie zdarzyła mu się przyгода; przytacza tylko jedną, która bardziej komiczno-humorystyczne nosi piętno, niż romansowo-tragiczne: „W przejeździe z Albany do Bostonu, mówimy jego własnymi słowy, drogi były tak niegodziwe żeśmy nie mogli ujechać przed południem tylko ośm mil (angielskich). Ludzi naszych wysławszy przodem, zatrzymaliśmy się w gospodzie Moor. Mój koń zgubił podkowę, nie mogłem więc zdążyć za moim towarzyszem; on zaś zniecierpliwił się i zostawił mię samego. Słońce już zaszło, gdym go stracił z oczu, a niebawem straciłem i drogę. Od godziny zdałem się być na wolę mego konia; lecz w końcu dojrzałem ścieżkę i puściłem się po nią, pewny, że mię gdzieś zaprowadzi. Zniecierpliwiony i przemarzły zacząłem kłusować, i po jakich trzech kwadransach, ujrzałem światółko. Nie długo i dom się pokazał, słysząc zeń rozlegający się hałas i

śmiechy, sądziłem, że to karczma, w której wesole grono zabawia się. Lecz jakież było moje zdziwienie, gdy wszedłszy do izby, ujrzałem człowieka rozciągniętego na ziemi w okropnych konwulsjach, otoczonego siedmią lub ośmią osobami skaczącymi, płaczącymi i wyprawiającymi najdziwaczniejsze gesta. Rozumiałem, iż ów konający był ojcem rodziny, i że dzieci jego potraciły głowę z wielkiej rozpacz. Gdy nikt z obecnych nie zważał na moje przybycie, zbliżyłem się do kominka, gdzie tęgi ogień się palił, czekając cierpliwie końca tego osobliwego obrzędu. Blisko ćwierć godziny nie zmieniał się stan rzeczy; aż nagle ów konający człowiek zerwał się na równe nogi, dał trzy lub cztery szalone skoki, i ryknął tak przeraźliwie, że włos dębem mi stanął na głowie. Aż tu znowu jakaś kobieta zaczyna się kręcić w kółko z takim zamachem, że najskrytsze części ciała jej przestały być tajemnicą.” Długo jeszcze odgrywały się podobne komedje, i nasz podróżny pomimo zapytań gdzie jest i kto są owi opętani, zaledwo w końcu usłyszał od owjej kręcącej się kobiety te wyrazy: „Cudzo-

ziemcze! wiemy od wczoraj, żeś tu miał przybyć. Cieszy nas to. Brzydź się grzechem, kochaj Boga, a pomożemy ci do twego odrodzenia się.”— „Dziękuję unizenie, odrzekł Węgierski, ale ten świat tak mnie nie bawi, że wcale nie mam ochoty narodzić się powtórnie.” Na to owa niewiasta: „Jestem matką Izraela; o mnie wzmiankuje 12ty rozdział Apokalipsy: mam xiężyc pod nogami, a koronę z dwunastu gwiazd na czole” . . . Po długiiej rozmowie nedorzecznej ze strony matki Izraela, a dowcipnej ze strony podróżnego, znalazł nakoniec przewodnika, i rad wielce wyrwał się z domu tych fanatyków. Wrzeczy samėj dowiedział się, że to była sekta tak zwanych *Shaking Quakers*, która wtenczas liczyła już około 300 wyznawców.

Przelotne swoje obrazy przeplata bardzo trafnymi postrzeżeniami. Między innemi charakterystycznym jest co powiada o umysłowém zajęciu się Amerykanów. Rozmowa toczy się tylko w dwóch przedmiotach: o religii i o polityce. Czytają tylko bibliją lub gazety. Kobiety równie biegłe w tym rzemiośle jak mężczyźni, gotowe

wyzwać do walki najbieglejszego teologa i najwyrafinowanego polityka. Ztąd też najgłupsze nowiny krążą lotem błyskawicy, a gazety, jak echo powtarzają te wszystkie brednie.

Ostatnia data dziennika jest 20 listopada 1783 z Filadelfii, i tak pod nią pisze:

„Otoż kończę moją podróż. Wsiadam na okręt i płynę do Europy, zrobiwszy wycieczkę aż do Portsmouth i Castle-Bay. Mam zamiar wylądować w Cork, przebieść Irlandją, Szkocją i Anglją. Umizgałem się do niewdzięcznej córki, teraz odwiedzę matkę zapłakaną.” Opis téj przeżądki w porze burzliwej zawiera się w niecałym liście, pisanym z Cork do hrabiny Boufflers do Paryża, pod 7. lutego 1784 r.

Z oddziału listów, będących niejako dopełnieniem podróży jego i wyjaśnieniem stosunków z najpiérwszemi osobami, zostało ledwo kilka; strata téj części rękopisów jest najdotkliwszą, wszystkie bowiem wnosząc z pozostałych, musiały być arcyciekawe i ważne. Uważam za pożyteczne porobić z nich wyjątki.

W liście do pana Dickinson, prezydenta ra-

dy pensylwańskiej, tak się w jedném miejscu wyraża: „Będę się miał za szczęśliwego, jeżeli Waszmość pozwoli, aby obywatel rzeczypospolitej *umierającej* pisywał do ciebie, ujmując się za rzeczpospolitą *nowonarodzoną*. Ztém wszystkiém korzyść téj korespondencji będzie na mojej stronie; bo jeżeli mówić będziesz o cnotach i postępie nowego świata, mnie nic nie pozostanie, jak rozpowiadać o upadku i występkach staréj Europy.”

Niemniej ciekawy jest list do generała Waschingtona, *Rockyhille Prince Town*, 18 października:

„Tuszę sobie, że czas pozwoli W. Panu odwiedzić mię dnia jutrzejszego; pochlebiam sobie oglądać go raz jeszcze.

„Zrobiłem kilka tysięcy mil, aby widzieć i poznać założycieli rzeczypospolitej amerykańskiej; nie w celu, aby szukać chluby z widzenia ich, lecz aby nauczyć się od nich, jakim sposobem można zachować ludowi najświętsze jego prawa. Jestem synem narodu, dziś w upadku i bezrządzie. Większej nie pragnąłbym pociechy,

jak rozmawiając z panem, wyobrażać sobie, że kiedyś; wstępując w jego ślady, stanę się krajowi użytecznym!”

Nierównie dobitniej wyraża myśl Węgierskiego korespondencyja druga do p. Dickinson w Bostonie.

Pełno tam głębokich postrzeżeń i obszernego ogarnięcia biegu polityki i stosunków społecznych. Ten jeden pomnik pióra jego, usprawiedliwia niejakiem zarozumieniem tchnące słowa w liście do generała Waschingtona. Widać już zakrój na niepospoltego publicystę, i żal serce ściska, że zdobyczy umysłowych, chorobami zwątlone ciało, nie umiało donieść aż do ojczyzny! Winszując p. Dickinson, że Anglicy opuścili Nowy York, tak rozprawia o widokach politycznych Stanów Zjednoczonych:

„Lecz teraz, kiedyście spokojni i panami we własnym domu, cóż poczniecie drodzy panowie? Jakaż będzie polityka wasza nadal? Jakie postępowanie wewnątrz? Do jakiego punktu rozwiną się wzajemne zazdrości? Kto je uśmierzy? Azaliż przeniesiecie dobro powszechne kraju, nad szczę-

śliwość własnego zakątka? Czyliż bogaty kolonista georgijski, drogo swój ryż i indygo sprzedając, będzie miał wzgląd na to, że mieszkaniac Hampshire nie zbywa swego budulca i potażu? Ów duch patryotyczny, który was utrzymywał w ciągu rewolucji, zdołał się ostać obok pomyślności handlu; obok zbytku, jaki zeń się rozwinię, i obok podbechtań nieprzyjaciół, usiłujących waszą jedność rozerwać?

„Wasz kongres *przenoszący się z miejsca na miejsce*, będzie mógł natchnąć cześć przynależną reprezentantom wszechwładztwa, cześć tak niezbędną w rzeczypospolitej? Zechcą obywatele znani z talentu i majątku, opuszczać swoje domy i gospodarstwa, narażać wpływy i kredyt swój, aby włożyć się za sejmem i widzieć figurujące swe nazwiska po gazetach? Czy podobna obejść się wam bez floty? a mając flotę, któż będzie płacił ją? nie mając, kto będzie zastępował handel na odległych morzach? Czynność waszego narodu wielką jest; wszędzie gra młodość i zdrowie silne; lecz któż wam zaręczy, że państwa, które protegowały was, nie pozazdroszczą.

z czasem téj pomyślności, i niezechcą bytu waszego podkopać? Póki lew młody, głaszczą go, lecz niech dójdzie do sił, znajdzie się nań kaganiec i klatka...

„Podług mego zdania, żaden kraj nie może stawić się w równi ze Stanami Zjednoczonymi, mianowicie pod względem pomyślności; nigdzie bowiem dary fortuny nie są tak równo rozdzielone. Zwiedzając te krainy, uczę się porównywać życie fermierów z życiem dawnych patryarchów. Tutaj napotykam wiek złoty, tak chwalony w starożytności.

„Wprawdzie nie płyną tu *strumienie mlékciem i miodem*, za to rzeki są szerokie i głębokie; wprawdzie *pagórki nie skaczą jak furkadelka*, za to rodzą obficie, i lada rolnik europejski przybywszy tu, znajdzie sposób zmienić niezbędną potrzebę na życie wygodne. Dość mu dwa lata tu przebyć, a wyobrażenia jego rozwiną się: staje się człowiekiem, a nawet i obywatelem.... Widziałem tu poddanych z dóbr biskupich rozumujących wolno o rzeczach religji, i rozprawiających o polityce rodowitych szampańczyków.

Otoż wyobrażenia, jakie powziąłem panie o twoim kraju. Jeżelibyś chciał objaśnić mię w rzeczach wątpliwych dla mnie, dodasz tylko nowy wzgląd do łask, jakiemiś mię zawsze zaszczycał. Niepuszczając nigdy ojczyzny mojej z widoku, pragnę uczyć się zawsze i wszędy nie tyle dla własnej przyjemności, ile abym potrafił kiedyś wywiązać się godnie z obowiązków obywatela.”

Inne listy rzucają niejakię światło na osobę Węgierskiego i jego stosunki z krajem. Do króla Stanisława Augusta pisze, że nie ma już nadziei, aby go obrano posłem z powiatu bielskiego, a to dla krótkości czasu, zresztą doznając osobliwszych wzglądów księcia Galli (później panującego pod nazwiskiem Jerzego IV), zmuszony jest przedłużyć pobyt swój w Londynie. Ów książę Galli znany swojego czasu wartogłów, widać że pokochał się w naszym Węgierskim, którego dowcip musiał mieć wiele dlań powabu, jak lekkość obyczajów nastroczać musiała wybornego towarzysza do zabaw. Węgierski w liście do Rogalińskiego, tak się o nim wyraża:

„Książę Galli zawsze mi okazuje swoje przy-

jaźń. Przynależ mi dać swój portret. Na lato ma zamiar podróżować, ale projekt ten najniepewniejszy ze wszystkich jego projektów.”

W tymże samym liście, tak o sobie mówi:
 „Los zaczyna mi sprzyjać w karty: wygrałem w ciągu roku 5000 funtów szterlingów, a już wydałem z połowę. W tym miesiącu (8 kwietnia 1785) wysłałem część moich książek, piękną karetę, szory i wiele innych rzeczy do Polski; ale kiedy sam powrócę, niewiem. Zdaje mi się, że nie wrócę, dopóki nie będę panem niezawisłej fortuny: a wtedy czas i zdolności moje, poświęcę na usługi ojczyzny i umieszczę się w świątyni sławy. Z tём wszystkiём nie mam stałego planu. Kilka dróg krzyżuje się przedemną; okoliczności rozstrzygną.

Prawda jest, prosiłem o order Św. Stanisława; toby mi dopomogło w dobrém ożenieniu się... Odmówili mi; nie gniewam się o to. Ta fraszka nie minie mię z czasem, czuję się powołanym do czegoś lepszego.”...

Bukaty mianowany pełnomocnikiem rzeczypospolitej w Londynie podaje Węgierskiemu spo-

sobność do listownej zamiany myśli. Węgierski prosi go, aby mu wszystko donosił co o nim mówią w Polsce, i tak się z własnego zdania tłumaczy: „Opinia jaką mam o sobie, ustaloną jest nazawsze, stoi bowiem na niewzruszonych zasadach, jakimi zachwiać nie zdoła krzyk gminu; lecz miałbym uciechę dowiedzieć się, co myślą ludzie w tém oddaleniu o człowieku, który nie idzie zwykłą drogą, a szuka nowej coby go doprowadzała do celu.” W tymże samym liście datowanym z Akwisgranu, gdzie był dla poratowania zdrowia, taki zwrot czyni do siebie: „Prowadzę tu życie umiarkowane i regularne, a jednak to nie zasłania mię od nowych symptomatów zastraszających, i od chorób skomplikowanych, nad któremi doktorzy rozum tracą... To mnie zabija na umyśle, i psuje najlepiej ułożone plany... Życzę ci, abyś zawsze miał staranie o zdrowiu, jako jedyném źródle uciech naszych.”

Ten list, w rzędzie ostatni, jest jakby wstępem do kilku ostatnich kart jego pamiętnika. Widać, że nadwątlone zdrowie nie znachodziło

ulgi ani w Bath, ani w Spa, ani w Akwisgranie; trzeba mu było południowego nieba...

Z Awiñjonu pod niem 13 grudnia 1786 r. czytamy te wyrazy: „Mój koniec zbliża się, czuję to; zdrowie coraz się pogorsza, a jam zawsze niekonsekwentny.”

17 i 31 grudnia: „Te dwa tygodnie rozstrzygły wszystko. Nieumiałem się szanować. Plucie krwią i zapalenie piersi odjęły mi wszelką nadzieję powrotu do zdrowia; żołądek już nic nie trawi, widocznie opadam na siłach i niszczeję; cała machina zaatakowana z gruntu. Muszę więc umierać a umierać z własnej winy, nie budząc w nikim łyzy żalu, będąc zapomnianym od najbliższych znajomych, nie oddawszy najmniejszej usługi ojczyźnie, ludzkości, krewnym; nie uporządkowawszy nawet interesów moich z odpowiednią korzyścią dla spadkobierców. Przywykły od dzieciństwa iść za popędem fantazyi i kaprysu, przeżyłem lat 30 bez żadnego systemu, bez planu, rzucony na wolę namiętności, które przecież nie były tak gwałtowne. Bieda człowiekowi, który nie umie systematycznie poj-

mować szczęścia i odpowiednie zachować prowadzenie się; kto się zdaje na łaskę bałwanów, w końcu musi utonąć.... Choroba ta osłabiła mi władze umysłowe; całkiem straciłem pamięć; czytam bez korzyści, męcząc ciało i oczy, a nie zdobywając pokarmu dla ducha. Obcemi języki mówię z większą trudnością niż dawniej; do żadnej pracy wziąć się nie mogę.”

1^{go} Stycznia 1787. Pewny byłem, że już skończę z tym nieszczęśliwym rokiem. Niestety! rozum, słaba to broń przeciw nawykniom, jeżeli charakter duszy w pomoc mu nie przyjdzie...

2^{go} Stycznia wyjechał z Awiñjonu opisać jeszcze Aix, a 5 stanął w Marsylii. Tu rękopis urwany, ale nie przez autora, który cierpienia swoje skończył w trzy miesiące: zgaś bowiem dnia 7^{go} kwietnia 1787 roku. Tak zeszedł w 32 roku życia młodzieniec niepospolitych zdolności. Dotąd kraj znał go tylko w połowie, z wierszów rozpustnych i uszczypliwych: smutna zasługa, gorsząca pamięć! Cieszę się, że acz z niedostatecznych źródeł, zdołał wydrzeć zapomnie-

niu drugą jego połowę, szlachetniejszą i wyższą; połowę która wróżyła w nim męża mogącego godnie służyć krajowi świeżą myślą, ognistymi chęciami... Ale robak wylęgły z grzechu źle użytéj młodości, przedwcześnie stoczył ten piękny owoc!... Pokój jego popiołom, opłukiwanym falą prowanckiego morza.



WIĄZANKA KONWALII.

Jezeli nie ma nic nudniejszego, nad tak zwane wieczory literackie, przypadające regularnie w pewnych dniach tygodnia, na które każdy z obowiązku przynosi dowcipy naprzód ułożone, anegdoty odgrzane, mdłe wierszyki nieobrażające delikatnych uczuć i wykwintnego smaku, a nadewszystko porządny zapas uroszczeń do znawstwa literatury i sztuki—wieczory, kędy zwykle występując gadatliwa indywidualność, cień rzuca na resztę osób towarzystwa, które zaledwo spazmatyczném ziewaniem dają znaki życia, jeżeli, powiadam, nic nudniejszego nad taki wie-

czór i taką literaturę, tedy znowu niespodziewane, przypadkowe zejście się kilku osób pod godłem jakiegoś tkliwego uczucia, tworzy najprzyjemniejszą pogadankę. Wczémże ten urok? oto w sympatyczném kółku, w swobodnej atmosferze; gdzie nie ma już gry o pierwszeństwo, miłość własna nie sady się, ani obraża, bo tam wyższa miłość dając ton i harmonię umie tak upoetyzować tę chwilkę, że ci zostanie na całe życie w pamięci, podobna promykowi złotemu, podobna tym unieśmiertelnionym przez poetę wieczorom z Laurą lub Maryją.

Taki właśnie mieliśmy wieczór w domu Pani L... w Warszawie.

—Brodziński wyjeżdża jutro do Drezna; cierpiący i smutny, chciałby pożegnać swoich przyjaciół i przyjaciółki swoje!

—Zbieramy się w domu Pani L.

To hasło podano sobie jednego dnia na wiosnę w r. 1835. Hasło obleciało przyjaciół i przyjaciółki, i żałośnie obito się o serca dalszych znajomych i wielbicieli poety. I, ledwo wieczór się zaczął już, kilkanaście kobiet i kilku mężczyzn

napętniło pokój bawialny. Nie zgiełkliwa, ale cicha szeptana rozmowa toczyła się między zebranymi gośćmi, jakby miejsce to uszanować chciano wprzód, nim się zjawił przedmiot powszechnego szacunku i czci. A rozmowa ta.... gdybyś ją był podsłuchał — nie sadziła się ani w dowcipy, ani w szumne deklamacje, ani w dobór słów—serca tam rozmawiały, serca kobiet, które umieją wszystko zgadywać, i dostrzegać najskrytszy ból aby go ukoić.

Przysuńmy się do téj kanapki w samym kąci—tam rozmawiają dwie siostry. W oczach ich widać smętną radość, uśmiech z łzą pomieszany. Założyłbym się, że roją jakiś czyn szlachetny; czyjaś smutna dola ściska im serce, a one—aniły pocieszenia, radeby przechylić cierpiącemu całe niebo, okupione własną ofiarą.

—Praca to jego fundusz na utrzymanie życia, mówiła jedna z sióstr,— a przy starganém zdrowiu, czyż może pracować? Wreszcie, grosz jaki ma, pochłoną zagraniczni lekarze.... Czy wiesz Natalio jaka mi myśl przychodzi?

—Droga Teresiu! ta sama myśl i mię trapi.

Cóż pocznie jego żona i to dziecię? Jeszcze broń Boże! jakiego nieszczęścia.

—Tego się téż najmocniej obawiam, a prawie, przeczuwam że to nastąpi... Uważałaś, jak zmieniony; te oczy zapadłe a świejące, ten nie-naturalny rumieniec.... Spójrzyj w tę smętną twarz, a wyczytasz, że wewnątrz trawia go nietylko troski powszedne, ale i inne głębsze, które nas wszystkich obchodzą. Na te ostatnie niema lekarstwa, ale tamte czyżbyśmy osłodzić nie mogły?

—Wydierasz mi tajemnicę moją.... Jego żona, póki zdrow z zagranicy nie wróci, niech będzie siostrą naszą, a jego Karolinka, dzieckiem naszym—przydała druga siostra. I, kiedy miały rozwijać plan dobroczynny, wynaleść środki delikatne niewidomój opieki—szmér wszczął się w przedpokoju—gospodyni, a z nią całe grono powstało, na przyjęcie świeżo przybyłych gości.

Był to właśnie Brodziński z żoną i dzieckiem. Postać jego szczupła, schylona, cera blada, głos słaby, przerywany suchym kaszlem, i ta dziwna jakaś tęsknota i słodycz w wejrzeniu, przejęły

serca obecnych mimowolném przecuciem, że to już może ostatni wieczór, który przepędzi na ziemi ojczystej wśród swoich.

Kobiety natychmiast otoczyły śpiewaka Wiesława, a posadziwszy między sobą, usiłowały to zarcikami, to przymileniami rozpędzić tę chmurę smutku i tajemnych przecuć, któremi jakby mgłą jaką ostoniła się cała jego postać. Odgadując wewnętrzny stan duszy Brodzińskiego, z słów, które wyrzekł: „Przychodzę pożegnać się, bodajby nie na zawsze!” nieszczęśliwie słodkiej pociechy:

—Jeszcze Pan wszystkich nas przetrzyma—
mówiła jedna.

—Osoby wątłej budowy ciała najdłużej żyją—
wtrąciła druga.

—Pewna jestem, że na jesień powrócisz zdrów i wesoły— zapraszam pana na wieś; mąż mój lubi polowanie; sąsiedztwo mamy wyborne, wiejskie powietrze rozproszy smutki...

—Pani!.... odezwał się Brodziński, żałośnie wstrząsając głową— gdybym wiedział, że smutki moje z wiatrami ulecą, dawnobym je

wiatrom powierzył; ale one, jak pijawki wiszą przy sercu, i piją krew moją—aż ją wypiją...

—Takie myśli są zwykle skutkiem nadwątlonego zdrowia — rzekła gospodyni — zdrowie wróci—smutki ulecą...

—Czemuż nieulatywały, kiedy byłem rzeski i młody?—zawołał z westchnieniem. O gdybyście znały bieg mojego żywota! czy uwierzycie? od samej prawie kolebki nic mi się nieuśmiechało... bo to, co mogło mi dać szczęście, wesele, swobodę, miłość życia, to mię odbiegło w chwili, gdym pierwsze kroki, stawiał po ziemi—w piątym roku odumarała matka; jeszcze ją dziś pamiętam złożoną w trumnie, jeszcze dziś brzmi w uszach moich przepowiednia księdza: będzie cię biła macocha! I macocha biła i odpychała od siebie... a jam tulił się do chłopków, szukając tam czegoś, coby mi choć w części zastąpiło macierzyńskie uczucia... ale darmo! i większa prostota i poczciwość wieśniacza matki nie zastąpi. W snach tylko o niej znachodziłem urojone szczęście. Jeden z takich snów, jaki miałem w dzieciństwie, dotąd tkwi w mej pamięci.

Byłem w wielkim kościele, gdzie ona na chórze, w ubiorze w jakim była złożona w trumnie, wśród tłumy podobnych jej bladych niewiast, nie ręką do siebie wzywała. Wnet znalazłem się na chórze, a uściski jej dziwną mię upoiły rozkoszą, gdy nagle, ogromny głos od ołtarza: *requiescat in pace*—który długo brzmiał w moich uszach, sen mój zakończył. Odtąd widuję mglistą jej postać, osobliwie, gdy jaki smutek dojmuje—białą ręką wabi mię—rzucam się w jej objęcie, łzy puszczają się z oczu—a gdy się zbudzę, o prawdzie łez świadczy zwilżona poduszka... Nie wiem, czy kto, choćby najtkliwszej miłości macierzyńskiej, doznawał; mocniej czuł nade mnie, co jest matka.—Wiele też samotnych, nikomu nieznanym łez mię kosztowało, gdy widział dziecię od matki pocałowane. Pragnąłem zawsze i mniemałem w sercu, że zasługuję, na miłość u kogoś, ale do późnych lat żadnej niedoświadczyłem. Niemiec matki, która jedynie wychowanie serca dać może, nie mieć istoty, przed którąby się można szczerze z wszystkimi dziecinnymi fraszkami, z owymi pierwszemi uczuciami wywnętrzyć, jedno jest,

co być skazanym na ciągłą mękę, na tęsknotę trawiącą, której niczem nie można rozpędzić, ani gdym w natchnieniach poetycznych szukał ochłody i czaru, ani gdym w zawód wojskowy wstąpił; po morderczych dniach Smoleńska, Możajska, przypadłszy snem do skrwawionej ziemi, jeszcze śnił o matce i widział tę białą rękę wabiącą mię, i tę pierś przy której mogłem się wyplakać...

Na ten tak prosty a rzewny obraz cierpień poety, nieśmiały nikt, nawet z najprzychylniejszych mu osób, odezwać się z słowem pociechy; kobiety, z których nie jedna była matką, pospuszczały głowy, lub zakrywając oczy chustkami, ocierały łzę wyciśniętą opowiadaniem. Ale Brodziński spojrzawszy po otaczającym go gronie, a widząc jakie wzruszenie sprawił mimowolnie, uśmiechnął się; z tęsknego głosu, przeszedł w żywy, weselszy, niby lekszy ton i biorąc rękę żony, a dziecko tuląc do piersi, tak mówił:

Darujcie mi drogie przyjaciółki! za ten wyskok poetyczno-sentymentalny, łajcie mię za to popisywanie się z uczuciami, boleściami, tęsknotą,

melancholją, jakby którego z tych zapoznanych bajrońskich młodzieńców, co to koniecznie pragną, aby cały świat rozczułał się nad niemi. Wierzcie mi, tylko egoizm wieku przezemnie tak gada. Możecie mi nawet zaraz fałsz zadać, bo kto ma taką poczciwą i kochającą żonę, kto dziecię potrzebujące całej pieczy ojcowskiej, kto tylu dobrych i zacnych przyjaciół, ten niepowinien uważać się na brak miłości i jeżeli matkę stracił, otoczył go wieniec nowych, najśodszych obowiązków ojca, męża, przyjaciela. Był to tylko napad chwilowy, nawyknienie z dawnych lat sieroctwa, nieprzystojne dla kogoś co powinien mieć charakter i energię męża. Otoż na przekor muszę żyć, muszę być zdrow, dla żony, dla Karolinki mojej i dla was drodzy przyjaciele...

—I dla ziomków— przerwała jedna z kobiet z żywością— tyś dla nich gwiazdą przewodnikiem. Twoja myśl, twoje słowo, to nasze rodzime skarby. Tyś zaczął prowadzić młode plemie ku głębszym pojęciom, tyś mu otworzył świeże źródła poezyi w piosnce wieśniaczej; tyś wykrył, że duch nasz wzrośnie nie w swawoli, nie

w rozpuszcie, nie w pogardzie religii i obyczaju, ale w gorącej, prostej pobożności, w surowych cnotach, w zamiłowaniu tego, co piękne i wniosłe. O zacy przyjacielu! nie poddawaj się smutkom, ani zwątpieniu! Wszystkie jak tu jesteśmy gorąco będziem się modlić za zdrowie twoje, i szczęśliwy powrót do tój sieroty, Warszawy; a zobaczysz, że Pan Bóg prośb matek, wysłucha...

—Wysłucha! wysłucha! — mówił Brodziński z najżywszem wzruszeniem, ściskając ręce, które mu całe grono podało. Do zobaczenia! do szczęśliwego zobaczenia! na jesień, w tym samym pokoju...

—Czekamy pana! Czekamy—każda z nas, bądź pewien, stawi się na termin... Będzie to uroczystość familijna—Nieuwierzycie, jak mi trudno rozłączać się z wami... Prawdę tego wierszyka napisanego przeze mnie kiedyś, dawno, czuję dopiero teraz:

Każde smutne
Przeznaczenie
Nasze na świecie
Najsmutniejsze jednak przecie

Jest okrutne
Rozłączenie...

Żeby jednak rozłączenie mniej było okrutne, niech aby woń mego ulubionego kwiatka, przypomina nam stosunek nasz wzajemny...

To rzekłszy, wyjął z kapelusza sporą wiązaną Konwalii. Wdzięczny zapach rozszedł się po pokoju, zapach, co tyle ma podobieństwa z jego piosnkami, prostymi a pełnymi tkliwości.

—Jaki traf szczęśliwy! Idąc tu spotkałem kwieciarkę znajomą mi, która wiedząc, jak lubię Konwalię, nie mogła mi zrobić większej przysługi; pamiątkę ostatniego wieczora zostawię w ulubionym kwiatku, a jeżeli Bóg wrócić pozwoli, pokazemy sobie ten zadatek przyjaźni... I powiedziawszy to zwrócił się naprzód do gospodyni domu i ofiarował jej kilka gałązek, potem jenerałowej S., pani P., pannie Teresie i Natalii K... i innym damom, i mężczyznom a nakoniec kiedy mu tylko ostatnie dwa kwiatki zostały, wysunęło się z kącika dwoje dziewczątek, prześlicznych jak anioły, które przybliżając się do niego z wdzięcznym a nieśmiałym uśmiechem, rzekły:

—A o nas pan zapomniał? wszak i my go tak kochamy!

—O moje drogie aniołki! —zawołał rozczulony Brodziński—przyjmijcie te ostatnie gałązki—oby woniały wam tak długo, jak poezya waszjej młodości wonić wam będzie w późnej dobie trosk i kłopotów życia! Pewny jestem, że świeża wasza pamięć przechowa wspomnienie o mnie, i nieuschnie razem z tym kwiatkiem. Ale oto, z mojej wiązanki nic mi nie zostało—tu pokazał próżne dłonie—kwiat jest symbolem życia, lubi słońce i wiosnę; cóżby miał robić przy piersi, którą niebawem śmierć lodem swym zetnie?... Dziewczęta wiją trawkę w wianuszki i wróżą sobie kochanków; mnie Konwalia wywróżyła także... W jesieni wszystkie gałązki znajdą się, mojej tylko nie będzie...

—Czy podobna dopuszczać tak czarne myśli! zawołała pani L. przecież każda z nas dostała pęk konwalii, możemy się z panem nawzajem podzielić.

—I w mgnieniu oka każda z dam ofiarowała

mu gałązkę z swego bukietu, i znowu śpiewak Wiesława trzymał sporą wiązanekę.

—Jakąż teraz wróżbę wyciągniesz pan z tego bukietu?—zapytała generałowa żartobliwie.

Najpomysłniejszą—odparł weselszy już Brodziński—wasze życzenia i modły, wyjednają mi to u Boga, czego wątpi natura odmawia. Bądź, co bądź, kwiaty te z ojczystej ziemi, przypomną mi ją, jeżeli przyjdzie na obcej umrzeć.

To rzekłszy przycisnął je do piersi, a podawszy ręce obecnemu gronu pożegnał się, unikając rozrzewnienia, w milczeniu, a prędko—i wyszedł w towarzystwie żony i małej Karolinki.

Nazajutrz powozem pocztowym jechał do Drezna.

* * *

Tegoż samego roku, w jesieni, w jednym z hotelów drezdeńskich dogorywał śpiewak Wiesława. Choroba piersiowa rozwinięta w najwyższym stopniu, stargała w nim wszystkie siły żywotne. Z południa przyszedł jeszcze zwykły jego lekarz, wziął za puls—przepisał lekarstwo, jakieś obojętne—a odchodząc, powiedział przy-

jacielowi, który nad chorym czuwał, Edwardowi O***, także bratu po lutni—nasz chory dziś wieczór skończy! a powiedział zimno, obojętnie, jak się mówi: dziś wieczor przyjdę do ciebie na herbatę. Edward wrócił do łóżka; twarz jego musiała być mocno zmienioną z powodu słów doktora, bo Kazimierz wyciągnął doń wyschłą rękę, i zapytał: co ci jest przyjacielu?

—Niedobrze mi się zrobiło — odpowiedział z niejakim kłopotem—ale to przejdzie... tu musi być za gorąco...

—Nieukrywaj przede mną—rzekł chory—niewczesna to ostrożność. Doktor powiedział ci, że przed wieczorem umrę...

Dziś mamy 10-go października, rocznica urodzin mojej córki... dziwny traf! ze śmierci rodzi się życie; na grobie ojca kwiat w dziecięciu rozkwita... Tu mu tchu zabrakło i umilkł; ale po chwili, zbudzony jak ze snu, znowu zaczął... Prędzej, czy później, zawsze potrzeba skończyć... Dzięki niebu za jedną łaskę! wczorajszy list żony dodał mi odwagi do téj zagrobnój wędrówki; lekko umrę, bo mam to przekonanie, że te anio-

ły — Teresa i Natalia — będą pociechą i opieką mojej biednej żony i dziecka...

Edward usiłował, walcząc ze wzruszeniem, nasuwać mu kojące myśli, wpajać ufność w nieograniczoną moc boską, która go może jeszcze przy życiu zachować, ale Kazimierz, kiwając ręką, jakby odpychał złudną pociechę, rzekł z uśmiechem nadzwyczajnej słodyczy.

—Dzisiejszy sen nad rankiem zwiastował mi, że się z matką połączę... był on inny jak te, co nieraz w ciągu życia miewałem, wyobraź sobie: wśród wielkiej jasności, w białej szacie Zbawiciel mi się ukazał, uśmiechał się tak bosko, tak łagodnie a potem rękę ku mnie wyciągnął... i ja poleciałem jak małe ptasze pod piersi méj matki, która mię chustając, śpiewała, otoś mi wrócony mój synku"... O! takie sny niemylą—wszystko w nich jest jakby się odbywało na jawie...

Po tych słowach—półgłosem zaczął odmawiać modlitwę, która coraz cichła jak oddalający się szmer powiewu po zeschniętych trawach stepowych. Zdawało się, że usunął, że skończył, bo niesłychać było oddechu... dopiero po pół godzin-

nym spoczynku, wzdrygnął się, wielkie oczy otworzył, potoczył niemi i jakby w malignie i mówił urywane wyrazy: gdzie mój bukiet... dajcie mi bukiet... miła pamiątka... choć tak dawno zerwany, jaki świeży, jaka woń konwalii!...

Edward nie mogąc sobie wytłómaczyć tych wyrazów, zapytał go: czego żąda?.... Lecz chory nie dawał odpowiedzi—już ducha wyzionął!

Po śmierci i pogrzebie przerzucając jego papiery, znalazł zeschniętych kilka gałązek konwalii i domyślił się, że Kazimierz pragnął tę pamiątkę unieść z sobą do grobu.



J. B. ZALESKI.

Myśl méj pieśni nieprzekwita,
 Jako niebo, serce, wiosna,
 Wiecznie świeża rozmaita,
 I dziewicza i miłośna.

Z poezji J. B. Zaleskiego.

Małgorzata ze Szkocyi przebiegając salę zamkową postrzegła śpiącego poetę Alana Chartier, i pocałowała go; a gdy królewski ten pocałunek wzbudził szmer między dworzany, odpowiedziała: „Nie mężczyznę, lecz pocałowałam usta, z których tyle uroczych pieśni i mądrych zdań wyszło.”

Wątpię, aby postępek ten żony Delfina, połępic mogła która z Polek ubóstwiających dумы

i dumki naszego ukraińskiego poety, a jak urocze sny, jak głosy z jakiegoś lepszego świata, jak tchnienie duchów niewinnych a smętnych, mięszają promienne swoje nici w wąż i niecenną tkanę pustych dni żywota. W ogóle płeć piękna, mianowicie ta jej część, co jeszcze niezachwyła obcych nam wyobrażeń, co pielęgnuje w łonie swém ciche a szcżytne cnoty domowe, co kwiatu poezji nieuroniła dla błyskotek dowcipu, lub fałszywój sentymentalności i fałszywych rozumkowań nad nowém urządzeniem społeczeństw, ta mianowicie część, nosi Bohdana w myśli swój. Bo i cóż w tém dziwnego? dusza młodój, niewinnój dziewicy, czyż nie takim hymnem modli się, jak która z jego pieśni pobożnych; a dobra matka nie takież roi sobie obrazy, pełne świętego spokoju i czystości, jak *Przenajświętsza Rodzina*? Alboż i serce dziewicze świeże, wiosniane, nie rozplýwa się w podobnych marzeniach jak *Rusalki*, jak *Śpiew poety, wspomnienie, rojenia wiosenne*? Muzyka jego poezji, bo on tylko z naszych poetów ma swojå muzykę, gdy inni mają formy, posiada tę moc czaru, jak-

by które z tych ziół tajemniczych wzbudzających mimowolną miłość. Każe kochać się i niezapomnieć. I niedziw: on Ukrainiec; a wiemy przecież, że Ukraina z dawien dawna przysłowiowo słyęła, jak gniazdo czarowników i czarownic. Zaprawdę, Bohdan, to na pół fantastyczna istota: o nim kiedyś złoży gmin legendę dając mu za ojca Bojana, za matkę dniewrową Rusalkę; będzie opowiadał miłosne schadzki, tój pary w noc księżycową, na mogile Sawor, przyjście na świat dzieciny, o błękitném tęskném oku, które położono w tarczy, jakiegoś wielkiego hetmana Zaporozza, a karmiono mlékiem dumek i kazeł. I gminnie oddali się od prawdy, uczony komentator zgodzi się nawet na tę genealogią, opierając się na tém co sam poeta śpiewa o swojém niemowlęctwie:

Piastuj dziecię me Rusalko!...
 Mlékiem dum, i mleczem kwiecia,
 Pój do lotu mdłe to ciałko!
 Pięknej sławy mój stolecia,
 Podaj do snu na obrazki!
 Barwą złotą i błękitną,

Tęczą w okrag niech rozkwitną,
Wszystkie mego ludu kazki.

I tak było w rzeczywistości: słabiuchne niemowlę, coby godziny może nie żyło w pańskim dworze, oddane na mamki prostej wieśniaczce, ssie zdrowie z jej piersi i usypia przy kwileniu tych piosnek, które się splotły potem na jego skroni w laur poetycki.

Przez jakiegokolwiek koleje przechodził, później w ciągu życia gdziekolwiek los go pędził, czy do bratnich plemion, czy w dalekie podróże, żrenica raz napojona barwami i blaskiem tej świeżej natury, ucho rozpieszczone melancholijnymi dźwiękami, a całe jego wnętrze, przesiąknięte wrażeniami młodości poetycznej, bo swobodnej, bo kochającej, bo szczęśliwej, niemogło nigdy już rozdzielić się z tym pierwszym światem, i uobecniało go sobie zawsze i wszędzie najrzewniejszemi rojeniami, gdzie, jak na tle oddalenszém występowały dotykalniejsze postacie bohaterów koczowniczych, wspaniałe i bosko-piękne, ale nie jak posągi greckiego dłuta... tylko jak te postacie, które kiedyś, jeżeli się zjawi geniusz, malarz na-

rodowy, odmienniej, niespodziewaniej na płótno rzuci.

Jak powiadam, muzyka poezyi i świat osobny pół rzeczywisty, pół zaczarowany, to dwa główne znamiona jego utworów, a tém samém i jego natury. Kto go poznał, zaraz za pierwszym powitaniem się, musiał uczuć, że on nie taki, jak inni, jak wielu. Wyrząd posępnej słodyczy malujący się w twarzy, głos sympatyczny płynący z wnętrza, jednają dlań skłonność i przyjaźń; a cóż dopiero, gdy potracisz w nim struny ukraińskie, i te wszystkie świętości uczuć i gorącej wiary... gdy go usłyszysz mówiącego z zapamiętem, ale zawsze z tą prostotą dziecka, pełną niespodzianek wydartych gdzieś z serca ludu, lub zastyszanych z innego świata w chwilach natężeń i zachwytu. Tak go sobie wyobraziłem, takim go też znalazłem, kiedy przed laty, w dalekiej stronie zjechaliśmy się w górach. Cierpiący, trawiony tęsknotą, przesycony książkami i ludzmi, po zetknięciu się z nim odżyłem, wyzdrowiałem... wszystko co mię otaczało przestało być tak obojętném, jak niedawno: bo też

w rozmowach nieprzebranych, istni dwaj czarodzieje, wywołaliśmy wszystkie, a wszystkie wspomnienia, fizyonomie, obrazy rodzinne, aż do ułudy... Że nam te góry wydały się stepem, ta rzeczka Dnieprem, a piosnka wędrownych muzykantów, dumką. I jakżeż tu nie oddać się przemocnemu wpływowi jego sztuki czarno-księżkiej, gdy jeszcze gęśl pobojańską weźmie do ręki i sygnie pieśniami?! Mimowolnie unosi cię jak który z podziemnych duchów w bajce w ten świat zaczarowany, który on sam sobie stworzył, i samodzielnie w nim panuje, a do którego żaden nie dostał się, z poetów szkoły ukraińskiej; nawet dziecinnych lat przyjaciel, pobratymiec, śpiewak zamku Kaniowskiego, zatrzymał się w jego samój krawędzi; bo czyż krwawa, makbetowska scena, oblana łuną pożaru, ufantazjowana dzikimi wyobrażeniami gminu i dzikszą jaskrawą fantazją poety, nie jest jakby ciemną, pełną tajemnic pieczarą, przez którą droga prowadzi do elizejskiej, mgłą podań i dziwów utulonej Ukrainy Bohdana?...

Gdybym chciał gwałtem wmawiać w siebie i

w drugich, że mamy osobną szkołę ukraińską; a ztąd gdyby mi przyszło klasyfikować i systematyzować wyobrazicieli jęj, powiedziałbym, że Malczewski patrzy na Ukrainę, okiem polskiego szlachcica magnata, z gotyckich okien swojego zamku; Seweryn widzi tylko sokolim wzrokiem Nebaby, z gęstwi szczytów starożytnego dębu, Moszen lasze gniazdo, które tego jęszcze wieczora na mord i pożogę wskazał... a że Bohdan nakoniec, pogląda na nią oczyma Rusałki hasajęcej w mgłę utęczowanej po nad łany zbóż, kurhany, ostrowy, Roś i Rasawę i stepy kwietne potrząśnione brylantami rosy... Ale czyżby to wyjaśniło całego ducha ich utworów? bynajmniej; oni bowiem wieszczę wielkiej krainy której Ukraina jest najpiękniejszym klejnotem, poruszyli tyle innych przedmiotów, tyle stron życia dotknęli, że artystostwo ich niemieści się w ciasnym obrębie jednej prowincyi; pierwszy dawno znikł, ostatni dwaj dawno stracili z oczu rodziyny ten zakątek. Seweryn mniej idealny, więcej rzeczywisty i ścisty w swoim malowidle, skończył na tęg jednej strunie wygrzębanęj w zglisz-

czach Kaniowa, i już ją nigdy nie tracił... Bohdan z wyrobioném ideałem, z uprzyzmoowanemi obrazki, z tym swoim przyborem poetyckim, sam wyznaje:

Jak świat długi, szeroki,
Z lutnią moją podróżną,
Zmieniam miejsca, widoki,
Ale zmieniam napróżno...

I zapewne!... Przeciągły szum stepowego wiatru, goni go wszędzie; niedziw, że coraz dolatuje słabiej; przez czasów i miejsc szeroką przestrzeń. Świeżość młodzieńczych wrażeń zaciera się, żywość barw płowieje, a ta dumka, która się łała z serca jednym wytryskiem, zamienia się powoli w sztuczną kompozycją, staje się manierą, jednostajnością nie zawsze bawiącą: otoż to jest co nam tłómaczy różnicę pomiędzy wonią upajającą pierwszych jego utworów, złożonych bądź pod wpływem sił, cudownych stepowego powietrza, bądź świeżych tęsknic w stolicy naszej po wyjeździe z Ukrainy, a tym dojrzałym, doświadczenia owocem, który się później wywił w oddaleniu.

„Mnożę też dumki, a nikt z was nie zgadnie,
 „Co tam łoż różnych pod niemi gdzieś na dnie.

Rodzice bywają częstokroć najsurowsi dla swoich najlepszych dzieci: podobnie i nasz Bohdan w wydaniu dum swoich i szumek z czasów późniejszych, pominął perłę młodości, ognisko ukraińskiego świata, najpiękniejsze dziecko... *Rusalki*. Czyż tak zpoważniał, lub zesmutniał poeta, że się aż powstydział tego motyla, co na skrzydła swoje zgarnął wszystkie krasy, wszystkie blaski, które fantazyja poetyczna cała wytrzęsła na tę krainę czarów. Czyliż tylko przy swawolnej Zorynie umiał być prosty i tkliwy, a teraz z gasnącém światem omamień wyśmiewa i kochanie swe i wszystko w co wierzył? O, niepodobna! Bohdan wierzy jak dawniej, czuje i taki tkliwy jak za lat młodych, ale Ukraina daleko... nie wspomnień coraz cieniżej się snuje, rysy ciemnieją, a natomiast myśl poważniejsza osiada głowę i sercu nakazuje być cicho!...

W nowszych też dumach jego, oprócz zwykłej tęsknoty jawią się postacie historyczne poetów: Daszkowicz, Lanckoroński, Rożyński, mło-

dy Iwonia... utwory artystyczne, spaniałe, piękne; rysów użycza im historia, światło pada z wyobrażeń gminu, a ruch i życie sam wieszcz, twórca im nadał. A jednakże ten ruch, to światło, ta szata dziejowa, acz tak umiejętnie rzucona, obmyślana, nie wytarły, z naszej pamięci tych *Czajek*, które słyszymy jak z prądem Dniepru, lecą na Synopę, na grody Natolskie i jak wracając z bogatym łupem ziemicy agarskiej grzmia od Chortycy do Tawani.

Niech nam żyje, niech hetmani,
Konasewicz nasz koszowy!

Rusalki i *Czajki* dwa najoryginalniejsze utwory jego ducha, same jedne skupiają w sobie tyle bogactwa, tyle życia, farb i woni, że cały ogródek kwiecia jakim potrząsł ubogą naszą niwę poezyi, wysypał się z tych dwóch kielichów.

Późniejsze dумы: *Smutna Krakowianka* i u *Nas inaczéj*, wybitnie znamienują charakter drugiej epoki zwątpienia w doczesność; wielka tęsknica, która nie kończy się na tym padole... poeta prosi BOGA o Ukrainę w Niebie... Nie dawno jeszcze pewien odcień opinii u nas, mocno hałasował

przeciw Katolicyzmowi w literaturze: krzyczano że to pęta, że duch śmiały nie miał się gdzie rozeprzeć, trącając co moment o dogmat, lub prawdy objawienia, a to wszystko nie bardzo szło w smak naszym *quasi panteistom*... Jakoż, mało który z piszących pod wpływem katolickiej myśli, uszedł srogich ucisków, mało kogo niepomówiono o jezuityzm i świętoszkostwo. Jeden tylko Bohdan doznał najmniej napaści; co więcej, przebaczano mu, powiadając: co ten, to niezmysła, on szczerze wierzy i szczerze się modli. Fenomen ten, dwojakobym wytłómaczył, już szczerością i gorącością jego religijnych uczuć, które nawet w samych przeciwnikach uszanowanie wzbudziły, już tém, że Bohdan od pierwszej swojej dumki śpiewał w tym tonie. Któryś z krytyków roztrząsając pierwotne jego poezye, chce widzieć w nim podobieństwo z Lamartinem, mianowicie ze strony sentimentalności religijnej, i pobożnych, czczych i nieokreślonych westchnień strzelistych, które bardziej na grzeczny komplement dla Pana Boga wyglądają, niż na proste a głębokie, chrześcijańskie uczucie... Zgodziłbym

się na to podobieństwo z autorem *Medytacji*, gdyby Bohdan ciągle był brzęczał na tę nutę, lecz zwrót jego późniejszy, to niejako pożegnanie z Ukrainą, a ślub z Kościołem i surowa służba chrześcianina, na gęśl pobojańską nawlokły struny dawidzkie. Pokutnik, tarzający się w prochu pokory, bieleje jak anioł, myśl jego, uczucia, proste, a jednak szczytne, mają woń mirry, wzbijający się w okłoki; ztąd każda pieśń nie tyle jest artystowską kompozycją ile modlitwą, rozmową szczerą, z Duchem duchów przed którym się koczy jak proch najlichszy... W témto natchnieniu, które nań spłynęło jak źródł wody żywej, wyciekającej z kamienia, złożył dwa utwory na większy rozmiar, dwa obrazy, jeden Rafaeliczny, *Przenajświętsza Rodzina*, drugi jak Karton Kaulbacha lub Korneliusza, z więcej może boskości i świętości choć z mniej plastyczną mocą rysunku, tę, lotną Epopeję myśli świętej którą nazwał: *Duchem od stepu*. Utwory te dziwnie pogodne a uroczyście, i dawne Dumki, jako dwa światłe promienie splatają się nad głową poety, symbolizując ubóstwienie BOGA w czarownej naturze, i krzyż,

który po ciernistój drodze życia ślubuje dzwigać z pokorą.

Syn wieku, a może się nazwać szczęśliwym: bo czyż nie zarzucił kotwicy w tej przystani wiary, nadziei i miłości, z kąd go nie wyrwą wichry przeciwnie, ani nawet głos syreni, wywiedzie na mielizny... A głos ten syreni o jakżeż ponętny! to nie mistral, to jakby chłodek gajów ukraińskich wiejący brzegami śródziemnego morza, i wołający w okienko pustelniczego Endoume:

„Słowiczku mój, a leć, a piéj,
Na pożegnanie piéj,
Wylanym łzom, spełnionym snom,
Skończonej piosnce twój.”

I słowiczek poleciał... ale, ani cudu nie ujrzął, ani końca swych łez — Czemu? bo może do wysokiego tonu nie chciał dociągnąć ducha swego, bo prosty i wierzący jak dziecko, jak lud:

„*Stuży Panu, i chwali jak umie*”
i, jak go Kościół matka, nauczył.



EKONOM.

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
 Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego,
 Ciebie czasem pochmurne obłoki zasłonią,
 Ale ich prędko wiatry pogodne rozgonią;
 A naszemu staroście nie patrz w oczy śmieje:
 Zawsze u niego chmura i kozioł na czele.

A. SZYMONOWICZ.

Kto dzisiejszą społeczność pragnie dagerotypować, niechże się spieszy; bo jak lada chmurka może nadbiedz i pomięszać cienie przedmiotu, na który wymierzyliśmy naszą cywę, bo jak bez tego, samo już słońce na wszelkie zakłącia głuche, idzie a idzie, a na twojej blasze coraz od-

mienne wygryza blaski; tak i ruch społeczny, dla was statystycy, dla was dostrzegacze moralisci, praktyczni psychologowie, antykwaryusze, dla was wreszcie malarze, co pod obrazkiem swoim zwykliście znaczyć: *peint d'après la nature*, jest dziś tak szybki, jak wóz parowy, dziwaczny jak paryzka moda, nieobrachowany jak meteor, przeniewierczy doktrynom jak wypadki, że go potrzeba chwytąć, dagerotypować na łeb, na szyję, jeżeli nie chcecie, aby kiedyś, typy społeczne stały się sfinxem zadającym zagadki.

Żebyć to jeszcze byli my zamożni w galeryę własnych portretów; w te gipsowe figury, które społeczność z pokolenia do pokolenia w jedną odlewa formę, wyrobioną stanem, urzędem, powołaniem, rzemiosłem; żeby to byli nasi Kochanowscy a Górniccy bliżej tknęli się tych oryginałów; żeby to pan Mikołaj z Nagłowic tak rubaszny pod pędzlem Trzecieckiego, więcej niż z lekka zaczepił był charakter, a miasto morału tu i ówdzie dłótem spróbował, mielibyśmy czem więcej się poszczycić, jak spowszedniałym pijakiem i kosterą, lub Albertusem, lub wreszcie

Panem Podstolim, co tak misternemi pociągi, na dwóch pierwszych malowanych kartkach, w trzeciej chowa twarz swoją i prawi jak z ambony dla zbudowania słuchaczy. Zgoła wszyscy moralizowali, nauczali, karcili, nikt nie malował, nikt zapotniałego szkolnictwem nie otarł zwierciadła i nie powiedział: przejrzycie się!

K'temu też praca kopisty obyczajów i osób spadła dziś ciężko na barki poety, romansopisarza, który ze złomków musi odgadywać i onych oczajduszów i trybunalskich pijaków i rubasznego: *panie kochanku*, i starego myśliwca w kniejach litewskich, i woźnych i kluczników, i tę szlachtę zaściankową, i cały świat przeszłego życia, jakby zdawało się, że wprzód powinno wygasnąć całe pokolenie, nim się swego historyografa lub malarza doczeka. Ta prawda, jeżeli jest prawdą, byłaby nader zasmucającą, a mianowicie dla mnie com postanowił dać wizerunek ekonoma, gdy właśnie *magna gens* ekonomów prosperuje u nas tak dobrze, jak kapusta na tłustym i niskim gruncie. Kto wie? piórem mojem może władza uprzedzenie jakie; ma-

lowidło łatwo będzie chybione, ale stracone nigdy; bo jeżeli kiedyś jak Sybirskiego Mamuta, wyorzą szkielet ekonoma, moja bazgranina da mu jakie takie ciało, a potomek poeta niech go sobie jak Prometeusz niebiańskim ogniem ożywi; tymczasem chwytam co mi pod rękę padnie, bo jak mówi śpiewak Atali i Renego: *les dieux s'en cont!*

* * *

Widzicież ten dwór bielejący na wzgórku pośród lip i kasztanów? widzicież do koła dworu, tam gumna zabudowane w czworobok niby małą, twierdzą obronną, wieżami stogów; ówdzie śpi-chlerz murowany i lamus w ziemi do pasa; niżej chlewy, obory, stajnie, jeszcze niżej nad wodą browar lub gorzelnia? widzicież nakoniec na jednem podwórzu, oko w oko pańskiego ganku, długi, niski budynek, z kominem wiecznie kop-cącym, jak fajka niemieckiego bursza, z obdartą lub walącą się ścianą, z szybami zaklejonemi papierem, obłożony kwikiem prosiąt, gdakaniem gęsi, indyków i różnego drobiu, co się pluszcze w nieśmiertelném błocie, i stanowi niby przed-

nie czaty właściwej armii obłąznicznej, złożonej z bab i chłopów niezmordowanych suplikantów z czapką w ręku i kobiałką pod pachą? widzisz budynek ten, to ognisko spraw gospodarczych; to komissya spraw wewnętrznych i policyi, sprawiedliwości i oświecenia! Uderzcie czołem! na tym to folwarku, czy oficynach, czy jak sami nazwiecie, rezyduje panujący nad temi gumnami i oborami, gęsmi i chłopami, pan ekonom, dyspozytor, włodarz, starosta, podstarości.

Te różne nazwy (kto więcej wie, niech dopisze) służą zawsze jednej a tej samej osobie, stojącej u steru gospodarstwa wiejskiego, reprezentującej wszędzie i na każdym miejscu dziedzica lub dzierżawcę. Zapatrując się z wyższego poglądu na tę istotę rodzajową, postrzeżemy, że stanowisko jej jest jakby ogniwem łączącym stan szlachecki z wieśniaczym, pana z poddanym, przywilej z pracą; zdawałoby się że za pośrednictwem ekonomia ten ogromny przedział dwóch ostateczności społeczeństwa powinienby być wypełniony przez przyjęcie na siebie roli opiekuna ciemnych i łatwowiernych, obróncy słabych, przy-

jaciela opuszczonych i zapomnianych, słowem zdawałoby się, że powinien być czemsić więcej jak okiem, które dogląda; ręką, która chłoszcze; głosem, który łąje—takby być powinno, nieprawdaż? Wybaczcie! odpowiem jak szkolne zaczątko: tego niema w moim elementarzu;—jam się podjął kopijować, a nie prawić kazanie.

W ogóle zaglądając w życie praktyczne, dostrzeżemy, iż każdy stan lub rzemiosło wyciska właściwą cechę, już to w rysach i pójrzeniu, już w ruchach, już nareszcie w całym układzie człowieka wdrożonego w tę lub ową czynność; i tak: szewc będzie blady z wzrokiem wymierzonym na nogi, kowal barczysty z długimi rękoma i zuchwałém pójrzeniem, rzeźnik krwisty i rudy, jakby wypasiony życiem bydłał zarzynanych codziennie—podobnie i ekonom. Trudy gospodarcze rolnicze, tak odmienne, z każdą porą roku, a z daleka tak sielankowe dla dylettantów miejskich, wystawują go na upał i słoty, na mrozy i zawieruchy; dają mu zdrowie zahartowane i czerstwe, rozrośniętym barkom siłę, czerze ogorzałość, a rysom wyraz ostry, gniewliwy,

całkiem cielesny. Wszystko to co mówię, dotyka jednej strony, rozumie się nie tój, z której serce bije — albowiem strona ta nie wchodząc w organizm społeczeństwa naszego, nie zostawia w niem innych prócz przypadkowych śladów, głos jój odezwie się i w samym przekupniu murzynów, pierwój może niż w książce filozofa lub we wniosku do izby — dla tego nieprzestaje być wołaniem Kassandry. Lecz wróćmy do ekonomy: widząc go leniwo krocącego po roli, lub kołkiem postawionego nad młocką, lub z ciężka uganającego na szkapie, wniósłbyś po tych ociężałych ruchach, że albo go nie wiele pożytek pański obchodzi, albo widok jednej i tój samej roboty zniechęcił i znudził — wszakże przyglądając się bliżej okrągłym siwym pod brwią gęstą ukrytym oczom, co za dziesiątą miedzą wypatrzą kota na szarém polu, przekonamy się, że jeżeli oko pańskie konia tuczy, tedy ekonomiczne i najtłustszego może schudzić; bo wzrok ten jak drapieżnej kani słania się nad szeregami żeńców, młocków, kosarzy; bo wzrok ten wsparty głosem całego gardła, jak tuba grzmącym po łanie,

toku, po boru, oszczędza mu nóg i niepotrzebnego znoju, a pracującej maszynie nie da spocząć na chwilę.

Cała też osoba jego wzbudza jeśli nie uszanowanie przynajmniej postrach: wąs zawieszony na ogromnej twarzy *kwitnącej piernikiem*, jak mówi stary ze Skrzypna Twardowski; ręka z sygnetem herbowym wsparta na lasce, szara kapota z pasem powiększającą objętość i tak okazałej tuszy, łeb kapuzą uchata lub słomianym kapeluszem nakryty—cóż dopiero, gdy na to zadzieje długi po kostki tułub baranami podbity! Na ten widok, o sto kroków chłopskie zlatują czapki, i ukłon czołem do ziemi go wita. Wieśniak w prostocie swojej nie uznaje i nie czci innego pana prócz ekonomy, bo ten mu najbliższy ciała, jak jego własna koszula. Z plebanem poufałej się wita: wprost przystępując i całując w rękę. Z dziedzicem nawet śmielszy, jakby nie wiele polegał na jego łasce lub nie łasce; jakby wiedział że za ostatnią odpowiedź otrzyma: pogadam o tém z ekonomem. Zgoła włódarka tak zwany całą gębą, który długim rygorem, prze-

biegłą bystrością wdrożył jednych do posłuszeństwa, zdemaskował figle drugich, takiej nabiera powagi, że dość mu na swoim miejscu zatknąć trzcinę o srebrnej gałce, aby się jej bano jak wróble stracha w pszenicy. Nie zawsze jednakże odziewa się on płaszczem spokojnej siły, która tradycyjnie z pokolenia do pokolenia zamieniła się w wiarę u chłopca; bo i ta istota, acz pozioma, zahukana, rozumuje, ma swoje namiętności, swoje niepoprawne lenistwo; a bodaj czy nie zaród niechęci, jaką słabszy z mlékkiem wysysa przeciw temu co nad nim przewodzi.— Jakoż za objawieniem się podobnego symptomu, ekonom—to Jowisz piorunujący; brwi mu się marszczą, oblicze krwią kipi, ręka podnosi—spada na winowajcę, mięsi nogami, sypie nań razy pokąd prawica się nie zmacha i nie powie nieubłaganiej sierzystości: pofolguj, nie mogę! Ręka, niema ręka, litościwsza bywa od duszy. W takich to momentach warto go widzieć. To byk rozjuszony, kiedy go podrażni torreador, to kogut, którego Anglik wypuszcza do walki, w różnych stosunkach swego życia uległy, cierpliwy, zimny, mru-

kliwy czasem; teraz zapala się, juszy, odważa, jakby poczuł ducha wojennej swój rasy—bo i on szlachcic, bo i on wymierzył przestrzeń dzielącą go od chama, bo i on wyrachował, że korzystniej mu w grzbiet patrzeć niż w oczy.

Doskonały ekonom pielęgnuje nad wszystko uczucie swojej godności, i stąd ma ogromną powagę; równie często rozkazując jak odbierając rozkazy, staje się groźnym i mściwym; jako pierwsza instancja, zazdrośnym swój władzy, a w nawyknienu pędzenia drugich do pracy, nigdy prawie nie rozmyśla nad jój ciężarem. Przy nakazywaniu pańszczyzny mówią mu atamani, pacholcy, tywoni: do téj roboty tyle a tyle potrzeba bab lub chłopów—on targuje się z nimi o mniejsze. Pan mu powie: to i to musi być tego tygodnia skończone. Jeżeli pilny i rad się zasłużyć, pędzi bez miłosierdzia; jeżeli leniuch albo nie stojący o służbę, zrobi lelum polelum, a rzadko tak pogodzi, aby i wilk był syty i koza cała. Moznaby go nazwać kółkiem obracającym całą machinę; z różnicą, że choć w większem kole palce się druzgoczą, machina niemniej obracać się musi.

Dziwny to fenomen społeczński, że człowiek łączący dwa te ogromnie odstrychnięte od siebie stany, niczém jest więcej jak sługą, a sługą płatnym, zawisłym od kaprysu, łajnym, poniżanym do tego stopnia, że ma sobie za zaszczyt, kiedy przy najniższym końcu pańskiego stołu dostanie talerz i resztki z półmiska; a przecież liczy on pod sobą kilkaset rodzin: starców stoletnich, dzieci niemowlęta, wdowy i sieroty, którzy do niego uciekają się po lekarstwa w chorobach, po zgodę w sporach familijnych, po ratunek w nieszczęściu, po opiekę od gwałtu. Taki człowiek powinienby posiadać wypróbowany charakter i cnoty chrześcijańskie, rozsądek wzbogacony potrzebnymi wiadomościami i doświadczeniem długoletniém— a najbardziej powinien być czulszym, wyrozumialszym na potrzeby i nieszczęście, niż sam Bernardin de St. Pierre, który po Biufonie był nadzorcą menażeryi królewskiej. Jeżeli do odgadywania instynktów zwierzęcych, Ludwik XVI wybrał filozofa natury, komużby ofiarować posadę opiekuna, lekarza, nauczyciela, rolnika—bo niestety ekonom wszyst-

kie te obowiązki połączy w swęj osobie. Wprawdzie śmieszne to zapytanie—dotąd jakoś to było i będzie—odpowiedzą ludzie praktyczni— a ekonom, póki ekonomem, zawsze musi być nadskakującym i drapieźnym, pochlebcą i dumnym, przeniwierczym i łakomym; oblicze nosić Janusowe: jedną stronę dla swego pryncypała, drugą dla poddanych; tu go ledwo postrzeżesz, jak z założonemi w tył rękoma pokornie wciśnie się do kąta—a tam wszędzie go widać, jak

Dumny mocą swego majestatu

Wzniósł się nad człeka i pogroził.

Dla czegożby nie wolno dołożyć: *światu*? Czyż ta garstka pracujących nie wyobraża świat dla siebie osobny—świat, który wszystko odnosi do tego zło-wróźbego komety, wschodzącego dlań przed słońcem, a kładącego się dobrze po zachodzie!

W tak dziwaczném zespóleniu przeznaczeń człowieka, w takiém skrzyżowaniu dróg jego—nie raz przychodzi zapytać: jaka równowaga utrzymuje tę maszynę, że nie pryśnie jak kocioł parowy? Przypisaćli to brakowi świadomości je-

dnych, lub mocy wrodzonego uczucia drugich, że broni przekroczyć granic, że krwawi i goi, że ciśnie i pozwala oddychać, że gwałci i wymierza sprawiedliwość? Czy nakoniec złożyć to wszystko na naturę, pospolitą, nie lubiącą wpaść w ostateczność, obierającą zawsze pośrednią drogę między przywiedzeniem do rozpacz, a nadzieją poprawy bytu; rutynę przekazaną starym obyczajem, obrachowaną na zysku, która mówi z jednej strony: „Szanuj narzędzie twój pracy;” a z drugiej: „tak Bóg chce, tak niech będzie.”

Nie od rzeczy byłoby zastanowić się, skąd wyszło liczne plemie ekonomów i skąd wychodzi dziś jeszcze, mianowicie około Ś. Jana, przebiegające kraj w tysiącnych kierunkach za służbą, i napętlające przedpokoje panów kontraktowych. W dawniejszych czasach, ile się da z patryarchalnego życia ojców naszych wyprowadzić, bywali to najczęściej jacyś ubodzy powinowaci lub krewni, którzy dopomagając majątniejszym w gospodarstwie, znajdowali uczciwy zarobek; więc jako nie służy najemni, jako nie lękający się

utraty chleba, musieli rządzić łagodniej, bezinteresowniej, i wchodzić w potrzeby wieśniaka. Następnie, z zamiłowaniem zbytków i słodkiego próżnowania, patryarchalne rządy i rolnictwo traciły swój powab u właścicieli, którzy wabieni miastem lub podróżami, ciężar ten zwalili na płatnych zastępców. Tym sposobem każdy niemal posiadacz włości zapotrzebował włóдаря; skąd tu ich nabrać? Aż oto podupadła szlachta zagonowa, skaleczała w wojsku, osiągała ten urząd najmniej ubliżający godności urodzenia, zwłaszcza przy kłątwie ciężającej na handlu i rzemiosłach. Dobre imie rodowe było nawet główną rekomendacją; pan bowiem przyjmujący ekonomą, przed wybadaniem jego biegłości agronomicznej miał zwyczaj zapytywać: „Czyś aspan szlachcic?”— „Z dziada pradziada!” odpowiedział suplikant. Czas jednakże przewracający i najpiękniejsze instytucje, prerogatywę tę obrócił w poniewierkę; i dziś—postępli-to? nie tylko, że o szlachectwo nikt nie bada, ale ekonomów tworzy z zasłużonych kamerdynerów, lub kozaków— a niekiedy u drobniejszych panków— o

zgrozo! karbowy lub gumieny, wydawszy się ze swoim sprytem, osiąga wielką buławę podstarościęgo. Odwróćmy oczy od tych anomalów, dowodzących zepsucia wieku, a biorąc próbę z czystej rasy ekonoma, nie odstępujemy go w ciągu tych charakteryzujących rysów.

Nadzwyczajna prostota i skromność (mówię tu o ekonomach starej daty) uderza cię już to w osobie ekonoma, już we wszystkiem, co go otacza. Pomijając ubiór małżonków, który nigdy nie stosuje się do mody, ale zatrzymuje tradycyjonalną kapotę chudego pachotka, i czepek z kilkocalową szlarką, spodnicę kwiecistą, i czerwona chustkę zagonowej szlachcianki—mieszkanie też samą oznacza się cechą. Wejdiesz do pierwszej izby, która jest oraz kancelarją i bawialnym pokojem, ujrzysz ją czysto wybieloną, podłogę narzuconą szuwarem, drewniane stołki, duży stół z rejestrami, na kołku wiszący kalendarz i linią, a na ścianach historją syna marnotrawnego przez muchy zepstrzoną—dalej strzelbę i kordelas—przy drzwiach obok ręcznika harap, a w kątku pieca pęk kii. Zajrzysz do alkierza?

dwa łoża małżeńskie białymi prześcieradłami nakryte, nad niemi N. Panna, lub jaki cudowny P. Jezus, a pod niemi kosze jaj, cebuli, wory, woreczki—i zwykle faworyta kokoszka siedząca na jajach. To przypomina czasy patryarchalne—ależ on frant szpakami karmiony! Panowie spiknęli się przeciw niemu, wyznaczając bezwstydnie niską płacę, która i w czwartej części trudów jego nie wynagradza; u nich nie wzruszone aksyoma: że najpocziwszy ekonom jeszcze o sobie pamięta. Obdarty z zaufania, źle wynagrodzony, przysięga na powierzchowne ubóstwo, i podziemny ten astronom doświadcza wszystkich sposobów wymacania żyłek złotych i srebrnych. Spekulacya jego, łatwo się domyślić, rozciąga się głównie na chłopów; jest to bowiem nie wyczerpane, najprzystępniejsze i nie pociągające do odpowiedzi źródło; posiadając nad nimi nieograniczoną władzę, wiąże ich jeszcze interesem—jednym pożycza gotówkę, od owych najmuje grunt i zasiewa, owi mu za procent zbierają, inni sprzedają za bezcen motki, znoszą miód i masło; tak że corocznie piękna sumka do sumki

przybywa. Do tego dodajmy, co się mu z pana okroi: a owoż bydełko, co jak gałeczki wypasione chodzi wśród dworskiej chudoby; a oweż podjezdki, które co rok na jarmark do Łęczny, do Berdyczowa wodzi; a oweż indyki i kaczki, które, usiadłszy na kojcu pani ekonomowa dostarcza stolicy; wszystko to Bóg wie jak się hoduje—samemi zgoninami, plewami, trawką, jak ptaszkwie leśni. Wiecznie narzekający, kurczący się z biedy, za żadne skarby nie pozwala sobie nadzwyczajnego wydatku, któryby nań ściągnął uwagę, lub dał powód do słówka: że na pieniądzech siedzi. Tysiąckroć ostróżniejszy niż ów kasyer pani B***, co dla żony kupił sobole za sumę straszną dla samej hetmanowej— zbiera a zbiera, domawia się o chleb łaskawy, z którego drwi pokątnie—aż na raz, najczęściej kiedy panu powinie się noga, i majątek wierzyciele rozszarpia, dziękuje za służbę, osiada gdzie na bruku, żydom na lichwę pożyczka, lub zadzierżawia probóstwo, a skacząc z mniejszego na większe, kupuje piękne dziedzictwo. Powiedzcież, czy darmo miał on zawsze przed oczyma historią syna marno-

trawnego? Takie igrzysko fortuny tém trafniejszy przedstawia kontrast, jeżeli ekonom staje się nabywcą majątku, swego niegdyś pana; przenosiny z niskich oficyn na piętrzasty dworzec, przemiana wyszarzanój kapoty na frak o świecących guzikach, butów smarowanych tłustością na skrzypiące i lśniące angielskiem czernidłem, wązkiej bryczeczki na czworokonny powóz o resorach— są to sceny godne Sykstusa V, kiedy się wyprostował w konklawie.

Dałoby się wiele i nieskończenie wiele rozprawić o ekonomach z temi lub owemi skłonnościami, z takim lub owakim trybem postępowania, ale to wszystko tak względne, tak rozmaite, jak cały ogół ludzki; jeden tylko wyjątek zrobiłbym z ekonoma *kawalera*— którego możnaby nazwać Faublasem wiejskim. Spójrzmy tylko na tę nasrożoną czuprynę, którą w dwucalowym lusterku poprawia, na ten nakrochmalony kołnierzyk, na wyczerniony korkiem wąsik, na tę całą postać uwięzioną we fraku i spodniach ciasnych nie do wytrzymania (co na wsi oznacza wysoki stopień elegancyi), możesz być pewnym, że

to zawołany serc podbijacz. Dziś żeś go przyjął, on wieczór już cholewki smali do panny służącej, kawiarkę szczypie gdzie w kącie, a ze starą kluźnicą ząb za ząb się kłóci. Wkrótce, choć się i nierozpatrzył w gospodarstwie, prosi się, byś mu przy święcie pozwolił gdzie na chrzciny, lub na wesele—a takich chrzcin, wesel, pogrzebów, bądź pewnym co tygodnia—bo to zawołany gładysz! Pani komisarzowa w sąsiednim kluczu mdleje, gdy go niema na jakiej zabawie—sto romansów na raz prowadzi, tu tylko się umizga dla samej twarzyczki, ówdzie wzdycha do posagu, gdzieindziej pierścionki już mienia. To wszystko trwa tak długo, aż pryncypał znudzony pyta go w przebraniu cierpliwości: „Kiedyż aspan się ustatkujesz? ożeń się raz, albo szukaj sobie służby!” W domu cała garderoba skłócona ze sobą: ta zazdrości téj, a owa drugiej; czerwona chusteczka lub kilka łokci wstążki kupionej w miasteczku i ofiarowanej przez niego, bywa przyczyną okropnych nieporozumień, które najczęściej na nim się krupią—a to gdy wyprawionemu w pole oczekiwane śniadanie lub obiad nigdy nie przy-

bywa. Nieraz kiedy najgorętsza robota, np. żniwo, ty go ni stąd ni z owąd postrzegasz, jak się kręci około garderoby. „A waść co tu robisz?!” Ale zagadnięty tysiąc wybiegów ma na pogotowiu, i tak ci nagada, tak oczy zamydli, żeś mu gotów uwierzyć, jeżeli u źródła prawdy nie poszukasz. Zabiegi jego rozciągają się nawet i do wiejskich piękności o burakowych rękach i nogach: już gdzieś zoczył młodycę, już jój nie da pokoju, to napitkiem sobie ujmuje, to przy robocie straszy—a możny to pan! tysiące u niego sposobów, któremi swojego dopnie; bo w ostatniej potrzebie usłużni pachołcy i atamani sprawni do posługi nie tylko krasawicę, ale i niedźwiedzia wywiedliby z ostępu. Mimo tego wszystkiego nierównie więcej znajduje się wielbicieli ekonomów kawalerów niż żonatych; pierwszy ci wniesie zepsucie obyczajów, gospodarstwo lada czem zbywa, chłopu mniej może ciśnie i obdziera, ale za to nie porządniej używa go do pracy. To fraszka dla pana! Kiedy go mniej skubie niż żonaty, kiedy da sobie łatwiej zagrać na nosie, łatwiej nagiąć do pańskiego kaprysu.

Dzisiejszy czas postępu zdaje się iż nie wiele zrządził zmian w stanie ekonomskim—chyba gdy do postępu policzym zbytek, jaki między tę klasę zaczął się wciskać: nie rzadko bowiem widzieć dziś poczubione ekonomowe, fryzowanych ekonomów; na oficynach firanki, zwierciadła i fortepiany—i córeczkę szczebiocącą po francuzku— a do kościoła koczobryk na resorach. Zapytaj jednakże starego chłopca, pierwszego co spotkasz we wsi: a ten ci odpowie, że teraz nie ledwo gorzej, niż dawniej. Czemuż to? Bo ekonom z przekonania jest zawziętym nieprzyjacielem wszelkich wznowień, ulepszeń, postępu. Niech światły dziedzie zaprowadza młockarnią, maszyny, poprawne pługi—niech odstępuje daremszczyzny—o dobry byt poddanego stara się; jego to oburza jak londyńskiego wyrobnika, któremu machina chleb odbiera; jemu zdaje się, że skoro ręk do pracy ubędzie, albo praca przestanie być własnością dziedzica—wtenczas i warunek naganiania ustanie. Szalony! niegdyś w świetności swojego bytu przemyśliwał i on nad machiną do bicia chłopów, bez zerwania ręki—a teraz, kiedy tu i

ówdzie przebąkują o naukach agronomicznych—z rozpaczą postrzega, jak tylko silne żylaste ręce i głos donośny z ekonomskiej jego wartości zostały.

Dla zakończenia całego obrazu jeszcze jeden przedstawia się widok: ekonoma *na łaskawym chlebie*. Staruszek posiwiały jak gołąb, zgarbiony—co dzień odmawia godzinki, i na ranną mszą chodzi do bliskiego miasteczka—do pana, którego dzieckiem nosił na rękach, ma wolny przystęp w każdym czasie, bo rada, jakiej mu udziela, z najwierniejszego serca płynie. Pięćdziesiąt lat zasług, i nie pamiętał o sobie! A miał tyle łatwości z bogacenia się. Panicz w świat leci—odbywa kampanie, majątek na jego zostawia głowie; on mu wiernie dosyła część dochodu, a resztę składa w kapitał—co więcej, znosi wielokrotne nieszczęścia wojny, kwaterunki, rekwizyce, szturchania—wszystko w imieniu pana—bo tak się moralnie z nim złączył—że inaczej jego własności nie nazwie jak *nasze*, do tego stopnia, że mówi; *nasze* grunta, *nasze* konie,

nasz dom, nasze dzieci. Szczęśliwy, stokroć
szczęśliwy, kto takim poszczyci się sługą—przy-
jacielem; rzadki to ptak na ziemi!

r. 1840.



O MIŁOŚCI W POEZJI I W ŚWIECIE
RZECZYWISTYM.

(Do Józefa Kremera.)

Przypominasz sobie Panie Józefie, jak pewnego wieczora zaczęłeś mię pytaniem o miłości, ma się rozumieć nie o tój zwyczajnej miłości, która była, odkąd świat stoi, i będzie, dopóki się nie skończy, (bo rzeczywiście koniec miłości, stanie się końcem świata), ale o tём wielkiem uczuciu, pochwyconém przez poetów, uidealizowaném, przeprowadzoném przez wszystkie szczeble namiętności, wycieniowaném różnicami najodrębniejszych charakterów, uczuciu, które mieści w sobie znamię całej epoki, którego wszystkie pro-

mienie, skupiły się w jedném ognisku, aby palić, rozgrzewać, ożywiać stygnącą pierś ludzką. I za przykład przytoczyłeś mi, taki żar włoskiej miłości w Petrarce; taką Franczeszkę Rimini, i jeszcze więcej anielską postać Beatryczy w Dantém; czarowny ustęp Izabeli i Zerbina w Arioscie, a nakoniec cały ten nieporównany dramat Romea i Julii. A tak oćmiwszy oczy moje tym potokiem diamentów najcudniejszej wody, pytałeś; niemiłosierny, gdzie mamy co podobnego w naszej literaturze? Który z polskich poetów przedstawił miłość w całej jej potędze, głębi, uroku i prawdzie, który, że tak powiem w jednej postaci uosobił to uczucie, żeby po jej promieniu, każdy drobniejszy artysta sięgał, i złożył niemi swoje utwory? Chciałem ci wręcz odpowiedzieć, i przynajmniej nagłością odporu, przyćmić zupełność twego zwycięstwa. Błyskawicą myśli przeleciałem wszystkie strony gęśli i lutni od Jana z Czarnolesia do puszczy litewskich wieszca, pytałem Hanny, Justyny, Maryi, Maryli, Aldony, i téj Anielicy jawiącej się poecie na Alp szczycie w postaci drugiej Beatryczy,

zaczepiłem Lille, Wenedy i Balladyny, wszystkich Gustawów i nieszczęśliwych kochanków werterowskiego pokolenia i nic mi nie odpowiedzieli, tylko zasunęli się obłokami, jak na czarodziejskim balecie, tak, że jednym widać było ledwo ogniste oczy, drugim trochę rozdartego serca, owe nie jasny kontur wyrażał, inne świeciły bielidłem i różem, a we wszystkich nie było całej prawdy, całego ogromu miłości.

A jednak nie powiedziałbym, żeby naród w życiu swém nie miał wielkiego dramatu serca, temu się tylko dziwię dla czego nie przeszedł w dziedzinę poezyi, a jeśli przeszedł, to tak zimno i słabo że sama prosta historia, sam ułamek listu, więcej mieści w sobie poetycznej mocy i prawdy niż długie tyrady, polityczno-sentymentalne. Pojmujesz o czém chcę mówić: o téj pięknej, ubóstwiającej przez Zygmunta Augusta Barbarze co z głębokiej smętnej Litwy, pisze do swego królewskiego kochanka: „Jeżeli W. K. M. pan mój ze mną, kto przeciw mnie? Zna i przeczuwa licznych nieprzyjaciół na dworze, ale ufna w moc swego przywiązania i w stałość królewicza, nie-

dba o nich. Ile tu poddania się, ile silnej wiary! ? A znowuż w tej zamianie miłośnych upomników, ile uroczej prostoty: „Posyłam ja też W. K. M. pierścionek od wiecznej niewolnicy swej, niegodny pierścionek noszenia ręki królewskiej, racz W. K. M. miłościwie przyjąć on zegareczek odemnie, bogdajby mię rychło oznajmił fortunną a wesołą godzinę przyjechania W. K. M. sam do nas.” A tenże August silny miłością swoją jakżeż dzielnie staje w zapasy z niechętną temu związkowi szlachtą na sejmie piotrkowskim i z chytrzejszą a stokroć niebezpieczniejszą Boną! jak zwyciężywszy, na dwór wprowadza małżonkę, kilka złotych chwil spędza w borach niepołomskich, koronuje drogą głowę, i zda się, że triumf zupełny odniesie i posiedzie spokojnie drogi klejnot serca, gdy nagłą śmiercią uchochanej małżonki, kończy się dramat... Ale nie! August prowadzi jej zwłoki do grobów wileńskich; żadna go niepogoda, żadne przeszkody wstrzymać nie mogą: karawan ciągniony końmi czarnej maści, toczy się, wśród puszczy litewskich, a osierociałą małżonkę, na koniu, ze spuszczoną głową, po-

stępuje tuż za nim. Nieznam przedmiotu któryby tyle stron miłości ogarniał, któryby wyprowadził to uczucie na pole walki z tak wielkimi powinnościami, jak króla względem narodu, jak wiary małżonka i kochanka względem wymagań polityki.

I to wszystko nie natchnęło nikogo, coby umiał w ogniste słowa ująć tę treść, i ten typ kochania i kochanków naszych wystawić? Czemuż to przypisać? czemu ówczesny Kochanowski, który umiał tak bosko opłakać zgon Orszuli, ani łyzy nie uronił nad Barbarą? Pytanie to wiąże się z tysiącem innych pytań. Chcąc je więc jako tako wyświecić, pobudzony twoją prelekcją o miłości pogańskiej i chrześcijańskiej, radbym i ja dołożyć kilka mych pomysłów, poruszając dawne epoki i światy, a kończąc na tém, co nas bliżej dotyczy.

Jakkolwiek miłość boski ma początek, przechodzi jednak te same koleje, jakim podlega ród nasz w którego serce Twórca ją wszczepił. Nędze i ułomności nasze, upadki i gorycze odbijają się w miłości. A jako po Bogu i równie z wol-

nością, taką samą ma rękopię nieśmiertelności co i natura, dla tego odradza się świeża i pełna twórczości po największych wstrząśnieniach. Dzieje miłości są historią rodzaju ludziego.

Najpierwsza miłość, dwojga pierwszych kochanków, która natchnęła taką cudną poezją Milтона, nie miała i niemogła mieć sobie podobnej... Ewa była siostrą Adama, była jego córką, jako stworzona z krwi, kości i ciała małżonka. Pojmujemy, ile podobne uczucie skupiało w sobie sympaty, tkliwości i powagi dziwnie uroczystej. Wszystkie ziarna miłości zasiane w głębi organizacyi naszej zestrzeliwały się w tém jednym uczuciu. Platon, ożywiony duchem wieszczym, zbliżał się w swych cudownych marzeniach, do Genezy; lecz jeszcze stoi tak daleko, jak daleką jest myśl wielkiego mędrca od myśli Bożej.

Ale pocóż nam zatrzymywać się na tej miłości nieistniejącej dziś, chyba w kilku wierszach ksiąg Mojżeszowych i rymach utraconego Raju! Co więcej, tak zatartej biegiem tylu wieków, zmianą stosunków towarzyskich, że dziś odga-

dnąć i zrozumieć ją, przechodzi granicę pojęć naszych. Miłość tego rodzaju ogołociłaby tegocześnie uczucie z dwojakięj ułudy: bo któżby chciał miłości bez tajemnicy? Kto bez współzawodnictwa?

Szczęście być kochanym zasada się mniej na posiadaniu serca, które się broni. Niespodzianka spotkań, ukradkowe spójrzanie słodkie a tęskne, ściśnienie drżącej ręki nieśmiałą dłonią, to są najwyższe rozkosze. A cóż dopiero wrażenia szacunku i zapału na widok ubóstwionego przedmiotu; chwytanie każdego słówka; pomięszanie, gdy się zjawi, żal gdy opuszcza; trwoga, gdy kogo innego swym uśmiechem lub grzecznością obdarzy, ożywcza nadzieja gdy cię spójrzeń promieniem obleje.... Wszystkich tych dziwów miłości nieznano w ziemskim raju; i o takiej miłości nie śniło się nikomu. Miłość w wiekach przedpatriarchalnych musiała wielkie mieć podobieństwo w moralném znaczeniu, z tém uczuciem pierwszych naszych rodziców. Konieczność łączenia się braci z siostrami, przechowywała pierwiastek miłości w całej czystości, niewyłączając wszakże ani zwykłych trwóg

i nadziei, ani palących żądz, ani gwałtownych burz namiętnych, które kochaniu towarzyszą. Poeta, nic więcej tylko poeta, maczugę ludobójczą byłby dał w ręce pierwszemu zdradzonemu kochankowi. Pismo Ś. szczytniej wykłada tę naukę, z której wynika, iż Bóg był wtedy przedmiotem, najpierwszej miłości, a potem, że obrażona pycha, zawiedziona ambicya, namiętności drobne i pozbawione czucia, stały się jedyną pobudką rozpusty i nieszczęść ludzkości.

Od téj chwili panowanie kaprysu lub zwyczaju zajęło miejsce praw wewnętrznych, wyrzysych wgłębi człowieka, przyrodzonym instynktem, tradycją ojców i objawieniami boskimi. Miłość z niewiadomością uciekła z pod koczowniczego namiotu, a czystość, która dotąd była cichym wstydem duszy, rumieniając się, odgadła tajemnicę swéj zasłony.

W wiekach bohaterskich darmobyśmy szukali śladów miłości. Tyrańskie i dzikie religie, teokratyczne i samowładne, hołdujące majakom chwały i wolności, deptały to uczucie, które nawet niezastługiwało na miano uczucia, lecz nosiło ra-

ezj znamie fanatycznego, zwierzęcego poddania się i niewolnictwa. U wielkich historycznych ludów rola miłości nie była zaszczytniejszą. Ktokolwiek czytał romanse greckie, pełne płaskich intryg, oddające stylem ciężkim a nadętym rozwlekłe sentymenta, malujące zimne i fałszywe charaktery, ten będzie miał wyobrażenie miłości u Greków.

Przypatrzmy się miłości greckiej, temu ideałowi najpiękniejszych starożytności utworów: jakie tam rysy okrągłe i harmonie! ? widać, że żadne głębsze wzruszenie nienaruszyło ich wdzięcznej surowości; oko otwarte; zda się że nigdy nie ciskało żądliwych promieni, nie iskrzyło się zazdrością, lub gniewem, usta nigdy nie ścinała rozpacz, ani odymała wzgarda, czoło gładkie, bo troska zjadliwa nie przesunęła się ani razu, aby bruzdę zmarszczku zostawić, w tym posągu zawiera się całe pojęcie miłości u Greków. Wenus, greckiego rzeźbiarza, to cud kształtów! Podziwiaj ją, ale się nie lękaj, składać jej czi jak bóstwu. Ogień, który ożywił posąg Pigmaliona, nigdy nie owionął téj martwej postaci, któ-

ra, gdyby przypadkiem mogła ożyć, niewiedziałyaby co począć ze swoją biedną duszą. Zgoła, jest to arcydzieło sztuki, bóstwo rąk człowieka, kamień ale nie miłość. Literatura starożytna tak jest ubogą w uczucie miłości, że nie dziwić się, czemu nauka greczyzny i łaciny dawno już nie wchodzi w obręb wychowania kobiet. Sam jeden Wirgili potrafił kilka strun, co jeszcze znalazły odgłos w sercu. Zapewne, przypuścić można, iż za jego czasów krążyło mdle jakieś przecucie blizkiej przyszłości, snadniej objawiające się nad cichym brzegiem mantuańskiego jeziora, niż na ucztach Meceny. Kształt społeczeństwa miał się ku odmianie, a wiemy, że taką ogromną zmianę poprzedza zwykle jaki moralny fenomen w życiu narodu, mianowicie, w głowach ludzi wyższych, którzy więcej ważą, na szali przeznaczeń, niż same narody. Kiedy słońce wschodzi, wierzchołki wysokich gór najpierw oblewa blask jego promieni; zdawałoby się, że wprzód na tronie zasiada, nim się dźwignie z kolebki. Słowo w słowo dzieje się podobnie z każdą wschodzącą cywilizacją.

Zbliżał się czas chrześcijaństwa, jemu to winniśmy, wszystkie nasze dzisiejsze uczucia. Pastuszkowie przybywali do stajenki z darami kwiecica i owoców, podobni w tém do wirgiliuszowych pasterzy, i rozsypali je u nóg nowego świata, jakby wróżbę świeżej wiosny. Najcelniejszym z tych kwiatów, dziś tak zapoznanych, było usamowolnienie niewiasty, była miłość.

Miłość chrześcijańska już odgadywana w szczytnych marzeniach platońskich, żywiona w niektórych sektach wschodnich, walczyła przez kilka wieków z próbami męczeństw, zanim z cieniów wygnania i katakumb na świat wyrzała, czysta, anielska i słodka, lecz smętna, blada i cierpiąca, nibyto baranek ofiarowany na odkupienie ludzkości: wyobraźnia nic już nie wymarzy coby mogło zastąpić miłość chrześcijańską; nie darmo też poczęła się w grobie; na grobie też narodów zgaśnie ostatni jój płomyk. Chrześcijaństwo tém się różni od wszelkich innych religij, że przybytek swoich świętości nie w wyobraźni, lecz w sercu zakłada, że nie zstąpiło dla rozkoszy możnych i bogaczy, lecz dla ubożuchnych i nieszczęśliwych;

że nie nakładając nowego jarzma przyszłości, strzaskało żelazne jarzmo, gniotące ubiegłe pokolenia.

Miłość jest tak związana z chrześcijaństwem, że często w średnich wiekach godła ich mięszwały się z sobą. Ów olbrzym Krzysztofor, znany w podaniu gminném każdego ludu, którego kamiennie wyobrażenie jeszcze do dziś ozdabia nasze gmachy, niczém nie jest tylko Herkulesem nowéj cywilizacji, Prometeuszem chrześcijańskim, noszącym miłość na rękę.

O jakże to trudno ogarnąć przedziwną tajemnicę miłości chrześcijańskiej w całej pełni jej uroków! Przytoczmy na dowód tylko to, co o niej mówi nieporównana książka *o naśladowaniu Chrystusa*: „Wielką rzeczą jest miłość i wielkiém ze „wszechmiar dobrém; która jedynie lekkim czy „ni wszystko, co jest trudne, bo dźwiga wszelki ciężar bez utrudzenia; i wszelkiej goryczy „słodycz i smakowitość nadaje.

„Miłość w górę się wznosi i poziomemi rzeczami nie daje się więzić.

„Miłość chce być swobodną i obcą wszelkiej

„żądzy światowej, aby jej wewnętrzne pragnie-
 „nia nie doznały przeszkody; aby się wśród docze-
 „snych pomyślności nieuwikłała, lub wśród niepo-
 „myślności nieupadła.

„Kochający leci, bieży i raduje się: wolnym
 „jest i nic go nie tamuje: daje wszystko, dla
 „wszystkich, i we wszystkich ma wszystko; bo
 „spoczywa jedynie w Najwyższym, z którego
 „wszelkie dobro płynie i pochodzi.

„Miłość ciężaru nie czuje, na trudy nie dba;
 „porywa się nad siły; o podobieństwo nie pyta,
 „bo wszystko mniema dla siebie podobnym i do-
 „zwoloném. Zda się więc do wszystkiego, wiele
 „dokaże i skuteczni, tam, gdzie niekochający
 „ustaje i pada. Miłość czuwa i wśród snu nie za-
 „sypia; wśród pracy, nie utrudza się; wśród pęt-
 „nie jest spętana; wśród trwogi nie mięsza się,
 „lecz jak żywy płomień i grzejąca pochodnia
 „w górę wybucha i bezpiecznie przechodzi. Kto
 „kocha ten rozumie, co ów głos znaczy.”

Gdzież co podobnego, znajdziesz w starożyt-
 ności? Ani w prostocie homerycznej, skądinąd,
 tak pełnej prawdy ludzkiej, ani w tklivym śpie-

waku Didony, ani w rozkosznych zwierzeniach się Tibulla, ani w skargach Owida, nie spotkasz się z tym śpiewem duszy, jaki rozlega się z pu-stelniczej celi chrześcianina, wycieńczonego po-stem, wyschłego umartwieniami, a tak pełne-go świeżości serca.

Miłość chrześciańska w kształcie swym nie była tak niezmienną jak jój zasada. Przecho-dziła ona różne koleje zmian wraz z całą spo-łecznością, nienadwerężając, aż do dziś prawie boskiego znamienia, świadczącego o jój wyso-kim pochodzeniu. Przebiegać z nią razem te wszystkie koleje, byłoby to rozszerzyć ramy zbyt szczupłego obrazu; dla tego przedmiot ten taki ważny na lekkie pióro, co go wplątało w przy-jacielską pogadankę, można tylko potrącić, nigdy wyczerpać.

Tak wzniosłe pojęcie miłości w świecie rze-czywistym odbić się musi równie wspaniałym ideałem; dla tego też w średnich wiekach kobię-ta uzacniona duchową miłością mogła natchnąć trubadurów i minezengerów że wydobyli z pier-si czucia i dźwięki niepożyczone, niezastłyszane

znikąd. Ubóstwienie kochanki łączyło się misternym związkiem, z osobliwszą czcią ku matce Zbawiciela; łatwe wtedy były trudy wojenne, łatwém męstwo. na turnieju lub w boju, łatwą droga poświęceń się, kiedy po niej wiodło oko pani tajemnych myśli. Cała ta średniowieczna epoka dotknęła nas tylko z daleka, mimochodem jak żywioł obcy; bo duch, bo język nasz nie tylko nie zdobył się wtedy na wylanie tych uczuć, jakie mogły strząsać piersiami, ale nawet potrzebie codziennój nie zdołał wystarczyć.

We Włoszech nastał czas odrodzenia się: surowy, ascetyczny gotycyzm począł się zaokrąglać greckimi kształty; starożytnych wzięto za wzór do naśladowania. To wszystko zaraz odbiło się w naszym świecie moralnym, i zbudziło język a z nim literaturę, co ledwo własnym głosem zdołała zaszczebotać, przyjęła więzy Rzymian i Greków. Odtąd wlokła się ta nić przez resztę dziejowego żywota; bo czémże był ten żywot, jeżeli nie anachronizmem?

Myśli, wyobrażenia, pojęcia, rządu, obywatelstwa, nasuwał Cycero, Liwiusz, Plutarch.

Duch tylko chrześcijański i serce Słowiana łagodziły pogańską szorstkość Romy starożytnej. Cywilizacya tak kształcąca się nie była w stanie innej stworzyć literatury, jak tę, którą nam przekazali przodkowie, bardziej jako skarbiec języka, niż samodzielnej twórczości. Cóż dziwnego, że miłość, którą koniecznie trzeba malować krwią własnego serca, własnem ożywiać tchnieniem, grała w tém wszystkiem tak poziomą rolę jak za pogańskich Horacych i Owidów. Ośmnasty wiek z całym swoim skeptycznym materyalizmem owionął znowu umysły odjąwszy im resztę tej czerstwój siły i świeżości, jaka znamionowała pierwotne płody literatury naszej; ironia, dowcip pożyczony na wyszydzenie rodzinnych świętości, tworzyły na zimno poemata komiczne, obok których taki Karpiński, obdarzony sercem prostem a tkliwem, a odgadującym niejako poezyę przyszłości z zarumienionem musiał stać czołem kiedy go z przekąsem nazywano, *Kochankiem Justyny*. Ta głusza sercowa długo przechodziła się po utworach poetycznych narodu, dla tego też utwory te słaby miały odgłos: przesuwały się tyl-

ko po wierzchu niewstrząsając do dna. Dopiero pierwszy śpiewak litewski zastawszy potrząśniętą drogę kwieciami uronionym z drzewa poezji gminnej, zagrział po niej pieśnią, która acz nastrożona obcej sentimentalności akordem, nanieciła ognia w pierś narodu, zaentuzjazmowała młodzieńcze dusze, wzbudziła miłosne szaty, a kobiecie kochance przywróciła tę zacność i świętość, ten czar i woń z jakiej ją ogołociła erotyczna maniera naszych klasyków. Pęd ten wyobrażeń i uczuć musiał prowadzić do odświeżenia myśli chrześcijańskiej, do zamienienia wrzeczywistości tego, co się w głowach i sercach zbudziło, ale rzeczywistości zawodnej, ale ogromnej przeciwności, a najbardziej te potrącenia obce, to wieczne trzymanie się z opinią zachodniego świata, poplątały pasma snowane z głębi rodzimej ducha. Droga twórczej samodzielności którąśmy iść poczęli, skończyła się przebieżona ledwo do połowy i, najszczytniejszy wyraz jenu-szu człowieka, miota się, w konwulsyjnym konaniu, i jęczy, jak westchnienie ostatnie! Czyżby poezya a z nią miłość miały nas opuścić na za-

wsze? Straszny wyrok! przesywający śmiertelną dreszczą; a jednak, jeżeli pomyślisz, o twórcach nowego porządku, którzy na przekór Panu Bogu, z czegoś robią nic, którzy miłość moralną uważają jako nieznaczącą zabawkę, dobrą dla zabicia czasu; albo ją cenią na wagę złota, albo nakoniec upatrują ją w emancypacyi, a lepiej jeszcze w spólném użyciu kobiet, musisz mimowolnie ręce do nich wyciągnąć i zawołać: niemożecie-li, ani pojąć religijnych ani prawd zasadniczych ocalić, które tak zwichnione, ocalcie przynajmniej miłość! Jeżeli ona nie sklei rozbryźniętych żywiołów społecznych, to pewno żadna z waszych teoryi tego nie dokaże.

Niech cię to nie dziwi panie Józefie, zem taką przepaść myślą wywiercił i że w nią ciskam jak w studnię Al-Kahiru, wzrok głęboki, ale czemuż nie zmierzyć do dna przepaści, nim konieczność nieubłagana każe nam w jój głębiach, pograć się na zawsze?!... albo lepiej, nim Opatrzności palec zatrzyma nas nad samym jój brzegiem?



DUCH I SYMBOLIKA

w Sztuce.

Zachowawczość i użycie, było godłem starożytnych pogan; spełnienie obowiązku z poświęceniem się, aby dostąpić nieba, usiłowaniem wieków chrześcijańskich. Aczkolwiek dwa te prawidła nie są bez wyjątku mimo tego głównie skreślają charakter dwóch epok. Tak więc mamy z jednej strony dobry byt, rozkosz zmysłową, a z drugiej obowiązek, poświęcenie się. Z tak odmiennymi celami i sztuka musiała dążyć po odmienną kolei.

„Rozejdźcie się po świecie i opowiadajcie słowo Boże” Powiedział Chrystus; i w moc jego

rozkazu, rozszerzanie chrześcijaństwa w wiekach średnich, stało się głównym celem niezmodowanej czynności a następnie i sztuki, która oddała się posłudze religii.

W ludzkim prawodawstwie widzimy tylko wymiar kary; w boskim, jeżeli jest kara dla złych, jest i dla dobrych nagroda. Rozpowszechnienie Ewangelii działało się zarówno przez wzbudzenie trwogi, jak w imię miłości, przez wystawienie mąk piekielnych i odmalowanie roskoszy raju.

Sztuka w szczerości i prostocie, może instynktowie, lecz wiernie, nadała ten podwójny charakter utworom swoim. Obok aniołów pojawia się szatan; obok świętych panien, rozpustnice; obok zbawionego chrześcianina, potępieniec. Nadzieja i trwoga, niebo i piekło, dobre i złe, cnota i występki są obrazami, które sztuka chrześcijańska ciągle stawia przed oczyma winnych, symbolizując zarówno piękne jak szpetne.

Oprócz tych dwóch sposobów rozszerzenia chrześcijaństwa przez bojaźń szatana i miłość Boga nie było innego, któryby z równą dzielnością

wrażeń działał na umysły. I tak, czy to w kazaniach i naukach, mówionych lub pisanych, rzeźbionych w kamieniu lub oddanych barwami, musiano rachować raz więcej na wpływ miłości, raz znowu na wpływ trwogi, stosownie do większej lub mniejszej cywilizacji obyczajów jakiego narodu. Dla tego też w sztuce ciągle odzwierciedla się stan powszechnego uobyczajenia. Znając tém samym stopień umysłowej ciemnoty, lub społeczeńskiego postępu w jakim kraju lub w pewnej epoce, możemy odgadnąć, jakim duchem przemawiał chrześcijański kaznodzieja; czy *timor dei* czy *amor dei* przeważały jego słowa, a ztąd, czy i sztuka służąca religii, więcej przed oczyma stawiała szatanów niż aniołów, więcej potępieńców niż zbawionych?

Pewnik to niezaprzeczony, że im dzikszy, a umysłowie niższy charakter narodu, tém niezbędniej jest, chcąc zrobić na nim wrażenie, stawiać mu przed oczyma przerażające obrazy; ani bowiem urok nadziemskiej szczęśliwości, ani zachwyty duchowe, pociągając go ku dobremu ani zapalić zdołają.

Jak już się powiedziało: sztuka w wiekach średnich zostając wyłącznie w ręku kościoła, musiała być jednym z głównych czynników mających rozszerzenie wiary chrześcijańskiej na celu. I mogłoby być inaczej? Pod one czasy światło, uobyczajenie, nauka, założyły ognisko swoje, w stanie duchownym; lud nieumiał ani czytać, ani pisać; sztuka Guttenberga nieuczyniła jeszcze nauki przystępnej powszechności, artyści zaś w gronie swém liczyli więcej mnichów i księży niż świeckich. Ztąd też malowania na ścianach i szybach, rzeźby i ozdoby kościelne, musiały łączyć się z ogólnym systematem nauki, wykładanej codziennie przez usta kaznodziei, mówiącego do grubych zmysłów słuchaczy. Myśl duchowa, religijna, ażeby była pojętą, przenikną, przybierała koniecznie zmysłowy kształt, wyrażała się symbolem. Dzisiaj byłoby niepodobną rzeczą objaśnić te wszystkie symbole napętniające stare katedry, dowieść, że one potwory mają symboliczne znaczenie; jednakże opierając się na powyższych zasadach na samym duchu chrześcijaństwa, niepodobna niezgodzić się, iż

we wszystkich tych pomnikach średniowiekowych panuje jedna myśl, jeden porządek którego zupełny system dotąd nieodgadniony. Widzimy tam symbolikę ożenioną harmonijnie z kształtem, z barwami czarującymi oko, z posągami, z stworami, a nawet z roślinami, co wszystko ubogaca wewnątrz i zewnątrz świątyni. Cały świat mineralny, roślinny, zwierzęcy, cała stworzona ziemia przyczynia się do wydania architektonicznej jedności, którą złamane w kolorowych szwach światło niebieskie oświeca. Patrząc na tłum rzucony na kolana w takim przybytku pańskim, słysząc grzmot organu odbijający się o wysokie sklepienia, nowa budzi się dusza, rozpiera pierś jakaś tajemna potrzeba zlania się ztém co cię otacza, czy to z ludźmi, czy z kształtami i barwami, i wtenczas czujesz i pojmujesz, że ten ogrom ma duszę, że ją znajdziesz byleś się wgłębił i wtajemniczył.

Ażeby jasno wyrazić się, zatrzymajmy się nad tą myślą. Starożytnym sztuka była tylko uciechą, dla tego kochali się w samej piękności; sztukmistrze średniowieczni, inaczej to pojmowa-

li, zajęci zbawieniem duszy, poddający się wpływowi duchownych, musieli trącać w podwójną strunę trwogi i nadziei, a mianowicie w pierwszą. Zamiast podziwiać w potworach wijących się pod stopami świętych, lub wyszczerzających zęby smocze ze szczytu wież, bogactwo tylko i szalą dzikiej fantazyi artystów, nie trafniejże jest szukać w tych szpetnych wyobrażeniach tajemnic głębszej nauki godnej dociekań chrześcianina?

- W rzeczy samej nie można brać tych pojavów sztuki średniowiekowej za proste płody nieogłędzonej i wyuzdanej fantazyi, ale raczej za hieroglify, dziś dla nas tak niepojęte, jak cała apokalipsa, która niejednego artystę wieków chrześciańskich natchnęła.

- We Francyi, Anglii, Niemczech pełno jest uczonych badaczy ślęczących nad odkryciem tajemnic pisma ćwiekowego, lub run; gdy o ile wiemy, żaden nie zajął się odgadnięciem tysiąca tych postaci, ozdabiających stare gotyckie gmachy; a wzbudzających podziw dzisiejszych sztukmistrzów. Zkąd to pochodzi? wytłumaczyć snadno, oto po większej części zajmuje ich tylko skoru-

pa, tylko materyalna powierzchnia chrześcijańskiej sztuki.

Duchy są niewidzialne zmysłowemu oku; a tylko duchowém okiem można wniknąć w życie wewnętrzne, jakim dzieła te drgały w innym czasie; a tylko uczuciem wysledzić uczucia ożywające tych, co je tworzyli, i tylko czystą wiarą zrozumieć język wiary. Ale i bez tego wzniosłego usposobienia nawet lada skeptyk przekonałby się o głębokiem znaczeniu tych hieroglifów, idąc ulubioną drogą doświadczeń i rozbioru, analizowałby z różnych gotyków pozbierane figury co do ich kształtu, położenia i kierunku, a porównawszy z sobą, wyprowadziłby wnioski zapewne przybliżone do prawdy, aczkolwiek długą i zmudną drogą otrzymane. Ten sposób badania byłby słuszną karą na tych którzy tak zupełnie wyzuwają się z uczucia, dla zimnego rozumu, z syntezy dla analizy. Umysł Keplera, nie żadnemi dociekaniemiami a *posteriori* pojął wzniosłe prawa ruchu gwiazd.

Analiza niekoniecznie jest potrzebna, aby przekonać rozsądnego człowieka, że artyści średnio-

wieczni uciekali się do symboliki w najobszerniejszym znaczeniu. Dość czytać ojców kościoła, aby się przeświadczyć, że co chwila symbolami objaśniali rzecz swoją. Często napotykamy w nich miejsca, które wzięte do litery zdają się nedorzeczne, niepodobne do prawdy a nawet nienaturalne i obrażające majestat boski; a tym czasem jest to tylko sposób wyrażania się symboliczny.

Jeżeli ojcowie kościoła, apostołowie, sam nawet Chrystus pod Symbolami opowiadali naukę, jakżeby sztukmistrze chrześcijańscy, należący po większej części do bractw religijnych, nie mieli używać jedyne go środka, który mógł być wielkie znamie na dziełach ich wycisnąć, i przeważny wpływ na masy wywierać? Nadarmoż to u wnijścia każdej katedry stoi owych czworo zwierząt, o których mówi Ś. Jan; na jakież cel unoszą się te chory aniołów apokalipsy, z naczyniami pełnymi wonności, mającemi wyrażać modły wzbijające się do stóp tronu przedwiecznego?

Sztuka niczym jest tylko symboliką cielesne-

go, moralnego i duchowego stanu ludzkości w różnych okresach jej rozwoju. Czyliż pogaanie niesymbolizowali sił natury? Egipcyanin sadzał głowy zwierzęce na ciele człowieczym, lub głowy człowiecze na ciele zwierzęcém, i tym sposobem utworom swoim symboliczne nadawał znaczenie. Toż samo w jeometrycznych liniach jakiej budowy, układających się do potrzeb i stanu wiedzy pewnej epoki, nietrudno symboliki dopatrzeć! Zastanawiając się nad rozwojem budownictw, snadno znajdziemy, iż uczucie nasze wyraża się w składzie i poprowadzeniu linii językiem architektonicznym; z czego wypływa, iż architektoniczny ideał musi być wyrazem uczucia ludu, i że charakter linii używanych przez różne narody ma ścisły związek z ich religijném i społeczeńskim wyobrażeniem. Ażeby tę myśl rzuconą tu pobieżnie, bliżej pojąć, wskażemy niektóre przykłady. Wiemy że Egipcyanie uważali życie jako straszną podróż do kraju śmierci. Dla nich mieszkania były jakby domem zajezdny, w którym podróżny zatrzymuje się na chwilę aby czémprędzej stanął u właściwego sobie przytułku,

u grobu. Z tąd najznamienitsze ich pomniki są grobami; świątynie ich podziemne, podobne są więcej do grobów, niż przybytku świętości. Śmierć ciągle stoi im na myśli, nawet z godowych komnat nie ustępowała mumia ażeby biesiadnikom przypominała konieczność śmierci.

Jakież to pojęcie wywarło wpływ na sztukę? Powszechne wyobrażenie o śmierci, zrodzić musiało bezwzględną martwość; życie przeciwnie składa się z mnóstwa pojęć, albowiem objawia się ruchem; trup wyciąga się i tylko jedno ma położenie; żyjące ciało pod wpływem wrażeń duszy, wydaje najrozmaitsze zgięcia i kształty. Ztąd ideał egipskiej architektury musiał koniecznie oprzeć się na tak prostój i martwój podstawie jak wyobrażenie o śmierci ażeby takowe oczom uobecnić. Linia więc prosta stała się tym ideałem architektury w kraju Faraonów. Tą drogą postępując dalej, możnaby pytanie to pod wszelkimi względami rozwinąć.

Otworwszy pismo Ś. na samym prawie wstępie czytamy jak Pan Bóg człowieka z gliny ulepił, i wlawszy weń swego ducha, ożywił go.

Cała tajemnica sztuki zamyka się w tej powieści o glinie, która stała się człowiekiem; albowiem sztuka może mieć tylko cel bezpośredni: życie wlać w materią, duszą ją natchnąć a czemże jest dusza w utworze sztuki, jeżeli nie tą myślą, tém uczuciem, które się symbolizują w materialnym kształcie? Skoro sztukmistrz techniem swém owieje bryłę kamienną wydobytą z łomu, zaraz ta bryła ożywia się; od téj bowiem chwili zaczyna ona wyrażać jego uczucia i głośić pojęcie; aż nakoniec staje się słowem w tym powszechnym języku, instynktowie zrozumiałym dla każdej żywej duszy.

Śmiało twierdzę, stawiając opór materialnym dążeniom, że sztuka plastyczna, niczém nie jest, tylko językiem na oddanie ludzkich uczuć i pojęć; pomniki, obrazy, posągi, gmachy, są jakby rozmową słyszaną oczyma; symbolem, wyrażającym rozmaity stan duszy.

Podobnie jak mimiczny język powszechnie jest rozumiany, nawet przez ludzi najodrębniejszych języków; tak samo i sztuki przemawiają mową podobną mimice, działając na zmysł wi-

dzenia, za pomocą kształtu i barwy. Możnaby nawet przyjąć, że obie na jednym opierają się prawidło; albowiem kombinacja linii odpowiadając poruszeniu przez które mimik uczucie swoje wyraża, powtórzy się w sztuce plastycznej, jako symbol tegoż samego uczucia. Dla artysty, pojmującego prawa tajemnych stosunków, jakie zachodzą między naszym uczuciem a kształtami materialnymi, myśl ta nie będzie ciemną owszem w postawieniu obok siebie tych dwóch przedmiotów cały świat dlań się otwiera.

Mniemam, że te rzucone pomysły nie są do wzgardzenia, tém bardziej gdy dziś sztuka i budownictwo usiłują zwrócić się do swego chrześcijańskiego początku. Owe potwory średniowiekowe, owa, tak zwana dzika i zepsuta fantazya, może się głębszą, wznioślejszą dziś wyda, jeżeli wnikiemy w jej ducha i zrozumiemy gramatykę symbolu. Naśladownictwo gotycyzmu ślepe, bez myśli, ustanie—a natomiast przerwana wiekami odrodzenia, sztuka chrześcijańska, dalej rozwijać się będzie.

Kiedy za naszych czasów w braku idei ży-

wotnej, wymyślono sztukę dla sztuki—odkryła się cała nędza wieku. Śród gwizdu, huku i stuku machin, sztuka, ta córa niebios zeszła na posługaczkę, która musi odrabiać swoją pańszczyznę. Wszystko też, co tworzy, nosi znamie partactwa, i pokazuje uległość mechanicznym siłom. Wiek intelligencyi umie tylko martwe automaty płodzić, gdy tymczasem, owe wzgardzone wieki ciemnoty, umiały każdą rzecz i każdego natchnąć indywidualnym życiem; dla tego co bądź wyszło z ręki człowieka, dawało świadectwo o samodzielności jego ducha.

Gdzież są ci dawni rzeźbiarze z drzewa, z kości słoniowej, gdzie złotnicy, gdzie tkacze złotogłówów i bławatów? Wszystko to w miazgę starły nasze maszyny, aby płodziły mdłe, jednostajne, bez żadnego charakteru wyroby, któremi siebie, domy, pałace i świątynie zdobimy. W tym tylko względzie dójrzeć-by można pewną jedność, która jest także w części symbolem; lada ozdoba, odpowiada duchowi budowy; czyli po prostu, o ile być może, najmniej odpowiada i estetycznej i praktycznej potrzebie. Spójrzmy tylko

na sprzęty domowe, nigdzie oryginalności w wynalezieniu, nigdzie konsekwentnego rozwinięcia jakiegoś zadania; drzewo udaje bronz, żelazo kamień, a kamień jedno i drugie; stara saska porcelana, ociera się o chińskie wazy, a te o paryzkie rokoko, wszędzie blichtr i zamęt babiloński.

Takie są konieczne następstwa gdy idea i czyn idą odrębnymi drogi; kiedy wiedza i wykonawczość zamiast się dopełniać, przedzielają się niezgruntowaną przepaścią.

Wiek średnie nic nie wiedziały o tém przeciwieństwie; dla tego dzieła pochodzące z tamtej daty, pełne są świeżości i życia, tworzą organiczną całość i w częściach swych odpowiadają myśli rodzicielce.

Sztuka za nowszych dni stawszy się dworską, arystokratyczną, a tym samym dekoracyjną, nie chce bynajmniej służyć celom powszedniego życia; artysta pracuje tylko dla świątyni sławy, gabinetów monarszych, muzeów, i bankierów; mało go dziś obchodzi upiększenie miejsc publicznych; nasze domy, świątynie, studnie, mosty,

kramy, urągają się estetyce; starożytne pomniki walą się, barbarzyński porządek bieli je lub obraca na materyał do budowy; obrazy mistrzów bazgracz odnawia.

Stowarzyszenia miłośników starożytności mają zapobiegać tym nadużyciom; lecz wiemy z doświadczenia, że ci starożytnicy najczęściej przywiązują się do drobnostek, im chodzi bardziej o datę, o wynalezienie autora, o kronikę jakiego zabytku niż o zbadanie ducha, który go niegdys ożywiał. Nie wątpię, a. przynajmniej przeczuwam, że przy ruchu, jaki spostrzegać się u nas daje w sztukach pięknych, i przy zdolnościach jakie się w świecie poezji rozwinęły, przyjdziemy w tym względzie do pewnego samopoznania, i nie będziem ślepo naśladować tych, lub owych szkół i wzorków, ani iść za tą lub ową modą, ale ukochawszy ideę chrześcijańską i tak wplecioną już w żywot nasz, będziemy dalej szerzyć jak średnie wieki zaczęły. Słowo boże, czy to pędzłem, czy dłutem, czy kielnią, aby płutna, głazy i gmachy przemówiły powszechnym i zrozumiałym językiem Symbolu.



POSŁOWIE SIEWIERSCY.

Kiedy po śmierci Zadzika, z katedry Przemyskiej postąpił na biskupstwo krakowskie Piotr Gembicki, szlachta Siewierska, chcąc uczcić nowego udzielnego księcia i pasterza, a razem wyjednać niektóre dla siebie zwolnienia, wybrała na hucznym zjeździe w Siewierzu, gdzie więcej pito i krzyczano niż radzono, dwóch ze swego grona posłów. W małych przestankach obiegającego kolejno miodku, dano im w wilię wyjazdu punkta zażaleń ustnie, które sejmikowy mówca rozwinął szeroko i długo, a ten i ów poparł niezbitym argumentem; a tak mając głowę nabitą

punktami, gdy dla zaostrenia umysłu, coraz go orzeźwiano miodkiem, jedni popadali jak muchy, drudzy trzymając się jako tako na nogach, odprowadzeni zostali do gospód. W liczbie tych ostatnich, jako umiarkowańszych, byli dwaj nasi posłowie, którzy pamiętni na obywatelską powinność, wcześniej znaleźli się w łóżku, ażeby skoro świt w drogę wyruszyć.

Jakoż nazajutrz, po długich targaniach pacholcy dobudziwszy się panów swoich, wsadzili jeszcze omroczonych wczorajszą pijatyką na konie i w skromnym ale przyzwoitym orszaku ku Krakowowi kopnęli.

Ujechawszy jakie półtoréj mili w głuchém milczeniu, bo ten i ów niewytrzeźwiwszy się drzemał jeszcze na dobre, gdy słońce majowe zaczęło coraz dogrzewać, gdy wreszcie o jakich parę staj pokazała się karczemka, ocknął się na-przód Pan Piotr, a za nim Pan Michał i oba za-trzymawszy swoje konie, spojrzeli na siebie.

—A dobry dzień Panie Piotrze!

—A dzień dobry Panie Michale!

—Wszak to my w posty jedziemy! zawołali oba.

—Czy niepamiętasz, panie bracie, punktów naszych poleceń? zagabnął Pan Piotr.

—Właśnie o tém miałem waszmościa spytać, dodał Pan Michał.

—Jakoż w tym rozgardziaszu wywietrzało mi z pamięci—rzekł pierwszy.

—Mnie przy miodzie zupełnie pamięć nie służy—wtrącił drugi.

—A jam się na was spuścił, panie Michale.

—A ja podobnież na was panie Pietrze.

—Tośmy się spisali! krzyknęli obadwa — prawdziwie jak Grabski w tańcu.

—Cóż tu począć?

—Wrócić.

—Wstyd.

—Więc jedźmy! jakoś to będzie.

—Jakoś to będzie! Tam widzę karczemka nie daleko przed nami. Zjemy dobre śniadańko; przy śniadanku myśli spokojniej się zbiorą i jak po wątku przecie człowiek dojdzie do kłębka.

—Smakuję w tej waszmościnej radzie: na-

przód, że żołądek już krzyczy, po drugie że musimy przecie wiedzieć po co jedziemy.

Po tej rozmowie, zwawiej kopnęły ich rumaki, które dotąd zgadując myśli pańskie szły sobie leniwym stępem. Niebawem też powitała naszych posłów schludna jakaś karczemka; u wrót stał żydek w atłasowym żupanie i pogłaskując długą brodę, grzecznie witał swych gości, oświadczając z góry, że ma owies i siano i doskonałego węgrzyna, jakiego i w samym Krakowie niedostanie.

—Przekonamy się panie arendarzu— krzyknęli razem pan Piotr i pan Michał i zsiadłszy z koni weszli do piérwszój izby. Zanim wniesiono faskę podróznego bigosu, w który się zaopatrzyli w domu, za nim żyd wrócił z piwnicy z różnemi próbami węgrzyna, oba usiedli za stołem i podpartszy głowy zaczęli rozmyślać nad celem swego poselstwa, ale widać że mózg klinem zabity, nie chciał nic z siebie wypuścić; bo kiedy przed niemi stanął gąsior wabiący złotym kolorem, oba zawołali:—ani rusz!

— Jak to? czyś sobie nie przypomniał panie Michale?

— A ty, panie Pietrze, nie wpadłeś na nic?

— Podjedzmy, to może przyjdzie.

— Popłóczmy gardło, a znajdzie się.

I z tęgim apetytem zasiedli do bigosu, popijając węgryzmem, który sławę arendarza utrwalił w ich mniemaniu na wieki. Prędko zmiotły się kupiaste misy, prędko ubywało nektaru z flaszki, ale punkta poleceń braci Siewierskiej nie znalazły się ani na dnie talerza, ani szklanki. Kto bowiem dwie rzeczy na raz chce robić, żadnej dobrze nie zrobi; nasi zaś posłowie zabrawszy się do jednej z zapałem, nie mogli myśleć o drugiej. Ponieważ węgryzyn pokazał się wytrawny i wcale nie młody, więc gdy go nie stało w garncowym gąsiorze, panowie posłowie nie tylko conceptem ruszyć nie mogli, ale nawet ni ręką ni nogą, co ich zmusiło wyciągnąć się na ławie i uciąć godziną drzémkę bardzo pokrzepiającą po trudach konnej jazdy. Wychrapawszy się i wyszumiawszy oba, jakby na komendę, zerwali się na równe nogi, i zagadnęli się nawzajem.

—A cóż przypomniawsz sobie waszmość te punkta?

—Cóż, cóś mi się marzyło, ale jakem się zbudził, tak i poszło do kata.

—I mnie tak samo— a teraz pal w łeb, nic nie wiem, tylko to wiem, że ze smaczniejszym węgryzmem nie spotkałem się nigdy. A to ozłocić mospanie takiego arendarza!

—Wyrwałeś mi waszmość z ust; oto mi Kor-dywał! konającemu daj łyżkę, a wskrzesisz go. Żeby nie grzech pocałowałbym w samą brodę tego arendarza; ale cóż potém, kiedy to wszystko nie wybawia nas z kłopotu!

—Moja rada panie bracie, nie śpieszyć się, kiedy nie wiemy po co; najlepiej będzie wypocząć sobie, przenocować tu wygodnie, a jużby trzeba wielkiego nieszczęścia, żeby człowiek sobie nie przypomniął. Gawędząc to o tém lub owém, samo się znajdzie, zwłaszcza że wiem modlitewkę do Ś. Antoniego Padewskiego, która mi zawsze posłużyła do znalezienia zguby, ilekroć ją odmawiałem.

Na tak przekonywające argumenta zgodzili się

od razu; jakoż postanowiono przepędzić resztę dnia w karczemce, wyspać się na świeżem sianku, a za chłodu kopnąć dalej. Zawołali więc arendarza oświadczając mu postanowienie swoje, z czego tenże niezmiernie był uradowany, i można oddać sprawiedliwość, że wysadził się na obiad z rybą, a przedewszystkiem z winem, które coraz to lepiej smakowało dostojnym gościom, umiejącym odkrywać w niem coraz szacowniejsze przymioty: pieprzyku, myszki, oliwy, nektaru i ambrozyi.

Po wieczery, która się dosyć wesoło przeciągnęła do późna, dzięki nie wyczerpanemu gąsiorowi, pan Piotr nie poznawał już pana Michała a pan Michał pana Piotra; pijanych jak bele, położyli sładzy na siano; oni też chrapiąc aż się szyby trzęsły, przespali noc całą jednym ciągiem, dopóki sładzy nie przyszli ich budzić, co wszakże nie mało kosztowało pracy. Obudzeni i otrzeźwieni zagadli się wraz:— Cóż pocniem panie bracie?

—Przyznam się waszmości, że to *casus* nie lada, zaczął pan Piotr, com sobie głowy nała-

mał przez całą noc, a tu jak na złość nic nie przychodzi; zdesperowałem nawet czy kiedykolwiek przypomnę sobie punkta naszego poselstwa.

Na to pan Michał:—Ze mną nie lepiej. Sam już nie wiem, czy na mnie kto czary rzucił, czy też to arendarskie wino zaprawne jaką apteką pozbawiło mnie pamięci, nieprzypominam sobie, żebym kiedy w życiu spał twardziej, jak tej nocy: kamień a kamień! a to panie bracie, to nie bez kozery!

—Muru głową nie przebijesz! wtrącił pan Piotr—nie ma co robić, tylko dalej na koń w imie Boże! Kto wie, świeże powietrze i ruch może lepiej posłużą.

Obliczywszy się z arendarzem, który wcale pokazał się umiarkowanym w żądaniach, ruszyli w drogę—rzecz niepojęta! zupełnie na czczo.

Śliczna pogoda, śpiew ptastwa, świeżość i cisza lasu, kędy przechodziła ich droga, usposobiły do spokojnych przemyślań. Nic dziwnego że i nasi podróżni mogli się znaleźć w tém usposobieniu. Jakoż, po dobrej godzinie jazdy,

pan Piotr zaganął pana Michała. — A cóż nie przyszło waszeci na myśl?

—Nie przyszło.

—I mnie także nie.

Tym sposobem, tu popasując, tam wypoczywając, ówdzie nocując, a wszędzie popijając, przybyli szczęśliwie do Krakowa, gdzie zajęchawszy do jakiejś austeryi na Kleparzu, kazali sobie dać osobną izdebkę; tam usiadłszy przy stole i podpartszy się łokciami, zaczęli znowu medytować, nie mówiąc do siebie ni słowa, aż nareszcie, gdy nic wymedytować nie mogli, zerwał się pan Piotr, a wyciąwszy pięścią o stół trzeba iść! zawołał — polecimy się Panu Bogu, a on nam jakoś dopomoże, że się z tego kłopotu wywiniam.

Na to pan Michał— ale jakimże czołem staniemy przed księdzem biskupem, kiedy nie wiemy o co chodzi?

A pan Piotr—koniec końców, nie mogąc się cofnąć, musimy iść naprzód. Wreszcie głowy nam nie zdejmie.

I zaraz zwoławszy sługi, jęli się przebierać

jak najprzystojniej, a nawet i o balwierzcu nie-przepomnieli, który najczyściej pogolił im czupryny. Tak tedy wyświeżeni jak z igły zdięci, udali się do biskupiego pałacu, gdzie poczekawszy chwilę w antykamerze, zawezwani zostali przed Jego Książęcią i Biskupią Dostojność. Po gęstych rewerencyach i szastaniach nogami, podniosłszy bojaźliwie oczy, ujrzeni w krzesło siedzącego Biskupa, który z wyrazem powagi a razem ujmującej grzeczności powstał i zbliżył się do nich, a podawszy im rękę do ucałowania, rzekł:—Witam Waszmościów! Witam kochanych moich Siewierzan! Co mi tam ponosicie dobrego?

Pan Piotr zérknął na pana Michała i trącił go łokciem:—Zaczynaj Wasze.

Pan Michał szturchnął pana Piotra — Waść starszy, masz prim przedemną.

Ale jak tak i ów, ani be, ani me; biskup sam nie wie co się im stało; bo jeden i drugi kręci się, to czerwienieje, to blednie, a pot z czoła chustą obciera; nareszcie pan Piotr, nie mogąc dłużej znieść téj hańby, jakaby spadła na cały stan rycerski księstwa Siewierskiego, wzbudził

w sobie wielki animusz i rzekł:— Jaśnie Oświecony Książę Biskupie! obywatele Siewierscy, a poddani Waszjej Książęcej Mości, wybrali nas, ażebyśmy do stóp Waszjej Książęcej Mości zanieśli pokorną suplikę. Wszakże niefortunnym konstellacyi Konjunktura chciała mieć, iż równie ci, co nas wysyłali, jak i my, na których włożono urząd poselski, nie mogliśmy się porozumieć o co rzecz idzie, tém więcej że one punkta supliki zakomunikowano nam w wielkim zgiełku i późno w wilię naszego wyjazdu. Kto tutaj praw, kto krzyw, nie wiemy; dość, że albo ciało sejmikowe nie umiało dokładnie sprawy wyłuszczyć, albo my nie byliśmy w stanie rozumieć jój. Przeto uciekamy się do łaski Waszjej Książęcej Mości, iżbyś raczył względami swemi nieograniczonemi współziemian naszych nieustannie zaszczycać, jak tego zawsze odbierali dowody od poprzedników W. Książęcej Mości. A co się nas, posłów tyczy już ponoś drugi raz nie damy się wywieść w pole, tém bardziej że i stare przysłowie uczy: przez posły wilk nie utyje.”

Uśmiechnął się dobrotliwy i uczony Biskup,

a klepiąc ich po ramieniu, dodał: — Już ja się postaram że moi Siewierzanie utyją. Wracajcie spokojni do domu i powiedzicie obywatelom waszym, że co będzie w mocy mojej, wszystko dla nich uczynię. Żebyście się zaś nie narażali na niepotrzebne koszta i wydatki poselskie, pamiętajcie odtąd, ilekroć zajdzie potrzeba, podać suplikę na piśmie, a ja natychmiast stosowną wydam rezolucją.”

Ucieszeni z szczęśliwego obrótu poselstwa, z wylaniem ucałowali prawicę dostojnego prałata, a wychodząc z pałacu, pan Piotr szepnął w ucho panu Michałowi:—Lepiej poszło niż się człowiek spodziewał. Nie święci garnki lepią! Z tém wszystkim z powrotem trzeba mniej sobie pozwalać, żeby znowu niezawieruszyła się głowa.

Na to pan Michał:— Trudno zawieruszyć, kiedy nie ma co pamiętać.

—Nie racya panie bracie! odparł P. Piotr; teraz o to gra idzie, żeby gładko zdać sprawę i z naszego poselstwa i z biskupięj odpowiedzi. Bo jeśli panowie szlachta dowiedzą się kiedyś, żeśmy nie umieli gęby otworzyć, tedy wszelkie

zaszczyty i godności publiczne omijać nas będą na zawsze.

Pan Michał, choć mniej rezolutny, ale także nie w ciemie bity, skwapliwie pochwycił ten pomysł—Nie turbuj się Waszmość, panie Pietrze! Już ja im tęgo nagadam i o naszej ognistej perorze, i o łaskawej rezolucyi Księcia Biskupa, i o wielkich obietnicach na przyszłość, że cała Korona i Litwa pozazdrości naszego szczęścia. Zobaczysz jak nas nosić będą na rękach.

—Jak widzę do starego przysłowia: jeżeli wilk przez psy nie tyje—przybędzie nowe: tedy psy utyją. A teraz nie ma co rozglądać się po Krakowie; przetrąciwszy cokolwiek, wypróżniwszy jaką butelczynę, kopniemy się napowrót, niepomijając naszego pocziwego arendarza, który nas tém wybornem winkiem uraczył.

Jak rzekli, tak zrobili. Większa część drogi nie miała dla nich prawie żadnego interesu; dopiero gdy się na horyzoncie ukazała owa karczemka, mlasnęli językiem i zacięli stępaki. U wrót karczmy znowu powitał ich żydek, głaszczący swą brodę.

—A co panie arendarzu—zawołali obadwa—
masz jeszcze to dobre winko?

—Na usługi wielmożnych panów nigdy nie
braknie—odparł z poważnym ukłonem.

—Dawajże nam—wołali nie zląwszy jeszcze
ze siodeł—pragnienie pali nas od samego Kra-
kowa.

Dla ożywienia dobrej fantazy, zdarzyło się
iż zastali w karczemnej izbie dwóch szlachty
z sąsiedztwa; znajomość zrobiła się w mgnieniu
oka; jedni zaczęli częstować drugich, gąsiorzy
znikały po gąsiorach, i tak przeszła noc cała; do-
piero nadedniem, kiedy na dobitkę chciano speł-
nić strzemienne, arendarz wrócił z piwnicy zwi-
astując okropną wieść, że w beczce nie ma ani
jedenj kropelki...

—Dawaj co masz! krzyknęli chórem.

Arendarz posłuszny, postawił kwaśne piwo.

Ten i ów skosztował, ale się wzdrygnął jak
czart na święconą wodę. Smutek się rozlał po
obliczach, i szlachta z pospuszczanemi nosy
wsiadła na koń, ruszając gdzie komu droga.

Posłowie nasi wrócili do Siewierza. Obywa-

tele powitali ich głośnemi okrzyki i kazali sobie zdawać sprawę z poselstwa. Tą razą kłamstwa wymyślone przez siebie spamiętali lepiej, niż prawdę z którą ich wysłano. Żaden się ani zaciął, kiedy opowiadał jaką to mowę wyrznął przed Biskupem. Słyszając ich myślałbyś że Pan Piotr najmniej Demostenes, a Pan Michał Cicero. Wielką też sławę zjednali sobie w obywatelstwie Księstwa Siewierskiego; bo kiedy jaki urząd publiczny zawakował, lub godność jaka, pan Piotr i pan Michał śmiało liczyć mogli na głosy dane im *unanimiter*. Owi to dwaj szlachcice, doszedłszy wysokich dostojenstw, dosięgnęli do tych czasów, kiedy to zaczęto pisać u nas szumne panegiriki—na ich więc pogrzebie ksiądz kaznodzieja w szumnej mowie wyliczył długoletnie ich zasługi, niepomijając żadnej okazyi, w której nabyli wiekopomnej sławy i niezgasłym splendorem ozdobili klejnot rodowy. Ktokolwiek bliżejby pragnął zapoznać z świetnemi ich czyny, odsyłam do ogromnego zbioru panegiryków w bibliotece Jagiellońskiej.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Do Panny Alfonsy M.	5
Cień Królowej Barbary, powieść z r. 1551	7
Kochanka Hetmańska, powieść z dawnych czasów	44
Przypadki Karola Chełkowskiego w podróży z Tunis do Kon- stantyny	89
Podróże i pamiętniki Tomasza Kajetana Węgierskiego	112
Wiązanka Konwalii	163
J., B. Zaleski	179
Ekonom	192
O miłości w poezyi i w świecie rzeczywistym. (Do Józefa Kremera	215
Duch i Symbolika w sztuce	233
Posłowie Siewierscy	248



WIECZORNICE.

WIECZORNICE.

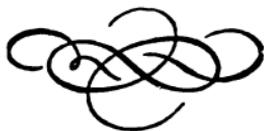
**Powiaſtki, Charaktery, Życiorysy
i Podróże,**

Z E B R A N E

P R Z E S

Lucyana Siemienskiego.

TOM DRUGI



W I L N O.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

—
1854.

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie
Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 7 Paździer-
nika 1858 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.

PRÓBA POŚWIĘCENIA SIĘ Z MIŁOŚCI.

1**

I.

Nieznamy — Jasnowidząca — Trucizna.

NIE WIERZĘ w poświęcenie się z miłości — zawyrokował stanowczym tonem brodaty i łysy brunet, uchodzący za wyrocznie filozoficzną namilę w około — albowiem bardzo naturalnie, nie jakaś wyższa, bezinteresowna myśl, ale chęć osiągnięcia tego co się pragnie, powoduje rozkochanym.

—Przepraszam, nie o tém tu mowa, — przerwał młody akademik. — Pan tylko pojmujesz miłośne zabiegi, a nie poświęcenie się.

—Zapewne — gdyż z końcem tych, wchodzi

się w zakres powinności, a gdzie jest powinność tam nie ma poświęcenia się.

—Powinność, zimna, pańszczyźniana powinność, nigdy nie zastąpi miłości, i dla tego najściślejse pełnienie powinności oparte na przekonaniu i rozumie, żadną miarą nie może się zmierzyć z uczuciem wolném od wyrozumowania. We wszystkich wiekach umiano cenić ten rodzaj ofiary; u Greków żona poświęca się za męża; ofiarą życia własnego jego życie okupuje.

Stary major, który się téj rozmowie, paląc cygaro, przysłuchiwał, uśmiechnął się i przerwał: zwyczajnie grecka bajeczka!

—Jak to bajeczka?— Zawołał z oburzeniem akademik.

—Bajeczka— powtórzył z zimną krwią major— i na dowód, że można bardzo kochać i nie poświęcić życia, i znowu nie kochać i życie poświęcić, opowiem wam jeden wypadek, którego sam byłem nie tylko naocznym świadkiem, ale i aktorem. Lecz nim zacznę, tę wam daję przestrożę moi filozofowie, że próżno się wysilacie podciągnąć rzeczy ludzkiego serca pod o-

gólne jakie systema; na uczucie foremki nie uleje; bo ono jak meteor jaki, coraz w innym kształcie, z innéj strony, i w odmiennym blasku pojawia się na ziemi. Wy mi powiecie taki lub owaki aforyzm, a ja żywym przykładem dowiodę, że inaczej jest w życiu, a inaczej w teorii.

—Ależ nam nie chodzi o to jak jest— prze-rwał filozof, ale jak być powinno.

—Rozumiem, rozumiem— odparł major— i dla tego właśnie, że ten tak, ów inaczej tłóma-czy sobie owe powinno, mamy rozmaitość, różnobarwność życia i owe nie obrachowane, nie odgadnione wysoki natury ludzkiej.— Ależ jak widzę sam zapędzam się w nic nieznaczące ogólniki; jeżeli was nie nudzę....

—I owszem, i owszem prosimy majora— zawołali wszyscy— obiecałeś nam opowiedzieć prawdziwy wypadek.

—I dotrzymam odrzekł major— poprawiając wkominku i zapalając świeże cygaro.

—Słuchajmy! słuchajmy!

—Wspomniałem ci nie raz— mówił major obracając się do mnie— o przyjacielu moim i twojego ojca, panu Januszu Granowskim. Był to człek nadzwyczaj przyjemny, wielkiej słodyczy charakteru i uczuć wzniosłych, stosunki nasze były zawsze najściślejsze. Janusz odziedziczył tak znakomite imię po przodkach, był ostatnim ze swego rodu, chociaż mylnie Wielądek i inni pisarze herbarzów twierdzą, że ostatni Granowski poległ w bitwie. Nie wiedzieli oni, że ów młody bohater zostawił tajemnie zaślubioną żonę, z której miał syna Janusza. Ale mniejsza o rodowody, zwłaszcza dziś, kiedy nam się zdaje, że tylko człowieka cenimy podług jego wewnętrznej wartości; luboć na nieszczęście; ta wewnętrzność musi być dobrze napełniona workami talarów, inaczéj świat bardzo trudno i nie prędko poznaje się na niéj. Janusz tedy był ostatnim szczepem swego rodu, co nie mało czyniło go zajmującym, chociaż natura obdarzyła go niepospolitą urodą, wybornemi skłonnościami duszy, a sztuka wychowaniem i nauką rzadką między paniczami wielkiego majątku i

imienia. Jedną tylko miał wadę, jeżeli to wadą nazwać można; oto, litewska jego główka, przepelniona była tak żywą, tak przesadzoną wyobraźnią, że częstokroć obawiać się należało przewagi jęj nad zdrowym rozsądkiem. Wychowany na wsi śród wieśniaczek przesądnych, które go od kolebki usypiały bajkami o duchach i czarach, później, w szkołach wileńskich kształcony w żywiole romantycznym rozbudzającym do najwyższej potęgi młodociane duchy, nie dziw, że przy wrodzonej skłonności do poezyjnego mistycyzmu, więcej żył w świecie ideałów i duchów, niż w rzeczywistym. Ten sam popęd pociągnął go do zagłębienia się w tajemnice magnetyzmu; czytał w tęg mierze wiele, doświadczał cokolwiek, przypuszczał i marzył najwięcej; w zwyczajnym świecie widział tylko stosunki magnetyczne, sympatyje i antypatyje; wynajdywał potęgi ukryte i nadprzyrodzone; słuchał przeczać, wróżb, niepojętych ostrzeżeń; zgoła wyłącznie dał się opanować wpływowi tęg nauki, tak blisko stykającęj się z urojeniem i szarlatanią. Mimo tego, a może nawet i dla

tego samego Janusz był rzadkim i nieporównanym w swoim sposobie. Rozmowa z nim nigdy nie nosiła piętna czczości i płaskości, okraszała ją jakaś rzewność, jakby wyrazy z pod serca płynęły; a gdy się zapalił, miała moc i ogień, który się drugim udzielał. Dodajcie do tego humor zawsze jednostajny, serce tkliwe i dla przyjaźni wylane, a zrobicie sobie wyobrażenie o tym rzadkim młodzieńcu, z którym mię najściślsze związki łączyły przez lat wiele.

Trzeba wam wiedzieć, że Janusz starał się i był prawie zaręczony z panną Heleną Gasztołdówną, ośmnastoletnią osobą, sierotą po matce, a wychowaną przez ojca, który ją kochał zapamiętale i dogadzał wszystkim jój kaprysom. Miłość Janusza odpowiadała zupełnie jego exaltowanemu usposobieniu, i w rzeczy samej Helena mogła była zawrócić głowę mniej nawet romanśową. Nie będę wam opisywał ślicznych kruczych włosów, oczu ognistych, płci śnieżnej, bo tego we wszystkich książkach pełno, a wreszcie jakież słowa potrafiłyby odmalować tę żywość ruchów oblicza oddawającego wiernie naj-

rozmaitsze kaprysy, któremi Helena umiała i dręczyć i uszczęśliwiać mego poczciwego Janusza. Kochali się na zabój jak dwoje dzieci, a że nic nie przeszkadzało ich związkowi, przeto wesele miało się odprawić za kilka miesięcy.

Jednakże, im bardziej się zbliżała upragniona chwila, tém widoczniej uderzał mię w Helenie jakiś ubytek wesołej i pustej żywości, co się nie zgadzało z przyrodzonym jej usposobieniem. Często widywałem ją zamyśloną, często tak przenikający wzrok topiła w twarzy Janusza jakby chciała przejrzeć go do dna; to znowu taka tęskna żalność, a razem namiętność, grały w jej spójrzeniu, żem nie umiał inną nadać temu przyczyny, jak tylko, że Janusz wkrótce miał odjechać do Wilna w celu porobienia przygotowań do wesela, i że ten kilkunastodniowy rozdział wzniecał w jej sercu obawę.

Z tego powodu, gdy jednego wieczora na przechadzce w ogrodzie, podawszy jej ramię, uczyniłem uwagę nad zmianą uderzającą w jej humorze, odpowiedziała mi z mocnym przyściskiem.

—Czy pan pewnym jesteś, że Janusz mię kocha?

Chciałem odpowiedzieć, lecz ona pochwyciła prędko.

—O kocha mię, wiem, że mię kocha, jak pospolicie kochać umieją mężczyźni!... Kocha mię, bo imie moje, majątek, wychowanie odpowiada wszelkim przyzwoitościom przyjętym w naszym świecie— kocha mię może i dla tego żem nie szpetna.... A jednak serce kobiece więcej warte niż urodzenie, majątek, lub piękność ciała.... Miłość kobiety jest samém poświęceniem się, miłość mężczyzny czystym egoizmem.

—Jeżeli pani pozwolisz na wyjątek od reguły ogólnej— odpowiedziałem— tedy Janusz zupełnie ma do niego prawo.... Znam go o tyle, że mógłbym dać gardło.

—Piękna mi rękojma!— zawołała śmiejąc się.— Darujesz pan, ale zastosuję do niego gminne przysłowie: cygan swojemi dziećmi się świadczy. Wszyscyście tacy sami; są między wami lepsi i gorsi, ale żaden w wysokości uczuć,

żaden w poświęceniu się, w wyrzeczeniu się, nie może iść w porównanie z kobietą.

—Przekonasz się pani! odrzekłem, gdy w tém ojciec jój z Januszem przeszkodzili nam dalszej rozmowy.

Helena żartowała jeszcze cokolwiek, poczem zapadła w głęboką zadumę.

W kilka dni potem, Janusz wybrał się do Wilna i wziął mię z sobą.

Przybywszy do téj stolicy Litwy, postrzegłem niebawem, że mój przyjaciel dziwny miał obyczaj; oto co wieczór, o godzinie dziesiątej zwykł był posyłać pocałunek księżycowi. Gdym sobie zażartował z téj dziwnej czułości dla trabanta naszej kuli, Janusz wyznał z całą szczerością, lubo nie bez pewnego zawstydzenia, że dał słowo Helenie uiszczać się z tego czułego obowiązku.

—O téj bowiem godzinie— dodał— Helena również patrzy na niebo, i myśli nasze łączą się związkiem sympatycznym, mimo dzielącej nas przestrzeni.

Nie mogłem nie roześmiać się w duchu.

—Szczęście to wielkie— rzekłem— kochać się

tak poetycznie.... Tylko nie najlepszy wybór zrobiliście z tego planety, którego postać rogata złą wróżbą jest dla kochanków.

Na taki mój dowcip Janusz mocno się rozgniewał i nie prędko się udobruchał.

Mimo niecierpliwości mego przyjaciela w pokonczeniu interesów, pobyt nasz w Wilnie przedłużał się nad zakres. Nie mając co robić po wieczorach, weszliśmy do jednej kawiarni dla zabicia czasu, gdzie zastaliśmy kilka osób grających w szachy. Janusz uchodził za wyborne go gracza i z wielką uwagą przypatrywał się partyi zaczętej między dwoma przeciwnikami. Mnie zaś nie tyle gra zajmowała, ile jeden z grających. Był to mężczyzna w podeszłym wieku, ale silny i czerstwy. Rysy twarzy charakterystyczne nosiły wyraz uderzający, a oczy ocienione czarnymi i dużymi brwiami, taki rzucały połysk, że trudno było wytrzymać ich spójrzenia. Zresztą nieznamy ten zdał się być zajęтым i roztargnionym; Janusz szczególnie zwracał jego uwagę; co sprawiało, iż widocznie psuł sobie grę i coraz słabiej opierał się natarciom przeciwnika.

—Otóż i koniec z panem! zawołał nań przeciwnik.

I zrobił skok, nad którym dawno myślał.

—Przy panu niezawodna wygrana wtrącił Janusz.

Nieznajomy uśmiechnął się z wymownym wyrazem i rzekł:

—Skwapliwie pan sędzisz.

—Poczém posunął pieszką, i w trzech pociągach zamatował przeciwnika.

Janusz osłupiał. Nieznajomy wziął kapelusz, przyjaźnie go pożegnał i wyszedł z kawiarni. Prawie jednocześnie wyszliśmy za nim.

—To nadzwyczajny człowiek! mówił mi Janusz z uniesieniem.

—Wybornie gra w szachy, odrzekłem oziębłe. Przechodziliśmy się po placu nic nie mówiąc do siebie. Aż też i godzina umówionych pocałunków nadeszła; księżyc w całej okazałości błyszczał swą tarczą, na tle ciemno-lazurów. Janusz spójrzył na zegarek, stanął, wlepił oczy w gwiazdę powiernicę, i postął jęj

zwykły pocałunek. Bliskie krząkanie i odgłos kroków były powodem, że się nagle obrócił, i ujrzał nieznanego zwycięzcę w szachy; czém zmieszany, już się miał do odwrotu, kiedy nieznanomy zbliżył się skwapliwie i wziął go za rękę. W tém poruszeniu, i w wyrazie twarzy bardzo oryginalnej, było coś tak poważnego tak wyższego, jakby rozkaz, któremu Janusz mimowolnie musiał uleść.

—Dla czego pan nie czekasz na odpowiedź? zapytał podnosząc palec na księżyc.

—Na odpowiedź? odrzekł Janusz ze zdziwieniem.

Nie rozumiem pana.

—Chwileczkę cierpliwości! mówił nieznanomy z pewną wyższą powagą; a silnie ściskając rękę mego przyjaciela, przytknął mu drugą do serca i nieruchome spójrzenie utopił w księżycu.— Oto ją pan masz: „Dla sympatii dwóch dusz kochających się wzajemnie, nie ma przestrzeni; równie jak dla miłości nie ma miary czasu. Zachowaj sobie pan te wyrazy w pamięci, a przekonasz się, żem dobrze przeczytał.

Szczęśliwys młodzieńcze! Kiedyś umiał tak potężne obudzić uczucie.

To powiedziawszy, odszedł. Janusz pozostał w osłupieniu.

—Rzecz niepojęta!— powtarzał pół głosem.

—Bawi się twoim kosztem— rzekłem. Lecz uwagi mej nie słyszał; wyobraźnia jego szybowała w nadziemskiej sferze.

We dwa dni potém, gdym z rana wszedł do jego pokoju, zastałem go, jak ubrany do północy siedział na łóżku, z czołem utopioném w dłoniach. Na kolanach miał list otwarty; domysliłem się, że w nim była przyczyna tak głębokich rozmyślań.

—Co to ci jest Januszu? zapytałem z niespokojnością.

Ocknął się, zadrżał i odrzekł słabym głosem:

—Pamiętasz te wyrazy, które mi powiedział onegdaj wieczór ów nieznamy?

—Pamiętam piąte przez dziesiąte. Cóż tam prawił o sympaty, o przestrzeni, o miłości: zwyczajne banialuki i ogólniki sentymentalne.

—Czytaj!— rzekł, nie zważając na moją u-

wagę i podał mi list. Odebrał go przez pocztę; poznałem rękę Heleny. Pisała w nim po większej części o ich wieczornych rozmowach za pośrednictwem księżycy i w rzeczy samej z nie-malém zdziwieniem przeczytałem te wyrazy: „Dziś wieczór wpatrując się o umówionej godzinie w milczącego i bladego pośtańca naszych myśli, musiałam w duchu uwierzyć, że: Dla sympatyj dwóch dusz kochających się wzajemnie nie ma przestrzeni, równie jak dla miłości nie ma miary czasu.”

—Cóż ty na to?— zagadł Janusz widząc, że oniemiał— jakżeż to wytłumaczysz?

—Ni tak ni owak, gdyż boję się pomylić w zdaniu; odparłem. Z tém wszystkiém traf jest nadzwyczajny.

Nasz nieznajomy ma wielki dar zgadywania.

W niedowierzaniu obracałem pieczęć na wszystkie strony i przekonałem się, że była nie-naruszoną. Zresztą list musiał być pisany wkrótce po spotkaniu się z nieznajomym, który żadnym sposobem wiedzieć o nim nie mógł.

Koniec końców zdarzenie to odnosiłem do

owych rzadkich i bajecznych trafów, jakie zachodzą w loteryi lub w kartach. Innego rozwiązania téj zagadki nie umiałem znaleźć. Janusz wstrząsał tylko głową i ścisnął ramionami,

— „Kto chce wszystkiego rozumem dochodzić,

„I umrze, a nie będzie umiał w to ugodzić.”

powiedział Kochanowski, ja toż samo powtarzam.

Na takie *dictum* trudno było co wyszukać, więc dałem mu pokój. Sam nie wiem kiedy, jak i gdzie widywał się z owym nieznajomym; to pewna jednak, iż w mojej nieobecności schadzali się i częste miewali pogadanki.

Zimne moje uwagi i niedowiarstwo odstręczały Janusza, więc też unikał mię i tém swobodniej oddawał się ulubionym marzeniom. Jednakże pewnego wieczora wziął mię pod rękę i rzekł:

—Czy chcesz mi towarzyszyć?

—Dokąd? zapytałem.

—Na Pohulankę. Mam się zejść z pewną osobą i radbym abyś był świadkiem osobliwszych doświadczeń.

—Oho! rozumiem; zapewne ów czarnoksiężnik pokaże nam jakie figle. Zgoda, służę cię ja na to, jak na lato.

Podwójnym krokiem udaliśmy się na przedmieście zwane Pohulanką.

Wieczór był przepyszny. Upał dzienny pomieszał się z wilgotnym chłodem spadającej rosy; a niebo gęsto śliło się gwiazdami. Na ustroniu stała grupa odwiecznych lip; wśród nich przeglądał białutki dworek, do którego prowadziła wązka uliczka z bujnych krzaków, bżów i akacyi. Wszedłszy w ten chodnik zdawało nam się, że na całe obejście nie ma żywej duszy; lecz zaledwie stanęliśmy przed fórtką, kiedy nieznajomy zjawił się przed nami i dał znak ręką, abyśmy szli za nim. Ciemność była do koła, że i oczy wykól, jednak postać naszego przewodnika olbrzymia, rysowała się na tle tych cieni, i przysięgłbym był wtedy, że z ócz widziałem, jak mu wyskakiwały iskry.— Przebywszy po omacku jakiś przedsionek, wprowadzeni zostaliśmy do obszernej i wysokiej izby z oknami u góry.

Nieznajomy zatrzymał się i rzekł poważnym głosem:

—Ciesz się, że panów tu widzę. Jestem dziś w usposobieniu i dotrzymam ciem przyrzekł.— A pan? zapytał Janusza.

—Gotów jestem na jego rozkazy.— Przebrał zapytany.

Pomiarkowałem, że w głosie mego przyjaciela przebijało głębokie wzruszenie.

—Módl się, miej nadzieję.... i nic nie mów.

Odpowiedział uroczyście nieznajomy; poczem schyliwszy głowę niby skupiając ducha w głębi, podniósł ją i spojrział na księżyc przeciskający się przez szyby.

—Nadeszła godzina! dodał z cicha; proszę za mną.

Odchyliwszy zasłonę, znaleźliśmy się w bocznym pokoiku, gdzie w suficie okrągłe okno szklane wpuszczało szeroki promień srebrnego światła. Na środku stało staroświeckie krzesło z poręczami i w niem więcej leżącą niż siedzącą ujrzelśmy dziewczynę, mającą około lat dwunastu; zdawała się być pogrążoną w śnie głę-

bokim. Jasne złotawe włosy, spadały jęj w nieładzie na nagie ramiona i ocieniały bladą i delikatną twarzyczkę; za cały ubiór miała długą białą sukienkę, która oświecona żywym blaskiem księżyca, czyniła ją podobną jeśli nie do jakiejś napowietrznej istoty, to do marmurowego posągu. W zachwyceniu wpatrywałem się w śpiącą, bo rzeczywiście, coś bardzo uroczego miało w oczach moich to poetyczne i prawie nadziemskie zjawisko.

—Oto jest dziewczynka, rzekł nieznajomy, uśpiona snem magnetycznym; oczy jęj aczkolwiek zamknięte przenikną swém spójrzeniem i czas i przestrzeń. Wszechwładnie panuję nad jęj duchem; co rozkażę, musi wypełnić.

To powiedziawszy, podniósł rękę.... i jakby skutkiem tego samego ruchu, jakby nie zwyciężoną siłą przyciągania, ramie dziewczyny również się podniosło aż do wysokości ramienia magnetyzera i zawisło wyciągnięte i martwe w powietrzu; opuścił ramie i tym samym mechanizmem ramie dziewczyny spoczęło na poręczy krzesła. Znowu dał znak palcem, a główka jęj po-

słuszna niewidomemu rozkazowi, zwolna się obróciła i spojrzała ku górnej szybie.

Nie mogliśmy wyjść z podziwienia.

—Czy pan przyniosłeś jaką rzecz pochodzącą od owjej osoby? szepnął nieznajomy do ucha Januszowi.

—Przyniosłem! odrzekł i wręczył mu plecionkę z włosów, którą mu narzeczona dała przed wyjazdem.

—To dobrze powiedział magnetyzer i położył ją na sercu śpiącój, po czém do nas się przybliżył.

—Patrzaj! rzekł cichym, lecz głębokim tonem.

Dziewczyna wstała na nogi, lecz w zupełném wyprężeniu, jakby podniesiona obcą siłą i twarz swoją zwróciła na okno kędy księżyc w pełni przeglądał.

—Widzę ją!— rzekła— ona także patrzy.

A głos jej zdawał się być oddźwiękiem dalekim i prawie z ust nie wychodził.

—Kogoż widzisz?

—Widzę tę co mam przy sercu.

—Jakżeż wygląda? co robi? i gdzie?

—Oparta jest na balkonie, w koło niej stoją kwiaty.... czarne jej włosy spadają na szyję i ramiona.... oczy jej we mnie patrzą.... a jak słodko!... teraz posyła pocałunek.... temu oto panu....

I ruchem ręki wskazała Janusza, słuchającego ją z natężeniem.

Tu widocznie zdawała się słabnąć i opadać na krzesło; poczem znowu kamienny sen przywalił ją swoim ciężarem.

—Chciałbyś pan co więcej jeszcze usłyszeć? zapytał nieznajomy.

—Czy równie w przyszłości jak w terażniejszości może czytać? zrobił uwagę Janusz.

Bez wątpienia! odparł magnetyzer i rozkazującym tonem rzekł do dziewczyny:

—Patrzaj!

—Och! już dosyć! już dosyć! mówiła głosem jęczącym i błagalnym rzucając się na krzesło; zadajesz mi mękę, nie wytrzymam.

Głowa jej spadając w konwulsyjnym drgnięniu uderzyła o drewnianą poręcz.

—Wstań i patrzaj! mówił nie ubłagany.— Co będzie robiła za trzy dni?

—Śmieje się i plecie wieniec z bławatków.

—A za tydzień?

—Widzę ją.... to ona sama.... och! jakżeż zmieniona.... jakaż blada.... och! cierpię, okropnie cierpię, bo i ona cierpi okropnie.... ach! serce mi pęka.... konam.... bo i ona....

I wśród tych przerywanych wyrazów rzucała się i wiła w widocznym bólu. Wdzięczna jej twarzyczka mieniała się i kurczyła, a ręce zdały się odpychać i strącać jakiś ciężar, który jej piersi przygniatał; dźwięk mowy coraz był słabszym i przytłumionym a westchnienia i jęki, to się wzmagały, to słabły jak u konającej osoby.

Przyznam się wam moi panowie, że ostatnie słowa téj dziewczyny, szamocącej się pod potęgą jakiegoś demona, miały w sobie coś tak przejmującego, że mię niedowiarka, mimowolny przestach ogarnął, i już chciałem prosić magnetyzera, aby tych męczarni poprzestał, gdy dziewczyna znowu zaczęła mówić:

—Widzę ją! och widzę.... zapadłe jagody....

oczy świecą jak robaczki.... nie mogę znieść tego wzroku.... gwałtu! gwałtu! nie wytrzymam.... konam.... oderwijcie tego trupa.... leży mi tu na sercu....

Magnetyzer poskoczył i odjął plecionkę włosów z serca dziewczyny, która zaraz uciszyła się.

—Ciekawość pańska zostałaż zaspokojoną? zapytał Janusza głosem wzruszonym. Teraz proszę na ustęp.

Janusz nie mógł ni ust otworzyć, ani kroku postąpić, tak gwałtownie skutkowała na nim ta scena. Bezprzytomnego wyciągnąłem z pokoju; chłód wieczorny wrócił mu zmysły; a nie daleko od tego miejsca przechodząca doróżka, zawiozła nas do domu. Długo w noc nie mogłem mu dać rady: rozpaczał, ręce łamał, odchodził prawie od przytomności; dopiero parę godzin snu nad rankiem pokrzepiło siły jego moralne. Moje uwagi i różne dowody na jakie się zdobyć mogłem, nie wiele skutkowały, bo i ja sam tak mocno byłem pod wpływem wczorajszej sceny, że nie wiedziałem gdzie czerpać silnych przekonań. Zresztą Janusz z łatwością zbijał wszyst-

kie moje argumenta oparte po większej części na samych przypuszczeniach i na tym spowszedniałym frazesie: że szarlatan poznawszy się na jego łatwowierności odegrał z nami komedyję.

Nic to nie pomagało: Janusz kazał się pakować służącym i rzekł mi stanowczo:

Dłużej tu zostać nie mogę; tylko przy niej odzyskam dawną spokojność i przekonam się, czy mnie oszukano lub nie.

Po dwóch dniach drogi przybyliśmy do domu pana Gasztołda. Helena rumiana jak różyczka, wesolutka i pusta więcej niż kiedy, z serdeczną czułością powitała swego narzeczonego. Krótki ten rozdział widocznie rozproszył te chmurki, jakie dawniej aczkolwiek przelotnie, pokazywały się na niebie kochanków.

—Przyznaj żeś szczęśliwy! rzekłem do Janusza, spotykając go na dziedzińcu powracającego z przechadzki.

—Nie mów tego— odrzekł z westchnieniem ściskając mi ramię—jeszcze tydzień nie upłynął....

—Szalony z ciebie człowiek! zawołałem marszcząc czoło.

Owoż po téj rozmowie weszliśmy na taras. gdzie mnóstwo stało doniczek z kwiatami i drzew pomarańczowych. Zastaliśmy tam Helenę opartą o galeryję; z uśmiechem wybiegła na nasze spotkanie.

—Przyjmij rycerzu!— zawołała dygając i miłac się— przyjmij ten wieniec ręką moją uwity.

I podała Januszowi wianek z bławatków, który właśnie co ukończyła splatać. Janusz wyciągnął do mnie rękę; czułem, że zadrżał i zachwiał się. Przyznaję otwarcie, że ta zaczynająca sprawdzać się przepowiednia jasnowidzącej ledwie mię z nóg nie zwałała.

—Cóż to znaczy panie Januszu? zapytała Helena śmiejąc się do rozpuku, czy tak pan przyjmujesz moje ofiary?

Więc gardzisz tym skromnym wianeczkiem?

Janusz przyskoczył do niej, odebrał wianek, i mimowolnie padając na ziemię ręce Heleny okrywał pocałunkami.

—Dla Boga! wołała wyrywając się.... dosyć tego panie Januszu; opamiętaj się, już dosyć!— Pomieszanie jój było widoczne.— Co się panu

zrobiło? Pan płaczesz! Dla Boga! co te łzy znaczą?....

Janusz chciał się usprawiedliwić; ale wyjął tylko kilka słów przerywanych i bez związku. Widziałem niebezpieczeństwo i musiałem wdać się koniecznie, aby przerwać tę scenę, której końca obawiałem się. Janusz wyszedł rozrzewniony, a ja sam zostałem z Heleną.

—To coś dziwnego! rzekła po chwili milczenia, jak pan to sobie tłumaczysz?

—Bardzo po prostu— odpowiedziałem, nie bez pomieszania.— Zadałek z rąk pani tyle go wzruszył, tak mocno uczuł.... wszystko dowodzi, że panią kocha szalenie.

—Wierzę, że mię kocha, nawet pewną tego jestem.... lecz.... ten szal romansowy przed chwilą?... tego nie umiem sobie wytłumaczyć.

Z mojej strony nie chciałem bynajmniej pomagać jej do odgadnięcia przyczyny, gdyż i sam czułem się rozstrojonym i pomieszanym. Z resztą i ona zapomniała o tém co zaszło; a biorąc rozczulenie Janusza za nowy dowód przywiązania; tém większą, okazywała wesołość.

W ten sposób upłynęło nam dni kilka.

Bodaj nie trzeciego lub czwartego dnia po naszym powrocie z Wilna, siedzieliśmy wieczorem na tarasie. Helena była więcej milczącą, niż zwykle. Postrzegłem tę zmianę i czyniłem jój wymówki.

—Nie moja w tém вина— odrzekła— cierpię niezmierny ból głowy; i nawet mam cokolwiek dreszczy.

Janusz z żywością poskoczył ku nam.

—Pani jesteś chorą? zapytał zmienionym głosem.

—Nic mi nie jest— odrzekła— cokolwiek dokucza migrena, zanadto śmieliśmy się i pustoswali dziś rano.

Wcześniej przed wszystkiemi Helena udała się na spoczynek.— Nazajutrz nie było jój na śniadaniu; kazała powiedzieć, że jest nie zdrową. Dopiero ku wieczorowi pokazała się nam w negliżu. W rzeczy samej znalazłem ją dość zmienioną. Była blada, małomówna, narzekająca na kłucie w piersiach.

Janusz odchodził prawie od zmysłów; ja sam

zacząłem się okropnie niepokoić.— Następnego dnia Helena całkiem nie wstała z łóżka. Najokropniejsze myśli przychodziły mi do głowy.

Janusz skoro się tylko dowiedział o pogorszonym stanie jój zdrowia, znikł jak kamfora i nikt nie umiał powiedzieć gdzie się podział.

Ósmego dnia (zawsze rachując od wyjazdu z Wilna) wszedł do mnie Janusz, alem go zrazu nie poznał, tak był zmieniony.

Zadrząłem i łzy mi w oczach stanęły na widok tych ocz obłąkanych, zapadłych i siniej bladeści oblicza.

—Widziałeś ją dzisiaj? zapytał mię stłumionym głosem.

—Nie widziałem.

—Więc stan jój nie polepsza się!!

Załamał ręce z rozpaczą i upadł na krzesło. Udałem się do pokojów Heleny i pytałem się czy ją widzieć można. Stara jój piastunka po małych trudnościach udzieliła mi pozwolenia, więc wszedłem. Na wstępie uderzył mię gwałtowny postęp choroby w jój rysach; w tak krótkim czasie zdawało się, że zupełnie z ciała

spadła, że wszystka krew z żył uciekła. O ile słabe światło przepuszczone przez zielone firanki pozwalało, mogłem przypatrzeć się jej oczom, które ożywia! nadzwyczajny połysk, pochodzący zwykle z wielkiej gorączki. Zadrzałem na widok tych symptomatów opisanych tak dokładnie przez lekarzy i wierzyłem w duchu, że przepowiednia jasnowidzącej spełnić się musi, co więcej w wyobraźni mojej ożył ów jęk szamoczącej się dziewczyny i jej krzyk złowrózby: oderwijcie mi tego trupa!... Mimo całej siły moralnej opuściłem ręce; pot zimny oblał mi czoło; coś zagadałem do niej; dała odpowiedź nie zrozumiałą i cichą; nie miałem odwagi być dłużej.... i wybiegłem prawie bez żadnej dla niej nadziei.

—Dla Boga! jakiż to rodzaj choroby? Co na to powiada lekarz?— Zapytałem piastunki.

Staruszka wzruszyła ramionami.

—Zwyczajnie nie roztropność młodego wieku— odpowiedziała z westchnieniem. Trudno co mówić i perswadować; nasza panienka nigdy nie wierzy, że to lub owo może zaszkodzić.

Niewypadało mi zapuszczać się w głębsze badanie, więc odszedłem, ale z rozpaczą w duszy. Dopiero wieczorem zobaczyłem Janusza. Gdy wchodził do mego pokoju byłem pewny, że nie człowiek ale mara jakaś się zbliża. Znękana twarz, obłądne oczy zdradzały stan jego wewnętrzny; na dobre lękałam się by zmysłów niepostradał, i wszelkimi sposobami usiłowałam wpoić w niego ufność w Opatrzność i w sztukę lekarską, chociaż rzeczywiście sam niewiele miałem nadziei. Słowa pociechy obojętnie puszczał mimo uszu, nieruchome osłupiałe spójrzenie wlepił przed siebie i tylko nie kiedy drganie konwulsyjne przebiegało po wszystkich jego członkach.

W końcu przerwał mi nagle mój obrok duchowny.

—Teraz nielekam się niczego! rzekł grobowym głosem i z uśmiechem trudnym do opisania.

Spójrzałem nań z zadziwieniem.

—Nielekam się niczego! powtórzył jeszcze ponurzej.

—Jak to? zapytałem.

—Mam lekarstwo, które ją ocali.

Postrzegłszy zaś moje niedowierzanie, dodał:

—Widziałem się z nim... i mówiłem w tej mierze.

—Z kim się widziałeś?—przerwałem skwapliwie, czy z tym szarlatanem? Cóż ci mądrego powiedział? niechby go jasne pioruny!!.

—Dał mi lekarstwo, które ją ocali! powtórzył z obłąkaniem. Oto je mam i wyjął z kieszeni małą flaszeczkę pełną jakiejś czarnej i gęstej mixtury.

—Człowiecze! daj pokój temu—krzyknąłem chcąc mu ją z rąk wydrzeć. Co za szaleństwo! Kto tam wie, co ten szarlatan namięszał?...

—Ale ja wiem... to trucizna!

—Trucizna?...

—Struchlałem.

—Mój bracie! mój Januszu, opamiętaj się, usłuchaj zdrowego rozsądku...

—Jest to trucizna, najczystsza trucizna, mówił tonem ponurym i wzruszonym... ale nie dla niej, tylko dla mnie!

Tém powiedzeniem zamknął mi usta, bo nie wiedziałem sam czy nieszczęśliwy mój przyjaciel

nie stracił do reszty rozumu; dla tego starałem się czytać w jego twarzy, na której malowała się głęboka rozpacz.

—Widziałem go.... ciągnął dalej głosem przerywanym; widziałem go i mówiłem z nim... pytaliśmy wyroków terażniejszości i przyszłości. Dziewczynka czytała w jej łonie... odgadła przyczynę choroby i lekarstwo na nią. Lekarstwem jest ta trucizna, zażyję ją; dla mnie śmierć, dla niej życie.

—Piekielne szaleństwo! śmieszność nieprzebaczona! zawołałem. Jakżeż można niewzbronąć przystępu podobnym bredniom? Januszu! zaklinam cię, pomyśl co robisz?

—Słuchaj rzekł na to, ściskając mi rękę: Wątpić, o wszystkim wątpić, o to przymiot twego rozumu. Ty co wszystko tłumaczysz rozsądny człowiecze, bądź łaskaw wytłumacz mi jakim sposobem ten szarlatan, jak go nazywasz, odgadł list który otrzymałem w 24 godzin później?

Wytłumacz ten wianek z bławatków dany mi w dniu zapowiedzianym? Wytłumacz dla czego Helena umiera! wytłumacz to wszystko.... a po

tém mi dowiedziesz, że niepodobna, abym jój życie ocalił....

—Przyznam się panom, że na tyle argumentów języka zapomniał. Rozsądek mój aczkolwiek się oburzał na ten zbieg zdarzeń nadprzyrodzonych, niepodsunął mi ani jednego gruntownego dowodu na zabicie onych. Zresztą Janusz nie zostawił mi czasu do namysłu.

—Co ma się stać, niech się stanie, mówił z wrastającym szaleństwem; jeżeli jutro przede dniem ta śmiertelna trucizna nie przejdzie przez moje usta... Helena umrze... a ja żyć będę!... Lecz nie! Helena niech żyje... Helena żyć musi!...

To rzekłszy rzucił się na krzesło, i twarz zakrył rękoma.

—Na rany Boskie, Januszu! zawołałem... tego szaleństwa niemogę dopuścić...

—Próżny mi opór stawisz—rzekł wrywając się ode mnie. Noc podaj najlepszą radę. Bywaj zdrow.—I wybiegł pędem; chciałem gonić i niepuszczać go, lecz drzwi zatrzęsnały w swoim pokoju i na żadne zakłęcia otworzyć nie chciał.

—Łatwo wyobrazicie sobie, jaką miałem

noc; a jaką mieć musiał Janusz, to jest i pojęcie przechodzi. Wstawszy raniutko pobiegłem zapukać do jego pokoju; pukam—nikt się nieodzywa. He! źle—pomyślałem.

W śmiertelnój trwodze lecę poszukać jakich kluczy myśląc, że nimi drzwi otworzę, wracając z kluczami spotykam na wschodach starą piastunkę która biegła z pośpiechem.

—Przebóg! jakżeż ma się panna Helena?—zapytałem jój.

—Daleko lepiej, Bogu dzięki—odpowiedziała. Siedziałem całą noc przy niej, nade dniem przebyła gwałtowną kryzys i zaraz doznała ulgi, teraz ustąpiła gorączka i sen przyszedł. Chciałem tę wiadomość donieść panu Januszowi.

—Nade dniem! powtarzałem z trwogą i pomięszaniem i przypadłem do drzwi Janusza, które choć się otwały, musiałem jeszcze użyć wszystkich sił, aby odepchnąć komodę, którą się zabarykadował. Na wstępie nic niemogłem rozpoznać; żaluzie były zamknięte a świeca stojąca na stole dogorywała w lichtarzu buchając czerwonym i słabym światłem. Zdawało się, że

w pokoju nikogo niema. Pobiegiłem do łóżka: próżne. Poskoczyłem ku oknu, otwieram żaluzie, dzień zajaśniał... i wtenczas ujrzałem Janusza rozciągniętego na ziemi przy stole. Podniosłem go... był bez zmysłów... spojrzałem na stół... flaszczyzna stała próżna... lecz płyn zabójczy znajdował się przelany w filiżankę... Widać że nie miał odwagi wypić i spełnić ofiary.... wśród walki stracił przytomność.

—Chwała Bogu najwyższemu! wykrzyknąłem głośno—nie wypił...

I zaniósłem go na łóżko.

—Nie wypił?

Nie wypił? pochwyciła piastunka zaglądając do filiżanki— a prawda, że nie wypił, tyle jest co i było.

I natychmiast wybiegła, zostawując mię samego z Januszem, z którym dobrze się namęczyłem, nim go mogłem otrzeźwić.

—Heleno!... z ciężkością wyjąknął przychodząc do siebie.

—Twoja Helena ma się łapij! odrzekłem.

—Lepiej!... powtórzył zrywając się, mimo osłabienia... lepiej? a ja niepiłem...

—Cóż że niepiłeś? ale ona mimo tego zdrowsza i żadne niebezpieczeństwo nie grozi.

—Dzięki ci Boże! rzekł upadając na łóżko— Myślałem, że tego nie przeżyję.

Rzeczywiście, okropna noc którą przebył i tyle gwałtownych wzruszeń jakie poprzedziły ową chwilę stanowczą wyczerpały wszystkie jego siły. Gorączka rozebrała go natychmiast. Chciał wstać i osobiście zapewnić się o zdrowiu Heleny, lecz ustać niemógł na nogach; położyłem go więc w łóżko, choć się temu opierał.

W pół godziny zaczął już gadać od rzeczy, o śmierci, o truciznie, o nieznanym graczu w szachy. Co tchu posłałem szukać lekarza.

Spodiewając się, że Helena musi być jeszcze mocno cierpiącą, zbiegłem na dół chcąc się bliżej o jej stanie dowiedzieć: gdy właśnie w sieniach spotkałem piastunkę.

Panna Helena posyła mię z zapytaniem, jak pan Janusz noc przepędził? — rzekła zaraz na wstępie.

Trochę mię zdziwiło i to zapytanie i ton w jakim było wyrzeczone.

—Ależ najgorzej! odrzekłem. Na gwałt posłałem po lekarza... Stan jego bardzo mię niepokoi. A panna Helena jakże się miewa?

—Dobrze chwiała Bogu. Dziś wstanie zapewne. Poczem uśmiechnęła się i odeszła.

Ostąpiłem. Cóż się to święci? Czy ich kto poczarował? przecież muszę się prawdy dowiedzieć od kogoś rozumnego. I udałam się do ogrodu w nadziei, że kogoś spotkam, mianowicie pana Gasztołda, który przez ten cały czas cierpiął na podogrę i zamknięty w swoim gabinecie nie pokazywał się. Przechodząc właśnie około tarasu, podniosłem oczy ku górze i któż pojmie zdziwienie... Oto ujrzałem Helenę opartą o galeriją, wyświeżoną i śliczną, jakby ją nawet paluszek niezabolał. Przetarłem oczy, myśląc że to sen. Wtém ona zobaczyła mię, głową i rączką postąła piękny dzień dobry! i znikła. Na to zjawisko nogi mi wrosły w ziemię i stałem jak posąg kamienny; ale ktoś z ludzi nadbiegł donosząc mi że lekarz jest u Janusza. Zebrałem

się i pobiegłem. Zaczny człowiek uspokoił mię obiecując pacjentowi prędkie wyzdrowienie; zapisał też lekarstwo, które mu dawać miałem.

Po odejściu doktora posłyszałem jakiś hałas we dworze; doniesiono mi, że Helena kazała zaprzęgać do powozu i że zaraz miała gdzieś wyjeżdżać. Tejże samej prawie minuty odebrałem od niej list adresowany do Janusza; niemogąc go przeczytać zaraz, czytał go we dwa dni: był on mniej więcej tój treści:

„Powtarzałeś mi pan wielokroć razy, że mię „więcej kochasz niż siebie samego, więcej niż „własne życie, którebyś bez wahania się poświęcił gotów był dla mnie. Chciałam zrobić ma- „leńką próbę i dowiedzieć się jak daleko uiścisz „się z przyrzeczenia; lecz niestety! przekonałam „się, że w wyobrażeniu pańskim: przyrzec i „dotrzymać, nie należy do jednej kategorii.

„Tracę jedno z najmiłszych urojeń— to pra- „wda; lecz z drugiej strony nienarażam się na „żaden zawód. Jeżeliś Pan wyperswadował so- „bie, że umierać muszę; tém samém bez wielkiej

„boleści dowiesz się, że między nami wszelkie „stosunki ustają. Żegnam Pana.”

Helena Gasztold.

Po przeczytaniu tego listu wszystkie przepowiednie i dziwy wyjaśniły się jak na dłoni: choroba Heleny była udaną; a cała komedyja odegrała się w zмовie z naszym wielkim nieznanym. Przyznajcie panowie, że role dobrze były utrzymane, i że z nas potężnie zażartowano.

Tutaj Major uciął, i nowe cygaro zapalał.

—Ale cóż to wszystko dowodzi mój Majorze?—zagadłem. Widać że twój Janusz nie miał siły i odwagi spełnić szczytnej ofiary. Sądziłbym, że jój nie kochał z całej mocy duszy.

—To pokazuje, że w magnetyzm nienależy wierzyć—wtrącił brodaty filozof.—Są to podstępny dla utrzymania ludu w wiecznej ciemności.

Uwaga filozofa niemająca związku z rzeczą, upadła sama przez się, nikt bowiem nie chciał wszczynać daremnej rozprawy; lecz mój zarzut uczyniony Januszowi, pobudził Majora do odpowiedzi.

—Mylisz się mój kochany, podwójnie się my-

lisz: raz, że Janusz tyle ją kochał, że mógł być zrobić ofiarę z życia; ale że sposób, w jaki się odbyć miała ta ofiara, sposób nieuchronny, wyrozumowany, oznaczony godziną, sprzeciwiał się naturze ludzkiej i dla tego spełnienie ofiary stało się niepodobnym; powtóre, że niepotrzeba bardzo silnie i głęboko kochać, aby życie poświęcić... dalszy ciąg tej powieści przekona was dostatecznie.

—A więc to nie koniec?—zawołali słuchacze.

—Nie, moi panowie! odpowiedział Major zbierając się do dalszego opowiadania.



II.

Ambasador. Pożar. Poświęcenie się bez miłości.

Slubny związek Janusza Granowskiego z Heleną Gasztołd—mówił pan major, zaczynając opowiadać dalszy ciąg swojej powieści—miał szczególnie na celu zakończyć raz nazawsze kłótnie i spory majątkowe, dzielące od lat wielu te dwie rodziny. Helena, przez wyexaltowanie romansowych wyobrażeń, chcąc znaleźć człowieka, któryby życie za nią poświęcił, popsuła wszystkie układy od dawna przygotowywane: Janusz nie wychylił trucizny, ona odmówiła natychmiast

swój rękę.— Znowu zaczęły się sądowe spory i procesa ; a miasto duchownego, który miał błogosławić związek, pojawił się rój adwokatów i prawników jątrzących dawną nienawiść.

Janusz się gryzł tém i martwił niewypowiedzianie.

—Mamże z kochanka zostać nieprzyjacielem?— powtarzał często.

W chęci zachowania pokoju i zgody, mimo że matka jego i krewni odrzucali warunki pojednania się, niepragnął niczego jak, choćby z własną stratą, zezwolić na układ polubowny. Prosił mię na wszystko, abym był pośrednikiem i pojednawcą ostatecznym, uczyniłem co chciał i w tym delikatnym charakterze pojechałem zaraz do państwa Gasztołdów. Przyznaję się, że do drugiego jeszcze delikatniejszego poselstwa, sam sobie dałem upoważnienie.

Znałem całą moc miłości Janusza dla Heleny; było to niezwyčajne uczucie, które od czasu rozerwanych stosunków pewnie nie zgasło, ale owszem wzmogło się przeszkodami.

Z drugiejj znowu strony, jak dwa a dwa są

cztery, byłem pewny, że Helena kocha się w Januszu, i że jej przywiązanie przeżyło ów kaprys, który ją spowodował do zerwania serdecznych związków. Nic zatem niepodobnego nie widziałem w zbliżeniu ich napowrót, i tak dwa cele miało moje poselstwo, oba wymagające wielkiej wprawy dyplomatycznej.

Dom Gasztołdów przyjął mię najuprzejmiej. Niedziwiłem się temu, będąc dawniejszym ich przyjacielem, niż Janusza. Stary kasztelan szczególnie miał dla mnie miłość ojcowską; Helena też nie miała mię za co nienawidzić; bośmy się znali prawie od pieluch. Zaraz po pierwszym przywitaniu, odkryłem urzędowy mój charakter posła, z szczerą chęcią przystąpienia do zgody, do czego dane mi było pełnomocnictwo; bardzo prędko i z łatwością postrzegłem że i strona przeciwna niczego goręcej niepragnie jak raz na zawsze ten spór ukończyć. Ależ za to druga część mego poselstwa, zdała mi się trudniejszą do traktowania: przeciwnikiem nie był sam kaprys młodej dziewczyny, ale wola stanowcza, wyrachowanie uzasadnione na przekonaniu, co

wszystko dało powód do owéj szalónéj próby, w którój Januszowi noga się pośliznęła. Oddać rękę małżonkowi było w przekonaniu Heleny, jedno co oddać mu życie, nie chciała więc oddać je komu innemu, tylko człowiekowi, któryby umiał równie się odpłacić. Jakoż gdy wpadłem z nią na paragraf o miłości Janusza. Gdym jój malował jego rozpacz, i umysł znękany, wzruszała tylko ramionami.

Przecież miałam próbę téj wielkiéj namiętności—odpowiadała z przekąsem, teraz wiem, że ta miłość bez granic, ma swoje granice, i że nie może się odważyć na połknięcie kilku łyżek bardzo niewinnéj mixturki. Co pan na to powiesz? mówiła tonem żartobliwym—szalona moja głowa uroiła sobie, że muszę być kochaną jakem warta, albo nigdy za mąż niepójdę. Tym czasem będę siedzieć i czekać, choćby zostać starą panną.

—O, że panią nikt silniéj kochać od Janusza nie będzie, to pewien jestem... rzekłem z silném przekonaniem.

—W takim razie, cóż począć! muszę czekać, choćby do śmierci. Często w pogadankach

wracałem na ten przedmiot, ale nigdy nieodniosłem żadnej korzyści. Zacząłem więc tracić nadzieję w ten związek zerwany prawie nazawsze, a jeżeli w tej treści mówił z Heleną, to jedynie, aby mieć powód do wesołych sprzeczek i niestannych żarcików. Zdawało mi się postrzegać, że Helena lubiła utarczki tego rodzaju, które przypominały jej osobę i wypadki daleko miłsze jej sercu, niżby to chciała dać poznać po sobie.

Przyznam się też panom moim, że w owych błogich czasach rzeskiej młodości, miałem wadę dość naganną, nadskakiwania i zalecania się każdej ładnej kobiecie jaka się tylko nawinęła; nie miałem w tém wyrachowanego celu, zręcznie ułożonej intrygi, ale poprostu, miłe spędzenie chwili, igraszkę wesołego humoru, a wreszcie, że użyję prostego terminu: zalecałem się dla nabrania wprawy. Nic z tego ułańskiego obyczaju niespuściłem w nowych moich stosunkach z Heleną, która odpowiadała tym nadskakiwaniom i zalecankom z taką przytomnością umysłu, z taką zachęcającą wesołością, że nie miał potrzeby zmieniać taktyki, tém bardziej gdy dawała po-

znać, że zbyt ułudnie uwodzenie się pozorami jój względów, wystawiłoby mię tylko na śmieszność. Z resztą, cóż lepszego było robić dla skrócenia i umilenia jednotonnych chwil życia wiejskiego!

Było więc bez końca i liku takich zalecanek, sprzeczek, żarcików, oświadczeń nawet i przysięg. Stary kasztelan jak żyw bardziej się nieśmiał, i nieraz widząc cośmy dokazywali, wołał na nas: dzieci! dla Boga co wyrabiacie! głowa mi pęknie; — od rana do wieczora kłóćcie się tylko i znowu godzicie. A ty mój kapitanie, (w ten czas byłem wziął dymisyę w tym stopniu) tak ustawnie gadasz, a gadasz, że zaszczyt przynosisz swoim Wielkopolanom...

—Alboż to tylko Wielkopolanie gaduły? — odrzekłem—są i Litewki i Litwini co nam w niezem nieustępują.

—Chwal się pan, chwal—przymawiała Helena—znamy się na wartości waszych słówek... my przynajmniej co mówimy, to myślemy.

—Zgadza się pani. Jedne tylko Litewki umieją przyrzec i dotrzymać...

A Litwini?—odrzekła Helena z przymuszonym

uśmiechem— czy nie są tacy? wątpię jednakże, aby Wielkopolanie mieli w tym względzie przewagę nad nimi; ja przynajmniej niewielebym na nich liczyła.

—Sprobuj pani, sprobuj.

—Pan mię wyzywasz.... zobaczymy. Czy wiesz też pan, że miałam zamiar posłać mu także flaszeczkę z probierczym napojem? Ciekawa rzecz, cobyś też pan był z nią zrobił?

—Cobym był zrobił? posłuchaj pani: oto flaszeczkę byłbym za okno wyrzucił, a jegomości czarownikowi skórę wykropił, żeby ludziom nienapędzał choroby... teraz proszę mi powiedzieć, czyby to nie był uderzający dowód mego przywiązania?

Helena nie mogła niezrywać boków na ten pomysł; jakoż zawsześmy z sobą byli na tój stopie pustej wesołości. Zresztą papa dobrodziej bynajmniej niekładał tamy wzrastającej między nami zażyłości, owszem zdawał mi się dopomagać swoim wpływem i powagą. Niewątpię, azali czasami niewyobrażał sobie, że mógłbym bardzo dobrze zastąpić Janusza; ręczę nawet,

że oświadczenie z méj strony byłby przyjął z radością, bo miał do mnie pewną słabość, i stara jakąś wdzięczność dla moich rodziców; lecz przyznam się, że daleki byłem od tego.

Gdzie indziej uwikłany w sieci prawdziwéj miłości, nie chciałem względem Heleny przekroczyć krańców prostéj i czystéj przyjaźni; jakoż pomimo samotnych pogadarek i nieustannych nadszukiwań, nie bliższy byłem celu, jak w pierwszych chwilach.

Z tém wszystkiém pobyt mój w domu kasztelana przedłużał się; zbyt mi tam wesoło i przyjemnie upływały godziny, abym się miał spieszyć z odjazdem. Wszakżeż sam zdrowy rozsądek nakazywał opuścić ten raj; zacząłem robić przygotowania do podróży, gdy Helena oznajmiła mi jednego wieczora, że jest zaproszoną na wesele córki ich dzierżawcy; a że bardzo lubi tę dziewczynę, która się z nią razem chowała, przeto żadną miarą odmówić nie może; w końcu dodała:

—Jutro wyjedziemy bardzo rano; pamiętaj pan niezaspać.

—Jak to? i ja mam jechać—odrzekłem, śmie-

jąc się—a to zabawnie! Pani mną despotycznie rządysz. Nawet żadnych uwag niewolno mi robić. pojedziesz! i—jechać muszę.

—Nieszczęśliwy młodzieńcze!—zawołała Helena z udanym politowaniem—poświęcasz się dla mnie! za ten dowód niespodziewanej łaski wdzięczność poniosę do grobu.

I dygnęła przede mną jak przed monarchą dającym posłuchanie.

—Odwołam się kiedyś na tę wdzięczność;—pamiętaj pani...

Nazajutrz z brzaskiem jutrzeńki, zaszły powozy przed ganek i wsiedliśmy wszystko troje. Czas był cudowny, ale droga przeklęta; przez parę mil wiała się ciągle lasem, piaskami, wąwozami, błotami, po nawalonych gałęziach i najgorszych mostkach. Prawdziwie zakazana droga, po której tylko Sowizrrzał mógłby matkę swoją wozić. Powóz, mimo, że tęga czwórka szła w zaprzęgu, toczył się niemiłosiernie pomału.

Ja siedziałem na przodzie; Kasztelan i Helena zajmowali głąb powozu. Helena ubrana była w skromnym szlafroczku, i przyznaję, że ja

nigdy tak zachwycającą nie widział. Niewiem czemu, ale miałem dnia tego usposobienie do milczenia i dumania; dla tego przez całą drogę sprawowaliśmy się spokojnie. Przystawałem bowiem na cichym podziwianiu uroczej postaci siedzącej przede mną, i niewątpię, aby oczy moje nie miały wyrazisto tłumaczyć mych wrażeń, gdyż kilka razy, gdy wzrok nasz się spotkał, Helena płoniła się i z lekka odwracała główkę. Niebawem też wpadła w jakąś zadumę. Gorącość dnia wzmagająca się im bliżej ku południowi, cisza głuchego boru, zaledwie zakłócona jednostajnym skrzypem powozu i stąpaniem koni, woniejące powietrze, brzęczenie pszczołek, owe dziwne kształty światła i cieni ruszające się do koła, słowem jakiś nieokreślony wpływ magnetyczny wprawił nas oboje w wysoki stan marzenia. To sprawiało, że dłużej i częściej topił wzrok w jej czarującym licu, gdzie się malowało pewne rozkoszne zmęczenie, pewien utajony ogień, jaki zwykle poprzedza wybuch silnej namiętności.

Stary kasztelan już od godziny uległ był wpły-

wowi magnetyzmu, zasypiając w kącie powozu snem twardym i głośnym.

Niewiem jak się to stało, lecz po mimowolnym spotkaniu się naszych spojrzeń, Helena zarzwała i nagle odwróciła głowę, spoglądając w bór.

—Co za niesłychany upał! mówiła do siebie, odwiązując jedwabną chusteczkę ze szyi; nas tutaj słońce piecze, a tam w gęstwinie taka murawa zielona, taki przyjemny chłodek!

—Moglibyśmy pieszo iść cieniem, obok powozu... Służę pani. I chciałem jęj podać ramię.

Po chwili wahania się, odrzekła niepodnosząc oczu:

—Dziękuję Panu.

—Może innym sposobem da się temu zaradzić?

I kiedyśmy przejeżdżali około lip rozłożystych, wyłamałem sporą gałąź, a wiewając nią jakby wachlarzem jakim, pochyliłem się ku Helenie, chcąc ją od promieni słonecznych zasłonić. Za tę przysługę uśmiechnęła się i podziękowała skinieniem głowy. Lecz gdy niepodobna mi było utrzymać się w téj postawie zgiętej i pochylonej, musia-

łem jeszcze bardziej zbliżyć się do niej, i ręką oprzeć się o siedzenie. Tym sposobem dotykałem jęj ramienia i czułem nie ledwo każde tchnienie. Bliskość moja zmusiła ją cofnąć się w głąb i głowę w tył odrzucić, wtedy to zdała się tak piękną, tak porywającą, że m prawdziwie od rozumu odchodził. Helena również musiała być w niezwykłym usposobieniu; oczy które miała w dół spuszczone z wolna się podniosły i spotkały z mojami... Lecz się nagle wzdrygnęła, i krzyknawszy, przytuliła do ojca.

—Co to jest? co to się stało? zawołał Kasztelan przecierając oczy—czyśmy się wywrócili?

—Nie kochany ojcie—odrzekła głosem drżącym... tylko powóz się przechylił i przestraszyłam się.

—Niegodziwa i nudna droga—dodał Kasztelan. Ogromnie się zmęczyłem; czy prędko staniemy na miejscu?

Powtórzyliśmy to pytanie woźnicy, który nas zapewnił, że za półgodziny staniemy u kresu. Przytém bór się już kończył, a droga idąca po-

lem o wiele była równiejszą, więc zajechaliśmy prędko.

Wesele odbyło się jak wszystkie wesela. Wieczorem zaczęły się tańce; lecz Helena wbrew swemu zwyczajowi mało tańczyła. Co do mnie, rozważając okoliczności naszej podróży, domyśliłem się przyczyny tego kwaśnego humoru, i byłem temu rad wielce. Przyznam się, żebym teraz nie wiedział, jak się postawić na stopie dawniejszych z nią pustotek i żarcików; obawiałem się nawet, czy śmiałość moją niewzięła za obrazę, i dla tego układałem zamiar prędkiego wyjazdu. Igrać z miłością zawsze niebezpieczna, a cóż dopiero z uczuciem na jakie zdobyć-by się mogła taka nadzwyczajna istota.

Na weselu bawiono się bardzo dobrze, tańce, cukrowa kolacya, przeciągnęły się do pół-nocy. Dwór o piętrze staroświecki i dosyć obszerny pomieścił wiele gości, reszta albo rozjechała się do domów, albo nocowała na folwarku a nawet w szpichrze i stodole. Ma się rozumieć, że kasztelana przez wzgląd na wiek i godność, umieszczono na dole, Helena zaś z innymi pannami

spała na górze, mnie dano bardzo wygodny gabinecik od strony ogrodu. Znużony jazdą i tańcem zasnąłem na zabój.

Nade dniem, kiedy sen najsmaczniejszy i najtwardszy, dochodzi mię okropny hałas i krzyki. Otwieram oczy—a tu w moim pokoju widno, żeby i szpilki zbierał;—jasność jaskrawo-czerwona, naprowadziła mię na domysł, że to jest łuna pożaru. Jednym skokiem wybiegam z łóżka: wpadam do sieni... Cały dom w ogniu!

Jak stałem, zarzuciwszy tylko płaszcz na siebie, przebiegam ogród, i znajduję się na dziedzińcu.

Co za okropny widok! W pobliżu dworca była stajnia pod słomą i obórki na bydło; ztamtąd wszczął się pożar i wszystko zniszczył w jedném oka mgnieniu; a wiatr gwałtowny, porywał snopki zapalone i obrzucał niemi dach budynku mieszkalnego, który zajął się jak cyamon. Nie było żadnego ratunku. Wszyscy co nocowali we dworze, dopiero, gdy szyby w oknach pękać zaczęły, powyskakiwali z swych łóżek, cały ten tłum przestraszonych mężczyzn, kobiet

i dzieci biegał, krzyczał, zawodził i łamał ręce; przytomniejsi zaś i odważniejsi szukali drabin, haków, konewek, potracali się, łajali i klęli, ale dla tego ogień nieprzestawał się szerzyć, i dość było spojrzeć, aby widzieć, że już niema żadnego ratunku. Bliższe bowiem budynki gospodarskie spłonęły, a dach na domie mieszkalnym cały stał w płomieniu i co chwila groził upadkiem. Kilka wiader wody wylanych bez celu, powiększyły tylko siłę pożaru.

Pierwsza myśl moja była ocalić Helenę i jej ojca; spiesznie szukam ich w tłumie, i postrzegam kasztelana głosem rozpaczliwej wołającego: gdzie moja córka!—Heleny nigdzie nie było! nikt jej nie widział! co za okropne nieszczęście!

—Dziecka mi szukaj! ratuj ją! wołał ojciec, wyciągając do mnie ręce.

—Niepodobna dostać się do środka—mówił któryś z dworskich, wracając z ognia cały osmalony. Wschody omal, że nie zawaliły się na mnie.

W tej chwili—jakby jakie okropne widmo—wysoko, w oknie pierwszego piętra, ujrzeliśmy

Helenę w bieli, uciekającą na wązki balkonik przed płomieniami, które ją zdawały się ścigać. Biedne dziewczę, włożyło na siebie w tym przestraszu wczorajszą weselną sukienkę, i tak uciekała z jednego miejsca na drugie przed buchającym dymem i ogniem. Pod nią, z dolnych okien również buchały płomienie z trzaskiem i sykiem; a z pociągiem wiatru obłok gorejącego dymu pochłaniał ją czasami, i myślałbyś że z sobą unosił. Rzucona sama jedna w ten żywioł rozhułkany, omdlewając od gorąca, uklękła i tak nieruchoma, z rękami skrzyżowanemi na piersiach, biała jak gołąbka, niewiadomo nawet czy wzywała głośnego ratunku, gdyż jęk jej nigdyby do nas był nie doszedł, tak huczał płomień, a belki i wiązania z trzaskiem się zapadały.

—Tysiąc czerwonych złotych! dwa tysiące! wioskę—pół majątku, oddam temu kto mi córkę wyratuje!—Wołał stary kasztelan targając siwe włosy z rozpacz.

—Ani sposobu przystąpić! na to się nikt nieodważy!—powtarzano dokoła, a wszystkich oczy zwracały się na nią.

Jakiś młody, rzeski chłopak, śmielszy od innych, poskoczył ku dworcowi, już się wdzierał po oknach i belkach, kiedy kawał dachu upadł i przywalił go wśród pałających węgli.

Wyciągnięto nieszczęśliwego i ledwo się dotrzechwiono.

Postrzegłszy od razu, że tu trzeba energicznie działać, na boku przygotowywałem zamiar ocalenia Heleny. Z czyjejs bryczki stojącej na dziedzińcu porwałem kobierzec i zanurzyłem go w beczce wody; to samo zrobiłem z moim płaszczem. Następnie schwyciwszy kilka sznurów i dość długą drabinę, rzuciłem się w dym i ogień wśród krzyku i podziwu patrzących. Galeryjka, na której stała Helena, już się zajęta na dobre; trzeba było przebyć tę piekielną łaźnię. Choć dym wygryzał oczy, choć gorąco dech zabijało, przecież wdrapałem się; ale nowa przeciwność! ledwie stanąłem obok Heleny, kiedy drabina zająwszy się, z częścią balkoniku runęła na ziemię.

—Śpiesz się pani, dla Boga! zawołałem obwijając ją zmoczonym kobiercem—nie trać tylko przytomności umysłu, a wyjdziemy z tego piekła.

—Ach! daremny już ratunek odrzekła z rozpaczą. Jakżeż spuścimy się, kiedy drabiny niema!

—Niebój się pani! jakoś poradzę.

I silnie przywiązałem dość długi sznur do tej części balkonu, która jeszcze cokolwiek się trzymała.

—A teraz okryj pani dobrze twarz i włosy, i obejmij mię mocno ramionami.

Powiedziawsy to, kazałem jęj mocno się trzymać; a sam uchwyciwszy za powróż zacząłem spuszczać się na dół— Trudno wam opisać staroświecką budowę tego dworu; dość, że pod balkonem był jeszcze kawał pochyłego dachu stojący w ogniu. Na dziedzińcu rozległ się wrzask trwogi, gdyśmy oboje puścili się w to piekło gorzące. Od tej chwili niewiem jakim sposobem odprawiłem tę niebezpieczną podróż. Oślepiiony, odurzony bolem głowy, spuszczałem się ku ziemi, aż nakoniec upadłem na płonące główne, i przykryty zostałem zarzęciami się gruzy, niewiedząc bynajmniej jaki los spotkał Helenę. Niewiem z czyjąś nakoniec pomocą, potłuczony, bez

tchu, z osmalonemi włosy, z popieczonemi rękami, prawie w pół-martwy, znalazłem się na środku dziedzińca; wtenczas ujrzałem Helenę i Kasztelana porywających mię w swe objęcia— tu utraciłem zmysły.

Szcęściem rany moje nie były wielkie ani niebezpieczne, kilka dni przepędzonych w łóżku wróciło mi dawne zmysły. Helena, która dzięki szerokiemu i grubemu kobiercowi najmniejszej ranki nieodniosła, aż do wyzdrowienia mojego, ciągle czuwała przy moim łóżku.

Jak się tylko wygoiłem na dobre, zaraz oświadczyłem zamiar wyjazdu z ich domu. Na tę niespodziewaną wiadomość Helena zmięszała się okropnie.

—Jak to? rzekła niemogąc pokryć wzruszenia— Jak to pan chcesz nas opuszczać?... i tak nagle?

—Przecież zdaje mi się, że aż nadto zasiedziałem się u państwa, kiedy poselstwo moje, które jedynie mogłoby mię usprawiedliwić, tak dawno skończoném zostało...

—Co tam poselstwo! przerwała z żywością. Czy mnie tam kiedy ten proces obchodził?...

—Mam nadzieję—odrzekłem z uśmiechem — że nasze pożegnanie będzie nie nadługo. Przyjemność jakiej tu doznaję, i smutek jaki mię ogarnia, gdy dom państwa muszę opuszczać, każą mi najgoręcej wyglądać godziny powrotu w te strony.

—Czy to pan na serio mówisz? zapytała z niejaką niespokojnością.—Czy myślisz tak na zimno rozstać się z nami, dawszy dowód największego poświęcenia się dla mnie.

—Jak to pani niepamiętasz? rzekłem biorąc jej rękę—wszak ja ręczyłem za Janusza i teraz prawo moje zlewam na niego.

—Nierozumiem... odrzekła niepodnosząc oczu.

—Wytłumaczę się jasno: Janusz panią tak kocha, jak nikt z ludzi kochać cię lepiej niepotrafi; wiem o tém, że i pani jesteś mu wzajemną... lecz co się mnie tycze...

—Pan życieś swoje dla mnie naraził—przerwała.

—Zapewne.... ale natomiast niemogę pani

tylko przyjaźnią moją służyć; mniemam, że od niej tego samego uczucia spodziewać się mogę, a to jest wszystko czego żądam. Powtarzam nawet, że tylko tym rodzajem wdzięczności serce pani może mię zaszczyścić. A więc czy mogę polegać?...

Za całą odpowiedź ścisnęła mi dłoń małą swą rączką, na której serdeczny wycisnąłem pocałunek... We trzy dni potem opuściłem dom kasztelana.

Tutaj Major umilkł, wyciągnął się na krzesło i nogi na krzyż założył.

—I cóż to wszystko dowodzi mój Majorze? zawołałem — oto uratowałaś życie Helenie nie kochając jej! Miałaś wielką słuszność; lecz to wcale nieuniewinnia Janusza.

—Pleciesz nic do rzeczy — odparł Major — we wszystkiem, nim się sąd wyda, potrzeba czekać końca.

—Więc to jeszcze nie koniec? zawołaliśmy uradowani.

—Spodziewam się — że nie, teraz to właśnie najgłówniejsza przychodzi katastrofa; pozwólcie mi jednak zapalić świeże cygaro.



III.

Bal—Pojedynek.

W rok po tém zdarzeniu, a może i więcej, Xiężna *** bawiąca podówczas w Wilnie, gdzie dotąd pamiętają świetne jój salony i bale przepyszne a wesołe, co rzadko w parze chodzi—wyprawiała właśnie bal na imieniny córki swojej zaręczonój z Jenerałem konsystującym z swoją brygadą w témże mieście. Co tylko żyło z znaczniejszych osób w téj stolicy gubernji, co tylko miało z nią stosunki zażyłości w prowincyi, wszystko zostało zaproszone, a że każdy wiedział iż nigdzie lepiej zabawić się niemożna jak w domu

Xięźnej, a przytém że powszechny miano dla niej szacunek, więc też o mil kilkanaście i więcej wszystkimi traktami całe karawany ciągnęły na dzień naznaczony. Że to było w początkach zapust, zaprosiny te służyły za dobry pretext pięknym naszym paniom, do przewyciężenia uporu panów małżonków, ociągających się z wyjazdem ostatecznym do miasta, gdzie zwykle ściągano na sam koniec Karnawału, ażeby córeczki przewietrzyć i pokazać. Ja sam, odebrawszy zaproszenie, poleciałem natychmiast, tém śpieszniej, że spodziewałem się znaleźć tam Janusza, który chodził koło procesu, a niemniej i Helenę, która będąc ulubienicą Xięźnej, pewnieby nieominęła tak solennej chwili.

Jak przewidywałem, stało się: Janusz siedział w Wilnie od dwóch blisko tygodni, Helena zaś z ojcem w wilię balu przybyła.

Możecie sobie wyobrazić, bo tego przecież opisywać niewarto, że bal był całą gębą; czyli było wszystko, co świetność balu stanowi; wspańnię salony, krocie świec, muzyka wyborna, napoje grzejące i chłodzące w wyśmienitym ga-

tunku, a nadewszystko towarzystwo dobrane, stroje dam prześliczne i ubiory mężczyzn, jak zwykle—brzydkie, lubo grono oficerów w błyszczących swoich mundurach, robiło wyjątek od téj ogólnej prawie reguły.

Długo musiałem błądzić w tłumie, a tłum był jak na raucie angielskim, zanim spotkałem Janusza przypatrującego się ukradkiem, z za pleców jakiegoś otyłego urzędnika, tańczącej Helenie, która prawdziwie gasiła wszystkie piękności i strojem, i gracyją, i nieporównanym wdziękiem twarzy oddychającej świeżą poezyją młodości.

—Co mówisz na to Januszu? zapytałem go ściskając mu rękę.

—Robię psychologiczne postrzeżenia—odparł, oddając mi uścisk.

—A jam sądził żeś w siódmém niebie, jak ja—dodałem ze znaczącym uśmiechem.

—Czas uniesień przeminał—odparł z westchnieniem—teraz bawię się anatomią, i nie mogę sobie wytłumaczyć, jakim sposobem twarz jęj malująca tak żywo każde uczucie, i to spójnienie i uśmiech przemawiające tak poetyczną

rzewnością, nareszcie ów głos budzący sympatyję, mogą być maską najzimniejszego najprozaiczniejszego serca, które ma sobie za nic igrać z najświęszymi uczuciami? Ale ty wiesz, o czém chcę mówić, dla tego niepotrzebnie wchodzę w te szczegóły—tylko się jej przypatrz, jeżeli możesz z zimną rozważą, i porównaj z wiadomą ci historiją...

—Zdaje mi się że jesteś na błędnej drodze badań experimentalnych — odpartem wpatrując się weń—albowiem z rachuby swojej wypuściłeś kaprys kobiecy, który pod żadną formułkę psychologiczną podciągnąć się nie da, a tém samem nie robi ujmy przymiotom serca. Sam nie wiem z kąd się zdobyłem na te filozoficzne argumenta, ale musiałem mu odpowiedzieć w jego języku, kończąc wszakże po mojemu: słuchaj Januszu! w miłości droga poetyczno-romansowa, niezawsze najkrótsza i prowadząca do celu; gdybyś był kochał po staremu, nie wdawał się w żadne rozmowy z xiężycami, w żadne magnetyzmy, byłbyś dawno otrzymał rękę Heleny, która...

Chciałem dalej coś mówić ale w tém stanęło

nowe koło mazura, i tłum usuwający się rozłączył nas, przeto Janusza na część wieczoru straciłem z oczu, tém więcej że wybrany do figury, musiałem rad nie rad puścić się w tany, co mi takiej dodało ochoty iż odtąd żadnego nieopuszczałem tańca.

Stanąłem właśnie do kontradansa robiąc *vis à vis* z drugą parą w której była Helena, kiedy uczułem jak mię ktoś wziął za ramię. Obróciłem się—był to Janusz.

—Mam do ciebie pilny interes—rzekł ciągnąc mię za ramię.

—Ależ uważaj przecie że tańczę z tą damą.

—Nic to nieszkodzi — przeproszę ją, bo to moja kuzynka, a nawet tancerza jój znajdę.

I zaraz rzekł jój do ucha kilka słów a spostrzegłszy jakiegoś gapiącego się młodzika prezentował jój i na mojem miejscu zostawił.

—Ale cóż znowu za tak nagły interes? mówiłem doń wpatrując się mu w oczy, w których odgadłem niezwykle jakieś wzruszenie wewnętrzne.

—Dowiesz się o wszystkim— odrzekł spo-

kojnie, wprowadzając mię ku przedpokojom—bierz tylko kapelusz i futro, byleś je czemprowadź znalazł w tym tłoku.

Wynalazłszy nasze futra i kapelusze wyszliśmy na ganek, gdzie już stały sanki Janusza.

—Siadaj kapitanie—zawołał—a w drodze opowiem ci o co chodzi.

Aczkolwiek domyślałem się że to jakaś sprawa honorowa, jednakże pragnąłem szczegółów, które mi Janusz udzielił mniej więcej w tej treści: Widok wesołej całą duszą tańcowi oddanej Heleny, przykre nanim sprawił wrażenie; gniewał się i na nią i na siebie że niemógł pokazać jej na przekorę równej wesołości, bo choć raz przymusił się puścić walca, ustał prędko, nogi bowiem jakby dzielając smutek swego pana, wypowiedziały posłuszeństwo. Błąkał się więc z kąta w kąt niekiedy rozmawiając i przysłuchując się rozmowom. Traf chciał, że się zbliżył do grona mężczyzn rozmawiających we drzwiach gabinetu wychodzącego na salę. Głównym oratorem był sam major Rembowicz, zawołany pojedynek, lubiący przedrwiwać głośno

z wszystkich i z każdego z osobna, a przedwierać bez obawy, gdyż zaufany w zręczność w strzelaniu, znaną ze smutnych przykładów na kilku młodych ludziach których na tamten świat wyprawił—brał różne osoby na fundusz i wzbudzał homeryczne śmiechy w otaczających go. Pokilkakroć wymówione imię Heleny Gastołdówniej zwróciło uwagę Janusza, chcącego ominąć tę niezaszczytnie znaną kompanię. Zatrzymał się i usłyszał jak Rembowicz zapowiedział ciekawą awanturę. Każdy z was moi panowie—mówił on wskazując palcem tańczącą Helenę—wyobraża sobie że to najniewinniejszy Aniołek, co trzech zliczyć nieumie; a tymczasem to kokieta kuta na cztery nogi, co i najdoświadczeńszego umiałaby wyprowadzić w pole i na dudka nawet wystrychnąć. Czy wam przeszło kiedy przez głowę co ona z swoimi adoratorami wyrabia? Nigdybyście nie zgadli! Oto, jak słyszałem, ażeby wypróbować czy prawdziwie jest kochaną, udaje śmiertelną chorobę, a kochankowi każe pić jakąś miksę, która ma ją wyleczyć, a jego na tamten świat wyprawić. Naturalnie że ten i ów któremu ży-

cie miłe, nie chcąc kłaść zdrowej głowy pod ewanielię, zmyka jak oparzony; imościanka tymczasem prowadzi sobie romans z jakimś kuzynkiem, który jój do gustu przypada.

Cała zaś ta tragi-komedyja służy za parawan...

Janusz wysłuchawszy do końca tój całej powieści, gdy grono słuchające pękało od śmiechu, zbliżył się do Majora, a biorąc go za czerwoną wstążeczkę znaku legii honorowej— zawołał:

—Założyłbym się panie Majorze, że chyba tylko przez jaki fawor zdobyłeś ten znak honorowy, bo kto szarpie honor słabój i niewinnój kobiety, ten pewnie swego bronić nie umiał.

Major odskoczył zaczerwieniał się, i ufny w swoją siłę rzucił się zajadle z podniesionemi pięściami na Janusza.

Obecni pousuwali się widząc na co się zanosi; lecz Janusz, który acz nie wielki wzrostem, słynął z żelaznej siły, pochwycił ręce majora jak w kleszcze i rzekł z krwią najzimniejszą.

—Uspokój się majorze, bo mię tém nie nastrozysz.

Lepiej posłuchaj coć powiem: Powieść twoja jest od początku do końca najbezwstydniejszą potwarzą; jeżeli odwołasz i przeprosisz osobę, będę miał dość satysfakcyi— jeżeli nie....

—Słyszycie panowie! wołał Major siniejąc od złości— czego ten młokos po mnie wymaga?... a potém wpatrując się w Janusza...— Zapewne bratku świat ci obmierzył i już miałeś sobie w łeb wypalić, lecz przeląkłeś się grzechu samobójstwa, i przychodzisz do mnie ażeby ci oszczędził fatygi? Bądź spokojny wyprawię cię gładko *ad patres*; moje pigułki lepiej zabijają niż mixturka panny Heleny.

Nie było innego środka tylko natychmiast rozprawić się w wyznaczoném miejscu.

Sanki nasze zatrzymały się przed jednym domem, snać nie zamieszkałym na przedmieściu, postrzegłem, że innych para sanek wysadziwszy dwóch mężczyzn— precz odjeżdżała; myśmy to samo z naszemi zrobili.

Sekundant Rembowicza miał klucz od tego domu zostawiony mu przez kolegę, jakiegoś oficera, który wyjechał za urlopem; znalazły się i świece, i pistolety; warunki pojedynku niemniej prędko stanęły między stronami.— Miano się strzelać na komendę. Gdy się zbliżała chwila rozprawy, Janusz wziął mię na bok i rzekł: ot kilka słów, które napisałem do matki; oddasz jej gdy zginę.

—A Helenie czy w przypadku nic nie każesz powiedzieć? Zapytałem, sądząc że mu ułatwię przykre zwierzenie się.

—Powiedz jej, że za każdą kobietą, o której cnoście mam przekonanie, biłbym się, gdyby ją śmiano potwarzać w mojej obecności.

Przeciwnicy stanęli. Sekundant Rembowicza dał znak— oba wystrzały padły prawie jednocześnie. Janusz leżał z druzgotanem ramieniem— Rembowicz ugodzony w same czoło— nie żył.

Nie chcąc ażeby ten wypadek doniósł się do Gasztołda i jego córki, ze zwykłemi brukowemi

dodatkami i fałszami, udałem się do nich nazajutrz, zdając wierną relację pojedynku jako naoczny świadek.

Helena uczuła to mocno, a zalawszy się łzami padła przed ojcem na kolana prosząc go by jej towarzyszył natychmiast do Janusza. Stary ojciec umiał ocenić ten popęd wdzięcznego serca, i nie zważając na żadne światowe przyzwyczajenia, wsiadł z nią do powozu, każąc się wieść do chorego.

Uprzedziłem o ich przybyciu Janusza, bojąc się by go to za nadto nie wzruszyło. Helena wbiegła i uklękła przy jego łóżku, a składając ręce jak do modlitwy, mówiła błagającym głosem: „Przebacz lekkomyślnej! której się zdawało, że niedorzeczna próba daje miarę prawdziwej miłości.... Pycha moja odniosła karę— bo oto w pokorze żebrzę byś nie odpychał tej, której umiałeś z ofiarą własnego życia bronić....

—Janusz przycisnął jej rękę do serca, uśmiechnął się wypogodzonym obliczem, i dodał słabym, lecz przenikającym głosem:

7**

„Jak widać stoi w księdze przeznaczeń, że twój ręką Heleno, niktby nie dostał bez próby; przy mnie wygrana, że ją tak małym zdobywam kosztem....

Ona mu rękę położyła na ustach i nie dała więcej mówić....

—I jakież koniec? zapytali słuchacze.

—W kilka tygodni wyzdrowiał— i pobrali się z końcem karnawału— odparł Major po chwili przestanku; a teraz, kiedyście powieść słuchali, posłuchajcież i sens moralny. Widzicie zacni przyjaciele! jeżeli Janusz nie miał odwagi spełnić ofiary, jakiej po nim wymagała Helena, tedy nie pochodziło to ani z braku miłości, ani z tchórzostwa, a mniej jeszcze z wstrętu do poświęcenia się. W ostatnim przypadku dowiódł, że mu na żadnym z tych przymiotów nie zbywa. Dla czego więc zrobił to potem, co mógł być przedtem uczynić? i dla czego, stawię sto przeciw jednemu, każdy mężczyzna w podobnym przypadku nie mógłby inaczej sobie postąpić?— Oto z téj przyczyny

moi panowie, że w poświęceniu się tego, który życie swoje naraża, aby ukochany przedmiot ocalić z płomieni, albo ująć się w obrazie jego pocziwój sławy, i pierś na strzał śmiertelny wystawić— jest zawsze coś, co dodaje bodźca i utrzymuje w przedsięwzięciu. A to coś, znajduje się na dnie pudła pandory, i nazywa się— nadzieją.



OLESK I BIAŁYKAMIENÍ.

(Wspomnienia z podróży).

I.

Zamek Oleski.

(Wspomnienia z podróży).

Widok z Białej góry.— Winnice.— Koloryt miejscowy małego miasteczka.— Zamek Oleski.— Marcjanna Daniłowiczówna i Adam Żółkiewski.— Samobójstwo.— Pokój, gdzie się rodził Król Jan.— Przepowiednie.— Żona doży.— Juśkowice.— Wzór domu i obywatela.

POŻEGNAŁEM tedy Podhorce i zapuściłem się w piękny las buków i grabów ciągnący się dobre ćwierć mili; droga tam zawsze najgorsza, a mianowicie w czasach słotnych, przez kałuże wymoszczone chrustem i dylami, jedzie się jak po Madejowém łożu. Ale oto las rzadzieje, i

droga się zniża małym wąwozem i na raz skręcają konie; przed tobą otwiera się nie obejrzana okiem płaszczyna i tylko po lewej stronie półkolem zabiega łańcuch romantycznych wzgórzy. Kto pierwszy raz jechał tą drogą, jeżeli miał w duszy iskierkę poetyckiego ognia, nie podobna aby nie kazał być stanąć i nie nasycił się widokiem tego kobierca, utkanego zielonemi łąkami, grupami starych drzew, malowniczymi dworcami, błękitniejącymi bory, a nadewszystko tym Oleskim zamkiem, co wśród obszernych trzęsawisk wznosi siwe swe mury na wysokim kopcu, i w szybach wschód lub zachód słońca odbija. Szyby w oknach! to jeszcze nie zupełna ruina, nie trup; tam jeszcze drga szczątek życia, trzyma się całość; zamieszkują ludzie! Serce podróżnego skacze z uniesienia: w pół godziny będzie deptał te historyczne prochy, dotykał murów pamiętających czasy Świdygełłowe; tę kolebkę domu sławnego Daniłowiczów; tę może komnatę, gdzie Jan III pierwszy raz oczy otworzył. Takie uczucie budziło się we mnie, kiedym zjeżdżał z białej góry, tak bo-

wiem ją nazywają od śnieżnej białości wapiennego kamienia, którym spadzista droga usłana; na mil kilka widać ją doskonale wijącą się między krzewy i las zielony. Widok z tej góry bywa jeszcze bardziej zachwycającym, mianowicie pierwszych dni wiosny, kiedy jadąc ze stron Podolskich, brniesz przez zasypane miękkiego śniegu, i łajesz słońce, że jeszcze nie stopiło lodów, kiedy w tym samym lesie wóz twój turkoce po trzymającej zamrozi, kiedy jeszcze ledwo marzysz o wiosnie, a tu na raz pod nogami postrzegasz nowe życie w zazielenionych oźminach, w ruchu pracujących wieśniaków, w szmerze zlatujących z gór potoków, w gwarze polnego ptactwa, i w tym ciepłym powiewie, któryby nazwać można pierwszym westchnieniem ziemi. Podolska wysoka płaszczyna przyjaściółką jest dłużej zimy; a biała góra, jeśli mi wolno użyć górnego i przesadzonego porównania, czoło ma jeszcze uwieńczone śniegiem, kiedy stopami depce po kwiatach. Taka różnica temperatury stwierdza podanie, jakoby po tych niskich, na południe wystawionych wzgórkach

około Oleska, miały być niegdyś winnice. Położenie to zupełnie odpowiada położeniu okolicy Podborzec, które za dawnych czasów słynęły swém winem, jak to się pokazuje w wierszu Zbigniewa Morsztyna napisanym do Stanisława (najpewniej Oświecima) rotmistrza J. K. M. (Wład. IV.), gdzie mówi:

Powiedz mi bracie, boś ty zwiedzał smaki,
Trunków, i napój pileś nie jednaki.

.

I własnej niechcąc zawstydząć ojczyzny:
Pileś te wina, które daje żyzny
Grunt Brodzki, kędy zawiesił proporce,
Hetman *), i wszczęły dobrą myśl Podhorce.

Rzecz nie wątpliwa, że jeżeli Mazowsze miało swoje Winnice— kraje ruskie miały ich nierównie więcej; a jak musiały być upowszechnione, dowodzą najlepiej piosenki gminne, mianowicie weselne, gdzie się często napotyka wyrażenia: *sad wynohrad*. Wiemy zaś, że lud nie łatwo przyswaja sobie wszelkie rzadkości panom tylko przystępne. To jeszcze naprowa-

*) Stanisław Koniecpolski.

dza na myśl, że za kwitających czasów Rzeczypospolitej, kiedy te dobra zostawały w posiadaniu Koniecpolskich, Daniłowiczów, Sobieskich, Rzewuskich, musiało i oblicze kraju powabniejszą mieć postać, i dopiero z niedbalstwem ostatnich czasów, wszystko pochyliło się do upadku. Świadczą o tém ślady murów ciągnące się za obrębami małych dziś miasteczek; niemniej kasztanowe i lipowe ulice w polu, nie prowadzące teraz do żadnego dworca ani zamku.

Spuściwszy się z Białej góry, jechałem pagórkami, po za którym powitało mię miasteczko Olesko. Podupadłe dzisiaj, ogołocone z wszelkiego przemysłu i handlu, świadczy czém było dawniej, trzema swemi kościołami: farnym, Ś. Katarzyny, i klasztorem Kapucynów, leżącym zaraz u stóp zamkowego wzgórza. Pamiątek starożytnych nie znajdziesz tu, prócz kilku nadgrobków Daniłowiczów we farze, której architektura nie nosi żadnego charakteru. Za to spytawszy starych ludzi dowiesz się, że ten stek żydowstwa i błota obwiedziony był murem; że były bramy ze zwodzonymi mosty, że po obu

stronach téj grobli prowadzącej do zamku stały domy, tworzące ulicę Ormiańską; a z jeograficznych opisów wyczytasz, że ten mały nie dojrzany prawie strumyk, który już dziś nie ma nazwiska, nosił kiedyś miano poetyczne Libericii. Wszystko tu wszystko minęło, i to co ludzie zrobili i to co stworzyła natura.

Nic cię też nie zatrzyma w téj biednej mieścinie; nuda i tęskność napętnią na widok dwóch czy trzech przekupek sprzedających w nieckach bułki i niedośpiałe owoce, kilku żydków z rękami za pasem przechadza się po rozmieszonym błocie; huzar stoi we drzwiach szynkowni i bakun pali.... Ot i koloryt miejscowy! życzę pomysłności każdemu kto w nim pędzel swój umoczy. Uciekałem też co siły przez groblę wiodącą do zamku. Po jednéj i drugiéj stronie rosną, tam stare drzewa, ale wiele poobalanych przez czas i ludzi; równolegle od téj, widać drugą kasztanową ulicę; obie prowadzą do zamku, ale tamtą, acz taka spaniała i piękna, nikt nie jeździ. Jest podanie, że je Sobieski zasadził; słodki pokój temu lubownikowi pięknych drzew

i ogrodów! Przekonałem się, że z historycznych naszych osób, dwie tylko przeszło w pamięć ludu: Bona i Sobieski. Jeżeli gdzie jaki zamek zobaczysz, a spytasz prostego człowieka, kto go fundował? niezawodnie ci odpowie, że Królowa Bona. Zdziwisz się odwiecznym kasztanom lub orzechom włoskim? zaraz ci powiedzą, że je król Sobieski swą ręką zasadził. Dwa te nazwiska wbiły się w pamięć ludowi, choć ani pierwsza, ani drugi nic nie zrobili dlań więcej, prócz że upięknili naturę, na którą z miłością patrzy, i uważa prawie za zasługę przed Panem Bogiem.

Na końcu grobli stoi schludny kościół i klasztor Kapucynów; z pośród zielonych drzew rosnących na cmentarzu malowniczo przeziera czerwona dachówka. Miejsce to zaciszne oddycha świętą prostotą; lubiłem tam bywać na nabożeństwie odprawianém ze wszelką skrucą przez tych poważnych i ubogich zakonników, raz, że bardziej do mnie przemawiało to skromne wnętrze kościołka, o drewnianych ołtarzach bez żadnych ozdób i złota, w których mieści się kilka pięknych obrazów; powtóre, że zwykle mało tu

bywa ludu, a ztąd i mniej roztargnień a więcej duchowego skupienia. Klasztor ten nie zbyt jest dawny; ile mi się zdaje założył go Rzewuski wojewoda wołyński, mąż Szembekównój, co poszła za Lewendala znanego z dzieł wojennych pod Maurycym Saskim. Caraccioli w żywocie Rzewuskiego powiada, że z wielką wspańnością odbył się w tymże kościele pogrzeb wojewody wołyńskiego r. 1754, i że sam arcybiskup lwowski celebrował.

Ale czas już pośpieszać do zamku, do którego nie dalej nad paręset kroków, tylko, że droga idzie dość stromo pod górę zastaną kamieniami, niegdyś stanowiącemi bruk. Póki się przez niedbalstwo i niemożność ostatnich właścicieli nie zawaliły arkady, po których idzie droga; póty można było powozem wjechać, aż na szczyt do bramy zamkowej; dziś nie tylko, że ogromna rozpadlina broni przejazdu, ale sklepienia tak są już wątłe i osłabione, że nikt się na tę próbę nie naraża, i czy gość, czy właściciel woli piechotą schodzić na dół, niż trapić się myślą, że go gruzy zagrzebią. Przyznam się,

że zawsze wolałem piechotą wchodzić na zamek; za każdym bowiem krokiem szerszy i powabniejszy odślaniał się krajobraz; a bliżej, drzewa owocowe i stare świerki zaniedbanego ogrodu, na które patrzałem z wysoka, ciągnęły mię w swój cień, i zdały się niby wtajemniczać w dawne dzieje, w skryte myśli, tych staropolskich figur, co wśród nich szukały niegdyś folgi utrapieniom, i sercu ochłody. Wyobraźnia zawsze gotowa tworzyć to, w czém się dusza lubuje, choć zimny i wątpiący rozsądek co chwila mówi: tego tu nigdy nie było!

Było to czy nie było, ja jednak z pamięcią historycznych zdarzeń, z poetycznym uczuciem gotowém tchnąć życie w te omszone mury, wchodzię przez bramę, która niegdyś, gdy możny i gościnnie pan mieszkał w tym zamku, zamykała się zapewne na wrota okute grubemi szyny, a dziś wiecznie otwarta choć zdaje się wszystkich zapraszać, przecież rzadki tu gość wstępuje, a o zjazdach i festynach nawet i podanie nic już nie umie powiedzieć. O bo też z śmiercią tych rycerskich postaci, które do swojej tuszy zbu-

dowały te baszty, te grube i wysokie mury, powinien i gmach był runąć, aby późniejszy następca nie wyglądał w nim jak włoski sztylecik w pochwie krzyżackiego miecza. Podług mnie stokroć lepiej skazać taki pomnik na ruinę; zdjąć dach, powybijać okna; niechaj się wróble i jaskółki w nim gnieźdzą, na gzymsach trawa zaściele i biała brzoźka wyrośnie we drzwiach gankowych, niby cień pokutującej pani co umarła z miłości. Wolę stare zamczysko, gdzie ludzie mieszkać nie śmieją, nie czując się w harmonii z tém co ich otacza. Nie mogę tu nie wyjawić mego szacunku dla owych wyobrażeń gminu, zwanych pospolicie przesadami; zawierają one zwykle głębokie ostrzeżenie lub naukę pod formą fantastyczną, która w zmysłowym wieku naszym ołudza tylko pogardę. Jest to jedna z wielu krzywd wyrządzonych przeszłości i wierze ludu. Między innemi któż nie słyszał podań o zamkach napastowanych przez duchy? Któż nie słyszał i kto nie zgorszył z tego? a przecież była to tylko przestroga moralna; że do nowych potrzeb i obyczajów świeżego plemienia potrzeba

innéj budowy, innych rozmiarów, innego porządku. W Wogezach, w czarnym lesie, w Turynгии gdzie tyle zamków widziałem, feudalizm gnieździł się z razu na najwyższych szczytach, potem coraz zstępował ku niższym, aż dziś zniknął w śród równin. Nie chcę wchodzić, czy z potrzeby czy z delikatnego uczucia, wszystkie stoją teraz pustkami i zapewne okryłyby śmiesznością każdego, ktoby je chciał urządzić na dom mieszkalny; lecz aby na oryginałach nigdy nie brakło, znalazł się jakiś spanoszony liwerant, który milionowym kosztem z gruntu prawie wystawił zamek Ortenberg w nadreńskiej dolinie. To tylko nieszczęście, że z okien swego dążonu (donjon) patrzy na same cudze grunta, gdyż państwo jego kończy się z prostopadłą skałą. Lubo Oleski zamek nie może się porównać z żadnym z zamków nadreńskich, mających wybitną cechę średniego wieku i olbrzymie rozmiary, jednakże ma swój właściwy charakter, choćby w osobliwej prostocie struktury, odpowiedniej wojennemu jego przeznaczeniu. Zapewne że za czasów kiedy go odzierżyli książęta Olescy, kiedy w nim trzy-

mał załogę Świdrygiełło, musiał inaczej wyglądać i mieć daleko warowniejszą postać; zwłaszcza gdy czytam w Strykowski, że Jagiełło wyprawivszy ze Lwowa wojsko przeciw Świdrygielle, zdobył naprzód Olesko, a już reszta zamków wołyńskich z łatwością się poddała. Wnosićby można, że to był klucz Wołynia; a wtenczas musiałby mieć liczną załogę, która, choćby inny gmach stał na tém miejscu, nie wiem jak się pomieścićby mogła, na tak szczupłym wierzchołku otoczonym szerokimi błotami? Nie wchodząc dalej w szczegóły, których nam odmawia historya, przystępuję do opisu zamku: zbudowany na górze dziwnym sposobem wznoszącej się w śród trzęsawisk, tworzy front o jednej baszcie z bramą wjazdową; od tego idą po obu stronach pawilony; a wszystko przedstawia klamrę, która i z czwartej strony miała być zamkniętą murem z komunikacyjną galeriją; ale jeden z ostatnich dziedziców Oleska chcąc sobie otworzyć widok na miasto, kazał ten mur zwalić; odtąd zyskał na widoku i na dzienniej jasności, niemniej też i na połowie wia-

trów bussoli, które wpadając w ten kąć zacięśniony wyprawiają szatańską muzykę po wszystkich kurytarzach i kominach.

Od wschodu lewa strona zamku nic nie przedstawia godnego uwagi; zdaje się, że była zawsze przeznaczoną dla sług i domowników; izby są małe i bez ozdób. Prawa zaś i front, noszą jeszcze ślady lubo bardzo zatarte, wspaniałej przeszłości. Wszedłszy po nowożytnych drewnianych wschodach na pierwsze piętro, przedstawia ci się dość gustowny salon o mozaikowych kolumnach z widokami malowanymi na ścianie; ale go omijas skwapliwie jako pomnik świeżego smaku. Za to obok będąca komnata, z wielką alkową, zaczyna cię witać starszym już językiem. Wysokość jej dwa razy prawie taka, jak bocznego salonu; ogromny kominek z niezmiernym piecem róg jeden zalegają. Okap kominkowy przedstawia w rzeźbie homeryczne figury: Parysa dającego jabłko najpiękniejszej bogini— na nieszczęście! Parys jest w peruce z czasów Ludwika XIV, boginiom też nie braknie na fryzurach. Sufit okrywa wielkie

płótno w złożonych ramach; na niem malowane olejno porwanie Europy. Ściany popeckane na zielono mają kilka portretów Jana III. i Maryi Kazimiry;— miało ich być tu więcej, ale jedne wzięto do Podhorzec, drugie po rękach się rozeszły. Przed alkową stoją dwa sążniste drewniane posągi podobno Apolina i Dyany, suto niegdyś złożone, dzisiaj biały gips tu i ówdzie przegląda. Są to resztki smaku jaki panował u nas za Augusta II, czyli mody, sprowadzonej z Francyi. Ztémwszystkiem najwspanialsza to komnata z całego zamku. Nie wątpię, że w dawniejszych nawet czasach, jeszcze za Daniłowiczów musiała być przeznaczoną na pokój bawialny, a jeżeli mię domysły moje nie zwodzą, kto wie, czy nie tutaj odegrała się owa straszliwa trajedyja, tak zimno opisana w starych pamiętnikach?

Było to roku 1615. Po wieczerzy, wojewoda ruski Daniłowicz, gospodarz domu, zasiadł do kart z Adamem Żółkiewskim oboźnym koronnym a synowcem hetmańskim. Nie daleko grających, a może i naprzeciw oboźnego, sie-

działa piękna i wstydliva Marcyjanna Daniłowiczówna. Oboźny nie wiele musiał dawać baczenia na karty, i Bóg wie, jaka tam walka toczyła się w jego duszy; ile spojrzeń płomienych nie posłał, które się odbiły o wstyd i spuszczone oczy dziewicy! Patrząc na dwoje tych młodych ludzi myślałby kto, że przeznaczeni dla siebie, on taki śliczny, że na weselu Zamojskiego z Batorówną przebrany był za Dyanę, pełen dworskiego poloru, pełen światowości, umiejący życia używać rozkosznie, czasem niepomiarkowanie, a nadewszystko zakochany po uszy, w tej skromnej, klasztornej wychowanej pannie, co jak gołąbka stulała skrzydełka ilekroć padał na nią namiętny wzrok młodzieńca. Tu znowu ojciec panny, wojewoda ruski, surowy, groźny, nie lubiący ani włoskiej miękkości, ani rozrzutnych fantazyi młodego kawalera, a ztąd nieprzychylny ich związkowi. Jaki dramat! któżby się spodziewał, że piąty akt już blisko? że się rozwiąże tak okropnie, tak niespodziewanie. Oboźny, czy to przyprowadzony powierzchowną oziębłością panny do

rospaczy, czy też w zamiarze pobudzenia jój do litości nad sobą, porwał nóż leżący przed panem hetmanem, westchnawszy, a pójrzawszy na Marcyjanę, *w się nim chyżo uderzył*, jak mówi pamiętnik, co panna widząc krzyknęła. Wszyscy się porwą, a on powstawszy, ku służbie poszedł, a tam wsparłszy się upadł i *expiravit*, Panny Najświętszej o ratunek prosząc i wzywając jój, a mówiąc: *Nie chciałem tak!*

... Wiem nieszczęśliwy młodzieńcze, żeś tak nie chciał uczynić; żebyś tego nigdy był nie uczynił; bo w owych czasach czerstwój jeszcze wiary, samobójstwo było nie słychaną zbrodnią. Dzisiaj co innego, dziś, napisanoby o tobie Werterowski romans, poetyzując grzeszne szaleństwo, albo sofistycznie usprawiedliwionoby, żeś nie mógł inaczej skończyć, żeś dobrze skończył. Fałszywa doktryna z gruntu podkopała szczęście człowieka; ona się odzywa do niego: żyj sam dla siebie, i wlewa mu niesmak do życia; przeciwnie prawda religijna rozkazując mu żyć dla drugich, osładza to życie ciężkich doświadczeń, tém bardziej, że poświęcenie się wzaje-

mne, bez którego żadne społeczeństwo ostać się nie może, jest oraz zasadą, na której gruntuje się byt i utrzymanie każdego człowieka z osobna. Wyłamywać się z powinności życia dla drugich, mieć tylko wzgląd na siebie, opisywać się osobnym kółkiem, w niem zakładać całe szczęście, jest szaleństwem i zbrodnią zarazem. Ztąd też dzisiaj człowiek uwielbia się w swoich chuciach; wszystko im poświęca, a w końcu jeśli potrzeba, i samego siebie; samobójstwo więc, okropna i ostateczna ofiara na ołtarzu egoizmu, niczem nie jest w istocie, tylko ofiarą z całego siebie dla siebie.

Przeszłość minęła na zawsze, i nikt jój nie wskrzesi; to więcj niż pewna, ale uciekać się do niój, stawiać ją do miary z terażniejszością zawsze wolno; choćby tylko dla tego, aby wypocząć śród jój wzniosłój prostoty, i szukać ukrzepień w tój twórczój sile utrzymującej społeczność ówczesną, która dziś zamieniła się w rozwiążującą wszystko rozbiorowość i zwątpienie.

Przepraszam za te moje rozmyślania, z u-

szczerbkiem opisu Oleskiego zamku; i śpieszę do komnat wyższego piętra.

Przeszedłszy jakiś korytarzyk, sionkę i kilka drobnych klitek, wprowadzony jesteś do komnaty obszernej, ale w najopłakańszym stanie. Większa część szyb w oknach wybita; zastąpiono je gontami, albo deskami; szkoda tylko, że to nie są w pół przezryste błonki, gdyżby przypominały pierwotne słowiańskie wieki. Na posadzce niegdyś kamienną; dziś nie wiem jakiej, dla warstwy śmieci i gruzów, stoją kojce i różne gospodarskie naczynia; a gdacliwa rodzina kurczą przechadza się bez żadnej osobistej dumy po komnacie, gdzie mały Sobieski niegdyś pierwsze kroki stawiał. Pokój ten musiał być wielce wspaniały, znać to po mozaikowych ścianach; po świecącej gdzie niegdzie poźłocie, a nadewszystko po płaskorzeźbach w kształcie medalionów na suficie; gdzie jeszcze można przeczytać napisy: *Horatius, Virgilius, Naso*. Zapewne jakiś wielbiciel arcydzieł Rzymu, jaki Muz przyjaciel, wypoczywając po tańcach z Tatarami, upięknił sobie ten kątek do rozmyślań

poobiednych. Mógł to być ojciec króla Jana, prawdziwy typ starego Rzymianina, a razem i obywatela Polaka, który może z panem Orchowskim mistrzem do jego synów, naradzał się, kogo tam wprawić w te złote ramy, i jaką opatrzyć dewizą?— Próżnobyś tu pytał o szczegóły mogące cokolwiek wyjaśnić; jeżeli były jakie tradycye, to w przechodzeniu zamku z rąk do rąk, z bogatszych do coraz uboższych rodzin, musiały się coraz urywać, nakoniec pograżyć w niepamięć bez śladu. Jedna tylko, jedna, ocalała i to już nie wiem jakim sposobem. Z izby rzymskich poetów prowadzą wąziutkie, kręte wschodki na wyższe jeszcze piętro; udawszy się niemi, wejdiesz do szczupłego pokoju, którego ściany fioletowe, błyszczą jakby szkłem potłuczonym; w izdebce tej— król Jan się rodził!

Aczkolwiek historyczna prawda ujmuje mu wiele uroku, jednakże nie przestaje on być ostatnim bohaterem rzeczypospolitėj szlacheckiej, i zawsze należeć będzie do najpoetyczniejszych postaci na czele owych skrzydlatych hufców pancernych pod Chocimem i Wiedniem, które tam

po raz ostatni skruszyły kopije, i już ich więć nie podniosły; z nimi zgasł bowiem stary tryb wojowania i duch chrześcijańskiego rycerstwa. Dla tego zabiło mi serce gwałtowniej, kiedym pomyślał, że o te ściany obił się piérwszy płacz dziecięcia, co miało dźwigać potém tak ciężką koronę. O, żeby też choć ślad jakikolwiek! Nic, nic, puste kąty, kurz i pajęczyna! W zamku Podhoreckim pokazują marmurowy stół, na którym mały Jan chrzest przyjmował; nie tam, ale tu jego miejsce, tu on stać powinien, i zwiedzającym zamek, opowiadać legendę o chrzcie małego Janka. Dziwna to legenda; a co więć, dotykalmém świadectwem poparta. Posłuchajmy jój:

„W wigilią Przenajświętszój Trójcy dnia 2 Czerwca 1624 r. urodziło się dziecię w zamku Oleskim. Skoro odebrano niemowlę, i po obmyciu go położono na stole marmurowym, który w tój chwili, jak gdyby zrysowany piorunem przepęknął się na dwoje. Rzecz dziwna, przytomnych zasępiła, a wielebny ojciec Siemiaszko z monasterku bazylikańskiego, znajdujący się przy

tém milczeniu, rozerwał je temi słowy: „Znać, że niemowlę to z poręki wszechmocności chwałę odebrało, która w całym chrześcijaństwie walor mieć będzie; świetna ta jednak chwała w czasie dalszym przepęknie się, i narodowi szkodliwą się stanie.”

Wiadomość ta wypisana z notaty znajdującej się na okładkach mszału w monasterku Pleśńskim; a rysa prorocza popiera podanie; bo ją każdy zwiedzający Podhorce, może namacać na czarnym marmurowym stole, który nie wiem dla czego przecięto na dwoje, i dwa zrobiono stoły. Zdaje się, że mały Janek był niepospolitem dziecięciem, i że przyszlą jego wielkość często mu przepowiadano; aczkolwiek nie mogę ręczyć, azali te wróżby nie są późniejszym wynalazkiem, kiedy już korona zdobiła jego czoło. Między innemi Żórawski matematyk, przypatrując się temu chłopięciu, i podziwiając jego układność a symetryą, a bardziej obyczajnie niepospolite, miał wieszczym duchem powiedzieć. *Aut rex, aut prorex.* Piękny komplement, który musiał rodzicom pochlebić, ale nadzwyczaj-

nym się nie wydał, bo któż nie marzył o koronie przy wolnej elekcyi? Inny znowu profesor w akademii Krakowskiej, gdy mu Sobieski podał upadniony biret na ziemię, wyrzekł niemięniej proroczo: *Non moriar, donec video Diadema in capite tuo.* Te ścigające go od dzieciństwa przepowiednie, mogły łatwo w późniejszym czasie pobudzić do intryg, i do nienawiści przeciw Korybutowi, a może jak mniemano, przyspieszyć króla niedołęznego śmierć. Nie chciałem tém podejrzeniem plamić sławy bohatera, ale obok męztwa i jakiejś awanturniczéj rzutkości, charakter jego w innych stosunkach życia, nie miał wszystkich stron pięknych.

Późniejsze dzieje mieszkańców zamku zbyt wchodzą w obręb powszechnego życia, i trudno byłoby coś wydobyć dla zaspokojenia ciekawości lub zatrudnienia wyobraźni. Powiadano mi tylko, że niedawnemi czasami mieszkał w nim oryginał, któremu się zdawało, że zawsze może szafować milionami, chociaż majątek jego coraz uszczuplał się, i ledwo na pierwsze potrzeby domu i córek wystarczał.

Otóż już wszystko z pamiętek i wspomnień! Trzeba mi pożegnać kolebkę bohatera i raz jeszcze spojrzeć przez okno na kraj czarowny i szeroki, który mi szepce pociechę o wiecznie trwałych i odmładzających się pięknościach natury. Trzeba pożegnać i tę uroczą dziewicę, co jak topolka w cieniu wyrasta, i zda się uśmiechać słodką nadzieją do młodego świata. Jak tam na łąkach, tak i w tém łonie, życie gra całą siłą— ale strzeż się moja lilio: łąki Bóg odmładza co rok, a tobie ludzie mogą odebrać świeżość i młodość i zestarzyć cię przedwcześnie i na zawsze!

Złowrogie przeczucie sprawdziło się. Przypominacie sobie ową powieść Hofmana: Marino Faliero, w której tak rzewnie, tak wiernie maluje cierpienia młodej małżonki starego Doży? Pamiętajcie jak łądz ich lekko się suwa po lagunach śród rokosznej i ciepłej włoskiej nocy, którą rozbudza piosneczka Gondoliera:

Ah! senza amare,
Andare sul mare,

Col sposo del mare
Non puo consolare.

Jakżeż ją wskrós przenika ten krzyk młodocianego czucia! Biedne dziecko wędniało dotąd, nie wiedząc, czemu ją taki ciężar przytłaczał; i po raz pierwszy postrzega próżnię w swém sercu! Poślubiona bogactwu nie miłości, skazana żyć próżnością, nie przywiązaniem, wyciąga białe ramiona ku jakiejś uroczej marze, całkiem nie podobnej do posiwiątego Doży..... Resztę, kto chce niech dopisze.

Blisko pod Oleskiem, bo tylko na małe ćwierć milki, a łąkami jeszcze bliżej, leży wieś Jużkowie. Już z daleka w miłe zachwycenie wprawia mnóstwo drzew otaczających nie wielki, ale powabnej budowy dworzec bez piętra, z wystawą wspartą na czterech słupach. Obszerny dziedziniec usłany gładkim i zawsze zielonym trawnikiem; kłąby krzewów i kwiatów rozrzucone tu i ówdzie, ostrzegają z góry, że tu już wszystko stosuje się do czasu i osób, i że fizjonomia i potrzeby mieszkańców odbiły się w ich

schronieniu. Przyznam się, że jestem wielbicielem téj harmonii między człowiekiem, a tém co go otacza, i często lubię wnioski robić o charakterze osoby, bądź z jéj ubioru, bądź z mieszkania. Suchość serca, brak wszelkiej wyobraźni i poezyi, odkrywałem nie raz (wyjawszy jedno ubóstwo) w nagich ścianach, rzadkich i symetrycznie ustawionych sprzętach, w niedostatku jakiegobądź pomysłu w rozkładzie całego domu i tego co go otacza. Jeżelibym chciał sobie wystawić męki wiecznego potępienia, niech by mi kto kazał żyć w niektórych domach na wsi, gdzie żadna rzecz nie zmienia swego porządku, gdzie jak raz co postawione, musi stać do skończenia świata, gdzie, jak mówi Jerzy Sand, żadnemu zwierzęciu wejść nie wolno, z prostéj przyczyny, że rzeczy ożywione, szkoda nie ożywionym. Możeż być okropniejszą męką nad tę nieruchawość, ten zabijający porządek! Takim nie był dworzec Jużkowieki, choć dwoje w nim starców mieszkało, pan Jan U. i żona jego Anna. Pamiętne i drogie sercu memu imiona! On, kiedy go poznałem pra-

wie siedmdziesiątletni, ona o kilkanaście lat młod-
sza; oboje z innego wieku, innego wychowa-
nia ze świata innych wyobrażeń, a przecież lu-
bili naszą młodość, pojmowali myśl nowszych
czasów, i nie ledwo żyli niemi. Ileż nie upły-
nęło dla mnie chwil wesółych, nie powetowa-
nych w tém rzadkiem towarzystwie! potoczna
rozmowa nie uciniała się nigdy, bo źródło jej
podsycala zawsze obszerna nauka i czytanie
gospodarza; a żarty wesole samej gospodyni
przenosiły ją na pole lekszej i swobodniejszej
pogadanki. Nie znałem domu jak Jużkowicki,
który bez żadnych uroszczeń do przewodzenia
stał się był wyrocznią sąsiedztwa i nie jako o-
gniskiem opinii. Czémże to się działo? oto
wyższością i czystością ich duszy, chrześcijań-
skiém pobłażaniem dla słabości drugich i nie wy-
czerpaną miłością, którą obdzielali każdego.
Jeżeli by kto chciał stawić w obrazie obywatel-
skie cnoty, uprzejmość, gościnność, zapomnie-
nie uraz, wspaniałość duszy, litość nad nie-
szczęściem i nad ułomnościami ludzkiemi, tam
powinien był wzoru szukać. Ci co znali dwo-

je tych starców, przyprawdzą mym słowom, i dużo jeszcze dodaćby mieli. Ja zaś to tylko dodam, że ona od lat trzydziestu ciągle była cierpiącą, on od lat trzydziestu ciągle bolejący jój cierpieniem, a przecież ci ludzie mieli i uśmiech i dobry humor i serca wylane i zapomnienie siebie dla drugich. Te dusze ośmnastego wieku, musiały być w innym żywiole skąpane niż nasze; i mimo skrzywienia pojęć przez filozofiją materyjalną, zepsucie nie śmiało jeszcze samój głębi naruszyć, tylko prześlizło po wierzchu.

Do charakteru i usposobień tych rzadkich osób stosowało się i wewnątrz ich domu. Stawiał go sam gospodarz, i wszystko obmyślił o własnej wygodzie i gościa. W sprzętach i ozdobach nie było zbytku, ani wyszukania; ale w ustawieniu ich zaprowadzony porządek i wygoda, odpowiedny porom roku i ułatwiający ruch choćby znacznej liczbie gości. Nigdy nie zapomnę tej pięknej okrągłej sali z trójgiem wielkich drzwi szklanych, które wychodziły na ogród; jaka tam zawsze świeżość, jaka woń od kwia-

tów stojących w donicach i często odmienianych: prawdziwy raj do konserwacyi i zabaw w czasie ciepłych wieczorów letnich. Samo miejsce ożywiało myśl, poetyzowało uczucia i rozpędzało kwaśny humor, choćby kto z nim był przyjechał.

Oprócz przymiotów umysłu i serca, nie pospolita pamięć i nauka zdobyły dostojnego starca. Mało znam ludzi, którzyby więcej od niego czytali, mniej, którzyby nabyte wiadomości lepiej strawili. Przypominam sobie, że nie raz na zbiecie mego zdania, które wówczas miałem za niemylne i które utrzymywałem z namiętym zapałem, odpowiadał krótkimi, spokojnymi słowami a prostymi jak ewanielija; słowa te, aczkolwiek nie rozbrajały mię zaraz, ale wryły się w pamięć, i po latach, kiedym zaznał więcej świata i doświadczenia, stanęły jak żywa, nie wzruszona prawda.

Oprócz moralnych korzyści, jakie odnosiłem z jego rozmowy, miałem jeszcze i tę, że niby to żywa kronika obznajamiał mię z wypadkami i

ludźmi czteroletniego sejmu. W sądach zaś swoich wielce był bezstronny; brał czyny, ich pobudki i skutki, i roztrząsał je przed trybunałem sumiennęj prawdy. Drobne namiętności i uprzedzenia nie miały do pięknej duszy przystępu. Niekiedy lubił opowiadać bardzo dowcipne anegdoty; między temi i różne ciekawe zdarzenia mało komu znane, które rzucały wierne światło na wiek ośmnasty i życie domowe. Kilka takich obrazów i rysów utkwiło mi w pamięci i dało materję do niektórych powiastek.

Nadmienić tu jeszcze muszę, że pan U. lubo wykształcony skończenie, lubo zgłębiający niektóre gałęzie umiejętności z sumienną gruntownością, przecież nic po sobie nie zostawił, nic nie napisał. Szczegół ten podnosi w oczach moich wartość jego, bo daje poznać, że autorstwo uważał za rzecz arcy-ważną, za rodzaj kapłaństwa, i że nazywał lekkością nie przebaczoną, nie rozmyślnie rzucanie się w ten zawód bez talentu i nauki.— Nie zostawił książek, to prawda; ale namiętny pomolog, nie tyl-

ko, że nagromadził w swoim ogrodzie tysiące gatunków jabłek, gruszek, śliwek, że przyswoił klimatowi naszemu mnóstwo zagranicznych drzew, ale nadto hojnie szczepami szafował i pól może Galicyi winna mu jest, że pozyska lepsze i smaczniejsze owoce niż przedtém.



II.

Zamek Białokamieniecki.

Urok przywiązany do pewnych miejsc.— Wizyta u Xlężny R.— Wstręt instynktowy.— Powieść o Czeszejce.— Kara niebios.

Do pewnych osób i do szczególnych miejsc uczuwamy niekiedy pociąg sympatyczny, często nie wytłómaczony żadną rozumną przyczyną. Któs nam się podoba, a nie umiemy sobie zdać sprawy dla czego? Jakaś okolica nęci nas, choć jój piękności nie są takie, aby każdego miłośnika natury musiały koniecznie oczarować; tymczasem w życiu niczego nie pragniesz jak osiąść pośród niej, mieć chatkę, kilka drzewek i używać lubego widoku. Na ludziach często się za-

wiedziesz, i pożałujesz źle umieszczonych uczuć; ale piękny zakątek ziemi zawsze ci wzajemnością odpłaci; zawsze te same pokaże ci pola, łąki, drzewa, wody, i nad niemi raz posępne znów wesołe niebo. Najczęściej się zdarza, że wspomnienie lat młodszych, pełne poezji, otoczone urokiem taką okolicę, tém mocniejszém, jeżeli jeszcze była teatrem silnej namiętności, jeżeli pamięć żywo przechowała każdą scenę twojego dramatu. W takim razie, choćby uczucie owo dawno spopielęło, musi się ocknąć na widok ścieżki, gdzieś obok niej chadzał, lipy, gdzieś drżącemi usty silił się na pierwsze wyznanie, stromego wzgóрка, z którego podawałeś jój ramię, rzeczki, w którą wskoczyłeś po jój rękawiczkę. Wszystko to choćbyś nie wiem jak się zestarzał, choćbyś pamięć utracił, przypomni się gwałtem, odświeży, zagada, że znowu uczujesz się młodym, namiętnym, zakochanym jak student.— I możnaż nie lubić tych miejsc, kiedy one budzą nas z martwoty, odmładzają i każą co chwila wzdychać: tu byłem szczęśliwy!

U podnóża Podolskiej wyżyny, mającej zu-

pełne podobieństwo do stromych brzegów nadmorskich, zaczyna się nieprzejrzana równia wołyńska. Owóz, w jednym załamku tych gór; a raczej wybrzeży, pokrytych pięknym liściowym lasem, leży miasteczko Olesko, z swoim zamkiem na błotach, i drugie miasteczko także z zamkiem, ale mniej znane w historii, nazywające się Białykamień. Jest jeszcze i trzeci zamek, stanowiący niby trójkąt w przestrzeni milowej najwspanialszy z zabytków tego rodzaju w naszym kraju, Podhorce; ale on jakby czuł swoją wyższość, nie siedzi na równi, tylko wspiał się na cypel góry i panuje kilkanasto-milowej okolicy. Te właśnie miejsca, których zdałem topograficzny plan, tak pełne są dla mnie uroku, tyle mieszczą w sobie pamiątek i historycznych i osobistych moich, że wielokroć razy poświęcał im pióro, podobien w tém do oddalonego kochanka, który w chwilach tęsknoty i rozmarzenia, nieumiejętną ręką porywa ołówek i rysuje z pamięci portret swjej ubóstwionej. Tym sposobem Podhorce i Olesko weszły już dawno w poczet mojej prywatnej galeryi, nigdy zaś nie mogłem

się zdobyć na uzupełnienie tego trójkąta. Ilekroć chciałem pisać o Białym kamieniu, odpychało mię coś zawsze, nawet wtedy, gdy okropności i brzydoty moralne najbardziej popłacały. Może też różowe wspomnienia, przywiązane do tamtych miejsc, nie mogły się zgodzić z ciemną barwą białokamienieckich dziejów; może, i to najpewniej, serce moje nie występując tam w żadnej roli, nie czuło tak wielkiego pociągu do wskrzeszenia szpetnych rysów. Dziś, kiedy między mną a przeszłością przeszedł szereg lat, oddalenie, zmiana stosunków, zgon drogich osób, kiedy wszystkie pasma łączące mię z młodemi snami porwały się— dziś, mogę spokojniej mówić o tych miejscach, nie jako ten co tam żył, czuł bolał, gonił za słodkimi mary, ale jak artysta lub historyk. Dla tego ostatni rys z dziejów Białokamienieckiego zamku łatwiej mi dziś opowiedzieć, osobno, bez związku z sąsiednimi miejscami, które uważam jakby poświęcone cnotą tych, co je zamieszkiwali.

Byłem chłopięciem może w piątym lub szóstym roku, ale rozwinioném do tyła, że to

wszystko, com wówczas widział lub słyszał, do-
tąd trzyma się méj pamięci w rysach wyraź-
nych i wyskakujących. Szczególniej niektóre
osoby tak mi utkwiły, że teraz jaśniej je sobie
przedstawiam, niż nie jedną figurę widzianą
wczoraj. W liczbie tych kładę Księżnę R. dzie-
dziczkę Białegokamienia. Pamiętam, jak matka
moja, mając potrzebę wyjechać na Wołyń, zo-
stawiła mię u ciotki sąsiadującej z Księżną. Pe-
wnego dnia, przed samym obiadem, zajechał
powóz przed ganek i wysiadła zeń kobieta oty-
ła, w dość podeszłym wieku i cała w czerni;
wyraz jój twarzy, acz ostry i imponujący, przy-
bierał się niekiedy w przymilającą słodycz; dla
tego acz na pierwsze wejrzenie wzbudziła we
mnie przestach i odrazę, jednak to głaskaniem,
to cukierkami, umiała prędko zwyciężyć moją
dzikość, tak, żeś usiadł przy niej na sofie i o-
śmielony pieścizotami, zacząłem się bawić błyszczą-
cą brylantami gwiazdą, którą, jako dama
honorowa, otrzymała od Maryi Teresy, a któ-
ra od chwili ujrzenia jój, ściągnęła była całą
moją dziecinną ciekawość. Niebawem dano do

stołu, i chociaż my, dzieci, siadywaliśmy przy osobnym stoliku, Księżna uprosiła méj ciotki, że mię obok niéj posadzono. Przypominam sobie, jako w ciągu obiadu oddawała mi pochwały, że jak na dziecko, umiem jeść przyzwoicie; był to niejako przytyk mojej ciotecznej siostrze, starszej ode mnie o lat kilka, która, kiedy podano kurczęta, niemogąc okroić łapki, wzięła ją w palce. Księżna, uważająca na wszystko, a przytém niezmierna skrupulatka w rzeczach tyczących się salonowej przyzwoitości, napomniała ją, że kości, niedającéj się nożem okroić, nienależy brać w ręce. Tyle zostało mi w pamięci z téj wizyty i z osoby Księżnej.

W kilka tygodni potém, gdy matka moja wróciła z drogi, pojechaliśmy do Białego Kamienia, nie chcąc uchybić Księżnie, która nigdyby nie przebaczyła sąsiadce swojej, gdyby ją zapomniała nawiedzić. Uważałem jednakże, że matka i ciotka moja, z trudnością wybierały się na tę wizytę; z czego domyślałem się, że niewielki musiały mieć szacunek dla téj osoby, powodując się raczej zwyczajem sąsiedzkim niż naturalnym po-

ciągłem. Wówczas jeszcze mury zamku, z bramami i narożnikami, były w całości, chociaż porysowane tu i ówdzie ściany, sklepienia zawalone, gruz i chwasty, kazały przewidywać bliską ruinę; co też ziściło się niebawem, albowiem w kilkanaście lat po śmierci Księżnej, gdy Białokamienieszczyzna poszła pod kredę, miasteczko nabył jakiś adwokat ze Lwowa, co przejęty duchem spekulacyjnym, z obszernych zabudowań zamkowych wystawił piętrzącą cukrownię i szczupły dla siebie domek. Zwiedzając Białokamień przed niedawnym czasem, znalazłem tylko głęboką bramę wjazdową, sklepioną, która staroświecką architekturą daje jedyne świadectwo o przeszłości tych miejsc.

To powtórne widzenie Księżnej zostawiło mi jedno, żywe wspomnienie, tak żywe, że wszystko inne obok zmałało i pobladło, dla tego pamięć moja nie przechowała ani widoku wewnętrznych izb, ani obrazów, ani mebli, ani szczegółów obiadu, ani podwieczórku, a tém mniej potocznej rozmowy; bo chociaż znajdowałem się sam jeden wśród osób dojrzałych, jednakże nie

przystuchiwałem się rozmowie, która toczyła się w materiach niemogących dziecko zainteresować. Najpewniej musiałem się porządnie nudzić, albowiem kiedy Księżna zrobiła propozycję przejść się po ogrodzie, wyskakiwałem z radości, jakby mnie uwalniano z pokuty. Ogród, ile pomnę, niedbale utrzymany, zalecał się tylko gęstym cieniem odwiecznych lip i kasztanów, sadzonych w ulice; było tam coś nakształt bukszpanowych kłębów, dawniej tworzących herby domu lub cyfry, lecz tak zapuszczonych, że niktby nieodgadł myśli pierwszego założyciela. Gospodyni, oprowadzając swoich gości po tych ulicach, nieustawała w rozmowie; była bowiem z natury mówną, a zwłaszcza, gdy wpadła na materję o dworze Stanisława Augusta i licznych procesach, jakie miewała w ciągu całego życia. Niewiem tego pewnie, lecz wnoszę, że ostatni ten przedmiot musiał być na stole, albowiem kiedyśmy przechodzili około jednego skrzydła zamkowego, stanęła, a wskazując palcem na niskie okno, grubą opatrzone kratą, dające światło do piwnicy,

rzekła głosem zimnym i spokojnym: Tutaj ka-
załam uciąć łeb Czeszejce.

Wówczas jeszcze nieumiałem śledzić wra-
żeń na twarzach ludzi, ani z nich wyprowadzać
psychologicznych wniosków, przeto nie jestem
w stanie powiedzieć, jaki wyraz był na twarzy
mój matki i ciotki; — wiem tylko, że przez całą
drogę, gdyśmy wracali do domu rozmawiały o
księżnie w słowach nie bardzo dla niej podchleb-
nych. Co do mnie, tyle pamiętam, że kiedy
wskazała na oną piwnicę, wsadziłem głowę po-
między kraty, jakbym miał tam zobaczyć ów łeb
od tułowu odcięty... Byłbym zapewne dłużej
wpatrywał się w czarną ciemnicę i żywą wyo-
braźnią, stwarzał tę krwawą egzekucyję, gdyby
mnie matka nie pociągnęła za rękę i nie rzekła:—
Ztamtąd wieje niezdrowe powietrze—nie nachy-
laj się.

Jednakże te kilka słów, wymówionych przez
Księżnę, sprawiły żem się jej bał niezmiernie,
co odkrywszy, nasi domownicy używali zawsze
jej na stracha, gdym zaczął grymasić lub psoty
wyrządzać. Bywał u nas jeszcze pamiętam stary

jeden, wysoki i chudy jegomość, tytułowany Panem Starościcem, noszący się po polsku, z głową podgoloną i ogromnemi białemi wąsami, który podobne sprawiał na mnie wrażenie— dwie te osoby w dzieciństwie mojem miałem za wcielonnych szatanów, i kiedy ich przybycie zapowiadano, traciłem humor, uciekałem z pokoju, kryjąc się w najnieodostępniejsze zakątki. W rzeczy samej, charakter Księżnej, jak to zobaczymy, i owego pana Starościca, był głośnym z okrócieństwa. Ostatni ten — że wspomnę nawiasem, — dożył był nadzwyczaj podeszłego wieku i to w stanie kawalerskim; sąsiadów lubił ugaszczać u siebie, ale z pewnym rodzajem tyraństwa — bo jeżeli kogo nie chciał wypuścić z domu, kazał koła zdejmować, rozkopywać groble i mosty zbierać; dla sług i poddanych był nieubłagany; od rana do wieczora bito kogoś pod stajnią; a kiedy mówił do prostego człowieka, najczęściej używał wyrazu: ty psie! Dwie te postacie, jakie mi się ukazały na schyłku dawnego społeczeństwa, mogłyby nie najlepsze dawać o niem wyobrażenie, gdyby znowu nie ta słuszna uwaga,

że należały do wyjątków; bo pytam, jakie społeczeństwo zdołałoby utrzymać się i istnieć, gdyby z takich tylko części było złożoném? Że tak nie było, dowód mam w tylu zacnych starcach i matronach, którzy wiek swój przeżyli, dochowując na naukę nowych plemion, cnoty obywatelskie, surowość obyczajów i czystość pożycia dawnego. Z tém wszystkiém, zdrożności i gwałty takich oryginałów, którzy prerogatywy swojego stanu posunęli do ostateczności, nieoglądając się ani na Boga, ani na czasy—posłużyły do ciężkich zarzutów. Gwałty starosty Kaniowskiego, utopienie Komorowskiej, zbrodnia Księżny, przytrafiły się jakoś około roku 1770— a wszystko w téj prowincyi, która później otrzymała nazwę Galicyi i Lodomeryi: Karpiński napomyka o tém w pamiętnikach swoich, i rzeczywiście jest to szczegół fatalny, podający broń polityce Maryi Teresy.

Wróćmy jednakże do mojej historii. Jak już wspomniałem, słowa Księżny, wyrzeczone w ogrodzie Białokamienieckim, zrobiły na mnie wrażenie, przynajmniej tak utkwily w pamięci, że

później, gdy zaczął się zajmować historią nie tylko pisaną, ale i tą co w ustach starych ludzi żyje, nie zaniedbałem rozpytywać i matki méj, i różnych osób o szczegóły tego zdania. Pozbierawszy tedy rozmaite opowiadania, taką mniej więcej złożyłem ośnowę.

Księżna ** panna z hetmańskiego domu, wszedłszy w związek małżeński z sławnym Panie Kochanku, nienajchętniej, ile wnoszę, dzieliła burzliwe chwile życia swojego małżonka; bo kiedy ten uganiał się po Litwie, lub za granicą przebywał, ona bawiła najczęściej w Warszawie, w najlepszej z dworem komitywie; powiadano nawet, że jakieś sekrety, czy listy swego małżonka zakommunikowała królowi, co miało dać powód do seperacyi. Wszakże to nie musiało być ostateczne zerwanie małżeńskiego węzła, gdy Książę, bawiący wówczas podobno w Preiszowie, wysłał był swego Owsianego, nazwiskiem Czeszejkę, na rozwiady do Białego-kamienia. Księżna, od czasu poróżnienia się, jeśli nie w stolicy, to przesiadywała w Białym-Kamieniu, który to klucz przyniosła z sobą w posagu. Pani

jeszcze młoda, majątna, pyszna rodem i kollygacją, a w uczuciu wyższości nad wszystko co ją otaczało, niedbająca na sąd świata, puściła na oślep wodze namiętnościom nieshamowanym żadnymi względami. Mury te, leżące dziś w gruzach, gdyby mogły, opowiedziałyby nam nie jedną scenę z zamkowego życia; np. owe ubiegania się różnych kawalerów o fawor pani, owe intrygi, słodkie liściki i szepty; owe konfuzyje odprawionych z niczém gachów i tryumfy tych co pozyskali jój łaskę. Nowomodna Penelope tém się różniła od Ulisesowój małżonki, że wielbicieli swoich którzy prawdziwy zajazd zrobili na Biały-Kamień, nieprzywodziła do rozpaczy długim terminem, póki nieskończy tkaniny niemającej nigdy się skończyć; przeciwnie, wszystko to byli jeńce, przykuci do jój wozu łańcuchami róż, i posłusznemi słodkiemu jarzmu miłości. Nie rzadkie też były w zamku huczne biesiady i kapele z tańcami, a gości tyle z pachotkami, końmi, psiarniami, że ich pomieścić nie mogły izby zamkowe, i nie jeden oficjalista lub mieszczan-

nin ustępować musiał dla panów gachów swoich szczyptych stancyjek.

W taką to porę zjechał był właśnie pan Czeszejko do Białego-Kamienia, a zjechał z ważnymi poleceniami od swego pana i ważniejszemi od Generalności. Jeden i drugi stary sługa poznał go, choć to było podwieczór, i uprowadziwszy na bok, wygadał co ciążyło na sercu. Czeszejko kiwał głową i wąsa zakręcał, a jakby jeszcze nie dowierzał, pytał: co na to panna Salomea mówi?—Panna Salomea—mówił sługa—przemówiła się podobnoś z Księżną Panią, chciała nawet odjeżdżać do swoich, ale pani tupnęła nogą i rzekła w gniewie: sto łoz, jeżeli się ruszysz.—Teraz nieboga nie wychyla oczu z garderoby, chyba tyle, żeby pójść na mszę i Panu Bogu utrapienie swoje ofiarować.

Wysłuchawszy to, kazał się pan Czeszejko zaprowadzić do garderoby. Panna Salomea, schylona nad krosienkami, skoro wchodzącego do izby posłyszała, wnet poznała po chodzie, i krzykła a stanęła jak karmazya; słowa jednak przemówić nie mogła z wielkiego wzruszenia, na wi-

dok osoby, z którą ją łączył afekt; trzeba bowiem wiedzieć, iż od kilku lat byli z sobą zaręczeni, ale związek nie przychodził do skutku, z powodu konfederackich rozruchów i wyjazdu Księcia Wojewody za granicę. Pan Czeszejko przysiadłszy się do niej, rozmawiał długo, nie tylko o sprawach swojego serca, ale i o tém, co się tyczyło trybu życia Księżny Pani. Łatwo dorozumieć się, iż wszystko, co wstyd panieński pozwalał powiedzieć, było na stole. Jako swemu narzeczonemu, zwierzyła się panna Salomea z ciężkich utrapień, jakie musiała znosić od Księżny, a nareszcie z zamiaru opuszczenia téj sodomii, choćby w jednej koszulce.—Wierz mi, kochany panie Jakóbie — dodała zalewając się łzami — że gdyby nie jakieś tajemne przeczucie obaczenia ciebie, dawno już byłabym uciekła do krewnych, chociaż wiem, że mściwa ręka méj pani byłaby mię nawet i tam dosięgła. Ale darmo! rezygnowałam się na to, chociażby mię miało spotkać ostatnie upokorzenie; przecież sama religia nasza święta zabrania współnictwa z bezbożnymi grzesznikami.

Na to pan Czeszejko, biorąc ją za ręce i całując z czułością, uspokajał płaczącą. Mam nadzieję w Bogu — mówił on, przybierając surowy wyraz oblicza — że tym bezceństwom będzie koniec. W ostatecznym razie, jeżeli mi się nieuda spełnić poleceń Księcia pana, przynajmniej ciebie panno Salomeo usunę od zgorzenia. Dziś jeszcze, gdybym się mógł widzieć z Księżną, ale to już podobno nie pora, wziąłbym się do rzeczy bez żadnych ogródek, i takiebym jój wyciął *verba veritatis*, że albo się podda wyrokowi, albo mnie głowę skręci...

Ledwie tych słów domówił, kiedy w pokojach dało się słyszeć mocne dzwonienie, a niebawem i stąpanie nagle biegnących osób. Jakoż jak postrzelone wpadły do izby, jedna po drugiej dwie garderobianki.

—Panno Salomeo! wołały— Księżna Pani powiada, że tu jest jakiś Pan, który ma natychmiast stawić się przed Jejmością Księżną.

—To zapewne mnie potrzebuje Księżna — ozwał się pan Czeszejko, podchodząc ku nim.

—Zapewne, zapewne—jakiś pan co dopiero przyjechał?

—Gotowem na usługi! — i mając się do wyjścia, raz jeszcze rzucił uspakajającym spójrzeniem na truchlejącą Salomeę.

Jedna z garderobianek, która się obrała za przewodniczkę, przeprowadziła go przez kilka pokoi i salę jadalną, gdzie jeszcze służba kręciła się, sprząając nakrycie do wieczerzy, odprawionej, jak mógł po obfitej zastawie osądzić, w licznej kompanii.

U drzwi komnaty sypialnej zatrzymała się dziewczyna, a Czeszejko, poprawiwszy wąsa i przybrawszy minę uroczystą, wszedł krokiem żołnierskim.

Z wielkim hałasem i naszczekiwaniem wpadł nań szpic angielski, szarpiąc za poły kontusza; a kiedy dworzanin oganiał się jak mógł naprzykrzonemu faworytowi, z głębi pokoju dał się słyszeć miękki głosik—Medor! cicho Medor! pójdz tu Medor...

Odwołany natrętnik skoczył na sofę, na której, przy słabym blasku umbrelli, postrzegł do-

piero pan Czeszejko spoczywającą Księżnę w lekkim negliżu, jaki zwykle poprzedza udanie się na spoczynek.

—Witam Waszmościa!—ozwała się Księżna, wyciągając doń białą rączkę—pójdźże tu bliżej, niech ci się przypatrzę; wszakże to kopę lat jakżeśmy się niewidzieli.

Rączka biała ciągle pływała w powietrzu, jakby do pocałowania wabiąc; lecz pan Czeszejko kręcił węża i podchodził bardzo nieznacznie, widocznie walcząc ze wstrętem. Pani jednak zdała się nieuważać na to, bo słodkiem zapraszając spójrzeniem, wskazywała tą samą rączką tuż blisko stojące krzesło.

—Siadajże mój poczciwy, siadaj tu, przy mnie... nieżenuj się.

A gdy dworzanin tak się przybliżył, że ledwo dwa kroki był od niej, gdy jeszcze spójrzawszy mu w oczy, rzekła z uśmiechem:—Jakżeś wymęźniał! jakżeś wyprzystojniał! widać ta włóczęga wam służy!... niemógł się już oprzeć pochlebnemu słówku, a może i rozkosznym wdziękom, których Księżna nie widziała potrzeby taić — i,

schylając się do niskiego ukłonu, złożył pokorne pocałowanie na tej rączce ciągle wyciągniętej ku niemu; wszakże mimo grzecznego zaproszenia, jako znający respekt lub też pamiętny na delikatny interes który miał sprawić, nie odważył się usiąść obok Księżnej Pani.

—Więc prosto jedziesz z Preszowa?—zaga-
dała po chwili Księżna, patrząc mu w oczy.

—Prosto, jaśnie oświecona Pani.

—Czy masz jakie listy od mego pana mał-
żonka?

—Żadnych, ustne tylko polecenia...

—Zrobił cię widać swoim pełnomocnikiem?
—przerwała ugryźliwie.— Wybornie! Dalipan,
wybornie sobie Książę Pan poczyna! Odjechać
żonę, porzucić majątek na łaskę oficjalistów, a
samemu wiatry gonić lub bankietować, z mie-
szczuchami preszowskimi—przyznam się to kwa-
lifikacya do czubków. I jeszcze mi za złe wzięto,
żem chciała nań u króla wyrobić kuratelę.

Te słowa wzburzyły widać krew w Czeszejce,
bo się mocno zarumienił; lecz umitygowawszy

się, przygryzł usta, i odpowiedział z spokojną godnością:

—Ile mogłem przekonać się, jako nieodstępny towarzysz i sługa, Książę Pan nigdy nie był przy lepszym rozumie i zdrowiu jak teraz; jeżeli opuścił mienie, poszedł w tém za przykładem zacnych swych przodków, którzy hojnie szafowali krwią i groszem na usługę publiczną; jeżeli wyprawia ucztę Preszowianom i po pańsku ich podejmuje, czyni to przez wdzięczność za gościnne przyjęcie w ich mieście; a z resztą chodzi mu też i o mir u ludzi, jako temu co pamięta na familijne przysłowie: Czapką, papką i solą, ludzie ludzi niewolą.

—To mi to patron!—zawołała Księżna wybuchając śmiechem—ale mnie się widzi, że nie długo wszyscy będziecie cieżko śpiewać.

—Być to może Jaśnie Oświecona Pani!—odparł dworzanin prostując się i przybierając zachwałą postawę.—Jednakże Książę Pan z tonu nie spuszcza; czy jest czy go niema, dba on o swoją powagę i honor, i choć z daleka, czuwa nad tém co go z bliska obchodzi; właśnie wiozę

rozkaz odprawienia jednego oficjalisty, który rachując na nieobecność pańską, dopuścił się licznych malwersacyi...

—To widzę nie przelewki— wtrąciła kręcąc głową; a po chwili, wlepiając węć iskrzące się gniewem oczy, mówiła z przyciskiem:—Może i dla mnie, pokornój sługi, wieziesz jaki rozkaz od wszechwładnego pana?

Czeszejk o zrazu milczał, lecz po chwili jakby biorąc silną determinacyę, wszczął rzecz spokojnie i poważnie:

—Kiedy już weszliśmy na tę materyją, Jaśnie Oświecona Księżno, tedy omijać jój niewiedzę potrzeby. A więc bez wszelkich omówień i ogródek oświadczam Jaśnej Pani, że Książę mój Pan, dbały o honor i dobre imie wysokiego swego domu, życzyłby sobie wielce, żebyś Mościa Księżno, mając na względzie już nieobecność Pana małżonka, już dla uniknienia ostrych języków ludzkich, szukała schronienia w jakim klasztorze, jak to zwykle matrony nasze czyniły, kiedy mężowie wychodzili na dalekie wyprawy. W braku obrońcy, coby się ujął za uczciwość i

cnotę niewiasty, najlepszą obroną jest świętość miejsca.

—Rozczuła mię ta delikatna troskliwość twego pana—odrzekła Księżna, nadając wyraz rozrzewnienia głosowi i twarzy.—Nieoszacowany małżonek! zdaleka nawet czuwa nade mną! — Ale wiesz co, mój Czeszejko: szczerością swoją zmuszasz mię do odwetu—więc słuchaj, coć powiem bez ogródki: że jako córka hetmańska, sama potrafię honor mój obronić; wreszcie, siedząc na mojej oprawie, a w owych wielkich majątkach Książęcych niemając żadnego udziału, i ledwo tylko imię nosząc od niego—które Bogiem a prawdą nie wiele mi zaszczytu przynosi, jako imię bannity—jestem niepodległą panią, która i tych co rozkazy dają i co je przynoszą ma sobie za ba i bardzo.

Księżna wymówiła ostatnie te wyrazy prędko i tak rosnącym głosem, że w końcu były oznaką najwyższej fury; poczem konwulsyjną dłońią pochwyciła szklankę stojącą na stole. Dworzanin się cofnął o parę kroków, sądząc, że szklanka z wodą obije się o jego czoło, jako ostatni argu-

ment, znał to bowiem do niej, że w chwilach wielkich uniesień, ciskała co było pod ręką: ta-
 erze, noże, butelki, lecz tą razą paroxyzm nie
 był tak gwałtowny: Księżna napiła się tylko,
 jakby dla stłumienia alteracyi, i zrywając się
 z sofy, stanęła przed nim, wyprostowana, dumna,
 a topiąc badawcze spójrzenie w męskiej twarzy
 Czeszejki, rzuciła mu pytanie z widoczném lekce-
 wazaniem, a nawet pogardą:

I wam się zdaje, że mnie można narzucać
 rozkazy, jak piérwszój lepszój klucznicy?

—Nie wolno mi dysputować — odparł nie-
 zmięszany dworzanin — tylko spełniać wolę mo-
 jego pana.

—Ale wprzód warto się namyśleć, czy ta
 wola da się spełnić? — dodała Księżna z prze-
 kąsem.

—Już się namyśliłem — i sędzę...

—Sędzisz, że ci się uda? — Tu parsknęła
 głośnym śmiechem.

—Książę mój Pan — odparł spokojnie Czeszej-
 ko — nieupadł jeszcze tak nisko, aby nie miał
 wielu przyjaciół, gotowych ująć się jego krzy-

wdy — zresztą, sprawa nasza wcale nie tak źle stoi: dwór Wersalski przysłał posiłki; Podgórze w naszym ręku, a Pan Kazimierz i liczne inne partyje zjawiają się niespodziewanie... Sądzę więc, że rozkaz mojego Pana...

—Nie tak szalony, jak wszystkie jego postęпки—przerwała Księżna.—Niech i tak będzie; ale cię ostrzegam, panie pośle—tu z lekka pogroziła paluszkami, że i ja, acz sierota i prawie wdowa, mam takich co staną przy mnie; a już to nie pierwszy raz pokazałam twemu panu, że umiem sobie radzić w potrzebie. Jeżeli uknęciła głowę konszachtom konfederackim, sknęci da Bóg i samym konfederatom; dla tego po starej znajomości radzę ci: nie kładź palców, pomiędzy drzwiami...

—Niewymównie wdzięczny jestem Księżnie Pani za jej łaskawe przestrogi—rzekł Czeszejko, kłaniając się z całą uniżonością i pokorą dworaka.—Nieomieszkałam przeto mieć się na baczeniu, aby wszystko tak spełnić jak mi nakazuje powinność wiernej służki...

—Jak ci się podoba!— wypowiadasz mi wojnę; do mnie należy obmyśleć środki obrony...

Tu Księżna przeszła się po komnacie szybkimi krokami i w zamyśleniu, nareszcie jakby powzięła jakieś postanowienie, zatrzymała się przed gotownią, otworzyła skrzyneczkę i wyjęła z niej niewielki zwitek.

—Mój kochany — mówiła zbliżając się do Czeszejki i kładąc poufale rękę na jego ramieniu — znając mię, powinienes wiedzieć, że ze mną niewskórasz na udry, a wszystko zgodnym sposobem. Do czego doprowadzi ta wojna? Choćbyś przypuścmy i zamknął mię do klasztoru, niewielka przyznam się sława pokonać słabą kobietę; a i zysk niewielszy, bo czémże cię pan twój nagrodzi, kiedy nie długo sam nic mieć nie będzie. Musisz przecie wiedzieć, że litewskie dobra zasekwestrowane?

—Wiem o tém Mościa Księżno, i dla tego tém wierniej powinienem służyć swemu Panu.

—Chwałę sentyment— jednakże maxyma ta nie zaprowadzi cię daleko. Niewiem czy nawet

Salusia zdecydowała się oddać ręce człowiekowi bez grosza fortuny, a do tego...

—Nigdy nieodważyłbym się, Mościa Księżno, los drogiej mi osoby narażać na niepewność...

—Wierzę ci, lecz zakochanym przedstawia się wszystko w różowym kolorze. Lepiej te rzeczy widzę i rozumiem; dla tego, radzę ci, myśl o sobie i o niej, której świat tylko zawiązesz, a szczęścia nie zrobisz.— Czy znasz te perły?...

Tu Księżna roztoczyła przed nim sznur pereł precudnej wody i osobliwej wielkości.

—Znam, Mościa Księżno— to klejnot familijny, który niepowinien wychodzić z książęcego domu. Właśnie obok innych zleceń mojego Pana, mam upoważnienie zażądać od Jaśnie Oświeconej Pani, abyś je złożyć raczyła w moje ręce.

To rzekłszy, wyjął papier i jedną ręką podając Księżnie, drugą sięgnął po sznurek...

Księżna odskoczyła nagle, okazała ogromną alterację, krzyknęła nawet przeraźliwie— ale tymczasem perły zostały w rękach Czeszejki, który niemogąc pokryć tego pierwszego zwy-

ciężtwa, z wyrazem wewnętrznego ukontentowania, życzył Księżnie dobranoc, i kłaniając się z unizonością dworaka, wynosił się z apartamentu.

Zleby ten odgadł charakter i położenie Księżny, kto widząc jej nieruchomą i jakby ośupiałą postawę po odejściu Czeszejki, wzięłby to za ośupienie lub porażkę; przeciwnie, w twarzy jej ożywionej, w iskrzących oczach, można było wyczytać tryumf przebiegłego dyplomaty, gdy mu się uda w pole wyprowadzić niebezpiecznego przeciwnika. Oną nasłuchiwała tylko stąpań odalającego się, a gdy już pewna była, że go niema za drzwiami, uśmiechnęła się i rzekła:— Głupiec! wpadł w sidła, które na mnie zastawiał.

Po chwili, dzwonek rozległ się po pokojach—wbiegła garderobiana, odebrała rozkazy, i niebawem wszedł Pan Kulesza, mężczyzna przystojny i barczysty, przyjaciel domu, faworyt pani, i jak fama niosła, najszczodrzęj obsypywany jej łaskami. Przy zamkniętych drzwiach odbyli oboje żywą lecz krótką naradę, po której Pan Kulesza, owinąwszy się w kubrak i przy-

pasawszy szablę, wymknął się chyłkiem na zamkowe podwórze, zmierzając ku oficynom i stajniom.

Kiedy Pan Czeszejko opuścił Księżnę, a przechodził długim i ciemnym kurytarzem, zaszła mu drogę czatująca widać nań panna Salomea.

—Tyżeś to panie Jakóbie?— zapytała drżącym głosem.

—Do usług!— odpowiedział wesoło.

—Chwała Bogu! serce mi pękało z niespokojności, jużem sobie wyobrażała że z tamąd nie wrócisz...

—Za kogoż mię masz panno Salomeo?— Przecież Księżna nie smok, żeby mię żywcem pożarła, a człowiek też nie ułomek. Czy to tak łatwo zgubić szlachcica jak szpilkę?

—U Księżny wszystko łatwo, kiedy co postanowi—odparła smutnie.

—Tym razem jednak nie miała, jak się zdaje, mocnego postanowienia, albo przynajmniej kosa trafiła na kamień. Pół wygranej już przy mnie; drugie pół, z Bożą i ludzką pomocą, jutro się dokona.

—Może to tylko udanie, pozorna uległość—
wtrąciła bojaźliwie i z niedowierzaniem Salomea.

—Gdzie tam! to porażka zupełna. Ale dość o tém; dla uspokojenia twego, Panno Salomeo, tyle ci powiem, że jutro skoro świt wyjeżdżam, a będę z powrotem nazajutrz lub jeszcze tego samego dnia, ale w dobrej kompanii. Niebawem przyprowadzę sukurs. Pan Hetman: surowy ojciec i cnotliwy senator, acz go tu niéma, wie o pięknych sprawach swój córki, i równie jak mój Pan, pragnie téj niesławie domu koniec położyć. Jutro lub po jutrze, wszystko się rozstrzygnie, a ja tymczasem, ucałowawszy twoje piękne rączęta, pójdę zażyć cokolwiek wczasu, aby człowiek był sposobny na herkulesową pracę, dalipan, nie mniejszą od wyczyszczenia Augiaszowej stajni.

Panna Salomea podała mu rękę, a drugą położyła krzyżyk na głowie, dla odwrócenia jakiego nieszczęścia. Całą noc jednak nie mogła oka zmrużyć, tak srogie trapiły ją przecucia; nawet odmawiana z wielką gorącością koronka do Najświętszej Panny, na intencyję narzeczonego, nie

przyniosła żadnej ulgi wewnętrznym niepokojom.

Nazajutrz skoro świt, wyjechał pan Czeszejko z Białokamienieckiego zamku, panna Salomea usłyszała nawet turkot jego bryczki; zaraz też poskoczyła do okna i dostrzegła ją migającą pomiędzy drzewy w kierunku jak Olesk. — Najświętsza Panno Poczajowska! prowadź go szczęśliwie i dopomóż zamysłom! — westchnęła za odjeżdżającym; a chociaż słońce wschodziło przedudnie, i przez otwarte okno wiała woń kwiatów odświeżonych rosą, sny i przeczucia ugniatły ciągle jakby kamieniem jej serce, a łzy mimowolnie cisnęły się do oczu... Jako osoba wychowana w pobożności przodków, czuła, że na takie cierpienia duszy jedyne lekarstwo w modlitwie; ubrała się więc na prędcę, ledwo przygładziła włosy, i z ostatniem uderzeniem dzwonka wzywającego na mszę świętą, wybiegła do kościoła, powiedziawszy sobie, że Księżna, wstająca zwykle o późnej godzinie, tak rano potrzebować jej nie będzie. Po skończonem nabożeństwie, gdy wchodziła w bramę zamkową, uderzył

ją wielki zgiełk na dziedzińcu, i tłum ludzi dworskich, biegających i rozprawiających, w której to wrzawie dochodziły ją wyrazy: uciekł, ukradł, gonić, a najczęściej powtarzano: perły.— Kto ukradł? kogo gonić? jakie perły?— spytała pierwszego napotkanego z dworskich. Lecz ten spójrzył na nią z złośliwym uśmiechem i rzekł: Idź tam panna, a dowiesz się.— W tém patrzy ku stajniom, a tu sady kilku kozaków stajennych na koniach— na czele pan Kulesza z gołą szablą w ręku.

—Czy pewniście, że ruszył ku Oleskowi?— zapytał wskazując szablą na gościniec.

—Juścić na własne oczy widziałem— odparł jeden z kozaków— kiedym go odprowadzał aż za most.

—A macie sznury?— spytał znowu Kulesza.

—Mamy panie— odpowiedziała zgraja.

—Dalej za mną!

I kopnęli z kopyta, przelatując pod same okna apartamentów Księżny. Właśnie w otwartém oknie stała pani. Kulesza osadził konia, zdjął czapkę z kawalerskim ukłonem, jakby ry-

cerz wyjeżdżający na niebezpieczną wyprawę. Księżna posyłając mu od ust pożegnanie, zawołała: Tylko szanuj się, panie Kuleszo, bo to desperat; posunął się po cudzą własność, gotów posunąć po życie!

—Nie ma strachu, Mościa Księżno— odparł junacko Kulesza.— Będę się miał za hetkę pętelkę, jeśli w kij związanego nie przystawię za godzinę.

—Niech tylko odda moje perły!— wołała Księżna z widoczném wysileniem głosu, aby ją słyszano— mścić się nie chcę— na to mamy trybunał, żeby sądził i karał złoczyńców.

—Dam ja jemu trybunał!— wrzasnął Kulesza i pogroził szablą.— Héj chłopcy! nie tracmy czasu!

Kiedy zgraja pachotków znikła w tumanie kurzu, panna Salomea, przypatrująca się w osłupieniu całej téj scenie, zaledwo znalazła dość siły, żeby się zawlec do swego pokoju, gdzie cała garderoba otoczyła ją rozpowiadając o perłach, które zginęły z gotowalni Księżny, i robiąc wnioski, kto mógł być téj kradzieży spraw-

ca. Zaciekawione opowiadaniem, nie zwracały uwagi na śmiertelną bladość pokrywającą twarz panny Salomei, i na jej wzrok prawie obłąkany; dopiero, gdy upadła na podłogę bez zmysłów, jakby uderzona piorunem, rzuciły się do trzeźwienia nieszczęśliwej, lejąc na nią wodę, trąc octem i spirytusami. Przypadek ten, lubo odwrócił na chwilę umysły od peret, dał jednakże powód do wniosków i podejrzeń, które, gdyby zemdlona mogła była słyszeć, przyprawiłyby ją nie zawodnie o śmierć, pożądańszą w tym razie niż shańbione życie.

Szczęściem, stan ten bezprzytomny trwał długo; a choć przyszła do siebie, nastąpiło takie osłabienie, że nawet opowiadań nowych scen jakie w zamku zaszły, ani słyszeć, ani rozumieć nie mogła.

Dognanego w Olesku przywieziono Czeszejkę; związany leżał na bryczce, a obok niego siedział pan Kulesza z dobytą szablą, i perłami, które znalazł przy nim. Księżna widząc wracającą czeredę, wybiegła na ganek, a kiedy ściągano więźnia z bryki, wzięła się pod boki

i z szydzącym uśmiechem patrząc mu w oczy, mówiła:

—Chciało ci się peretek hultaju i przyjechałeś mię straszyć klasztorem. Dam ja ci klasztor!— A obracając się do pachotków: Do piwnicy z nim! Dwóch stróżów postawić przy drzwiach.

W tém Kulesza oddawał jej perły i papiery zabrane Czeszejce.

—Dziękuję ci kochany przyjacielu!— odrzekła podając mu rękę. Wróciła się zguba; zemsty nie pragnę, ale też nie chcę puszczać złego przykładu bez kary. Potrzeba sądu uwiadomić. Panie komisarzu! napisz Waść natychmiast do Sądu Grodzkiego, do Krzemieńca, aby zjechał osądzić tę sprawę.

—Ależ Jaśnie Oświecona Pani! mówił komisarz schylając się pokornie— jeżeli śmiem przedstawić, delinkwent jako szlachcic, kwalifikuje się do Trybunału; Majdeburia nie może być sądzon.

—A kto Waści powiedział, że on szlachcic?! krzyknęła tupnąwszy nogą Księżna.— To ty-

czak z Nieświeża! zresztą Waśc rób co ci ka-
żą, a jeśli chcesz wdawać się w dysputy, szu-
kaj sobie dogodniejszego miejsca.

Zfukany brat szlachcic położył uszy po so-
bie i poszedł do kancelaryi pisać wezwanie do
sądu.— Więźnia wtrącono do piwnicy.

Nie radbym aby mię kto pomawiał o chęć
barwienia i dramatyzowania prawdziwej i ze
wszech mlar rzeczywistoj historyi, dla tego o-
strzedz winienem, iż powyższa rozmowa Cze-
szejki i Księżny w sypialnej komnacie, niemniej
i następna przy ujęciu Czeszejki, są tylko wier-
nemi przypomnieniami opowiadań pewnej wie-
kowej osoby, która w młodości swojej znała do-
brze dwór Białokamieniecki, i wiedziała na pal-
cach najdrobniejsze szczegóły odnoszące się do
tęj brzydkiej awantury, głośniejszej na całą Koro-
nę i Litwę. Dla tejsze samej przyczyny zawiódł-
by się czytelnik, gdyby w dalszym ciągu opo-
wieści spodziewał się znaleźć sceny, wystawio-
ne z całą dramatycznością traicznych sytuacji,
podobne np. do owęj z Szylerowskiej tragedyi,
gdy zakochany Leicester nasłuchuje jak topór

katowski spada na piękną szyję Królowej Maryi. Panna Salomea mogłaby tu wybornie odegrać podobną rolę, tém wyborniej i naturalniej, że właśnie pod jej pokojem była owa piwnica, w której Czeszejkę zamknięto. Ale gdy wiem z pewnego źródła, że od pierwszej chwili okropnej wieści o skradzeniu pereł, postradała prawie przytomność i wpadła w gwałtowną gorączkę, z której się nie podniosła, aż ponoś w parę miesięcy, i to, aby wstąpić do klasztoru PP. Benedyktynek we Lwowie, przeto nie mogłem sobie pozwolić tych dowolności, zajmujących w romansie; ale zawsze zbytecznych gdzie chodzi tylko o prostą prawdę.

Tymczasem sprawa pana Czeszejki szła swoim trybem, a raczej trybem odpowiednim planom Księżny. Sprowadzeni sędziowie z Krzemienieckiego grodu, wypróżniwszy parę antałów węgrzyna, głaskani i smarowani przez panią zamku, na której skinienie byliby wydali wyrok potępienia na samego Chrystusa, przystąpili do inkwirowania więźnia. Domyślać się można, że zeznania jego, nie poparte żadnym świadectwem, że pro-

testacyje jako sąd nie kompetentny, odrzucono z urąganiem, a tylko odwołując się do popełnionej zbrodni kradzieży, osądzono na karę miecza. Wydano wyrok doraźny, który Księżna nie omieszkała wykonać. Chcąc zachować wszystkie przepisy ekzekucyi, posłano delinkwentowi przebranego kapucyna, dla wysłuchania go spowiedzi, albowiem żaden kapucyn, czy to z Oleśka czy z Kutkorza nie byłby się dał użyć, nie zaprotestowawszy przeciw téj procedurze tajemnej. Powiadano mi jeszcze, że Księżna, jako ścisła obserwatorka wszelkich przyzwoitości, stosując się do przyjętych przepisów przy traceniu, kazała szyc w garderobie śmiertelną koszulę; dziewczęta, zwyczajnie jako młode stworzenia, nie dość zahartowane w szkole swój pani, za każdym ścięciem zanosily się od płaczu; a co naprzeklinały, a co się nazałowały biednej Salomei, patrząc obłąkanemi oczyma na tę ich robotę, tego łatwiej się domyślać, niż opisywać. I sąd i przygotowania do egzekucyi poszły jak z płatka; bo też to była rzeczywiście rzecz najłatwiejsza, zwłaszcza dla kogoś co

się usadzi i gwałtem chce postawić na swoim. Ale odjęcie życia podobnej sobie istocie, i to nie w chwili namiętnego uniesienia, lecz z pewnymi legalnymi formami, zawsze podlega największym trudnościom; bo któż podejmie się roli kanta, nawet dla najpiękniejszych uczuć? Pan Kulesza acz zakochany, pewnieby nie splamił honoru szlacheckiego; nakazać chłopu choćby za pańszczyznę, także trudno; wyszukano więc jakiegoś rzeźnika w miasteczku, który dobrze podpojony, i zagrożony, podjął się onęj nieszczęsnej egzekucyi, i z zamrużowanymi oczyma spuścił topór na szyję nieszczęsnego Czeszejki.

Sprawa ta, aczkolwiek gruchnęła po kraju, nie wywołała następstw, jakich się spodziewać należało, a to z powodu, iż wojska Austryjackie zajęły niebawem Galicyję. Jednakże nowy rząd, nie głuchy na liczne w téj materyi pozwy i skargi, mianowicie od rodziny zabitego, zamysłał wytoczyć Księżnie process, co ona powąchawszy, pobiegła do Wiednia i tam codzień leżąc krzyżem w kościele, gdzie Cesarzowa zwykle bywała na nabożeństwie, umiała ściągnąć

najprzód jęj uwagę, a potęm tak się uniewinnić, a wszystko zwalić na sąd Krzemieniecki należący do dziejów Rzeczypospolitej, że wiszącą nad sobą karę zamknięcia na całe życie do klasztoru, odwróciła szczęśliwie.

Nie chcąc pominąć strony moralnej w całym tém zdarzeniu, winienem dodać, że Księżna pod koniec życia zmieniwszy świetne imię, przez oddanie ręki jakiemuś byłemu oficerowi napoleońskiemu, który nie miał gdzie egzystencyi swęj przyczepić, zakończyła mizernie żywot, szukając nie raz przytułku i pożywienia w domach Białokamienieckich mieszczan. Upadek ten z szczytu bogactw i znaczenia, ta poniewierka w miejscach będących świadkami jęj potęgi i zbrodni, wyraźnie pokazują, jak kara niebios, choć leniwo kroczy, zawsze przestępek dosięga choćby na progu wieczności.



SZKLANNY CZŁOWIEK.

W CZASIE pięknego czerwcowego poranku, dwóch młodych kasztelaniców, uczniów akademii Jagiellońskiej, przechadzając się nad brzegiem Wisły, spotkało czerstwego wyrostka, śpiącego pod drzewem, który mógł być mieć około lat dwónastu. Ubiór jego był wieśniaczy z okolic Krakowa. Studenci zbliżywszy się doń, zbudzili go, zapytując z kąd przebywa i dla czego śpi na miejscu tak osobném? Chłopak ziewając i przecierając sobie oczy odpowiedział, że idzie ze wsi szukać służby w Krakowie, ale u takiego pana, coby go przytém dawał do szkoły.

—A umiesz czytać?— zapytał jeden ze studentów.

—Nie tylko czytać, ale i pisać,— odparł wyróstelek.

Pocziwa i bystra mina chłopaka podobała się paniczom, którzy naradziwszy się między sobą, powiedzieli mu, iż go chętnie przyjmą do służby, i nie zabronią uczyć się do szkoły, jak to zwyczajnie się działo, że przy panach co nie radzi brali się do książki, nie jeden chudzina kształcił się na znakomitego urzędnika lub prałata. Chłopak ucieszony tak pomyślnym trafem, uściskał nowych panów i powiedział im, że się nazywa Juziek Skiba i że ma zamiar zostać mecenasem, albo biskupem.

Kasztelanice widząc bystrość jego dowcipu i niepospolite przyrodzone zdolności, zajęli się nim, oporządzili go przyzwoicie, i zaprowadzili do szkoły. Juziek lubo po całych dniach i nocach oddawał się nauce, niemniej jednakże umiał i panom swoim dogodzić, tak, że myślałby kto, iż całym jego powołaniem jest służba; wkrótce też tak go pokochali, tak zasmakowali w jego dowcipie i rozsądku, iż prawie stał się

nieodstępnym towarzyszem ich zabaw i prac naukowych.

Owoż w takim koleżeństwie, przez ciąg lat ośmiu strawionych na naukach, nabył takiej sławy w akademii ze swojej gruntownej i obszernej umiejętności, że go powszechnie kochano i szanowano, stawiając za wzór młodszym i starszym ucznióm. Nie tylko prawnicze kursa, ale nawet filozofię i literaturę starożytną przebiegł; w żadnym zawodzie nie mając sobie równego. Przedewszystkiém pamięć miał doskonałą; z bogacając ją codzien nowemi zdobyczami umysłu, nie tylko poszukiwany był przez wyższe towarzystwa, które umiał trafną rozmową ożywiać, ale co więcej żadna publiczna dysputa nie mogła się obejść bez niego. Zbliżył się wreszcie czas ukończenia nauk dla kasztelanów, nie mając zatem co robić w Krakowie, umyślili wrócić do domu rodzicielskiego na Podole. Józiek, który teraz już został panem Józefem, uważany prawie przez nich za brata, musiał im towarzyszyć. Starzy kasztelaństwo, na rekomendacyę synów, przyjęli go po rodzi-

cielsku, prosząc by dom ich uważał jak swój własny. Życie swobodne i wesołe na wsi, częste zabawy i polowania, niemniej biblioteka w księgi rzadkie zamożna, wszystko to zdawało się być nie małą dla młodego serca ponętą, jednakże mimo tego jakaś nuda i tęsknota ciążyły na sercu i umyśle pana Józefa tak, że ustawnie tylko wzdychał za Krakowem, akademią i professorami, a najbardziej za tém życiem umysłowém i publiczném, które się zwykle w stołecznych miastach objawia. W chwili takiej tęsknoty oświadczył kasztelanicom, żeby ich rad pożegnać i wrócić do Krakowa dla osiągnięcia akademickich stopni. Młodzi przyjaciele wspinali i dobroczynni nie tylko przystali na jego życzenie, ale nadto opatrzyli we wszystkie porządki i utrzymanie trzechletnie.

Pan Józef żegnając się z dobrodziejami swymi, wylewał łzy wdzięczności; kasztelaństwo i cały dom dawali mu krzyżyki błogosławieństwa: życząc, aby najrychlej powrócił i stał się ozdobą i pociechą ojczyzny. Kasztelan darował mu wierzchowca swego chowu, który objuczony

wszystkimi potrzebami na podróż, przyjął go na grzbiet swój i lekko poniósł przez stepy i łąny. Że był czas pogodny i wiosenny, a koń lekkiego chodu i wytrzymały, przeto podróżny nasz w kilku dniach ubiegł tęgi kawał drogi, nie przykrząc sobie wcale, bo coraz nowe widoki, coraz nowe spotkania, mile mu czas podróży skracają. Zbliżając się pod Lwów chciał w jednej karczmie stanąć na popas, ale ją zastał zajętą mnóstwem powozów, koni i sług, tak, że go nie wpuszczono do stajni, a pyszny arendarz na widok ubogiego szlachetki pogardliwie kiwnął ręką, powiadając: ruszaj sobie aspan dalej, u mnie miejsca nie ma; Jaśnie Wielmożny Wojewoda tu stanął.

—Na takie niegościnnie przyjęcie, już pan Józef kładł nogę w strzemię, chcąc dalej szukać popasu, gdy w tém personat jakiś poważny, stojący w oknie, ozwał się do Żyda: A poganie, także to przyjmujesz gości? Héj Janie! Macieju! weźcie— no w Kumy tego hultaja i wyliczcie sto batogów, niech się nauczy szanować krew szlachecką! Już dwóch sążnistych hajdu-

ków ciągnęło arendarza na plac exekucyi, gdy pan Józef mocno tą katastrofą zmieszany, udał się w prośby do Wojewody, który ledwo nie ledwo dał się zmiękczyć; przebaczył Żydowi, a podróżnego zaprosił na dobry obiad, który właśnie kuchmistrz przy buchającym ogniu sporządzał. Z rozmowy przy obiednej, skrapianej starym węgryzmem, pan Józef popadł w łaski Wojewody, i nawzajem pan Wojewoda skaptował pana Józefa, tak dalece, że kiedy Wojewoda zrobił mu propozycję, iżby go rad miał przy swoim boku jako towarzysza podróży do Włoch, dokąd się właśnie udaje, pan Józef nie miał się czem wymówić i z niepomierną radością przyjął tę nowinę zwiedzenia ziemi klassycznej. Obie strony rade były z układu: Wojewoda, że mógł z uczonym człowiekiem podróż odbywać; a uczony młodzieniec, że kosztem majątnego pana znajdzie przystęp do skarbów sztuki, otwartych tylko bogatszym, i że pozna szerszy świat i ludzi w najrozmaitszych stosunkach życia.

Zabawiwszy kilka dni we Lwowie, Woje-

woda z Sekretarzem swoim puścili się w dalszą drogę. Wiedeń nie wiele zajął pana Józefa, raz, że do niemieckiej mowy mało miał pociągu, powtóre, że mu się wszystko zdało tam przymuszone i sztywne, za to wygody życia w niemały podziw wprawiały. Przejazd przez kraje niemieckie nie wiele go zajmował; lecz zbliżając się do Wenecyi, serce mu biło. Pan Józef znalazł w niej bogactwa nieporównane; rząd roztropny, położenie niezdobyte, obfitość niezmierną, okolice czarowne, słowem, tak części jak ogół godne były głośniejszej sławy tego miasta; przedewszystkiem zastanowił go arsenał, gdzie budowano galery i niezliczoną liczbę okrętów. O mało że Wenecya nie stała się dlań wyspą Kalipsy, tak w niej rad był pozostać na całe życie, i z reszty Włoch skwitować. Ale Wojewoda po całomiesięcznym pobycie pociągnął go w dalszą podróż. Morze nastęrczało im mnóstwo nowych wrażeń. Najawwszy nie wielką tartanę, puścili się do Ankony; mimo, że burza zaskoczyła ich w przeprawie, szczęśliwie zawinęli do portu. Pan Józef cierpiął

nieślychanie chorobę morską, i czytając Odyseę, ustawnie się dziwił, dla czego bohaterowie Homerowi wolni byli od tej nieprzyjemnej słabości. Z Ankony puścili się jako pielgrzymi do Loretu. Tam oglądano kościół, nie mogąc widzieć ani ścian, ani dachu, tak bowiem były zakryte szczudłami, łańcuchami, włosami, różnymi częściami ciała wylepionemi z wosku, niemniej obrazkami, co wszystko świadczyło o nieprzeliczonych łaskach, jakie Bóg zlał na to miejsce cudowne, słynne domkiem N. Panny, w którym się odbyło anielskie Zwiastowanie. Odprawiwszy tę pielgrzymkę pobożną, oczekiwał ich Rzym, Królowa świata chrześcijańskiego. Przez pierwsze trzy dni nigdzie nie mógł pan Józef wychodzić, paliła go gorączka; ciągle prawił jak w natchnieniu; tak, że Wojewoda bojąc się by nie oszalał, przyzwał doktora i kazał mu krew puścić. Ochłodzony, i osłabiony, systematycznie zaczął zwiedzać kościoły, całować relikwie, dziwić się wielkim i wspaniałym obrzędom; i podobnie jak z pazurów odgadujemy lwia siłę i drapieżność, tak odgadywał wielkość pogańskie-

go Rzymu z połamanych marmurów; z olbrzymich wodociągów, termów, łuków triumfalnych, kolumn, posągów, z cyrków i amfiteatrów. Tyber płowy i mętny, ciekący od wieków jednym korytem, świadek żywy tylu wypadków, mieszczący w swym łonie szczątki tylu świętych męczenników nie mniejszą przejmował go cześcią i rozbudzał długie dumania. Góry Kwirynału, Watykan i inne gmachy świadczące o potędze i wspaniałości ludu rzymskiego, napełniały go podziwem; a po via Appia, Flaminia, Julia stąpał z pychą czując w głębi, że i on syn narodu, stojącego na straży świata chrześcijańskiego, starym Kwirytom w niczym ustąpić nie może. Napatrzywszy się wszystkich osobliwości, naczytawszy Virgila, Horacego i Owida na miejscu, odprawił stację w siedmiu kościołach, wypowiedał się, ucałował trzewik papieżki, i obciążony relikwiarzami i różańcami, puścił się do Neapolu, sam tylko, bo Wojewoda przeląkł się upałów i cofnął się do Florencyi, gdzie miał oczekiwać powrotu pana Józefa. Nasz podróżny tymczasem do podziwu, jaki

mu sprawił Rzym dodał podziw nad cudowném położeniem Neapolu, które to miasto uznał za najprzyjemniejsze w świecie. Ztamąd objechał Sycylię; widział Palermo i Messinę i oddał sprawiedliwość téj wyspie, przyznając jój nazwisko śpiechlerza całych Włoch. Nabujawszy się po morzach, doznawszy wiele przygód na lądzie, powrócił przez Rzym do Florencyi, która nie mniej go oczarowała schludnością ulic, wspinałością gmachów publicznych, świeżością wód i wykształceniem mieszkańców. W wspólném towarzystwie z Wojewodą ruszyli do Szwajcaryi, gdzie można sobie wyobrazić, w jakie zdumienie wprawiał ich widok alpejskich okolic i jezior. Nasyciwszy się widokami, ruszyli brzegami Renu do Flandryi, gdzie kwitnąca podówczas Gandawa, Antwerpia i Bruga nastroczały im tysiąc ciekawości tak pod względem sztuk, jak rękodzieł i fabryk. Mieli jeszcze zamiar dostać się do Paryża; lecz w Paryżu wrzała wtedy wojna domowa, i obaj uradzili aby palców nie kłaść między szpary i nie jechać w sam ogień. Jakoż wrócili przez kraje cesarstwa Nie-

mieckiego do ojczyzstego Krakowa. Pana Józefa z otwartemi rękami przyjęli szkolni przyjaciele i znajomi; czuł się nie jako zobowiązanym na ten dowód pamięci serca, więc podziękowawszy wspaniałemu panu za wieloliczne względy, znowu wrócił do przerwanych nauk w akademii i w parę lat pozyskał wszystkie stopnie.

Zdarzyło się iż onego czasu, gdy pan Józef dobijał się doktoratu z prawa i filozofii, niejaka wdówka, bogata i lubiąca żyć hucznie a wystawnie, z wielkim trzaskiem zjechała na mieszkanie do Krakowa. Ledwo wieść o jój przybyciu gruchnęła po mieście, zaraz cały rój gładyszów, zalotników i pochlebniśiów rozsypał się w koło nadobnej pani, brzęcząc i krążąc by pszczoły nad różanym krzakiem. Doniosło się i do pana Józefa o szczególnych zaletach onój pani, o której powiadano, że długo bawiła na Włoszech; spragniony więc miłój pogadanki o uroczych utworach sztuki, pociągniony sławą jój dowcipu, pośpieszył złożyć swoje uszanowanie wraz z drugimi wielbicielami. Nie inny był skutek onych nawiedzin, jak że nadobna

wdówka szalenie się zajęła naszym doktorem, który, nie wiedząc nawet jaki wyłom zrobił w jej sercu, nie życzył sobie bywać u niej, chyba go gwałtem pociągnięto. Słowem po różnych intrygach i ceregielach, piękna pani odkryła mu bez ogródki swój afekt, ofiarując rękę i majątek. Pan Józef zatopiony bardziej w księgach, niż goniący za względami płci pięknej, wręcz odmówił. Taki postępek dał nadobnej wdówce do myślenia; jakoż wnosząc, że zwyczajna broń zalotności nie zdoła zwyciężyć zimnego stoicyzmu pana Józefa, postanowiła wziąć się do sposobów skuteczniejszych. Poradziwszy się jakiejś cyganki, znającej się na czarach, zadała mu napój miłośny, pewna będąc, że są zioła i uroki, mogące złamać silną wolę mężczyzny. Z tego się pokazuje, że owe kobiety, które zadają takie napoje, trują tylko, jak tego dowód okazał się i na panu Józefie. Zażywszy bowiem ów napój, zaraz zaczął gwałtownie robić rękami i nogami, jakby w konwulsjach. Tarzając się po ziemi, odszedł na kilka godzin od zmysłów, aż dopiero za stara-

niem lekarza przyszedłszy do siebie wyznał, że został otruty przez onę wdowę. Urząd dowiedziawszy się o tém, wysłał pacholców, aby ująć zbrodniarkę, lecz ta zwietrzywszy co się święci, wyniosła się z miasta cichaczem i nigdy już nogą nie postąpiła w Krakowie.

Sześć miesięcy przeleżał pan Józef w łóżku, wysechłszy i wymizerniawszy w ciągu choroby, żebyś w nim wszystkie kości policzył. Umysł jego równie szwankował; a chociaż staraniem lekarzy postawiono go znowu na nogi, jednakże władze umysłowe zostały dziwnie skrzywione. Kiedy bowiem po pierwszy raz pokazał się między ludźmi, wszyscy krzyknęli, że waryat, a waryat osobliwszego rodzaju. Waryacya ta była ztąd osobliwą, iż sobie wyobrażał, że jest szklannym człowiekiem, i gdy się kto zanadto zbliżał doń, krzyczał przeraźliwie, zaklinając w sposób najczulszy i pełen głębokiego przekonania, aby go nie dotykano, gdyż będąc szklannym od stóp do głów łatwo podpada stłuczeniu.

Wiele osób chcąc go z tej manii uleczyć, nie uważając na jego prośby i krzyki, porywało go

w objęcia, dowodząc, że nie jest ze szkła i nie podpada stłuczeniu. Lecz to nieludzkie postępowanie sprowadzało najokropniejsze skutki; bo nieszczęśliwy padał jak długi na ziemię, jęcząc przeraźliwie i tracąc zmysły na kilka godzin. Z tego powodu zawsze z góry zaklinał wszystkich, aby doń mówili z daleka, pozwalając zadawać sobie pytania we wszelkich przedmiotach, i zaręczając, że na każdą rzecz odpowie daleko bystrzej i głębiej niż dawniej; ponieważ jak twierdził, szkło jest delikatną materią, przejrzystą i lekką, a zatem dusza może się objawiać przez nią wyraźniej i dzielniej niż przez powłokę ciała grubą i ziemską. Niektórzy chcieli spróbować, czy prawdę mówił, i zadali mu wiele pytań bardzo trudnych i metafizycznych; na wszystkie jednakże odpowiedział wręcz tak rozumnie, tak bystrze i przenikliwie, że wzbudził podziw w najuczeńszych doktorach akademii, którzy nie mogli pojąć, jakim sposobem człowiek dotknięty tak wyraźną waryacją, zdobył się na tyle rozumu, rozwiązując każde zagadnienie.

Od téj chwili odmienił całkiem tryb życia. Ubierał się latem i zimą w szeroki kozuch; żadnego obuwia nie kładł na nogi; a pożywienie przyjmował w koszyku, który mu podawano na długim kiju. Ani mięsa ani ryby nigdy nie jadł; pił zaś czystą wodę, którą czerpał w źródłach własną dłonią. Idąc przez ulicę zwykle trzymał się środka drogi, laseczką zastawiając się przechodzącym, a ciągle spoglądając w górę na dachy, w obawie, czy nań dachówka lub cegła nie spadnie. Czasu lata, sypiał prawie zawsze w gołém polu; na zimę szukał przytuliska w jakim ustronnym domu, gdzie zagrzebawszy się w siano, zwykł mawiać, że to najwygodniejsze łoże dla szklanego człowieka. I kiedy grzmiało drżał jak liść i uciekał w pole, nie wracając do miasta, póki burza nie przeszła. Jakiś czas przyjaciele trzymali go pod kluczem; lecz przekonawszy się, że szaleństwo nie miało końca, postanowili dogodzić jego fantazyi i puścić na wolność. W rzeczy saméj, biedny szaleniec ujrzawszy się bez dozoru i na wolnej stopie, zaczął wałęsać się po mieście, obudzając

litość w tych, co go dawniej znali przy zdrowych zmysłach. Skoro się pokazał, zgraja pauprów i żaków, zwabiona dziwactwem jego ubioru i wyrażań, chmarami latała za nim. On ich jak mógł odpędzał swoją laseczką i uprzejmie prosił by doń z daleka mówili, ostrzegając, że za lada dotknięciem stłuc się może w kawałki. Ulicznicy, plemie najnielitościwsze i najpsotniejsze, tém bardziej na złość zaczęli dokuczać, rzucając nań drzazgami a nawet kamykami; co sprawiało, iż nieszczęśliwy krzyczał w niebogłosy, wzywając litości u starszych i poważnych osób, które zwykle pobudzone litością nad jego stanem, ujmowały się za nim i rozpędzały złośliwą rzeszę.

Lecz biedny szaleniec znalazł inny sposób uwolnienia się raz na zawsze od psotnych dzieci. Od chwili jak przyszedł był do zdrowia a stracił rozum, wróciły mu wszystkie nawyki lat dziecięcych; równo z drugimi dziećmi grywał w zajęcia, przesypywał piasek, stawiał młynki na strugach i przez to jednał sobie ich przyjaźń. W rozmowie zaś jego niemniejsza zaszała odmiana; nie wdawał się w żadne rozumowania i

długie erudycyjne wywody, ale zwyczajem ludu odpowiadał na wszystko przysłowiami, których miał zapas niewyczerpany; prawie jak ziarna różańca sypały się z ust jego jedne po drugich. Nowy ten rodzaj dziwactwa, zwrócił nań uwagę powszechną. Ulicznicy przestali go zaczepiać, woląc wyciągać go na rozmowę, niż kamykami nań ciskać, a wiele poważniejszych ludzi szło za nim, z ciekawości słyszenia osobliwych rzeczy, które prawił. Kilku z profesorów, jak powiadano, nie miało sobie za ubliżenie, zbierać zdania jego, i pisać rozprawy o filozofii ludu. Kto wie, czy zbiór przysłów starych Rysińskiego nie powstał tym sposobem.

Pewnego dnia ktoś go zagabiał tém pytaniem: —Mości doktorze, dla czego zawsze mówicie przysłowiami, a nie jak drudzy?

—Przysłowia—odparł szalenie—są to krótkie maxymy, zebrane z długiego doświadczenia. Od czasu króla Salomona były i będą zawsze mądrością narodów. Jako istota odmiennój natury, niż zwykli ludzie, nie mogę mówić zwyczajnym językiem. Zresztą kto odpowiada, ten nie mówi;

odpowiadam krótko a węzłowato; dobrej głowie dość pół słowie.

Zgadzam się mości doktorze — mówił dalej pytający — wszelako chciejcie mi powiedzieć, na czém szczęście zawisło?

— Na czém je zawieszisz.

— Co trzeba zrobić aby dostąpić mądrości? zagadł student.

— Pamiętaj, odparł zapytany — że trzy za wiele, a trzy za mało o zgubę nas przyprawiają: wiele mówić a mało wiedzieć, wiele wydawać a mało mieć, wiele o sobie rozumieć a mało wartać.

— A teraz powiedzcie mi, pytał kupiec wychodzący z kramu, co robić aby być bogatym?

— Nic łatwiejszego, odrzekł pan Józef — nie ten ubogi kto mało ma, ale ten kto wiele pragnie. Zresztą wiele jest sposobów zbogacenia się: spadnieli na ciebie dziedzictwo, podziel się po bratersku, moje dla mnie, a twoje dla mnie i dla ciebie; maszli urząd publiczny, pilnuj przysłowia: „Kto smaruje, ten jedzie.” W handlu zaś zbieraj ziarnko do ziarnka, a będzie miarka. To najpewniejsza recepta, bo kto chce być za

rok bogatym, w pół roku może pójść na szubienicę.

Innego razu przybiegł doń zapłakany wyrostek i pytał o radę: Panie doktorze, ojciec mię bije za lada co, nie wytrzymam dłużej i ucieknę z domu.

—Bronć cię Boże, mój chłopcze; nikogo nie znieważa ręka ojcowska, ale katowska. Klacz kopnie źrebię i nic mu. Chciałżebyś zostać włóczęgą? Pamiętaj: od rzemyka do nożyka, a od nożyka na haczyk. I kiedy mu dawał tę przestrożę nadbiegł ojciec szukający syna: Mospanie,—wołał nań pan Józef—pamiętaj Waść ilekroć rękę na dziecko podniesiesz: że pod kijem dobry staje się złym, a zły gorszym.

Ledwie ojciec oddalił się z synalem, zbliżył się jakiś człowiek w podeszłych latach i zapytał z niejaką tajemniczością: Jaką radę i pociechę mam dać jednemu z moich przyjaciół, którego żona z drugim uciekła?

—Powiedz mu — odrzekł pan Józef — niech zmówi pacierz i podziękuje Bogu, że w miłosier-

dziu swym ulitował się nad nim i uwolnił dom jego od takiego nieprzyjaciela.

—A więc nie powinien jęj odbierać?

—Niech go Bóg broni; jeżeli odbierze, będzie miał na całe życie niepozbytego świadka swęj hańby.

—Mości doktorze,— mówił znowu przyjaciel skrzywdzonego męża, kiedy o tęg materyi mówimy, powiedz czy mi się żenić wypada?

—Tobie, odparł zapytany,— tobie siwy gołąbku? Pamiętaj, że starzec zakochany, to kwiatek zimowy. Prawda że to w starym piecu często djabeł pali, a jeśli trudno stare słomsko zapalić, jeszcze trudniej ugasić.

—Żarty na bok, mości doktorze, ale ta, którą chcę pojąć, jest osobą równego prawie ze mną wieku.

—W takim razie—odrzekł pan Józef—jeżeli lubi się mizdrzyć i pragnie się podobać, powiedzą o nięj: kiedy baba puści się w tany, więcej robi kurzawy niż młoda; jeżeli zaś nie swojemi tylko cudzemi będzie się zajmować miłostkami, powiedzą, gdzie czart nie może, tam babę poszle.

Przysłuchująca się tej rozmowie zameżna białogłowa, zagadła: cóż trzeba, aby utrzymać małżonka w statecznym affekcie?

—Mało mówić; albowiem dym i świegotliwa niewiasta wypędzają męża z domu; a jak drzwi, które nieskrzypią, tak i niewiasta, która milczy, najprzyjemniejsza; dużo pracować; próżnująca niewiasta zawsze w złej koszuli chodzi; zawsze być słodką; dmuchając z węgla dobywamy ognia, a gniew z przykrego słówka; nakoniec strzedz się złej okazyi; strzeżonego Pan Bóg strzeże.

—Dobra nauka dla małżonki! wtrącił któryś z słuchaczy, teraz prosimy dla męża. Co powinien robić, aby dobrze żyć w tym stanie.

—Niech pozwoli żonie wszystkim rozkazywać w domu; a zabroni rozkazywać sobie; złe bowiem gospodarstwo, gdzie kądziel przewodzi nad mieczem. Jeżeli zaś chce zasiągnąć jej rady, niech pamięta na to słowo: trzymaj się zawsze pierwszego zdania swojej żony, a nigdy drugiego. Jeżeli ma tajemnicę sobie powierzoną nie powinien zapominać tej maxymy: Maszli złą żonę, nie dowierzaj jej, maszli dobrą nie powierzaj nic.

Powiadają: na pochyłe drzewo i kozy skaczą, lecz kiedy garnek wre i mucha boi się przybliżyć. Zresztą nie broń białołowie uczciwój rozrywki; w czasie nudów, djabeł podsuwa złe rady.

Odgłos o osobliwém szaleństwie naszego doktora, o jego dowcipie i bystrości, które zachowywał nawet przy stracie rozumu, a nadewszystko trafne odpowiedzi przez przysłowia sprowadzające natłok ludzi wszelkiego stanu, rozszedł się szeroko, a nawet i do dworu, tak dalece, że jeden z pierwszych panów zapragnął go mieć przy sobie; i w tym celu posłał swego dworzana aby go namówił. Dworzanin spotkał naszego doktora na ulicy i rzekł doń; Panie doktorze, mój pan, kanclerz koronny pragnie cię mieć u siebie.

—Wybacz mi waszmość—odparł doktor, ale nie mogę; zawsze słyszałem: Na wielkim panu i na starój poręczy nie spieraj się.

—Ależ mój pan jest z rodzaju tych ludzi, którym zaufać można.

—Może to być; z tém wszystkiém łaska pańska na pstrym koniu jeździ; a kto wlezie między wrony, musi krakać jako ony. Zresztą jakkol-

wiek chudy ze mnie pachotek, Pan Bóg mię na moim miejscu postawił, a i kura śmielsza na swoich śmieciach. Jakżeżbym śmiesznie wyglądał przy tak wielkim panu. Za wysokie progi na moje nogi; Król sobie królem w Warszawie, a ja w Nieświeżu.

Po długich ceregielach udało się nakoniec dworzaninowi przemówić doktora. Kanclerz mieszkał o kilka mil na zamku swym. Podróż ze szklannym człowiekiem nie mało nastroczała trudności. Wynaleziono jednakże dowcipny sposób; oto urządono lektykę w którą nakładłszy siana, i powstawiawszy butelki i szklanne naczynia, wsadzono w nią doktora, i tak skłoniono do podróży w towarzystwie przedmiotów, równie jak on podpadających stłuczeniu. Kiedy przybyli na dziedziniec zamkowy wyszedł kanclerz i powitał gościa: Jakżeż droga służyła mości doktorze?

—Każda droga dobra, kiedy się skończy,— odparł pan Józef—prócz drogi wiodącej na szubienicę.

—Tutaj będziesz mógł sobie żyć spokojnie—

wtrącił kanclerz—będę się starał, by ci i ptasiego mleka nie brakło.

—Radość z mego przybycia—odrzekł gość—zapewne nie długo potrwa; albowiem we trzy dni gość i ryba cuchną.

Owoż szklanego człowieka przyjął kanclerz bardzo uczciwie, dając mu wszelkie wygody w pałacu i najobszerniejszą wolność, która jest najdroższym klejnotem gościnności. Jak w stolicy, tak i tutaj chodził sobie swobodnie, wstawał, jadł, spał, kiedy mu się podobało, i zawsze widział koło siebie liczne towarzystwo, albowiem, zwyczajnie jak na dwór kanclerski zjeżdżało się mnóstwo osób mających rozliczne sprawy, i szukających protekcyi do różnych dignitarstw i urzędów. W téj liczbie cisnących się do dworu, postrzegł pewnego Wielkopolana z wygoloną czupryną, najeżonym wąsem, z niezmiernie szerokimi cholewami, i zawieszistą karabelą u boku, na której się wspierał, a zadartszy głowę do góry, zdawał się wszystkich rozumem i dostojnością przenosić. Mości dobrodzieju! — zagabął go doktor—waszmość zapewne z daleka przyby-

wasz; może panny posażnej szukasz? w takim razie, kto daleko jeździ za żeniączką albo chce oszukać; albo być oszukanym.

—Mylisz się mój doktorze — odparł szlachcic—przybywam starać się o urząd.

—Na to możnaby odpowiedzieć: kto wełny szuka, wraca częstokroć ostrzyżony.

—Co tego, to się nie boję, mój mości bakałarzu!— przerwał zajędyczony szlachcic mierząc go pogardliwym okiem,— spodziewam się że pan kanclerz oceni moje zasługi, i że mi przodek da przed tysiącem innych.

—Dobre rozumienie o sobie, połowa szczęścia; tylko to biada że z pustej stodoły nie wyleci chyba wróbel lub sowa.

—Napuszony szlachcic już się porwał do korda, ale obecni zastłonili biednego szaleńca, przycinającami okrywając szlachcica, który, czapkę nasadzwszy na bakier, mruknął coś pod nosem i odszedł.

Po nim nasunął się inny i zagabął: Niegodzi się panie doktorze obrażać krew szachecką; cóż złego, że człowiek pnie się do urzędu? i ja również

w tym celu przybyłem na dwór kanclerski; mam po sobie naprzód: ród znakomity, bom herbowny jeszcze od Lecha; mam naukę, bom pierwszych mistrzów padewskich słuchał: sławę, bom się znajdował w przesławnej bitwie z Tatary...

—Pofolguj! pofolguj! — wołał pan Józef, — dosyć téj litanii; kura co dużo gdacze, zwykle mało niesie jajec. Każda liszka swój ogon chwali; a dzwon dla czego głośny? bo próżny...

—Ja zaś, mości doktorze— mówił inny z obecných, — mniej wysoko patrzę, i niczego nie pragnę, jak dwór opuścić i zamknąć się na wsi.

—To daleko rozsądniej— odrzekł doktor— lepszy rydz, jak nic,— a nasz Kochanowski powiada:

Kto ma swego chleba
Ile człeku trzeba,
Może nie dbać o wielkie dochody.
O wsi i miasta i wysokie grody...

—Wyborna rada przerwał inny, —ależ chciejcie mię nauczyć co robić, aby dopiąć rozumnego celu?

—Naprzód—odrzekł pan Józef—patrz, z któ-

rój strony wiatr wieje; potem nie żądaj gruszek od wierzby; wzywaj raczej Pana Boga niż Wszystkich świętych; bo czego Bóg niechce, tego święci nie mogą; następnie bądź grzeczny: bo czapka, papka, i solą; ludzie ludzi niewolą; przedewszystkiem zaś patrz dobrej sposobności, gdyż czas na czasie nie stoi.

—A jeżeli otrzymam mój urząd, cóż mam robić?

—Trzymać go, bo koniec dobra jest początkiem złego; a jak się drzewo powali, każdy je rąbie i pali.

Innego dnia zdarzyło się, że nasz szklanny człowiek spotkał jakiegoś utratnika, którego sądowi słudzy prowadzili do więzienia.

—Czy to zbrodniarz? zapytał.

—Nie, to dłużnik—odpowiedziano.

—Dorozumiałem się tego; kupuj bratku zbytkowne rzeczy, a będziesz sprzedawał potrzebne. Nigdy mierzozumiał, co to pożyczać; nie pożyczaj, zły obyczaj; jak oddają, jeszcze łają; chcesz wiedzieć, co wart talar, pożycz go.

W chwili gdy te uwagi robił w obec kilku

osób, przystąpił doń jakiś szlachcic z wyrazem smutku, i zaczął mu opowiadać jak go najszczerzy przyjaciel zdradził, przyjaciel, który zdawał się być bardzo pobożnym, cichym i świętobliwym.

—O tak to bywa—odrzekł pan Józef—cicha woda brzegi rwie; pobożna minka, hajduckie sumienie.

—Więc nie trzeba wierzyć nikomu?—wtrącił ów zasmucony;—więc nie trzeba mieć przyjaciół?

—Przeciwnie, życie bez przyjaciół, śmierć bez świadków. Ludzie powinni sobie pomagać; ręka rękę myje, noga nogę wspiera.

—Jakaż tu rada, aby mieć niezawodnych przyjaciół?

—Moja rada—mieć dużo przyjaciół w ogólności, a szczególnie jednego a dobrego. Złe bowiem drzwi, które lada klucz odmyka; kto przyjaciel każdemu, ten nikomu. Wybierając przyjaciela, nie powinniśmy wątpić o jego poczciwości, bo jak kłakol w zbożu, tak podejrzenie w przyjaźni miejsca mieć nie powinno. Zresztą w przy-

jaźni, złe wieszać coraz nowe sitko na kołek. Staraj się mieć przyjacielem uczciwego człowieka: ze złymi nieprzestawaj, abyś ich liczby nie zwiększył; a stokroć lepiej rozbijać z dobrymi, niż modlić się ze złymi. Nakoniec przyjaciel twój powinien cię kochać dla siebie; przyjaźń z interesu, jaskółka na dachu.

Widząc pewnego razu dwóch bijących się, pytał o przyczynę zwady.

—Są to dwaj przyjaciele — odpowiedziano mu—przed chwilą żartowali ze siebie, od słówka do słówka, przyszło do czubów.

—Zwykła to historia, odrzekł doktor, nie wychylaj butelki do dna, bo poruszysz męty. Słówko wyleci ptakiem, a powróci wołem.

Przechodząc koło szpitala postrzegł dużo chorych o wybladłych twarzach, grzejących się na słońcu. Jest to przybytek—zawołał—do którego prędko się wchodzi, a wychodzi pomału; choroba przyjeżdża na koniu, a wraca piechotą.

W jednym domu kobieta jakaś zawodziła w niebogłoso. Co to jój się stało?—zapytał szklany doktor.

—Męża straciła—odpowiedziano.

—Nicże jej nie róbcie; im mocniej będzie krzyczeń, tém prędzej ustanie; ból w łokciu, a ból po stracie małżonka, mocny, lecz nie długi. Czyż nie ma jakiej innéj przyczyny do smutku; bo nieszczęścia zwykle zlatują się, jak kruki na ścierw?—Ile wiemy—odpowiedziano—tylko to jedno spotkało ją nieszczęście.

—Niechże podziękuje Panu Bogu: dobre to nieszczęście, co sam na sam przychodzi.

—Zdarzył się wypadek, że Król i sejm wydali wyrok skazujący jedną wysoką osobę na wygnanie z kraju i odjęcie czci; ktoś opowiadając to naszemu doktorowi, utrzymywał że taka srogość nie powinna dotyczyć tak dostojnej głowy.

—Przeciwnie, odrzekł, przykład powinien iść z góry; źle, gdyby mówiono o ludziach piastujących wysokie urzędy: dzwon dzwoni na mszę, ale mszy nie słucha.

—Ktoś z boku dodał: ale cóż winni podrzędni urzędnicy, których razem z tym panem karą objęto?

—Zwykle jaki pan, taki kram;—wart pałac

Paca, a Pac pałaca; zresztą, gdzie drwa rąbią tam drzazgi lecą.

Szklany człowiek wychodząc pewnego razu na przechadzkę, spotkał w sieni gładkiego młodzieńca przystojnie ubranego, który go grzecznie powitał, i tajemniczo zaprosił na bok: Mości doktorze—rzekł doń z niskim ukłonem—wiele słyshałem o waszej mądrości; a więc przychodzę rady waszej zasięgnąć w pewnym ważnym dla mnie przypadku. Wprzód jednak muszę wyznać o co rzecz idzie: oto jestem szalenie zakochany.

—Na rany Chrystusa!—zawołał doktor!—interes strasznej wagi! Waszmość kochasz! ale czy jesteś kochany?

—Tuszę sobie.

—Przedziwnie! dobra rzecz kochać, lepiej jednak być kochanym; kochasz, słyszysz; kochany jesteś, panujesz. Jaki masz dowód wzajemności?

—Słowo méj pani

—Słowo? powiadasz; trzymać kobietę za słowo, a piskorza za ogón, na jedno wychodzi:

Wszystko rzeczy zmienne,

Łaska pańska, gust kobiet, pogody jesienne.

U niewiasty między tak, a nie, ani włoska nawet nie przewleciesz. — Kiedym był człowiekiem z ciała i kości jak drudzy, niby ognia strzegłem się miłosnych sideł; bo w miłości jak na polowaniu, za jedną przyjemność tysiące cierpień, gdyby na świecie nie było wiatrów i kobiet, nie byłoby ani niepogody, ani chwil kłopotliwych.

— Jakże się to dzieje — wszczął rozkochany młodzieniec — że lada czarne oczki, lada białe ząbki i rumiana twarzączka pozbawiają mnie zaraz rozumu?

Wytłumaczę ci to — odrzekł pan Józef — człowiek ogień, niewiasta sucha słoma, djabeł przyjdzie i dmuchnie i pożar roznieci.

— Stało się! — wtrącił młodzieniec — djabeł dmuchnął, a teraz dajcie radę, czy się mać żenić lub nie.

— Nielada pytanie, mój panie rozkochany! w dniu ślubu dajesz sobie życie lub śmierć. Małżeństwo jest wór, w którym siedzi dziewięćdziesiąt dziewięć węzów, a jeden węgorz; włóżże

rękę i szukaj węgorza. Zresztą; jeżeliś dał słowo, trzeba dotrzymać; woła bierzesz za rogi, człowieka za słowo; chcesz wybrać dynię lub kobietę, musisz mieć szczęśliwą rękę. Są wprawdzie niektóre dobre wskazówki, jakich się trzymać potrzeba. Jeżeli chcesz pięknej, wybieraj w sobotę, a nie w niedzielę na mszy; niech nie będzie ani nadto piękna, ani nadto szpetna; kto ma ładną żonę, a groch przy drodze, a zamek na Ukrainie, ten nigdy nie ma spokoju. Co do majątku: lepsza kopa za żywota, niż po śmierci stérta; lepszy posag w ziemi, niż w gałganach; ubogie stadło i mucha pówadzi. Co do wierności: szkło i kobiéta zawsze w niebezpieczeństwie. Staraj się oddać wszystkie złe pozory i zgorzenia. Nie spuszczaź się nawet na szpetność twój żony, i najlichszy garnek znajdzie swoją pokrywę. Wziąwszy to wszystko przed się na uwagę; resztę spuścisz na Opatrzność i łaskę Boga. Strzeż się jedniak powtórnie żenić; z piérwszej żony masz sługę, z drugiej panią.

Możnaby tu wypisać długi szereg prawd zawartych w filozofii gminnej naszego szklanego

doktora ; w każdej jest głęboka nauka , doświadczeniem i znajomością ludzi stwierdzona ; pomijając insze znajomsze przysłowia , przytoczę rzadsze :

Myśl zwolna , czynń pędko.

Nie bądź dłużnym bogatemu , a nie obiecuj ubogim.

Na wilcze mięso , psi ząb.

Szukaj dobra , a zła zawsze się spodziewaj.

Długie włosy , krótki rozum.

O jarmarku każdy sądzi podług tego , jak sprzedał.

Grzeczne słowo mało kosztuje , a wiele waży.

Pan Bóg chleb daje , kiedy zębów nie ma.

Kto się modlić nie umie , naucz się na morzu.

Między drzwi nie kładź palca.

Wiatr chorągiewką obraca , ale nie wieżą.

Zbieraj za młodu , na starość znajdziesz ; młodość leniwa , starość płacziwa.

Jesteś synem , ojcem będziesz ; co dasz odbierzesz.

Jeszcze skóra na baranie , a już szewcy piją na nią.

Zjeść jaja, a polewkę na ubogich oddać.

Kto wiatr sieje, zbiera burze.

Rana się zagoi, zła sława nigdy.

Dobre słowo lepiej gasi, niż wiadro wody.

Macocha choćby z cukru, zawsze gorzka.

Kto chce bydź długo starym, niech się starszeje zawczasu.

Kto ma cztery, a wydaje pięć, worek mu nie potrzebny.

Usiądź na swoim miejscu, a nikt cię nie ruszy.

Gdyby głupcy nie chodzili na targ, nie sprzedawanoby złych towarów.

Jesz kwaśne jabłko, a moje zęby oskominę cierpią.

Piękna śmierć uzacnia całe życie...

Prawie dwa roki dręczyła ta osobliwa mania naszego szklanego doktora. Chodził sobie wszędzie po Krakowie; wszyscy znali go jak zły szeląg, a cenili jak najdroższy klejnot; bo mądrość jego, podobna wyroczni, zyskała niezmierną wziętość u gminu. Zdawało się, że choroba jego nie była mu wcale nieznośną bo i cerę miał zdró-

wszą, i humor zawsze wesóły i swobodny. Nikogo nigdy nie zaczepił, owszem stronił, by nie być zaczepionym. Jednakże, nieszczęście chciało, iż pewnego wieczora przechodząc się po nadwiśle, został zagabany od pijanych włóczków, którzy napadłszy nań z kijami, zadali mu kilka razy, mimo że krzyczał w niebogłosość: co robicieś jam szklanny. Ale darmo! pijacy nie pamiętali się, aż ujrzeli nieszczęśliwego oddającego ostatnie tchnienie i wymawiającego ostatnie przysłowie: Dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie.



O ARCHITEKTURZE CHRZEŚCIAŃSKIEJ.

LUDZIE znamienitych talentów wiele trafnego i wzniosłego powiedzieli już o sztuce chrześcijańskiej; to jedno powinnyby mię wstrzymać od zaczepiania tak poważnej i trudnej materji. Z tém wszystkiém mając na uwadze grubą niezajomość, tak pomysłów ogólnych jak samego przedmiotu, dającą się u nas postrzegać, niezajomość pochodzącą nie z jakiejś przyrodzonej nieudolności, lecz bardziej ze zubożnienia ku głębszemu badaniu objawów wiary świętej; i rozwijaniu onejże na wszystkich punktach i kierunkach, znaglonym się widzę rzucić choć kilka postrzeżeń nad naturą i bogactwem sztuki chrześcijańskiej. Nie roszczęc sobie prawa do jakichś nowych postrzeżeń, nie lękam się zapuszczać

w przedmiot tak wysoki, mniej jeszcze pragnę mówić o sztuce dla sztuki; dość dla mnie, jeżeli bacność czytelnika podołam zwrócić na tę materią nieodłączną od żywotnych pojavów naszej religii. Zresztą piękności sztuki chrześcijańskiej tę samą mają własność, co wszystkie wielkie i prawdziwe piękności: każdy może o nich mówić, ponieważ mówią do każdego.

Chrześcijaństwo podnosząc nas, wywyższyło wszystkie rzeczy niższe, zostające pod naszą władzą. Raz zakorzenione w sercu człowieka, rozciągnęło się do wszystkich jego zdolności, do wszystkich stosunków, zgoła, do całego zewnętrznego świata, ożywionego jego geniuszem. Nic nie ma, czego by nie ogarnęło. Nauką i moralnością opano wało wyobrażenia i obyczaje; przez wyobrażenie wpłynęło na sztuki piękne; a przez sztuki piękne na materią, którą również odkupiło, i nie jako schrystianizowało. Słowem, co zaszło w porządku objawienia, to samo miało miejsce w porządku natury: niewidome odbiło się w widomém, i chrześcijaństwo stworzyło nową ziemię, objawiając nowe niebo.

Na téj drodze postrzeżeń, najpiérwsza rzecz,

która uderza, i na którą zwrócimy uwagę, jest architektura, ta „Królowa sztuki” jak ją nazywał znakomity poeta.

Architektura kościołów naszych tchnie w sposób najprostszy i najśmielszy duchem chrześcijańskim. Kamień wypowiada myśl chrześcijańską. Dla tego też od starożytniej architektury, dzieli ją przepaść nie zgłębiona.

Budowle te mają kierunek do góry, kolumna wspina się na kolumnie i w tém głównie znamie ich charakteru. Świątynie starożytne zajmowały wiele miejsca, lecz w przestrzeni horyzontalnej. Zdawałoby się, że wzrok ludzki nie wznosił się wówczas ku niebu. Podnosząc spójrzenie, chrześcjanizm musiał podwyższyć sklepienie świątyń. Dążność ta wszędzie jest widoczną. Wieże tumów naszych zmuszają nas niejako odrywać wzrok od ziemi, i kierować myśl ku wyższym światom. Chrześcjanizm zachowując nawet styl starożytny, nagiął go ku téj myśli w sposób bardzo wyraźny. Wydał sklepienia, i ztąd powstała kopuła. Kiedy Michał-Anioł na widok Panteonu zawołał: „Postawię go na

powietrzu!” wtenczas ożywił go duch chrześcijański; i ta sama wiara, której było dano znosić góry, ta sama wiara dokonała przezeń cudu.

Lecz nigdzie bardziej nie rozwija się myśl chrześcijańska, jak w architekturze zwanój gotycką, lubo niewłaściwie.

Lekkość, śmiałość, i prawie zuchwałość wszystkich jej kierunków wyrażają w najwyższym stopniu wiarę, nadzieję, oderwanie się od padółu, i wywyższenie naszej natury. W budownictwie greckim, całą budowę dźwigają kolumny; w gotyckim, porywają ją do góry. Mała ich objętość, powiększa wrażenie o ich wysokości. Owe kolumny związane w pęk jeden (żywy wyraz katolicyzmu wielości w jednocie) wyskakują jak wodotryski i gubią się w sklepieniu bezpowrotnie. Nie ma tam nagłówków (kapitelów), któreby pęd ich wstrzymywały: albowiem kolumny te, a raczej pręty, gubią się w wysokości. A oweż sklepienia jakżeż osobny noszą charakter? w architekturze starożytnej sklepienie (w stylu greckim jest to pułap) stanowi jedna linija łuczasta, spadająca z obu

stron i opierająca się na gzymsie. W gotyku zaś dwie linije zbiegają się w swoim locie, dwie parabole krzyżujące się, z których żadna nie wraca. Taka ożywa (ogive) dodaje do dziwnej wysokości gmachu wysokość imajncyjną i nieokreśloną, a zarazem dobitnie wyraża odrębną dążność chrześcijaństwa. Zdaje się, że samym nawet głazom nadaje chęć oderwania się od ziemi, a pragnienie nieba. Boczne części w przeciwieństwie z nawą świątyni, jeszcze bardziej jęj wysokość podnoszą. Pomnażając rzędy kolumn, i ożywy, urozmaicając ich krzyżowanie się za każdym krokiem, tworzy się dla myśli tajemniczy labirynt, który ją pociąga, i w którym czerpie uczucie nieskończoności. Uczucie to wywija się z mnóstwa koronkowych rzeźb ozdób, nużących prawie uwagę, oczyszczających nie jako kamień z jego przyrodzonej martwoty, i zamieniających budowę nie w jakieś dzieło materji, lecz w skamieniałość duchową. Godła teologiczne, przedstawiane w rzeźbie, przyczyniają się do czarodziejskiego uroku, myślałbyś, że to świat niewidomy schwycon w swój

tajemniczości, tak cała dusza przylega do niego. Cóż dopiero powiedzieć o tém mnóstwie kaplic i zakątków przyjaznych dumaniu, pokucie, trwodze, miłości, które z mordowane serce zapraszają do wytchnienia, do oderwania się od ludzi, a zbliżenia się ku Twórcy? Wreszcie czarodziejski urok szyb ozdobionych brylantowemi barwy, mistyczne malowidła, wszystko to rzuca jakiś odblask nadprzyrodzony; a kiedy jeszcze słońce wschodzące lub zachodzące strzeli przez nie promieniami, skąpie się w barwach i rozsieje takowe po wnętrzu kościoła; natenczas rzekłbyś, że patrzysz na owe Jeruzalem niebieskie, o którym mówi Apostoł, pałające od złota, diamentów i rubinów.

Taką jest architektura chrześcijańska, utwór prawdziwy i pierwotny, w niczym nie podobny do wzorów architektury starożytnej. Byłoby zaiste dziwactwem, zaprzeczyć piękności starożytnym budowom, zwłaszcza, jeżeli zostają na swoim polu; zamiłowanie się w samym gotyku nie dowodziłoby szerokiej wielostronności smaku. Lecz to przyznać potrzeba, że architek-

tura starożytna ma łączność z wyobrażeniami tylko ziemskimi, zmysłowemi, ograniczonymi. Gniece ziemię i przywiązuje się do niej, jako do jedynéj ojczyzny. Jój rozmiar symetryczny, czystość linii, i owa harmonia całości, którą jeden rzut oka ogarnia, która spójrzienia nie trudi, nie mu nie zostawia do życzenia, do odgadnięcia, wyraża tylko zadowolenie z tego, co jest, jakąś błogość bezwarunkową, spokój doczesnego bytu; ani krok w tył, ani krok dalej. Dla tego najlepiej przypada dla teatru, giełdy, lub pałacu magnata. Przeciwnie odpycha, obraża, depce wszelką boleść, ofiarę, nadzieję, nieśmiertelność; zgoła każdą dążność duchową i moralną, nie kończącą się na tym padole, a czyniącą człowieka wielkim i boskim. Jakżeż dziwnie odpowiada architektura gotycka tym dążeniom duchowym! Ona je tylko wyrazić, ona je natchnąć może. Pęd jój ku niebu, potęga i lekkość rzutów, nie określność kształtów i kierunków, tajemnicza i zmieniająca się głębia jój perspektyw, ów ogrom posępny, rozlegające się echa, zgoła, wszystko uduchowia tam duszę,

zrywa więzy ziemskie, i rodzi w nas przecucie nieodgadnione jakiejś lepszej przyszłości, wartę najwięszych cnót i najświęszych ofiar.

Zresztą, czyżby mogła architektura chrześcijaństwa nie wypajać podobnych myśli i uczuć, kiedy sama niczém nie jest tylko żywym objawem i tłumaczem onych? Świątynie greckie, są wyrazem osobistego smaku, zostającego na koszcie władzy; pomniki Egipskie noszą piętno siły zwierzęcej i niewolniczej; przeciwnie kościoły chrześcijańskie są wynikiem siły duchowej, zbiorowej, społecznej, wznoszącej bez przymusu i z całą miłością dzieło przeznaczone na chwałę bożą. Czujesz tam nie jako krążące soki mistyczne, czerpane we wnętrzościach wiary katolickiej. Zdawałoby się, że to nie ręce budowały, ale wyobrażenia, a serca służyły za cyment; przysięgłbyś, że te głazy ożywiły się tchnieniem wiary całego ludu i że same kładły się na miejscach swoich przy odgłosie nabożnych pieni.

Takie, i tym podobne uczucia i myśli wzbudza widok chrześcijańskich pomników w Niemczech, Flandryi, we Francyi i innych krajach,

gdzie wiara szeroko pojmowana, głęboko uczu-
ta, szukała wymownego tłumacza w materji
trwałej i niepożytej wiekami, to jest w kamie-
niu. Porównywając te dzieła sztuki zachodu i
południa z ubóstwem naszej ziemi, rozwijają-
cój się przez dziesięć wieków w duchu powsze-
chnego kościoła, mimowolnie nasuwa się pyta-
nie, dla czego nie możemy się również poszczycić
pomnikami noszącymi tak wysoki charakter, jak
pomniki gotyckie? Dla czego sztuka chrześcijańska
nie rozwinęła się u nas pod dłutem, ani pod pędzlem?

Czy żeśmy nie odziedziczyli tradycyi sztuki
od starożytnych, czy też wiara tak słabe zapu-
ściła korzenie, że naród nasz nie był zdolnym
nic tworzyć, i tylko obchodził się obcymi mi-
strzami, lub naśladował postronne wzory? Na
to mniemam, dzieje narodu najwymowniejszą
dadzą odpowiedź; kto się wpatrzy w karty na-
szej historyi, uderzy go nieustanna praca ry-
cerstwa pełniącego straż chrześcijaństwa; ciągły
żywot na koniu lub w obozie, odpieranie najaz-
dów pogańskich Prusaków, Litwinów, Tata-
rów, Turków; nie dały swobodnie rozwijać się

sztuce chrześcijańskiej. Ślacha, która nosiła w sobie skarb oświaty i ducha chrześcijańskiego i narodowego, obchodziła się bez świątyń z cudnie ciosanych głazów, pod namiotami lub gołem niebem, odprawując nabożeństwo, myśl swą wyteżęła nie na rzeźby mistyczne; nie barwiła jęj odblaskiem szyb różno-kolorowych, nie puszczała się po cieńskich słupkach na szczyt wieżyc gubiących się w obłoku, bo to było zatrudnienie ludzi spokojnie dumających, zaczytanych w mistycznych legendach, ludzi nareszcie, którzy skarby umysłowe, żywotność swą, musieli w coś włożyć, aby nasycić pragnienie twórczości;— przodkowie nasi szerzyli chwałę boską, odpierając mieczem ciemnotę i barbarzyństwo; pobojowisko zlane krwią, mogiła z kości usuta; to nasze pomniki, to świątynie. Ta a nie inna strona sztuki chrześcijańskiej pojawia się w dziejowém życiu narodu. W domowej zaciszy mieszczańska lub wieśniacza, sztuka zostawia ślad, lubo dziecięcy, jednak nie bez charakteru. Mieszczanin, najwięcej osiadły przybylec, sprowadza lub z swego łona wydaje mistrzy, którzy naśladować Nadreń-

skich architektów, przyozdabiają nasz kraj kilkoma świątyniami w smaku gotyckim; lecz pozbawieni materiału, jakiego gdzieindziej dostarczały niewyczerpane łomy kamienne, zastępują go cegłą. Praca mozolna i nierównie sztuczniejsza! jakiej to potrzeba było dokładności, jak ścisłych wymiarów, aby kładąc cegielkę na cegielce, wyprowadzić owe cieniuchne słupki gładzące w owalnych sklepieniach, lub zastąpić fantastyczne ozdoby w nagłówkach i gzymsach! A jednak po dziś dzień świątynie te stoją, z wiekiem każdym silniejsze, bo zdaje się, że te drobne cegielki zrosły się w jedną miazgę. Kościoły Krakowskie, Wileńskie, Toruńskie, świadczą o tém wymownie i nie przestają tworzyć osobnej karty w dziejach budownictwa naszego, które, aczkolwiek myśl zaczerpnęło z obczyzny, wyrobiło sobie pewien miejscowy i wiekowy charakter, a nawet szczyciło się architektami, którzy imię swe unieśmiertelnili, jeżeli nie u nas, to w krajach postronnych; wszakże Oktawian Wolcner, Krakowianin, powołany był do Wiednia w 12-tym wieku, dla budowania kościoła

Ś. Szczepana, liczącego się dziś do pomników gotyckich pierwszego rzędu.— Drogie są to za-
bytki oświaty naszej średniowiecznej i kunsztu,
lecz nie w nich to właściwie mieści się wybitne
piętno ducha narodu. Zstąpmy raczej do wiej-
skich kościołków i kapliczek. Polska lesista i
rolnicza musiała budować stosownie do swojej
możności, przestając na materyałach, jakie mia-
ła pod ręką. Nie było ciosowego kamienia, na-
tomiał niepożyty wiekami modrzew dostarczał
tramów i desek. Styl budynku zwykle prosty,
jak wiara ludu; niekiedy spotykałeś słupki i
belki rzeźbą okryte; lecz rzeźba ta, dzieło wiej-
skiego cieśli, nie przedstawiała żadnego symbo-
lu, ani zostawała w związku z planem budo-
wy; było to coś niższego nawet od rzeźb, na
maczugach dzikich wyspiarzy południowego mo-
rza, a zgoła nie mogło się równać z ozdobami
w świątyniach Norweskich, które, jak to dziś
z rysunków widzimy, i jak to Olearius przed
dwiestą laty uważał, wiele mają podobieństwa
z budową cerkwi na naszej Rusi. Sztuka chrze-
ściańska, jak powiadam, nie rozwinęła się u

nas na drodze rzeźby, architektury i malarstwa; pobożny wieśniak, pamiętny swojej słowiańsko-pogańskiej przeszłości, kiedy pod gołym niebem, na szczycie gór, u szemrzających krynic, lub w gęstwie gajów, bożkom swoim składał obiady, przechował tę samą miłość natury jeszcze do czasów dzisiejszych. Patrzmy: Malutki kościółek lub kapliczka, że ledwo czwartą część parafian obejmie, stoi ocieniony starymi lipy, lub wiązy, a trzy części ludu słucha nabożeństwa na dworze; ołtarz od dołu do góry ustrojony gałęzmi bzów, kalin, jarzębin, głógów, i różnobarwnymi wieńcami kwiatów, podłoga i wszystkie ścieżki wysypane szuwarem, czyli tatarskim zielem; na Boże ciało święcą wianuszki rozchodniku, które mają strzedz od burz i piorunów; na Najświętszą Pannę Zielną, całymi snopami przynosi lud kwiaty i zioła, i poświęcać je daje dla bydła; wiliję Bożego Narodzenia pożywa na sianku, w towarzystwie czterech snopów zbożnych, ustawionych w rogach izby; a w Nowy Rok ziarno rzucać ci przychodzi pod nogi. Każda uroczystość kościelna, każde religijne

wyobrażenie ludu, znachodzi tłumacza swego, swój symbol, w utworach téj nieśmiertelnej mistrzyni, którą zowiemy naturą. Dla tego też rzadki to fenomen w dziejach sztuki chrześcijańskiej; część narodu oświecona, stanowiąca właściwy naród, która na barkach swoich dźwiagała państwo, niema czasu myśli swych i uczuć włożyć w sztukę; bo, że się zwięzle wyrażę, czynami chwali Pana Boga; a znowu gmin prosty silnie trzyma się swojej starej tradycyi wielbienia Boga w otaczającej go naturze. Z tych dwóch przyczyn my Polacy, w dziejach sztuki chrześcijańskiej zajmujemy kartę dotąd nie zapisaną; co wszakże nie przeszkadza, abyśmy jęj zapisać nie mieli pomnikami tak wielkimi, jak który Minster Nadreński, jak malowidła Wan Eyków, Giottów i innych mistrzów, co zamknęli sztukę średnio-wiekową.

Dzisiaj, nie poświęceni dziedzice pomników wiary naszych przodków; nie będąc w stanie tworzyć podobnych dzieł, starajmy się przynajmniej mieć dla nich poszanowanie, nawiedzać je w tym samym duchu, w jakim były zbud-

wane, i jaki dotąd je napełnia! Chwytajmy głos wydzierający się z ich sklepień, kolumn, i z płytów kamiennych, wytartych kolanami modlitwy: jest to wielki głos minionych wieków, głos świątobliwych pokoleń, które wzniosły te świątynie w całym zapale wiary, pokładły się tam z nadzieją swój nieśmiertelności i zdają się jeszcze błędzić niewidzialne, i skłaniać nas do ugięcia kolan w obec tego samego Boga, który był niegdyś ich siłą, a dziś ich nagrodą, i przed którym my sami musimy zdać rachunek z naszego odstępstwa.

Jakże wybornie powiada pani Staël: wchodząc do kościoła gotyckiego, nie można nie uczuć wzruszenia, rodzącego błogość w głębi duszy, która, jakby oczyściwszy się w świętym miejscu, czuje się silną i czystą.

Nie masz duszy tak zepsutej, aby nie doświadczyła téj prawdy; zdarzało się, że taki, co się opierał najprostszym dowodem prawdy chrześcijańskiej, ulegał temu zbawiennemu wrażeniu, i wynosił z krótkiego wstąpienia w progi kościoła ziarno wiary, które w późniejszym cza-

sie naprowadziło go na drogę prawdziwego na-
 wrócenia się. Lecz aby poczuć to zbawienne
 drgnienie ducha, czyliż potrzeba świątyni gotyc-
 kich, ozdobionych całym przepychem sztuki śre-
 dnio-wiecznej? Potrzebaż tych szyb różno-kolo-
 rowych, tych tajemniczych kaplic, gubiących
 się jakby w gęstwinie kolumn? Nie sądzę— i
 w wiejskim modrzewiowym kościółku, zasypa-
 nym kwiatami, gdzie nawet organu nie ma, tyl-
 ko głosy chłopków śpiewając: „Święty Boże,
 Święty mocny!” i tam nawet, w duszę zwąt-
 piałą, w serce zatwardziałe zepsutemi naukami
 świata, wdiera się jakieś uczucie, które, choć-
 byś chciał stłumić, wyrzucić, zapomnieć, odezwie
 się bodaj raz w życiu, bodaj na śmiertelném
 łożu.



WIZYTA U ROMANTYKA.

18**

„**W**IELKĄ mam dla ciebie osobliwość!— *Rara avis in terris!*” zawołał mój przyjaciel, wchodząc do mnie w chwili, kiedym przez wszystkie parzyste alexandryny szczęśliwie się przebił do piątego aktu jakiejś zimnej a okrutnej francuzkiej trajedyi.

—Ach jakżem ciekawy tego rozwiązania, rzekłem ziewając mimowolnie i wskazując na książkę, którą trzymałem.

—Żart na bok; ale zbieraj się i chodź.

—Dokąd u Boga, kiedym w najlepsze zaczytany?

—Dowiesz się; tylko w kącie tych klasyków— i wytrącił mi z ręki piękną paryzką edycją o złoconych brzegach.

—Co robisz, profanie! wszak to Krebilion!...

—Ha! Ha! Ha! Krebilion nie Krebilion, Rasyn nie Rasyn, Feliński nie Feliński, wszystko wyśmienite do zawijania pieprzu, lub na ogień!...

Struchlałem na to bluźnierstwo, a podnosząc z flegmą trajedyą:

—Ty sam na ogień!... rzeknę w uniesieniu— ty sam na autodafe, gdyby była jaka inkwizycya na znieważających jeniusz.

—O klasyku! klasyku! rzeczę litując się nademną.

—Jestem nim i chełpię się z tego! odparłem z dumą uderzając się w piersi.

—Bądźcie sobie i do skończenia świata!... Gnij w trzech jednościach; czasu, miejsca i akcyi; język twój niech nie wypowie nigdy muięj ni więcej nad trzynaście zgłosek, zawsze z rymem po sobie idącym; a myśl twoja nigdy niech dalej nie sięgnie nad kodex Boala i Laharpa!...

—Przeklinasz mię jak Dido Eneasza?!

—Przeklinam... bo kiedy w chęci sprawiania ci przyjemności oderwałem się od największej rozkoszy, aby ją z tobą podzielić, ty....

—Cóż ja tu winien?! zawołałem zmiękczo-
ny— napadłeś moich klasyków, bronię ich i
kwita.

—Więc idź ze mną;— masz wóz i prze-
wóz— i rękę na kłamce położył.

—Idę, idę! ale gdzie? po co? do kogo?

—Gdzie? na drugi koniec miasta; po co?
abyś usłyszał, czego ucho twoje nie słyszało;
do kogo? do wielkiego człowieka.

—Cóż to za wielki człowiek? mów, czy nie
Wężyk, nie Kropiński, nie Humnicki czasem?!...
i trzęsem się jak w gorączce.

Uśmiechnął się wzgardliwie, a po chwili,
zbierając się na coś tak szczytnego, jak owe
w Horacyuszach umrzeć!

—Romantyk!!! odpowiedział patetycznie.

—Romantyk?!... tu mi w pamięci stanęła
klątwa, którą nie dawno nasz professor wy-
mowy rzucił ze szczytu swój katedry.— „Do-
prawdy Romantyk?” i poczułem w sobie jeśli
nie zapał artysty, to przynajmniej nie pohamo-
waną pokusę do zakazanego owocu.— „Ro-
mantyk! i jakże on wygląda?....”

—Zobaczysz, tylko się śpiesz.

—Ależ może wypadaloby ogarnąć się cokolwiek.

—Przeciwnie; największe zaniedbanie.

—Jednakże chustkę na szyję włożyć przyzwoitość każe.

—Romantyk powinien mieć kołnierz wywinęty, jak Bajron.

—Włosy poprawię szczoteczką.

—Ani się waż! włos rozczochrany nosił Hofmann.

—Zkądże u kata nabrałeś tych wiadomości?

—Za kilka minut sam sobie na to odpowiesz— rzekł tonem stanowczym; a ja poddawszy się memu mentorowi, zrobiłem co chciał— i wnet puściliśmy się na wyprzodki najszerszą i najdłuższą ulicą miasta.

—Otóż jesteśmy u celu! i wskazał na dworek w kształcie pałacyku.

Nikt ze służących nie zaszedł nam drogi— tylko sami weszliśmy do obszernej staroświeckiej izby— a że wieczór był jesienny, suty ogień palił się na kominku, i rzucał niestałe po-

łycki na portrety antenatów, które zdawały się ruszać w swoich pozłocistych ramach.

—Przedstawiam panu młodego naszego poetę— o którym wspominałem;— potem zwracając się ku mnie: a to jest pan P***.

—Witam was na moim kasztelu! siadajcie i używajcie prawa gościnności!

Mężczyzna, który tak nas powitał, liczył z górą lat czterdzieści, barczysty, podsędkowaty— rysy grube, znamienujące bardziej skłonności cielesne, niż duchowe, lecz ruchliwe i bystrém ożywione okiem; zgoła cała powierzchowność kazała odgadywać w nim spekulanta, zabiegłego dzierżawcę, lub wolarza, nie zaś romantyka rozmawiającego z duchami i upiorami.

Przez chwilę nie było żadnej rozmowy, aż on przysuwając swoje krzesło ku mnie, zagaba:

—Jakiejże szkoły trzymasz się młodzieńcze?

—Już miałem głupstwo odpowiedzieć: że gimnazyjalnej— kiedy mój przyjaciel, który w obcowaniu z panem P*** nabył romantycznego języka, upadł w słowo i rzekł: „To zabity klaszyk, mości dobrodzieju!”

—Jeśli ma talent, szkoda! wielka szkoda!

—Ma, i ogromny; „rzeknie mój przyjaciel” — na całą pół klasy pisze ćwiczenia; a jakie powinszowania robi!....

—Pan P*** uśmiechnął się — jam zrozumiał ten uśmiech, i odezwałem się zarumieniony:

—Nie świetny byłby zawód poety, gdyby na tém tylko poprzestał — ale napisać coś takiego, jak i Radamista, Zairę, Syllę, albo Barbarę; ach! nie żalby zaraz umierać!

—Lepiej żyć i nie pisać, tak moje dziecko!

—Przecież to są opoki, na których zbudowano świątynię, poezyi.

—Śmieję się z tego, co ci tam pedagog gada — te arcydzieła, to pale bite na błocie; nie długo stoją, a już podgniły, i owa świątynia z pruskiego muru nie bawem w gruzach się własnych zagrzebie.

—A Homer? Virgilius? Horacy?

—Są częstką ludów, które znikły z świata — to co ich rozgrzewało, nas nie grzeje. Co nam po tych bogach kamiennych, kiedy dokoła świat chrześcijański, rozlewa życie duchowe —

kiedy wieki średnie silniej wstrząsają uczucie swemi krucyatami, trubadurami, turniejami; kiedy z cieniów gotyckich minstrelów wysuwa się długa epos legend, czarownic, djabłów, pustelników— ów świat kuszących i kuszonych. A miłość nadzmysłowa, ten wielki talizman rycerskich czasów, tu mruga oczkiem kasztelanki z maurytańskiego balkonu, tam rzuca wieniec czarnemu zwycięzcy w turnieju, lub tajemnie na krążanku przepasuje szarfę odjeżdżającemu do Palestyny. Rycerze zaprzysięgają wierność paniom tajemnych myśli, i lecą szukać przygód na lądzie i morzu. Patrz! jaki ruch, jakie życie!— pół kuli ziemskiej sceną! a jaka różnorodność przygód! a jakie charaktery! gdzie masz coś równego w chudłej i ciasnej francuzkiej trajedyi, albo w tych eposejach na *ada* i *ida*?

—Za to uczucia delikatne, myśli szczytne....— wtrąciłem, usiłując jak drugi Samson podpierać walącą się świątynię.

—Uczucia?! czy nie w słodko-ckliwych elegiach Kropińskiego? przeczytaj jedną fantazyą do Laury— wzniosłe myśli?! czy nie w Cynnie, lub

w Jagiellonidzie? przeczytaj jedną scenę z Rozbójników.... I coraz rozpalając się, a rozkładając rękoma, to wznosząc, to zniżając głos do chrapliwego basu, prawił mi o ideale, o Wenerze Medycejskiej, o Madonach Rafaela— o walce namiętności z powinnościami, ideału z rzeczywistością— zgoła: metafizyka, estetyka— wszystko było na stole; a jam z otwartą gębą słuchał tego proroka, ciemny jak tabaka w rogu— to bowiem, co mówił, nie znachodziło w méj pamięci żadnego przystosowania, tylko jak wiatr zaczęło powoli wzdymać piaski méj namiętności, których chłodek klassyczny nie śmiał dotąd wzruszyć. Z pocziwemi klassykami tak się spokojnie żyło!— łechtając umysł łagodnie nie pędziły myśli w świat, nie zwracały w głąb piersi, tylko kazały jój skakać mierzonym krokiem menuetu z rymu do rymu. Słyszając go malującego dziwy téj nowéj krainy, doświadczałem, jak wszystkie komórki pojęć moich jedne po drugich wypróżniały się, a uczucia, które leżały tu i ówdzie w pamięci, poobwijane jak słowa koranu w gładki jedwab' pięknych wyra-

zeń, ulotniły się, a natomiast serce w pączku zasklepione otwarło się, chciwie smokąc rosę wspomnień z lat dziecięcych w pieszczoty rodziców, piosneczkę mamki, bajkę o szarym mroku.... Była to książka całe nowa dla mnie, na której dotąd nie umiałem czytać.

—A teraz dam ci coś uzdrawiającego zacząć; mówił mój mistrz propagator— i otworzył ogromną tekę, z której wyjmował zapisane wierszami ćwiartki.

—Patrz! oto plon tego lata: 40 ballad, 20 fantazyi, sto i coś sonetów— kilka poematów w duchu Bajrona; reszta przekłady z Szyllera i Getego.

Złożyłem ręce i ugiąłem kolana.

—Nie znasz Dzieciobójczyni Szyllera? Słuchaj!— to mój przekład, wolny, całkiem wolny.

I zaczął czytać, a choć język był równie przesadny i niezrozumiały, jak rzucanie się i gwałtowne jesta deklamatora, wszelako jam się zachwycił nowością; serce zadrgało do tego anioła w łabędziej sukience o czarnym rąbku, a żółć wzruszyła się na ową społeczność, tak okrutnie

mszczącą swoje własne grzechy na niewinnej dzieciobójczyni.— Och! jakież to zepsucie i niesprawiedliwość świata! westchnąłem w duchu.

Nie dość... Romantyk się rozczytał— chwycił zwitek po zwitku; to swoje, to cudze deklamował płody— było tam i Amalio, ty płaczesz?! były i zakłète księżniczki, i biesiady z duchami— i grobowe fantazy, a nadewszystko szła samobójczy: kochanka oddała rękę szczęśliwшему rywalowi.— Poeta chce zniszczyć to ciało strawione łzami— już porywa sztylet— przemawia doń— zabija się— jest upiorem.

Moje wzruszenie nie mogło się pohamować.

On upior! Pan P*** upior! cofnąłem się o trzy kroki— a widząc włos jego najeżony, roz-targaną kamizelkę i chustkę, oczy przewracające się w powiekach, uśmiech szatański, i policzki rozpalone— taka mię trwoga przejęła, że się przeżegnał i krzyknął: „Wszelki Duch niech chwali Pana Boga!”

—I ja go chwale!— odparł ze śmiechem pan P***, a uszczęśliwiony wrażeniem, jakie na mnie uczynił, zamknął tekę i postawił w kącie.

Nie długo pożegnaliśmy romantyka— a ja pod wpływem magicznych jego wierszy, trzęsąc się jak listek, przebiegłem z moim przyjacielem przestrzeń do mego mieszkania.

—Któż jest ten pan P***?— zapytałem wzruszonym głosem.

—Pan P*** jest to wasz sąsiad, majątny szlachcic.

—A jaki nieszczęśliwy! strata kochanki? wszystkich nadziei!....

—Przeciwnie— ma żonę, z którą bardzo dobrze żyje, gospodarstwo się wiedzie, dzieci chowają.....

—Musi cierpieć melancholią, niesmak życia?

—Owszem, najzabawniejszy człowiek w kompanii.

—Zkądże ta żywa rozpacz w jego utworach?

—Zwyczajnie romantyk— I ty jeśli chcesz romantycznie pisać, musisz sobie stworzyć nieszczęścia i cierpienia— a najprzód powinieneś się zakochać...

Przez całą noc, pamiętny na tę przestrożę, jam i oka nie zmrużył, a raczej miałem sen go-

rażkowy: widma pod wszystkimi postaciami średnich wieków siadały na mojem łóżku, rośły— malały— a mózg rozgrzany, jak w retoryce pracował nad wywołaniem ideału piękności, i na złość same tylko tworzył poczwary. Szczęściem dzień wschodzący położył koniec temu szamotaniu się ducha— zawłókłszy szlafrok na siebie, poszedłem jeszcze nie wytrzeźwiony ku oknu, a myśląc o ideale, ujrzałem naprzeciw, prawie oko w oko, twarz anioła— dziewicy, oprawną w ramki otwartej szyby.

—To mój ideał! zawołałem— „dla ciebie rymy moje, życie moje poświęcę!”

Wprawdzie nigdy nie miałem sposobności poznać bliżej panny Malwiny (takie jej znalazłem miano), ani z nią mówić— ale to nie przeszkadzało, bym do niej nie wzdychał, nie dręczył się— a nawet sto razy na dzień nie umierał.

Nie tu koniec reformy. Żyd antykwaryusz zagarnął cały szereg klasyków tak troskliwie zbieranych, a tron mojego biórka Szyller i Goethe zajęli.

Na godzinach profesora literatury klassycznej, ja, niegdyś najpilniejszy z uczniów, zasypiałem w najlepsze.

W postępowaniu mojem zaszła niestłuchana zmiana— studenckie zabawy, gry, figle nudziły mię, uciekałem w lasy— albo szedłem do zwalisk starego zamczyska;— co wieczór zaś przy świetle księżyca widziano mnie na cmentarzu dumającego nad grobami.— Z tej urojonęj czy prawdziwęj melancholii policzki moje niegdyś tak rumiane nabrały interessującej żółtości, oczy zapadły, ale za to gorączkowym ogniem płonęły. W rzeczy samęj świat, któregom jeszcze nie znał, stał mi się już nieznośny— społecność zimną i za ciasną— wyrzekałem przeciw złemu porządkowi, który ciężał na moich ramionach jak świat Atlasa— wszędzie uczucie moje trącało o głązy, duch o cielesność, idealizm o rzeczywistość— a w pośród tego chaosu, jedna miłość była tylko oazą, w której chroniła się moja młodociana wiara.....

Ten rodzaj dziwactwa, czy też oryginalności, niebawem znalazł zwolenników:— prze-

chadzki samotne przestały być samotnemi, zamieniając się w tłumne rozprawy o klassycyzmie i o romantyzmie, co się i w pismach publicznych odbiło. Umysły nasze dotąd skłonniejsze do chwytania strony zewnętrznej we wszystkim, zaczęły wierać w siebie, uznawać wyższość ducha nad glinę; w kochance widzieć zespólnienie się dwóch dusz jak dwóch harmonijnych dźwięków — gardzić zbytkiem i brudną rozkoszą — niekiedy wpadać w sentymentalną śmieszność, lub w czczość mistyczną, ale zawsze szalem zapału i natchnienia wywracać zimne rozumowania samolubów.

Teraz zapewne ciekawiście wiedzieć o tym panu P***, apostołe romantyzmu? — Spytacie: gdzież jego utwory? gdzie literacka sława? — Niestety! ogień pochłonał podobno te ogromne zbiory ballad fantazyi, sonetów. — Rzecz tak się miała: Pan P***, że był trochę za oszczędny, więc nie chcąc stawić na niepewne, i własnym kosztem drukować swe dzieła, traktował z księgarzem; księgarz wezwał rady młodego jakiegoś literata — i ten — o zgrozo! — wyrzekł, że

pan P*** nie zna gramatyki!— Reforma była cokolwiek za daleko posuniętą— ale to może nie z winy pana P***, gdyż wychowany na jednym z uniwersytetów niemieckich, z rzeczami ojczyntami mało był obeznany; co wszakże nie przeszkadza, bym go nie uczcił tytułem: Apostoła Romantyzmu.

Teraz jeszcze chcielibyście wiedzieć, czy ze mnie taki jak dawniej zagorzały romantyk?— Anibyście poznali.— Cały ów świat zamków, rycerzy, minstrelów, ideałów — rozbiła jedna piosneczka ukraińskiej baby — wyexercyzmowała jedna kartka stariej kroniki — wypłoszyła rzeczywistość poetyczniejsza, bo prawdziwsza, niż wszystkie ballady w almanachach zawarte.



KRÓLEWICZ ARRAKAŃSKI.

(Urywek z moich Wspomnień).

W 1816 czy 17 roku—tego dobrze nie pomnę, to pewna, iż byłem wówczas małym chłopcem z wywiniętym kołnierzem, długimi włosami, kiedy w sąsiedztwie państwa podczaszych, w których domu część lat dziecięcych spędziłem, zdarzył się osobliwy przypadek, mogący dostarczyć wyborniej treści do sentymentalno-moralnego romansu jakiej polskiej hrabinie, piszącej romanse po francuzku; a oraz wzięty z wyższego stanowiska śmiało stanąć obok awantur Dymitrów lub księcia Normandyi; zwłaszcza pod wymowném piórem jakiego grubego mecenasa, członka wielu towarzystw uczonych, co pod owę porę rój wodził rozumem w stolicy. Nieszczęściem

nasi wielcy uczeni ścigający Rzymian i Greków, rzeczy codzienne zostawiali gazetom; zresztą, oszańcowani sławą autorską, nabytą gdzieś *in partibus infidelium*, poumierali syci chwały, nie nienapisawszy.

Owoż w 1816 czy 17 roku—ostrzegam, że to ani romans, ani rozprawa, a mniej jeszcze dowcipna satyra w guście barona Brambeus — w świętą niedzielę, a czas był wilgotny i zimny, wybraliśmy się zwyczajem wiejskim z całą kawalkadą na mszę do fary. Lubo w ogóle staropolski dom podczaszych, pobożności przodków święcie przestrzegał, jednak ta filozoficzna uwaga; że Pan Bóg wszędzie a nawet i w domu, przeważała czasami, zwłaszcza, gdy dzień był słotny lub mroźny. U kobiet tylko argument ten niezawsze popłacał: „Już wieki niebyłyśmy w kościele; zły przykład dla ludzi;” a wreszcie, jak Kuba Bogu... Tak Bóg Kubie, kończył pan Podczaszy, i kazał zaprzęgać, bo wiedział, że to nie ucieczka do nieba, ale: w świat wycieczka, przewietrzenie się, po nowinki, po drobne komeraże, po formę na nowy czépeczek, wreszcie

po tysiączne na pozór drobiazgi, a w istocie ważne zasiłki do pogadanki na długie wieczory.

Wąsaty nasz stangret, potrzykroć wypaliwszy z bicza, zatrzymał czwórkę w ogromnej kałuży przed samym kościołem. Już moim zwyczajem wyciągałem z powozu ręce, czy jaki uprzejmy sąsiad nieporwie mię w swe objęcia i niezanieście na suche, co zwykle wykonywano względem dam i dzieci z całą wiejską galanterią, kiedy jak na złość, żywego ducha nie było przy furcie. Z tego wniesiśmy zaraz iż summa już się zaczęła.

Do najlepszego w naszej okolicy tonu należało nie wchodzić wielkimi drzwiami, kędy się prostoła tłoczy, lecz przez zakrystyę, przed wielki ołtarz do uprzywilejowanych ławek. Nad spodziewanie już zastaliśmy je zajęte przez grono różnych figur nie uprzywilejowanych. Tu nastąpiły jakieś ekskuzy, dygania, usuwania się, tak iż kobiety pomieściły się jako tako, mężczyźni stali, ja z nimi.

Płec piękna modliła się swoim zwyczajem: gorąco, z westchnieniem, zawracaniem ocz do

nieba, to jest pod sklepienie kościelne, i ze spuszczeniem ku ziemi to jest: na czepki, kapelusze, salopy, a niekiedy i na kawalerski wąsik jakiego gładysza... Bo któż tam wie, ile w każdym pacierzu palimy ofiar niebu, a ile ziemi?...

Ze wszystkich córek Adamowych jedna szczególniej zajmowała tam moją dziecięcę uwagę. Jój ogromny kapelusz niepewnego koloru, pod tym czepek, pod czépkim piętrzaste loki, a dopiero coś żółtkłego, zmiętego jak rękawiczka po balu, to twarz, a raczej jeden nos zaostrzony, groźny, niby przedmostowy szaniec. Pomędzy tym szanćcem a przylądkiem brody były jeszcze usta, podobne do dwóch skorupek skojki, które zdawały się machinalnie otwierać do szeptania nieskończonych pacierzy i nieskończonych komerazów. Jako gazeta urzędowa, pierwsza musiała wiedzieć co się gdzie stało na pięć mil do koła; w kościele nikt nieśmiał zasięść jój ławki; na odpusćcie, w procesyi prócz niej celebranta pod boki prowadzić; i nikt uprzedzić ją w całowaniu patyny. Ostatni ten zaszczyt dowodził wielkiego jój znaczenia u fary, nabytego sukienkami,

firankami, świeczkami i podobną ołtarzową toaletą. Niepuszczając jęj z oka, uważałem, jak pod koniec nabożeństwa coraz większa niespokojność malowała się w jęj ruchach. To otworzy, to zamknie swoje ogromne *in quarto*, to klęknie, to powstanie, to westchnie, to odkrząknie. Czy jęj się zdało (jakaż myśl świętokradzka), że ksiądz za długo mszę prawi? czy gdzie jakie zgorszenie postrzegła? czy wreszcie ów bez pięty, co tylu świętych nakusił, nie zakradł się czasami w pobożne fałdy jęj wypłowiejącej salopy? Są to zapytania na które nie łatwo mi było wówczas odpowiedzieć. Uzbroiłem się też w cierpliwość, i czekałem rozwiązania. Jakoż, ledwie ksiądz zagrzmiął swoje ostatnie: *Ite, missa est!*... dewotka, wysunąwszy się z ławki, i (o zgrozo!) nawet bez zwykłych pokłonów przed wielkim ołtarzem, potoczyła się kulą ku naszej stronie.

—Witam, witam, kochaną Podczaszynę!

—Witam kochaną pannę starościankę!...

Ach zapomniałem powiedzieć: dewotka nasza była zwierciadłem czystości panięńskiej.

—Kopę lat my się niewidzieli.

—A jednak starościumia zawsze ślicznie wygląda...

—Och gdzie tam! kłopoty, zgryzoty, skończenie świata!... Przecież, co tam u was słyszać nowego?...

—Zawsze jedno: stara bięda!

—Ale przy tój biędzie, czy doprawdy, niceście niestyszeli?

—Niewiemy o bożym świecie!

—Ach parafianki, parafianki! Tylko sekret, sekret moje panie! to rzecz niemależ wagi.

—Jeszczeż niewiemy o co chodzi, moją starościumiu!

—Cierpliwości, cierpliwości jeden, momenteczek.

Tu odskoczyła od ławki, jakby ją kto za drucik pociągnął, i jednym susem ubiegła stolnikową w pocałowaniu patyny; a wracając z tryumfem:

—A propos! na czémże skończyłam?...

—Jeszcześ starościumiu nic nie zaczęła.

—Prawda, ależ bo to sekret, rzecz polityczna, o tём nikt nie wie...

—Starościuniu, wprowadzasz nas tylko w ciekawość...

Kiedyż mi niedajecie dokończyć; przybliżcież się...

Tak mężczyźni jak kobiety, jedne przez ciekawość, drudzy radzi z pola do żartów, otoczyli ją kołem. Starościanka odsapnąwszy tak zaczęła:

—Trzeba państwu wiedzieć, że dziś przypada rocznica urodzin nieboszczki mojej babki, chorążyny bractławskiej (niniejsza data sięgała pierwszego Sasa); na tę intencję uprosiłam księdza Wikarego, aby miał śpiewaną wotywę. Pobudziwszy moich ludzi dobrze do świtu, kazałam czémprędzej do kolaski zakładać. Wyjeżdżamy: do koła ciemno i głucho; konie idą jak w pługu; mój Grześ drzémie, ja mówię różaniec... gdy w tém coś okropnie uderzy o naszą kolaskę. Grześ z przestrachu spadł z kozła; ja na odwagę zaczynam: Pod twoją obronę... a nabrawszy jój po chwili, zapytam: wszelki duch?...

—Ej ja nie duch, ozwie się coś jęczącym głosem, ale Wojtek, kuchta pani szambelano-wój, jadę do miasta... bodaj was licho! take-

ście tu stanęli, żem omackiem wjechał, i nos sobie rozbił. To wyprowadziło mię z błędu, a Grześka z pod kolaski. Niemając już wieki nic od szambelanowej, niezmiernie rada była temu spotkaniu. Gadu, gadu, wypytuję go o to i o owo; czy która panna za mąż nie idzie, czy mają gości?—O, i jakich gości!—Gadajże mi.—Ale filut, bądź poznał moją ciekawość, bądź chciał coś uskubnąć, milczał jak zaklęty. Niebyło ratunku, jak wściubić mu parę dydków i o dotrzymaniu sekretu zapewnić...

Słuchacze uśmiechliwie pójrzeli po sobie, lecz starościanka w zapale opowiadania, ciągnęła dalej:

—Po niejakiem wahaniu się, skrupułać, które musiałam wybić mu z głowy, szepnął mi nakoniec do ucha, iż u nich we dworze jest coś wielkiego, podobno król indyjski... Czy do ciebie co przystąpiło Wojtku? powiadam. Ale on jak zaczął się przysięgać, palce składać; że przed tygodniem, wystawcież sobie państwo, przed tygodniem, a ja dotąd nic niewiedziałam!—że przed tygodniem, podczas nocy, a była straszna zawie-rucha, jakiś podróżny, w chłopskiej sukmanie,

zaszedł do dworu, cały drżący od zimna, i zaczął mówić z samą panią. Szambelanowa myślała z razu, że to jaki officialista szukający służby i wyszła do niego; ale on niemówił naszym językiem tylko francuzkim, i przyznał się pod sekretem, że jest król indyjski, że byle napisał do Turka, to mu i wojsko przyszłe i skarbów co zechce...

Starościanka, skończywszy swoją legendę, rzekła z tryumfem:

—Decydujcież teraz państwo o całej téj sprawie, moja rzecz już skończona.

Nastało milczenie, bo nikt nieśmiał piérwszy wyrwać się ze zdaniem; aż dopiero jowijalny porucznik, podkręciwszy wąsik i z ukosa mierząc starościankę, rzeknie sylabizując po zgłosce:—widać, że Wojtek szpakami karmiony, i że ma talent do komponowania romansów.

—A najbardziej, że ma sposób na dydki panny starościanki, natrąci brzuchaty dzierzawca.

—Nieżartujcież sobie państwo, w tém wszystkim może być i cokolwiek prawdy, rzeknie

stolnikowa, widząc jak od gniewu pyrzyła się twarz dewotki.

—Cokolwiek? pozwolisz moja pani, ja się plotkami nie bawię. Wreszcie tu nie miejsce rozpoczynać sejmiki. Na cmentarz! na cmentarz! do proboszcza! wszędzie wam stanę. I już zabierała się wyganiać tych przekupniów z kościoła, kiedy szlachta, widząc że to nie przelówki, wyniosła się przez zakrystyę. Kobiety tręcały się i chichotały, mężczyźni bufonowali, a starościanka szła na czele jak prorok, mający cud okazać niewiernemu ludowi.

Kiedy tak się zbliżają ku mieszkaniu proboszcza, zachodzi im drogę chudy i długi Icek, zawołany kupiec na zboże; jednym się kłaniając głową drugim głową i czapką, trzecim głową, czapką, i jarmułką; a różnica, jak robił w swém przywitaniu, była najwierniejszym barometrem bilansowym szlachty okolicznej. Ależ bo ten Icek był dla niej wszystkiem: on wyprawiał piękne damy na karnawał, on kojarzył rozkochane pary, on dostarczał czém szumieć w kontrakty, on stroił, on woził, on mógł postawić na nogi,

on z torbami wyprawić. Icek, to druga opatrność; on wie ile masz, ile się spodziewasz mieć; on zawołany polityk, choć nieczytuje gazet: przepowiada wojnę, pokój, zawiera i łamie traktaty; i niewierzyże tu Ickowi?

—Otoż i nasz pan Icek! jeśli on nie wie, to nikt nie wie—zawoła brzuchaty dzierżawca posuwając ku niemu.

—Gadaj nam Icku, gadaj nam Iciusiu! powtórzyło chórem zgromadzenie.

Sama nawet starościanka, tak mało w tej mierze okazała miłości własnej; tak umiała ocenić wyższość swego rywala, iż, zatrzymawszy się wraz z drugimi, inkwizytorskim zagadnęła tonem:

—Mów, co widziałeś? daj świadectwo prawdzie!...

—Nu, co mówić? co świadczyć?

—Widziałeś jakiego króla u p. szambelanowej?

—Ja tam szabasowałam.

—A więc jest? a więc to nie bajka?

—Jest tam jakiś pan, młody, ładny... pani

się cieszy że to królewicz i panny się cieszą; ale mnie co z tego przyjdzie?...

—Słyszeliście? wygrałam!... wstydzcie się teraz niewierni Tomasz.

—Wierzymy, wierzymy tak, jak Icek wierzy;... jest ktoś, ale czy królewicz?

—A może to Bonaparte.... natrąci sędzieja; zdziwiony, że wpadł na to odkrycie.

—Djabęł nie śpi; jeżeli gdzie w Moskwie ukrywał się do tego czasu...

—Przecież gazety pisały...

—Gazety, gazety! przerwie sędzieja z politowaniem, za grosz w nich prawdy niema! to polityka: Francuzi, niechcąc się wydać że stracili Cesarza, może kogo przebrali, i ten udawał...

—Bądź co bądź, Bonaparte czy królewicz indyjski, czy jaki inny książę udzielny, przyznacie mi sąsiedzi, że szambelanowa nieźle na tém wyjść może.

—Ożeni go z którą córką.

—Poprawi sobie interesa.

Icek pokręcił głową, a przybliżając się do brzuchatego dzierzawcy: a mnie się widzi, że

prędzej poprawi interesa królewicza, bo już *a conto* jego królestwa wyliczyłem kilkaset dukatów.

—Ale hipoteka zawsze na majątku szambelanowej?

—Zapewne; alboż ja wiem gdzie jego królestwa szukać?

W podobnej treści wciąż się toczyła rozmowa, choć już całe towarzystwo nappełniło szczupłe izbetki księdza proboszcza, którego także wezwano do rady; ale zapał pogadanki wzmógł się najbardziej, gdy pleban wyciągnął z podstolika parę flasz węgryzna i smaczną przekąskę zastawił. Tu się dopiero rozbijały dowcipy, i wylały serca. Jakie plany! jakie zamiary! Jedni radzą ofiarować mu majątki, drudzy gotowi stanąć pod jego rozkazami i maszerować choćby do Indyów. Kobiety zazdroszczą pereł i szalów, jakie zapewne z Indyj nadpłyną; panny, że która szambelanówna zostanie sułtanką. Starościanka tylko niemoże sobie dać rady, i od jednego do drugiego biega, a pyta, czy szambelanowa duszy nie zgubi, że w dom przyjęła poganina. Proboszcz zapewnia, że go można będzie nawrócić.

Dewotka w części już na siebie tę missyę przyjmuje. Zgoła, wśród tego gwaru nasłuchać się było tysiącznych anegdot, conceptów; i jeśli to prawda, że wino rodzi dowcip, tedy tu było przeciwnie, dowcip rodził wino; bo szlachta tak zręcznie podbijała proboszczowi bębenka, iż tomik po tomiku ciągnął z owęj dobrze zaopatrzonej biblioteczki.

Pierwsze te doniesienia przez kronikę skandaliczną i statek parowy polski, to jest: przez dewotkę i żyda, czas stwierdził co do joty, z dodatkiem niektórych sprostowań i objaśnień. Koniec końców, nieznamy ów, co się tak roman-sowie pojawił w domu szambelanowej, był ni mniej, ni więcej, jak królewiczem Arrakańskim. Wybornie! ależ każdy zapytywał, co tego nowego Telemaka zagnało z nad rozkosznych brzegów Trawaddy, z pod złotych dachów Ummerapury, pomiędzy hreczkosiejną szlachtę, w głuchy zakąt Galicyi. Rzecz tak się miała: przynajmniej Jego Królewiczowska Mość utrzymywał (a wiemy, iż na wschodzie opozycyi nie lubią, więc zgoda), iż gdy potęga wielkiego Napoleona doszła

do złotych uszów króla Birmanów, czyli monarchy o złotych nogach (zapewne nie zbyt zadowolonego z sąsiedztwa John Bulla), tedy urządzono, aby na nauzkę do małego kaprała posłać jednego z synów królewskich. Wybor padł na naszego królewicza. Siada na okręt, przybywa do Paryża, zaciąga się do głównego sztabu, i maszeruje z wyprawą 1812 roku. Możemy sobie wyobrazić, jaką niespodziankę wyprawił Napoleon Indyauinowi, nieznającemu innego wiatru prócz miłego chłodu sprawianego wiewaniem wachlarzy, innego mrozu prócz w czarze szербetu; lubo ta, nie była mniejszą od owój, jakiej sam doznał ogrzewając się przy kominku palącej się Moskwy. Nauzka drogo kosztowała, ale cóż robić! potrzeba, mistrz wyśmienity: królewicz tak się wyćwiczył chodzić po śniegu, tak dobrze spijać kwas i gorzałkę, żebyś go wziął za rodowitego Sławianina. Niemało musiał się też nabłakać nim go przeznaczenia aż do nas przygnały. Szambelanowa szczerze zajęła się losem młodzieńca. Głoszono, iż we Lwowie pierwsze matedory uprzejmie go przyjęły. Wydawa-

no dla niego obiady, zabawy; magnaci nieszczędzili ofiar, a kobiety nazywały go bardzo zajmującym młodzieńcem. Pisano na drodze dyplomatycznej do Jass, do Stambułu. Niewiadomo, co tam odpowiesziano; to pewna, iż przysłano dwóch Arnautów i Ormianina tłumacza, dla pełnienia służby honorowej przy królewiczu, który, nad wszystkie wielkości (poczciwe jakieś dziecko!) przekładał wiejską zaciszę szambelanowej. Dziwne też podania krążyły w okolicy o skarbach, jakie mu z Indyj przychodzą: tyle a tyle sztab złota, tyle srebra; a co dyamentów, pereł, szalów, tegoby i na wołowej skórze niespisał. O hojności jego z większą jeszcze mówiono zawiścią. Szambelanowa miała sobie obiecane (nieszczęśliwy wyraz ilekroć mowa o podarunkach) ogromne kolce, naszyjnik z soliterów i parę brył złota; każda córka pereł, tyftyków bez liku; każdy z domowych za najmniejszą posługę, dość aby się schylił, a mógł garściami zbierać złoto, które królewicz rozrzucał— w nadziei.

Przybycie Arnautów i sekretarza pokonało najzagorzalszych niedowiarków. Przecież hospo-

dar Wołoski nie byłby przysłał orszaku; wreszcie, szambelanowa z mająteczkiem szlacheckim, i to jeszcze zaszarganym, niezaginałaby parolu; bez pewności, że skarbiec indyjski, a nie piękne oczy królewicza, to wszystko powrócą. Mimo jednak wniosków tak jasnych, było w naszej szlachcie coś takiego, że jakby na teatrze mogła razem i płakać i śmiać się, wierzyć i nie wierzyć. Najprościejsi, najmniej bywalcy w świecie jeździli wprawdzie oglądać to królewskie cudo, dziwić się Turkom, tytułom, herbom, całemu temu ustępowi z Tysiąca nocy, ale z oczu ich, które na wszystko szeroko się otwierały, zérkała jakaś myśl ukryta, instynktowa, niby strażnik miłości własnej, niby podziemna droga do odwrótu, w razie, gdyby przyszło, jak mówią: na dudka się wystrychnąć. Uczeńsi, światowsi, łatwiej tym blaskiem olśnęli; powieści Królewicza jak raz się zgadzały z ich wiadomościami o Indyach; wreszcie nabyto pewności, że przy sztabie Napoleona był jakiś królewicz arrakański, i że zginął; mógł nie zginąć, a więc to on sam, nie kto inny. Co do mnie, tak miałem nabita głowę

tém wszystkiém, iż niczego goręcej niepragnąłem, jak oglądać tego rzadkiego ptaka. Jeden z dowcipnych pisarzy francuskich utrzymywał, że: gdyby o sto mil zdarzyło się coś fantastycznego (w guście Hoffmana lub Jean Paula, niechybnieby tam poleciał; tak i ja, o sto mil byłbym szukał mego fantastycznego królewicza. Bo też dziwnie ustroiła go moja wyobraźnia! Widziałem go już na tronie, w szacie kąpiącej złotem, jak króla Salomona; już na miękkiej sofie w jedwabiach i muślinach, żującego betel, i w pół śpiącym okiem przypatrującego się płasającym bajaderom. Pan Podczaszy ciągle w drodze, podczaszyna w domowych kłopotach; wszystko to przeszkadzało, iż dotąd niemogli złożyć hołdu dostojnemu gościowi; dopiero traf szczęśliwy ziścił najgorętsze z moich życzeń ówczesnych.

W sąsiedztwo podczaszych zjeżdżał czasem do dóbr swoich pewien hrabia, bardzo majątny, wysoko położony u dworu, część życia przepędzający na dworze: Pojawienie się takiej figury, musiało elektryzować nowém życiem całe sąsiedztwo: wizyty po wizytach, obiady, wieczory

tańczące i nie tańczące, polowania i tym podobne rozrywki, dowodziły, że hrabia dość był popularny, a nawet ugrzecznony do unżenia, byleś mu dwóch rzeczy nieskapił: w mowie potocznej gęstego tytułu: *excellencia*, i cierpliwėj uwagi, kiedy ci prawił o swojém znaczeniu na dworze, o swoich przodkach i o wszystkich wielkich ludziach, z którymi żył w przyjaźni. Był też to w całym rozumieniu typ próżności i zarozumienia. Dla uzupełnienia téj charakterystyki dodaj ton, ułożenie i grymasy francuzkiego markiza, tępe pojęcie, zasady i sposób rozumowania niemieckiego hofrata; w potocznej zaś pogadance najwięcej jeśli ci przypominał którego z pokojowców Stanisława Augusta, a to, gdy z dokładnością kalendarza de Gotha wyliczał wszystkie koneksye i parantele znakomitych domów.

Z tego szkicu naszego magnata wnieść łatwo, jakie wrażenie sprawiła na nim pogłoska o zjawieniu się królewicza. Dewotka była pierwszą, co mu wprost zwiastowała tę nowinę, zajęchawszy mu drogę w jednej karczemce, gdzie przez dobre trzy godziny recytowała swój pa-

miętnik ze wszystkimi przypiskami, komentarzami, indeksami. Hrabia, mający niektóre względem jej płci uprzedzenia, niecałkiem wierzył gadaninie kobiety, i dopiero się upewnił, gdy jeden z wiarogodnych sąsiadów przyjechał i całą rzecz potwierdził.

—Dziwnych dowiaduję się nowin! nieustannie powtarzał hrabia. Na wyjeźdźnym widziałem się z ministrami, a ci mi nic o tém niewspomnieli; dziwne, dziwne rzeczy! ale domyślam się: chciano mi tę siurpryzę wyprawić, wiedząc że się do moich dóbr wybieram...

Królewicz arrakański, to nie bajka; królewicz tak blizki sąsiad; królewicz protegowany; królewicz, co ma dwór, co może tworzyć paziów, szambelanów, paszów, książąt, wezyrów!... Taki ogrom majestatu niemógł się pomieścić w głowie hrabiego; dostawał gorączki, marzył, gryzł się, niepokoił; a nuż go kto w łaskach ubiegnie, order, lub paszalik uchwyci?... Po kilku nocach bezsennych, po radzie nieustającej z najzaufanych dworzan i sąsiadów, stanęło na tém: iż wielka, ceremonialna wizyta została uchwaloną. Żeby

w niczém nieobrazić zwyczajów wschodnich, radzono się w tój mierze rozmaitych podróży. Lecz ileż to w naszym ubogim kraju niedostawało do wykonania tylu pięknych pomysłów! Zaraz na wstępie, excellentia uważający się w stopniu najwyższej klasy mandaryna, powinien był gwałtem jechać na słońiu, a przynajmniej na grzbiecie swoich niewolników. Nieszczęściem menażeryi nie było nigdzie blisko, niewolników... cóż potém! Hrabia niechciał kłaść zdrowej głowy pod ewanielię i niezgrabnym chamom powierzać delikatnych swych członków. Tarantowatęj i arcy spokojnej klaczce dostał się honor zastąpić szlachetnego zwierza, co nosił na swoim grzbiecie bogów Mahabaraty.

Nadszedł nareszcie ów dzień i hrabiego i mnie uszczęśliwiający. Podczaszyna z swoją koteryą, mająca towarzyszyć hrabiemu, poświęciła cały ranek wielkiej toalecie; wszystko było w ruchu, w oczekiwaniu. Nakoniec około jedenastęj, przybyły galopem przednie czaty orszaku ambasady, a za kilka chwil i sam ambasador. Trafem osobliwym, kobiety, które zawsze każą na siebie

czekać, ilekroć wyjeżdżają na bal lub z wizytą, tą razą były gotowe, co więcej: każda już trzymała swoje rękawiczki, chusteczki, woreczki; przedmioty, za którymi po wyjeździe z domu wracać lub posyłać zwykły. Zaszły powozy,— nastąpiło rozporządzenie orszaku. Liberya hrabiosa we frakach sarniego koloru, z galonami, w stosowanych kapeluszach, powsadzana na konie, tworzyła część najliczniejszą kawalkady, i rozdzielona na dwie połowy, z marszałkiem dworu na czele, otwierała i zamykała pochód. Koło powozów, stanowiących główny korpus, harcowali na swoich podjezdkach, niby *attachés de l'ambassade*, młodzi kawalerowie z sąsiedztwa. Rumak hrabiego szedł luzem, pod czerwonym tyftykiem; sam bowiem pan, niewielki amator sztuki Frankoniego, wsiadł do powozu z podczaszyną, gdzie i ja byłem.

Tu dopiero mogłem z całą spokojną uwagą przypatrzeć się galowemu strojowi hrabiego. Włosy z węgierska w tył podczesane, pokrywał lekki śnieg pudrowy, z otworu długiej kamizoli srożyły się karbowane żaboty. Taka była główka

i gardziołek naszego sokoła; piórka zaś jego skrzydełek wyobrażał szladsklajd zielonej barwy, szeroko złotym bramowany haftem; z tyłu klucz szambelański, z boku trójgraniasta szpada. Nóżki jego— hrabia długo tłumaczył podczaszynie nieobeznanej z etykietą dworu, dla czego nie wziął jedwabnych pończoch i trzewików z dużemi klamrami, ale bóćiki o sztylpach do króciutkich białych z fantaziami pluderek; i skończył na tém: „Królewicz niema jeszcze właściwego dworu, jest moim przypadkowym sąsiadem; a ja na swoich dobrach czyż nie jestem małym Królikiem? O, z panami trzeba umieć ton zachować! Dobrze mówił nieboszczyk Radziwiłł: Król sobie, Królem w Warszawie, a ja w Nieświeżu.

Zresztą, przez ciąg dwugodzinnéj podróży, hrabia przeciw swemu zwyczajowi, nie wiele co mówił; widać, że natłok myśli warzył się w jego głowie, bo wargi mimowolnie coś szeptały, zapewne gładko ułożony komplement, oczy uśmiechały się, zapewne do łaskawéj odpowiedzi. Ależ niekiedy i tajemna troska marszczyła

mu brwi i osiadała w fałdach czoła, a głowa, w tył rzucona, zdradzała obrażoną dumę.

— Jak sądzisz kochana podczaszyno, zagadnął hrabia w chwili takiego napadu, czy też królewicz potrafi mię przyjąć z całą przyzwoitością?

— Mości hrabio! o tém ani wątpić.

— Może nieznajomość etykiety?

— Wszakże przebywał, jak głoszą, na dworze cesarza francuzkiego.

— W saméj rzeczy; ale taki to i dwór, z nowokreowanych książąt i hrabiów! (litośna pogarda malowała się w twarzy hrabiego); atoli królewicz tyle musiał przynajmniej skorzystać, że się pozna na mojem dostojestwie, i że oceni....

— Choćby co chybił, szambelanowa uważnym go uczyni.

— Szambelanowa! co za myśl szczęśliwa! Pamiętaj podczaszyno, — tu ujął ją za rękę — pamiętaj z daleka napomknąć coś o moich zasługach, życzeniach....

— Królewicz we wszystkiém idzie za jój radą.

— Wybornie! gdyby tak mniej więcej jakiś

tytuł, order.... przyjmiesz mię kochana podczaszyno?

—Nic łatwiejszego jak ją na ten pomysł naprowadzić.

—Droga przyjaciółko! do śmierci!... Tu ścisnął serdecznie jej rękę, zatarł dłonie, uśmiechnął się, a wyrzawszy przez okno, kazał stanąć całemu orszakowi, albowiem byliśmy już na wjeździe do rezydencyjonalnego zamku królewicza.

Hrabiemu podano klaczkę i trójgraniasty kapelusz; świta otoczyła go kołem, dla odebrania ostatecznych rozkazów. Wypadło, aby powozy stanowiły awangardę. Niebawem też wjechaliśmy na dziedziniec wśród rzęsistych wystrzałów bicia. Na nasz widok rozległ się po całym zabudowaniu stokrotny odgłos: Goście jada! goście jada! i, jak stado kurcząt spłoszonych przez kanię, i tam i sam na złamanie karku pędzą lokaje, kuchciki i cały seraj garderoby.

Na ganek wywołana tym krzykiem, wybiegła sama pani i córki, poprawujące jeszcze swo-

je loki, swoje kręzy, i witające nas dygami, komplementami, ucałowaniami.

—A jego Excellencya? a jego Excellencya? pytano niecierpliwie.

—Przybywa całym dworem.

—Należy uprzedzić królewicza.

Tu gospodyni obróciła się szukając kogoś: Mości sekretarzu!— na jój wezwanie zbliżył się jakiś pękaty, oliwkowatěj cery, ogromnego nosa, i czarnych wełnistych włosów mężczyzna— Trzeba uprzedzić Jego Królewiczowską Mość, iż Jego Excellencya przybywa złożyć mu wizytę audiencjonalną. Służę państwu! służę państwu!

Weszliśmy tedy do salonu; wzrok mój ciekawie szukał owych niskich sof z miękkimi wezgłowiami, owych perskich dywanów; nic tego nie było. Gniewała mię, lubo sam nie wiedziałem dla czego, ta nie harmonia miejsca z osobą; Królewicz, pomyślałem, odzwyczaił się gdzieś od obyczajów wschodu, kiedy z wyciągniętymi nogami może siedzieć na naszych krzeselkach. Bywajcie zdrowe sny moje! nic ja tu podobno lepszego nie zobaczę nad to, co widzę co dnia.

Lecz w tój chwili otwały się podwoje: dwóch sążnistych Arnautów weszło i stanęło przy drzwiach. Kaftany ich z złotogłowu; zawoje, pasy, a za temi kindzały i pistolety nabijane srebrem, do tego gęste brody, twarze ogorzałe, i wzrok jak ostrze kindżałów, sprawiły na mnie wrażenie podziwu zmieszanego z przestraczem.

Ach! pomyślałem, obchodząc ich do koła i mierząc od stóp do głów, więc się już zaczyna moja powieść wschodnia; jeśli tacy pachotcy, jakiz pan być musi?!

Milczenie zachowywane w całym gronie, dowodziło, z jakim natężeniem ciekawości oczekiwano człowieka będącego przedmiotem tylu rozmów, uwag, wniosków, nadziei, i widoków w całej okolicy; widać, że królewicz rachujący nie mało na efekt, chciał widzów wytrzymać, albo przynajmniej dopiero z przybyciem hrabiego się pojawić. Szczęściem na dziedzińcu usłyszeliśmy tętent galopującej jazdy. „Excellencya! Excellencya przybywa!” Niebawem weszła szambelanowa, prowadząc się pod boki z naszym magnatem, stąpającym z uroczystą powa-

gą; a za nim z trzaskiem praskiem, z brzękiem ostróg, skomleniem chartów i suwaniem ukłónów, członkowie ambasady i świta wtłoczyli się do pokoju. W okamgnieniu wszystko się ugrupowało, jakby mistrz ceremonii szykował; znowu nastąpiła cisza, i tylko w głębszym tłumie, między tak zwanym szarym końcem, biegła szeptańca: A gdzie królewicz? pokażcie mi go? jakże wygląda? czy to ten z brodą i wąsami co przy drzwiach stoi?— Nie wątpię, iż tam półowa była takich, którzy to poczytywali za farsę, za szarlatanię; a jednak nikt żartować nie śmiał ze swego pociesznego położenia; bo jeśli wiara jednych nie udzieliła się drugim, tedy ciekawość równie była rozdzieloną. Tytułem moim, dziecka, któremu wszystko wolno, wcisnąłem głowę pomiędzy hrabiego i podczaszynę, i z biciem serca czekałem, kiedy mi się okaże w głębi ów tron złoty, owe perły i diamenty, bez których nie pojmowałem króla. Alć razem zadzwoni klamka; Arnauci się wyprostowali, i wszedł sekretarz, oznajmując Jego Królewiczowską Mość Królewicza arrakańskiego, i

tuż za nim pokazał się słuszny, cieńki, z czarnemi oczmi, kwitnącemi jagodami, dwudziestokilkoletni mężczyzna; ubiór jego konwencyonalny, czarny. Gdzież ta pompa, gdzie te szaty, w których wyobrażałem sobie potężnego syna wschodu?! Było to pierwsze z moich straconych urojeń o wielkich ludziach; mniej jednak bolesne, jak tyle innych, gdzie uczucia nie suknia zawiodły. Zbity z terminu, obojętniej patrzałem na dalsze sceny. Dziecię, od zmysłów tylko żądałem pokarmu, kiedy dla badacza najrozmaitszych odcieni charakterów, okwity plon tam dostarczała owa szlachta między młotem a kowadłem; ów królewicz— zagadka, owa szambelanowa trzymająca jój węzeł.

Arrakańczyk, po dość niezgrabnym na Europejczyka, niezłym na Indyanina ukłonie, nie dbale rzucił się na kanapę, dając znak obecnym, aby toż samo uczynili, a hrabiemu wskazał miejsce obok siebie, które też zajął, ale tak nieśmiało skorzystał z tego pozwolenia, iż tylko jednym boczkiem przyczepił się kanapy,

nogi i szpadkę wziął pod siebie, a twarz i za-
boby z wielką atencją naprzód wychylił.

—Wasza Królewiczowska Mość, zacnie
hrabia zginając się we dwoje, przyjmiesz hołd
powitania w imieniu mojem, i obywatelstwa....

Królewicz się uśmiechnął i podziękował.

—Wasza K. M. zechcesz rozrządzać nami
jak mu się podoba. Nasze majątki, nasze oso-
by, są na jego zawołanie....

Królewicz ścisnął rękę hrabiemu z wyrazem
wdzięczności; a między szlachtą szmér powstał:

—Upadam do nóg, na to się nie piszę! bą-
knął brzuchaty szlachcic do obok stojącego.

—I ja nie! powtórzyło kilku; niby chór
w greckiej trajedyi.

—Na przyszły miesiąc, ciągnął dalej hra-
bia, jadę do stolicy, gdzie mi W. K. M. po-
zwól być tłumaczem życzeń swoich....

—Otóż to najrozumniej; powtórzył chór szla-
chty; a królewicz z rozczeniem dodał:

—Mości hrabio! jakżem mu obowiązany....

—Będzie to dla mnie zaszczyt nad zaszczyty!...

—Excellencya podziękujesz za gościnność, której doznaję....

—Dopełnię tego zlecenia w miarę sił moich, rzekł hrabia przykładając rękę do serca i rosnąc jak na drożdżach;— z tém wszystkiém przyjęcie, jakiego W. K. M. doznajesz, byłoby bez porównania świetniejsze, gdyby w wyższych sferach dawniej o tém wiedziano....

—Rozumiem, pochwycił Królewicz, stało się zadość życzeniu mojemu, dotąd zachowywałem ściśle incognito; ale świeżo nadeszły listy od Porty, urzędownie potwierdzające moje dostojęństwo, moje tytuły, pieczęcie, pozwalają mi otwarcie wystąpić....

—Wasza K. M. upoważnij mię, a dzień i noc pędzę w poselskim charakterze.— Listy od wysokiej Porty! tytuły! pieczęcie! Hrabiemu ślinka szła na tyle wielkości.

—Ach i jakie tytuły! wtrąciła szambelanova; trzebaby się kilka dni uczyć, żeby to wszystko spamiętać.

—Im dłuższy, tym piękniejszy, dodał hrabia tonem znawcy.

—Pozwoli Królewicz pokazać?... zapytała szambelanowa.

Na znak przyzwalający, sekretarz wniósł chińską szkatułkę i wyjął zwitek pergaminu, i dwie srebrne pieczęcie.

Ciekawie oglądano biegający z rąk do rąk pergamin, ciekawiej przypatrywano się bożkom, słoniom i gryfom herbownym, a najciekawiej samemu Królewiczowi, którego te urzędowe pieczęcie, niby niesfałszowany dokument przed trybunałem, podniosły o trzy nieba w oczach szlachty;— cóż dopióro, gdy jedna z szambelanówien (to wszystko już należało do dworu arrakańskiego) odczytała w polskim przekładzie ogromną litanję tytułów następcy tronu! Gdyby nie bieg lat kilkunastu, który zatart w mojej pamięci nie jedną scenę z téj komedyi, byłbym tu przytoczył dosłownie cały rodowód i wszystkie koligacye naszego Indyanina z Ziemią, Słońcem, Księżycem, Gwiazdami, Słońmi, Bogami i Krokodylami.

Gdy się to dzieje, szambelanowa z podczaszyną siedzące u okna, nie tyle dyplomatykę, ile pełną zwierzeń tajemnych zajmowały się rozmową. Nie opuszczając podczaszyny mogłem snadno przysłuchać się treści.

—Wszystko to piękne, wspaniałe, obudzające pewną dumę, a pełno nadziei— mówiła szambelanowa, ciągnąc dawniej zaczęta materję— ale na mnie, Bóg widzi, za ciężko....

—Więc to bajka, jakoby Porta protegowała Królewicza? zagadnęła podczaszyna z niejakim zdziwieniem.

—I owszem; ten oto sekretarz, ci Arnauci, te herby, wszystko jój dary; ale do tych okazałości i piastrów potrzeba, a tu obietnicami karmią.

—Kto wie, Porta niedowierzając, może tylko szpiegów przysłała,.... jeśli to czasem nie jaka kabała, coś podejrzanego?

—Ach nieprzypuszczaj tego podczaszyno! w jego prawość, w jego nieszczęście, wierzę jak w świętą tajemnicę.

—W nieszczęście pozwalam, ale w prawość?....

—Spójrz tylko na to otwarte czoło, na ten uśmiech niewinny i szczerzy, i na to mówne spójrzenie....

—Czoło! uśmiech! spójrzenie! właśnie mi się nie wydaje droga przyjaciółko; przeciwnie, wzrok jego niespokojny ustawnie przerzuca się, nie mogąc znieść, gdy kto w nim czytać pragnie; a uśmiech! uważałam, że na wszystkie komplementa hrabiego, taki mu się przy ustach wyraz kręcił, jakby szydził z łatwowierności naszej.

—Na Boga podczaszyno, zabijasz mię! przecież ja matka dzieciom, znam świat, znam ludzi.... Patrz! to jeszcze dziecina, umysł nie skażony światem, a już wyhartowany w szkole doświadczenia; serce tak proste, tak tkliwe, że jak róża za lada dmuchnięciem wszystkie ci listki otworzy. Przywiązał się do nas; dla tej zaciszy gotów pogardzić królestwem.... Lecz ja utrzymuję w nim ducha, uczę go pokonywać przeszkody, ja go kiedyś do państw straconych

przywróć. W tej pewności wszystkie moje nadzieje, moja duma, mego domu przyszłość.

Podczaszyna z niejakim podziwem patrzyła na tę nową Marynę.

—Ale raz jeszcze ci powtarzam, że sama jedna nie podołam wszystkiemu.

—Z Indyów żadnejże niespodziewacie się pomocy?

—Ztamtąd najpewniejsza rzekła szambelanowa tonem głębokiego przekonania; ale nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje! a tu setki za setkami lecą, procenta rosna, wierzyciele szarpia; i teraz nowy wydatek: Królewicz kazał orderzy robić, którymi myśli ozdabiać....

—Orderzy?!

—Co więcej, będzie mianował dywan.

—Dywan?!

—To mój pomysł, nie prawdaż dyplomatyczny? tylko.... i nakazała tajemnicę.

—Narażasz się na coraz większe wydatki moja szambelanowo.

—Przeciwnie, ja w tém upatruję moje Peru.... Dygnitarze przez własny interes....

—Rozumiem.... z hrabiego także kandydat gotowy.

—Co słyszę! więcby przyjął jaką godność?...

—Pragnie jój jak zbawienia; i teraz, patrz! daje mi znak umówiony, aby przez ciebie te propozycję zrobić....

—Będzie ją miał.... wyborny projekt!— pół ołówka Królewiczowi, i rzecz skończona.

—Niech go koniecznie czym zrobi.... bo tego gorąco pragnie; czym zechce: baszą, wezyrem, księciem, emirem....

Hrabia porwany wirem rozmowy, której przedmiotem były Indye, a pojedynczemi ustępami: bogi, bramini, świątynie dwór, i etykieta, na końcu skarby, i jeszcze skarby, nie postrzegł się jak czas chyżo wskoczył, i dopiero instynktowém posunięciem ręki po kieszonce, trafił na zegarek, spójrzał i z niesłychaném zmartwieniem przekonał się, że o wiele dłużej przeciągnął wizytę nad prawa etykieta przepisane.

—Mości Panowie! rzekł zrywając się z kanapy, za długo bawimy....

—Jak to, czy myśli jechać? szemrano w chórze.

—Bez obiadu?!

—Niech tam kat weźmie tę etykietę!

W tej chwili właśnie gospodyni wysunęła się z zaproszeniem na obiad; nie wiem dla formy, czy też na prawdę.

—Ach Mościa Dobrodziejko! nie można, nie można; na później ten zaszczyt. Wymawiał się hrabia w niewzruszoności swych zasad; on, co jak sztyldwach na warcie, niczego by się nie dotknął przy pierwszej wizycie, zwłaszcza u kogo? u Królewicza!

—Piękna mi wizyta o głodzie! bąknął chór.

—Oho! drugi raz mię nie wywabią i piernikiem....

—I mię toż samo....

—A teraz hrabia głos podniósł zginając się jak obręcz: Wasza K. Mość przyjmij czołobitność swego sługi, któremu ta chwila wiecznie zostanie pamiętną.

—I my ją popamiętamy.... powtórzył chór.

Królewicz, po krótkim *a parte* z szambelanową, powstał i z całą powagą podając rękę hrabiemu:

—Najgoręcej pragnę, aby nas bliższa znajomość złączyła; wkrótce nie omieszkam was odwiedzić, *mon prince!*

Na ten ostatni wyraz, hrabia, jakby wstępował w siódme niebo, olśnął nową boskością, radość odjęła mu mowę, i tylko w setnych pokłonach, ciągle ku drzwiom się cofając, sam nie wiedząc jak i kiedy znalazł się na swój tarantowatęj klaczce.

—*Mon prince! Mon prince!* Słyszeliście panowie! wołał po chwili opamiętania się. Królewicz nazwał mię *mon prince!* Nasza wygrana! victoria! teraz i wyżej pójde jeszcze; bo tytuły jak bogowie w dytyrambie Szyllera nigdy samotnie nie schodzą z nieba.

Nareszcie po skończonej paradzie, przesiadając się do powozu, rzeknie do podczaszyny cały w upromienieniu nowego zaszczytu:

—Przeczuwało serce moje; Królewicz, to najdoskonalszy wzór etykiety, Królewicz to brylant; a pani, całując ją w rękę: koroną pći swojej.

I na tém koniec!....

Powiecie: to się nie godzi wzbudzić ciekawość (jeszcze pytanie?) i niemódz jój zaspokoić.

Darmo! w tym punkcie wszystkie pasma tój historyi na raz się zrywają, przez nagły wyjazd mój z domu podczaszych.

Szkoda! wielka szkoda! tyle pociesznych figur! Ten hrabia przyszedłże do dwóch tytułów księcia? Szambelanowa doczekałaż się skarbów? A wreszcie, co najgłówniejsza, jaki koniec tego osobliwego Królewicza?

Luboćto wzięte u niektórych autorów, żeby czytelnik sam sobie koniec dorobił, wszelako miałbym na sumieniu, gdybym się z wszystkiego, co wiem, nie wypowiedział, chociaż za autentyczność i zgodność niektórych wypadków ręczyć nie mogę. I tak: w wiele lat później obito się o moje uszy, jakoby ów Królewicz był tylko kamerdynerem prawdziwego Królewicza; giermek zdał zbroję z zabitego rycerza....

To powszechne i stare jak romanse średnich wieków! Dalój, że go zła gwiazda, Króla, tak-

że przybywającego ze wschodu zawiodła w końcu— do kozy— gdzie go schowano, jako oszusta.— Co się z nim dalej stało— nie umiem powiedzieć, ale zapewne kiedyś wykryje się ta komiczna zagadka, i nowa figura przybędzie do długiego szeregu Samozwańców, którzy romanowo-awanturniczą odegrywali rolę w dziejach świata.



P O W I E R N I K.

23**

NA świecie podobnie jak na teatrze rola powiernika niedość, że nie przynosi chwały, ale nadto pociąga za sobą mnóstwo nieprzyjemności. Owe podrzędne figury klasycznej trajedii: Attalowie, Arbaty, Kleony, Ismeny, Praxedy, Izabelle zawsze rozbudzały we mnie najżywsze politowanie. Zdaje się, że autor na to je tylko wywołał, aby się lepiej wydawały wielkie osoby w pierwszym stojące rzędzie. One to muszą znosić opowiadania bez końca, piorunujące tirady i milczeć jak zakłète, wyrażając jedynie rękami rozmaite wzruszenia jakich doznają. Królowa lub księżna mdleje w ich objęciu; bohater płacząc, na nich się opiera; zgoła ich kosztem otrzymuje się wszelki efekt dramatyczny,

bądź czy to heroiczny kułak spadnie na nich w zapale deklamacyjnym czy namiętym: jak zazdrość, gniew lub rozpacz.

Powiernik zawsze jednakowo się ubiera, i nie wykracza za obręb przyjętej roli, będąc wiecznie skazanym na głucho milczenie lub czcze wykrzykniki: ach! niestety! o nieba!

Choć wieńce i oklaski tuż koło niego się o-cierają, jednak imie jego nie bywa ani w pochwałach ani krytykach nigdy wspomniane. Przy rozwiązaniu dramatu, gdy bohaterowie sztuki giną, nikt nawet nie raczy go przebić; musi też haniebnie stać, jak kołek, obok padających trupów.

Fikcja dramatyczna może nam dać niejaki wyobrażenie o tém, co się nie raz w rzeczywistości przytrafi życiu. Na widowni świata podobnie, jak na teatrze nie wszystkim aktorom wolno pierwsze zajmować role, choćby w najprostszych w najcodzienniejszych intrygach. Natura i przypadek stawia nas w pierwszym lub drugim rzędzie. Trafia się, iż wielu ludzi mimowolnie świetne dostają stanowisko; gdy dru-

dzy częstokroć bywają zmuszeni odegrywać lichą rolę, którejby radzi się pozbyć, a nie mogą.

Gustaw A. jeżeli go znacie, ma rozsądek bardzo zdrowy, ambicję, ile jój młody człowiek mieć tylko może, a jednak nie tysiącokroć znajdował się w położeniu podrzędném i niemiłym. Ileż to razy bywał on ofiarą zaufania, jakie mimowolnie rozbudzał do siebie? w iluż to przypadkach powierzano mu tajemnicę, która, go nie obchodząc wcale, nieskończonych nabawiała kłopotów? Przeznaczenie wydzieliło mu rolę powiernika z wszystkimi przywiązaniem do niej nieprzyjemnościami. W obecnym składzie społeczeńskim nieszczęśliwi bywamy częściej przez dobre przymioty, niż wady; albowiem każdy nadużywa dobrej naszej strony, a zły, nierad zaczepia. Gustaw za pierwszym ukazaniem się w stolicy, pociągał ku sobie przyjemnym sposobem tłumaczenia się, wielką skromnością, ugrzecznieniem uprzedzającym i nieposzlakowaną dyskrecją. Z takim usposobieniem trudno jest mieć wielu i bardzo wielu przyjaciół. Jeden z jego wiejskich sąsiadów młody jak on,

a zażyły od dzieciństwa, Wacław starościc, rzekł mu dnia pewnego: Gustawie! nie mam przyjaciela nad ciebie i nie znam nikogo, coby cię w uczciwości przewyższył; usłyszysz odemnie tajemnicę wielkiej wagi, do niej bowiem przywiązane jest szczęście mojego życia. Gustaw nieobeznany jeszcze z niebezpieczeństwem podobnych zwierzeń, otworzył łono swoje wylewającej się przyjaźni. Tajemnica Wacława w krótkich zawierała się wyrazach: kocham Hrabinę Z.. i jestem wzajem kochany. Nie trzeba ci mówić, dodał zwierzający się przyjaciel, jak świętą, nienaruszoną powinna być podobna tajemnica i jakie obowiązki wkłada na ciebie. Szczęście moje otaczają wieloliczne niebezpieczeństwa. Ty będziesz mi towarzyszem i wiernym sprzymierzeńcem, ty mi podasz rękę w trudnych przypadkach, ty nakoniec wesprzesz mnie radą, czujnością, a jeśli będzie trzeba, nawet i męstwem. Od téj chwili Gustaw mianowany powiernikiem, wypełniał z całą ścisłością i sumieniem obowiązki swojego stanu. Co rano wysłuchiwał długą litanję o wdziękach ukocha-

nego przedmiotu; w imieniu kochanka pisywał sonety i ballady, w których hrabina gustowała niezmiernie, albo też nosił do niej liściki, które bardzo skrycie, a t \acute{e} m sam \acute{e} m z nielada niebezpieczenstwem musiały by \acute{c} wręzione. Słowem Gustaw to robił, czegobys \acute{z} za żadne nie dostał pieniądze, zwł \acute{a} szcza, gdy gra szła o honor kobiety.

Ale nie tu koniec jego poświęceń się. Na wszystkich schadzkach potrójną pełnił służbę: czat przednich, straży przybocznej i szyldwachy; a w salonowym gronie musiał zabawiać pana małżonka na boku. Żeby zaś umieć zabawić a nie znudzić, nauczono go rozprawiać o polityce, grać w wista i w szachy, a grając, gdy tego niekiedy wymagała konieczność, przegrywać z swojej kieszeni, i to jak najdłużej.

Z kolei rzeczy wypadło, iż dla odwrócenia podejrzeń hrabiego, Gustaw był zmuszonym otwarcie zalecać się do hrabiny Z... Gra to hazardowniejsza niż wist i szachy; nic też dziwnego, że poczciwy powiernik na prawdę po-

czuł żar miłości, choć go nieproszono, jak o pozorne płomyki.

Tym sposobem wszystkie jego godziny i władze umysłowe zaprzętał ciężki urząd strażnika tajemnic, nie przynoszący nic w zysku, prócz trudów, nudów i śmieszności, jaką się okrywał, bo świat nawykły z powierzchowności sądzić, nie umiał serca ocenić.

Pewnego dnia Wacław i hrabina— znikają na raz. Któż, jeśli nie Gustaw urządzał przygotowania do téj ucieczki, któż, jeśli nie on, sprawiał powóz, wyrabiał paszporty do Włoch, wyprowadzał, błogosławił i zegnał. Mąż dotknięty gorącym wypadkiem poszukuje, śledzi— i w końcu na trop wpada, że to pan powiernik całą tę kabałę prowadził. Nie mogąc na wydziercy wyrzucić swój sprawiedliwej zemsty, który gdzieś pocztą pędził od stacji do stacji, jak w dym, uderza w Gustawa, żądając, aby mu zdał sprawę z tak nikczemnego postępku. Trudno. Konfident musiał do końca odegrać rolę i wypić piwo, którego niestety nie nawarzył. Przyszło do pojedynku; strzał jego był nieszczę-

śliwy, ale obrażonego małżonka pomściła kula tak, iż biedny Gustaw całe trzy miesiące odleżał w łóżku.

Ten sam Gustaw miał stryjaszka, byłego pułkownika, po którym zawsze, czy prędzej, czy później spodziewał się spadku, a któremu nie lubił nadskakiwać przez delikatne uczucie, aby go o interesowność nie pomówiono. Po tym nieszczęśliwym pojedynku, skazany przez doktorów na pilnowanie łóżka, codziennie i o jednej godzinie odbierał odwiedziny starca zacnego, który, mu wiele przywiązania w przeciagu choroby okazał. Częstokroć miewali z sobą długą pogadankę. Pułkownik bywalec w świecie, opowiadał mu przygody swęj młodości. Od słówka do słówka, porwanemu wirem przypominień, wymknęło się mimowolnie następujące zwierzenie: W roku 179... w czasie kampanii włoskiej, dostałem był pozwolenie zamieszkania w Rzymie, dokąd przybyłem z moją żoną. Na tę wzmiankę Gustaw się zdziwił, a pułkownik nie zdołał ukryć pomieszania; cofnąć też słowo jakim zręcznym wykrętem, nie zgadzało się z je-

go otwartym żołnierskim charakterem; to też po chwili milczenia i walki tak zaczął: niestety miałem ją. Wszystko ci opowiem Gustawie, ale pamiętaj nie zdradzić tajemnicy, którą przez lat tyle i tak głęboko chowałem. W dwudziestu pięciu latach można nie jednego baka wystrzelić; można stać się igraszką zaślepienia lub nieporządných chuci; oto cała moja historia. Uplątany w nieszczęśliwą i niepokonaną miłość, pojąłem był dziewczynę bardzo niskiego rodu, a co gorsza, z domu, z kąd tylko hańba wychodzi. Związek ten odbył się bez wiedzy moich kolegów wojskowych i ojca, który zapewne byłby mnie przeklął. Dziś po czterdziestu leciach milczenia i żalu, rumienię się na to wspomnienie, ale nie na tém koniec. Połączenie takie musiało gorzkie wydać owoce. Niegodna ta istota, którą z pogardą szlachetnego przesądu obmyłem z hańby i upodlenia, podnosząc ją aż do siebie, porzuciła mnie w pół roku, uchodząc z jakimś oficerem francuzkim. W parę lat po tém zdarzeniu wróciłem do ojczyzny.— A onaż? cóż się z nią stało?— Zagadł Gustaw. Umarła

w Paryżu lat kilkanaście temu. Gustawie! ty jesteś pierwszym i jedynym tój hańbiącej mnie tajemnicy powiernikiem. Polegam na twojej uczciwości, lecz jeśli byś zdradzić miał zaufanie, pamiętaj—oczy moje cię nie ujrzą, a przyjaźń w nieprzebraną nienawiść się zmieni.

Gustaw zaprzysiągł uroczyście dochować, co mu stryj powierzył. Lecz niebawem, po zupełnym odzyskaniu zdrowia, zebrał gorzki owoc z owych nieproszonych tajemnic, których go wiecznie robiono Argusem.

Pewnego poranku przynoszą mu na dzień dobry bilet od półkownika w tych wyrazach: Jesteś bez czci i wiary. Wczoraj w pewnym towarzystwie usłyszałem przycinek do mego małżeństwa. Ty jeden tylko mogłeś mnie zdradzić. Nie chcę ani wiedzieć, ani słyszeć o tobie. Przeklinam cię i wydiedziczam.—Gustaw przekonany, że tajemnicy nie zdradził poddał się z rezygnacją.

Dla poprawienia ciosu majątkowego, jaki go spotkał przez gniew pana stryja, rzucił się do

gospodarstwa, do spekulacji i niezmordowaną usilnością, stanął jak mówią: na nogach.

Widząc się panem pięknej fortuny, pojął osobę piękną, młodą i bogatą. Z tej strony nie brakowało mu do szczęścia. Tego karnawału znajdując się na balu u Wojewodziny... Gustaw wstawał od zielonego stolika, przy którym puścił był kilkanaście dukatów w diabełka, gdy w tém jakiś młodzik, któremu dopiero wąsik się puszczał, a którego nie znał bynajmniej, zbliżył się doń, a podawszy rękę pociągnął ku oknu:— Mości dobrodzieju! mówił elegancik głosem stłumionym, pan mimowolnie może odkryłeś moją tajemnicę; przypadek zrobił cię powiernikiem, ale tyle rachuję na jego poczciwość, iż...— Jakaż to może być tajemnica, chciał mnie pan oświecić?— pytał zaambarasowany powiernik. Założę się, żeś wszystko widział! Przecież w tym momencie, gdy ta dama, co ma blond włosy, a suknię różową, przechodziła koło nas, pokazałem jój kończyk tego liściku, który chciałbym jój wręczyć.— Dama co ma blond włosy, a suknię różową, co teraz siadła przy

fortepianie?— Ta sama. Muszę się przyznać panu, iż ją spotykałem dwa czy trzy razy, to w sklepie, to na spacerze, tańczyłem nawet z nią dwa mazury, i z wszystkiego sobie tuszę, iż miałem szczęście podobać się.— Doprawdy?... Słowo honoru! znaszli ją Pan Dobrodziej?— Doskonale.— Zmiłuj się pokaż mi jój męża. Chciałbym go poznać i mieć się przed nim na ostrożności.— Jój męża?— jestem nim na pańskie usługi.



Z A P I S N A D U S Z Ę.

(Powieść fantastyczna).

Dusze proste i pobożne! niech was nie ustrasza dziki tytuł mojej powiastki; z góry wam ręczę, iż nie jestem potępiony, chociaż tak bliskie miałem zajście ze złym duchem; co więcej, widziałem go w daleko powabniejszej postaci, niż wszyscy, którzy twierdzą, że go na własne oczy widzieli. Nie miał on ani owych rogów, wyglądających z pod doktorskiego biretu, ani owych paznogi, ani miny kusego kuglarza, co Twardowskiemu z kieliszka wyskoczył; nic zgoła z owiej karczemnej fantazyi, owszem było to djable arcy — urocze, arcy — salonowe, które, miasto smoły, trąciło wonią jażminu i *fleur d'orange*. Otoż jeszcze raz ręczę, nie jestem po-

tępiony; mały tylko skrupuł każe mi się pozbyć i tego ostatniego grzeszku, bo zresztą całe życie moje było wolne od zapędów, które, albo robią wiele hałasu na świecie, albo zaraz jak bańka pękają.

Wyznaję, że dwie tylko miałem wielkie a razem dziecinne namiętności, co nieraz mną do szaleństwa miotały.

Pierwszą z tych namiętności była żądza zostania bohaterem jakiejś historyi fantastycznej. Z razu chciałem doświadczyć pośmiertnych przygod Gustawa, później takie uniesienia wydały mi się za gwałtowne, za niszczące; zacząłem przenosić owych Ariostowskich rycerzy, którymi opiekowały się dobre wróżki, lecz urodzony pod złą gwiazdą, kiedym mojej Tytanii nie znalazł, szczególniejsze miałem upodobanie w Hoffmanowskich bohaterach, przy kuflach pieniacego piwa, w atmosferze tytuniowej, wśród rozpraw mistycznych, wśród sylfów i gnomów i dowcipnego króla pcheł.

Nie prawdaz czytelnicy moi, że mię potępicie z góry w tym wieku rzeczywistości, za gust

tak dziwaczny; lecz jam ostrzegał, że to moja namiętność, wybaczcie.

Druga znowu równie wielka, jak dziecinna namiętność, była chęć napisania przed śmiercią coś w guście fantastycznym, coś bardzo cudackiego, bardzo niewinnego, ani z nieba, ani z ziemi; ale i z tego i z owego trochę, coś niby w guście powiastek, któremi mamki w młodociane dusze zaszczepiają ów świat czarodziejski, za jakim w późniejszych latach tyle wspomnień, a niekiedy i łez płynie; słowem przez kilka potomnych pokoleń chciałem powiastką moją bawić drobne plemię dzieci, o różnych jagodach, żywych oczkach, i opromieniać im chwile spędzone przy abecadle. Co zaś do drugiej potomości, bladej, śledzienniej, osowiałej, która w wychudłych palcach trzyma dwa przykurzone wieńce laurowe—klnę się honorem, nigdy nie wzdychał.

Bądź co bądź, trudno mi utaić, jak te dwa rodzaje szaleństwa mocno wpłynęły na moje rzeczywiste życie, ale dałem sobie słowo, muszę być fantastycznym, choćbym miał opowiadać nie-

stworzone rzeczy, z czasów feudalnych, albo odrysować świat tajemnic paryzkich, utworzyć charakter jeden z Han d'Islanda, Rodina, Lukrecyi Borgia, domieszać skeptycyzmu, wszystkie a wszystkie okropności romansów szkoły chorowitej zlać w jedno i dopiero krzyknąć: wygralem! oto prawdziwa fantastyczność; ale nie! precz ode mnie ta myśl; u nas jeszcze dusza nie pokryła się tak grubą warstwą brudu, aby ją, trzeba nacierać aż tak mocnymi i korzennymi macściami, które niczem są w porównaniu z ową dryakwią wenecką, wyciągnioną z jadu gadów i ziół trujących, lub assafetą którą nacierano talerze niegłodnego smakosza.

O nie, nie do takiej wzdychałem fantastyczności, nie takiej szukałem w świecie wspomnień moich, kiedy myśl jak wróżka skrzydlata unosiła się po trawkach, żeglowała po obłokach, i słała sobie łożę na rozkwitnionej jabłoni. Ach! cóżbym był nie dał za odrobinę fantastyczności, zwłaszcza wtedy, gdym uczył się poznawać prawdę tego świata, kiedy doświadczenie, jak owa soczewka peregrinusa wyjmowała barwy tęczowe z krain

mojej wyobraźni!—O najmniej byłbym dał die-
sięć lat z mego żywota i jeszczebym wyszedł na
kupnie, za spotkanie jakiego sylfa, jakiej czaro-
dziejki, czarownika, wreszcie jakiej jasnowidzą-
cej. Nie daremno w nocy wybiegałem na rozstaj-
ne drogi, na mogiły wisielców; zwiedzałem stare
zamczyska, pustkowia, biegałem na cmentarze
gdzie się paliły pieniądze, darmo! darmo! nigdzie
nie spotkać mi było ani upiora z płomienistym
wiankiem, szczękającego łańcuchem, ani czaro-
wnicy na łopacie, ani nawet figlarnych chochli-
ków, któreby pod mojem łóżkiem weselne od-
prawiały gody, nie z wszystkich zabiegów! bo
ręczę, że gdyby coś fantastycznego było na tysiąc
mil do koła, byłbym dotarł i zobaczył; ale ręczę,
że na złość nie było.

Wątpiłem już powoli, czy jest jaka fantasty-
czność, i nie wiem, jakby się skończyło z moją
wiarą poetycką w świat duchów i cudów czaro-
dziejskich, gdyby pewnego dnia nie przyszła mi
myśl dziwaczna i zuchwała wywołać djabła za-
klęciem. Było to postanowienie cokolwiek de-
sperackie, ale cóż robić—będąc przez pół jego

dłużnikiem, zdublowałem stawkę, starosta lub kapucyn!

W okresie, do którego niniejsza powieść się odnosi, mocnoby mnie było gniewało, gdyby mię ktoś miał za coś lepszego, jak za trzpiota; najpierw, że wtenczas w modzie był taki charakter, podobnie jak dziś sceptycyzm bajroński; powtóre, miła to rzecz zawracać głowę kobietom, które bądź co bądź przepadają za trzpiotami. Zostałem więc trzpiotem. Lecz, aby was moi czytelnicy z góry odwieść od uprzedzeń przeciw trzpiotom, ostrzegam, że w postępowaniu, mojem nie było nic takiego, coby trąciło Lowelasem lub Foblasem. Jeżeli spodziewacie się znaleźć rozpustnika *à bonnes fortunes*, mocno się zawiedziecie w oczekiwaniu, byłem sobie tylko owym spokojnym najezdzcą, co wpada do kraju dobrej woli. Z tém wszystkiém w całym mieście nazywano mię badaczém, bom otwarcie odgrywał swoją rolę; libertyném, zwodzicielem, bom wszystko rad zwodził, co chciało być zwiedzioném. Oto jedna strona mojej janusowej twarzy; co do drugiej, śmiem twierdzić, że nikt nie miał głębszych

pojęć o składzie towarzystwa, o obyczajach; nikt bystrzej nie wglądał w tajemnice pod płaszczykiem salonowego poloru i przyjętych ustaw dobrego tonu; co wszystko nie pogodzone z moją rozstrzepanością, nie miało nazwy w swoim czasie; dzisiaj możnaby to ochrzcić mianem rozpusty eklektycznej, doktryny libertynizmu; lecz szkoda słów na to; co było, nie wróci; — złe czasy! złe czasy!

Ztém wszystkiém był to rodzaj filozofji, mnie tylko właściwej, którą, aby zrozumieć, potrzeba obok określenia przykład postawić, a i tak się jeszcze boję, czy będę zrozumiany. Związki społeczne umiałem szanować tak dalece, że myśl sama wniesienia niepokoju w niewinne serce, myśl rozwiązania węzła, który łączył najniezgodniejsze humory, sprawiała mi wyobrażenie katuszy czyscowych. Umysł mój zawsze wyżej sięgał nad to, co mię otaczało, lecz z drugiej strony nic nie mogło mię powściągnąć do kosztowania owocu, który swój kwiat utracił, i oderwał się od gałązki. Jakże on słodki i smaczny! mówiłem sobie podnosząc go z ziemi, pożywiam

go bez niczyjój krzywdy. Słowem, byłem podobny do owych kłosarek, zbierających wszystko, co nie do snopu należy.

Z tego przekonania czerpałem wiele pociechy dla serca i spokojności sumienia.

Sądzę teraz, że się wytlómaczyłem, z jakiej przyczyny napiętnowano mię mianem trzpiota, per excelenciam, jako noszącego wszystkie charakterystyczne cechy swojego rodzaju.

Ale dość już tego, tyle nagadałem o sobie pochlebnych rzeczy, że mię aż wstyd coś więcej powiedzieć. To tylko dodam dla dokończenia rysów mego własnego obrazu, że system mój mnóstwo liczył zwolenników między młodzieżą, jednego ze mną wieku; drogą łatwego i nieszkodliwego występku odwracałem ich bardzo często od zbrodni, w nadziei, że nauka moja lepsze na potem wyda owoce i zupełnie ich nawróci. Nie chybiłem w wyrachowaniu, w kilkanaście lat później wzorowi z nich porobili się ludzie, i może jeszcze dziękować kiedyś mi będą, że w wieku młodym nie obarczyli sumienia, co na starość taką jest nadgroda, że każde przypomnienie sło-

dycz przynosi. Aczkolwiek dążność moja tak piękne wydała owoce, wszelako wszystkie lepszego tonu kobiety miały nas w obrzydzeniu!

Pierwszy z moich zwolenników nazywał się Fortunat, wierny mój namiestnik, mój *aller ego* we wszystkich sprawach serdecznych, gdzie serce najmniej bywa dotknięte; w owych miłosnych intrygach, które lada grzeczność, lada uśmiech kobiety wywoływał, a rozdrażniona woła w nieskończoność mnożyła. Mój Fortunat w rzeczy samej prześliczny, był chłopiec. Jego kształtna postać na wzór dla malarza; wystowienie się obfite do zawrotu głowy; zarozumiałość starego Doświadczyńskiego; co więcej, wybornie gry wszystkie grywał, a grając, przegrywał zawsze; nakoniec jeździł jak Tatar, co przyrost do siodła, a przecież nie było miesiąca, żeby coś sobie nie złamał; rąbał się jak szlachcic sejmikowy i na pewne wychodził z każdego pojedynku z zawiązaną ręką. Dziedzic dość znacznego majątku, stracił go w kilku miesiącach,— dowód wielkiego rozumu, i znalazł jeszcze takich, u których zaciągał długi, co nierównie większego dowodzi.

Słowem, jednogłośnie wołano, kiedy się zjawił na salonie: Fortunat, czarujący chłopiec! — A Fortunatowi piątą brakowało klepki.

Wyborne wychowanie Fortunata w jednym przecie punkcie zupełnie było zaniedbane, a to w tym właśnie, który u niejednych rutynistów główną podstawę stanowi. Wszak i na słońcu są plamy! Bądź przyrodzona niezdolność, bądź lenistwo, to jednak pewna, że Fortunat nigdy się niemógł pisać nauczyć. Zaczynam już wierzyć, że nie czuł żadnej tego potrzeby, iż pod tą pogardą mógł ukrywać pomysł bardzo filozoficzny. Fortunat gardził ortografią i miał może słuszność. Cóż go obchodziły owe *e* kréskowane i nie kréskowane, owe *jota*? Co Feliński? co Towarzystwo przyjaciół nauk, co roku nową ogłaszające pisownię?! Fortunat miał swoją własną niewzruszoną, przeciw której nicby niepodotali wszyscy filologowie, sam nawet Champolion głowę by stracił, gdyby mu było przyszło sylabizować jego hieroglify. Szczęściem, mała ta wada czy zaleta w wychowaniu Fortunata, nie miała złych skutków, większa bowiem część

heroin naszych nieumiała czytać, bo inaczej w niemłym byłby kłopotcie. Zdarzały się jednakże trudne okoliczności, gdzie przedmiot wzdychań naszych świeżo wychodził z francuzkiego pensyonu; a w takim razie ja z moją trywialną ortografią w pomoc biegłem Fortunatowi. Chwile, którem poświęcał układaniu miłosnych liścików w jego imieniu, nie były dla mnie stracone, nabyłem bowiem owego lekkiego stylu, owego sposobu mówienia szeroko o niczém.

Niech kto nie myśli, abyśmy uczęszczali w złe towarzystwa, broń Boże! lecz przedmiot naszych zabiegów rzadko nas prowadził w dobre. Wędrownicy, koczujący w zawodzie życia, co wieczór rozbijaliśmy nasz namiot na pograniczu dwóch światów, do których należeliśmy zarówno; do jednego przykuci naszém wychowaniem i nawykniem, do drugiego przywabiani wygodną rozkoszą i zwyczajtami bez trudów. Jeżeli komu nieznana topografija tych dwóch półświatów, tyle mogę powiedzieć, że punktem zetknięcia się onych był teatr. Za podniesieniem zasłony, cały tuzin ocz czarnych lub błękitnych (mówię tu o

chórach w operze) śledził nas w pierwszej ławce parteru, witając słodkimi wyrzuty, lub łudzącą obietnicą. Częstokroć ukradkowe spójrzzenia prima donny, czekającej za kulisami na wezwanie suflera, przyływały aż do nas z gorącemi westchnieniami o wzajemność, czy oklaski? nie wiem, ale oto występuje nasza Katalani, rozlewając wszystkie skarby swego słowiczego gardziołka. Szmer pochlebny rozlega się w sali, pierwsi uderzamy w dłonie, a publiczność odpowiada chórem. Pamiętam, pewnego czasu los złowrogi zrobił mię hołdownikiem olbrzymiej śpiewaczki, przybyłej z Wiednia która daleko lepiej-by się wydała pod szamerowanym kostiumem jakiego tamburmajora, niż w skromnym gorseciku pasterki. Grano jakąś pasterską operę; moja olbrzymia Chloe rzuciwszy na mnie słodkim umizgiem, zaczęła splatać wianek, śpiewając: Dla ciebie wiję te kwiaty!

Oh! rumieniec wstydu oblał mi lice! byłbym ucałował rękę, któraby mi w tej chwili śmierć zadała, tak jej pieśczęoty dręczyły mię czasami, ale cóż, musiałem zgryźć ten orzech. Chloe była

szpetną i zyzooką, ale dzięki jój, ona stawiała tarczę mojej niewinności.

Druga połowa naszego świata mieściła się w lożach. Główną zasadą moralności przez nas przyjętej było nie patrzeć na loże; co nie przeszkadzało wszakże, abyśmy w nich widzieć nie mogli. W on czas to w loży, która wychodziła na scenę, a tém samém najlepiej była oświetloną, bo reszta w grubych tonęła ciemnościach, pojawiła się nam często jedna z tych postaci anielskich, co nie jednego pozbawiają spokoju duszy, odślaniając mu wszystkie rozkosze rajy na ziemskiej pustyni. Nie jestem malarzem, ale jeśli ktokolwiek z was tę sztukę posiada, niech skreśli lat szesnaście, kibić trzciny, płec białą, jedwabną, pod którą krew jak strumyk bieży; włos jasny, rozwiany jak mgła po ramionach; to wszystko niech jeszcze promienieje urokiem czystym, niebiańskim, nie podobnym do opisanja, rysami, któreby rzeźbiarza Wenery medycejskiej o rozpacz przyprawiły; niechaj wyrazi szerokie, potoczyste spójrzienie, zachwycające jak błękit, a palące jak słońce; a to wszystko nie da jeszcze

milionowego wyobrażenia o doskonałości wdzięków Olesi.

Olesia w bardzo młodocianym wieku straciła ojca i matkę. Biedna sierota została się ze stotyśięcznym dochodem, powierzona opiece ciotki, dość powabnej jeszcze wdówki, która tak niewiele przeskoczyła czwarty krzyżyk, że nawet o tém mówić niewarto, a którą bynajmniej nie obwiniono o nieczułość na wzdychanie serca mocno zakochanego. Dwa lata temu, ja sam bardzo szalenie, a nawet nie żartem, byłem się rozromansował w ciotuni; kosztowało mię to niewiem ile chwil rozpacz, udręczeń, nadziei, lecz szczęściem wszystko skończyło się dość prędko, albowiem namiętność ta obudziła się we mnie na dwa dni przed owym dniem, od którego zaczyna się era moich miłostek filozoficznych.

Od téj chwili ani razu nie powstała mi w myśli, a nawet pamięć moja, tak wierna w cytowaniu kodexowych paragrafów, byłaby ją wymazała ze swéj listy, gdyby nie powinowactwo idei, że ciotunia miała tak piękną siostrzenicę. Niepotrzebuję ostrzegać czytelników moich, że wiek i nie-

winność téj uroczej dzieciny, stawiły między mną i nią nieprzełamaną zaporę, a jeszcze nieprzełamańszą jój stotysięczny dochód.

„Łamiesz nasze warunki,” rzekł mi Fortunat jednego wieczora, „Henryku! jak uważam, patrzysz po łóżach.”

Patrzę—odpowiedziałem, jak pokutujące duszyczki, które z czysca ciągle patrzą w niebo, nie odbierając wzajemnego spójrzenia. Zresztą mam swój sposób widzenia i wszystko ci wyznam; czas leci jak szalony, a choć nam się zdaje, że go używamy w wesołych, swobodnych chwilach, i chociaż uchodzimy za przystojnych chłopców, przecież tak żyjąc, możemy się postarzyć, jak siedmiu mędrców greckich. Ty co innego, tobie się uśmiecha przyszłość, spędzona między lubém *farniente* a polowaniem na zające w twojej dziedzicznej ziemi, którą stryjasek po najdłuższem życiu swoim zostawi ci z całym gospodarstwem, chartów, gończych, błót, borów i grzybów. Ja zaś, który nie mam w nadziei ani stryja, ani chartów, ani gończych, ani błót i borów, będę najszczęśliwszy, jeżeli znajdę pu-

bliczność dość cierpliwą w czytaniu moich powieści. Odkryłem cel mój. Jako autor potrzebuję natchnąć się jakim ideałem, coby zawsze żył w mojem wspomnieniu; marzyć, pieścić, żywić w głębi serca jaką czarodziejkę, którą, jeśli znajdę, schwycić muszę; jakaż zbrodnia, jeśli ją znalazłem?

—Ach, czy Olesia aż tak cię zajęła?— rzekł Fortunat, naciskając sprężynę swojej lornetki i zuchwale topiąc wzrok w tego anioła, ku któremu powieka moja podziwem przejęta, nigdy podnieść się nieśmiała. *Elle est vraiment fort bien.* Dziękuję ci, żeś mię zrobił na nią uważnym. W rzeczy samój, ma coś w sobie, co obudza wyobraźnię, a uspakaja burzę serca; nieprawdaż? Widząc ją, czujesz się czystszy; myśląc o niej, czujesz się lepszym. O cudowna władzo niewinności! dziwny pociąg dusz pięknych! Niestety, przyjacielu! czemuż ta perła, czemuż ten dyament nie w sklepie modniarek, lub w grupie figurantek! okrutny los wszystko zepsuł, zamykając drogi ten klejnot w karecie i salonie, zamiast coby go miał za kulisami pokazać.”

Zadrzałem z oburzenia... i przekląłem w duchu wszystkie śpiewaczki i kulisy.

—Natchnij się, natchnij Henryku, mówił Fortunat opierając się na mojem ramieniu.” Natchnij się widokiem Olesi, bo kto wie, czy teraz natchnień twoich potrzebować nie będę. Pisz romanse Henryku! bo mój, jeśli się nie mylę, bliiski jest szczęśliwego rozwiązania. Stryjaszek ma dla mnie chęci i wiem z pewnego źródła, że gotów mię zrobić dziedzicem swoich gończych i borów, jeżelibym się ożenił z jaką uczciwą osobą.”

—Tyżbyś się ożenił z uczciwą osobą! — zawołałem,—i ty myślisz o ożenieniu?”

—Cóż w tém dziwnego? — mówił, zanosząc się od śmiechu. — Czyż sądzisz, żem niezdolny myśleć poważnie i stale coś przedsięwziąć? Ale patrz! jak nasza Aglae dziś źle wygląda, jaki strój nie do twarzy! a jak ryczy nieznośnie! O Henryku! trzeba już raz skończyć, a skończyć rozumnie, zwłaszcza kiedy jestem bez grosza. Ty nie wiesz bracie; co to jest mądrość światowa, ale z czasem ty jój nabędziesz. Czy słyszysz?

jaki ton fałszywy! a jakie jest! Szukaj więc natchnienia Henryku, i napisz mi małe oświadczenie, a tylko gorące, a tylko namiętne, szczere; rzuć krótkie wyznanie moich ułomności, mych błędów; wreszcie pisz co ci się podoba. Dodawaj, ujmuj, ubieraj, wygładzaj, boś ty mojem sumieniem, mém sercem; ty wiesz, jaki skarb czułości zamknięty w tém braterskiem łonie, które bije obok twego! Ale patrz! patrz! na tę opętana Laurę, jak przez cały wieczor ze mnie oka nie spuszcza, i jak ze złości przygryza wargi... biedna! żal mi ją.”

—Byłoby nie od rzeczy—rzekłem, nie zważając na częste jego przejścia do Aglai i Laury—byłoby nie od rzeczy, abys mi dał wyobrażenie o szczęśliwej owęj dziewicy, na którą padł twój wybór, inaczéj mogę coś chybić i zamiast czarnych wzdychać do niebieskich oczu. *Est modus in rebus, sunt certo denique fines.* A zresztą nie zgaduję...

—Zapewne, bo gdybyś zgadł Henryku, więcéj niż ja wiedziałbyś o téj przyszłości, w którą

na łeb się rzucam, uchodząc przed terażniejszością... Gdybyś odgadł, prosiłbym cię o wymienienie tego przedmiotu mojej pierwszej rozsądnej miłości, o którym ja sam nie wiem. Lecz nie tego ja, nie tego, żądam od ciebie, chodzi tu o to, abyś mi napisał okólnik miłośny, w słodkich ogólnych wyrazach, któryby do każdej piękności dał się zastosować; słowem, niech to będzie wytrych do każdego serduszka. Mów o cnocie, o wdziękach, o przymiotach duszy; lecz się strzeż wspomnieć o kolorze włosów, bo to mogłoby nas kłopotu nabawić. Utwor twój z największą potém dokładnością na angielskim welinie przepiszę; poczcie i gwiazdnie mojej powierzę wszystkie nadzieje, a tak zacny mój stryjasek, co mię tak napędza do żony, nie będzie mi nic miał do wyrzucenia, jeśli go przekonam, że od pięćdziesięciu dostałem odkosza. Albo też, jeśli los przyjazny rzuci mię w objęcie jakiego bóstwa, w tedy i ty pójdziesz w moje ślady, może lepiej ode mnie wybierzesz; nieprawdaż? ty masz tak szczęśliwą rękę.”

—Daj folgę żartom,— odpowiedziałem z go-

ryczą, jabym miał myśleć o żonie! ja niemający żadnych widoków do jakiegokolwiek puścizny!”

—Cóż znowu! i ta bagatela miałażby tak ciężyć ci na sercu? Wierzaj mi, przy pierwszym djabełku stawię moje przyszłe dziedzictwo przeciw twemu koniowi, lub przeciw Aglai, która, patrz, jak słodko z za kulis spoziéra na ciebie...”

—Konia wczoraj sprzedałem, Aglają, jeśli chcesz, bierz sobie, a list, gdy pomyślę, napiszę.

Odtąd bywaliśmy na teatrze, lecz coraz rzadziej, i to więcej z nałogu, niż z potrzeby. Fortunat w postępowaniu swoim zachowywał ton nadzwyczaj przyzwoitego sensata, zatopionego najczęściej w głębokiem dumaniu; zachodziłem w głowę, z kąd ta w nim odmiana, gdzie mógł znaleźć tak odważną czy tak łatwowierną kobietę, któraby jego niepodobnym do uwierzenia wyznaniom dała wiarę? Co do mnie? jak wiadomo, silny łańcuch przykuwał mię do teatru i niestety kolosalna moja pasterka, nie runęła jeszcze ciężarem swoim, jak duch w Hamlecie z deskami rusztowania, i nikt się na nieszczęście nie zjawił taki, coby mię z jój względów wysadził.

A jednak był to piękny czas przechodu wojska. Już, już wyciągałem ręce do nadziei za przyjęciem pułku ułanów, błyszczącego szlifami, okrytego kurzem chwały; śnie zwodniczy!... po nich przyszli huzary, owe motyle rozkoszy i woni, goniące wszędzie za zdobyczą, ale żaden ani skrzydełkiem nie tknął mojej Aglai. Napróżno liczyłem na doświadczone męstwo kirysyerów. Aglaja w ciągu tej długiej próby, dochowała mi wierność swoją bez skazy, z wszystkimi do wzajemności prawami. Była to stałość niepokonana. Ile zapamiętać mogę ze wszystkich przeciwności, jakich w moich romansach doznawałem, nic mię tyle niepobudzało do samobójstwa, co jej wierność nieustraszona.

W końcu szukałem lada pozorów, aby uciec od tego świata, gdzie tak obszernie panował, i rzecz dziwna, najczystsze z moich moralnych uczuć dopomogło mi do wydobycia się z tej toni. Bystre oko moje dostrzegło, że Olesia na teatrze więcej niżbym sobie mógł życzyć, zwracała na nas uwagi. To zajęcie się nami od niejaki-go czasu przybrało bardzo niepokojący charakter;

czytałem w jej licu wyraz przychylnej dobroci; jakąś czułość zadumaną i coś tak tkliwego, coś tak ulotnego, że wszystko kazało mi się domyślać tajemnej skłonności, rozwijającej się w sercu dziewczęciem. „Biedne, śliczne dziecię!” zawołałem sam w sobie, „jakaż nieprzyjazna gwiazda miłość twoją ku jednemu z nas skierowała! Ja przynajmniej nie chcę dzielić srogich twoich przeznaczeń! — Examina nadchodzą, a jam dotąd i książki nie otworzył! Rzucę się do pracy! wzgardzę tą przelotną rozkoszą! Od deski do deski przewartuję *Codex juris civilis*, co mówię dziesięć razy go przeczytam (horresco referens) nim się zajmę jakąbądź kobietą; cieniu wielkiego Justyniana, wzywam cię na świadka!”

Po tej apostrofie wybiegłem z teatru, a przyszedłszy do siebie, napisałem list z pożegnaniem do Aglai. A tak, silne to postanowienie uwolniło mię od niezmiernego ciężaru.

Nazajutrz przed ojcem moim wynurzyłem się z całym planem nowego sposobu życia, co tak ucieszyło poczciwego starca, że mię natychmiast mianował panem swojej biblioteki, i pięknego

pawilonu z weneckimi oknami, mieszczącego te skarby nauk.

Cały dzień strawiłem na uporządkowaniu mego dobrowolnego wygnania i postrzegłem z wewnętrznym zadowoleniem, że szczęście nie jedną tylko ma stronę. Co mówię, szczęście czystej duszy, nie mającej nic sobie do wyrzucenia, wyższe jest i trwalsze nad wszystkie urojone rozkosze. Szczęśliwy też byłem do wieczora, pierwszy raz szczęśliwy tak długo.

Wieczor nadszedł, zacząłem ziewać, co kilka minut spoglądałem na zegarek; łoskot łoż otwierających się i zamykających brzmiał w moim uchu; ustawnie mię ścigał pierwszy pociąg smyczka w orkiestrze; nozdrza moje w powietrzu niestety! nadto czystym, napróżno wietrzyły za atmosferą perfum i lamp, a rozkosznego spójżenia Olesi szukałem po wszystkich pułkach mojej biblioteki, które na mnie źerkały złotonemi grzbietami tomów.

„Ach! cobym nie dał!” zawołałem wzdychając, „gdybym mógł dociec, czy te znaczące spójżenia były dla niego, czy dla mnie? Fortunat

dziś rano zamówił pocztę, zapewne musi być w drodze. Teraz najlepsza sposobność wyjaśnić niepewność wątpliwą; niech jakikolwiek będzie wypadek tej próby, nic nie zdoła zachwiać mego rozsądnego postanowienia. Od jutra całkiem poświęcę się pracy! A teraz łeć do teatru, aby ją zobaczyć.

Tym razem niezawiodło mię przecucie. Z całym zarozumieniem półgłówka, co wierzy w najniepodobniejszą miłość, ogłaszam, że te spójrzania były dla mnie, dla mnie jednego. Któż mi może zarzucić, że pod niebytność Fortunata byłem dla Olesi owym kamieniem bolońskim, który naciągnawszy słońca, błyszczy niem w ciemności. Lecz ta myśl ani nie powstała w głowie, z resztą jako niezły psycholog mogę zaręczyć, że w znaczącym wyrazie tej anielskiej twarzyczki, była jakaś myśl, co się odnosiła do mnie i pragnęła być zrozumianą. Uzbrojony więc bohaterską odwagą ośmieliłem się ją zrozumieć, i uciekłem z teatru, unosząc w głębi szczęście z rozpaczą.

Nie, nie, Olesiu! nie chcę gwałcić przybytku

twój niewinnej duszy, obudzając w niej namiętność zgubną dla nas obojga. Latorośl twoja świeża z balsamicznym kwieciem zniostązby jałową pustynię mego życia? A przecież nikt cię goręcej ode mnie kochać nie zdoła! Jabym się zrobił dla ciebie stopniem nóg twoich, arfą licznych westchnień, naczyniem twój woni! Ja-by-m się oczyścił w kraterze wulkanu, nimby-m się dotknął wdzięków twoich! precz, precz! sny zapaleńca! Olesiu, tyś pani, tyś bogaczka, ty nie zstąpisz z tego szczytu na równię mojej fortuny, nie! nigdy cię już widzieć nie chcę..., nigdy... chybaby djabeł wmięszał się w tę sprawę.

Po tej poetycznej apostrofie, której gminny koniec nie odpowiedział górnemu wstępowi, upadłem osłabiony wybuchem gwałtownej namiętności w moje krzesło z poręczami, szczęściem dobrze wysłane i sprężyste. Stara Rozalia postawiła przede mną dwie woskowe świece; zbytek niesłychany, dowodzący radość ojca z powrotu syna marnotrawnego do nauk.

Na chwilę wyszedłem na balkon. Niebo było płynne i przejrzyste, jak jezioro. Tchnienie po-

wietrza zaledwie szemrało w gałązkach topól rosnących pod memi oknami. Słowik ów melancholijny samotnik, w dalekich gdzieś odzywał się krzakach. Ach! piękny to był wieczor, lecz nie dla takiej miłości, jak moja. Wzniosły to widok tych sfer krążących w nieskończonych przestrzeniach; lecz jak oczy moje, tak dusza nie mogła zmierzyć ich głębi. Pozamykałem drzwi, pospuszczałem firanki, chcąc się uwolnić od tych ogromnych wrażeń; usiadam do pracy, rzuciwszy raz jeszcze wzrokiem zadowolenia na ten przybytek nauki. Opisanie onego nie będzie od rzeczy.

W szczęśliwych czasach ojciec mój wystawił ten pawilonik, który z jednej strony przypierał do domu, a z trzech innych ogród go otaczał. Cały ten budynek składał się z jednej prostokątnej sali, oświetlonej z dwóch stron wielkimi oknami. Podwójne kręcone wschody prowadziły na balkon pierwszego piętra; dół bowiem przeznaczony był na wozownię, w której nigdy nie miałem powozu. Wewnętrzne zaś ściany pawiloniku, przedstawiały same grzbiety ksiąg i

foliałów; pod jedną ścianą stało skromne łoże studenta, a pośrodku stół czarny, zarzucony papierami; do koła niego mogłem więc jak księżyc około ziemi krążyć, to naglejszemi, to wolniejszymi kroki, podług pędu uczuć wewnętrznych. Ileż to ja drogi w tym dniu nieubiegłem!

Zmordowany, przemyślawszy wieki całe, rzuciłem się znowu w krzesło, sięgnąłem ręką w stós książek, a zamiast wyciągnąć jaki traktat o procedurze cywilnej, schwyciłem księgę o widmach doktora Calmeta, zawierającą najlepszy zbiór figlów różnych i dowcipów szatańskich. Jakaż to nędzna ramota! zawołałem, przewracając karty tej księgi, „mógłże człowiek tak uczony zapuszczać się w te duby smalone, w te brednie starych bab pod kądzielą! ale szaleństwo jego pokusą jest dla mnie, chciałbym się choć raz spotkać z panem Mefistofelem, mogę go przecież tak łatwo wywołać, mam tu w bibliotece klucz króla Salomona i Enchyridion, w autentycznym rękopiśmie, drogi zabytek naszego domu; jeśli będzie natrętnym gościem, łatwo go się pozbędę formułą exorcysty. Rozmowa z tym

wcielonym bezpiecznym, zda mi się będzie ciekawsza, niż z cieniami Justyniana, i wszystkich komentatorów prawa rzymskiego. Wykonanie téj myśli zależało od jednego posunięcia ręki, nie wiem bowiem, jakim sposobem ów kabalistyczny cyrograf tuż leżał przedemną. Wyciągnąłem poń drżące palce, jakby samo dotknięcie pergaminu miało mię już potępić! Roztoczyłem zwój, lecz prócz zbutwiałej woni, nieczuć było siarki ni smoły. Na dworze panowała jak piérwój cisza, świece paliły się spokojnie i jarzęco, a tomy nieporuszone stały opruszone warstwą szarego kurzu. To mię ośmieliło, czytam donośnym głosem, wymawiam uroczystą formułę wywołującą ducha, lecz zaledwie przeczytałem kilkanaście wierszy, zachodzą mi drogę jakieś niepojęte cyfry szatańskie, zygzaki, głoski nieznane w ziemskim abecadle.

Kto inny, mniej ode mnie zaciekły, niechybnie byłby stracił odwagę na widok tych hieroglifów z tamtego świata. Chociaż włos mi się najeżył, usiadłem dumnie i zawołałem: Uczeni! nieśmiertelni kabalistowie, przybywajcie mi na pomoc!

użycie waszego światła i wykryjcie mi te skarby tajemnic, przed którymi sama tylko niewiedomość drzeć może!...!

I wyciągnąłem foliały ciemnoty wieków średnich, z niezmordowaną chęcią zupuszczenia się w błędniaki tej dziwnej nauki, bo żaden trud mię nie ustrasza, jeżeli mię do rozrywki prowadzi. Nie minęło pół godziny, dowiedziałem się, co mi było potrzeba, i kabalistyczny cyrograf wydeklamowałem gładko, a może i bez błędu.

Północ biła, jam skończył czytanie, a djabeł, z natury nieposłuszne dziecko, na złość nieprzybywał. Nie zawsze, gdzie go posiejesz, tam ci się urodzi; niezawsze też i w swojej zjawia się postaci; a jeżeli przybierze jaki kształt uroczy, wtenczas najmniej mu ufać, bo djabeł spekulant, tylko za pewnym goni zyskiem.

—Trzeba przyznać, „rzekłem, rozciągając się w krzesło, żem na wielką grę stawił. Cóżbym też był począł, gdyby mi się był pokazał, pytając podług swego zwyczaju, głosem grubym i chrapliwym; czego żądam od niego? Nikt bezkarnie djabła nie używa! Jego pytań nie można

zbyć milczeniem, ani też odprawić go, jak na-
tręta miejskiego, udając za drzwiami głos lokaja,
że pana niema w domu. Jakiejże łaski miał-
żebyś żądać od jego piekielnej potęgi, w zamian
za biedną moją duszę, którą jak dukat oberznięty
cisnąłem na stolik zielony. Miałżebyś żądać
pieniędzy? I cóż? w przeszłym tygodniu tak mi
szczęście posłużyło w djabełka, że nie tylko
pospłacał wierzycieli, ale i sakiewkę dobrze u-
tuczył. Może mądrości? mam jej tyle, ile mi po-
trzeba do codziennego użytku, a od pedanteryi
Boże mię zachowaj. Potęgi? cóż mi po niej,
kiedy się okupuje ceną spokoju i szczęścia. Może
władzy prorokowania? Zgubny dar, który trzeba
opłacać wszystkimi słodyczami nadziei i rozko-
szami niepewności. A jednak, a jednak—mrucza-
łem półsenny, gdyby mi pokazał tego anioła,
Olesię, tak świeżą, tak białą, tak rumianą. Ach!
panie djable, przystąpmy bliżej do rzeczy. Gdy-
by Olesia w nieładzie, lękliwa, drżąca, z wło-
sem roztoczonym w pierścienie na szyję, na łono
nie zakryte żadną chustką, bijące wysoko, pręd-
ko... gdyby Olesia ot teraz biegła po wschodach

tu do mnie ; gdyby do drzwi bojaźliwie zakołatała rączką, co to chce i nie chce być słyszana; gdyby mię doszło to trzykrotne... puk... puk... puk!"

I sen ogarniał mię na poły, i usta powtarzały mimowolnie : puk... puk... puk... w końcu zdrzémałem się na dobre—puk... puk... puk!... co słyszę? cudzie niepojęty! odgłos ten nie pochodzi już z krain zmysłów drzémiących; teraz sobie nie wierzę, czy śpię, czy nie śpię? i kąsam własną rękę, abym się przekonał, że czuwam.—Puk, puk, puk... Któs puka! krzyknąłem, drząc jak sucha wierzba. Zegar mój wybił pierwszą.

—Puk... puk... puk... Zrywam się, lecz jak szalony i zbieram rozstrzelone zmysły.

Puk... puk... puk... Schwyciłem za świecę, i odważnie posunąłem się ku drzwiom wychodzącym na galeryją; otwieram. O zgrozo, nigdy przyroda nic więcej zachwycającego nieobjawiła oczom kochanka; zdało mi się, że umrę ze strachu.

Była to Olesia, tuląca się do drzwi szklanych, piękniejsza niż ją dotąd widziałem, piękniejsza niż wszystkie sny moje. Olesia bojaźliwa, drżąca, w nieładzie, z włosom rozwianym w pier-

ścienie na szyję, na łono nie zakryte żadną chusteczką, bijące wysoko, prędko... złożyłem jak pokutnik dłonie, poleciłem się niebu i otworzyłem. Ach to była ona z duszą i z ciałem, to jej pulchna utoczona rączka, to jej rączka drżąca; dotknąłem się i nie sparzyłem się; pomięszaną chwiejącą się na nogach, zawiodłem aż do mego krzesła i czekałem skinienia lub słowa. Widmo wsparło rękę na poręczy krzesła, a głowę na dłoni, i czoło przysłoniło pięknymi palcami. Czekałem póki co mówić nie zacznie, lecz miasto słów wzdychała tylko.

„Wolnoż mi panią zapytać,” (ośmieliłem się wszcząć rozmowę), „jakiemu niepojętemu szczęściu winienem tę wizytę, tak niespodziewaną, tak...?”

—Tak niespodziewaną!—przerwała z żywością.— Cóż waćpan znajdujesz w tém niepojętego! nie byłaż to rzecz umówiona?

—Umówiona; tak, w rzeczy samėj, umówiona, chociaż téj umowy nie zawarto podług wszystkich formalności przyjętych w podobnym razie, i chociaż na szali Temidy straci na téj prawno-

ści, jaką jęj pani przyznajesz. Bo też w scho-
rzałym umyśle, który miłość zbłąkała, nieraz
tak dziwne pomysły się rodzą! Zresztą, przy-
znaję, że ani się spodziewałem szczęścia... które
spada...—” Język mi się splątał, nie wiedzia-
łem co mówić...

—Rozumiem cię panie, rozwiązanie odstra-
sza cię od przedsięwzięcia. Nawykły do świe-
tnych, lecz łatwych zwycięstw, nigdyś nie badał,
do jakich poświęceń prawdziwa miłość jest zdol-
na...

—Wstrzymaj się pani, nie rób krzywdy mo-
jemu sercu. Wiem ja, do jakich poświęceń miłość
jest zdolna.... że wiem, pochlebiam sobie.... To
wyrzekłszy zaciąłem się, sądząc, że za wiele
powiedział, lecz po chwili znowu zarzuciłem ją
pytaniami: Ale dla czego jego tu nie ma? dla
czego nie towarzyszył tobie? Dla czegoż nie
stanął do umowy, do podpisu, bez którego żaden
kontrakt nie ważny; jestże to podstęp jaki?”

—Niesądzę; wprowadziwszy mię z domu, zo-
stawił mię tu na dole, i dopiero ze świtem za-
bierze mię z sobą.

—Ciebie zabierze? lube dziecię! przecie chciał mi wierzyć, że jeśli zawarłem jaką ugodę, to tylko dla siebie; jakżebym go skarcił za te jego figle!”

—Biedny, nie śmiał się pokazać ci na oczy, przewidując twoje skrupuły.

—Co słyszę nie śmiał się pokazać na oczy? zkadże taka lęklivość w istocie jego rodzaju?

—Wnoszę, iż drażliwość twoich uczuć, delikatność zasad, mogły wzniecić obawę.

—Wielce mu jestem obowiązany za to pochlebne o mnie rozumienie, ale koniec końców muszę go widzieć...

—Ujrzysz go o wschodzie słońca, za trzy lub cztery godziny.

—Za trzy lub cztery godziny! — zawołałem w uniesieniu podziwu, przybliżając się do niej... Olesiu! za trzy lub cztery godziny!

—Tak jest Henryku! — odrzekła ze słodyczą, przybliżając się do mnie,—ty mi dasz przytułek, ty opiekę przez czas, nim on tu pocztowym pociągiem przybędzie.

—Co! nim on pocztowym powozem przybędzie? — zawołałem, przecierając sobie oczy, jakbym się ze snu obudził.

—Bądź pewny, on by cię nie był naraził na odpowiedzialność za usługę, jaką nam wyświadczasz obójgu, gdyby jego poczciwa babka żyła, która w przeszłym roku na puchlinę wodną umarła.

—Co mówisz pani! — wykrzyknąłem, popchnąwszy stos papierów, na którym siedziałem, jego babka, co na puchlinę umarła! o kimże to pani mówisz?

—O kimże, jeśli nie o Fortunacie! Fortunacie, który cię kocha duszą i ciałem, którego ty kochasz wzajemnie; ponieważ szczegóły te nie są ci wiadome, dowiedz się więc, iż dzisiaj wieczór, o umówionej między nami godzinie, przyszedł mię wykraść z domu mojej ciotki, która nie chciała mu oddać méj ręki. Jedyny to był sposób wymódz na nią zezwolenie. Dzisiaj ciotka moja dawała tańczący wieczór; na dziedzińcu mnóstwo kręciło się przychodzących i odchodzących osób, mogących spostrzedz naszą ucieczkę;

to więc nas zmusiło, żeśmy uszli ogrodem... Z daleka postrześliśmy światło w oknach twego pawilonu:—Patrzaj Olesiu, mówił on, roztropny i pilny Henryk jeszcze siedzi nad pracą; ten Henryk dla mnie jest wszystkiem, bratem, powiernikiem, opatrnością; nie mam żadnej przed nim tajemnicy, ani on przedemną; najszcześniejszym się nazwie, bo znam jego serce, jeśli ci będzie mógł dać schronienie do dnia. Wejdź na wschody i zapukaj na pewne, a ja tymczasem wszystko przygotuję do odjazdu; potem pożegnał mię; weszłam na wschody, pukałam.... i tak wiesz o wszystkiem.

—O wiem, aż nadto; lecz rozważywszy rzecz całą, lepsze to, niż co innego. Idzie tu o to tylko, abyś pani mogła być z nim szczęśliwą? A zatém to Fortunat jest owym gorąco ukochanym przedmiotem?

—Któżby jak nie on? Wprawdzie trzy razy tylko mówiłam z nim, ale te listy jego, ach! jaki w nich ogień przenikający, jaka ujmująca tkliwość, z jakim zapałem malował miłość swoją, ach to drugi Werter ten mój Fortunat.

—Wstrzymaj się Pani! wstrzymaj! Więc listy jego tak mocny wpływ wywarły... I nagle przygryzłem wargi, bo już, już, ogromne miałem wybełknąć głupstwo. Ale jak ów wielki Anonim, usłyszawszy swoją pochwałę, ukryłem się, mówiąc po cichu do kuszącego mię ducha. „Stój! stój! przyjacielu! jeżeliś mię nie opętał przez słabą stronę miłości, tém bardziej niewskórasz ze mną przez próżność.”— „Sądzisz więc pani, że Fortunat piękne ma pióro?—dodałem z przybraną obojętnością, a pomyślałem po cichu: i ładna i nie źle ma w głowie...

—Nie toś miał teraz Henryku na myśli.

—Słuszne postrzeżenie. W rzeczy samej czyniłem teraz to, co tobie pani czynić należało, nimesz puściła się drogą tak niebezpieczną.

—Jak to Henryku rozumiesz?

—Pomyślałem nad tobą. Zapewne Fortunat stracił głowę, kiedy cię namówił, piękna i roztropna Olesiu szukać opieki u takiego, jak ja szaleńca, człowieka bez zasad, co o nic nie dba, co przed godziną o mal nie zapisał się djabłu, co

koniec końców ma sławę najpierwszego z trzpiotów.

—Zbyt surowo, a może przez ironię mówisz o kilku pustotach młodzieńczych, które nie plamą twego charakteru, ani ujmą dobrej sławy przynoszą. Fortunat wyrzucający sobie błędy podobne, usprawiedliwia się w listach swoich z taką wymówną szczerością, że nawet ciotkę moję, tak surową dla młodych, potrafił rozczulić. O nie Henryku, ty nie wyglądasz na to, coś o sobie powiedział.

—Dzięki ci pani za twój sąd tak łaskawy. Ale z tém wszystkiém schadzka tu o tój porze, tajemnicza i tak niebezpieczna dla cnoty, którą we mnie wmawiasz, może niewinność twoję wystawić na pociski złośliwe tego świata, który mniej łaskawie wyrokuje o mnie. Pozwól zatem, w imię twój dobrej sławy, abym ci inne schronienie na te kilka godzin obmyślił. Za chwilę powracam, zostawując cię panią wszechwładną wszystkich twoich czynności, oprócz tój, że ani ztąd wyjść, ani tu nikogo wpuścić nie możesz.

Olesia przystała na wszystko. Zamknąwszy ją w pokoju na dwa spusty, wybiegłem.

Cały plan miałem już w głowie, bo w młodym wieku pomysły i żywo się rodzą i prędko rosną w całość.

U ciotki Olesi, jak się dowiedziałem, był wieczór tańczący; kiedym wszedł na dziedziniec jej pałacu, ostatni powóz wyjeżdżał, a w oknach gaszono światło; nie zważając na to, szybko jednym skokiem przemknąłem się obok dwóch lokai, zamykających bramę.

—Kogo pan szukasz?

—Waszój Pani.

—Już po balu, goście się rozjechali.

—Ale ja jestem.

—Pani do łóżka idzie.

—Mniejsza o to.

Po téj rozstrzygającej odpowiedzi, nie zadawano mi więcej pytań, a ledwie dziesięć upłynęło sekund, już byłem w sypialnym pokoju ich pani, gdzie nigdy ani tak późno, ani tak rano nie powstał.

Odgłos kroków moich zmusił ją, że się obró-

ciła ku drzwiom w tej chwili, kiedy odpinała przedostatnią haftkę swjej sukni.

—O nieba! co widzę!... krzyknęła;... Wać pan tu! u mnie! o tej godzinie! w mojej sypialni! bez opowiedzenia się? — z pogwałceniem stosunków społecznych!

—Tak jest pani, nie znam ich wtenczas, kiedy idę za popędem serca.

—Cóż to Mości panie? czy znowu do dawnego powracasz szafu? Jeśliś łaskaw, z całym swym kramem sentymentów zachowaj się na lepszą porę.

—Trudnoby o lepszą, jeślibym wizytę w tej oddawał myśli, jaką mi pani przypisujesz; lecz inne ważniejsze, żadnej niecierpiące zwłoki, powołują mię tu powody. Klarysso! zaklinam cię na wszystko! — zawołałem, biorąc ją za rękę, chciej mię wysłuchać.

—Ważniejsze powody? zapewne jaki krok desperacki, przyszedłeś WPan mnie przestraszyć. WPan mnie trwogą nabawiasz! Znam te jego uniesienia, i aby uniknąć zniewagi, o którą tak łatwo, zadzwonię.

—Tego nie czyń pani,— rzekłem, biorąc ją za drugą rękę, i zmuszając prawie gwałtem usiąść na kanapie. Co ma się stać, niech zostanie między nami; najgłębsza tajemnica pokryje rzecz całą, a teraz u nóg twoich zaklinam cię, posłuchaj mię na chwilę, bo każda chwila jest drogą!

—Biada mi!— zawołała, łkając przytłumionym głosem, och, że też nikogo niema z moich ludzi!

—Témci lepiej, obecność ich byłaby zbytęzną a najmniejszy krzyk mógłby cię zgubić pani na zawsze.

—Cóż to? czy napaść, czy rozbój? ach to niesłychana zbrodnia! czego żadasz ode mnie poczwaro?

—Niczego prawie nie żądam; ale cokolwiek więcej powolności z twój strony, a byłabyś dotąd wiedziała o wszystkiém Klarysso! Chciej mi zatém powiedzieć, gdzie jest Olesia?

—Olesia? moja siostrzenica? a to zabawne pytanie! Jakież udział może mieć Olesia w obraźliwój scenie, jaką mi WPan wyprawiasz? Olesia

wcześnie wraca do swego pokoju, zwłaszcza, kiedy mam gości. Jest to zasadą macierzyńskiego wychowania, jakie jej dałam od lat najmłodszych. Olesia jest teraz u siebie, Olesia w łóżku, Olesia śpi, i to tak pewnie, jak to, że żyję!

—Pan Bóg, który jest wszechmogący, może cud jakiś sprawił, bo ileż to rzeczy dzieje się niepodobnych do uwierzenia! Ale oto drzwi do jej pokoju; nic łatwiejszego, jak się przekonać; czy jest Olesia i oboje nas z dręczącej niepewności wybawić, którą daleko bliżej obchodzi odpowiedzialność ciotki, niż poczciwego sąsiada...

—Miałabym sumienie budzić to dziecko, zwłaszcza wtedy, gdy obcy mężczyzna w moim pokoju?!

—O że ją nie obudzisz pani, to więcej niż pewna—rzekłem, macając, czy mi klucz nie uciekł z kieszeni.

—Olesia już na dobre obudzona, Olesia zbudzona lepiej, niż kiedy. A jeśli cudem jakim zastaniesz ją pani w łóżku, to się pokaze, że djabeł dziś mądrzejszy, niż za dawnych czasów.

Klaryssa wzięła świecę, weszła do pokoju

swój siostrzenicy, a zrobiwszy kilka kroków, wróciła, padając prawie we mdłościach na kanapę.

Przewidując ten koniec, uzbroiłem się był flaszka kolońskiej wody z jej toalety, a odpiawszy ostatnią haftkę, dałem jej powąchać trzeźwiącej woni, i z lekka ucałowałem ręce, które załamywała, wyciągając ku mnie.

Nie teraz czas, piękna i nieporównanej dobroci Klarysso! (sam nie wiem zkąd mi przyszła ta swada) oddawać się daremnym jękom i narzekaniom; okoliczności wzywają nas do spieszniejszego działania.

—Niestety! wiem o tém! lecz do kogoż się udać, jeśli nie do ciebie, co zapewne zbadałeś tę okropną tajemnicę! do kogoż, jeśli nie do ciebie Henryku, co może jesteś współnikiem téj zbrodni, a kto wie, czy nie głównym jej sprawcą.

—Oh! nie moja w tém wina! — zawołałem, wzdychając.

—Henryku, ty wiesz, gdzie się ona obraca! ty wiesz przyjacielu! nie wypieraj się! i oddaj ją nieszczęśliwej ciotce.

—Prawy mój sposób myślenia wzbrania mi tego wypełnić! Olesia powierzyła mi swoją tajemnicę; nie zdradzę jej, bo bym u ciebie nawet na pogardę zasłużył. Tyle tylko wyznaję, iż pewien człowiek honoru ma ją, pod swoją opieką, i w tenczas w twoje od da ją ręce, jeśli zezwolisz, aby przeszła w objęcie przyszłego małżonka. Wczoraj było to jeszcze zagadką do rozwiązania, dziś staje się konieczną potrzebą..... Otóż i wszystko, co miałem powiedzieć.”

—Ach lepiej było nigdy o tém nie słyszeć! Któż jest ten małżonek? zapewne Fortunat! ów szaleniec, rozpustuik, marnotrawca! piękne małżeństwo, zaiste.”

—Trudno przebierać w małżonkach, dawszy się raz wykraść; a męszczyzna, który nie będzie dbał na takie skrupuły, przez wzgląd na hojność posagu, milion razy gorszy jest od każdego półgłówka, bo godzien być nędznikiem nazwany. Fortunat nie należy do rzędu ludzi uczonych, to prawda; ale szlachetna miłość, czyż nie może go poprawić? Okrzyczano go, że ma ogromne długi, przeciwnie to najrzadniejszy człowiek, pokąd nie

ma nic do stracenia. Wiem z dobrej strony, bo nawet z ust Fortunata, że stryj mu zapisuje majątek, jeśli się ożeni. Wprawdzie nie jest to zbyt dochodna majątność, ale knieje na wilki i lisy ma wyborne. Co zaś do zabezpieczenia posagu małoletniej Olesi przeciw marnotrawnemu duchowi małżonka, na to tysiąc jest prawnych sposobów, które ja ci sam pani wskażę, skoro ukończę moje kursa prawnicze. Związek ten ze wszystkich miar tak jest przyzwoity, jak tylko sobie życzyć można; jakkolwiek liczne są przywary Fortunata, jednakowoż nieprzyciemniają w nim przymiotów duszy szlacheckiej i dobrego serca; jest to otwarty, prawy, ujmujący i odważny chłopiec.

—A jak prześlicznie listy pisze! ”Przerwała ciotka, jakby zbywając się ostatnich skrępowań, co za styl potoczysty, jaka trafność w malowaniu uczuć.....”

—Czy do prawdy?.... tak pani sądzisz?.... to zbyt wiele pobłażania.

—Jakto? Henryk nie podziela tego zdania; lękam się, czy to nie zazdrość mówi przez ciebie.”

—Przeciwnie pani! na ślepo poddaję się wy-

rokom twojego gustu, odpowiedziałem, przybierając ton obojętny, i owszem życzę, aby Fortunat w stanie małżeńskim taki sam styl zachował. Ale styl jego cóż ma do rzeczy? Ile się znam na tém, co stanowi przyzwoitość stosunków małżeńskich, chodzi tu o prędką ostrożność; kilka minut rozważki, wskaże ci pani środki do odwrócenia hańby, wiszącej nad twoim domem. Olesia, jak pani widzisz, rozwinęła się prędko, a nawet prędziej niż wiek jój pozwolił. Czy teraz, czy później, zawsze ją czekało małżeństwo, a lepiej ją wydać, niżby się sama wydała. Bo też przesłizczne to dziecko! ustrzedz jój nie było podobna, ani też z takimi wdziękami i z takim posagiem zamknąć w kącie, gdzieś daleko za światem! To szczęście jeszcze, że Olesia podobała sobie tego trzpio-ta, który najłatwiejszy będzie w pożyciu; i lepiej, że go uszczęśliwi, niżby miała oddać rękę jakiemu sknerze lub piniaczowi, z którym woźni, trybunały, adwokaci i cały ów tłum piniaczrej zgrai, temi drzwiami wszedłby do twego domu, co i obrządek małżeński. Z Fortunatem, to inna sprawa! kiedy fantazyja pańska zaszumi w głowie,

albo kiedy się czém rozczuli, naprzykład, jeśli go wierzyciele opadną, gotów za rulon oberżniętych dukatów skwitować się z całej sukcesyi. Nieporównany charakter! Z drugiej strony znowu Olesia, uchodząca jeszcze za dziecko, podrasta z dniem każdym. Jój rzadka piękność lada dzień mogłaby z twoją iść w zawody, a wtenczas jakie zgryzoty! jakie umartwienia! bo i tak już słyszałem półgłóweków przebąkujących w łoży: ta piękna osoba musiała bardzo młodą pójść za mąż!... Gdzie oczy podzieli, biorąc cię za matkę Olesi?

— *Fi donc* Henryku! przecież jeszcze nie byłam na pensyi, kiedy Olesia na świat przyszła.”

— Nie moje to zdanie! przytaczam tylko szczegóły i dowody, aby cię Klarysso odwieść od wahańia się z postanowieniem Olesi.”

— Jakżeż się tu nie wahać! Henryku! chciéj tylko, a wszystko naprawisz; ty namówisz Olesię, niech wróci; a polegając na twojém zachowaniu tajemnicy, wszystko zatrzymamy....”

— Że ją zachowam, więcéj niż pewna, lecz zmusić Olesię do powrotu niepodobna; a tak cały wypadek jutro rozgłosi się w mieście, i kroni-

ka skandaliczna z dodatkami napełni nim swoje kolumny.... Drugie, co powiem, jeszcze brzmi okropniej. Przypuśćmy, że Olesia powróci, że wszystko zatrzymamy, że wypadek nie rozgłosi się jutro, ale któż może zaręczyć, że za.....”

Tu nachyliłem się do ucha Klaryssy i szepnąłem dwa lub trzy słówka.

—Okropny pomysł!” zawołała, upadając na poduszki kanapy.

—O tak, tak!”” dodałem; świat dziś przemysłny, umie sobie zaradzić.

—Mości Panie,” ozwała się po chwili powstając z godnością i powagą; „wiadome ci jest schronienie Olesi; pójdź więc po nią! zaręcz jęj słowem mojem, że za dwa tygodnie, jeśli tego żąda, zostanie żoną Fortunata.”

—Słowo twoje pani! ach czemuż ono nie mnie uszczęśliwia?!

—Śpiesz, śpiesz Henryku! i prędko wracaj z Olesią.” Nie minęło pół godziny, przyprowadziłem zbiega miłości, używszy wprzód całej mojej adwokackiej wymowy, aby ją przekonać o szczérości przyrzeczeń Klaryssy. Ciotka zach-

wała surową godność, lecz z rozsądkiem; siostrzenica uległa powinności, lecz z mocnym postanowieniem. Wszystko z jednej i z drugiej strony stanęło na stopie harmonii. Olesia przy pożegnaniu uściskała mię, od czego chętnie byłbym ją uwolnił.

—Ileż to trudności w tak krótkim załatwiłeś czasie,” mówiła ciotka, odprowadzając mię do drzwi, „rzadki z ciebie człowiek do pogodzenia familijnych sporów; mam nadzieję, że cię zobaczymy na weselu?”

—Zgoda pani! i zaczniemy od kłótni, jak przy dzisiejszej rozmowie.”

—Lepiej zaczniemy od tego, na czémeśmy dziś skończyli....”

To było bardzo grzecznie z jéj strony, lecz są pewne grzeczności, które na mnie nie robią wrażenia, jeżeli im nie towarzyszy urok kobiecy.

—Trzeba przyznać,” rzekłem, dochodząc do mego mieszkania, „że w kilku godzinach dokonałem tyle dzieł mądrych, tyle czynów bohater-skich, że nie mam czego zawiścić pracom Herkulesa. Najprzód nauczyłem się téj kabalistycz-

něj ramoty; powtóre wydałem za trzpiota młodą dziewczynę, w której szalenie byłem sam rozkochany; potrzebie, stroiłem firleje do wdówki czterdziestoletniej, a może i dojrzałszej; poczwarte na koniec wywołałem djabła, który to punkt najlepiej wyjaśni, jakim sposobem byłem twórcą tych cudów.

Ostatni ten pomysł tak mi zajechał w głowę, podczas kiedym obracał klucz we drzwiach mego pokoju, takie ogarnęły mię skrupuły i bojaźnie, że na własnych nie mogłem trzymać się nogach. Zaledwie bowiem przestąpiłem próg, kiedy zmuszony byłem usiąść na stósie szpargałów z założonemi na krzyż nogami i rękoma, z głową pod ciężarem zgryźliwych myśli, opartą na piersi, wzdychałem raz po raz ciężko jak dusza na pokucie. Powieki moje znużone bezsennością i troską, zwolna się podniosły. Z dwóch swiec jedna już była zgasła, druga dopalała się, buchając jaskrawym płomieniem, który wszystkim przedmiotom nadawał ruchy i barwy fantastyczne. W tém nagle uczułem, że włos mi dębem stanął, że krew jak galareta ścięła się w żyłach! Co

widzę! Krzesło moje jak krzesło Banka przy uczcie Makbeta, zajęte przez kogoś! Wpatruję się i nie mogę wątpić.— Z razu chciałem się obces rzucić na widmo, lecz strach spętał mi członki: Wzrokiem tylko obłąkanym mierzyłem tę marę, ten kościotrup, który zajął miejsce Olesi, jakby na ukaranie czarujących wrażeń, sprawionych widokiem pierwszego zjawiska. Było to widmo niewieście, wnosząc z ogromnych szlerek czépka, z pod których coś niewyraźnego, coś nakształt rysów człowieczych wyglądało. Na obu poręczach krzesła leżało wyciągniętych dwoje rąk, chudych, jak szczypty, zakończonych żółtymi niby jastrzębiami szpony; zresztą ubiór tój piekielnej larwy składał się ze staroświeckiego płóciennego letnika, którego białość mocno odbijała od czarności safijanu.

—Wszelki duchu!....” zawołałem, podnosząc ręce do góry; „o nieba! nieopuszczajcie mię w tój ostatniej toni! Ulitujcie się nad biednym szaleńcem, który nie wiedząc o niczém, sprowadził złego ducha w dom swojego ojca!”

—Cóżes to nieszczęśliwy uczynił?...” ozwa-

ło się widmo głosem chrapliwym, powstając w całej swój wysokości, i znowu upadając na krzesło—Panie zmiłuj się nad nami!”

—A to ty Rozalio! twójże to głos słyszę? jakież cud cię tu o tej godzinie sprowadził?”

Rozalia, którą wziętem za widmo, przed pół wiekiem była piastunką mojej matki, nie opuszczała ją przez całe życie, a po jej śmierci rządziła naszym domem z władzą absolutnej gospodyni, kochałem ją bardzo czule.

—Ej, nie cud mię tu sprowadził,” odrzekła Rozalia, lecz weszłam po prostu za pomocą drugiego klucza do twego pokoju.”

—Ależ moja Rozalio! osobliwszą obrałaś porę dla oddania wizyty takiemu, jak ja, szaleńcowi, co to....”

—Czartów wywołuje po nocy,” podchwyciła, grożąc mi palcem; całą noc oka zamrużyć nie mogłam, taki hałas, takie zaklęcia piekielne, to znowu światła jakies błędzące, to legiony duchów czarnych i białych, spadające z obłoków, to jakiś szum, świst, stukanie! och nie pamiętam straszniejszej nocy; nawet ta, kiedy Twar-

dowskiego do piekła ciągniono, nie musiała tyle być okropną! Henryku, cóż to było?

—Wszystko ci wyłożę jak na talerzu. Tyle masz zdrowego rozsądku i doświadczenia, że, jak postłuchasz, osądzisz, czym winny.”

Opowiedziałem więc jój powyższą powieść, (od powtórzenia której, zapewne uwolnicie mnie czytelnicy moi) opowiedziałem cały wypadek z taką sumiennością i z taką szczerą obawą, czym duszy nie zgubił, że samego czarta byłbym wzruszył.

Skończywszy, drząc czekałem najwyższego wyroku Rozalii: z razu długo chowała milczenie, i już sądziłem, że sen ją zmorzył; kiedy w końcu poważnie zdjęła okulary, szkło otarła o rękaw i schowała w futerał. Potém wstawszy, a idąc wprost ku mnie, „idź spać figlarzu!” rzekła, odwrótną stroną dłoni trącając mnie po licu; „idź spać Henryku i nie bój się niczego! Wierzaj starszce, tym razem jeszcze nie jesteś potępiony, ale to wina czarta, nie twoja. Pamiętaj, nie budzić licha, kiedy śpi cicho.”

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS RZECZY.

Stronica.

Próba poświęcenia się z miłości:

I. Nieznajomy — Jasnowidząca — Trucizna 7

II. Ambasador — Poświęcenie się bez miłości 46

III. Bal — Pojedynek 67

Olesk i Białykamień:

I. Zamek Oleski. (Wspomnienia z podróży) 83

II. Zamek Białokamieniecki 113

Szklany Człowiek 153

O Architekturze Chrześcijańskiej 191

Wizyta u romantyka 209

Królewicz Arrakański. (Urywek z moich wspomnień) 227

Powiernik 269

Zapis na duszę. (Powieść fantastyczna) 282



WIECZORNICE.

WIECZORNICE.

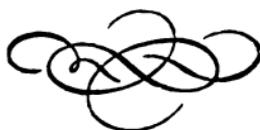
**Powiaſtki, Charaktery, Żyolorysy
i Podróże,**

Z E B R A N E

przez

Lucjana Siemińskiego.

TOM TRZECI.



W I L N O.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1854.

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie
Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 7 Października 1853 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.

POWIEŚĆ NIEPODOBNA DO PRAWDY.

I.

Jechałem pewnego razu wozem pocztowym do Torunia. Było to na wiosnę; trakt wiodący przez żyzne Kujawy lubo niebogaty w romantyczne widoki, zajmującym jest: jak daleko okiem zasięgniesz, widzisz dobrze uprawne i bujne łąny; dwory przyozdobione, wieśniacze chaty porządne, a lud rzeski i czerstwy przypominający wesołego mieszkańca okolic Krakowskich. Wreszcie i wspomnienia historyczne, lubo z zamierzchłych wieków, nadają urok tym stronom. Niedarmo wzrok wytężam chcąc dopatrzeć Gopła, a przynajmniej sterczącej na widokręgu myszłej wieży;

niedarmo wypytujesz, gdzie Złotoryja i Szarląg, sławne rycerskimi przygody tego wojennego mnicha Władysława Białego; — wreszcie z ciekawością wyglądasz Gniewkowa téj niegdyś stolicy udzielnego księstwa. Lecz minawszy Inowrocław, najgłówniejsze miasto w Kujawach — droga staje się na zabój nudną: zboże nikłe, zieloność rzadka — istna Sahara; gdzie spojrzysz, piaski i lasy sosnowe, a raczej karłowate krzaki. Pocieszałem się nadzieją, że przynajmniej Gniewków wynagrodzi mi uprzykrzoną drogę; ale otoż i ów gród książęcy: lichych kilkadziesiąt szater żydowskich, i wszystko! — A gdzież dawny zamek? gdzie ruiny? — Pokazano mi jakby wał jakiś wysoki, na którego wierzchu stał z potężnymi skrzydłami wiatrak... Zresztą żadnej legendy, żadnego podania, jakby te miejsca nigdy nie miały dziejowej przeszłości!

To mię nabawiło wcale kwaśnego humoru. Stojąc na szczycie wału, rozmyślałem z boleścią, że przeszłość nasza padła jak kamień w wodę; wprawdzie został po niej słaby ślad w suchych kronikach, lecz w żywej pamięci ludu tak mało

zostało. Jeżeli bowiem są jakie wspomnienia, to tak mgliste, tak sfałszowane formą obcej legendy, że fizyonomii prawdziwej dopatrzeć niezdolałam.

W tém pocztylion zatrąbił do wsiadania. Pośpieszyłem do dyliżansu.

—Szwagrze! wiele mil jeszcze do Torunia? zagadłem chodzącego leniwie około koni.

—Cztery, odparł.

—A droga jaka?

—Szczerý piasek.

Cztery mile—szczerý piasek—flegmatyczny pocztylion—flegmatyczne konie—wozisko ciężkie—towarzystwo z landwerzysty i liberalnego żyda, to śmierć! skończę gdzieś z nudów śmiertelnych...

Z takim usposobieniem stawiałem nogę na stopień dyliżansu; w tém grzeczny konduktor przyskoczył, chcąc mi pomódz do wsiadania, i zaraz dodał: Jeżeli panu gorąco, możesz siadać ze mną na przodzie; ale przez to pozbawisz się pan miłej kompanii.

Spójrzałem mu ostro w oczy, myśląc, że sobie żartuje.

—Piękna mi kompania—rzekłem; jeden dusił mię śmierdzącym kanastrem, drugi głupią rozmową! wolę siedzieć na przodzie.

—Ale tamtych już niema, pochwycił konduktor; wsadziłem ich do bajwagenu, tutaj sami polscy panowie, jacyś wojażery...

Polacy, wojażery—wcale ponętne towarzystwo do skrócenia nudnej drogi! Wsiadłem więc bez długiego namysłu, i powitałem skinieniem głowy moich trzech towarzyszy, którzy zapewne słysząc rozmowę z konduktorem, grzecznym odpowiedzieli uśmiechem.

Usadowiwszy się jak można najwygodniej w najniewygodniejszym pudle, ruszyliśmy lekkim truchtem po piasku.

Badawczém spójrzeniem zmierzyłem moich towarzyszy podróży. Dwaj siedzący na przodzie dobrej tuszy, z ogorzałą twarzą, pięknym wąsem, wyglądali na właścicieli ziemskich, gdzieś zapewne z powiatów chleborodnych, bo z politowaniem mówili o nędznej glebie okolic Gniewkowa. Trzeci, siedzący obok mnie, zdał się być ich znajomym, przybyłym z daleka. Domyśliłem

się tego z pierwszych słów i ubioru; miał bowiem lekki kaszkiet angielski i bluzę z surowego jedwabiu; włos długi spadający na ramiona, jak artysta lub bursz niemiecki; okulary na nosie i twarz bladą bez żadnej kosmacizny, z wyrazem bardziej zmęczonym niż melancholicznym; poznałem także po hawańskim cygarze które palił, po częstym mieszaniu francuzczyzny i grubej nieznajomości w rzeczach miejscowych, że należał więcej do miejskiego świata, a po cytatach Paryża i Londynu, że peregrynant znający lepiej cudze kąty niż swoje.

Rozmowa z początku z różnej beczki toczona, jak zwykle bywa między nieznajomymi, coraz stawała się więcej ożywioną, mianowicie gdyśmy w piaszczysty bor wjechali. Zrazu przedmioty gospodarskie, landszaftowe, były na stole; dalej coś się zarwało z polityki dzienniej, ale żeśmy się prawie na jedno dziwnym trafem zgodzili, upadła nieznajdując opozycyjnego głosu. Że zaś mój sąsiad ciągle odnosił się do tego, jak to tam we Francyi lub Anglii, rzecz się wszczęła o podróżach. Przedmiot ten, kontrastujący z leniwem

wleczeniem się po piasku, i ze smutnym cienistym lasem, a najbardziej poruszający żyłkę naszego wojażera, ożywił się nie tyle przez wcale nieciekawą powieść jednego szlachcica o podróży do Marienbadu i Grefenbergu, a drugiego o wyprawie ze zbożem do Gdańska, — ile następującym ustępem, w którym ów blady wojażer skreślił swoją przygodę; aczkolwiek ta po wiele razy wywołała na twarzach trzech słuchaczy uśmiech niedowierzania, a nawet głośną protestację— mimo tego tak skróciła nam drogę, że kiedy skończył—otoż i Toruń! zawołaliśmy jednogłośnie: ktoby się był spodziewał, że to tak blisko!

Wszakże niech ta uwaga nieuprzedza czytelników moich, że opowiadanie to równie ich zainteresuje, jak mnie podówczas. Proszę bowiem pamiętać, że komu nudy grożą na kilka godzin, a ma wybierać między niewygodnym drzemaniem, z którego co chwila budzić się musi przez stuknięcie powozu o korzeń, lub sturchnięcie sąsiada, a między opowiadaniem choćby najmniej z prawdą zgodnym—wybierze ostatnie z prostej rachuby: czy tak czy owak nikt mi spać nie za-

broni; jeśli zaś opowiadanie ciekawe, godziny nudne jak mgnienie ulecą.

Ależ wróćmy do rzeczy. Właśnie moi gospodarze wpadli byli na materyą bardzo pospolitą, a mającą praktyczną powagę mianowicie u hreczkosiejów, że pieniądze wszystko robią.

Byłem pewien, że wojażer, który mi na nieodrodne dziecko wieku wyglądał, uzna wartość téj maxymy, tém więcej, gdy mając w żywej pamięci wszystkie przepychy Paryża i Londynu, rozkosze i rozrywki eleganckich stolic świata, wiedział z doświadczenia, że hesperyjski ten owoc dostępnym jest tylko dla tych, co mają dużo, bardzo dużo pieniędzy: bo zresztą żądza używania weszła dziś w krew, jak niegdyś za innych wieków żądza szukania przygód rycerskich. Ale jakże się zdumiałem, gdy on, wyrzucając kawałek niedopalonego cygara za okno, zawołał:

—Moi panowie! twierdzicie że pieniądz jest wszystkim—nieprzeczę. W dzisiejszym świecie gdzie nic niemasz takiego coby nie było do kupienia, maxyma ta ma wielką stronę praktyczną.

A jednakże, gdyby każdemu z was dano tyle, tyle pieniędzy, że każde z najszaleńszych żądań mogłyby zaspokoić—wiecie, co by się stało?...

Tu dwaj szlachcice spojrzeli na niego takim wzrokiem, jakby chcieli powiedzieć: spróbuj tylko i daj, a już poradzimy sobie...

—Oto, mówił dalej—zabrakło-by wam w końcu żądań, siły użycia prędko zużyte, wyrodziły-by przesyt, a z nim śmiertelną nudę i ten niepokój wewnętrzny, który dopiero wtedy krzyczy ogromnym głosem, gdy niema z czem walczyć, ani się o co ubiegać...

—Używalibyśmy rozsądnie, odpowiedzieli oba razem.

—Tak się to mówi; ale chęć użycia jest jak pragnienie: im więcej je gasisz, tym silniej pali. Wszystko co mówię, mówię z doświadczenia—miałem bowiem żywy przykład na człowieku, który miał złota ile zapragnął, a jednak bardzo był nieszczęśliwym; miałem przykład i na sobie, gdy palony żądzą posiadania skarbów, omal żem nie został największym zbrodniarzem... cały mój porządek wewnętrzny przewrócił się i su-

mienie zagłuchło... zeszedłem do rzędu najpodszyjszej istoty... Samo wspomnienie już mię napęlnia wstrętem do siebie samego.

Uciał— a z nas nikt nieśmiał odezwać się, tak przenikającym był jego głos uroczystry, a raczej tak pożądaną zapowiedziana historyja — on tymczasem wyjął świeże cygaro, zapalił, i tak po chwili zaczął:

—W roku 183—z Hejdelbergi, gdzie z wielkiem zamiłowaniem słuchołem wykładu Zacharii i Gerwinusa, pojechałem do Baden szukać rozrywki i wytchnienia po mozolnej pracy. Rozrywek dostarczyło to urocze miejsce, ale wytchnienia nie mogłem znaleźć. Raz zem się zaciągnął pod sztandar pewnej ładnej rozwódki, która zwyczajem naszych modnych dam warszawskich, nigdy nieposiedziała na miejscu, tylko co dzień, co godzina wymyślała coraz nowe wycieczki w okoliczne zamki, a nawet, kiedyśmy wszystko zwiedzili co było do zwiedzenia, kazała mi jeszcze po kilka godzin kłusować w swoim orszaku na najętym biegunie—powtóre, że ruleta fatalny miała pociąg dla mnie, pociąg będący

prawie na równi z czarującą siłą jej spojrzeń i uśmiechu. Ten sposób życia wprawiający w grę dwie najpotężniejsze namiętności—miłość i żądzę złota—utrzymywał mię ciągle w stanie gorączki palącej, tém więcej, gdym się przekonał, że równie oczy téj zalotnej i światowej kobiety, jak i koło fortuny, w które rzucałem moje luidory—zdradzały mię najoczywiściej. Albowiem osoba moja służyła pięknej Warszawiance za płaszczyk do rzeczywistego romansu z pewnym dyplomata, co mię w największą wściekłość wprawiło, bom zawsze wierzył, że przynajmniej na polu miłości tryumf będzie na mojej stronie. Nieszczęśliwy w kochaniu, powinienem był znaleźć szczęście w grze—tak przynajmniej przysłowie uczy, jeśli nie doświadczenie; ale i tu nielepiej się wiodło..., Spory woreczek złota, przysłany mi od dziadunia na podróż do Szwajcaryi i Włoch, która miała posłużyć do ostatecznej mojej ogłady i kultury, niezmiernie zeszczupłał. Do wszystkich tych przyczyn dodawszy jeszcze jedną, to jest wielkie znużenie i niesmak, musiał się z nich wyrodzić

krök skuteczny, czyli prędszy wyjazd z Badenu niżem się spodziewał.

Było to właśnie na dzień przed moim wyjazdem do Heidelbergi, gdzie dobrze znajomy w całym mieście, mogłem kilka miesięcy przeżyć na kredyt, zanimby nowy sukurs od dziaunia nienadszedł. Zajęty składaniem moich rzeczy i długim obrachunkiem z oberżystą, który prawie do reszty wypróżniał pieniądze moje zasoby, widzę wchodzącego kapitana G. jednego z rodaków moich, służącego w wojsku pruskiem a bawiącego w Badenie także dla jakiegoś romansu, i dla rulety.

—Jak to? ty wyjeżdżasz Alfonsie?—zawołał zdziwiony—wyjeżdżasz kiedy się w najlepsze zaczynamy bawić,—kiedy coraz więcej osób z poznańskiego przybywa?...!

—Pokazuje się żem przybył zawczasie — odrzekłem, nieprzestając pakować tłumoku.

—A twójże romans z piękną rozwódką?

—Była to tylko rola gościnna; stały kontrakt otrzymał kto inny.

—A ruleta, w którą tak szczęśliwie grałeś?...

—Zdradziła mię równie jak kochanka.

—Nierozpaczaj, kto młody i przystojny, w miłości i grze odwet mu służy—zostań z nami.

—Nie mogę...

—Co za upor! a założę się żeś jeszcze wszystkich osobliwości Badenu niewidział, dodał żartobliwym uśmiechem.

—Wątpię—w towarzystwie mojej rozwódki dotarłem wszędzie...

—Jeżeli tak, to musiałeś poznać owego dziwaka, alchemistę?...

—Alchemistę?... Nieznam go—ale się domyślam, że jakiś pedant niemiecki chcąc uobecnąć sobie średnie wieki, przyjął na siebie tę głupią rolę...

—Mylisz się—to nasz rodak. W Berlinie chodził na farmację, a teraz tu siedzi w zrujnowanej chałupce za miastem i pracuje zapewne nad odkryciem filozoficznego kamienia.

Nazywa się Mroczek...

—Mroczek?—znam go jak zły szeląg, jeszcze ze szkół w Poznaniu—zawsze coś smażył w ty-

gielkach, i ciągle tajemniczo mówił o wielkiem odkryciu... Muszę odnowić znajomość z tym oryginałem.

—Idąc tu spotkałem go—właśnie kręcił się przed domem, jakby kogo szukał—a przystąpiwszy do okna—oto masz!—zawołał—wskazując palcem, patrzaj—ten blady, rozczochrany i zarostły mężczyzna w niebieskiej bluzie.

—Muszę go widzieć! — przecież to szkolny kolega.

Za chwilę byliśmy na ulicy. Kapitan postrzegłszy kogoś ze znajomych, przyczepił się doń, a ja już ciekawością zdjęty, już wzruszony powierzchnością tego biedaka, pospieszyłem za nim. Z daleka mogłem przypatrzeć się jego wyżółkłej twarzy, oczom zapadłym, które bynajmniej nie wyrażały obłąkania, ale pewien rodzaj dumy i natchnienia. Bluza wypłowiała i połatana, usta jakby gorączką głodu spalone, kazały się domyślać, że walczył z najostatniejszą nędzą. Serce mi się ścisnęło na widok niegdyś kolegi szkolnego... Postanowiłem niepuszczać go z oka.

Biedak zatrzymał się przed przekupką, u któ-

rój wziął kilka rzodkiewek i kawałek masła— jak uważałem, na kredyt—potém puścił się w ciasne uliczki pełne tych klétek stawianych w starym stylu niemieckim, z piętrem wystającym o parę łokci na ulicę, które tworzą wieczny cień, i zdaje się jakby były zbudowane z odłamków starych zwalisk jakiego zamku lub katedry. Trzymając się w niewielkiej odległości, prawie razem z nim wszedłem do najlichszej z tych klétek, a drapiąc się po zbutwiałych wschodach, ujrzałem się w izdebce pod strychem, gdzie prócz kilku snopków słomy, stołu o trzech nogach zastawionego flaszkami i retortami, i małego żelaznego piecyka—żadnych innych sprzętów nie było.

Mroczek zatopiony w myślach nieuważał żem mu towarzyszył—dopiero gdy zadzwoniłem klamką u drzwi—obejrzał się, zmarszczył brwi i zapytał złą niemczyzną: czego pan chcesz?

—Jak to? zawołałem podając mu rękę — niepoznajesz szkolnego kolegi?...

—Stał chwilę osłupiały—a w końcu uderzając się w czoło, wykrzyknął: poznaję cię ziomku!

Ależ pozwól zapytać, jaki interes skłania cię zbliżyć się do takiego nędzarza, jakim jestem?

—Proste chrześcijańskie współczucie i obowiązek rodaka—odpowiedziałem cokolwiek zmieszany; albowiem, gdyby mi przyszło było wyspowiadać szczerą prawdę, w postępku moim mieściło się więcej może próżnej ciekawości niż politowania...

Nieszczęśliwy wpatrzył się we mnie dużemi oczyma, w których przebijało niedowierzanie; ale snadź w twarzy mojej wyczytał jakiś cień wzruszenia, bo mu się łzy zakręciły, słowo skończyło na ustach i tylko w wyciągniętych ramionach któremi mię objął, tłumaczyło się wdzięczne serce... Uspokojony po małej chwili, zaczął mi opowiadać z zapałem fanatycznym, że jest na drodze chemicznego odkrycia tak wielkiej wagi, że wszystkie akademije potracą głowy, skoro je światu ogłosi.

—Wprawdzie zrujnował sobie zdrowie bezsennością, pracą, walką z niedostatkiem, ale raz zabrawszy się do dzieła, postanowił wszystko mu poświęcić. Przyznam się wam, moi panowie,

że młodzieniec ten miał tak porywającą wymowę, wiarę tak silną w to co przedsięwziął dokonać, wyrzeczenie się tak wielkie, a nadzieje tak rozległe, że acz mi się zdał monomanem, niemogłem się oprzeć chwilowemu wpływowi, jaki wywarł na mnie; byłbym ostatnią koszulą z nim się podzielił. Szczęściem zostało mi coś więcej, bo jaki dziesiątek luidorów ocalonych z smoczój paszczy rulety—poszedłem za tém pierwszym dobrem uczuciem, i odliczywszy w kieszeni pięć luidorów wcisnąłem mu je w rękę.

Rozpłakał się jak dziecko. Spytał o właściwy mój pobyt i dodał, że ta mała ofiara stokrotny zysk mi przyniesie. Zapewne—pomyślałem w duchu—stosuje słowa ewanielii, że kto daje ubogiemu, kupuje sobie królestwo niebieskie. Uściskawszy biedaka, raz jeszcze na odchodném, i życząc mu pomyślnego skutku jego dociekań, nazajutrz skoro świt pojechałem do Hejdelbergi.

II.

Blisko rok minął od onego spotkania się z Mroczkiem. Byłem pewny, że biedak skończył gdzie

w domu szalonych.— Wreszcie nie miałem nawet czasu myśleć o nim, bo zapaliwszy się do mechanicznych wynalazków, postanowiłem kształcić się w Anglii, téj stolicy machin. Przybywszy do Londynu o bardzo szczupłym funduszu, udałem się zaraz do niektórych nader zacnych lordów, ci przyjęli mię uprzejmie i zrobili nadzieję, że jeżeli nie zatrudnienie, przynajmniej szczupłą pomoc będę mógł znaleźć, co mię dość uspokoiło, bo prędzej później poczciwy dziadunio, acz zapewne podąsany na mnie, żem nauk uniwersyteckich odbieżał, nieomieszka zasilić mię jaką setką dukatów. Po całodziennych łażeniach po różnych protektorach, wracałem pewnego wieczora do mego hotelu, i gdym klucza żądał od portyera, widziałem jak galonowany lokaj oddawał mu kartę, mówiąc: proszę ją wręczyć panu Alfonsowi Z.... świeżo przybytemu Polakowi, który tu mieszka. Poczém odszedł, potrącając mię łokciem.

Usłyszawszy to, pomyślałem sobie w duchu: ten człowiek pewnie się myli. Zkądżeby biednego, który tylko protekcji i wsparcia przyszedł

szukać u wielkich panów, miały spotkać takie arystokratyczne zaprosimy?

Portyer oddał mi kartę, a ja przeczytałem na niej nazwisko Księcia Gonzagi z mitrą i herbem.... Zdziwiłem się mocno, wiedząc, że przydomek Gonzagów nosił u nas ród, który dawno wygasł, i że Książąt tego nazwiska nieznajdzie nawet w herbarzu Niesieckiego....

Spędziwszy przynajmniej połowę nocy na samych domysłach ubranych w piękne acz gorączkowe rojenia, stawiłem się nazajutrz w przedpokoju Księcia Gonzagi, gdzie zastałem wielu Francuzów, Niemców i Anglików, oczekujących przyjęcia. Już się zabierałem, jak drudzy, czekać cierpliwie, gdy w tém jakiś rodzaj sekretarza, czy pierwszego kamerdynera, po wielu bardzo niskich ukłonach, zbliżył się do mnie, prosząc, abym raczył się udać do Jego Książęcej Mości, który już kilka razy pytał o mnie. Przeprowadzono mię przez kilka salonów umeblowanych z wykwintnym przepychem, aż nakoniec dostałem się do gabinetu, gdzie ujrzałem na sofie spoczywającego mężczyznę. Zdał mi się być cier-

piącym, albowiem ciągle kaszłał i chustkę do ust przytykał. Przystąpiwszy bliżej—jakiż było moje zdziwienie, gdy w Księciu Gonzadze, poznałem byłego ucznia farmacyi, później alchemika badńskiego, zgoła nieszczęśliwego Mrocza....

Książę przez chwilę milczał, bawiąc się mojem zdziwieniem; spojrzał na mnie przygasłem okiem; mocno się zakrztusił, i westchnął głęboko.

—Siadaj tu drogi Alfonsie! mówił wskazując mi fotel obok siebie.—Proszę cię raz na zawsze nie dziw się tej mojego losu zmianie, ani też pytaj o szczegóły, Szkoda czasu, szkoda słów. Życie nasze tak prędko upływa, że mi żal każdej chwili straconej na próżno. I ten moment, który ci poświęcę, aby cię wtajemniczyć w ważne dla mnie wypadki, jest także ukradzionym z niewielu chwil, jakie mi pozostają do życia. Czuję jednak żem ci winien zwierzyć się; słuchaj więc.—Najsławniejszy skutek uwieńczył moją pracę chemiczną. Jestem bogaty, jak nabob indyjski. Lecz cóż mi potem, kiedy sterałem zdrowie i siły, w niedostatku i głodzie dmuchając w retorty. Resztkę wątłego życia chciałbym

przynajmniej spędzić w rozkoszach i używać. Będąc bogatym, dla czegoż nie miałbym sobie pozwolić przynajmniej przed śmiercią. Radziłem się najzawołańszych lekarzy — wszyscy bez ogródki oświadczyli mi, że niedługo pociągnę. Mam suchoty; a na ten rodzaj choroby niema prawie lekarstwa. Wiem naprzód ile miesięcy, dni, nieledwo godzin zostaje mi. Gdybym się szanował, pieścił, niczego nieużywał, słowem nudził się, mógłbym jeszcze wegetować ze trzy lata. A mnie co potem? wolę krótko żyć a dobrze. A jednakże coś mię do życia nęci; wszystkobyem oddał, aby tylko nieumierać tak prędko. Mając wóz i przewóz — to jest: albo żyć dłużej i nudzić się, albo krótko i wyczerpać wszystkie rozkosze o jakich pomyśleć można — przechyliłem się na ostatnią stronę. W takim razie pożyję rok, a może i mniej. Niegardzę też wszelkimi środkami lekarskimi — jeśli nie w celu przedłużenia dni moich, to dla utrzymania się przy jakim takim zdrowiu. Moim zamiarem jest używać, tyle używać w ciągu tego roku, ile inny nieużył przez długie lata. Ujmuję nocy, aby dzień przedłu-

żyć—śnie krótko. Najmniejsze z moich życzeń spełnia się, ledwo pomyślę; a jednak szczęście ucieka odemnie, albowiem przecucie bliskiego końca zatruwa mi najmniejszą rozkosz. Spójrz na ten kalendarz, jeden miesiąc już przekreślony—pozostaje mi tylko jedynaście miesięcy;—przyznaj, że to nie wiele. Niecierpię ludzi, a jeszcze bardziej człowieczego rodu—bo i za cóż miałbym go kochać? Deptał mię jak robaka, kiedy byłem spragniony, głodny i przeziębły.... Teraz przynajmniej chcę się nabawić jego nikczemnością, jego malowanemi cnotami—ażebym umierając nie miał czego żałować na świecie. Niech cię to niegorszy, ale wyznaję, że opłakany stan mój! Wszystko, czego zapragnę, mam na zawołanie; a skoro raz cel życzeń posiędę, uczuвам przesyt i nudę.. Dałbym niewiedzieć co, żeby wrócić do dawnego ubóstwa i pracy; bo wtenczas miałem cel przed sobą, do którego dążyłem wszystkimi duszy i ciała siłami; bo wtenczas niewiedziałem o godzinie mojej śmierci. Przewidywać swój koniec, jest to jedno co umierać każdego dnia, każdej godziny; co gorsza, stan

mój nie obudza nawet litości; ludzie widząc mię bogatym, nieprzypuszczają, żebym mógł być tak nieszczęśliwym!

Książę załamał ręce nad głową—a podumawszy chwilę, spójrzał na zegar i zawołał: już godzina obiadowa, chodźmy!

Otworzyły się podwoje i przeszliśmy do wspaniałej sali jadalnej, gdzie liczne towarzystwo oczekiwało na pana domu. Były tam prześliczne kobiety, artyści z całego świata, dowcipnisie i najzawołańsi eleganci. W ciągu najwykwintniejszego obiadu przegrywała muzyka symfonie Mozarta i Bethowena. Książę miał uśmiech i grzeczne słówko dla każdego z gości, ale co chwila przygasała jego żrenica zwracała się na zegar....

—Oto już dziesiąta—rzekł wstając od stołu; za nadto się bawię; a czas tak prędko ucieka! Niechaj powóz zajedzie — Alfonsie, będziesz mi towarzyszył na wieczór do lorda D.... zacny to człowiek i szczery przyjaciel nasz....

Pędem szalonych koni, stanęliśmy w kilka chwil przed hotelem lorda. Książę przedstawił mnie gospodarzowi. Wchodząc do salonu, u-

śmiechnął się do wszystkich, uśmiechem, który jeszcze szpetniejszą twarz jego czynił, niż była w istocie... Miał bowiem włos rudy, płeć białą piegami upstrzoną, usta blade i policzki zapadłe; a jednak najpiękniejsze kobiety, ozdoby salonu, zawiesiły wzrok uprzedzający na tój grobowej postaci, krygując się i mizdrząc, aby tylko uwagę jego ściągnąć na siebie. Wierzajcie mi panowie, zem oka niepuszczał z tych pań, śledząc najmniejszych ich poruszeń; i cóż na to powiecie? gdym w ich spójrzeniach i ruchach wyczytał ten sam ogień, tę chęć podobania się, tę żądzę, jak gdyby to najpiękniejszy i najmilszy młodzieniec wszedł do salonu. Nie była to czcza tylko kokieterya, ale namiętność — i namiętność dla kogo? dla Księcia Gonzagi, tego chodzącego trupa, którego śmiech przypominał charkanie konającego. Postrzeżenie to nasuwało mi piekielne uwagi nad naturą kobiet. O któż potrafi zgłębić te niedocieczone istoty!

Książę znudzony towarzystwem dam, rzucił się do wista. Robił wielkie zakłady, i w ciągu dwóch godzin wygrał ogromne summy. Nade-

dniem, jakby uderzony jakim nagłym nieszczęściem, zerwał się, zadrżał, wziął za kapelusz i skiniawszy na mnie, wybiegł z salonu. Szlachetny lord odprowadził go do drzwi, a piękne panie powstały, gdy przechodził. Wróciwszy do siebie, zaledwieśmy wysiedli otoczeni gronem służących, Książę zawołał: Za pół godziny ruszamy w podróż — powóz niech będzie gotowy. A obracając się do mnie.

—Spodziewam się Alfonsie, że pojedziesz zemną prześpiemy się w powozie....

Książę wszedłszy do swego pokoju, rzucił się na sofę i utonął w głębokim zamyśleniu, dopiero po niejakić chwili orzeźwił się, gdy mu lekarz jego przyniósł jakiś kordyał, który wypił: słaby rumieniec wystąpił mu na lice; poczem obracając się do mnie, spytał, czy miałem jaką rozrywkę na balu u lorda D....? Odpowiedziałem, że wieczór był świetny i zajmujący i że grono pięknych Angielek zrobiło na mnie wielkie wrażenie; nie wątpię—dodałem, wpatrując się weń—że miłe ich i zalotne spójrzzenia utkwione w twoją osobę, nie musiały ci być obojętne. Zapewne, że choć

jedną obrałeś za przedmiot strzelistych affektów? . . .

Na to moje zapytanie, uśmiechnął się okropnie.

—Wszystko to znudziło mię—odparł kwaśno—może mi więcej podobają się Francuzki. Pojedziemy do Francyi i to zaraz.

Moje rzeczy już były spakowane, równie jak rzeczy Księcia. Zastanowiła mię szczególnie wielka waliza, mocno okuta i na kilka zamków zamknięta, nad której umieszczeniem i przyśrubowaniem sam Książę czuwał, jakby nad najdroższym skarbem. Domyślałem się, że ona zawiera, albo tajemnicę bogactw jego, albo też same bogactwa.

Nazajutrz byliśmy już w Paryżu. W stolicy Francyi, Książę prowadził ten sam tryb życia co w Londynie. Wspaniałe uczyty po ucztach; wykwintne powozy, najlepszej rasy konie, towarzystwo złożone z wszystkich znakomitości, łoża w każdym teatrze, zgoła, używaliśmy na najwyższą skalę, codziennie tysiące pękały, tak, że prawdziwie odchodziłem od rozumu, jakiego to rodzaju Paktol niewyczerpany, płynął na jego u-

sługi? Wyobrażenia moje dziecinne o zaczarowanych skarbach, o kamieniu filozoficznym obracającym wszystko czego się dotknie w złoto, stały mi na myśli, nieraz też wierzyłem na prawdę, że mam do czynienia z czarownikiem.

Tymczasem Książę to samo sprawiał wrażenie w salonach paryzkich, co i w londyńskich. Wyprzedzano się, kto pierwszy odda mu ukłon, kto poda i ściśnie rękę, kto powie przechodzącemu pierwszy: dzień dobry. Płec piękna przepadała za nim. Najzawołańsi dandysi, używający niepospolitej sławy za kulisami, bledli obok niego. Natłok do naszego hotelu był tak wielki, czy to wizytujących, czy projektowiczów chcących go wciągnąć w przedsięwzięcia kolei, lub kanałów, spekulacyi giełdowych, lub olbrzymich buraków, a nakoniec choćby w jakie plany szalone mające ludzkość zbawić, że po kilku tygodniach tego wiru romansowo — ekonomiczno — politycznego, niepozostało mu jak zamknąć drzwi hotelu przed natrętami.

Wprawdzie natłok wizytujących ustał; ale Książę nieprzestał nudzić się w najlepsze.

—Ot i po wszystkim!—mawiał zwykle po każdej przyjemności i rozrywce, po każdym zaspokajaniem pragnieniu. Niewarto było tyle trudu i zabiegów....

Pewnego dnia przechadzając się po lasku Bułońskim, spotkaliśmy prześliczną blondynkę, w jej rysach malowała się nieporównana słodycz i prostota. Oczy błękitne jak niebo włoskie, kibić smukła, a cała postać tak doskonała, jakby ją nieśmiertelnyRafael nakreślił. Była to piękność wyjątkowa, i że tak powiem, arystokratyczna, każdy bowiem jej ruch odznaczał się nieporównanym wdziękiem i naturalnością, której żadna sztuka naśladować niezdola. Przyzwyczajeni do Francuzek umiejących wszystko ze siebie zrobić, a nawet nadać sobie sztuczną naturalność i prostotę, zapomnieliśmy języka, dziwiąc się, zkąd takie cudne stworzenie znalazło się na bruku paryzkim?

Książę utopił w niej spójrzanie; ona zmieszana, odwróciła się; mieliśmy ją minąć, gdy w tém jakiś przystojny mężczyzna zeskoczył z konia, oddał go służącemu i sam zbliżył się do

naszej piękności, aby jej ukłon oddać na który ona nadzwyczaj słodkim odpowiedziała uśmiechem, a szepnąwszy kilka słów, podała mu rękę i zwi-
 siła się na ramieniu młodzieńca. Był to bowiem kochanek i kochanka, jak to nazajutrz powiedzia-
 no nam z pewnego źródła. Za parę dni mieli się pobrać. Młodzieniec ów równie był pięknym i dobrze ułożonym jak jego narzeczona. Para ta, jakżeż była zakochaną! Zajęci tylko sobą, niezważali na nas. Widok ich sprawiał prawdziwą rozkosz; te ścisnięcia rąk, te mdlejące spójrzzenia, te miodowe słówka przysięg miłosnych—wydały się gruchaniem dwojga gołąbków. A cóż dopiero, gdy w pocałunku spotkały się ich usta, w pocałunku tak lekuchnym, jak wietrzyk muskający oddechem swoim trawki na łące.... Widok tych pieśczoł, wywołał uśmiech na ściśniętych ustach Książęcia; widząc to, rzekłem doń gdyśmy wracali do powozu czekającego na nas: Piękna to rzecz ta miłość—dla zakochanych smutny ten padół w niebo się zamienia....

—Masz słuszność— odrzekł— tę jedną kobietę znajduję godną siebie.

Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu na tę zarozumiałość bogacza, i wyzwiałem Księcia na zakład, że może sobie i Paryż kupić, ale tej nieporównanej kobiety niepodbije. O ślepoto! anim się spodziewał jaką odbiorę naukę. Nie miałem bowiem pojęcia o ułomności tego złudzenia, które zowią miłością. Dotąd jeszcze żałuję, że temu świetnemu motylowi oberwał tęczowe skrzydełka.

Na drugi dzień po ślubie tej pięknej pary, Książę wyjął ze szkatułki swojej garść brylantów, wybierając wszakże same mniejsze i gorszej wody, które mimo tego były bardzo piękne i mogły nawet ozdobić szyję jakiej Księżniczki lub Hrabiny. Szkatułka ta zawierała dyamenty nadzwyczaj wielkie, mogące stanowić wartość kilku milionów. Widok tych bogactw zawrócił mi głowę. Książę postrzegł to moje wzruszenie, zląkł się i odszedł odemnie. Wstyd mię było samego siebie; żartowałem z bojaźni Księcia, ale w duchu rozumiałem czém są brudne namiętności toczące jak robak duszę człowieka. Książę w oczach moich stał się podobien szata-

nowi, który mi dno piekła otworzył. Odtąd miałem przecucie, że młoda owa kobieta, i jej miłość, stoją nad przepaścią zguby.

Książę kazał jubilerowi z dyamentów tych zrobić przepyszny naszyjnik; kamienie siały taki blask, tyle budziły żądz, co owe jabłko rajskie, którem szatan zgubił pierwszą niewiastę.

Kiedy nowożeńcy wrócili od ślubu, a pan młody za czemes się oddalił, kamerdyner Księcia, szczywany Włoch, poniósł naszyjnik. Jednakże wrócił niebawem. Panna młoda odrzuciła podarunek, szlochała, gniewała się, grożąc, że jeżeliby się poważył przyjść powtórnie, powie wszystko mężowi. — Odmówienie kosztownego daru ze strony pięknej pani, ulżyło mi cokolwiek na sumieniu; albowiem wyrzucąłem sobie, że byłem przyczyną tych zgubnych pokus, i nigdybym sobie nie darował jej upadku.

—A co mój Książę? widzisz, że prawdziwa miłość nie jest urojeniem! — Zawołałem tryumfująco, rozwijając wymowną obronę miłości i wierności kobiet.

Książę zwyczajem swoim uśmiechał się i ru-

szął głową, jakby chciał powiedzieć: — czekaj końca.

Nazajutrz jubiler przyniósł nowy rząd dyamentów, który dodany do naszyjnika, tworzył prawdziwie królewską ozdobę.

Kamerdyner udał się znowu do mieszkania pięknej pani. Pokojówka nie chciała go nawet wypuścić. Ale Włoch przebiegły i chytry, tak umiał porozumieć się z subretką, że ta, mimo wiedzy i pozwolenia swój pani, położyła naszyjnik na gotowalni. Ma się rozumieć, że pani postrzegła go, wpadła w gniew, złajęła służącą, ale naszyjnik oceniła najmniej na trzykroć sto tysięcy. Zuchwały Włoch potrafił wtedy wciśnąć się do pokoju, i prosić o łaskawą odpowiedź. Co za bezczelność! Piękna pani sfolgowała cośkolwiek w gniewie, oddała naszyjn błagając, aby ją więcej nienagabywano, aby Książę raczył wiedzieć, że się mocno w swych rachunkach pomylił. O zaskarżeniu ich przed mężem nie było wszakże ani słowa; przeciwnie, dała się z tém słyszeć, ażeby Książę, który jest tak wielki i uprzejmy pan, zabrał znajomość z jej

mężem. W takim razie miłoby jój było widywać go u siebie, pod warunkiem, że o naszyjniku lub innych kosztownych darach ani wzmianki nie będzie. Za fatygę ofiarowała nawet Włochowi luidora, którego nie przyjął, powiadając, że jego pan, jeden z największych polskich magnatów, więcej mu daje pieniędzy, niż może stracić.

Przez całe trzy dni Książe ani razu nie wspominał nic o tój piękności. Sądziłem, że porwany wirem wielkiego świata, zapomniał o niej. Ale jakżeż się zdumiałem, kiedy mi pokazał biłecik od jój męża zapraszający nas na balik domowy. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy godziny właściwej. Przybywszy zastaliśmy dość liczne towarzystwo. Gospodyni była czarującą; strój jój tchnął najwyższą elegancyą, połączoną z wybornym smakiem. Brakowało jój tylko dyamentowego naszyjnika, ażeby przeciął jednotonną białość szyi i ramion. Pani przyjęła nas uprzejmie, a mąż jeszcze uprzejmiej, który Księcia żonie swój przedstawił. Przez cały czas Książe był nią zajęty; rozmawiali tylko z sobą, jakby więcej nikogo nie było w salonie....

Nazajutrz naszyjnik, pomnożony jeszcze dwó-
ma rzędami najpiękniejszych dyamentów, prze-
niósł się do buduaru żony, i nie wrócił więcej.—
Książę okazywał się często roztargnionym i za-
myślonym: a w pewnych godzinach znikał nam
tajemniczo.

Łatwo wpadłem na trop téj nagłej zmiany.
Wyobraźnia moja miała otwarte pole, wysta-
wiać sobie szpetną postać naszego alchemika
z jego szatańskim uśmiechem i spojrzeniem, za-
rzucającego ten milionowy naszyjnik na alabastro-
wą szyję najpiękniejszej kobiety, słodkiej, cno-
tliwej, skromnej, kochającej męża, niegardzącej
opinją świata; która z jednej strony czując wstręt
do swego wielbiciela, wydającego się przy jéj
małżonku jak Satyr obok Apolla, z drugiej olśnio-
na cudownym blaskiem kamieni promieniejących
jak słońce, rzucała w to zwodnicze ognisko, wstyd,
uczciwą wiarę małżeńską, instynkt niewieści od-
pychany brzydota; nakoniec stłumiwszy w sobie
wszystko co szlachetne i czyste, uległa zwodni-
czej pokusie.... Była to w małym rozmiarze, ca-
ła historia świata i ludzi.— Książę z swoimi dya-

mentami okazał się potężniejszym nad cnotę, nad przesąd, nad wstyd, nad wiarę.— Tytan nowej epoki zdeptał to wszystko, świat zarzucił na baraki i ani się zachwiał pod tym ciężarem. Po takim tryumfie mamony, nad czystością i cnotą, jakże kłamliwemi wydają się sentymentalności poetów, jak śmiesznym Seneka z swoją stoicką cnotą!

W miesiąc po tych wypadkach, mąż pięknej pani kupił na własność wspaniały pałacyk z parkiem i gruntami w okolicach Wersalu. W towarzyskich kołach krążyła pogłoska, że grając na giełdzie zrobił taki majątek...

Przez ciąg kilku-miesięczny zwiedziliśmy wszystkie prawie stołeczne miasta europejskie, nie pomijając wód i miejsc sławniejszych. Nie było rzadkości, nie było cudu natury i sztuki niedostępnego dla nas; za pomocą wszechmocnego talizmanu, rozbieraliśmy serce ludzkie do naga, ważąc je na wagę złota. Mogę wam ręczyć moi panowie, że mało kiedy przewaga znalazła się na stronie serca. Organizacya dzisiejszego społeczeństwa zupełnie jest matematyczną; dla tego

rzadko zwyciężało uczucie, a zawsze wygrywała liczba. Odtąd powziąłem dla bogactw cześć prawie religijną, a mając zwyczaj pisać mój dziennik, zapisałem wielkimi głoskami tę maksymę: Bogactwo jest najpiérwszą z cnót towarzyskich. Powieś się Archimedesie, żeś nie odgadł téj dźwigni, a byłbyś świat podniósł!

Kiedy wir uciech, rozrywek, zabaw, w którym kręciliśmy się nieustannie, zostawiał mi aby chwilę spokojnych i zimnych rozmyślań, siliłem się dociec, jakie być może źródło tych skarbów rzucanych przez Księcia z rozrzutnością marnotrawnego syna, a z nieogłędnością jedynego potomka wielkiej jakiej rodziny, który rachując na bogatych stryjów i ciotki, przetapia sukcesyą po sukcesyi? Za każdym razem co garściami sypnął złoto na jaką fetę bajecznej wystawy i zbytku, lub co je krociami przepuścił na karty, kobiety, zakłady— miał zwyczaj uciekać się do swojej szkatułki tajemniczej, z której dobywał dyamenty najcudniejszej wody i wielkości; wtedy to zbiegali się jubilerowie; bogaci kapitałiści, bankiery, ofiarujący w zamian swoje pié-

niądze i weksle. To tylko najbardziej zastanawiało mię, że szkatułka wypróżniona w wieczór, nazajutrz znajdowała się pełną. Jakim się to sposobem działo? — miałże on w istocie stosunek z czartem? — Tego nie mogłem żadną miarą odgadnąć, ani przypuścić. Opływając w rozkoszach jak pączek w maśle, wyrzucałem sobie tę moją ciekawość i niepokój; to znowu poddając się najdziwniejszym domysłom, zacząłem wierzyć, że to sen, że mi się w głowie popsuło...

Te myśli i niepokoje, tak dalece wzburzyły mi humory, że aż kazał przywołać lekarza; puszczone mi krew, położono w łóżku, pojono ziółkami, i nic jeść nie dawano. Mimo tego, stan mój moralny ani się polepszył, ani pogorszył — po kilku dniach małego osłabienia, mogłem już z towarzyszem moim w nową podróż się puścić.

Od czasu wyjazdu naszego z Londynu, upłynęło prawie pół roku. Daję wam słowo moi panowie, że w ciągu tych sześciu miesięcy, przeżyłem tyle co w dziesięciu latach. Pół roku podróży, rozrywek, uciech, więcej mnie nauczyło, niż się nauczę przez resztę życia.

Podług rachunku lekarzy Księcia, zaledwie pięć miesięcy zostawało mu do śmierci. Suchoty powinny były w ostatnim stopniu rozwinać się, a każdy dzień zbliżać go do grobu. Tymczasem, jakby szatan chciał sobie zażartować z doktorów, pomimo naszych zbytków, i tego życia czynnego w gonieniu za uciechami, oblicze Księcia zaczynało wypełniać się i zakwitać rumieńcem zdrowia. Ów kaszel suchy, duszący go co chwila przy ogniu węglanym w Londynie i Paryżu, gdzie się podział na świeżem powietrzu we Włoszech i południowej Francyi. Przyśiągłbym żeśmy go utopili w szampańskim winie, a raczej że się przeniósł napowrót do naszych doktorów, jak ten, co służbę traci, i do swego protektora udaje się po nową rekomendację. Słowem, Książę nie wyglądał wcale na suchotnika: zdawało się nawet, że odmłodniał, że te mgłą zaszłe dawniej oczy, zaczęły strzelać żywym promieniem; ta zmiana uczyniła go jeśli nie zupełnie przystojnym, to przynajmniej znośniejszym, Ale cóż potem, kiedy zdrowie cielesne nie wyleczyło schorzałej duszy. Humor

jego codzien stawał się posępniejszym. Wyczerpał wszystkie rozkosze, skosztował każdego szczęścia, użył czego użyć może śmiertelny;— i nic dla niego nie miało ani powabu, ani tajemniczości, ani interesu. Nuda i przesyt— dwa węże obwinęły mu serce wypijając zeń treść życia.

Pewnego dnia rzekł do mnie w napadzie splinicznym:

—Dałbym milion, żeby mi się czegoś zachciało.

Odpowiedziałem mu żartem, że milion sobie oszczędził, bo już ma zachcenie zachcenia...

Wstrząsnął na to głową żałośnie, i kazał sobie podać Kalendarz, w który dawno już nie zaglądał.

—Jeszcze mi zostaje pięć miesięcy— zawołał z westchnieniem,— nie, to być nie może— to niepodobna!— I pogrzyżył się w głębokiem dumaniu.

Sądziłem w duchu, że mu żal było tego życia, które miał niebawem opuścić, jak mu nagadali doktorowie; i nie szczędziłem dowodów,

przeciw nieomyślności lekarskiej, twierdząc, że natura nieraz sama więcej dokazuje cudów niż najzawołańsza sztuka.

—Czy tak mniemasz?— przerwał mi z ironicznym uśmiechem.

Później dopiero przekonałem się, że jego myśli nie pojął.

Tymczasem czarny humor Księcia, codzień stawał się czarniejszym. Obawiałem się, że przepowiednia lekarzy prędkiej ziścić się może, niż do pięciu miesięcy; a najbardziej trwożyła mnie ta myśl— że umrze nagle— a ja nie odkryję tajemniczego źródła jego bogactwa; albowiem tyle już doszedłem, że jakiś sposób chemiczny, nieznanany nikomu, był właściwie ową różdżką czarnoksiężką, która tyle cudów w koło mnie tworzyła. Zauważałem także, że od pewnego czasu wzburzona wyobraźnia jego, nawet we śnie objawiała się w urywanych myślach i słowach. Kilka takich słów pochwyconych czasu nocy, naprowadziło mnie na niektóre domysły. Żądza odkrycia tej piekielnej tajemnicy, zaczęła mnie palić, jak pragnienie na puszczy. Przyznaję się ze wsty-

dem, że byłbym się dopuścił największej zbrodni, ażeby tylko osiąść tę tajemnicę. Ten szłał tak mię owładnął, że przestałem być panem siebie. Wtenczas po raz pierwszy zrozumiałem, co to jest zbrodnia; zrozumiałem, jakim sposobem czysty głos sumienia, zasady religii i dobrego wychowania, przygłuszy wrzask namiętności wybuchającej na raz jak wulkan, wszystkiemi zmysłami, wszystkiemi porami ciała. Nadaremnie odpędziałem od siebie te piekielne zamiary, które w nocy zakrwawiały moje sny. Nie mogłem im nic poradzić!

Nakoniec, ażeby lepiej wyszpiegować sny jego, zmyśliłem współczucie dla cierpień i męczarni, jakie w nocy ponosił, prosząc go, aby mi pozwolił sypiać w jednym ze sobą pokoju. Przez ciągłe nalegania otrzymałem, czegom tak gorąco pragnął.

Wracaliśmy właśnie z Włoch, przez Szwajcaryą do Francji. Pierwszą noc spał Książę wybornie. Nazajutrz zatrzymaliśmy się na nocleg w pewnej wiosce w górach Jura, dzikięj i smutnej; mój towarzysz przez cały dzień mocno zdał

się być niespokojnym; powietrze było duszne, widokrąg zasuty chmurami; wszystko wróżyło burzę. Widząc go w takim stanie zwątlenia i niemocy, cieszyłem się w głębi, że zamiar mój uda się! Zwyczajem swoim kazał on wnieść do swego pokoju wielką, okutą szkatułę, którą, jak przypomnicie sobie, tak starannie upakowywał w Londynie. Pożerającym wzrokiem zmierzyłem ją, pewny, że miała w sobie tajemnicę. Książę położył się, i ja uczyniłem toż samo. Nasze łóżka stały od siebie o kilka kroków. Słaby blask lampy rzucał niepewne światło. Idąc spać, schowałem dobyty sztylet pod poduszkę. Książę niczego nie domyśliwał się; niespokojny wyraz méj twarzy, wzrok zaiskrzony, nie musiały go nawet zastanowić. Długi czas przewracał się w łóżku— poczem uspokoił się; wolno i równo oddychał— i zasnął na dobre. Powstałem z łóżka, napawając się jego snem, który mi otwierał wrota do szczęścia ziemskiego, jeżeli tylko ramie nie zadrgnie przy wykonaniu najczarniejszej zbrodni. Ściskając dłońią rękojeść sztyletu, przerzucałem wzrok od szkatułki oku-

tój na oblicze Księcia, na którym malowała się słodycz spoczynku i spokój sumienia. Ten widok odjął mi odwagę moralną do popełnienia zbrodni, którą abym mógł być popełnić, potrzebo wałem jakiegoś gwałtowniejszego fizycznego bodźca; zresztą, sen człowieka obsypującego mię do brodziejstwą, polegającego na mojej uczciwości, stał się tarczą przeciw mnie samemu, on mię też zasłonił od pokus piekielnych ciągnących mię w bezden zbrodni.

Książę przemówił coś przez sen. Prędko przytuliłem się do poduszki, niewypuszczając wszakże sztyletu z dłoni. Podobien nocnej marze powstał z pościeli i zaczął chodzić po pokoju. Uważałem że miał w pół otwarte powieki, a oczy tak mdłe i zgasłe jak u trupa. Dreszcz mię przeszył całego i włosy mi na głowie powstały, Książę zbliżył się do szkatułki, otworzył ją, wyjął kilka węgli, znowu jakąś niezmiernie skomplikowaną machinę, która wyrzucać począła nieustający prąd elektrycznych iskier. Przypomniałem sobie w tej chwili dawniejsze lekcye chemji!, gdy mię uczono, że dyament jest ro-

dzajem skryształizowanego węgla, że gdyby człowiek potrafił kiedy odkryć tak silny ogień jak ognisko wulkanów, wydarłby naturze tajemnicę tworzenia dyamentów. A więc Mroczek, ów biedny Mroczek umierający niegdyś z głodu, miałżeby odkryć tę wielką tajemnicę?! Odchodziłem od zmysłów.... Wyobraźnia moja kręśliła mi wszystkie dziwy, całą potęgę stojącą na jego zawołanie.... Posiadając to cudowne arkanum, któż mu zabroni kupować ziemie, pałace, miasta, królestwa nawet? Czemużby, gdyby zapragnął, tronu sobie nie kupił? On, co kupował dusze, namiętności, uczucia, miłość— on, co za pomocą tego talizmanu tryumfował nad wstydem, uczciwością sumieniem, nad wszystkimi cnotami w całej świeżości, w całym ich blasku dziewiczym?

Okropna tajemnico! w tobie źródło wszystkich rozkoszy, i wszystkich nędz człowieczych, na twój widok, piekielny ogień zaczął mi pożerać ciało i duszę! Czułem jak twa potęga zstępowała na mnie; coś mię pchało do zbrodni, która w tej chwili wydała się lekką, jak dzie-

cinna igraszka. Konwulsyjną dłonią ścisnąłem sztylet, ścisnąłem tak silnie, że mi się paznokcie w dłoń wbiły. Z językiem przyschtym do podniebienia, oczyma pałającymi, ręką wzniesioną — jak żona Makbeta — posunąłem się zwolna ku Księżciu, który w kącie pokoju, zgięty nad swoim dziełem nie widział mię przy słabym blasku nocnej lampy, a ja mogłem widzieć całą robotę. Kolumna elektrycznego światła buchnęła z maszyny, a objąwszy kawały węgla — zaczęła je trawić i topić. Natężenie tego światła było tak silne, że to słońce które w tej chwili nam dopieka, moi panowie, możeby zbladło przy owym blasku, tak był przenikający, tak żywy. Po chwili ogień ten zgasł. Ciemności wróciły, a z nimi szatany pobudzające mię do mordy. Książę wy dobył z retorty dwanaście ogromnych dyamentów. Na ten widok nie byłem panem nad sobą, jeszcze silniej ścisnąłem sztylet i już chciałem weń uderzyć.... Gdy w tém pośliznąłem się po dyamentach rozsypanych na podłodze, uderzając czołem o róg kominka.... To przywołało mię do zmysłów.. to odciągnęło od zbrodni, za co moim anio-

łom stróżom po wszystkie czasy modły dziękczynne zanoszę... Z nieśmiałością i trwogą spojrziałem w twarz Księcia, chcąc z niej wyczytać, jakie wrażenie zrobił mój postępek na nim—ale oczy jego ciągle były przygasłe—zdawało się, że sprzymierzony z duchami, nie zostawał w żadnym związku z światem zmysłowym... Jak psotnik złapany na gorącym uczynku, zarumieniłem się, a kryjąc wstyd i łzy żalu, uciekłem na łóżko, z kąd po chwili podnosząc głowę mogłem znowu przypatrzeć się drugiemu experimentowi, jeszcze cudowniejszemu—bo na żywe oczy widziałem, jak wsypawszy jakichś proszków do tygla, otrzymał bryłę najczystszej złota.

Po odbyciu tych prac chemicznych, którym tajemniczość i cisza nocna nadawały wyraz jakiejś czartowskiej roboty, zbudził się Książę. Domyśliłem się tego po nagłym wstrząśnieniu wszystkich jego członków i muszkułów, i po blasku ocz, które się otwały zupełnie. Widząc się tylko w koszuli i zajętego tém dziełem, zdziwił się niepomatu i zakłopotał, bo czém prędzej uprzątnął wszystkie ślady nocnej pracy zamykając na trzy

zamki owę machinę, wynalazek jego jeniusza i źródło niewyczerpanych bogactw. Rzuciwszy okiem na moje łóżko, pobladł i prawie zzieleniał. Poczém wziął nabitą króciwą leżącą na stole, odwiódł kurek, i lufę przyłożył mi do piersi. Zaparłem dech w sobie, i ani drgnąłem, pewny będąc, że najmniejsze drgnięcie, będzie śmierci mojej wyrokiem.

Książę zaspokojony tą próbą, niewątpił, że sen mój nie był udanym. Wtedy położył się, oczekując dnia. Do samego rana żaden z nas nieruszył się, a jednak żaden pewno oka nie zmrużył.

Nazajutrz puściliśmy się w dalszą drogę; ale ani razu niepodawała mi się tak dogodna sposobność, jak ta, którą opuściłem. Książę ustawnie znachodził jakiś powód oddalenia mię od siebie; dla tego nie mogłem zostawać z nim sam na sam. Szczególniej w nocy zamykał się w osobnym pokoju. We dnie, lecieliśmy pocztą. Mój piekielny zamiar zgładzenia go ciągle tkwił mi w głowie, i jak szatan siedział między nami w powozie.

Książę coraz miał się lepiej i coraz czerstwiej wyglądał. Świeże powietrze górskie, ruch ustawny, bośmy po drodze zwiedzali każde piękniejsze miejsce i ustron, służyły mu wybornie. Mimo tego codzień stawał się posepniejszym, bardziej znudzony i milczący.

W Bezansonie zajechawszy do najpierwszej oberży, odpoczęliśmy parę dni. W czasie obiadu nawiedził nas Trapista; z klasztoru będącego w okolicach tego miasta, przyszedł po kweście. Każdy z gości ofiarował coś do karbony, ale gdy do nas się zbliżył ów poważny, a czerstwy starzec, przemówił po polsku. Ucieszyliśmy się wielce niesłyszac oddawna ojczystej mowy; a i zdziwili niemniej, znachodząc rodaka członkiem tej surowej reguły.

Staruszek rozmówny niezmiernie (wynagradzał sobie czas stracony na milczeniu w klasztorze), zapuścił się zaraz w szeroką pogadankę, w której nam skreślił bieg swego żywota, Nazywał się Pociój: był oficerem wyższym za czasów Napoleona, lecz po bitwie pod Waterloo—ów świetny oficer od huzarów, dusza koleżeńskich za-

baw, przedmiot wzdychań najpiękniejszych kobiet—acz lubił świat i jego rozkosze, taką uczuł w sobie odrazę do wszelkich doczesności, że nagle powziął zamiar poświęcić się służbie bożej, jako jedynej nadziei przyświecającej śmiertelnikowi w rozpacz i rozczarowaniu. Książę słuchał go z wielkiem upodobaniem i ciekawością, wypytywał o szczegóły życia klasztornego, o rodzaj pracy, i po kilkakroć zagadnął, czyli znalazł ten spokój wewnątrzny?

Staruszek uśmiechnął się z wyrazem anielskiej stodyczy.— Pytasz mię panie, czym znalazł pokój? Mógłżem go nieznaleźć, wyrzekłszy się wszystkiego, zaczem świat goni? W progu klasztoru, pożegnała mię pycha i miłość własna; odstąpiły wszystkie namiętności i żądze; przestałem pragnąć ziemskich marności, skierowawszy pragnienia duszy ku celowi mego zbawienia, który mi nie może przywieść rozczerowania i nudy, bo się rozwiązuje dopiero za grobem, a i ta przyszłość za grobem nie jest żadną zagadką; gorąca wiara daje mi pewność, że o ile ducha mego z ziemskich brudów oczyszczę, o ile go

wyżej wzniosę do Boga, o tyle większy udział wezmę w zbawieniu....

—Więc to jest jedyny port, dla skołatanego burzami i marnościami świata! zapytał Książe, jakby się chciał utwierdzić w tém przekonaniu.

—Nieinaczéj— odparł Trapista— z tym jednakże warunkiem, że ktoby tam przyniósł odrobinę żalu, za tém, co na świecie porzucił— niech lepiej nieprzestępuje progu klasztoru.

—Książe nic nieodpowiedział—tylko zapadł w głęboką zadumę, z której dopiero się ocucił, gdy kwestarz brzęknął karboną...

--Chcesz ojcze abym co wrzucił?—zapytał.

—Co łaska... odrzekł starzec kłaniając się.

—Pokazuje się, żeście nie zupełnie zerwali ze światem, kiedy jego mamony pragniecie.

—To na kościół, na chwałę bożą—nas zakonników żywi własna praca...

Książe nic nieodpowiedział, tylko dobywszy garść luidorów wsypał je w karbonę...

Tego jeszcze wieczora gdyśmy u siebie pili herbatę, Książe przerwał milczenie i zagadł mię: Nieprawdaż kochany Alfonsie, że nasza włóczę-

ga niema ani sensu ani celu? Zdaje mi się, żeśmy powinni się rozłączyć i wniść na prawdziwą drogę...

Słowa te pomięszały mi szyki, padając jak bomba w środek kolumny. Odpowiedziałem skinięciem głowy, co książę mógł sobie różnie tłómaczyć.

Ze świtem wyruszywszy znowu w podróż, po całodziennj jeździe, stanęliśmy na nocleg w małej mieścinie w górzystém i dzikiém położeniu. Książę przez cały czas ani słowa do mnie nieprzemówił; wieczerzy nawet niechciał wziąć do ust; tylko z góry kazał gospodarzowi przygotować dla siebie osobny pokój. Gdy mu znac dano, że wszystko gotowe, uważałem że wprowadził gospodarza na stronę i kilka chwil po cichu z nim rozmawiał. Wszystko to rozpałiło moją ciekawość i wzbudziło niepokój: tém więcej, że na odchodném powiedział mi bardzo słodkie dobranoc, i ścisnął z uczuciem za rękę, co mu się nietrafiło oddawna.

To postępowanie księcia wzbudziło we mnie wszystkie szaty namiętne, które jak śpiewak So-

netów Krymskich powiada, istne potwory morskie, śpią w burzy i ruchu, a budzą się wciszy. Jego dobroć i przyjacielska serdeczność, zdały mi się być zabijającym szyderstwem. Niewątpiłem, że odkrył moje zamiary— że lada chwila odepchnie mię od siebie.... W cóż się obróca takie świetne rojenia! Fortuna, po którą dość było ramię wyciągnąć, aby się stać jej panem ma-li wypaść z rąk moich, jak sztylet z bezsilnej dłoni kobiecej, mającej instynkt zbrodni, ale niemającej odwagi spełnienia jej? Żądza mordu, gnieźdząca się dotąd w głowie mojej, niby to żmija w trupięj czaszce, wpełzła teraz w serce, w każdą żyłę, w krew—i wszystkie tętna, jak bębny, przy exzekucyi, wybijały ów piekielny rozkaz: zamorduj! W izbie powietrze było duszące, i przepętnione miazmami rozpalającemi tę wściekłą namiętność. Niemogłem dłużej wytrzymać, bez zdradzania się, lub dokonania zabójstwa w obec wszystkich... Wybiegłem na ulicę śpiącego już miasteczka, a gdy i tam par dusił—puściłem się w okoliczne góry, tak dzikie i strome, że widok skalistych parowów zawalonych gła-

zami, szum potoków toczących się po kamieniach, i wycie wiatru po załomach opok; zgoła cały ten obraz dzikości i zniszczenia, tworzył zupełną harmonię z moim wewnętrznym nastrojem duszy; co więcej, księżyc zaplątany w obłoki, z których niekiedy wyzierał, to znowu tonął, wierne oddawał te przelotne chwile krzyku sumienia, napominającego mię, abym się opamiętał nad samym brzegiem wiecznego potępienia... Ale księżyc prędko zasunął się chmurami; mnie otaczała noc czarna, ta nieodstępna towarzyszka zbrodni... Zégar wieży ratusznej wybił dwónastą... mdlejące dźwięki doleciały do mnie... Co ma się stać, niech się stanie! zawołałem, porywając za rękojeść sztyletu... Szalonym pędem puściłem się po urwiskach; niewiem jakim sposobem, najmniej sto razy nieskręciłem karku... widać, że miałem obok siebie duchów opiekuńczych—z pewnością szatanów... gdyż wątpię, czyli wtenczas który z dobrych aniołów zechciałby stanąć przy moim boku.

Bramę oberży zastałem jeszcze otwartą, chociaż dokoła zdawało się wszystko ujęte snem

twardym małego miasteczka. Na palcach, ostrożnie, wszedłem po wschodach pierwszego piętra — ominąwszy mój pokój — zatrzymałem się przed drzwiami pokoju Księcia.... Tu nastąpiła długa walka, kilkakroć razy ściągnąłem rękę do klamki, i zawsze cofałem z trwogą... Krok stanowczy w spełnieniu zbrodni, jakże wiele kosztuje!... Kiedy tak się szamocę z myślami,.. zalatuje mię jakby spalenizna... Słyszę szelest, niby papierów... W końcu szmer ucichł... Usnął! pomyślałem—i—dobywając całej energii zbrodnia-
rza gotowego na wszystko... posunąłem się i miałem drzwi barkami wysadzić—gdy nagle same otwały się przedemną — i Książę, w bluzie podróżnej, z małym węzełkiem w jednej ręce a z świecą w drugiej, wyszedł jakby na moje spotkanie. Widok ten zmieszał mię— cofnąłem się, i upuściłem sztylet...

Książę cofnął się także — zmierzył mię od stóp do głów—i rzekł z krwią najzimniejszą: Ty nie śpisz Alfonsie?... Chciałem coś odpowiedzieć, ale język przysechł mi do podniebienia... lecz on

jakby się litował nade mną, dodał łagodnym głosem:

—Szkoda że nie śpisz, byłbyś i mnie i sobie oszczędził wzruszenia, towarzyszącego wszystkim ostatnim pożegnaniom...

—Jak to? Czy... Książę... tu się splątałem i niemogłem więcéj wybełknąć.

—Bywaj zdrów! Jedyna łaska, o którą cię błagam, zapomnij mię... resztę list mój ci wyjaśni.

—Ależ czy podobna! zawołałem, zastępując mu drogę rozkrzyżowanemi ramiony, jakby mi żal było puścić ofiarę usuwającą się z pod zabójczego sztyletu...

Silném potrąceniem odskoczyłem na bok, i kiedym zamyślał obrażę tę wetować na Księciu, ujrzałem gospodarza oberży, jak na wschodach ukazał się z latarką... Książę pobiegł ku niemu, i obadwa szybko zbiegli ze wschodów... Niewyszło pięciu sekund kiedy postyszałem turkot szarabanu.

Pojechał!... ale dokąd? w jakim celu?— dla czego ludzi swoich i powozy zostawił?... Wspom-

mniał coś o liście! Zobaczmy, może mi tę zagadkę rozwiąże...

Wpadłem do jego pokoju... Na kominku dogorywają szczątki jakichś narzędzi i papierów... podłoga zarzucona kawałkami potłuczonych retort i metali... Poznałem, pełen rozpaczy, że przedmiot wszystkich moich zapędów, owa pokusa do zbrodni, machina cudowna, leżała strzaskana i obrócona na popiół...!

Na stole ujrzałem list; adres był do mnie. Otwieram. „Obiecałem ci, że czy prędzę czy później rozłączymy się nakoniec. Dłużej tak żyć nie mogę; co po życiu bez celu i pragnienia, bez złudzeń i nadziei? Zaspokajając każdą żądzę, każde pragnienie, źródło żądz i pragnień wyczerpało się do dna... Krótka rozmowa z owym Trapistą, wskazała mi cel wznioślejszy; dawniej miałem zamiar odebrać sobie życie; lecz zastanowiwszy się, wszelkie samobójstwo jest nikczemnym zbiegostwem.... Tajemnicy mojej nie przekazuję ci... pojmujesz dla czego; święta reguła w którą wstępuję, zabrania mi źle czynić

blizniemu, a cóż dopiero mścić się... Pozostałością rozporządź podług dołączonej notatki”...

Ostupiałem... ale i odetchnąłem swobodnie⁴ bo z piersi spadł ciężar zbrodniczych zamiarów... Dzięki Bogu! monomania ta wywietrzała mi z głowy. W pularesie znalazłem znaczne summy w wekslach—część rozdzieliłem między sług; część oddałem na ubogich tego miasteczka; a resztę, podług zapisu wziąłem sobie.... A wiecież co z tymi pieniędzmi zrobiłem?...

—Przehulałeś w Paryżu... przerwał jeden z szlachciców, zanosząc się od śmiechu.

—Gdzie tam. Oto zamknąłem się jak pustelnik, otoczyłem książkami, retortami, tyglami, i zacząłem dochodzić tajemnicy Mrocza... Po kilku miesiącach straciłem zdrowie i pieniądze...

W tém dylizans wjechał na most Toruński.

—Otoż i Toruń krzyknęliśmy wszyscy. — Widać pocztylion tego jechał. Zasłużył na tryngield...

—Przeciwnie, zawołałem—powieść tego pana tak nam drogę skróciła.

—Wdzięcznen jestem za pochlebne zdanie — odparł z grzecznym uśmiechem...

Turkot kół po bruku zmusił nas do milczenia, a gdy dylizans stanął przed pocztą, każdy się kwapił, by co rychlój wyskoczyć... Chciałem się bliżej zapoznać z przyjemnym towarzyszem podróży, miałem go spytać o nazwisko, ale znikł jak kamfora.

Dowiem się od jednego z tych wąsatych szlachciców...

—Chciój mi pan powiedzieć, kto jest ów jegomość, co nas tak przez drogę zajął?...

—Jak to i pan go nieznasz?...

—Nieznam.

—Przecież to znakomity nasz autor, pan *** — A co? czy gładko zmyśla?—to mój sąsiad—nigdy jak żyw nie był za granicą, ani znał żadnego Mroczka... Zwyczajnie wykomponował bajczkę i zabawił nas...

—A więc to bajka?

—Do usług...



RYSY GÓRALI TATRZAŃSKICH.

Podania. — Rozbojnicy. — Pieśni.

I.

Kilkanasto-milowe pasmo Tatrów, mogące się nazwać jądrem długiego łańcucha Karpat, jako złożone z najwyższych szczytów granitnych Łomnicy, Krywania, Krępaku, z których w najgorętsze lata nie znika biały płaszcz śniegu, mieszczące w sobie romantyczne doliny: Zakopanego, Kościeliska, bory nietknięte siekierą; wodospady i rzeki unoszące głazy; jeziora nalane w Kotliny kamienne na wysokości tysiąca kilkaset stóp; groty stalaktytowe; lodowce jak alpej-

skie, zgoła dziwną mieszaninę dzikięj i uroczej, przyrody, — długo było dla nas światem nieodkrytym, ziemią przeklętą, gdzie się zaledwie owies rodzi, jaskinią opryszków, na którą Biecz miał główną szkołę majstrów, jak ich tam zwano: niskiego rzemiosła, a wysokiego warsztatu...

Rzadko ciekawy podróżny śmiał zapuścić się w te góry, jeszcze mniej opisać miejsca, a najmniej lud; raz, że ojczysta własność, jeszcze tak osławiona, zdawała się nam niegodną pióra; po drugie, że uczeni nasi staręj daty, najmniej się kłopotali o poznanie swojego gniazda. Naturaliści z Lineuszem i Zielnikiem w torbie, z młotkiem górniczym w ręku, najpierwsi dotarli — mówię tu o Rzączyńskim i Staszycu; luboć ostatni badając z ścisłością ziemioródtwo Karpat, mazał niekiedy pędzel w barwach i malował łomy skał i przepaście tego chaotycznego świata. O mieszkańców nikt się nie troszczył; co tam kogo obchodził Juhas żyjący owsiwym plackiem i zętycą w złe skleconęj kolibie? Co zbójnik, który tak uszlachetnił swoje rzemiosło, że o nim jak o bohaterze śpiewano pieśni?

Panowie starostowie nasi, dzierżący niegdyś prawo miecza, wiedzieli tylko, że to są łby do ścinania, a o użytku z nich dla rzeczypospolitej nikt ani nie pomyślał. Nie jeden to grzech, jakiego się dopuścili przodkowie nasi; a przecież wzdłuż naszej granicy, gnieździło się plemie dorodnych chłopów, celnych strzelców, odważnych i przedsiębiorących opryszków. Dopiero pod koniec ośmnastego wieku, Bogusławski, natchniony obywatelską ideą i nieodgadnioném przecuciem poezyi gminnej, pochwycił kilka rysów charakterystycznych górali; kopija była wierną, tylko że poeta nieobrał sobie za ramy obrazu, gniazda ich Tatry niebotyczne — ale rynek Krakowski; poznał tylko handlujących górali, takich, jacy się spuszczają na równie dla zarobku z kosą lub siekierą z orzechami lub śliwkami suszonymi i łapkami na myszy. Z tém wszystkiem był to pierwszy krok do zapoznania nas z tymludem o bocianich nogach, z siekierką za pasem, w Kierpcach i obcistych spodniach. Później ten i ów opisywał morskie oko i pięć stawów; ten i ów śpiewał piosenkę o Góralach, ale tylko z postłychu, tylko przez potrącenie się

o walterskotowskich Higlandów... Dopiero wieszcz Sobotki,—dziecko stepowe, wykołysane dumami ukraińskimi, usypiane krwawemi powieściami o hajdamackich rzeziach—dopiero on, zaniesiony trafem pomiędzy Juhasów i Gazdów tatrzańskich odzwierciedlił w swój duszy poezję tych gór, i dał nam krótki opis swych wrażeń. — Życie i charakter Górali, tak niepodobne do ducha synów dniewprowych, jak step nieprzejrany z kołyszącymi się trawy, kędy huk po rosie melancholijna dumka, do tych wiszarów i przepaści, po których lekki i rubaszny góral skacze z ciupagą—wywołało w duszy poety rozległy utwor—*Kościelisko*. Czas, okoliczności, a może też uwaga głębsza, niedały mu go dokończyć; jeden ustęp rzucił tylko; malowidło miejsc uderzało w nim cudownością barw i cieni, czułeś pociągające ostre powietrze gór; patrzałeś na grzmoty i pioruny pod twemi nogami, na wezbrane rzeki przeobrażone w wodospady—zgoła, nie widząc w życiu Tatrów, zeznajomiłeś się z niemi, jakby od kolebki—i natura znalazła swego śpiewaka, który zrozumiał jej język; ale tam, gdzie wystą-

piły żywe postacie, nic ci nie mówiło do duszy, nieuderzyło nic ani wielkością rysów, ani nowością charakterów; wina pochodziła kto wie? czy nie z tego, żeś porównywał dawnych znajomych: Nebabę, Swaczkę, Orlikę, którzy jak płomieniste olbrzymy, wiecznie ci będą patrzeć z rozwalin Kaniowa — i wszystko, coś teraz widział, blade — mała — nie pociągało ku sobie...

I nie dziwić się — nie była to wina talentu w upadku — ale po prostu, wieszcz nie znajdował się w swoim żywiole rodzinnym; nie postrzegał około siebie dawnych znajomych, z którymi żył i rozmawiał od pieluch; otaczały go same obce twarze, inny brzmiał język, inne obyczaje; a luboć orle oko w przelocie swoim ogarnęło widome dziwy téj krainy, ale ani pokochało, ani przywykło do nowych znajomych — serce nie miało tam wspomnień dziecińczych, nie mogło się przyjąć naprędce, aczkolwiek umnik chciał je przyswoić górom — darmo! burzan stepowy, co go nikt nie sieje, nie chciał korzeni zapuścić na nagiej skale, gdzie ledwie mech porasta. Jeszcze jedna przyczyna, dla której utwor autora So-

bótki nie mógł odzwierciedlić się z żywą prawdą w świecie góralskim, mogła być ta, że poeta obrał przedmiot zbyt odsunięty w przeszłość: napad Tatarów, przedmiot zapomniany między ludem, nie tak świeży, nieolśniony tyłą barwami podań i poezji, co bunty ukraińskie—gdyby w te ramy był włożył olbrzymią postać Janoszczyka, tego ulubionego bohatera, gór, ten wyskok góralskiego ducha, byłby niezawodnie równie zainteresował, co swemi hajdamakami...

Powyższe uwagi, aczkolwiek nienależące tu do rzeczy, nasunęły mi w rozbiorze pytania, jak dalece obeznani jesteśmy z duchem i życiem mieszkańców tatrzańskich? Pokazało się, że dwaj poeci wytknęli pierwszy gościniec i zawiązali łańcuch łączący tę ziemię z innymi częściami kraju;—teraz kolój, aby zbieracze pieśni, podań i legend, statystycy, archeologowie, malarze, odsłoniли nam wszystkie niepoznane jeszcze bogactwa długiego pasma Karpat — jest nadzieja, że może ktoś, jak mówi podanie góralskie, niespodzianym sposobem dostanie kwiat florecyny, który tajemniczo zakwita o północy na wilię Bo-

żego narodzenia, i ma własność odślaniania ukrytych skarbow.—Szczęśliwy posiadacz takiego kwiecica odkryciem skarbow duchownych więcej się przysłuży krajowi, niż najdowcipniejszym wymysłem jakiej nowój teoryi społecznej... Nim życzenie moje jednak przyjdzie do skutku, postanowiłem obznajomić czytelników, z małym zbiorkiem podań i pieśni górali tarzańskich; jest to za ledwie piérwszy krok; ale że piérwszy, dla tego nie wątpię, że znajdzie naśladowców, którzy wykonają z całą ścisłą sumiennością pracę około ludu, tak interesującego swoim charakterem, zwyczajami i światem umysłowym.

II.

Ze zniknięciem pogaństwa, gmin podsunął pod wyobrażenia chrześcijańskie wszystkie swoje dawniejsze myty, do czego dopomogli ówczesni misyonarze, a raczej pustelnicy stosując nowe święta i obrzędy z dawnymi i tak: w gaju poświęconym piorunowi powstawał kościół lub kapliczka, na żertwiennych głazach figura z ukrzyżowanym Zbawicielem, święto Jana Chrzciciela

w dzień Kupały, wilia Bożego Narodzenia w dniu Kolady—a wszystkie bóstwa zamieszkujące w lasach, przy źródłach na dnie wód, w wichrach i ogniu, jak Rusałki, wiłkołaki, ogniány, dziwożony, strzygi, leleki, Bogińki i tym podobne, umieszczone od razu zostały w poczet złych duchów; lecz jednakże z tą modyfikacją, że gmin lubo się od nich żegna, ciągle z nimi przestaje i wierzy w tajemną pomoc, przy swoich czarach i zaklęciach. Wyobrażenia te trzymają go się jak wspomnienia z wieku dzieciństwa i niewinności; z niemi wierzy w święte przepisy religii, które są pokarmem dla ducha, ale żyjącemu zawsze z przyrodą potrzeba koniecznie ten świat zjawisk widzialnych zaludnić istotami trzymającymi środek między bóstwem a człowiekiem, istotami, które rządzą gradem, wichrem, opiekują się owocami i nabiąłem, które choroby i zarazy wnoszą do domów, obłąkują podróżnych, kradną dzieci, słowem wyrządzają wszystkie psoty śmiertelnym. Zgłębiając to pojęcie, przychodzę do drugiego wniosku, że lud pojmując Boga jako źródło wszystkiego dobra na ziemi,

nieprzypuszcza, aby sama wszechmocność, która zsyła błogosławieństwa, trudniła się wyrządaniem złego. Złe i dobro od wieków było zasadą wszystkich religii—te dwie przeciwne siły sprawiają, ruch w krainie duchów, a pobożne westchnienie prostaczka do świętego patrona zapewnia mu opiekę i obronę od przemocy piekielnych. Zapewne dla nas, cośmy przesiąkli doktryną wieku, wyobrażenia gminu, jako gorąca wiara, rozbudzają tylko śmiech politowania, alez wyznajmy sobie otwarcie, czy w tej ustawnej pogoni za prawdą, na czystym rozumie opartą zdobyliśmy co więcej, oprócz wątpliwości? Z tego stanowiska zapatrując się na lud nasz i jego świat umysłowy, dobrze zastanowić powinniśmy się czy ten owoc cywilizacyi, jaki mu podajemy, niezmeni jego przymiotów dzisiejszych, czy czytanie gazet, zastąpi rozkosz pogadānek na wierzornicach, czy płytkie rozumowania o jakiej zasłyszanej doktrynie, zastąpią wiarę w cuda Opatrzności, a poznanie zbytków i potrzeb cywilizacyi, czy niepozbawi go tej szczytnej prostoty która dziś jeszcze czyni chłopa naszego tak po-

ważnym, tak pełnym godności, że niekiedy możnaby wnosić iż przechował w sobie tradycje cywilizacyi z patryarchalnych wieków.

Kilka tych myśli, pozornie niby odbiegających od mego przedmiotu, rzuciłem dla tego, aby dać uczuć, jak dalece powinniśmy szanować i pielęgnować wszystko, co się wiąże z naturą, wiarą i pojęciami tej najobszerniejszej warstwy naszego społeczeństwa. Podania, powieści, pieśni, obyczaje, zwyczaje, charakter, są to niejako rozdziały owęj wielkiej księgi szerokiej, jak nasza ziemia, a jednak nieznanęj nam, bo jeszcze, niestety! niedaliśmy sobie pracy, aby się w nią czytać nauczyć. Niewiadomość pochodząca z lenistwa, czy złej woli, lub starych uprzedzeń, niech się nie pisze na karb naszych grzechów; tém więcęj, że dziś, w tej sferze, drogi otwart-sze niż dawniej.

Założywszy sobie zebrać tu niektóre mytyczne wyobrażenia i podania górali, nie mogę przemilczyć, jak w tej mierze mało u nas zrobiono; a i to mało popsutem zostało przez nieubłaganą autoromaniją. Mimo żeśmy piękny wzór

mieli w zbiorze podań niemieckich Grima, przecież cel główny został chybiony; rozumiem tu klechdy; autor, który chciał może być polskim Muzeusem, obrabiał po swojemu różne podania gminne i historyczne, a i to nie z właściwym wyborem; bo cóż w tym zbiorze mogła robić powieść z Bogufała o Wałgierzu i Heligundzie, powieść, żywcem wzięta z niemieckiego Heldenbucha? Porwanie się na te skarby ludowe bez koniecznej krytyki zadaje im prędką śmierć, już nie licząc szkody wyrządzonej badaczom, którzy nie mając sumiennej pewności, co do autora, a co do gminu należy, nie mogą zupełnie z nich korzystać. Przychodzi mi tu na myśl trafne zdanie jednego z naszych najświetlejszych pisarzy wyrzeczone z powodu powieści Paska o owych djabełkach, jakie się pojawiły Stangretowi Reja; „Lud tę historią opowiada poważnie i z wdziękiem, żartobliwy nasz pisarz Pasek obrócił ją w anegdotę zabawną. Można w tym przykładzie widzieć kolej przeobrażania się powieści gminnych. Takim porządkiem zniszczały one pomału w krajach zachodnich. Pisarze zmienili ich myśl

pierwotną w sens pospolity i w śmieszność. U Włochów Gozzi, u Niemców Muzeus, u Francuzów Rabelais, a nakoniec Perrault postępując tym trybem, zadał ostatni cios temu rodzajowi literatury. Zaiste, obedrzyć coś z prostoty i prawdy mającej źródło w wierze naiwnej, jest to zadawać cios zawczesny; jest to tracić sławę sumiennego i pracowitego zbieracza, dla marnej błyskotki zawarcia w kilku tomach tego, coby się wybornie w jednym zmieściło.

Raz jeszcze zatem powtarzam, że takowe nabytki mając służyć za źródło, niepowinny być ani fałszowane, ani poprawiane; cały ich urok bowiem w tém się zakłada, gdy są opowiedziane dosłownie tak, jak je gmin opowiada;—to samo stosuje się do pieśni, względem których wszakże mniej u nas zgrzeszono; luboć i w tych różnych zbiorach są jedne więcej, drugie mniej wiarogodne. Pieśni ruskie i polskie w Galicyi wydane przez Paulego, są dobrym wzorem, jak się powinny podobne źródła wydawać.

Powiedziawszy, co mi zdawna ciążyło na sercu, rozpoczynam od powieści o istotach nad-

przyrodzonych krążących między góralami, z tém ostrzeżeniem, że to jest ledwo setna część istniejących podań, które ktoś, szczęśliwszy ode mnie, zbierze prędzej czy później na miejscu.

III.

Najcharakterystyczniejszy utwór wyobraźni Podhalan, własność ich przyrodzona, jak góry, w których żyją, są *Dziwożony*. Rusałki Dnieprowe lubo spokrewnione z niemi, noszą jednakże piętno odmiennęj natury; przy pustej złośliwości, odznaczają się dziwną urodą: małeńkie, kształtne, skaczące w korowodach przy promieniach księżyca lekkimi nóżkami, że ledwie strząsają rosę z kwiatów, mają jasny włos rusawy i uśmiech wabiący acz zdradny. Moznaby je wziąć za obłoczki gnane wietrzykiem stepowym, pełne woni i swobody. Przeciwnie Dziwożony Podhalu są to córki tych skał nagich, niekształtnych, dzikich; siedlisko ich w pieczarach wilgotnych i ciemnych borach. W jaskini, która leży nad rzeką łopuszańską, pod Małą-górą głównie przesiadywały, podanie wystawia je jako istoty

nadprzyrodzone; nieprzyjazne ludziom, szpetne i karłowate, z włosiem bardzo grubym, rozpuszczonym i długim; a piersi ich tak są wielkie, że ich zamiast pralników używają, piorąc bieliznę. Na głowie każda nosi czerwoną czapeczkę— Kto wie, gminu je tak może ustroił, przez złość ku swoim sąsiadom z równin?— Najulubieńszém ich pożywieniem jest ziele, tak zwane *słodyczka*. Istoty te najwięcej dają się we znaki położnikom. Niech tylko w jakim domu kobieta złąże, Dziwożona upatruje sposobną porę, kradnie nowonarodzone dziecię, a swoje na miejsce skradzionego podrzuca. Podrzutki te bywają zwykle nadzwyczaj szpetne, pokoszlawione, garbate, słowem niepodobne do stworzeń boskich. Z tém wszystkiem Dziwożony, nie są bez macierzyńskiego uczucia, jak się to pokazuje ze sposobu odbierania im ukradzionych niemowląt. Dziecię podrzucone góralce, wynoszone bywa na śmietnik, smagane różgą i napawane wodą ze skorupki jaja, przyczem bijący lub bijąca wołają: odbierz swoje, oddaj moje. Dziwożona litująca się zwykle nad cierpieniem własnego dziecka,

oddawała ukradzione, a zabierała swoje. Zdarza się, że i dorosłe dziewczęta stają się zdobywcą Dziwożon. W tej treści takie podanie krąży na Podhalu. Pewnego razu najładniejsze z całej Łopusznej dziewczę, nie wiedzieć gdzie i jak się podziało. Wywiadywano się i szukano na wszystkie strony ale daremno! przepadła, jak kamień w wodę. Zdarzyło się, iż jakiś Gazda mając potrzebę rąbać drzewo w łopuszańskim boru, gdy zaszedł w największą gęstwę, gdzieby się i lis nieprzedarł, ujrzał nad potoczkiem piorącą dziewczynę; zbliżywszy się do niej, poznał że to była ta sama o którą się cała wieś troszczyła. Ta poznawszy go wzajemnie, opowiedziała dopiero, jak ją Dziwożony porwały, jak ją pilnują i zażywają do robot, w końcu prosiła, by jakim sposobem wyrwał ją od nich; Gazda, że był człek ludzki chętnie na to przystał; chodziło tylko, jakiego zażyć fortelu? Poradziwszy się trochę, stanęło na tém, że w dzień umówiony, kiedy znowu prac przyjdzie, góral wyjedzie konno i porwie dziewczynę. Poczciwy Gazda dotrzymał słowa, mimo że z Dziwożonami sprawa nie żarty; po-

chwyciwszy dziewczkę na konia, co tchu uciekać z nią począł. Postrzegłszy to Dziwożony, nuż za nim gonić a gonić, i już go tuż tuż co niedopadły, gdy szczęciem góral dostał się na łąkę gdzie obficie rosły kwiatki dzwonekami zwane. Dziewczyna krzyknęła: trzymaj się dzwoneków! Góral więc tak zręcznie kierował koniem, że zawsze biegł między dzwonekami, których Dziwożony przez jakąś tajemniczą własność przebyć nie mogły; on zaś tym czasem prosto dostał się do wsi.

Jeszcze jedna drobna powiastka uzupełni ten przedmiot:

Góral zasiał rzepę i ta mu prześlicznie wyrosła; jednego razu, gdy chodził oglądać swój pożytek, złapał w bródzie Dziwożonę, lecz mu się wymknęła, zostawując tylko czerwoną czapeczkę w jego rękach. Góral się przed wszystkiemi chwalił ze zdobyczy, ale niebodze Dziwożonie gorzką była ta strata, bo co wieczór przybiegała mu pod okno i śpiewała żałościwie:

Chłopczyku, chłopczyku wróć moję czapeczkę,
Nie będę ja chodzić na twoją rzepeczkę.

Tego narzekania było dopóty, aż się zmiękczył i czapeczkę jój oddał.

Do innego rodzaju istot nadprzyrodzonych, należą jeszcze Strzygi, Latawce, Leleki,— które rodzą się z gwiazd; w podaniu bowiem gminu, gwiazdy spadające są to dusze zronionych dzieci z uwiedzionych dziewcząt;— widząc lecącą gwiazdę, a chcąc uratować duszę, trzeba rzucić w górę biały płatek płócienny. Przybierając powabne postacie, napastują zwykle kobiety nowozamężne i dziewczęta, a mężczyznom ukazują się w postaci ukochanej osoby. Niektóre powiastki dadzą nam bliższe o nich pojęcie.

Parobek jeden mając Strzygę, ożenił się z hożą i młodą kobietą, która go kochała, nie doznając wszakże żadnej wzajemności od męża. To ją dręczyło, ale łzy swoje i smutek połykała w skrytości. Pewnego czasu wypadło jój pójść ze zbożem do młyna, lecz gdy we młynie było nawożno, musiała czekać długo—w końcu młynarz ujęty grzecznemi jój słowy, pospieszył z młem, i góralka, choć późno w noc, wróciła do domu. Wchodzi do świetlicy—mąż śpi na łóżku

a przy nim Strzyga,—przecudnej urody dziewczka. Żona nic nie mówiąc, po cichu zdjęła prześcieradło i nakryła oboje, a sama, legła na przypiecku.

W tém się schwyci Strzyga z pościeli i rzecze: gospodaruj już sama, nie będę ci więcej męża bałamucić.— To powiedziawszy, pocałowała go i znikła na zawsze.

Jakiś wdowiec jechał sobie po sprawunki w góry; podjeżdżając do wsi, spotkał był przystojną góralkę, która idąc błotem, uchylła spodniczki, i pokazała mu kształtną nóżkę. Podróżnemu poszła ślinka do ust; więc ją zagabał: Dzieweczko! nie przyszłabyś do mnie na służbę?— Góralka odpowiedziała: przyjdę ja tam do was. W tém woźnica zaciął konie, a podróżny zapomniał o przyrzeczeniu góralki. Porobiwszy sprawunki w mieście, wraca późno do domu; wszedłszy do izby, każe zapalić świecę—ale jakżeż się zgorszy, gdy postrzeże, jak obok jego parobka, który tam spał, leży ta sama góralka. Ha bezwstydniku! krzyknął, co koło ciebie dziewczka robi? Parobek przeciera oczy i mówi: co się

wam dzieje, panie, toć koło mnie niéma nikogo. Pan idzie do sypialni, dziewczka za nim; rozbiera się i kładzie; dziewczka obok niego; żegna się, modli—widmo nie znika; i tak ścigało go ciągle, w dzień nieukazując się, ale wieczor wszędzie, gdzie tylko się ruszył. Probował różnych sposobów aby się biedy pozbyć; zasięgał rady bab; aż dopiero jakaś czarownica poradziła mu, okadzić się świńskim gnojem, i od tego czasu pozbył się na zawsze natrętnego gościa.

Bogaty żyd wybrał się podobno po wino do Węgier — przejeżdżając przez góry, zajechał w bardzo gęsty bor, droga była niegodziwa, a do tego zawałona kłodami, powywracanych drzew.

Gdy się przejazd zdawał trudnym, żyd wysiadł z bryki i sam poszedł przodem, chcąc obejrzeć, czyby niemożna objechać onych pniaków zawałających gościniec. Zbliżywszy się—patrzy aż tu pod korzeniskami wywróconego świerku coś niby sieje, a przytem szmer i śmiechy słychać. Przygląda się lepiej i obaczy, jak Leleki przyspiewując, sieją złoto i srebro. Jeden z tych djabełków ozwie się do zdziwionego żyda: po-

wiedz tam swemu słudze, niech przyjdzie po pieniądze, bo nam się już sprzykrzyło czekać na niego.— Kupiec postłyszawszy to zaraz kazał zawrócić do domu;—gdy stanęli, przywołuję swego służkę i mówi doń: radbym cię uszczęśliwić, widząc, żeś poczciwy człowiek—mam córkę jedynaczkę i chcę, abys się z nią ożenił. Niegodzi się tak drwić z chudego pachotka—odpowiedział sługa. Prawdę mówię, rzekł kupiec—powiada tylko, czy przystajesz? Sługa przystał, ale nie mógł sobie wytłómaczyć téj nagłej odmiany losu. Prędko odbyły się zaręczyny, wesele, uczta. Po skończonych ceremoniach woła kupiec swego zięcia i mówi: zakładaj konie, pojedziem po twe pieniądze. Zięć wypatrzył się na teścia, ale gdy ten nic nie mówił, tylko krzyczał: spiesz się, spiesz się! więc usiedli i ruszyli w drogę. Zajechawszy w góry w gęsty bor, przybyli znowu na to miejsce zavalone korzeniskami. Zostaw konie — mówił kupiec, — a sam pójdź ze mną. Gdy przyszli do wywróconego świerku, kędy Leleki przyspiewując, przesiewali złoto i srebro, jeden z tych djabełków ozwie się: otoż dobrze,

żeś przybył, tak długo musieliśmy czekać! To powiedziawszy Leleki znikli, — Kupiec z zięciem naładowali całą brykę pieniędzmi i jeszcze dwa razy musieli nawracać po resztę skarbu. Tak tedy chudy pacholek został najbogatszym kupcem na całą okolicę.

Gospodarz na połoninie nakrywał kolibę; co pokryje, to silny wiatr powieje i zerwie dranicę, trwało to po kilka razy, nakoniec rozgniewany gospodarz cisnął nóż przeciw wiatru złorzecząc mu. Niebawem stało się spokojnie i cicho, koliba została pokryta. Po skończonej pracy gospodarz rozpałił ogień, i wieczerzę zgotował; — właśnie miało się ku zachodowi słońca, gdy zasiadł do wieczerzy, w tém idzie człowiek taki pokaleczony, że mu, ani oczu, ani twarzy nie widać, i rzecze do gospodarza: dobry wieczór! — ten odpowiedział: daj Boże zdrowie! jeśliście głodni siadajcie do misy. Przybyły na to: wieczerzaj zdrów,! a popatrzwszy w milczeniu chwilę na gospodarza, dodał: masz szczęście! gdybyś mię był nie przyjął uczciwie, byłbym się nauczył, jak to nożem ciskać przeciw

wiatru. Widzisz jakęś mnie pokaleczył: na drugi raz nie czyn tego, bo się zemszczę na tobie.

IV

Inny jeszcze rodzaj podań przywiązany jest do miejsc, jak skały, polany, pieczary, bagna. Fantazyja twórcza gminu w harmonii z naturą zaludniła je nadprzyrodzonymi zjawiskami, albo też cudami z świata religijnego. Takich zapewne wielka jest liczba; do mnie dostały się niektóre, i tym daję miejsce w tym spisie. Na polanie zwanéj: Kamienisko Jaworzyna, zabił naczelnik zbójców jednego ze swoich podwładnych, zjęty zazdrością za jego zręczność w skakaniu z turniów na turnie 1) w strzelaniu, w rzucaniu ciapugą 2) w zwinności, i odciął mu głowę. Od tego czasu głowa ta z niezmiernie długimi włosami ukazuje się na téj polanie, i chociaż ją wezmą i zarzucą gdzie daleko na drapy 3) zawsze nazad powraca i ludzi straszy.

1) Bystre łomy skał.

2) siekierką.

3) rozdół, wąwóz w skałach.

Na polanie Centyrz (może cmentarz z czasów jakich wojen lub pomorku) jest pniak wielkiej grubości, z pod którego różnemi czasy, wychodził mnich: zrazu wydawał się maleńki, ale zaledwo się wyciągnął i wyprostował, wzrostem przeniósł najroślejszego chłopa. Ukazywał się w różnych postaciach, najczęściej w bieli, lub w mnisim habicie. Jeżeli kto go wspomniał, to się zaraz pokazywał, ni ztąd ni z owąd.

Gdy miał odchodzić, to rzucał na wodę kaptur i płaszcz mniszy i powoli malał, aż całkiem nie zniknął. Był to jakiś mnich pokutujący, który ongi uciekły z klasztoru, został przez zbójników zabity. Widywano go także jak kobietę, w stroju szlachcianki; ale nikomu nic nie robił. Ostatni człowiek, któremu się pokazał, krzyknął w przestrichu: — wszelki duch chwali Pana Boga! na co mnich odpowiedział: i ja go chwale. To wymówiwszy, zniknął; i odtąd nikt go nie widział. Dodają jeszcze także, że go widywano na łopuszańskich polach, objawiającego się z burzą; przyjsie jego zapowiadał mocny zapach kwiatów.

W skale nad morskiem okiem pod gęstemi zaroślami kozodrzewia, jest pieczara, do której, jeśli kto ma odwagę wejść, wielkie skarby znajdzie; prowadzą tam kręte i ciasne chodniki; na każdym zakręcie trzeba palić łuczywo, aż się przyjdzie do obszernej jaskini. Tam ukażą się światelka bardzo błyszczące, lecz ich dotykać nie można, i da się słyszeć głos, który zakazuje ruszać skarbów leżących do koła; dopiero dalej w samym środku, klęczą trzej mnisi; każdemu z nich trzeba się pokłonić z osobna, i już wolno brać ze skarbu tyle, ile na raz urąbie siekierka; gdyby ktoś więcej sobie pozwolił, zginie niechybnie.

Górale utrzymują, jakoby istniały księgi czarnoksięskie, których na dolinach dostać można. Jest w górach pewna skała, z której na zaklęcie z takowej książki, wychodzi smok, pozwalający się kulbaczyć i jeździć na sobie. Zdarzyło się, iż pewien Niemiec wywołał takiego smoka i jeździł na nim, siejąc okropny postrach między ludem; lecz znalazł się pewien odważny baba, który go zabił. W Bukowinie łopuszańskiej

pod Kluczkami, widziano w dzień świętego Piotra i Pawła, jak się pokazywał djabeł ubrany z niemiecka; przechodził się on po boru i siekierką znaczył jawory; później ktokolwiek chciał takie drzewo zrąbać, niezawodnie okaleczył się i musiał pracę zaniechać. Niejeden tak napiętnowany jawór znajduje się w Górach, dla tego Górale wielce się strzegą, zwłaszcza w pierwszych dniach po ś. Pietrze i Pawle, ścinać jawory.

Razu pewnego w nocy zajechał przed kowala w Charklowej, powóz sześciu dzikimi końmi zaprzężony, w którym Pan, ubrany po niemiecku sam się powoził.—Mówiono, że powóz ten wyjechał prosto z Dunajca (rzeki). Ów Pan kazał kowalowi przybić jednemu z koni podkowę ze szczeręgo złota—i za fatygę darował mu strzelbę, sam zaś popędził gościńcem. Odtąd z tego kowala taki strzelec, że zabija zwierzęta i ptaki, jakich w całym kraju nie widać.

Król węzów ma się znajdować gdzieś w Tatrach. Gmin powiada o nadzwyczajnej piękności jego kolorów i grzebyku na głowie, podobnym do korony; gad ten, wielkością swoją przecho-

dzi inne węże; napastowany, wydaje gwizd donośny, a wnet tysiącami węży przybywa mu na pomoc.

Pod Gewontem jest pieczara, wewnątrz niej stoi słup dyamentowy, pod którym siedzi mnich, obsypany niezmiernemi skarbami; kto się odważy przedrzeć do niego, temu da wielkie pieniądze; wejście jednak do tej pieczary bardzo jest ciasne, a światło wniesione gaśnie natychmiast.

Wyżej pięciu stawów leży jezioro, zwane Żabiniec, mało dostępne dla skał nadzwyczajnie urwistych i stromych i niebezpiecznych chodników. Górale powiadają, że rok rocznie przychodzi do Żabińca siedmiu Czechów im tylko wiadomemi ścieżkami; że tam dobywają z gór złote rudy, a narobiwszy złota, wracają do swego kraju. Nie raz znajdowano tam pozostałe po nich piecyki, i żuźle z wytopionego kruszcu.

Flore cyna jest to ziele do paproci bardzo podobne, lecz drobniejsze; równie jak paproć ma tajemniczą własność odkrywania skarbów w ziemi zakopanych; kwitnie o samej północy w wigilię Bożego Narodzenia, ale żeby doznać skutecz-

něj dzielności, trzeba przyjść mimowolnie i bez wiedzy do posiadania tego kwiecia.

Przed kilkunastą laty leżał nad Dunajcem koło Łopusznej kamień z wyciśnioném wyobrażeniem ludzkiej stopy. Podanie twierdzi, że Śta. Kinga uciekając przed Tatarami do Pielin, stanęła na tém kamieniu i zostawiła wieczny ślad błogostawionėj swej stopy. Ten kamień został wzięty podobnoś do kościoła Staro-Sandeckiego.

Żył w Łopusznej parobek bardzo przystojny, ale o ile przystojny, o tyle nieczuły dla dziewcząt. Idąc raz do Charklowėj na mszą, ujrzał w potoku łososia, sięgnął ręką po niego, a schylając się, wbił w siebie nóż, który miał zapasem. Rana była tak głęboka, że z niėj umarł. Pochowano go, a nóż wrzucono w potok Łopuszański; w tém tedy miejscu pokazywał się ciągle duch parobka. Obrały się śmiałe jakieś dziewczęta, dotrwały mu placu i dowiedziały się z własnych ust pokutującego, że wtedy uwolniony będzie od błąkania się po świecie, kiedy dziewczęta mszą kupią za jego duszę. Na świadectwo przed innymi ludźmi,

dał im rutę z własnego kapelusza. Dziewczęta mszą kupiły, a duch nie pokazywał się więcej.

V.

Kiedy gmin ukraiński w dumach swoich śpiewa bohaterów, jak: Chmielnicki, Niczaj, Morożeńko, Sawa, w bojach z Lachami, Wołoszą, Krymem, tak znowu góral pieśni swoje i powieści poświęca zbójnikom, którzy są niejako ideałem siły młodzieńczej, urody, męztwa, i pociągają ku sobie urokiem życia narażonego na dziwne wypadki, chociaż kończącego się zwykle na hałku. Zastanawiając się nad charakterystyką pieśni i podań naszego ludu z różnych stron Polski, postrzegłem, że tylko Ukraina i Góry wydały dwie silnie narysowane postacie: hajdamaki i zbójnika; gdzieindziej bowiem, siła żywotna rozlewa się tylko w żalostnej piosence rekrutskiej, w narzekaniu na swoją dolę, lub dotyka jakiego wypadku, który mógł jedną lub drugą wieś zajmować—zresztą nie widać tam nigdzie, owych ogólnych wyobrażeń i uczuć podsuniętych pod jedną osobę. Przyczyna ta łatwo wytłumaczyć się

tém da, że Kozaczyzna i Górale, używali więcej swobody życia, niż reszta ludu; — pierwsi, że tworzyli niejako obraz wojenny Rzeczy-pospolitej, że w życiu historycznym odgrywali rolę nie-małej wagi — drudzy, że zasłonięni górami, nie-doznawali od panów, ani ucisku, ani wpływów tłumiących ich przyrodzoną bujność i śmiałość. Mając po jednej stronie równie polskie, a po drugiej bogate Węgry, spuszczały się jak drapieżne sokoły ze swoich groniów 4) szukając zdobyczy w złocie i winie i wszystkich rozkoszach, jakich im odmówiły ubogie koliby, niemające nic więcej prócz owsianego placka, bryndzy i żentycy; wreszcie jest to ów pociąg naturalny w góralu do przewietrzenia się po świecie 5), do przerwania nudzącej acz lubej jednostajności, że musi spuścić się na równie, choćby dla tego samego, aby przypatrzwszy się biedzie i trudom polnych robaków, zabanował 6) za swemi halami, i mógł zaśpiewać:

4) wierzchołków.

5) tak nazywają równiny.

6) zatęsknił.

Hej niema to jak Juchasom.

Nic nie robią tylko pasą.

Na groniki wybiegają.

Za strzeskami 7) pozierają....

A to znowu na drugą nutę:

Piękna tyżto piękna, ta zbójcka sława:

Sablicka u boku, niestrzyzona głowa!

Zapewne że nie ma mniej kłopotliwego życia, jak paść owieczki, a więcej romansowego, jak z szabelką przy boku w bogatym stroju zbójnika pokazać się jakiej urodziwej frajerce 8) i składać jej u nóg garcami korale lub perły z bindów żydowskich! Takie obrazy są rozkoszą rozmyślań górala; lubi on je opowiadać zabłąkanym podróżnym, których zaprasza gościnnie na bryndzę do swego szałasu i zaraz występuje z powieścią o sławnym Janoszczyku, którego ubrał we wszystko, czego tylko mogła dostarczyć fantazya; rzucając go już w wypadki dziwne, oryginalne, już użyczając mu nadprzyrodzonej mocy, jakiej zwy-

7) Owce.

8) Kochance.

kle lud nie odmawia niepospolitym figurom, wyszłym z jego środka.

Janoszczyk, jak głosi podanie, urodził się w Starostwie Spizkiem pod koniec 17-go wieku. W młodych latach oddany był do szkół do Podoleńca jak tego dowodzi przywiązanie do dawnych współ-uczniów, których hojnie lubił obdarzać, ilekroć mu się zdarzyło spotkać z nimi, gdy na podróży robił zasadzkę przy gościńcu. O przejściu jego do życia zbrojeckiego, nie wiem żadnego szczegółu; może to był właściwy ów pociąg syna gór, od nudnych książek i alwara, do swobody i przygód, może też ów prosty chłop, z charakterem silnym, przedsiębiorczym z burzliwymi namiętnościami, których ledwo liżnięta edukacya szkolna, nie umiała powściągnąć, tylko jeszcze bardziej rozniecić, doznając wszędzie pogardy od rówieśników szlacheckiego rodu, uczuł się obrażonym w dumie swego męskiego uczucia, i niemogąc nigdzie znaleźć wyniesienia w świecie społecznym, szukał go w wojnie z tymże światem, i jak mówi piosnka gminna:

Radykał 9) się Janik z gronika 10) na gronik
 Aż się psyradykał z bójnikom na chodnik.

Przystąpiwszy tedy do zbójckiego rzemiosła, niedługo zdatności jego przyrodzone pozwoliły mu zostawać w szeregu prostego opryszka; śmiałość wypraw, przytomność w niebezpieczeństwach, jedno i drugie powodzenie, wyniosły go na stopień herszta bandy będącej postrachem powiatów polskich i komitatów węgierskich. Kupcy, księża, magnaci, dwory, klasztory — wszystko to drżało przed siekierą Janoszczyka — jednym tylko studentom umiał być przyjacielem, a z płcią piękną, tak grzecznym, jak drugi Rinaldini. To też o jego wspaniałomyślności pełno anegdot.

Pewnego razu zasadziwszy bandę w boru, sam się przechodził po gościńcu, podpierając się ciupagą i pogwizdując. W tém postrzega pod górą zwolna toczący się wózek; dwoje osób w nim siedziało, a na przodzie powoził mały fornalek. Gdy jadący zbliżyli się, Janoszczyk zastąpił im drogę.

9) Przemykał się.

10) Wierschołek.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus; zawołał wcale niepokornym głosem.

— Na wieków wieki — odpowiedzieli wszyscy trzej, zdjmując czapki z widocznym przerażeniem.

— A dokąd to waspanowie jedziecie?

— Do Podoleńca.

— Co za jedni?

— Studenci, — wracamy z wakacyi.

— Ha! panowie studenci — mówił Janoszczyk w wesołym humorze — cienko coś śpiewacie, widać że wam nie smakuje alwar i bizuny.

A z którejże klasy?

— Z Seminaryum — uczę się na księdza — odpowiedział starszy.

— A ty malcze?

— Z infimy.

No panie Infimista pójdz sam tu, muszę cię wyexaminować, czy darmo kaszy nie zjadasz?

Na ten rozkaz infimista wyskoczył z wózka, drżący stanął przed Janoszczykiem, którego zuchwiała postać, w wspaniałym góralskim ubiorze,

i dwie pary ślniących pistoletów za pasem, strasznie zaimponowały malcowi.

— Deklinuj mi *terra*.

Chłopak bez zająknięcia wytrzepał czternaście razy ten wyraz.

Bene! zawołał Janoszczyk, i pogłaskał go po głowie.

— Teraz mi powiedz, gdzie jest środek ziemi?

— Ot tu, gdzie stoję — odpowiedział podskoczywszy.

— *Optime!* wyjdiesz aspan na ludzi — ale nie na tém koniec, jeszcze cię wyexaminuję, czy umiesz pióra temperować? oto masz scyzoryk, pióro powinienes mieć ze sobą.

Infimista poszedł do bryczki, wyjął z teczki óro, zaczął temperować, ale gdy przyszło przyciąć nosek, trochę się zakłopotał i niemyśląc wiele, ociął go, nie na paznokciu, lecz na kole od wózka.

— Toś pokpił sprawę, panie Infimisto! zawołał Janoszczyk — szczęście dla ciebie, że masz dwie noty dobre; inaczej bowiem, zarazbym cię

kazał przeciągnąć na pienku, Tymczasem daruję ci ten scyzoryk i czerwieniec na książki — tylko: *disce puer.*

Infimista pójrzawszy na świecący pieniądz, podskoczył z radości i pocałował w rękę szanownego examinatora.

— A teraz sprawa z aspanem, panie teologu.

— Héj chłopcy! Janoszczyk świstnął i w mgnieniu oka kilkunastu górali z wataszkami wyskoczyło jak z pod ziemi.

— Widzicie, oto jest młody kleryk, co się uczy słowa Bożego — dawnośmy chłopcy nie słyszeli kazania, żyjemy w grzechu i ciemnocie; S. Antoni ulitował się nad nami i zesłał nam duchownego pocieszyciela; kto wie, może mu się uda nawrócić nas na drogę zbawienia i łaski.

Zróbcież księdzu kaznodziei ambonę.

Seminarzysta w okropnym ambarasie obracał w rękach czapkę i skrobał się w głowę; ale przypomniawszy sobie, jak się pan examinator obszedł z infimistą, nabrał cokolwiek odwagi i pomyślał: kiedy prosi o prawdę, będąc mu ją ciął bez ogródki.

Tymczasem pod ciosami kilkunastu siekier, zwała się ogromna jodła, został tylko pień wygładzony.

Ambona już gotowa—dalej dobrodzieju prawie kazanie — krzyknął Janoszczyk — a wy chłopcy stać i słuchać. Seminarzysta widząc, że się i sianem nie wykręci, nadrobił rezonem;

— Jeżeli taka wola wasza, moi kochani parafianie — mówił z przekąsem — tedy słuchajcie słów Stój Ewanielii.

Poczém wlaź na pniak — przeżegnał zgromadzenie i zacytował text:

— Napisane jest u Sgo Mateusza w rozdziale 7ym: nie może drzewo dobre owoców złych rodzić, ani drzewo złe, owoców dobrych rodzić. Wszelkie drzewo, które nie rodzi owocu dobrego, będzie wycięte i w ogień wrzucone.

Janoszczyk spójrzał na swoich, i kiwnięciem głowy dał do zrozumienia, że mu się podobała cytacya.

W dalszym ciągu młody kaznodzieja stopniami się rozpalał, wyrzucając im zbrodnie, stawiając obrazy mordów i łupieży, strasząc mę-

kami piekielnemi; a w końcu, jakby dla nieodjęcia grzesznikom zupełnej nadziei wskazywał środki powrotu na drogę cnoty i zbawienia.

Domówienie miało być arcy-szczytne, tak, że sam mówca naprzód się rozplakał, a potem cała banda ryknęła chórem. Po przeżegnaniu, gdy kaznodzieja złąził z ambony, Janoszczyk zapytał opryszków:

— A co chłopcy skruszeni jesteście?

— Oj skruszeni! odpowiedzieli.

— Porzucicie zbrojeckie rzemiosło?

Nikt nie odpowiadał, a wszyscy drapali się w głowę.

— Trzeba pójść, oddać się sędziom i wyznać wszystko?

— To nas powieszają! krzyknęła banda w pomięszaniu.

— Ale na tamtym świecie mniejsza nas czeka pokuta?

— Ej! zawołało wielu — kiedy już wisieć, to wiśmy za obie nogi.

— I ja tak mówię — dodał Janoszczyk — a

tymczasem podziękujemy dobrodziejowi za obrok duchowny.

Tu zdjął kapelusz, wrzucił weń kilka sztuk srebra i kwestując, chodził od zbójcy do zbójcy; w parę minut kapelusz prawie się nappełnił.

— Przyjmij to Dobrodzieju na sutannę — rzekł Janoszczyk wysypując mu w połę srebrniki — Trzebaby was jeszcze czém obdarzyć, np. płótnem na koszulki.

— Hej chłopcy! mówił obracając się do swoich — odmierzcie każdemu po 10 miar. Na rozkaz wyciągnięto z krzaków półsetek i mierzono, z tą różnicą, że nie łokciem, ale odstępem jednej jodły od drugiej; który to sposób, wielkiego śmiechu nabawił panów studentów.

—A teraz — mówił herszt — ruszajcie w imię Boże, i wspominajcie czasem Janoszczyka.

Inna jeszcze przygoda, jaką opowiadają, ma-luje wielką jego grzeczność dla kobiet, i przy-jazń dla szkolnych towarzyszy. Razu pewnego, w gęstym lesie spotkał był parę powozów; a w nich całe grono weselne jadące do ślubu. Pan młody, był to właśnie dawny jego kolega ze

szkół Pijarskich w Podoleńcu. Powitanie było kordyalne, lubo zaczajona banda, miała z początku zamiar złupić państwa młodych i starostów i druzbów. Całe towarzystwo, które na pierwsze pojawienie się Janoszczyka, mało nie umarło ze strachu, ożyło na widok uścisków, i oświadczeń grzeczności ze strony zbójcy.

Prezentujże mnie swojej narzeczonej — mówił Janoszczyk do pana młodego.

— Panno Katarzyno! mówił młody szlachcic — zbliż się ku nam, oto prezentuję ci pana Jana, mego kondyscypuła.

Panna Młoda spuściwszy oczki od wstydu i strachu, dygnęła i cienkim głosikiem rzekła: Bardzo mi jest przyjemnie, że....

— A mnie jeszcze przyjemniej będzie — mówił Janoszczyk, kłaniając się po kawalersku kapeluszem — Jejmość Pannę, będę miał zaszczyt utraktować w moim pałacu, pod gołtem niebem; spodziewam się, że mi kochany kolego nie odmówisz i powracając z kościoła, na tém samym miejscu, przyjmiesz, nie szlachecki, ale hultajski bigos.

Pan młody zaczął się wymawiać, że muszą spieszyć napowrót do domu, gdzie czekają rodzice z obiadem i t. d.; ale Janoszczyk, jak się zaciął, tak musiało stanąć na jego żądaniu, i szlachcic rad nierad dał słowo stawić się na bankiet zbójceki, na dotrzymanie którego, odpasał od boku bogatą karabelę, i dał w zastaw Janoszczykowi.

Jakież zdziwienie było państwa młodych, i całego orszaku weselnego, gdy z powrotem na pięknej murawie, otoczonej staremi jodły, zastali stół nakryty prześlicznym hollenderskim obrusem, gnący się od srebrnych mis i wyłaczanych puharów. Jadło składało się z wybornie pieczonej zwierzyny — najlepsze wino węgierskie łało się z beczek — gęste puhary obchodziły w koło za zdrowie państwa młodych; w końcu gdy ktoś krzyknął: kochajmy się! szlachta podchmielona na dobre, za panbrat rzuciła się w objęcia opryszków.

— Biesiada trwała do późnej nocy. Janoszczyk w rajskim humorze, kazał był zgotować nowożeńcom łożnicę napowietrzną na gałęziach

dwóch brzóz, i nie chciał ich puszczać na wszystkie zaklęcia i prozby — ale z domu rodziców panny, wysłani dworscy na koniach, dla odszukania nowożeńców, pokazawszy się w przewyższającej liczbie, nie pozwolili dalej posuwać żartu. Na odjezdném Janoszczyk porobił prezenta wszystkim gościom, mniej więcej kosztowne; ale że to były czasy wielkich skrupułów, tedy każdy pozbył się takowego klejnotu, na korzyść jakiego klasztoru; miano bowiem wyobrażenie, że rzecz pochodząca z nieprawego źródła, przynosi nieszczęście posiadaczowi.

Jedną jeszcze cechą charakteru Janoszczyka, była nabożność, zapewne nie zmyślona. Powiadają o nim następną anegdotę. Będąc przyjacielem studentów, zrobił sobie u nich sławę tak popularną, jakiej nie używał żaden ze studenckich bohaterów; przeto wszystkie ich rozmowy i marzenia młodziane obracały się koło osoby zbrojcy, którego podnosiły jeszcze w ich rozumieniu najdziwniejsze powieści potworzone przez lud i bojaźń, jaką rozsiewał na całym podgórzu. Jak to zwykle bywa między ludźmi, złe nas spotyka

najczęściej ze strony najdotkliwszej—dobrodziejstwa tworzą niewdzięcznych. Otoż i Janoszczykowi tak się też wydarzyło. Pewnego razu gdy obozował sobie między skałami, spotkał zabłąkanego młodzieńca—był to student. Wypytywany odpowiedział, że uciekł ze szkół przed srogością profesora, który go dzień w dzień siekł niemiłosiernie; że chciał się dostać do rodziców, ale że w górach zabłądził. Janoszczyk ulitował się, i zaprowadził go z sobą do szałasu, gdzie nakarmił i napił i jeszcze na nocleg zatrzymał, przyrzekając, że go do domu każe przeprowadzić, skoro sobie dobrze wypocznie. Nazajutrz o wschodzie słońca studencik, jako był przekupiony od zwierzchności, zmiarkował, że wszyscy zbójcy niepopowracali jeszcze z nocnego połowu, i że sam herszt chrapie obok niego w szałasie: wstał więc po cichu i skradał się; ale jakżeż się zmięszał z razu, gdy postrzegł Janoszczyka, jak obrócony do niego plecyma, klęczał i modlił się gorąco. Przekupne sumienie odniosło jednakże zwycięstwo nad szlachetniejszym uczuciem, zdrajca dobył pistoletu i strzelił

do niego—ale kula chybiła; Janoszczyk wciąż się modlił:—student poprawił i znowu chybił—za trzecim razem, gdy jeszcze się podsunął i wypalił o trzy kroki, a Janoszczyk nie przestawał się modlić; wtenczas rzucił broń i zaczął uciekać; ale Janoszczyk właśnie skończył był pacierz, dogał zdrajcę studenta i uciął mu głowę, którą w skrzynce posłał do grodu.

Historya powiada, że sławny ten herszt zdradzony przez swego kobeźnika, wydany został zwierzchności, przez którą skazany był na stracenie w Liptowie na Węgrzech w 1713.—Powieść gminna daleko poetyczniejszy naznacza mu koniec—podobnie bowiem jak Dobosz, znany zbójnik na Czarnéj górze w Kołomyjskiém, i on pada ofiarą przeniewierczéj kochanki. Trzeba wiedzieć, że gmin kiedy wystawia bohaterów swoich, daje im oprócz nadprzyrodzonej siły, jeszcze broń zaczarowaną, lub posiadającą jaką cudowną własność. Tarcza Achillesa, miecz Cyda lub Chrobrego, kute były przez Bogów, lub znośzone przez Aniołów z nieba—góral lubo nie dał siekierce Janoszczyka tak świetnego pochodzenia,

niemniej jednak nadał jej władzę cudowną; leciała ona bowiem do niego sama, przez powietrze na jedno gwizdzenie. Kochanka Janoszczyka zdradzając go, wiedziała, że póki będzie miał w ręku swoją ciupagę, żadna siła hamerskich hajduków nieda mu rady, przeto wykradła mu ją i zamknęła w dziewięciu skrzyniach, dziewięcioma zamkami. Dopiero dała znać hajdukom;—gdy go opadli, nic się nie bronił, tylko gwizdnął, co miał siły i zaczął przedrwiwać sądowym pachotkom; ale godzina jego wybiła! siekierka zaczęła się wyrąbywać; zrąbała ośm skrzyń, dziewiątej nie mogła, gdyż dziewięć jest liczbą tajemniczą.

Taki był koniec naszego zbójnika. Między Słowakami dotąd utrzymuje się podanie, że Janoszczyk zostawił po sobie rękopism o skarbach, które po różnych miejscach miał pozakopywać; niewiadomo, czy szczęśliwy onego posiadacz potrafił dotąd odgrzebać bogactwa, i czy przedsięwzięciu temu nie przeszkadzają złe duchy mające w swjej straży wszystkie podziemne bogactwa?

VI.

Do zupełnego narysowania charakteru i życia zbójców, niemożemy pominąć pieśni, która poetyzuje swoim właściwym językiem sceny i wypadki wzięte z rzeczywistości. Do najgłówniejszych utworów w tym rodzaju można policzyć dumę następującą. Opiewa ona zbójcę Janiczka— który może być ten sam, co Janoszczyk, luboć imie Jan uprzywilejowane jest we wszystkich pieśniach gminnych naszego ludu tak na Rusi jak w Polsce.

Haniu moja pójdź do domu,
Wydam ja cię, niewiem komu,
Wydam ja cię Janickowi
Hej walnemu zbójnickowi.
Janku, Janku tęgiś zbójnik!
Wies po wichrach, każdy chodnik.
We dnie idzies, w nocy wrócisz
A mnie biedną tylko smucisz.
Mas kosulkę uznojoną
A sablickę zakrwawioną;
Janku, Janku, kędys ty był,
Coś se sablicku za krwawił?
Wyrubałem tu jedlicku
Co stojała w okienecku,

Wednie , w nocy hukotała

Mnie smutnemu spać niedała.

Psyniośł ci jój saty prać ,

A nie dał ich rozwijać ;

Ona prała , rozwijała ,

Prawą rąkę nadybała.

W téj rącecce pięć palusków ;

A na małym złoty pierścień.

W tym pierścieniu troje wrótka.

Dyc to mego brata rącka !

Nie długo się obawiała ,

Do matusi odsyłała :

Matko moja psemilejsa !

Cy mam bratów wsykich doma ?

Córus moja ni jednego ,

S tych co siedmiu najmłodsego.

Skoro wysedł rok , półtora ,

Nagrodził jój Pan Bóg syna.

Lulaj buba , synu mój !

Nie bądź tak , jak ojciec twój.

Na kaski bym cię siekała ,

Orłom , krukcom rozsypała.

Mąż to za smerekiem słysy ,

I od złości cały dysy :

Śpiewaj Haniu , jakś śpiewała ,

Kiedys syna powijała.

Lulaj buba synu mój!
 Byś tak był jak ojciec twój.
 We winie bym cię kąpała.
 A w jedwabie powijała.
 Oblec Haniu drugą satkę,
 A pójdziema na psechadzkę.
 Dwa roceckim z tobą zyla
 Na psechadzkim nie chodziła.
 A wziął ci ją za ręceku
 I zawiódł ją ku gaicku.
 Ocka carne juj wydłubał,
 Rącki białe jój odrubał! —

Ku lepszemu objaśnieniu tej dumy, gmin jeszcze przyłączył takie opowiadanie: „Pewien zamożny Gazda miał siedmiu synów i bardzo urodziwą córkę; między zalotnikami do niej był i zbój. Ojciec znał go jako porządnego Gazdę—nie robił więc trudności w oddaniu mu córki.—Córka również zostaje w niewiadomości, i ani jej przez myśl przechodzi, aby miała być małżonką zbrojnika; jednakże po jakimś czasie pożycia, niepokoi ją odludna ich koliba pomiędzy najdziksze skały i borem; na różne domnie-

mania naprowadza zbyt częste i nocne oddalenie się męża z domu. Wypytuje go o przyczynę i wyrzuca z płaczem, dla czego jej nigdy nie otworzył skrzyni ze swojemi rzeczami, i dla czego bielizny do prania nie daje? (między ludem nie masz ważniejszego powodu do posądzenia męża o niewierność, jak kiedy nie daje bielizny żonie do prania), lecz góral daje jej same tylko wykrętne odpowiedzi, które ją wcale nie mogły zaspokoić. Zdarzyło się po niej jakim czasie, iż pewnego wieczora powrócił do domu bardzo zmordowany i zza krwawioną bronią. Przelekniona żona wypytywała go i tym razem, ale napróżno! — postanowiła więc czekać do sposobnej pory, i kiedy mąż znowu gdzieś poszedł na dni kilka, otworzyła skrzynię i znalazła w niej pomiędzy bielizną prawą rękę; po pierścionku na małym palcu, poznała rękę najmłodszego swego brata. Już teraz przekonała się, że jest małżonką zbrojnika, i w cichości znosiła swoją dolę nieszczęsną. Niedługo stało się, że Pan Bóg dał jej syna. Raz, gdy go lulała do snu i dawała przestrogi, aby się niewdał w ojca, mąż

ją podsłuchał—wszedł do chaty i kazał powtórzyć piosenkę, ale biedna dała jej inny obrót, pochlebny dla męża. Nie zmiękczyło to zbójcy; kazał żonie odziać się w świąteczne szaty, wywiódł gwałtem w las odludny i odrąbał ręce, za to, że otwierały skrzynię, a oczy wydłubał, że przepatrywały jego rzeczy; poczem odprowadził nieszczęsną do domu, a sam poszedł w Tatry, i nie było więcej o nim postychu.

Następująca pieśń jest prawdziwym zarysem życia zbójckiego od kolebki, do śmierci na szubienicy :

Hej chłopiec ja chłopiec z końca Rogoźnicka 1);

Miałem matkę dobrą, a ojca zbójnicka.

Jescem nie zbojował, dopierom próbował;

Z bucka na jedlicę w liesie psesakował.

Jescem nie zbojował, dopiero ten rocyk

Juz mię chcą powiesić na zelazny hacyk.

Panowie, panowie, nie dajcie mię zgubić!

Ja wam będę za to siedm rocków służyć.

Panowie, panowie, wyróbcie mi prawo:

Cobym ja nie siedział na Wiśniecu 2) darmo.

1) Rogoźnica wieś.

2) W Wiśnieczu, kryminalny sąd w Galicyi.

Oj jakzeby było zal memu kochaniu

Kiejby mię powiedli z wiersku ku muraniu 1).

— Powiadała ja ci, daj pozór na siebie

Hamerscy hajducy 2) bierą się po ciebie,

Obwiesą cię Janku za pośrednie ziobro,

Jus ci będzie potém zbijać nie podobno.

— A kiej mię powiesą, moja dusa wstanie,

Budzie ona hladzić frairki nastanie,

Kiej mię obwiesicie, obwieście mię w mieście

Barylkę z palenką 3) nademną powieście.

Tam będę se wisiał, będę se spocynał,

Tam będę co chwila palenku popijał,

Obróć że mnie mistzu ockami ku drodze,

Niech się ja napatsę téj zbójcekiej chodze 4).

Zbójnika frairka syćko poplakuje;

Zbójnikiem na chaku wiater porusuje.

Mikułas, Mikułas, mikułasie mosty,

Tam się potyrają swarnych 5) chłopców kosty.

Dołączam tu jeszcze urywki niektórych pieśń
i przyspiewków; niektóre wybornie oddają du-

1) Muraniem zowią każde miasto grodowe.

2) Pachołcy z fabryk żelaznych.

3) Palenka, gorzałka.

4) Droga w górach.

5) Swarny, dzielny.

cha tych ludzi śmiałych i tak lekko wążących
 życie, jakby zapatrywali się na nie z jakiegoś
 wysokiego filozoficznego stanowiska.

Powiadali ludzie, że mnie zbójnik budzie,
 Jak budzie to budzie, samem wirchem pódzie.
 Nie będę ja gazdą, nie będę rolnikiem,
 Jeno będę chodził zbójnickim chodnikiem.
 Héj, a jak mię złapią, to ja będę wisiał
 Na wierschu jodelki będę się kołysał.
 Nie boj się frairko, choć ja na zbój pódę,
 Jeno proś u Boga, to ja twoim budę;
 Jaworze, Jaworze, serokiego liścia,
 Dajze Panie Boze zbójnikowi scęścia!

Mali chłopcy mali, kiěj się na zbój brali,
 Jesce nie porośli, kiedy na zbój pošli.
 Jesce nie zbijali, kiěj ich połapali;
 Dyć ich połapali, w zakopienskiej hali.

Idzie zbójnik zza Liptowa,
 Ciece mu krew zza rękawa,
 Zza rękawa i z gołowecki
 Wsyćko pscz zdradę dziewecki.

Zamku: zamku, nowo murowany
 Héj siedział ja w tobie rocek okowany:

Siedział ja na zamku psez rok i psez tydzień,
Nigdy ja nie widział, kiedy noc, kiedy dzień.

Janosik, Janosik, gdzie podział pałasik?
W Kosycach na bramie, tam wisi na ścianie.

Héj z plesiwskiej bramy uciekały pany:
Kiedy się Janicek wataskami broni.

Janicku, Janicku, swarny pacholicku,
Héj ty wies po borach o kazdym chodnicku.

Oj niema to jako zbój, spadnie listek, to się bój!
Spadnie listek bukowy, juz zbójnicek gotowy.

Tańcowali zbójnicy, w murowanej piwnicy;
Kazali se pięknie grać, i na nózki pozierać.

Héj pije se zbójnicek, turackami płaci:
Wezmą go do nieba aniołowie swaci. (święci).

Pije zbójnik pije, na drugiej dziedzinie:
Jego frairecka dobrze nie zaginie—
Pije zbójnik pije, za ten talar bity,
Nie płac frairecko, napijes se i ty.

Zbójniku , zbójniku , mas fairkę ładną ;
Dajże pozór na nią , bo ci ją ukradną.

Darmo wy mię darmo, do szkoły dajecie,
Ze mnie zbójnik budzie, darmo nakładacie (koszt łożycie).

Karcmarecko nasa, nie zagasaj ognia,
Psydą swarne chłopcy, będą tańczyć do dnia.

VII.

Oprócz zbójceckich są jeszcze pieśni Juhasów czyli pasterzy—wszystkie prawie treści miłosnej, podobne z ducha i toku do znanych kołomyjek i krakowiaków; zwykle w nich pierwszy wiersz zawiera jakiś obraz wzięty z otaczającej natury, lub najbliższego przedmiotu, drugi zastosowanie moralne.

Juhasy, Juhasy, coście owce paśli,
Zgubiłam wianeczek, wyście mi go naśli.
Juhasy, Juhasy, dyć się Boga bójcie,
Zgubiłam wianeczek, dyć mi go powrócie!
Zgubiłam wianeczek w zielonej ubocy;
Ten mi go powróci co ma carne ocy.
Dyćem się tała, tać się nie będę,
Gotuj kołyseckę, ja pieluski psęde.

Gotuj kolyseckę, z drzewa limbowego 1),
A ja pielusecki z rąbka bielonego.

Héj tęsno mi tęskno sama niewiem cego,
Bez mego Janicka, dalekom od niego.
Boli mię główecka, serdusko nie cuje,
Héj nikt tego niewiś, za kim ja banuję (tęsknię).
Bodaj ten cłek nie zył, bodaj nie wickował,
Co on to kochanie na świecie fondował.
Nie płac frairecko, otsyj sobie ocka;
Psyjdę ja do ciebie, jak się ściemni nocka.

Idzie woda idzie, z daleka się sieje;
Idzie mój Janicek z daleka się śmieje.
Idzie woda idzie, drobny piasek niesie;
Cekaj mię frairko w smerekowym lesie.
W potocku za laskiem, siwe konie piją;
Nie chodź tam Janicku, bo cię tam zabiją.
Bodajze ta woda, bodajze zmaliała.
Cobym ja Janicka pierwěj uwidziała.

Bodaj ty dziewcyno maliniaku zjadła,
Coś ty Janickowi do serduska wpadła.
Chyba cię dziewcyno djabli malowali,
Co do twoich licek taką krasę dali.

1) Limba, kozodrzew.

—Ej dyc mię malował sam Pan Jezus z nieba;
Bo do moich licek takięj krasy tseba.

Werbują, werbują i na siłę biorą;
Héj nase frairki, gdzie się nam podzieją?!
Héj trawka zielona, kto ją będzie kosić?
Jak pójdę na wojnę, będę sablę nosić.
Włosy moje włosy, moje carne włosy,
Nie będą otsąsać z popod buków rosy.
Bodaj ten Nowy-Sąc pioruny rozbili!
Zeby nam tam bezeń chłopców nie gonili.
Bodaj ten Nowy Sąc pioruni stsaskali,
Zeby nam do niego chłopców nie bierali.
Nowy Sąc, Nowy Sąc, héj okragłe miasto,
Do niego syroko, ale z niego ciasno.

W moim ogródecku majeronek bujny,
Niech do mnie nie chodzi tylko zbójnik dumny.

Ku potoku wartko idę, Carny gawron wode pije;
Pije, pije, pokrakuje; moja miła popłakuje.

Héj nie mas to nie mas jako pod halami,
Nauca cię śpiewać dziewczki za owcami
Choć ja pod halami, nie chcę podhalana,
Zdarłabym se nogi po same kolana.

Dyc podhalami syćko dobrze rodzi;
Owiesek posiejes, zytko się urodzi.

Podhalackie dziewecki, hój jako sarnecki ;

A z dolów wargule, tylko skrobać grule (kartofle).

VIII.

Oto są niektóre odgłosy z rozlicznych śpiewów podhalan—dzikie wprawdzie, szorstkie—bez sztuki, ale pełne przytém właściwych sobie zwrotów, przemawiające prostotą górskiego życia—zgoła materyał dla naszych wieszczów, którzy w te barwy i formy mogą oblec swoje wznioślejsze myśli.

O ważności pieśni ludu panuje dziś powszechne przekonanie w świecie naukowym ; pozostaje tylko zrobić z nich to, co uczony Fletcher Saltoun powiedział: „Niech sobie pisze prawa dla kraju, kto zechce—a mnie niech pozwoli pisać ballady, a ukształcenie ludu mam w ręku.” Myśl ta nie da się zastosować do wszystkich ludów w ogólności, ale do żadnego może lepiej nie przypada, jak do naszego, który dzień w dzień improwizuje swoje śpiewki ; żal tylko, że przedmiot do nich chwyta z codziennych i mało znaczących wydarzeń. . . .



DJABEL W KRAKOWIE.

STARA GAWĘDA.

Czytałem w żywocie jakiegoś świątobliwego pustelnika, wielce adorowanego nawet przez współczesnych, że tenże zagłębiając się w gorących modłach, miewał niekiedy zachwycenia, w których widywał ni to na jawie, jako niezliczone duszyczki owych biednych grzeszników, co to ciężko obrażyły Pana Boga, na nic więcej nie narzekały, smażąc się w ogniach piekielnych, tylko na ród niewieści, który ich w tę bezden katuszy wtrącił na wieki. Tego rodzaju narze-

kania wprawiły w wielkie podziwienie nie tylko samego starostę piekielnego Lucypera, ale i całą jego dostojną radę, a to z powodu, że takiego spotwarzenia rodu niewieściego ani mogli dopuścić. Gdy jednakże skargi te mnożące się z dniem każdym, urzędownie samemu Lucyperowi przełożone były na walnej radzie piekielnej, przeto stanęło na tém, aby *casus* ten roztrząsnąć na pełnym zebraniu się książąt piekielnych i stosowne środki obmyśleć ku docieczeniu prawdy, lub wykryciu oszukaństwa. Lucyper zwołał przeto koło radne i taką odezwą zagaił: „Aczkolwiek wierni moi i mili poddani, z woli wyższych i nieodzownych wyroków losu władam podziemnymi państwami, a tém samym nie czuję się podległym żadnej władzy na niebie i ziemi, wszakże zważywszy, że to przystojniej jest, kiedy mocarz jak ja potężny, poddaje się prawu i zdania drugich zasięga, postanowiłem waszej rady zaczerpnąć w pewnym przypadku, mogącym mieć bardzo niebezpieczne skutki i niezmasaną plamę na naszym panowaniu zostawić. Zapewne nie tajno wam, iż wszystkie duszyczki

mężkie, dostające się do państw piekielnych, całą winę zazwyczaj składają na swoje małżonki. Raz zdaje nam się to niepodobne do prawdy, iżby człowiek grzeszył tylko przez niewiastę, po drugie, nie radzibyśmy w skutek tak nieugruntowanego zaskarżenia, wydawać twarde wyrok na oślepi, bo albo okrzykniętoby nas za nieubłaganych okrutników, albo gdybyśmy to puścili płazem, za gnuśnych i niesprawiedliwych. Gdy zaś jak wiemy, jedni ludzie grzeszą lekko-myślnością, drudzy z braku uczucia sprawiedliwości, my przeto pragnąc uniknąć jednej i drugiej toni, jesteśmy w kłopotcie, jak się z tego wywikłać z honorem; nie pozostaje nam więc, jako zwołać was zacne książęta i dostojni panowie, abyście radą swą w pomoc nam przyszli i mądrém postanowieniem utwierdzili od wieków ugruntowaną sławę sprawiedliwości piekielnej.“

Po téj przemowie każdy z książąt i dostojników uznał ważność pomienionego przypadku, i potrzebę zastanowienia się nad nim. Wszyscy jednogłośnie zgodzili się na to, aby o prawdzie przekonać się; zdania tylko różniły się co do spo-

sobów, dojścia prawdy. Jedni bowiem radzili wysłać jednego, drudzy wielu posłów na ziemię, ażeby przybrawszy powierzchowność człowieczą osobiście przekonali się, czy tak jest lub nie. Byli i tacy, co odradzali tyle niepotrzebnego zachodu, powiadając, że dość wzięść jedną lub dwie duszyczki na Madejowe łoże i wymódz na nich wyznanie prawdy. Gdy zaś większość obstawiała za wysłaniem poselstwa, tedy zdanie większości przemogło; wszakże nowa zaszła trudność, albowiem nikogo nie było, coby się dobrowolnie podjął poselskiego urzędu; postanowiono tedy wybór przeprowadzić przez kreski. Los wypadł na arcy-djabła Asmodeusza, który aczkolwiek pod różnemi postaciami uwijał się na ziemi i nawet figurował w niejednym romanse, bardzo kwaśno przyjął ten zaszczyt, nawet wystąpił z mową dowodzącą nielegalności wyboru, którą w najwznioślejszém miejscu przerwał mu sam Lucyfer i dał do zrozumienia, że tak chce, i tak być musi. Wprawdzie niektórzy formalisci protestowali cichaczem o naruszenie form parlamentarnych, ale starosta piekiel-

ny puścił to mimo uszu i kazał przystąpić do roztrząśnienia warunków onego poselstwa, które mniej więcej tak brzmiały: nadzwyczajny nasz poseł weźmie ze skarbu sto tysięcy dukatów; z niemi puści się na świat, a przybrawszy postać człowieczą, pojmie małżonkę, dziesięć lat mieszkać z nią będzie; a potem umierając pozorną śmiercią wróci do państw piekielnych, gdzie zda sprawę z swoich czynności przełożonym, wyjaśniając szczególnie ten punkt, jakie właściwie są gorycze, a jakie rozkosze małżeńskiego stanu? Dołożono jeszcze w przypisku, że w ciągu pomienionego czasu winien się poddać wszystkim nieprzyjemnościom i cierpieniom, jakim zwykle podlega człowiek, bądź to będzie ubóstwo, bądź więzienie, choroba, chłosta i wszelkiego rodzaju procesy; wolno mu wszakże z tych przykrości wywinąć się, ale własnym tylko przemysłem i dowcipem.

Asmodeusz odebrał tedy swoją nominację z kancelaryi państwa, pieniądze wyliczono mu w kassie głównej i tak zaopatrzony ruszył na świat.

Pomny na to, że mu wypada przyzwoicie pana swego reprezentować, jeszcze w piekle piękny dwór sobie sformował, posprawił kołebki i konie, i tak huczno buńczuczno prosto wjechał do Krakowa. Dla czego miasto to obrał na pobyt swój, prawdziwie niewiadomo; niektórzy jednakże domyślają się, że ponieważ tam żydów dużo bawiących się lichwą; więc i on zaopatrzony pięknym groszem, umyślił tym sposobem pomnażać swoją fortunę. Kronikarze milczą o roku przyjazdu jego do Krakowa; z różnych jednak szczegółów domysleć się można, że takowy przypadek jakoś około onych czasów, kiedy królowa Bona u nas gościła; albowiem moda była na rzeczy włoskie i Włochów; więc też i nasz poseł chcąc się przyzwoicie nazywać, dał sobie tytuł: Signor Provano, i zajął najpiękniejszą kamienicę na Stradomiu, gdzie cudzoziemcy z dawien dawna stawali. Ażeby ten i ów nie przypytał się do niego i nie wybadywał z kąd, jak i po co? rozgłosił, że jeszcze w młodych latach opuścił był Włochy, i ciągle podróżował po Oryencie, gdzie się wielkiego majątku dorobił;

wszakże mając więcej niż mu potrzeba, umyślił wrócić do swoich i resztę dni przepędzić w chrześcijańskim świecie bardziej odpowiednim jego skłonnościom, a wreszcie znaleźć dozonną towarzyszkę, któraby dzieliła serce jego i majątek. Wprawdzie miał zamiar osiąść w Mantui, z kąd ród swój wywodził, ale że Kraków był mu po drodze, a do tego znalazł tu i królowę Włoszkę i rodaków opływających jak pączki w maśle, więc mu się odechciało jechać dalej.

Signor Provano był sobie kawaler wcale gładkiej urody, w oczach niektórych pań uchodzić mógł nawet za Adonisa; a wiek jego dość ponętny, bo coś nie wiele za trzydziestkę sięgał. Ledwo kilka dni gościł w naszej stolicy, gdy już gruchnęło od końca do końca, że z ogromnymi przyjechał skarbami, że chciałby nabyć jaką realność, a co największa, że Krakowskie panny takie zrobiły na nim wrażenie, iż nie żartem zamysła starać się o rączkę jakiej uczciwej kupcowny. Widać, że Signor nie bez celu puścił w obieg ten swój projekcik, bo i doby nie wyszło, aż tu całe miasto trzęsie się tą wiadomo-

ścią; komoszki latają jedna do drugiej z językiem; poważni mieszczanie pozakładawszy ręce za pas, radzą na podsieniach, a tymczasem jak taki zapalony zawiścią, aby go sąsiad nie uprzedził, cichaczem wciska się do domu bogatego cudzoziemca i robi mu propozycję sprzedaży swojej kamienicy, lub z boku nadmienia o pięknych córeczkach, niezmiernie cnotliwych i gospodarnych, które mogłyby szczęście zrobić jakiego poczciwego człowieka, gdyby się taki gdzie trafił.

Gdy i nasz Signor rzeczywiście trwał w tych zamiarach, natręctwo ofiarujących córki i kamienice, bardzo mu było na rękę; żeniąc się bowiem po raz pierwszy na ziemi, nie ze wszystkim wiedział, jak sobie postąpić. Tak tedy przez różnych ojców, którzy mu się przedstawiali z razu w roli machlarzy, wprowadzony tu i ówdzie, prezentowany mamie, pannom, podejmowany hojnie, noszony prawie na rękach, nie dał się przecież, mimo małego w rzeczach małżeńskich doświadczenia do pierwszej lepszej pociągnąć, ale sprytem swoim djabelskim, prze-

patrzył przynajmniej kilkanaście domów, obliczył urodę, charakter i przymioty każdej panienki, i z tego poczetu wybrałszy co mu najwięcej przypadało do smaku, raptem zdecydował się.

Pewnego poranku widziano go, jak wspaniałą kolebką zajechał przed kamienicę pana Fogelfedera z oświadczynami o rękę najstarszej panny Agnieszki, po której wprawdzie posagu nie dużo miał się spodziewać, było bowiem jeszcze trzy siostry na wydaniu i trzech braci dorostków— ale za to imię zaszczytnie znane w mieszczaństwie, rzadkie cnoty domowe, ogłada niepospolita, czyniły ten związek zaszczytnym. Signor Provano nabiwszy sobie głowę, że robi niesłychaną partyę, tak wysoki ton umiano mu pokazać, takie niby stroić trudności i ceregiele, wysadził się z weselem tak huczném, że długo równego nie widziano w Krakowie.

Nie dość, że dla narzeczonej z Wenecyi posprowadzał najdroższe bławaty i złotogłowy, z Augsburga i Norymbergii misterne złotnicze roboty, ale jeszcze chcąc żeby o tém gmin gadał po wszystkie wieki, podczas ślubnej cere-

monji, w kościele Panny Maryi, przez który Krakowianie zwykle idą do chrztu, do ślubu i do grobu, kazał rozrzucić pieniądze i bić medale z datą swego ożenienia się, a jak to zwykle bywa, że po ceremonji w kościele następuje uczta i tańce, on się dwojako wysadzał, bo nietylko swych sproszonych gości uraczył marcypanami i najrzadszemi małmazyami, ale jeszcze na ulicy, kazał postawić kilka beczek wina i miodu, i palić ognie sztuczne, przy których *plehs* sławę jego podnosił pod obłoki. Niech to nikogo nie dziwi, że djabeł acz mądry, hołdował próżności światowej; wszakżeż on z natury swojej nie do cnoty, ale do złego skłonny; a przytém nie darmo położono mu warunek, gdy na ziemię wychodził, że wszystkim ludzkim słabościom i namiętnościom podlegać musi. Owoż zaraz mu zasmakowały rozkosze światowe, dymek pochwał sypanych zewsząd odurzał, wrodzona pycha kazała piąć się nad innych, ba nawet kusić się o równe z jakim Firlejem lub Kmitą; chował też wspaniałe cugi, dworzan, błaznów, kapelę, a wyprawiał uczty ledwo nie codzien. Do tego

ledwo jakiś czas pożył z swoją panią małżonką, kiedy tak się w nią na zabój rozmiłował, że żadną miarą nie mógł znieść, jeżeli cokolwiek zasępiła czoło, lub kwaśny pokazała humorek: dogodzić, utulić, rozweselić miał sobie za skrpuł, a wiemy przecież, że rozpędzić podobne humorki niczém się snadniej nie uda, jak brzęczącym mieszkiem.

Po kilku tygodniach stodyczy małżeńskiego pożycia, postrzegł Signor Provano, że dostojna jego połowica, krom zacności urodzenia i niepośledniej urody, wniosła mu w dodatku taką pychę, jakiej i Lucyperby się nie powstydział, a cóż dopiero on, wcale potulne i pokorne djabli-sko. Pycha ta z każdym dniem zdawała się wzmacniać, a to w miarę jak dostrzegała coraz bardziej wzrastające przywiązanie mężowskie ku sobie. Różnemi tedy niewieściami sztukami zawojowawszy go zupełnie, tak, że z dobrodzieja i pana stał się prawie jój niewolnikiem, poczęła sobie z góry rozkazywać, nie zważając na żadne perswazyje i względy, i jeszcze w tém większe wpadając furye, im on więcej widząc nie-

możność, śmiało stawiał słaby opór. — Nie obe-
szło się bez swarów rano i wieczór tak, że dom
Signora Prowany co chwila mu przypominał ro-
dzinne piekło. Skarzył się zrazu biédaczysko
przed rodzicami swéj żony — ale jak gdyby po-
ruszył gniazdo szerszeni, hurmem wsiedli nań
pan teść, pani teściowa, bracia, dalsi koligaci,
kumoszki, przyjaciele, znajomi nawet domu Fo-
ggelfederów, a kracząc i kładąc mu w uszy, mó-
wili: Jagusia poświęciła ci swoją młodość, swo-
ją przyszłość — miej się za szczęśliwego i znoś
drobne jéj kaprysy, bo kto kocha prawdziwie,
ten wiele powinien wybaczyć i cnoty tylko wi-
dzieć, a wad i ułomności nie wygrzebywać.
W niesmak mu poszło, że się za krzywdę jego
nikt nie ujął, i pomyślał sobie: musi to być ta-
ki zwyczaj między ludźmi!

Ależ nie na tém koniec utrapień. Jako dja-
beł z natury mocną skłonność do składania zło-
ta mający, (wszystkie skarby pilnowane są przez
djabłów) widział z bólem serca, że jéjmość trwo-
niła ogromne summy na różne stroje i noszenia,
które wciąż z cudzych krajów przychodziły bry-

kami, i nienoszone prawie szły w ką, gdy ten lub ów strój prędko się zmienił, podług obyczaju zaprowadzonego przez tę lub ową osobę na dworze królewskim. Wszakże mniejszaby już o wydatek na stroje! — rozrzutność ta mogłaby pochodzić z wielkiej chęci podobania się małżonkowi; ale to gorsza, że dla kupienia sobie jakiego takiego spokoju rad nie rad musiał kłopotać się o całą familię; i tak, teściowi pożyczają pieniądze na towar, bez nadziei odebrania ich; siostrom swęj żony, pomagają w dostaniu mężów, czyli po prostu wyposażać je; a braćmi też się zajmować, wysyłając jednego z bławatami do Ordy, drugiego ze złotniczemi wyrobami do Moskwy, a na trzeciego łożąc w Norymberdze, gdzie terminował. Na te wszystkie nakłady pękały ogromne summy; ssany na każdą stronę przepędził już większą połowę majątku, a choć się często skrobał po głowie i turbował, nic nie pomagało. Niechno nadeszły Zapusty lub Wielkanoc, kiedy to starym obyczajem całe miasto sady się na zabawy, na okazałe święcone, umiała pani Agnieszka tak podbudzić małżonka,

że zawsze i najhuczniej u niego tańczowano a biesiadowano i takie zastawiano święcone, że choć kto żyw w mieście, przychodził na kołacz, przecież niezdejmowano zastawy do samych Zielonych Świątek. Niedarmo też jeden głos był w mieście: Pan Provana zgasi nawet Kasztelana, i to nie jakiego drążkowego, ale najprzedniejszego z Senatorów, Pana Krakowskiego. Rzekło się wyżej o przyczynach, dla których podejmował te wymagania i wydatki, lżej niżby można było myśleć; a nie wątpić, iżby je weselszym jeszcze umysłem podejmował, i nigdy ani słowa marnego nie rzekł, gdyby był mógł okupić niemi spokój domowy i tyle przynajmniej zyskać, iżby w zbliżającej się majątkowej ruinie, zostawała mu pociecha w przywiązaniu małżonki. Ale na nieszczęście całkiem przeciwnego skutku doświadczył; pominawszy bowiem niezmiernie ekspensa na jakie go wyciągała, humor się jej nie zmieniał, bo nakłóciwszy się z mężem, brała się do służ, które pokrzywdzone, szły do pana na skargę, a nie zyskawszy nic, porzucały dom; jakoż bywało nieraz, że

na całe gospodarstwo prócz pana i pani nie znalazłeś żywego ducha. Nie mały złąd uszczerbek ponosił biedny Signor Provana, nie mogąc utrzymać żadnego człowieka, któryby przywiązał się i służył mu wiernie; jaki taki zbity i zfukany, porywał co mógł, i wynosił się; sami nawet djabłowie, których w postaci woźnicy, lokaja i innych dworzan przywiózł z sobą z piekła, woleli wrócić i smażyć się w najgorętszym ogniu, niż żyć na ziemi, pod panowaniem takiej jędzy.

Tak tedy Signor Provano prowadząc żywot bardzo niespokojny i twardy, nieładem swoim i marnotrawstwem jéjmości, przyszedł do tego, iż prawie cały kapitał w krótkim lat przeciągu przetrwoniał, i już zaczynał rachować na nadzieję ogromnych pieniędzy mających mu nadejść ze wschodu i z północy. Wprawdzie jeszcze używał jakiego takiego kredytu, więc też zadłużył się na skrypta, zwykle na dwakroć większą wystawiane summę, niż była mu zaliczoną. Tym sposobem coraz głębiej brnąc w długi, popadł w podejrzenie bankructwa, u tych co się na tym kręceniu bicza z piasku dobrze rozumieli. Już

tylko z trudnością mógł wyrwać jaki grosz i to na zastaw; a jednak i jegomość i jójmość nie tracili fantazyi pańskiej; aż w tém kupcy wracający z cudzych krajów przywieźli wiadomość, że jeden brat pani Agnieszki co to poszedł z towarem do Ordy, w drodze zabity został; a drugi w Moskwie znowu, co zyskał na handlu, przegrał w kości. Zaledwo ta smutna wiadomość, niszcząca ostatnie nadzieje Signora Provany, gruchnęła po Krakowie, dalejże wierzyciele jego porozumiewać się między sobą, i obmyślać środki ratowania swoich kapitałów; jednakże gdy termina wypłat jeszcze nie nadeszły, stało na tém, aby baczne na niego mieć oko, albowiem tacy przybysze, goniący wiatry po polu, zazwyczaj narobiwszy długów, znikają sobie jak kamfora, a wierzyciele zostają na lodzie.

Z drugiej strony Signor Provano widząc, że wszystkie nadzieje spełzły na niczém, że apela cyi dlań niema ani do piekła, a tém mniej do nieba, gdy mu i ten kłopotliwy żywot obmierzał, postanowił cichaczem wiaść nogi za pas, i dra pnać z Krakowa. Owoż pewnego poranku, do-

brze przed świtem, wpadłszy na przygotowanego rumaka w stajni, wymknął się bramą Kazimierską i przeprawiwszy przez Wisłę, dalej na Podgórze. Zaledwo opatrzone się, że go niema, powstał niezmierny skweres między wierzycielami, którzy zaraz skoczyli do burmistrza, poruszyli rajców, wyprawili na wszystkie strony ceklarzy i pachotków, a nawet jaki taki i osobicie puścił się w pogoń za zbiegiem. Uciekający Signor, mimo pośpiechu, bo mu już nie o rzeźmię szło, ale o skórę, gdzieś niedaleko Wieliczki wyjechawszy na wzgórze, postrzegł wielki ruch na gościńcu. Zrozumiał, że to pogoń, że mogą go dopędzić, a wtenczas wszystko przepadło! Owoż chcąc zmylić pogonie i bezpieczniej umykać, postanowił rzucić się na boczne dróżki i manowcami a jarami Kraków jak najdalej zostawiać za sobą i szukać szczęśliwszej jakiej gwiazdy na świecie.

Jak pomyślał tak zrobił; jednakże napotykać częste rowy i płoty, a że nie liczył się do tęgich jeźdzców, więc jazda mu szła daleko nie-sporzej niż na szerokim gościńcu; wreszcie i koń

jego utknawszy raz i drugi zaczął nawet kuleć; nie pozostało mu więc, jak konia puścić samopas i na piechotę przez łąny zbóż, krzaczki, łąki i błotka przemykać się ku gęstemu borowi, mającącemu na odległych wzgórzach. Zalewając się krwawym potem, bo już słońce zaczęło dobrze dopiekać, cały zziajany, dobił się przecie do jakiejś wiejskiej zagrody położonej pod lasem. Było to gospodarstwo jak widać, jakiegoś zamożnego sołtysa, bo i płoty porządne, i sad owocowy, i piękne bydełko na wygonie.

Signor nie wypoczął nawet w ponętném cieniu rozłożystego dębu, tylko zadyszany postrzegłszy, że gospodarz naprawia coś koło wozu, przypadł doń i klękając a podnosząc ramiona, zaklinał, aby go przyjął w opiekę, jeśli go zaś wyratuje z rąk goniących nieprzyjaciół chcących go zgnoić w więzieniu, natenczas napędzi mu niezmiernych bogactw, o jakich ani mu się śniło. Jeżeliby zaś nie dotrzymał obietnicy, zawsze pozostaje mu wolność wydania go nieprzyjaciołom. Sołtys nasz, widząc trzęsącego się biedaka, a zresztą rozważywszy, że przez ten uczynek nie

nabawi się żadnego kłopotu, a zawsze coś zyskać może, jeżeli ów zbieg prawdę mówi choć w części; pokiwał głową i przyrzekł go ukryć. Jakoż kazawszy mu położyć się na kupie gnoju, przytrzymał go słomą, i zaledwo skończył tę pracę, gdy postyszał pędzących konno, którzy nie wiem jaką tam poszlaką wiedzeni, przypadają do chłopca i mówią: a nie widziałeś to takiego i takiego?

—Nie widziałem ci nikogo — odpowiedział, robiąc coś koło wozu.

—Łżesz chamie! przechowaleś go! — krzyknęli, podnosząc nań berdysze i czakany.

—To szukajcie sobie! — odpowiedział nieustraszony.

Jeźdźcy pokręcili się trochę po podwórku, a widząc że niema co robić, kopnęli dalej. Jeszcze przez dwa dni pełno było hałasów i szukaniń za zbiegiem; dopiero trzeciego, gdy pogoń powróciła do Krakowa nic nie wskórawszy, sołtys kazał Signorowi wyleźć z kryjówki, i przypomniał mu dane słowo. Na to Signor: kochany przyjacielu! winienem ci ocalenie moje, dla

tego też wszystkich sił dołożę, aby wywiązać się z tego długu wdzięczności. Żebyś zaś nie wątpił, że wiele mogę, powiem ci, kto jestem. Signor Provano przedsięwziąwszy szczerze wyświadać się ze wszystkiego sołtysowi, wystawił mu osobisty swój stosunek, i warunki podług których wyszedł z piekieł i pojął małżonkę. Następnie szeroko i długo rozwiódł się nad sposobem w jaki go zbogacić zamysła, a sposób ten był dość osobliwy; ale jeżeli kiedykolwiek kmotr Grzeško, to było chrzestne imie sołtysa, postłyszysz o jakiej niewieście opętanej przez złego ducha, niech będzie pewny, że nie kto inny, tylko on siedzi w niej, i dopóty siedzieć będzie, dopóki kmotr Grzeško nie przyjdzie i nie rozkaże mu precz ustąpić: za tę zaś cudowną kurację może sobie rozkazać krewnym lub rodzeństwu hojnie zapłacić.

Tak tedy wywiązując się djabeł ze swojej obietnicy, którą potwierdził słowem honoru i uczciwości, nagle zniknął mu z oczu. Ale zaledwo kilka dni upłynęło, kiedy w Krakowie i w okolicy rozeszła się dziwna pogłoska, że Kaszte-

lanka Przemyska, osoba rzadkiej urody, co niedawno poszła za Wojewodę Sandomierskiego, pani rzadkich przymiotów i dobroci, nagle przez diabła opętana została. Przywołano exorcystów i najbieglejszych lekarzy, sam Król nawet swojego medyka posyłał, wszyscy robili co mogli i co robić się zwykło w podobnych razach, lecz bez skutku; bezpieczny ani myślał ustąpić, i jeszcze z świętości, jakimi ją okładano, na głos szedł a exorcyste urągał. Ażeby zaś dobitnie wszystkich przekonać, że to nie żadne antraxy, skwincyanne i inne tym podobne choroby lub urojenia, ale proste opętanie złego ducha, wciąż perorował po łacinie, po włosku, wyzywał na subtelne dysputy w filozoficznych kwestyach, i plótł niestworzone rzeczy o różnych osobach przy dworze, mocno nadwerężające ich sławę. Podobne gadaniny, mianowicie wyjawienie niektórych sekretów, niezmiernego nabawiały zdziwienia i strachu; bo ten i ów, co miał na sumieniu jaki krzywy uczynek, potężnie się kurczył, żeby oliwa na wierzch nie wyszła. Już pan Wojewoda tracił nadzieję, żeby jego małżonka przyszła kie-

dy do zdrowia, gdy pewnego razu kmostr Grzesiek stawiał się przed nim, obiecując mu solennie, jako tę Panią od złego ducha uwolni, byle mu za tę usługę pięćset złotych wyliczył; trafia mu się bowiem w sąsiedztwie piękny kawał ziemi do nabycia, a do zaokrąglenia gospodarstwa niezbędnie potrzebny. Pan Wojewoda przystał chętnie na jego żądanie, a nawet gotów był sumę podwoić, byle skutek był pewny. Wziął się tedy kmostr Grzesiek do wypędzenia złego ducha, ale żeby lepiej sztukę swoją ubarwić, zaczął kręślić do koła opętanej czarnoksiężkie koła, mruzcąc pod nosem jakieś formuły i kadzić jakiemiś ziołami; w końcu, i to było najskuteczniejsze, zbliżył się do uszu cierpiącej Pani i szepnął: Héj kumie, wyleż-no, to to ja Grzeško, przyszedłem wypędzać was jakieście mi sami kazali.

Na to Signor: —Dobrześ się sprawił, wszakże to jeszcze bogatym cię nie zrobi. Niech tylko ztąd się wyniosę, wjadę w samą Królowę Bonę, i nie ustąpię z niej, chyba na twoje wezwanie. Za tę sztuczkę powinienes sobie tego kazać zapłacić; Królowa ma grube pieniądze, a tak kie-

dy się staniem majętniejszym niż wszyscy twoi sąsiedzi, już mię zostawisz w pokoju i nie będziesz wypędział.

Powiedziawszy to, wyszedł z onęj Pani z niezmiernym podziwem obecnych i całego Krakowa, gdy się ta rzecz rozeszła pomiędzy ludźmi. Po małym znowu czasie w całej Koronie i Litwie o niczém nie było słyhać, tylko o nieszczęściu jakie spotkało Królową Bonę, która straszne rzeczy zaczęła dokazywać, wydziwiając synowi, Panom Koronnym, a najbardziej, że jawnie odgrażała się na synowę, chcąc ją po kilkakroć zabić, to sztyletem, to trucizną. Słowem cudactw jęj nie spisałyby na wołowej skórze. Widząc to syn i ci co ją otaczali, zrozumieli, że takie rzeczy nie mogą się dziać, tylko za sprawą szatańską; domyślano się więc, że musi być opętana. Wezwano naprzód exorcystów; ale gdy ci nie mogli uporu tego ducha zwyciężyć, który ich wyzwał na dysputy i urągał świętościom, przypomniano sobie o cudowném wyleczeniu Wojewodziny Sandomiérskiej przez Grzeška; posłano więc po niego. Przyszedł na zamek nasz Grze-

siek, stawił się przed Królem, zażądał grubej summy, którą mu przyrzeczono wypłacić, i porobiwszy dla oka czarnoksiężkie swoje zaklęcia, wypędził bezpiętego z Królowej. Lecz zanim Asmodeusz wyszedł z obranego siedliska, tak przemówił do chłopca. —Widzisz kumie, żem ja mego przyrzeczenia dotrzymał; zbogaciłem cię więcej, niżes się mógł spodziewać; teraz z nami kwita bratku, niceśmy sobie nawzajem nie winni. *Clara pacta claros faciunt amicos.* Owoż miej się na bacznosci, abyś mi odtąd w drogę nie włąził, i jeśli kogo opętam, nie brał się do leczenia; w przeciwnym razie, ile dotąd byłem dobry dla ciebie, o tyle stałbym się złym i mściwym.

Jak tedy widzimy, kmostr Grzesiek powrócił do domu zbogacony niezmiernie, gdyż Król podarował mu nietylko obszerne grunta, ale jeszcze hojnym groszem opatrzył; więc też o nic się nie troszczył, tylko żeby ów zły duch nie zamaścił mu szczęścia, jakiego się dziwnym fortem dorobił. Jednakże nie upłynęło kilka miesięcy, kiedy go doszła wiadomość, że córka potężnego

Elektora Rzeszy zaniemogła na tę samą chorobę. Gdy zaś i na Elektorskim dworze wiedzano o cudownym sposobie leczenia Grzeška, a ten dwór był z naszym spowinowacony, posłano jak w dym po niego. Grzesiek, który wiedział co się święci, i któremu już nie chodziło o majątek, udał że chory i nie chciał jechać; lecz Starosta Krakowski otrzymawszy wezwanie, aby go pojmał i dostawił, użył przemocy i posławszy pachotków do posłuszeństwa zmusił. Nie było eo robić tylko ruszać na dwór Elektorski. Grzesiek z kwaśną twarzą stanąwszy przed tak potężnym panem, oświadczył, że wprawdzie udało mu się wyleczyć nie jednego opętańca, z tém wszystkiém nie zawsze to w jego mocy pokonać podobną chorobę, albowiem bywają tego rodzaju złe duchy, iż żadnemi zaklęciami ani groźbami wypłoszyć się nie dadzą, bądź jak bądź spróbuję, wszakże z góry prosi, by mu za złe nie wzięto, jeżeli sztuka się nie uda. Elektor rozgniewany na to odparł; — Tylko mi córki nie wylecz a będziesz wisiał, jak amen w pacierzu! — Srodze to zmartwiło kmotra, wszakże trudna rada, Pan

każe, sługa musi. Przyprowadzono więc opętana. Grzesiek przysuwa się do ucha Księżniczki i pokornie wita się z Asmodeuszem, przypominając mu wyświadczone dobrodziejstwo i przekładając, że mocnoby się na nim zawiódł, gdyby go na stratę życia chciał narazić. Na to Asmodeusz: —O podły zdrajco! a jak ty śmiesz zbliżać się do mnie? Myślisz to że ci pozwolę dłużej chełpić się, żeś mię na dudka wystrychnął? Pokażę ja tobie co mogę i równie jak zubożyłem, potrafię zubożyć. Precz ztąd! prosz nie prosz, pójdiesz na hak kochanku.

Gdy z tych słów zrozumiał kmostr Grzeško, że tym sposobem już nic nie wskóra, umyślił, jako nie w ciemię bity, innego sprobować fortelu; kazał więc, aby opętana odprowadzono i odezwał się do Elektora: —Najjaśniejszy panie! Słyszeliście com mówił, jako są duchy tak nieposkromione, że z nimi trudno trafić do końca; właśnie ten opętaniec do najgorszych należy. Mimo tego zrobię jeszcze najtrudniejszą próbę, a tój może ustąpi. Jeśli się uda, wygramy obadwa, jeśli nie, tedy spuszcza się na wspaniałomyśl-

ność twoją potężny Panie! bo widzisz moją gotową chęć i niewinność. Owoż, żebyśmy z bezpiętym trafili do ładu, potrzeba na rynku wystawić wysokie rusztowanie, żeby się mogli pomieścić gdzie panowie dworscy i wysoka szlachta, rusztowanie to zaściąć wspaniałemi kobiercami i makatami, a na środku ołtarz postawić. W przyszłą niedzielę ty sam Panie, na czele dworu, duchowieństwa, przedniejszych dostojników, przybrany w królewskie ornaty, udasz się na to przygotowane miejsce, i wysłuchasz solennego nabożeństwa, zanim opętana przyprowadzą. Potrzeba jeszcze, ażeby w pewnym oddaleniu od rusztowania postawiono z kilkudziesięciu muzykantów z hałaśliwemi narzędziami muzycznymi jak trąby, rogi, kotły, piszczałki, puzony; skoro ja machnę czapką, niech zaraz huknie cała kapela i ku nam się sunie. Wszystko to, jak tuszę, obok innych środków użytych przeze mnie, posłuży do wyleczenia opętanej.

Ów Pan, widząc gorliwą jego chęć. kazał przygotować rzeczy podług żądania, a gdy za-

powiedziany dzień niedzielny nadszedł, a rusztowanie zajęte było przez wysoki dwór, a rynek wypełniony ludem; odprawiono nabożeństwo, poczem przyprawiono opętaną w towarzystwie duchownych i panien dworskich. Kiedy Asmodeusz postrzegł ten niezmierny tłum ludu, te przygotowania i ceremonje, zmieszał się i rzekł do siebie: — Co ten chłopisko chce ze mną począć? Czy myśli mię zastraszyć tą zgrają? Czy jemu się zdaje, że ja nieprzywykły do wspańiałości niebios i okropności piekielnych, że- bym się miał taką lichotą zmieszać? Pożąda on tego!

Wtém znowu nasz Grzesiek przysunął się do ucha opętanej i zaczął go zaklinać aby ustąpił; on zaś tak się doń odezwał:— Toś to ty bratku tę Komedję wymyślił? O hultaju! o prze- chero! Rób sobie co chcesz, a nie wymigasz się od szubienicy.

Grzesiek próżno zaklina, próżno molestuje; ale djabeł tylko zeń szydzi, lub łaje; nie pozostało mu więc jak spróbować ostatniego forte-

lu. Machnął czapką, a na znak umówiony zagrzmiała najdzikszymi głosy owa kapela, z tym wrzaskiem postępując coraz bliżej ku rusztowaniu.

Na tę niespodzianą wrzawę djabeł nastawił uszy, a niewiedząc coby to było, zapytał pełen zdziwienia stojącego obok Grzeska, o przyczynę hałasu. Na to Grzesiek odparł niby przełkły: — Biada nam, mości bezpięty! to wasza pani małżonka przychodzi po ciebie!

Trudno sobie wyobrazić nawet, jakie te wyrazy zrobiły wrażenie na umyśle Asmodeusza, gdy o swęj małżonce posłyszał. Taka bowiem opanowała go trwoga, że nie namyślając się dłużej, czy to żona na prawdę, lub nie, wyskoczył jak oparzony z opętanej i nie upamiętał się, aż w bramach piekielnych. Wolał on sto-kroć wrócić pod panowanie Lucypera i zdać sprawę z poselskich czynności, niż znowu wystawiać się na słone kołacze w pożyciu z dostojną połowicą. Powróciwszy tedy do państw piekielnych, potwierdził w wymowném sprawo-

zdaniu , te wszystkie wieści , jakie tam obiegały na niekorzyść niewiasty. Grzesiek zaś , który tym razem pokazał się mądrzejszy od samego djabła , wesół wrócił do domu , gdzie swobodnie używał nabytych dostatków.



TYPY I CHARAKTERY W LITERATURZE.

Nikt tego nie zaprzeczy, że naśladować jest rzeczą sztuki; jak znowu wynaleźć, stworzyć, należy do przymiotów wielkiego talentu, a raczej jenuiszu.

Zasadzając się na przysłowiu, nic nowego pod słońcem; musimy przyznać, że wynalezienie, niemoże być bezwarunkowém, że musi się odnosić do przedmiotów już istniejących, w przeciwnym bowiem razie, byłoby tylko prostém szaleństwem lub dziwactwem, na któreby każdy wzruszał ramionami, a nikt nie rozumiał, choćby się wynalazca odwołał do najpóźniejszej potom-

ności. Owoż z tych przyczyn wszelkie wynalezienie, nacechowane najwyższą śmiałością i oryginalnym pomysłem, niczém nie jest, jak promieńmi wielu naśladowań, zebranemi w jedno ognisko. Człowiek z niczego nic nie zrobi, ale staje prawie na równi potęgi twórczej, jeżeli z mnóstwa rozrzuconych żywiołów, z tysiąca rysów, barw i odcieni, stworzy nową postać i natchnie ją życiem.

Zanim z pod dłuta Praxytela wyszły wielkie arcydzieła; zanim mógł kunsztmistrz stworzyć Wenus medycejską lub Apolina belwederskiego, iluż—to rzeźbiarzy, których imiona niewyjrzały z cieniów zapomnienia, przygotowywało podrzędny materiały artyście, naznaczonemu piętnem twórczości? Nim się zjawił Michał-Anioł i Rafael, przez dwa z górą wieki od Cimabuego i Giotto, sposobiły się Włochy, aby te jeniuzze wydać.

W literaturze, twórczość takie same przechodzi koleje. Homer, aczkolwiek od razu pojawia się z skończeniem doskonałym utworem, nie mógł być bez poprzedników, owych pieśniarzy

ludowych, z których brał cegły do swojej budowy. Dante długi czas dawał do myślenia badaczom, zapytującym się: jakim sposobem taki geniusz mógł ni ztąd ni z owąd wystrzelić wśród grubych mroków średnio-wiecznych? Lecz późniejsze poszukiwania przekonały, że i on zastał ubite ścieżki, mianowicie przez kaznodziei, którzy nadzwyczaj poetycznie malowali ludowi męki piekła, cierpienia czyscowe i mistyczne rajy rozkosze. Zawsze tak było i będzie, że nieznanne, mało-cenne poprzedników prace, ścielą geniuszowi drogę.

Dla tego, jeżeli zechcemy po pewnych znamionach ocenić twórczość i geniusz poety, co prawie na jedno wychodzi, powinniśmy śledzić w jego dziełach, czy osoby, które wystawiał, stały się typami dla wszystkich literatur, a przynajmniej dla literatury jego narodu. Kto z nas nie zna Donkichota i Sancha? Ktoby chciał temu przeczyć, że te figury istniały w rzeczywistości—że się uwijały po równinach Manchy, jedna na Rossynancie, druga na mule?— A molierowski też typy, czyż nieobiegły całej Europy; komuz

nieznany Tartiuś, komu Harpagon? A Werter Göthego, czyliż w ostatnich czasach nie stał się najdobitniejszym wyrazem tej samolubnej sentymentalności, tych pustych próżniaczych marzeń— tak jak bajronowscy bohaterowie są typami zwątpienia i przesytu życia. O ile wiem, jeszcze nikt nie zajrzał w literaturę naszą, aby ją z tej strony obejrzyć. A jednak jest to kamień probierczy, podług którego mierzy się twórcza zdolność artysty. Piękne bowiem myśli, uczucia, uniesienia łatwiej przyswoić się dają i są bardziej przystępne, nawet mierniejszym talentom, niż tworzenie typowych postaci, któreby zagadały do narodu i zrozumianemi były, a których przez naśladownictwo nigdy nie można osiągnąć.

Owoż przebiegając cały obszar naszego piśmiennictwa, na jałowych onego pustyniach, tu i ówdzie zagada do nas taki żywy posąg, a najczęściej tam, gdzieśmy się go najmniej spodziewali znaleźć, gdzie akademiczna powaga nie sięgła, smak i wyobrażenia konwencyonalne przewagi nie miały; słowem, gdzie twórca miał myśl swobodną i nieskrępowane ręce.

Jednym z najwybitniejszych typów w szesnastym wieku, jest niezawodnie Rej z Nagłowic. Z jego dzieł niewiele co odgadniesz o nim: w książkach jest to rozprawiacz i moralista dość nudny, acz lubił żyć wesoło i kochał świątek; figlików ciężko dowcipny pisarz, daleko zapewne był zabawniejszym i dowcipniejszym na dworze Tenczyńskich lub Zygmunta Augusta, kiedy go tak chwymano i nagabywano zewsząd, aby jakim wesołym żartem zabawił. Figura ta byłaby zupełnie dla nas straconą, gdyby nie Andrzej Trzcieski: niewiem jakim wypadkiem niepojętym wyszkicował on tak humorystycznie, tak rubasznie żywot swego przyjaciela i jednowiercy. Nie przypuszczam, aby zimny rozmysł kierował piórem Trzcieskiego, bo któż wówczas tak pisał? Ktoby się był odważył kreślić charakter osób znajomych z taką dokładnością, prostotą, humorem, nieoblekłszy je w formy klassyczne, nienastrępiwszy retoryką nieupoetyzowawszy w sentencye Cyceronów, Maronów i Horacych? Mojem zdaniem, utwor ten zrodził się w chwili szczęśliwego zapomnienia się, w kole podochoconych

godowników, którzy zapewne rozweselali się przypomnieniem pustot i żartów zmarłego przyjaciela—alboli też, jest to rękawica rzucona przez purytanizm protestancki pamięci hulaszczego Reja, który wcale nie wyglądał na sfanatyzowanego nowowiercę. Bądź—co bądź, przedstawia on typ szlachcica, ziemianina, dworaka i żartoka i hulaki, już z piórem w ręku, już przy dzbanie; już tłustego trefnisia, już energumena w dysydenckim zborze,

Tegoż rodzaju postać, ale jeszcze wyraźniej, rozmaiciej, szerszej narysowana, pojawia się w pamiętnikach Paska, i równie, jak poprzedni szesnasty, ta siedemnasty wiek wyobraża. Przez sto pięćdziesiąt lat prawie butwiał ten utwór, zapomniany w jakiejś księżnicy, a nikt się na nim nie poznał, nikt weń nie zajrzał, nawet historyk pogardzał; bo to proste malownicze opowiadanie nie przystawało do bezbarwnych, pustych i nudnych opisów, mających być znamieniem poważnego historycznego stylu.

Pasek za dni naszych ogłoszony drukiem, stał się księgą prawdziwie narodową, wyjaśnia-

jąca tyle tajemnic dawnego życia, a ciekawą, jak wszystko, co brane z prawdy, bez pretensyi do błyszczenia bądź dowcipem, bądź erudycją. Jego przygody w Danii, żegluga morska, przyjmowanie posłów Carskich, bijatyki i pijatyki na drodze do Litwy, ciągnięcie z pospolitým ruszeniem pod Lwów, swadźba i żenienie się, są scenami, których niemożna zapomnieć, jak się nie zapomina opowiadań przy kominku starego żołnierza z kampanij napoleońskich. Pasek—to Iliada i Odyssea siedmnastego wieku, z całą szczerością i prostotą religijnego uczucia, z wszystkiemi przesadami, rubasznością i namiętnościami, właściwemi narodowi podówczas. Trzecią epokę tego szlacheckiego życia—już na skonięniu—tworzy typ żywy jeszcze w pamięci naszych ojców i dziadów, a tym jest, Radziwiłł panie kochanku; epos ta krążyła w ustnych tradycjach, połamanych i anegdotycznych: dopiero autor pamiętników Litewskiego Szlachcica, zebrał je i w cykl rapsodyczny związał... by drugi Szlachecki Homer.

Utwory te uważam nie jako płód sztuki lite-

rackiej, ale jak się uważa pieśń gminna; materiał, z którego jaki mistrz zdolen będzie urobić nieśmiertelne typy i charaktery. Ci, którzy je tworzyli, nie byli to z powołania sztukmi-strze i literaci; opowiadał je sobie naród, lub spisywała ręka, nawykła obuch nosić, lub kopyją się składać. Bardów nie było tam, gdzie każdy przygód swych i czynów mógł być powieściowym Homerem.

Jednakże w zakresie ściślej piśmiennym, napotyamy pod koniec szesnastego wieku wyłaniających się kilka figur, które przemawiają do nas zrozumialszym językiem, niż wszystko, co mówili uczeni z powołania. Albertus, Klecha, Pielgrzym, Dominusek, dziady i baby, to swojskie typy i wcale nie konwencyonalne. Albertus mianowicie— on, co poszedł w przysłówie, jest uidealizowanym wzorem pospolitego ruszenia, a razem skałą stygnącego ducha w rycerstwie, które na lichych rosynantach wyprawiało w pole tchorzów i łapikurów przeciw najazdom tatarskim. Dialog mięso-pustny, ta krotchwila żakowska więcej tajemnic dziejowych odśłania, trafniej

schwytuje fizyonomię domową narodu, niż ówczesne epopeje, wzywające na pomoc wszystkie muzy Helikonu.

Epoka panegiryków nadętych a pustych, mogłaż później co wydać, co stworzyć, kiedy nawet w chwilach odrodzenia się, Krasicki, ten trafny przenikliwy dostrzegacz, który potrzebował tylko kilka pociągów pióra, ażeby podobieństwo schwycić, ten nawet nie złożył ani jednego zupełnego typu, krom tej wspaniałej, poważnej postaci Podstolego, która podobna jasnej perle rosy, trwa krótko jak rosa, a potem rozpływa się w morzu morałów i gadulstwa... Jednakże w bajkach jego znalazłoby się nierównie więcej rzeczywistej prawdy, niż w całym przyborze ówczesnych literatów. Mniejsza o to, że autor obiera jakieś metaforyczne szaty, w które obleka swoje osoby, dość, że je piętnuje podobieństwem niestartém. Dziś nieradziśmy wierzyć ani w djabły, ani w czary, a jednak, któż zaprzeczy, że Faust i Mefistofeles, nie należą do najwyborniejszych typów?...

Nowy zwrot literatury naprzód ku romantyzmowi, wyłamującemu myśl z więzów akademickiego klasycyzmu i form zużytych z deklamatorstwa i retoryki, później głębsze wejrzenie w ducha własnego narodu, postawiły nas na drodze nie już ślepego naśladownictwa, lecz twórczej niezawisłości. Utwory też nowoczesnych sztukmistrzów, zaczęły przybierać właściwy charakter; tu i ówdzie pojawił się jaki typ idealny i rzeczywisty, który albo stał się symbolem myśli ogółu, albo wybitnym wyrazem jego fizjonomii. Pierwszy Malczewski w poemacie swoim mocno wydłutował dwie—jak mówi znamienity krytyk, z serca narodu wydarte postacie: Miecznika i Maryi. Miecznik stał się odtąd prawdziwym ideałem szlachcica, który w chwili uderzającego weń nieszczęścia z wielką godnością i smutkiem cichym, a niezmiernym, dźwiga brzemie smutków. Ten żupan czarny, ten włos siwy, to oko niegdyś gorejące — dziś przymdlone;... myślałbyś, że to ruina? Zawiodłbyś się: u niego szabla nie czczy blaskiem; bo niech wysunie rażna młodzież na popisy i on pokaże co umie...

A kiedy jeszcze sroższe brzemie nieszczęść zwali się na głowę osieroczonego ojca:

ni żalu, ni skargi

Nikomu niezwieryły wypłowiele wargi;

Ni łzów w hardém spójrzeniu nie było oznaki;

Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, a zresztą—jednaki.

Obok tego starca jakże urocza obwija się postać ziemskiego Anioła-Maryi. Siedzi nad księgą żywota, wzbija ducha wiary.

„i skrzydły drzącemi

„Szuka swojego gniazda daleko od ziemi.”

O zapewne, bo i ta ziemská namiętność, jeżeli kwiat najwonnejszego uczucia godzi się tak nazwać, bo i ta namiętność, która napętnia całą jęj duszę, jeszcze się jęj zdaje przewinieniem, i wznieca obawy o głowę kochanka:

„Bo może Pan-Bóg skarże tak żywe kochanie.”

Cała ta Marya tak jest bosko-piękna, że lękam się jęj nawet dotknąć w tym przelotnym zarysie. A przecież to nie żaden utwór *wyobraźnej pianki*, nie żaden z tych sfałszowanych tyków, jak Heloiza, Atala, Gulnara, Haidé, ale

kobieta—z duszą i ciałem—jaka w rzeczywistości istnieć mogła—nawet istniała; jaką każdy spotkał, przynajmniej raz w swoim życiu, niechby tylko w rozstrzelonych snach młodości.

Autor Grażyny mniej szczęśliwy w kreśleniu niewieścich typów; stworzył Olbrzyma-Konrada, i wcielił myśl, niepowiem wzniosło-chrześcijańską, ale pogańsko-bohaterską. Dla tego typ poganina w krzyżackim płaszczu, potężniej przemówił do głów niż do serc—dla tego też podszyły się podeń różne śmieszności; parodyowano go i w czynach i pismach. Będzie on jednak zawsze cechą epoki; rozwiązaniem zagadki cichych i ciemnych puszczy litewskich.

Wojski, Klucznik, Telimena, typy rodzajowe, skreślone po mistrzowsku, odnoszą się jednak do pewnej tylko epoki;—Autora Sobótki. Nebaba, a mianowicie Szwaczka, noszą wszystkie przymioty przywódców, stawających na czele tłumów; mianowicie Szwaczka, mieszczanin Kaniowski—opasty gbur, w kuflu czerpiący animusz, rozbojnik pospolity, prawdziwie...

jak odblask poczwarny
W chropawym lustrze...

odbijał się od wojennej pięknej postaci, i od dumnego czoła Nebaby; tego Nebaby, który obrażony w najświętszym uczuciu miłości dla kochanki, poprzysięga zemstę za krzywdę doznaną, i ubarwia ją tém wszystkiém, co tylko może wywołać namiętności tłuszczy—to jest, rzuceniem rękawicy za krzywdy, jakie jedna część społeczeństwa zadała drugiej.

W romansach i dramatach geniusz ma najobszerniejsze pole stwarzać typy i charaktery. Lecz przetrząsnąwszy nasze romanse, nasze drammata, trudno się spotkać z czém podobném. To jedno dowodzi, jak ograniczoną jest liczba jeniałnych pisarzy w stosunku do wielkiej liczby podobnych pojawów. W ogóle romans, ten rodzaj nowoczesny, pomnożył się od paręset lat tak nadzwyczajnie, że nawet bibliografowie spisać tytułów nie są już w stanie. Z tém wszystkiém w bardzo szczupłych wierszach możnaby zamknąć płody, w których skreślone są typy i charaktery prawdziwe, oryginalne i dobrze ujęte.

Zdaniem więc mojem, tylko jeniusz może być wynalazcą typu, czego i najzręczniejsze naśladownictwo nigdy dokonać niezdola, kopia bowiem typu, zdradza się sama wysileniami, na jakie dowcip się sadzi, aby uniknął porównania ze wzorem; a to wysilenie tém wyraźniej podpada oku, gdy wiemy, jak to trudno przychodzi wydać prawdopodobieństwo, fałszując samą prawdę.....



P O W I E Ś Ć
O PIĘKNÉJ KASZTELANOWÉJ I O RYCERZU
WĘGIERSKIM.

Zwiedzając niedawno rozwaliny Tęczyńskiego zamku, który niezawodnie był jednym z największych i najwspanialszych na Koronę i Litwę, wypytywałem przede wszystkiém o oną wieżę, gdzie, jak podanie głosi, surowa i nieprzebacząca władza naczelników rodziny, trzymała w więzieniu pannę pysznego domu Tęczyńskich. Wszakże podanie przechowane w księgach kronikarzy wygasło w pamięci ludu. Nikt mi téż nie umiał wskazać téj wieży. Trzeba było z niektórych szczegółów, mianowicie z napomknienia: że u-

więziona panna z okienka więziennego opowiadała podróżnym przechodzącym lub przejeżdżającym około zamku, swoje bezwstydy, jakby mszcząc się na sławie dobrej pysznego rodu, utworzyć sobie przynajmniej domysł, iż tą więżą, jako najmniej dostępną, jest jedna z dwóch pozostałych od strony wschodniej, a zwieszających się nad stromą pochyłością, dziś zasianą stuletniami jodłami, które, patrząc na nie z daleka, wydają się być zastępem olbrzymich rycerzy idących do szturmu. Jeżeli uwieziona panna nie znalazła w życiu mściciela, co by rozsadził te mury, tedy po śmierci burze i niepogody, ząb czasu i bujność roślinna, mszczą się bez ustanku nad miejscem jęj kary, że niedługo, podobnie jak zgasło imie Tęczynskich, i z Tęczyna ledwo kupka gruzów zostanie.

Z wlepioném okiem w jedno wązkie okienko baszty, w które wyobraźnią moją wprowadziłem bladą i piękną twarz pokutującej, rozmyślałem nad całą tą historją, wprowadziłem skąpą w szczególności, za to bogatą w rys charakterystyczny i obyczajowy dawnych naszych przodków.

Przykład ten pokazuje, że uczciwej sławy domu przestrzegano jak oka w głowie, że członek rodziny kalający swe gniazdo, karany był prawem patryarchalném, służącym ojcu lub starszemu w rodzie, a karany nawet na gardle, jeżeli sprawa była gardłową.

Tego rodzaju przykłady zdarzać się musiały dość często; raz że natura ludzka zawsze ułomną, powtóre, że w dawniejszych czasach, kiedy surowy obyczaj panował, żadna władza prócz duchownego spowiednika, nie śmiała mięszać się w sprawy potężnego pana. Dzieje wszakże nie wiele przechowały podobnych zdarzeń, a to z powodu, że dokonane w tajemnicy, pozostały tajemnicą na zawsze. Jedno chyba podanie, i to najczęściej zmaćcone, umie niekiedy wygadać jaką krwawą trajedią, spełnioną ze wszystkimi ostrożnościami towarzyszącemi zbrodni. Przypominam sobie, jak w jednej z starych kamienic krakowskich, będącej własnością możnej i znakomitej rodziny, pokazywano mi salę, gdzie w przeszłym wieku miała się dokonać krwawa egzekucya na pannie z tegoż rodu, która zapala-

szy niepowściągliwą miłością ku jakiemuś mężczyźnie nierówniej z nią kondycyi, odpokutowała zbytek afektu stratą głowy. Aczkolwiek wszystko odbywało się w wielkiej tajemnicy, jednakowoż to i owo na wierzch wyszło. I tak powiadano mi, iż ksiądz, którego sprowadzono z zawiązanymi oczyma, dla wysłuchania spowiedzi delikwentki, widział niewiastę w śmiertelnej koszuli, klęczącą na środku izby, wprawdzie zamaskowaną, lecz ile wnosił po białej delikatnej płci, i długich miękkich włosach i wysmukłej kibici, piękność musiała to być niepospolita i jeszcze w samym kwiecie. Jakaś dumna postać mężka z surowym wzrokiem, kat czekający z obojętnym mieczem na skinienie téj postaci, wszystko to tłumaczyło mu przygotowanie do okropnej katastrofy, której wszakże nie mógł być świadkiem, bo zawiązawszy mu oczy wyprowadzono go tym samym sposobem, jak wprowadzono. — Ksiądz jednakże miał tyle przezorności, że schody policzył i znak jakiś zostawił na poręczy; co potem naprowadziło go na odkrycie całej tajemnicy i tłumaczyło pokazywanie się jakiegoś

ducha w pałacowym gmachu, ilekroć jakie nieszczęście lub śmierć miała dotknąć właścicieli onegoż.

Przebiegając myślą te i tym podobne zdarzenia, snujące się po mojej głowie, siedziałem sobie pod jodłą i wpatrywałem się w zwaliska, które wyobrażnia odbudowywała, zaludniała starymi postaciami, starém życiem, i tworzyła sceny niby z Walterskockich romansów.

Na tém wspinałem tle, mającém pewną rzeczywistość, łatwo dzierzgały się obrazy fantastyczne i barwne, szkoda tylko że nikłe, bo tworząc je, śniłem więcej niż wierzyłem w prawdziwość moich osób i zdarzeń. Jeżeli cię podanie lub historia nie wspiera, trudno żebyś mógł wierzyć w to, co wymarzysz, chyba że niedbasz o zwierzchnią szatę życia, a tylko ścigasz idee. Nieszczęściem, niemając upodobania w ideach przystrojonych we fraki, kontusze lub peruki, gniewałem się na głucho milczenie kronik i podań, i dziwiłem, dla czego życie zamkowe nie zamieniło się w jaką fantastyczną Klechdę potulnego mieszkania chatki? Dochodząc przyczyn,

składałem to już na ubóstwo fantastyczności naszego gminu; gdy tuż za mną ozwał się chrypliwy głos kobiety, proszący o jałmużnę. Obejrzałem się: była to zgrzybiała staruszka oparta na kiju, która pomrukując swój zwykły pacierz, wyciągała rękę po wsparcie. Sięgnąłem po grosz do kieszeni, a razem zapytałem, czy nie wie co o tym zamku i jego dawnych panach. Zwyczajem prostactwa zaczęła opowiadać, jako za jej pamięci część murów była mieszkalną; potem coś o ekonomie, o proboszczu bredzić; a nakoniec, że słyszała od swojej babki, jako ten zamek spustoszyli jacyś żołnierze, i znowu wpadła na zwykły przedmiot o skarbach i o jakimś mieszczaninie z Chrzanowa, który znalazłszy wielkie pieniądze, nagle się zbhogacił.— Pozwoliwszy się jej wygadać, wcisnąłem znowu kilka groszy do ręki, i zapytałem, czy nie słyszała przypadkiem o jakiej pani, którą tu więziono za rozpustne życie w jednej z tych baszt?

—Za mojej pamięci, proszę Jegomości— odrzekła żebraczka skrobiąc się w głowę— nikogo tu nie więziono, bo nie było gdzie; ale słyszała

ja o takiej historyi od nieboszczki kmotry mojej Wojciechowej, co to służywała po dworach i umiała długie, długie historye prawić, kiedyśmy kądziel przędły, żeśmy nie raz na dobre pousypiały, a tu nie było i nie było końca. Takiej drugiej nie znajdzie pono dzisiaj, jak nieboszczka Wojciechowa, bo i cóżby po niej, kiedy chłopcy nasze, a nawet baby mają się za mądrzejszych, i nie chcą słuchać tylko o tém, co kto przyniesie z kolei od Trzebini lub Krzeszowic.

—Widzę wam z oczu matko— rzekłem uśmiechając się do niej— że Wojciechowa musiała was poduczyć takich gadek. Ot, wiecie co, mnie się nudzi czekać na mego towarzysza co chodzi z fuzijką po boru; siadajcież sobie koło mnie, i gadajcie co pamięć przyniesie — już ja was dobrze opatrzę w imie Boże.

—Kiedy Jegomość tak gwałtem każe — odpowiedziała sadowiąc się na ziemi — to niech i tak będzie; ale dalibóg, nie wiem od czego zacząć....?

—Zacznijcie od czego się wam podoba.

—Aha! Jegomość pytał, czy nie słyszałam o-

jakięj Królownie, co się kochała w swoim dworku? Oj, kochali się bardzo; ale Król i to się dowiedział, oboje kazał pozabijać.—

Po tym wstępie przygotowa wczym, opowie-
działa mi staruszka historję niezna miernie drama-
tyczną; osoby tylko wprowadzone były oczywi-
ście wzięte ze świata bajek wschodnich, chociaż
upewniała mię na końcu, że to się działo bardzo
dawno, i gdzieś niedaleko Krakowa.... Później,
gdym bajkę tę spisał sobie z pamięci i zaczął
rozważać układ i charaktery działających osób,
przekonałem się, że to było jedno z prawdzi-
wych zdarzeń zmacone tylko i przekręcone na-
leciałościami różnych czasów. Oczyściwszy tedy
oną perełkę z błota i kurzu, podaję ją jako mi-
sterny odłamek, wygrzebany z ruin Tęczyna,
z tém zastrzeżeniem, że chcąc jej nadać barwę
więcej swojską, musiałem z Królem i Królową
wziąć rozbrat, a natomiast prawdopodobniejsze
nazwy wprowadzić. Mniemam, iż sama rzecz
nie na tém nie straci; posłuchajcież onę po-
wieści:

Za dawnych czasów, w zamku stojącym na

górze poroślej gęstym borem, mieszkał potężny Pan, Nawój, Wojewoda podobno Sandomirski, zawołany rycerz, a przytém wielce rostopny i surowy mąż, który jako i sam był bez zmayı, tak i na drugich zmayı nie cierpiał. Owoż, ten Nawój chował przy sobie synowicę, wdowę po Kasztelanie Sandeckim, imieniem Świętostawę, która była córka brata jego ś. p. Pakosława, także swojego czasu zawołanego rycerza. Ta pani Kasztelanowa trzymając liczny dwór, fraucymer, giermków, sług, żyła na pańską stopę, zajmując połowę obszernego zamku. Wszystko też było przed nią czołem, raz dla wielkiej bojaźni i czci, jaką miano ku panu Wojewodzie; po drugie przed jęj wielkim majątkiem odziedziczonym po ojcu i po mężu; jakoż na całą Małopolskę nie było bogatszej nad nią partyi, coby tyle dzierżyła włości i posiadała taką moc klejnotów i sreber. Używała też w wdowieńskim swym stanie wszelkich roskoszy, jakich niewiasta wysokiego rodu i hojnie uposażona od natury dozwoliłby sobie mogła, bez obrazy czci i sławy; była bowiem i młodą i piękną i ukształconą, a ucho-

dząc za wzór niewiasty, w wielkiej adoracyi u wszystkich, a mianowicie u pana Wojewody oczko w głowie, który roił sobie na pewne, że przez nią zajdzie w wysokie parantele, i jeszcze szerszych wpływów nabędzie niż te, które już posiadał w senacie i obozie.

Zdarzyło się, iż pan Wojewoda na Rotmistrza przy dwornych pancernych zaciągnął był pewnego rycerza, nazwiskiem Isztwan, który przyszedł z Węgier, z dobrém zaleceniem, jako wyprobowany w różnych okazjach. Był to młodzian wielce przystojny, dobrego gniazda, otarty na dworach i szukający zawsze lepszego towarzystwa, przez co popadł w wielkie łaski u Wojewody. Jak to zwykle bywa, kiedy się mieszka pod jednym dachem, ów Rotmistrz Isztwan, przechodził nieraz koło téj części zamku, w której mieszkała Świętosława, chociaż ta część miała swój osobny dziedziniec, osobną bramę i prawie oddzielną była od reszty gmachów. Przechodząc, trafiło się że zastawał ją w oknie, i spojrzała na niego, on na nią; spojrzenia się zmięszały, i rycerz zakochawszy się w niej na

zabój, tak umiał swój affekt pokazać, że i piękna wdowa pomiarkowawszy co się w nim dzieje, poczęła równaż ku niemu pałać miłością. Skłonność, wzbierając jak wody na wiosnę, doprowadziła ich do tego, że zaczęli sobie wzajemne posyłać upominki; on skromne, ale mówiące; ona bogate, ale również wymowne. Nie obeszło się przytém i bez tajemnych schadzek, gdzie wszystko sobie powiedzieli, co mieli powiedzieć, aż w końcu nie wystarczyły już słowa. Zwyczajnie, jak zakochani na ślepo, nie umieli pilnować tajemnicy swych uczuć, ani z całą ostrożnością widywać się, zapominając, że miłość jak błędna owca, a nieprzyjaciel jak chytry lis, krąży do koła i wietrzy. Gdy tak tedy nasz Węgrzyn, oszołomiony miłością, wchodził i wychodził z mieszkania Kasztelanowej w godzinach bardzo podejrzanych i z obyczajem niezgodnych, doniesiono o tém panu Wojewodzie, który dobrze donosiela sfukał, i wierzyć nie chciał, żeby się jego faworyt takiego zuchwalstwa dopuścił.

W ten sposób rzeczy stały, gdy do pana Wo-

jewody przysły listy wzywając go na jakiś sejm czy zjazd panów koronnych. Kazał więc śpieszne poczynić przygotowania do podróży, zadysonował wspaniałe kolebki i wozy, konie i rzędy sute, wyznaczył orszak dworzan z oddziałem drabantów, który miał mu towarzyszyć, a oraz okazałość pańską na sejmie utrzymywać. Wszakże nim w drogę wyruszył, przywołał Isztwana, i rzekł doń: — Wyjeżdżam w sprawach Koronnych; waszmościa na mojem miejscu zostawiam, poruczając bezpieczeństwo zamku i wszystkiego co w nim jest. Ostrzegam, miej się na oku; albowiem doniesiono mi, że z moją synowicą panią Kasztelanową Sandecką, zaszedłeś w jakieś poufalne praktyki; acz nie rad daję ucho i wiarę takim konszachtom, wszelako proszę waści, sprawuj się tak, aby coś podobnego drugi raz do mnie nie doszło.

Na to Isztwan: — Miłościwy mój Panie! przekonacie się, że w tém niema i za szeląg prawdy. Ów, który mię podać chciał u miłościwego pana w podejrzenie, widno, iż zamyślał z łaski

mię pańskiej wysadzić. Niech wiem kto on jest, a pójdę z nim na ostre i o fałsz przekonam.

Kiedy tak Isztwan wyparł się i uniewinnił, Wojewoda dodał: — Jako uczciwy i prawy rycerz, spodziewam się żeś mię zrozumiał. Więcej nie mam co dołożyć, krom że tu panem jesteś pokąd z sejmu nie wrócę; pamiętajże tak się tu sprawić, iżbym nie krzywdował w niczém.

— Miłościwy panie, stanie się po twojej woli— odrzekł Isztwan.

Tymczasem Wojewoda wyruszył z całym taborem, a Isztwan wziął dowództwo nad zamkiem. Wprawdzie jeden dzień, drugi i trzeci, zszedł mu, to na ćwiczeniu rycerskiem, to na jakiejś wyprawie przeciw łotrzykom podgórskim, napastującym kupców na drodze, to wreszcie na rozmyślaniu, czy puścić zaczęłą miłostkę w niepamięć, czy znowu brnąć dalej. Ale taki ogień raz rozniecony w sercu, nie byle czém da się ugasić; chodził więc znowu do pięknej swój Pani, z razu ostrożnie i chyłkiem, potem już bez wszelkiego względu na zakaz Wojewody i na oczy zazdrośne, śledzące go w każdym

kroku. Można powiedzieć, że jeszcze gwałtowniej poddał się miłości, która go ułowiła w swoje sidła; cały czas u nóg Świętosławy przepędzał, która białą swą rączką gładziła krucze kędziory głowy kochanka, spoczywającej na jej kolanach. Najgorzej tém sobie zaszkodził, że przyjął od niej srebrny pas rycerski, i nosił go otwarcie, jakby na świadectwo złośliwym językom. Owoż, kiedy pan Wojewoda powrócił ze sejmu, natychmiast mu doniesiono, że rycerz węgierski nie przestał uczęszczać na dwór pani Świętosławy, że chełpi się jej podarunkami, i że o tém nietylko gadają ludzie zamkowi, ale i całe sąsiedztwo.

Usłyszawszy to Wojewoda, rozkazał pilnie mieć oko na Isztwana, a nawet straż postawił, aby czatowała, gdy się uda na nocną schadzkę. Isztwan, niewiedząc o niczem, dopatrzon został, jak w czasie nocy wszedł do komnat Kasztelanowej, co było zaraz doniesiono Wojewodzie, który zwoławszy strażę, kazał niemi szczerze ową część zamku obstać, i pod żadnym warunkiem Isztwana nie wypuszczać. Kiedy

to się stało, zwołał do siebie niektórych krewnych przesiadujących na jego dworze, i wyłożywszy o co chodzi, pytał o radę. Jedni taką podawali, drudzy inną. Tymczasem gdy się miało ku świtaniu, a Isztwan zabierał się do wyjścia, postrzegł i usłyszał drabantów stojących gęsto do koła domu. Wrócił więc do swojej Pani i opowiedział co się święci. Pani pobiegła do okna, a otworzywszy je zawołała? — Co to ma znaczyć? Precz mi z tą strażą, ja tu żadnej nie potrzebowałam i nie potrzebuję straży!

Słowa te stały się wyrokiem jęj śmierci. Gdyby była nie pokazywała się w oknie, nie spotkałby ją okrutny koniec; albowiem pan Wojewoda, dbały o cześć i sławę swojej synowicy, już jedną z fraucymeru nasadził z poleceniem, żeby panią swą ostrzegła o tém co zajdzie. Gdy zaś mu doniesiono, że przyszła do okna i wartom precz odstąpić kazała, postanowił, jako mądry i o sławę domu dbały mąż, ukarać ją przykładnie; przyzwał więc starszego nad drabantami i rzekł doń: — Pójdiesz mi do mieszkania

pani Kasztelanowój; a zastawszy ją z Węgrzy-
nem, posieczesz oboje na drobny mak!

Drabant ów starzec, co jeszcze panią Świę-
tosławę, kiedy była dzieckiem, nosił na rękach,
odrzekł: —Miłościwy panie mój, spełnię co ka-
żesz na nim, ale nie na niej. Przebaczone, wszak-
że krwią moich panów ręki nie zbroczę.

Na to Wojewoda: —Więc idź i spraw się
z nim!

Jakoż poszedł; a pan Wojewoda zawołał dru-
giego drabanta, Karwata, i rzekł doń: —Pój-
dziesz i potniesz synowicę moją, Kasztelanowę
Sandecką, w kawałki!

Ów Karwat drabant odrzekł: —Wola twoja
miłościwy panie spełni się.

Jakoż, poszedł do mieszkania Kasztelanowój.

Gdy zaś pierwszy drabant zapukał do jęj sy-
pialnej komnaty, zapytała:

—Czego chcesz?

Drabant odrzekł: —Miłościwa pani, otwórz!
Mam spełnić rozkaz mojego Pana.

Kasztelanowa kazała mu otworzyć.

—Miłościwa pani, gdzie Isztwan?

—Jaki Isztwan?— odparła pani.

—Niema co się wypierać, miłościwa pani— rzekł drabant— Pan mój wie, że on tutaj; posłał mię, żebym się z nim sprawił. Przeto nie zatrzymuj mię, by jeszcze gorzej nie wypadło.

Kasztelanowa na to: —Przecie wiesz, że tu niema żadnego mężczyzny.

A drabant znowu: —Jeśli go nie wydacie, miłościwa pani, zaszkodzicie sobie i jemu.

Słyszac tę jego mowę Świątosława, wskazała na adamaszkową oponę i rzekła:—Tam jest.

Drabant podniósł oponę i rzekł: — Rycerzu, Pan mię przysłała do ciebie z rozkazem.

Isztwan zaś: — Mów, z jakim?

A drabant: — Pójdziemy na osobność, nie chcę by mię słyszano.

Jakoż weszli do osobnej izdebki, i drabant tak zaczął: —Musisz umrzeć rycerzu, umrzeć bez ratunku!

Isztwan wstrząsł się, pobladł i mówi: —Czy już niema sposobu wybawić mię od śmierci?

Drabant na to:— Żadnego, wola pańska niezmienna.

I rycerz zaraz ukląkł przed drabantem, ręce wznosił do nieba, poczem schylił się i wziął szczyptę pyłu z podłogi i do ust włożył, a zakrywszy oczy rękoma, aby na własną śmierć nie patrzyły, głowę nachylił ku ziemi. Drabant machnął mieczem i odcięta! {od tułowu potoczyła się głowa....

Drugi zaś drabant, jak się rzekło Karwat; naprawiony przez Wojewodę, aby tak samo obszedł się z synowicą, wszedł do sypialnej komnaty; rzekł:—Miłościwa pani! z polecenia pańskiego mam także sprawić się z wami.

Na to w srogiem przelęknieniu zawołała Świętosława:—Gadaj, co masz do mnie!

On zaś:—Rozkażcie wszystkim niewiastom precz odejść.

Pani skinieniem ręki wyprawiła swoje służebne z komnaty. Gdy wyszły, drabant zamknął drzwi na klucz, dobył miecza i rzekł:—Miłościwa moja, musicie ginąć.

Ona to usłyszawszy, krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się ku oknu, jakby chciała uciekać.

—Nie uciekajcie, miłościwa pani! ucieczka

nie zbawiłaby was. Kogo mój pan przeznaczy na śmierć, tego już nie zbawi na ziemi.

A ona łamiąc ręce w rozpaczy: — Jakto, więc pan twój chce się zmazać krwią własnej synowicy?

Drabant na to: — Snadź tak postanowił — śpieszcie się.

— A tyż podły oprawco! — mówiła dalej — miałżebyś odwagę targnąć się na Kasztelanową, na panią tylu imion, na córkę hetmańską, na bezbronną niewiastę!

— Robię co mi rozkazano; dla tego odpuść mi to miłościwa pani, co robię niechętnie.

— Dam złota, klejnotów, wszystko co mam.

— Nie wezmę.

— Więc niema żadnego ratunku dla mnie?

— Żadnego.

Świętosława uklęka przed obrazem Boga-Rodzicy, i zaczęła mówić następujące słowa: „Gdybyś żył, dostojny mój i rycerski ojcze, nie dopuściłbyś córce swój ginąć tak podłym zgonem; ale kiedy przyszedł na mnie ten cios, oddaję w błogosławione ręce twe, o przenajświętsza

Panno Marya, duszę moją i duszę dzielnego młodzieńca, który z przyczyny mojej musi cierpieć i ginąć niewinnie; błagam cię również, o Matko litości pełna, wesprzyj mię mocą swą przენajświętszą, i nie daj w chwili, gdy śmierć haniebną poniosę, zachwiać się i upaść na sile, iżby dusza moja, jak dusza męczennicy, mogła swobodnie wznieść się na łono Syna twego i spocząć w cieniu jego łaski na wieki! Zaprawdę, grzeszny mój żywot, jak żywot ułomnego człowieka, aleśmy oboje niewinni grzechu, za który śmierć ponosim.”

Poczém obróciwszy się twarzą do oprawcy, który obnażony miecz trzymał nad jęj głową, rzekła: — Kiedy mię własna nieroztropność przyprowadziła o tak rychły koniec, pozwólcieź mi przynajmniej zebrać cokolwiek myśli i tyle czasu zostawić, abym mogła odmówić trzy Ojcie nasz i Zdrowaś Marya.

Oprawcy zebrało się na litość, więc skinął głową i rzekł: — Módlcie się, ale prędko.

Świętosława, zalewając się gorącemi łzami, wciąż wzywała imienia Maryi, i wciąż z trwo-

gą poglądała na rękę dzierżącą miecz nagi. Gdy się tak pomodliła przez chwilę, oprawca zapytał czy koniec już?

A ona: — Nie jeszcze.

Żołnierz na to: — Jak widzę, nie możecie się prędko rozprawić z Panem Bogiem; dla mnie wystarczyłaby i czwarta część tego.

A pani zawodząc i łkając: — O biedna moja główko, na coś ty przyszła! Ślepa miłości, czemuś mię zawikłała w swe sidła, że teraz duszę wyprawiasz na tamten świat, a ciało ze skalaniem imieniem na tym zostawiasz padole! Obo-dajbym nigdy nie była rodziła się, kiedy nieużywszy nawet życia, przychodzi go stracić tak marnie!

Oprawcy zdawały się za długie te lamentacje, więc niecierpliwiąc się rzekł: mów *Ace Maria!*

Drabant machnął mieczem i piękna jej główka potoczyła się. Tyle miał przynajmniej litości, że ściał ją gładko.

Pan Wojewoda kazał oba te ciała złożyć w jedną trumnę, i zamurować w grobach familij-

nych; wszakże bez żadnego monumentu i napisu.

Obesławszy potem pismem wszystkich członków potężnego domu, doniósł im o nagłym zejściu synowicy swojej, a wdowy po Kasztelanie Sandeckim.

Dał jeszcze Wojewoda surowy rozkaz dworzanom, by nikt pod ciężką winą nie ważył się mówić o tém zdarzeniu— i nikt mówić nie śmiał, chyba gdzie w zakątku chatki wieśniaczej głucha wieść, powtórzona z bojaźnią, zmieniała się powoli w cudotworne podanie, a w końcu w bajkę, z której odgmatwałem coś niby podobnego do prawdy, w obec posepnych i głuchych zwalisk lasem porośłego Tęczyna.



PORTRET KRÓLA JANA.

—**J**eśli to prawda, że dusza po śmierci może nawiedzać osoby, zostające z nią w ścisłych stosunkach za życia, tedy kochany mój Wiktorze wzywałbym cię nieraz do pogadanki o naszym wieku szkolnym, pełnym tylu uroczych wspomnień i uczuć tak ogarniających wszystko, tak wonnych, bo pierwszych. Niema cię biedny młodzieńcze! znikłeś po krótkim, burzliwym poranku, znikłeś może bez śladu w sercach twoich znajomych, ale bądź pewny, że nie w mojem; bo ilekroć przebiegam pasmo swobodnych dni studenta, co się często trafia, gdy jaki ból we-

wewnętrzny dojmie, tylekroć widzę cię przy moim boku: już to nad książką, już na przechadzce, już wśród marzeń złotych, które jak bańkę mydlaną wspólnemi duchy pędziliśmy w górę... Dla mnie tyś nie umarł; bo i teraz, kiedy tę powiastkę kreślę, widzę cię jeszcze, jak ramię w ramię z papierami pod pachą wychodzimy z pojezuickiego kolegium. Ulicę, którą mamy wracać do domu, zastąpili więźnie kryminalni, oczyszczając ją z błota lub śmieci; jedni przykuci do swych taczek, drudzy z miotłami i łopatami. Nawykli do tego widoku, niezwracaliśmy na nich uwagi, aż jeden z tych winowajców, z ogromnemi kajdanami i do taczki przykuty, w chwili, gdyśmy go mijali, wyciągnął ku nam rękę z rozkiem tabaki, i rzekł:

—Dzień dobry, zacni panicze! spróbujcie mojej tabaczki.

Na to zagabanie cofnęliśmy się obydwaj, jakby lękając się dotknięcia człowieka potępionego za zbrodnię; lecz w jego postawie, a mianowicie w twarzy delikatnej, lubo wyżółkłej, przebijał się typ człowieka niepospolitego stanu; wreszcie

sposób, w jaki nam ofiarował niuch tabaki, tak tracił cywilizacją wyższego świata, żeśmy nie mogli się powściągnąć od zapuszczenia w nią palców.

—Spomóżcie też biednego! — dodał następnie z taką godnością, że na nas zrobił wrześnie rozkazu. I każdy z nas wsunął mu po parę groszy do ręki.

—Dobre z was dzieci! Bogusławski, gdyby nie miał tych oto obrączek, odwdzięczyłby się wam hojnie.

—Bogusławski!?!...—krzyknął mój Wiktor.

—Tak, dzieci moje, ten zawołany Bogusławski, co lepiej odgrywał swoją rolę, niż brat jego na scenie; patrzcie, na co przyszedł?...

—Bogusławski!... ach, mój Boże!—krzyknął Wiktor.

—Cóż ci to bracie? zmieszanyś, pobladłeś?—mówiłem do niego, a on uciekając prawie ciągnął mię za sobą.

—Okropne spotkanie!...

—Jak to, czy go już widziałeś kiedy?

—Widziałem; tak, byłem jeszcze dzieckiem, pamiętać nie mogę, ale matka moja...

—Matka twoja?... czy może?...

—Straszliwa historyja! opowiadanie jej nieraz sprawiło mi noc bezsenną w dzieciństwie, a nawet teraz, kiedy o tém myślę, dreszcz mię przejmuje.

—Opowiedz, jak to było? do wieczora daleko, będziemy dobrze spali.

—Chyba później kiedy; teraz godzina obiadowa.

—Do pół do pierwszej daleko, dość czasu— przejdźmy się cokolwiek po ogrodzie.

—Trzeba ci wiedzieć, mówił Wiktor zniewolony moją prośbą, że człowiek, któregośmy spotkali, był zawołanym rabusiem na całą Polskę; to w Karpatach, to na Wołyniu, to na Polesiu, to w lasach święto-krzyskich, jak drugi Rinaldyni, dokazywał cudów swojego rzemiosła. O! nie był to pospolity rabuś; bo i on przyjął był ową maxymę romansowych złodziei: łupić bogatych, a dawać ubogim. Nie powiem ci wszakże, jak daleko rozciągała się ta jego osobliwsza

filantropia; to jednak pewna, iż wszędy miał swoich współników, w różnych klassach społeczeństwa; którzy go nieraz, nie dwa, ale kilkadziesiąt wybawiali z rąk zwierzchności. Do tego i to się przyczyniało, iż był obdarzony nadzwyczajną przytomnością umysłu, która go nawet w najtrudniejszych razach nie odstępowała, tak, że całe dzieło możnaby napisać o dziwnych sposobach, jakimi się z więzień ratował. Możesz sobie wyobrazić, że człowiek z tak przedsiębiorczym charakterem był postrachem okolic, a dla urzędu nieustannym kłopotem. Dowodem wielkiej jego przytomności jest sztuczka, jaką odegrał podobno w Berlinie—bo trzeba ci wiedzieć, że zwiedzał nawet zagranicę. Obok hotelu, gdzie zajechał, był sklep bogatego bardzo jubilera; ludzie jego rzemiosła zwykle chrap mają na takowe błyskotki; owóz Bogusławski postanowił przyjść do brylantów i klejnotów następującym fortelem: najprzód idzie do sklepu i kupuje za gotówkę kilka drogich pierścieni i innych fraszek, przyczém zabiera z kupcem znajomość. Po jakim czasie zwierza się jubilerowi, że musi

wyjeżdżać do Francyi, i prosi, czyby nie przyjął na skład do siebie paki z różnemi kosztownościami, którą dopiero później mu odeszle, stosownie do wskazanego sobie adresu. Jubiler chętnie przystał na tę drobną usługę, i kiedy nazajutrz przyniosło dwóch ludzi pakę, kazał ją dla bezpieczeństwa postawić w sklepie. Z przyjściem nocy, gdy sklep miano zamykać, wpuszczono psa, jak to zwykle czyniono z ostrożności przeciw złodziejom; toż zaledwie się w domu pokładli, gdy rozległo się przeraźliwe szczekanie. Uderzyło to jubilera, który kazał zapalić świecę, i poszedł z czeladnikiem przekonać się, jaki być może powód onego hałasu. Gdy weszli do sklepu pies czekał zajadle i rzucał się na pakę, gdy w tém usłyszano wewnątrz bicie zegarka. Domyślam się, mówił kupiec. Głupie psisko! ten pan zapewne ma tu zapakowany zegar, który będzie bił, dopóki nie wyjdzie—piękna rzecz, psisko nie da nam oka zmrzyć przez całą noc, trzeba go wypędzić na dwór. Rozespane Niemcy jak uradzili, tak zrobili—ale nazajutrz gorzkie było obudzenie, bo Bogusław-

ski wyłamał się z paki i sklep okradł. Godny podziwienia ten jego koncept puszczenia sprężyny zegarkowej, którą oszukał jubilera i nie dał mu odgadnąć prawdziwej przyczyny szczekania.

—Prawda, mówiłem śmiejąc się, że to nie łada przytomność— ale niezapominaj obietnicy i opowiedz swoją przygodę. Wiktor tak zaczął:

— Byłem podówczas jeszcze trzechletniem dzieckiem, a dzieckiem piérwszém moich rodziców, kiedy ojcu memu, który chodził po dzierżawach, wypadło się przenieść z pod Radomia w góry święto-krzyskie, gdzie zadzierżawił był piękną majątność z klucza wojewody ***. Część naszych ruchomości, przytém bydło i trzody wyprawiano już na nowe gospodarstwo, dla uporządkowania zaś domu, ojciec mój, który nigdy nie lubił rozstawać się z żoną, tą razą widział się być zmuszonym wysłać ją przodem wraz ze mną, gdy on tymczasem kończył interes z żydami o sprzedaż znacznej krescencyi w snopie, której niemógł przed wyjściem dzierżawy wymłócić.— Przy pożegnaniu które było bardzo czułe, bo prawie piérwsze od pobrania się, mówił méj

matce: dziś zajedziesz do państwa cześnikostwa, tam zanocowawszy, jutro przed południem staniesz na nowém gospodarstwie, a na wieczór spodziewaj się mnie niechybnie, albowiem markotnoby mi było, gdybyś miała w tém starém, posepném domisku pierwszą noc sama jedna przepędzić. Jak mój ojciec ułożył, tak się też i stało, po gościnném przyjęciu u cześników, wyjechaliśmy do świtu i na dziesiątą przybyliśmy na miejsce. Matka moja niechcąc ludzi od innych zatrudnień odrywać, wzięła tylko ze sobą pannę służącą i starego furmana, część zaś domowników, którzy rzeczy wieźli, wrócili z podwodami dla zabrania reszty, mając je w nocy lub najajutrz dostawić. Podstarości, pisarz, wszystko to zostało jeszcze na starém gospodarstwie. Byliśmy więc niejako samotni w ogromnym, murywanym, staroświeckim dworze, którego komnaty wysokie, obicia ciemne i ruszające się za każdym drzwii otworzeniem, obrazy autenatów pana dziedzica z ogromnemi wąsami, ciasne kurytary, drzwi maskowane, dziwną sprzecznosc tworzyły z dawniejszą naszą wiejską siedzibą, szczu-

płą, o wybielonych ścianach, niskich okienkach, ale wesołą i schludną. Że dzień był słoneczny, a bardziej, że trzeba się było zająć ustawieniem zwiezionych mebli, rozporządzeniem izb na sypialne, jadalne, garderobę, spiżarnię, przeto w tym ustawnym ruchu matka moja nie doznała żadnego wrazenia; owszem cieszyła się mieszkaniem obszerném i tak rozłożoném, że mogła na wszystkie części gospodarstwa kobiecego pilnie mieć oko. Jakoż na ciągłym znoszeniu, ustawianiu, przybijaniu zeszedł dzień boży. Wieczorem zmęczona rzuciła się na kanapę w sypialnym pokoju, a ja szczebiecząc zasnąłem powoli na jej kolanach. Służąca postawiła świecę, podała herbatę, i zaczęła rozpowiadać różne banialuki o strachach murowanego dworu, o których jej stary miejscowy nabajał ogrodnik. Matka śmiała się i żartowała z jej łatwowierności, gdy tymczasem mocny wichur zaszał oknami, zaczęło grzmieć, łyskać się i deszcz lunął jak z cebra.

—Ach dobry Boże! co się tam z moim dzieje?

pewnie go w drodze napadła burza, rzekła moja matka składając ręce.

—Toby gorsze było jak wszystko, wtrąci bojaźliwie służąca, na całe obejście żywego ducha niema, prócz głuchój klucznicy i krowiarki, a bor święto-krzyski dokoła, najlepiej niechby pani kazała przyjść furmanowi i wartować przez noc.

—A któż zostanie przy koniach? zarzuci matka, ich prędej co złego, niż nas może spotkać, a wreszcie jestem pewną, że mój nadjedzie.

Jeszcze jakiś czas rozmawiały; burza wciąż szumiała; mnie położono w kolebce; służąca robiła pończochę i zaczęła drzémać. Tobie się spać chce Małgorzało, rzeknie moja matka, idź wyspij się do jutrzejszój pracy, a ja będę czekać na męża, czy nadjedzie. Małgorzata wymawiała się tём, że nierada opuszczać pani, lecz na zaręczenie jój, iż się niczego niełeka, poszła do swego pokoju, zawezwawszy na straż bezpieczeństwa głuchą klucnicę. Zamknawszy dobrze się i drzwi od sypialni, matka moja nakręciła zegar, który właśnie pół do jedynastój uderzył,

postanowiwszy nie kłaść się, choć walczyła ze snem, przywierającym jój powieki. Przechodziła się wzdłuż i w szerz po tój komnacie, która teraz dopiero wydała się jój okropnie posępną; sufit bowiem malowany olejno obwisł i w starości swojej ledwie pozwalał odgadnąć herb i jakieś symboliczne figury; złocone ramy czas poczerniły; ściany powleczone chińskim obiciem, za którym szwadrony myszy harcowały, a nad małżeńskim łóżem wisiał duży portret z wyobrażeniem króla Jana, pod nim mały wizerunek na blasze Najświętszej Panny Częstochowskiej; piérwszy należał do inwentarza, drugi był naszą familijną własnością. Około północy, kiedy słuch się jój zmordował łowieniem odgłosu zajechać mającój bryczki, kiedy mimowolna trwoga zaczęła ścisnąć serce, przystąpiła do mojej kolebki, pocałowała śpiącego i uklękawszy przed cudownym obrazem, modliła się gorąco o szczęśliwy powrót małżonka. Modlitwa ta odbywała się w wewnętrzném rozmyślaniu, a czasem w głośném westchnieniu, w miarę, jak obawa nią miotąta; wzrok zaś często zwracał się ku obrazowi, niby odga-

dując odpowiedź w nieruchomych rysach Bogarodzicy.— W jedném z takich uniesień oko jój podniosło się wyżej i zawisło na ogromnej wspaniałej twarzy króla Jana... Zdawało się jój, że wzrok portretu był na nią zwrócony i że przenikał do głębi... Ale o cudo! Król Jan mrugnął! Nie wierzy sobie, przeciera oczy, żegna się i patrzy; świeca za nią stojąca na stole odbija się jak w dwóch gwiazdach na ciemném tle płótna. To wszystko same złudzenie! pomyślała i szpilką zakłuła się w rękę. Patrzy znowu... powtórnie mrugnął!... Mruga i jeszcze mruga. To już nie sen; ona przy zmysłach, czuje i widzi. Słucha... jakiś szmer za portretem, jeszcze raz odważa się spojrzeć, ale oczu już niema! Na ich miejscu dwa ciemne doły... Co się z nieszczęśliwą matką podówczas działo, nieumiem ci opisać, bo i ona powiadając to zawsze w tym punkcie przymilkła, jakby mierząc ogrom przestachu i słabość siły swojej, że go znieść zdołała. Jednakże w ważnej téj chwili pokazała się niepospolitą bohaterką; rozwaga wzięła górę nad uczuciem i naprowadziła ją na myśl, że w domu tym pełnym kry-

jówek, mógł się zakraść nie kto inny jak złodziej, czatujący zapewne na pełną szkatułę jej męża. Cóż pozostało jeżeli nie stłumić wszelki przestrah, a nawet ukryć najdrobniejszy pozór podejrzenia? Mimo tego pomysłu, co ducha jej pokrzepił, nie miała jednakże dość siły, ażeby podnieść się z ziemi; szczęściem, zacząłem kwilić w kolebce, to wróciło jej pamięć na drogą jeszcze istotę, tak blisko niej będącą. Zerwała się, uchwyciła mię konwulsyjnie na ręce i tuląc do piersi usiadła w kącie kanapy.

—Niczego teraz się nieboję! myślała, twoja niewinność oboje nas obroni.

Uspokojenie nie przychodziło tak prędko: deszcz zdawał się zwiększać; jeżeli mąż nie nadjedzie, będzie musiała całą noc przepędzić pod okiem zbójcy, a Bóg wie jakie on knuje zamiary! Przychodziła jej myśl porwać mnie, rzucić się ku drzwiom i uciekać... ale dokąd, gdzie szukać pomocy? Choćby wpadła na wieś, któż jej zaręczy, że dokoła domu nie czatują wspólnicy? Czuwać do dnia białego?... To jedno co rozbudzić podejrzenie w szpiegujących oczach, co wywołać

złoczyńcę, aby miasto kradzieży popełnił morderstwo. Kiedy tak rozmyśla, zegar pierwszą uderzył.

—Już się go nie doczekam!— zawołała dość głośno,— położę się, bom zmorzona.

I układszy mię na swoim łóżku, zaczęła powoli rozbierać się to rozczesując włosy i chwając je pod nocny czepek, to rozwiązując całe pół godziny wstążkę u trzewika, to drugie pół odpinając haftkę u sukni... A słuch jej ciągle wyteżony: na dworze, deszcz zdawał się ustawać, tylko wiatr szumiał... już niewie, jak dokończyć téj okropnej roli. Podobna temu ryerczowi, co w walce straciwszy sztukę po sztuce ze swojej zbroi, jeszcze kawałkiem naramiennika się zastawia, tak ona resztkami swego ubioru usiłowała przewlec chwilę wejścia do łóżka, na którym mogła czuć oddech i bicie serca utajonego złoczyńcy. Już zegar drugą uderzył, już trudno odwlekać; niech co chce się stanie, westchnęła gorąco i biegnie położyć się. W tém, czy nie złuda? słucha, coś pod oknem zahurko-

tało... trzask bicia i głos dobrze jęj znany rozlega się na dziedzincu.

—To mąż, to Franuś! krzyknęła, lecąc drzwia otworzyć; i—niebawem wszedł mój ojciec dobrze przemokły, a za nim służący, który zaczął znosić tłómoki.

—Ty nie śpisz jeszcze moja Maryniu! mówił do wiszącej na jego szyi, co ci to? drżysz cała, uspokój się duszo!

Ale ona prawie omdlewając padła mu na ramię, tak, że musiał ją złożyć na sofie.

—Nie gniewaj się na mnie, Bóg świadkiem, nie mogłem pierwiej przyjechać, bo ten przekłety deszcz tak nas złapał, żeśmy musieli ztąd o ćwierć mili w karczmie przeczekać.

—Ach nie, mój drogi! ja tak szczęśliwa z twego przybycia!

—Alboż co złego stało się ci bezemnie?...

—Nie, nie, i cisnęła go mocno za rękę.

—Nie rozumiem cię, cóż to jest?...

Ona położyła palec na usta i rzekła donośnie:

—A interes czy dobrze ci poszedł?

—Wybornie! Oto pięćset sztuk złota gotówka, i brzęknął workiem.

—Trzeba je zchować do biórka, które postawiłam obok naszego pokoju; u ciebie jest klucz.

Będzie dość czasu jutro.

—Lepiej teraz! Zobaczysz jak w dobrém miejscu stoi, mówiła pieszczenie, ciągnąc go za sobą.

Po krótkiej rozmowie w drugiej izbie, wyszedł mój ojciec trochę zmieszany, spójrzał ukosem na portret Króla Jana i rzekł do lokaja. Zostań tu Macieju, a ja tymczasem rozporządzę ludźmi co resztę naszych rzeczy przywieźli.

Nie minęło kilka pacierzy, a drzwi od sypialni otworzyły się na oścież i wszedł mój ojciec w towarzystwie ekonoma i kilkunastu chłopów z ogromnemi dragami.

—Macieju, pistolety moje! — obejrzał podsypkę, a odwiódłszy kurek, posunął ku obrazowi.

—Wychodź złoczyńco! — Krzyknął piorunującym głosem.

Podstarości i reszta czeladzi otworzyli zdziwione oczy na tę osobliwą przemowę do portretu.

—Wychodź, bo wypalę!

—Kapitulujmy! odezwał się głos za płótnem.

—Z mistrzem na szubienicy! — odrzekł mój ojciec.

—Kiedy tak, to jeszcze mam nadzieję wygranej. I za pociśnieniem sprężyny portret się otworzył, a w dość szczupłej framudze, okazała się zawadyjcka postać rabusia, który robiąc bardzo grzeczny ukłon powitał całą kompanię, i wypalił duser méj matce.

—To Bogusławski! krzyknął podstarości, świecę do jego twarzy zbliżywszy, wpadłeś ptaszku do klatki, tym razem pewnie podyndasz: héj! chłopcy, wiązać go! Rząd wyznaczył sowitą nagrodę za niego.

—Prędzej ucho swoje zobaczysz, jak tysiąc talarów nałożonych na moją głowę; odrzekł rozbójnik obojętnie, gdy go krępowano powrozami.

—I dotrzymałże podstarościemu, zapytałem przerywając opowiadanie.

—W rzeczy samej, tej nocy, której go dostawił do sądu kryminalnego, uciekł.

—I jakimże sposobem? zapytałem.

—Cudownym — Wyobraź sobie, kiedy go dostawiono do Kielc, gdzie był kryminal austriacki, dla spóźnionej godziny nie zamknięto do kryminału, lecz do ratusza; obstawiwszy gęsto wartami. Na drugi dzień gdy przyszli po niego, żywego ducha nie znaleźli, choć ani mur był przebity, ani kraty wyłamane, ani w komin się schował, bo nawet pieca nie było w tej izbie.— Pogłupieli wszyscy, i byli pewni, że ma współkę z djabłem. A on śmiał się z nich w duchu podpodłogą, albowiem znalazłszy źle przybite deski, podniósł je, ubił ziemię i sam się położył pod niemi. Upatrzywszy chwilę, gdy izba nie była zamkniętą, wyszedł, i okradł jeszcze burmistrza.

—A ekonom-że dostał nagrodę? — zaga-
dłem.

—Gdzietam; ledwie go kilkunastą talarami pokwitowano.

—Oto masz koniec tej okropnej sceny; wszyscy z niej wyszli dość obronną ręką, prócz mojej

matki, która bohaterstwo swoje odchorowała śmiertelnie, i starego ogrodnika, który jak się okazało, był z Bogusławskim w porozumieniu, za co go sąd skazał na lat kilka do więzienia.

—Serdecznie ci dziękuję za twoją powieść, ale czy słyszysz: trzy kwadransy na pierwszą!—
Obiad stracony! *Tarde venientibus ossa.*



RÓŻA Z MOGIŁY.

(LEGENDA Z XIV WIEKU.)

—**D**ziwne rzeczy! — rzekł doktor Swajboldus, wysłuchawszy z zimną powagą słów Boguńki.

— Wasza miłość widzicie, — mówiła z przy-
mileniem dziewczynka, — że to prawie z natchnie-
nia Bożego przyszło mi na myśl zażądać waszjej
rady. Któż bowiem, jeśli nie wy, macie sławę
na całe królestwo? Któż jeśli nie wy z wysokiego
królewskiego dworca zstępujecie do chatek ubo-
gich, którzy was błogostawiają w każdym pacierzu?
Och! święta Rodzico! gdybym wiedziała że....

—Dobrze już, dobrze moja rybko! — prze-
rwał doktor pogłaskując długą brodę z wyrazem
wewnętrznej radości i w zamyśleniu patrząc w o-
błoki.

—Ej! miły panie, przywróćcie ino zdrowie
mojemu ojcu, wypędźcie zeń złego ducha, który
go napastuje od czasu śmierci nieboszczki méj
matki, a bosoboję wszystkie cudowne miejsca,
i będę się modlić za was gorąco. Pan Bóg mię
wysłucha, on bowiem wynagradza tych, co ubo-
gim dają.

—Cyt! cyt! będzie to jakoś,— odparł lako-
niczny doktor.

—Jakże się widzi waszój miłości, czy cho-
roba mojego rodzica bardzo jest niebezpieczną?

—I tak i nie, zobaczymy.

—Ależ bo on nieraz jak siądzie na miejscu,
to by kamienna figura na kościele, ani się ru-
szy, a oczy jak w słup postawi, to po mnie sa-
mój aż mrówie przechodzi. Teraz dzięki Bogu
po dwóch dobach bezsenności i gorączki zasnął co-
kolwiek, a jam prędko zadziała jupkę na siebie,

uprosiwszy Marci kmochy, aby przy nim czuwała, i sama poskoczyłam do was miły paneczku.

—Zapewne przyszło nań jakie utrapienie i biedak szaleje,— mruknął do siebie doktor, puszczając truchtem siwą szkapę i zostawując za sobą na piezki zdążającą dziewczynkę, aby tém wolniej od jój szczebiotliwości, mógł się w rozmyślaniach zagłębić.

Rzadkobyś zobaczył na gościńcu z Krakowa do Niepołomic postać osobliwszą, jak doktora Swajbolda czyli Światopełka, nadwornego lekarza króla Kazimierza. Wieku mógł mieć około lat pięćdziesiąt, wysoki i chuderlawy, na głowie sterczał mu kapelusz by wieża maryacka, z pod którego wyglądał nos zaostrzony i garbaty, a niżej trójkątna broda gęsto i cokolwiek szpakowacizną zasiana. Ramiona, łokcie, kolana, zgoła cała struktura jego była jasnokoścista, tak, że zdaleka mogłeś go wziąć za zbiór trójkątów geometrycznych obdarzonych władzą ruchu.

Dziewczyńce, która drobnym kroczeniem czesłała za poważnym mistrzem, ledwiebyś dał siedmnaście latek, malutka wzrostem, w czerwony

staniczek ujęta wążutka kibić; twarzączka okrągła i rumiana jak zwykle u krakowianek, a na jagodach i bródce dółki; w nich to dawniej za weselszych czasów musiało być siedlisko rzadkich uroków; teraz tam tylko perełki łez się zatrzymują, jak na kielichu róży; toż jasny włos, który niegdyś przy święcie umiała splatać w dwa długie warkocze i przystrajać różnobarwistym makiem, wymyka się w nieładzie z pod białej chusteczki zarzuconej na głowie. Spuszczone oczki, częste westchnienia, wszystko pomawia w niej o ciężkich strapieniach.

Już dobrze pod wieczór, podróżująca ta para przybyła na podwórko leśniczostwa w Niepołomickim lesie. Stary Pełka, leśniczy królewski, a ojciec Boguńki, spał jeszcze snem nieprzerwanym; lecz na hałas szczekających kądłów i skrzypu drzwi, zerwał się z łożnicy i obłąkane oczy wlepił w nowo przybyłych.

—A cóż, macie ją? pytał wpatrując się dziwo, znaleźliście moją pocziwą Bochnę, było huknąć po boru, czéjby się obezwiała. A potem niby przypominając sobie, jęczał załośnie: ej! ej!

przepadła jak kamień w wodę! w mojej chacie pustkowie, niema komu gospodarzyć! i ręką zakrył oczy przypadając głową do rogu pieca.

—A mnież to niema mój tatku!— mówiła Boguńka, obejmując mu kolana, a jaż się to nie nazywam Boguńką? nie potrafięż choć w części zastąpić nieboszczkę? którąśmy stradali oboje?

—Stradali powiadasz? ej dziecko, nie bluźnij, ona wróci, jak Bóg na niebie wróci. Cóż że ją zamknęli w cztery deski, że ją xięża ponieśli; przecież ona powróci do swego gospodarstwa, hoża i czerstwa, jako ongi, gdym ją do ślubu prowadził. Tu stary leśniczy poskoczył niiby z radości, klasnął w ręce, i śmiejąc się na całe gardło, biegał z kąta do kąta po izbie; jakby za kimeś gonił: —Otoż i ona!— wołał—już cię trzymam; i nie wymkniesz się moja ptaszko! a jakaś ty prześliczna w białym weselnym robro nie, z wiankiem rozmarynu we włosach! Hej grajki! rznijcie mi polskiego od ucha, bo oto panna młoda w tany rusza.

I tak długo biegał, krzyczał, śpiewał, aż znużony i omdlony upadł na łóżko.

—Cudowny Jezu! zmiłuj się nad nami!...—
wołała zapłakana Boguńka.

—Dziwne rzeczy!—bąknął mistrz Swajboldus.

—W Bogu i w tobie miły panie, cała moja
nadzieja!

—Symptomata te opisał Hipokrates i Galenus...
—powtarzał doktor głaszcząc się po brodzie, a
gdy tymczasem Boguńka usiłowała przywrócić
zmysły nieszczęśliwemu ojcu, Swajholdus dobył
z szerokiego rękawa księgę, i zaczął w niej czy-
tać półgłosem:

„W miesiącu Maju podczas nowego księżycyca
zbierzesz rosę w naczynie gliniane, rosa ta zbie-
ra się z macierzanki, fiołków, ruty?... Złe to le-
ki, szukajmy czego lepszego.

„Weź trzy uncie aloesu, driakwi weneckiej,
złota najczystszej!... ha! ha! ha! złota! i to nie
wiele warto!

W tém jakby mu nagle co przyszło do głowy,
dobył tabliczkę z zanadrza, nakreślił na niej ja-
kieś zygzaki i oddał Boguńce mówiąc:

—Dzieweczko moja! mądrość ludzka nic tu

nie wskóra; oto wszystko, co mogę zrobić dla twego ojca.

—I to mu powróci zdrowie, mój dobroczyńco?

—Choroba długa, skutek nie pewny, odparł mistrz; wyszedł z izby i odjechał. Stara kmocha, która zastępowała Boguńkę w czasie jej niebytności przy chorym, oddaliła się równie, a biedne dziewczę zostawszy same usiadło na ławce pod piecem i półsenném okiem czuwało nad cierpiącym.

W koło niej było głucho i samotnie; tęskno myśli jedna za drugą jako chmurki zaczęły się podnosić w duszy; rozplakała się nad swoją dolą, narzekając stłumionym głosem.

—Cóż to mię czeka, mój Boże! jaki koniec? sama jedna bez pomocy bez doświadczenia, a świat jak mówią, pełen sideł i niedobrych ludzi... Biedna ja, biedna sierota, cóż pocznę, gdzie się obrócę?...

Ledwie to wymówiła, zdało się jej, jakoby nadzwyczajna jasność olśniła całą świetlicę? a przed nią stanął prześliczny anioł z długimi kędziory, z wzrokiem pełnym dobroci, i ze skrzy-

dłami, co się srébrzyły i migały, jak woda na zdroju.

—Jam jest twój aniół stróż, rzekło zjawisko, słuchaj rad moich tajemnych, dawaj ucho mojemu głosowi, a nigdy nie zboczysz z drogi prawdy i cnoty. Niebo ulitowało się twojej doli i przyjmuje cię pod skrzydła przenaświętszej Opieki. Otoż więc pójdiesz na mogiłę swój matki, narwiesz różnego kwiecia, między którym znajdzie się jeden, co ci będzie skazówką na drodze życia.

—Mogę ci ufać o cudowne zjawisko! zapytała drżąca Boguńka.

—Ufaj i uczyn co mówię.

—A ojciec mój wróci do zdrowia?

—Znoś mężnie i czekaj.

Widmo po tych słowach znikło, a Boguńka niepojętą, jakąś mocą wiedziona, zdięła z kołeczka nie wielki koszyczek, i pobiegła przez łączki i łany na cmentarz. Znalazłszy z łatwością mogilnik matki, po krótkiej a gorącej modlitwie klęcząc napełniła koszyk kwiatami zwilżonemi

rosą wieczorną i czém prędzej wróciła do swego ojca.

Nazajutrz kiedy zagładnie do dzbanuszka, z równianką wczorajszych kwiatów, znalazła wszystkie powiędłe, oprócz jednej białej dzikiej różyczki, która do niej wdzięczyła się cudowną świeżością i wonią. Przez wdzięczność Boguńka dała jój godniejsze miejsce w pięknej poliwanój doniczce. Niewiedząc jeszcze, jaki wpływ może ten kwiatek mieć na jój losy, oglądała go ciekawem okiem, odmieniała wodę, pieściła, i po upływie całego tygodnia, z wielkiém zdziwieniem widziała swoją różyczkę ciągle świeżą i woniącą.

Stary leśniczy cierpiał ustawicznie; lecz obłąkanie jego więcój objawiało się teraz ponurém nierozbudzoném milczeniem, niż gwałtownym, jak dawniej szalem.

Mój tata, mówiła doń pewnego dnia Boguńka, był ci dworski z Łobzowa, i przyniósł rozkaz dostawienia zwierzyny na stół króla a pana naszego; jeśli myślicie, że wam się polepszyło mój tatku, możebyście z ruszą wyszli do puszczy!

Na to Pełka równemi nogami zerwał się z ła-

wy i drząc jak osika zawołał: aj! cóż to mi radzisz dziweczko moja! do puszczy? do Niepołomskiej puszczy! Jakby tam miały legowisko same tylko sarny i dziki! Och! chowaj mię Boże! choćby mi przyszło doczekać ostatecznego sądu, nigdy już nie tknę kuszy, nigdy niezapuszczę ogarów, i o żadnej kniei słyszeć nie chcę... Ty niewiesz, ty niewiesz dziecino, co to są Niepołomieckie bory!...

Potém stary myśliwiec głowę zwiesił na piersi, jakby okropnemi myślami trapiiony; Boguńka lubą pieszczotą i przymileniem usiłowała wyciągnąć z niego znaczenie tych słów tajemniczych; nic niemogła wskórać, tylko ten domysł jój pozostał, że śmierć matki nie sama tylko była przyczyną obłąkania Pełki, i że jeszcze coś innego złożyło się na jego nieszczęście.

—Cóżby to być mogło? powtarzała więcéj strapiona niż kiedy siedząc na przyzbie pod oknem i rączkami przysłaniając oczy jakby chciała wydzierające się łzy zatrzymać.

—Cóż-by to być mogło! mówiła wyplakawszy się i ostatnią łzę ocierając fartuszkim, gdy u

wrót podwórza postrzegła jakąś zgarbioną staruszkę, która długą drogą i upałem zmordowana, zwolna włókła się podpierając boki sękatym kosturem.

—Dobra moja panienko! szepleniła babka, pątnię teraz do cudownego miejsca, dajcie kawałek chleba i jaki grosz na rękę, bo już mi trud i głód dojmuje.

Boguńka, lubo miała wrodzone czucie litości, teraz znękana domowym smutkiem, niedolą dotknięta, myślała, że już nikt od niej nieszczęśliwszym być nie może i tém mniej jeszcze uczuła w sobie chęć pośpieszenia z jałmużną, gdy rozpatrzywszy się w staruszkę, postrzegła iskrzące się bazyliżkowe jęj oczy, i szatańską złośliwość w szpetnych zmarszczkach.

—Z bogiem matulu! niech Bóg opatrzy! — ofuknie, u nas samych bieda; idźcie, idźcie sobie do dworu, tam mieszkają państwo, niezawadzajcie tu, z bogiem matulu!

Staruszka nie odpowiedziawszy jak przyszła, tak poszła, a Boguńka zaparłszy drzwi, wróciła do ojca. Przechodząc wedle okna, gdzie stała

doniczka z różą, mimowolnie zagładnie, aż jakie jój zdziwienie, gdy ją widzi zwiędniętą i bez zapachu.

—Otoż wszystko mię już opuszcza! ten kwiat co miał być skazówką mojego życia, i on nawet więdnie z ostatnią nadzieją! Biednaż ja biedna sierota!

Cały wieczór spędziła przemyślując tylko o żebrającej staruszce.

Zlem uczyniła, odrzucając modlitwę staruszki, kto wie, jakie ona zasługi może mieć u Boga; a chociaż z oczu niedobrze jój patrzyło, z tém wszystkiém ubogiego wesprzeć naucza nas święta religia; źle byłoby na świecie, gdybyśmy tylko tym świadczyli, co się nam podobają z pozorów!

Zaledwie Boguńka pomyślała to sobie, gdy jakiś szmer wszczął się około doniczki mieszczącej białą różę; popatrzy: a kwiatek niedawno uschły, teraz się przebrał w pierwszą woń i świeżość.

—O zgadłam! wykrzyknęła Boguńka, zgadłam twoją myśl, mój aniele stróżu! Ten kwiat zastępuje mi ciebie widomym sposobem, on ostrze-

ga o błędach, on uczy złe dobrem naprawiać!
o jakże byłam winna wyrzekając na mą niedolę!

Biedne dziewczęte uspokojone, usnęło snem słodkim. Nazajutrz przebudziły je odgłosy rogów myśliwskich i krzyk łowców; był to bowiem dzień, w którym król Kazimierz wyjechał na łowy. Wielki tłum różnego ludu, a mianowicie chłopów, cisnął się za dworską czeredą. Boguńka rozciekawiona, zarzuciwszy coś na siebie, wybiegła na gościniec, przypatrując się sutym ubiorom panów a bogatym rzędom a siadzeniom koni. Lubo ten widok tak ją zdziwił, że i sto oczyma nie mogłaby do sytu się napastryć, jednakże daleko w ciżbie poznała wczorajszą staruszkę, z którą się obeszła tak nie po chrześcijańsku.

—Matulu! matulu! wołała przeciskając się ku niej, nie gniewajto się na mnie, zem was tak niegrzecznie przyjęła; chata nasza zawsze będzie dla was otworem i teraz, chodźcie, czym Bóg dał, podzielę się z serca.

—Niech ci to Pan Jezus w raję odpłaci, miła dzieweńko! chyba na inny raz przyjmę wasze

zaprosiny; bo teraz, aczém prawie stoletnia, jeszcze mi się nie zdarzyło widzieć takiego państwa. Oto tam na błoni rozbijają namiot dla króla, i dworskich, zkąd mają strzelać zwierzynę jaka wypadnie z boru, słyhać, że i dla prostego ludu będą tam gody, tóż i człowiek może się do ciśnie i co obliże... A wyż panienko nieprzypatrzyście się temu dziwowisku?

—Rodzic mój w ciężkiej niemocy, odeprze Boguńka, któż przy nim zostanie?

—Oto się niefrasujcie panienko, choć jak mię korci widzieć te wszystkie krotochwile, przecież z duszy, z serca zastąpię was przy starym, a wy tymczasem poskaczcie sobie, boć tam różnych chłopaków jak maku.

Ciekawość była jedną z głównych wad Boguńki, a mowa staruszki zdawała się trafiać bardzo do przekonania! Jednakże nim się zebrała na stanowczą odpowiedź, poskoczyła zapytać opiekuńczój róży, którą znalazła ze zwieszoną uwiędłą główką. Toż natychmiast wróciła do staruszki, dziękując za dobre chęci, i oświadcza-

jąc, iż woli zostać przy chorym, niż szukać rozrywki.

W chwili, kiedy nie rada temu staruszka miała się oddalać, Pełka pokazał się na progu chaty, a postrzegłszy ją rozmawiającą z Boguńką, wydał krzyk przeraźliwy i padł bez zmysłów. Córka poskoczyła na ratunek, a stara znikła tymczasem. Przez dobrą godzinę leśniczy nie mógł przyjść do siebie; w końcu dopiero niby wychodząc ze snu twardego, rzucił obłądny wzrok dokoła, jakby lękał się spotkać z przyczyną swego przestachu.

—Och! kiedyż mię przestaniesz napastować przeklęty biesie! zawołał, kiedyż odpekasz się z twojemi czarami? Chcesz-że na wieki duszę moją potępić? O Boże, śmierć nieboszczki twój matki, ciężka to kara niebios!...

I toż jest widmo kochany ojciec, które cię napastuje w puszczy? zagabiała bojaźliwie Boguńka.

Ale on niezważając jej zapytania powtarzał z gorzkim uśmiechem: To mi to sztuki szatań-

skie! To mi to czary mosanie! Dziś położysz sześć jeleni, jutro dwanaście!

Masz napoj, co cię odmłodzi, masz kamień, co wszystko w złoto przemienia! Do mnie skarby, bogactwa jakich sam król nie posiada! teraz ja więcej jak niczém, czy tam leśniczym, mam rycerzy, dworskich, giermków, wydaję rozkazy wszystko słuca z pokorą, oj niema, jak być sobie panem wojewodą!...

—Tatku mój tatku! wołała Boguńka zaklinając, odpędź te mary, te pokusy od siebie; wyście przecie ani królem ani wojewodą, ale chudym pachółkiem; pamiętajcie, że dobry nasz król Kazimierz dał wam to leśnictwo za usługi w wojence na czerwonej Rusi, pamiętajcie, że ci ja wasza córka Boguńka a wy leśniczy Niepołomskiej puszczy!.... Obląkany starzec ani słucał przełożeń córki, tylko wcisnąwszy się w najciemniejszy kąć izby, usiadł na pół martwy, w jedno miejsce wlepiając oczy.

Tegóż dnia, dwaj piękni panicze, na dzielnych rumakach, w sutych pozłocistych szatach,

zatrzymali się u wrót leśnictwa, i pytali, czyby nie mogli być przyjęci?

—Ubogą jest nasza strzecha, odrzekła Boguńka, i niskie progi na wasze nogi, ale jeżeli taka wola waszmościów panów, przyjmiemy chlebem i solą.

Ci dwaj kawalerowie rozgościwszy się, zaczęli wypytywać o stan Boguńki i jej ojca, ubolewali nad ich nieszczęściem, i do swoich uzaleń, domieszali siła powabnych słówek, o powabach, o niewinności, o poświęceniu się Boguńki. Dziewczęciu nie od serca była ta mowa, i kto wie, w jakie byłaby wpadła sidełka, gdyby nie cudowne ostrzeżenie białego kwiatka.

Niedługo potem mistrz Swajboldus znowu nawiedził chorego. Boguńka zastosowała się najściślej do przepisanej recepty, lecz niewidząc żadnego polepszenia na chorym, wyznała nieskuteczność lekarstwa.

—Spodziewałem się tego, odparł mistrz.

—Bo to widzicie miłościwy panie, rodzic mój więcej chory na duszy niż na ciele; z wszystkiego wpadam na myśl, że go oczarowała stara

baba chodząca po jałmużnie, albowiem skoro ją obaczył, zaraz gorzej się rozniemógł.

—Hum! dziwne rzeczy!

—Boguńka szczegółowo opowiadała doktorowi cały swój przypadek z żebraczką i przestach Pełki, skoro ją zobaczył. Swajboldus kazał sobie ze wszystkimi drobnostkami opisać ubior i postać staruszki, przyczem ustawnie kręcił głową i swoje hum! powtarzał. W końcu zagabał, czy nieuważała u niej czarnego znamienia między brwiami.

—Zauważałam odrzekła Boguńka, i to właśnie, co wyraz jej twarzy czyniło tak odrażającym.

—Otoż ją mamy! wykrzyknął doktor, twój stary będzie zdrow, jak ryba. I nie mówiąc nic więcej, siadł na swoją szkapę, i puścił się ku stolicy.

—Boguńka długo ściagała go oczyma, aż po środku tumanu kurzawy wznoszącej się na gościńcu, postrzegła dwóch rycerzy pędzących, co koń wyskoczy. Jeszcze byli o staję, ona już w nich poznała owych dwóch ichmościów, którzy

przed tygodniem znaleźli byli na leśnictwie gościnne przyjęcie. Teraz przypadłszy na podwórko, posiadali ze zhasanych koni, i grzecznie prosili Boguńkę, aby ich przyjęła w gościnę i zasiła świeżem mlékiem.

Dziweczka, co lot postawiła przed niemi misę śmietany, chleb biały i masło. Po kilku zdrowaś Marya i nic nieznaczającój pogadance, jeden z dwóch powstał, i tak do niej przemówił:

Nadobna panienko! przybywamy do ciebie w chęci ofiarowania ci usług naszych. Twój rodzic jak chory tak chory, cóż go czeka? oto dostanie lada dzień odprawę i będzie musiał na wiek swój walać się pod płoty. Do waspanny, jako jedynaczki, należałoby pomyśleć o zabezpieczenie mu kawałka chleba. Posłuchaj więc naszej rady i porzuć tę chatę, gdzieście tyle złego zaznali, a my twoje szczęście zapewnim. Stojąc w wysokich łaskach na dworze królewskim, przez naszą protekcję wyrobim ci przyzwoite miejsce; nabrawszy cokolwiek dworskiej ogłady, przy urodzie, jaką cie obdarzyła natura, kto wie azali nie ściągniesz na siebie królewskiego oka,

boć ani Rokiczance ani Esterce w piękności lica nie ustąpisz. A tak podobawszy się naszemu panu, będziesz opływać, jak pączek w maśle; szaty z złotogłowu, perły i klejnoty dodadzą ci wdzięków; z piérwszemi matronami, jak równa z równemi, i kto wie, co jeszcze cię czeka. Powiedz że panienko, czy nasza rada do smaku?

Takowe złote góry obiecywane przez osoby, o ile sądziła wysokiego znaczenia na łobzowskim dworze, przytém nadzieja polepszenia losu ojcowskiego, a w końcu odurzające kadzidło pochlebstw, któremi ją osypano, wszystko to zaślepiłoby i najdoświadczeńszą, nie dopiero niewinną wiejską dziewczeczkę; jednakże odrzekła z niedowierzaniem:

—Chybać żarty stroicie sobie dostojni panowie; czy podobna, aby stan mój zmienił się aż tak dalece?

—Cóż w tém niepodobnego? wzdłuż i wszcz przejechaliśmy całe krolestwo, a piękniejszej od ciebie nieznaleźliśmy. Wierzaj nam, nie jedna xiężna i królowa nawet zazdrościłaby twojej urodzie. No, jakżeż czy przystajesz?

—Trudnoć mi tak wnet wybierać, pozwólcie, niech się choć namyślę...

Boguńka pobiegła do swojej róży, która już zaczynała więdnąć, lecz zaraz wróciła jej świeżość barwy i woni, gdy się odezwała do gości: nie kuście mię, nie kuście zacni rycerze, urodziłam się w tej chacie; wieśniaczką chcę umrzeć. Mówicie, że na dworze świetno i wspaniale, jednak i tam, nieszczęście kogo ma dotknąć, dotknie; i tam, ze złem sumieniem niema snu ani pokoju; zostawcie mię w ubóstwie, wolęć stokroć ten kącik cichy, niż złote szaty i pańskie rokosze.

Odpowiedź tę dała tonem tak pewnym i otwartym, że dwaj oni panowie niewiedzieli z której strony zaczepić. Pospuszczawszy tylko nosy, jedli i pili, rozmawiając coś z sobą po cichu.

W tej chwili podwórko zatętniało, psy zaskomlały, i mistrz Swajboldus zjawił się we drzwiach świetlicy.

—Oho! oho! zawołał postrzegając nieznanym, a gdzieżeście to pochowali różki i pazurki?

Na takie pytanie rycerze zaskowyczeli, by

złaja ogarów, i w mgnieniu oka przemienili się w dwa brzydkie gacyki, wylatując kominową czełusią. Boguńka przerażona nadzwyczajnym widokiem, zbladła i chwiała się na nogach, gdy znowu cała puszcza zagrzmiała przeraźliwym podziemnym hukiem. Stary Pełka, który odpoczywał pod lipą w ogródku, wpadł do izby rzucając się w ramiona córki.

—Pan Bóg zlitował się nad nami zawołał, twój ojciec ocalony!

—Spodziewałem się tego! rzekł patrzący się nań z boku mistrz Swajboldus.

—Oto w tym momencie mówił leśniczy; zdało mi się jakoby na świat się narodził, poznałem bowiem pomieszanie mego rozumu, i uczułem że czas pokuty już się wypełnił. Trzeba ci zaś wiedzieć, dziecko moje, że zgrzeszyłem!

—Zapomnij już o tém ojciec prosiła Boguńka.

—Ja to wam wszystko najlepiej opowiem, przerwał doktor. Luboć nie używam w leczeniu pacjentów sztuki magicznej, jednakże był czas kiedy praktykowałem tę wysoką umiętność; jeszcze w tedy poznałem pewną niewiastę z Rusi

imieniem Irenę, która *arte incantamentorum versata*, wyuczyła mię kabały i innych sposobów czarnoksięskich. Wiadomo mi było, iż ona czarownica obrała sobie siedlisko w puszczy, dla tego zaraz trafiłem na nią z twojego opisu. Księgi, jakie wezwałem do rady, moje rachuby astrologiczne, powiedziały mi o wszystkich psotach starego ożoga. Rzecz tak się ma: Irena, która ztąd niedaleko założyła swoją piekielną kuźnię, zwróciła oczy na twego ojca i chciała go wciągnąć na współnika swoich czarów i złości, Obiecała mu złote góry; zaczarowała kuszę, że ubijał ile chciał jeleni, zgoła stary dał się ułudzić i omal już niepodpisał cerografu na duszę. Tak to pycha szatańska, łakomstwo zbiorów, nie jednego przyprawiają o zgubę; ojca twego już, już, co ten sam los nie spotkał. Wewnętrzna walka, jaką toczył z własnym sumieniem pomieszała mu zmysły, do czego śmierć żony przyczyniła się nie mało. Irena widząc, żeś ty zostawiona bez opieki, również zagięła haczyk na ciebie, i nastąpiła dwóch piekielnych duchów posłusznych jej rozkazom. Moje zaś rachuby kabalistyczne od-

słoniły mi, iż właśnie dziś miała w powietrze wylecieć w skutek pewnych czarów, które się nieudały, i ten grzmot jaki przeraził wasze uszy oznajmił spełnienie mojej przepowiedni. Wszystko szczęśliwy wzięło obrót, twój ojciec wrócił do rozumu: widno zatem, że czary nie mają już nad nim swęj mocy.

Pierwszy to raz od lat niepamiętnych mistrz Swejboldus zdobył się na tak długą perorę. Skończywszy, co potrzeba było do wyjaśnienia tajemnicy, ścisnął rękę staremu Pełce, Boguńkę głośną pod brodę i oddalił się na siwój szkapie. Boguńka z rozrzewnieniem przycisnęła się do piersi ojcowskiej, i opowiedziała mu całą przygodę z różą, która właśnie co znikła z doniczki.

—Widać, że już niepotrzebne cudowne kwiecie, mówił starzec; do mnie bowiem, jako do ojca, należy niewypuszczać cię z opieki. Słuchaj tylko głosu sumienia, ono jak kwiat wyrasta w naszej głębi i rozwija się, lub więdnie w miarę jak dobre lub złe czyniemy. Niebo niewinnością

twoją wzruszone zesłało ci anioła stróża; niewinność dziecięcia miłsza mu nad wszystkie ofiary. W sercu twoim przechowaj żywy obraz cnót i poświęceń twój matki, a niebędziesz zmuszoną pytać o radę zerwanej róży na jej mogile.



PANNA RESPEKTOWA.

I.

W staroświeckim pałacyku, na jednej z cichszych i ustronniejszych ulic Warszawy, mieszkała około roku 18—podeszła matrona, wielce poważana od wszystkich, co ją znali. Nazywano ją powszechnie panią Podczaszyną. Była to osoba starej daty, znająca doskonale czasy i ludzi z epoki Króla Poniatowskiego; przytém mająca się dobrze, zawsze jednostajnego humoru, lubiąca wiele mówić, z resztą nabożna i miłosierna. Od śmierci pana Podczaszego wiodła życie bardzo osobne i ciche; nie wychodziła, chyba do Ś. Krzyża na mszę, a u siebie przyjmowała tylko kilka osób, odwiecznych przyjaciół, którzy mieli przy-

wilój grywać z nią po złotówce do puli w marja-
sza. Nie stosując się do nowomodnych wymy-
słów, punkt o drugiej jadała objad, o piątój piła
kawę, o ósmej zastawiano wieczerzę, a o dzie-
siątój już była w łóżku. Słowem nietylko oby-
czaje, ale nawet ubiór zachowała staroświecki;
nowe figury błyszczące na scenie świata, bynaj-
mniej ją nie obchodziły; wolała godzinki odma-
wiać, niż czytywać gazety, lub słuchać bruko-
wych nowin. Będąc z natury cokolwiek wielo-
mówną, trzymała sobie od czasu swego wdo-
wieństwa pannę respektową, której pierwszym
obowiązkiem było, słuchać cierpliwie długich
i szerokich opowiadań i andron. Owa panna re-
spektowa, nie odstępująca jej, ani na krok jeden,
stała się prawie niezbędną przyjaciółką, najdroż-
szym sprzętem w całym domu. Czy to na mszy,
czy w staroświeckiej landarze w łazienkach; czy
przy kominku, widywano je nierozłącznie. Pan-
na Kunegunda miała od wszystkiego klucze, a
nawet od szkatułki i sekretarzyka. Był to exem-
plarz czterdziestoletni, wysoki, chudy jak szczy-
pa, z ruchami męczyzny, z grubym organem;

złośliwi powiadali, że panna Kunegunda używała brzytwy, ale nie jestem tego zdania, bajka zapewne ztąd urosła, że gęsty, czarny meszek pokrywał jej wierzchnią wargę. Słowem, trudno było znaleźć szpetniejszą i nieznośniejszą towarzyszkę. Pani podczaszyna, osoba drobnego składu, wieszła się zwykle u ramienia panny Kunegundy, nazywając ją pieszczotliwie swoją duszką, klejnocikiem, perełką, i dając się wodzić za nos niemiłosiernie. Panna Kunegunda posiadała najobszerniejsze zaufanie, tak w domowych jak innych sprawach; wiedząc zaś, że podczaszyna nie przepomniała o niej w testamencie, nie zanedbywała wyjeżdżać publicznie i prywatnie z niezmiernym przywiązaniem i affektem do swojej dobrodziejki, za każdą o niej wzmianką zawracając w górę oczy przy wtórze głębokiego westchnienia. Nie obwijając w bawełnę, ale rzecz jasna, że panna Kunegunda, a nie podczaszyna, była rzeczywistą panią domu. Bo kiedy podczaszyna wcisnąwszy się w kącik swojej sofy, robiła podług zwyczaju pończoszkę, lub odmawiała różaniec, panna Kunegunda tymczasem szastała

się po całym domu z ogromnym pękiem kluczy za pasem, trzaskała drzwiami, besztowała sługi, z kucharzem kłóciła się o objad, targowała z kupcami, odbierała raporta od ekonomów i raty pieniężne od dzierżawców; ludzie ją nie cierpieli i bali się jak szatana. Jednakże władczyni nasza nie zawsze pojawiała się w tak groźnej postaci; trzeba ją było widzieć w godzinie objadowej, kiedy się kompanija zebrała, z jaką skruszoną minką i jak niziutko kłaniała się każdemu, jak trzymała się zawsze na boku, i jak to niby trzech zliczyć nie umiała. W kościele nikt żarliwiej nie modlił się od niej, i niżej ócz nie spuszczał; a nieraz, kiedy zdarzyło się podczaszynie, która szczerze była pobożną, usnąć w ciągu kazania, panna Kunegunda trącała ją czémprędzej włókicę, i srode tém się gorszyła.—Z resztą podczaszyna rada nie rada musiała tylko unosić się nad domowemi przymiotami swojej respektowej; dzięki rygorowi, jaki zaprowadziła między służącymi, cały pałacyk wyglądał jak pieścidełko, nigdzie nie zobaczyłeś ani pyłka kurzu, ani plamy; wszędzie wymyto, wywoskowano; a sprzęty starannie u-

stawione, a bielizna stołowa biała jak śnieg, jadła dostatek, a wszystko smacznie zrobione i przyzwoicie podane. Czegoż więcej potrzeba, aby zostać Królową rządnych gospodyń?—Podczaszyna, choć to nie szpaczkami karmiona, poznawała się jednak na niektórych ułomnościach panny Kunegundy; chociaż właściwie była to jedna z tych istot, które w całym życiu tylko na dobrém umieją się poznać, a złęgo nierozumieją, woląc je znosić, niż roztrząsać i ważyć. Z resztą nawykniecie miało na niej wpływ niezmierny; wszak to od lat piętnastu, codzien panna Kunegunda oddawała jej dzień dobry, codzien piły ze sobą kawę, chodziły na mszę i na spacer — nawykniecie było tak wielkie, że choć panna Kunegunda i ofukła czasem podczaszynę, staruszka stuliła tylko uszy, i nucąc po cichu jakąś odwieczną aryjkę z Axura, udawała, że jej gdyrań nie słyszy.

Nie nowe przysłowie o dzbanie, sprawdziło się na naszej respektowej, dziwnym zbiegiem wypadków, wykryło się, że pomimo długoletniego ślepego zaufania, oszukiwała wszystkich, a mianowicie swoją panią i dobrodziejkę; albowiem

nie tylko utworzyła sobie stały dochodzik z pieniędzy przeznaczonych na potrzeby domu, lecz nadto *a conto* testamentu, przywłaszczała sobie to suknie, to bieliznę, a nawet niektóre klejnoty. Zwykle bezkarność ośmiela; otóż i ona posunęła swą śmiałość aż do zagrabienia pary kosztownych kółców brylantowych, które od dawna spoczywały w jednej kryjówce sekretarzysty. Podczaszyna postrzegłszy szkodę, domyśliła się sprawcy, lecz nie chciała w ręce sprawiedliwości oddawać tę, którą tak długo szlachetnym obdarzała zaufaniem, dość jej było oddalić niegodną z oczu i pamięć jej wygluzować z serca. Po tém zdarzeniu znalazła się na nieszczęście tak samotną i opuszczoną, że biednej staruszce nieraz aż przychodziło do płaczu, i mimo całej swej pobożności, nieprzestawała narzekać na kaprysy losu, który nie ma nawet względu na słodką, acz zgubną ułudę.

Jeden z zażytych przyjaciół podczaszyny, niegdyś szambelan na dworze Króla Stanisława, zastawszy ją pewnego dnia w smutkach i kłopotach po stracie towarzyszkii, usiłował wesprzeć

ją radą i pociechą:—nieszczęście—mówił on— jakie cię kochana kuzynko dotyka, byłoby nieodżałowane i nie do naprawy, gdyby dusza podobna twojej, miała wątpić, że jest jeszcze cnota i poczciwość na świecie. Aczkolwiek nie rzadko zdarzają się istoty przewrótne i chytre, nie można też przeczyć, aby poczciwych i wiernych ludzi nie było. Potrzeba postarać się o inną towarzyszkę; niebrać pierwszej lepszej co się nawinie, ale też i nie zbyt przebierać. Jeżeli cię raz oszukano, nie idzie zatém, aby miano oszukać powtórnie.

Na to podczaszyna: sądzę, że Waszmość mój szambelanie mówisz jak książka; lecz coż pomoże, kiedy sobie poradzić nie jestem w stanie. Nie wiem do kogo się tu udać w tym interesie. Chybabyś, drogi łaskawco sam się potrudził, i to tu, to ówdzie wypytał, czy kto nie wie o jakiej osobie z dobrą konduitą, coby mię przynajmniej mogła w prowadzeniu domu wyręczyć?

Szambelan przyrzekłszy świecie robić co będzie mógł, lubo niewiele był z temi stosunkami obeznany, jednakże tyle sprawił, że w parę dni

nowa towarzyska weszła w dom podczaszyny. Nie upłynęło sześć tygodni, a już podczaszyna obdarzyła ją całym swym zaufaniem i przyjaźnią; będąc z natury tyle łatwowierną i lekką, o ile dobrą. Niestety jednak chciało, że po drugich sześciu tygodniach, trzeba było imościance drzwi pokazać. Otóż i drugi powód do zmartwień! Podczaszyna jakiś czas przebrała jeszcze w kilku pannach, i ciągle trafiając, jak to mówią, z deszczu pod rynnę, straciła nakoniec zupełnie odwagę. Aż żal było widzieć tę poważną matronę samotną w kościele, na przechadzce, nieumiejącą sobie dać rady z rejestrami i rachunkami, a wieczór siedzącą samą jedną przy kominku z założonemi rękoma i spuszczoną głową.

Najcięższą ze wszystkich dolegliwości była dla niej samotność; zdrowie jej, zawsze delikatne, pogorszyło się widocznie, i jakby czarna melancholija nawiedziła jej umysł, zwykle taki wesoły i żartobliwy.

Zapomniałem nadmienić, iż podczaszyna nie była tak samotną w świecie, jakby się z razu zdawało. Syn jej jednak, pan Stanisław, trzy-

dziesięcioletni mężczyzna wcześniej obrawszy zawód wojskowy, (bo i włoskie kampanie odbywał), stał pod tę porę o mil trzydzieści od Warszawy z pułkiem ułanów, w którym miał stopień rotmistrza.

Biedna matka, widząc się tak opuszczoną, wyprawiła do niego list, opisujący mu swoje utrapienia i zaklinający, aby czym prędzej przybywał i radził.

Pan Stanisław, który był bardzo dobrym synem, podał o uwolnienie kilkomiesięczne od służby, i niebawem otrzymał takowe. Lecz na nieszczęście, okolica gdzie stał garnizonem, obfitowała w dziwnie urocze i powabne twarzyczki. Właśnie plątał się był romansik bardzo tkliwy między naszym dziarskim ułanem a jedną z takich czarodziejek, która, ilekroć przyjeżdżał do niej z ostatniem pożegnaniem, zawsze umiała odjazd o jeden dzień odwlec, i tak odwlekań i ostatnich pożegnań było bez końca.

Tymczasem podczaszyna rozchorowała się. Przyszędłszy na świat z wesołym humorem, nie mogła pogodzić się ze smutkiem, który dla niej

istotną chorobą się stawał. Lekarz domowy tra-
cił głowę, inni lekarze jeszcze mniej wiedzieli
co radzić.

—Opuśćcie mnie moi panowie!—mówiła do
nich cierpiąca—dajcie mi raz zamknąć oczy, wszy-
stko com kiedy kochała, opuściło mnie, więc też
nie warto troskać się o to życie, które drugich
tak mało obchodzi.

W całym domu osiadł jakiś smutek ponury,
a razem zageścił się największy nieład i niedbal-
stwo. Słudzy, widząc, że ich pani nie długo po-
ciągnie, a nie spodziewając się żadnej spuścizny,
zaczęli źle służyć i niedbać o nią. Pokoje, nie-
gdyś takie świeże, meble takie czyste, przypadły
brudem i kurzem.—Och! moja Kundziu! wołała
niekiedy podczaszyna.—Och! czemuż cię tutaj
niema, dałabyś się we znaki tym hultajom.

Pewnego dnia, kiedy zdawało się, że ostatnia
godzina dla niej wybije, z niemałym podziwem
domowych, podniosła się, odsunęła pawilon i wło-
żyła okulary. W rękę miała list, który jej przy-
niesiono. Odpieczętowawszy go, ujrzała ołtarz
przyjaźni, a na nim dwoje serc płomiennych i in-

nych parę emblematów. Charakter był starannie uformowany, choć duży, było to powinszowanie nowego roku, w tych wyrazach:

Jaśnie Wielmożna Pani i osobiwa
Dobrodziejko!

„Biorę pióro, ażeby w imieniu całej mojej rodziny złożyć J. W. Pani życzenia nowego roku, który oby ci szczęście przyniósł, i czerstwe a długie lata.—Wszyscy jedno ci życzym, i ojedno Boga najwyższego prosimy. Dowiedzieliśmy się, że J. W. Pani Dobrodziejka nasza jesteś cierpiącą, ale mamy nadzieję, że dobry Bóg modły nasze wysłucha, i że cię zachowa. Przy tej sposobności mama posyła J. W. Pani świeżego masła i powideł. Odemnie zaś, jako od chrzestnej swojej córki, chciej J. W. Pani przyjąć pudełko śliwek na rożenkach, które sama urządzałam. Zostaję J. W. Pani z największym respektém i przywiązaniem najuniżeńsza sługa.”

Magdalena Snopkiewiczówna.

Podczaszyna odczytawszy list, posłała czém prędzej prosić do siebie Szambelana, któremu dyktowała odpowiedź. Nikt w domu nie wie-

dział, co się święci; lecz gdy poślaniec ze wsi odjechał z nią, nasza chora stała się spokojniejszą, a w parę dni znowu tak wesołą, i zdrową jak za dobrych czasów.

II.

Pan Snopkiewicz był to sobie szlachcic podlaski; urodził się na Podlasiu i nie myślał jak na Podlasiu umierać. Był to poczciwy, pracowity dzierżawca na jednej z wiosek podczaszyny; za młodo służywał u nieboszczyka podczaszego, a zebrawszy cokolwiek fortuny, poszedł na dzierżawę.

Zawołany gospodarz, w rodzaju tych, co wiedzą, że w lecie ciepło, a w zimie zimno, i po czemu żyto lub pszenica płaci, nigdy krokiem nie ruszał się z domu, chyba do najbliższego miasteczka na jarmark, gdy potrzeba było kupować buty i kożuchy dla parobków. W Warszawie był razy dwa przed laty dwudziestu kilku, jakoż zawsze od wielkich uroczystości dawał opowiadania swych wrażeń z téj osobliwej podróży. Zresztą jako dobry sąsiad, poczciwy oj-

ciec i mąż, sprawiedliwy dla ludzi pan, powszechny miał szacunek, i aczkolwiek w porównaniu z drugimi, chudy pacholek, miał przecież takie poważanie, że i z bogatych dziedziców nie jeden miałby być sobie za szczęście ustąpić część majątku za kęs pocziwój sławy pana Snopkiewicza.

Pani Snopkiewiczowa zawołana gospodyni na parę mil do koła, z najwcześniejszych kurcząt, z mnóstwa indyków wyprowadzanych na targi, z prześlicznych płócien i motków, z serków owczych i wybornego nabiału, w pocziwości w niczem nie ustępowała swemu małżonkowi. Za młodu była to zapewne rzadko dobrana para; on barczysty i rośły z zawieszistym wąsem, ona mała co niższa z kwitnącemi policzki i tą błogosławioną okrągłością ciała, która znamionuje najczęściej łagodny i spokojny umysł. Obopólny szacunek złączył ich oboje; za młodszych chwil mówili sobie: kochańciu i kochanko, dziś poważniejsi: Jegomość i Jejmościuniu. Z tego zespólenia się serc państwa Snopkiewiczów wyroiło się gęste plemie sześciu rośłych syna-

łów, jeden w drugiego jak dęby. Wszyscy udali się ku pociesze rodziców, a zazdrości sąsiadów. Dwóch średnich służyło w wojsku, czterech zostało się, na gospodarstwie przy ojcu, każdy mając swój osobny departament; ten pilnował gorzelni, ów roli, inny jeździł z dostawami, a najpiśmienniejszy trzymał rejestra i załatwiał sprawy z urzędem. Nad wszystkimi czuwał pan ojciec.

Dla uzupełnienia tego familijnego obrazu przysła na świat istota maluczka, zdrowa i świeża jak poziómka, było to siódme dziecko państwa Snopkiewiczów, Magdalena, którą nazywano Madziunią.

W porze naszej powieści, Madziunia miała dopiero szesnasty roczek: nosek troszkę zadarty, usta koralowe, odkrywające w uśmiechu dwa rzędy bieluchnych ząbków, cera prawdziwie wiejska, rączki jak utoczone, staniczek wcięty, przedstawiały w niej obraz uroczy i wesoły; dla tego też była żrenicą w oku całej rodziny, przedmiotem pieśczoć rodzicielskich i braterskich nadskakiwań. Stary ojciec ilekroć zmartwił się czém

w gospodarstwie, zawsze wołał Magdusi, aby go pieściami i figlami ze złego humoru wyleczyła; lekarstwo zawsze skutkowało; przeto raz wraz mawiał: opatrność na moją pociechę musiała mi zesłać tę dziewczynę, zdaje mi się, że i na śmiertelném łożu potrafiłaby mię w dobry humor wprowadzić.

Madziunia wyreczęzała w gospodarstwie swą matkę, która, aczkolwiek czerstwa i silna, usuwała się trochę na stronę, ażeby jedynaczkę zawczasu ułożyć w tryb gospodarski; i miała słuszność, bo choć Madziunia odebrała dość staranne wychowanie, żeby mogła pomyśleć i o jakim urzędniku z komissyi wojewódzkiej, jednak pani Snopkiewiczowa uważała za pierwszy warunek, zrobić z niej dobrą i rządzą gosposię coby się znała i na kuchni, i na chowie drobiu, i na nabiale, zgoła na wszystkiém jak ona sama. Wracając się do wychowania, trzeba wiedzieć, że państwo Snopkiewiczze mieli jakąś krewnę w bliskim mieście, która trzymała pensyon panieli, tam tedy po długich naradach odważyli się oddać Magdusię. Po trzech latach pobytu

w mieście, wyuczyła się nieźle pisać i czytać po polsku, cokolwiek jeografii, jeszcze mniej historii, za to mitologiją grecką i rzymską znała na palcach. Wróciwszy do domu po skończonej edukacyi, była wyrocznią okolicznych szlachcianek, zwłaszcza kiedy wpadła na tekst jowiszowych awantur. Z księdzem proboszczem miewała nawet dysputy w niektórych jeograficznych trudnościach. Słowem, miłe to stworzenie znalazło sposób, być razem i kochaną i podziwianą, co jest rzeczą nadzwyczaj trudną na świecie.

Wiadomo czytelnikom naszym, że Magdusia była chrzestną córką podczaszyny, i że to właśnie od niej był ów list z powinszowaniem nowego roku, który ją nie mało kosztował pracy, nim został ułożony i księdzu proboszczowi do aprobacyi podany. Owoż w skutek tego listu, podczaszyna przypomniawszy sobie Magdusię jako zgrabną i ładną dziewczeczkę, a przytém wychowaną przez pocziwych rodziców, postanowiła wyprosić ją sobie u ojca, i wynieść do godości przyjaciółki i towarzyszki.

Pewnego dnia, kiedy pan Snopkiewicz, żona,

wszystka dziatwia, czeladź i w dodatku ksiądz proboszcz gromadą wylegli na dziedziniec, przypatrując się jak pastuch dorzynał najlepszego wołu, który był nagle zachorował, i kiedy robiono różne wnioski i postrzeżenia o przyczynie tak nagłej choroby, a pan Snopkiewicz wylewał zły humor swój na niedbalstwo pastucha, który go o stratę najlepszego roboczego wołu przyprawił, zdarzyło się, iż właśnie jedno-konnemi sianeczkami wjeżdżał przez wrota wracający z Warszawy umyślny posłaniec.

—A jaka tam droga? zapytał pan Snopkiewicz.

—Jak po stole—odpowiedział umyślny.

—A pani podczaszyna jak się miewa?

—Ponoś niedomaga.

—Masz jaki odpis?

Tu posłaniec wyjął z zanadrza chustkę, i rozwiniąwszy takową, podał list panu Snopkiewiczowi, który obejrzał go tylko z wierzchu, zakręcił się niby za okularami, a postrzegłszy proboszcza, wręczył mu i prosił, aby głośno przeczytał. Po odczytaniu pierwszych wyrazów sta-

rzec przerwał: cóż się to roi naszej pani! wydzierać mi moją Magdusię, moje najmilsze dziecko!

—O! nigdy na to nie pozwolę...

Na ten wykrzyk pocziwego ojca zbiegła się cała rodzina i zagrzmiał chór wykrzykników; Magdusia tylko stała cokolwiek na boku, nie śmiejąc ani się ruszyć, ani spojrzeć. Po pierwszém wzburzeniu umysłów, nadeszła chwila głębokiego milczenia. Ksiądz proboszcz piérwszy głos zabrał, obchodząc zrazu z daleka, powoli zbliżał się do rzeczy, i zręcznie zaczął wyliczać wszystkie korzyści jakie mogą spłynąć na Magdusię, jeżeli przyjmie propozycją pani podczaszyny.

—Nie należy zapominać moi państwo— mówił proboszcz— że podczaszynie winniście substancją waszą, że nie tylko dobrą panią okazywała się dla was, ale przyjaciółką, i prawie zaciągnęła obowiązki pokrewieństwa, trzymając wam do chrztu św. to dziecię. Trzebaż jój czymkolwiek okazać pamięć i wdzięczność, do kogoż się miała udać w strapieniu i osieroceniu

swojém, jeżeli nie do tych, którym zawsze świadczyła, i o których przychylności ma tak dobre rozumienie? Zresztą miejcie wzgląd i na to, że się dziecku nielada los otwiera; a ty panie ojczy i matko możecie się niekłopotać o posag.

Stary słuchał perory w milczeniu i tylko węża pokręcał a głową kiwał; matka tuliła główkę Magdusi do piersi i łzy na nią roniła; bracia stali na uboczu i radzili po cichu. Po całej okolicy rozleciała się piorunem wieść o wyjeździe Magdusi do Warszawy; jedni zazdrościli jój świętego losu, drudzy cieszyli się; inni na złe wróżyli, a wszystkie przyjaciółki dzień w dzień zjeżdżały się z powinszowaniem i pożegnaniem. Z tém wszystkiém lubo rzecz była na stole, pan Snopkiewicz bił się z myślami po całych dniach i nocach, ciągle posyłając po proboszcza z którym roztrząsano wszystko *pro* i *contra*; stanęło nakoniec po całotygodniowych rozprawach, długich wahaniach się, płaczach i błogosławieństwach, że Magdusia pojedzie do Warszawy... Serce matczyne stawilo jeszcze opór cichemi łzami; bracia nie mogli się zgodzić i jak boży dzień spór wiedli

czy ma jechać, czy nie; wszystkiemu położył koniec ojciec, który przypomniawszy sobie jako w początkach gospodarstwa wyzdychało mu bydło, a do tego nieurodzaj dotknął, tak iż nie było czém zapłacić dzierżawy, litościwa podczaszyna nie tylko zwolniła go z rocznej sumy, ale nadto zapomogła setkiem obrączkowych dukatów. Argument był wymowny i niezbity, zwłaszcza dla serc wdzięcznością tkniętych; ustąpiła opozycja, i zaraz w całym domu zaprzątnięto się około przyborów do wyjazdu Magdusi.

—Któż odwiezie ją do stolicy?—wielkie pytanie, wielka rozprawa między panem ojcem i panią matką. Warszawa! ten wyraz miał coś solennego, coś przerażającego, coś uroczego, coś niepodobnego jak sen dla poczciwych domatorów. Pan Snopkowicz proponował zrazu: Jejmość kochanciu odwieziesz dziecko. Jejmość odpowiadała; jak jegomościunio każesz, ale jak ja się tam obrócę, kiedym nigdy niewidziała Warszawy?—Masz wasani słuszność—zabłądziłabyś, co tam ulic! a żydostwa!... zarazby co skradli, lub otumanili; gdyby tak z naszym arędarzem?

Cóż ty na to? on to zna Warszawę na palcach, jeździ przynajmniej cztery razy do roku...—Nieźleby to wypadło—odeprze jejmość—jednak jakoś, choć niby Herszko poczciwy żydzisko, niewypadałoby dziecko nasze przez niego w dom takiej pani posyłać... Cóż, jak się jegomości zdaje...—Prawda! przez żyda, własne dziecko, jakby towar jaki, to niema sensu... Już trzeba będzie opuścić gospodarstwo i młóckę, a samemu ruszać; trudna rada... nieprawdaż duszko?...—Oto niemięj kłopotu jegomościuniu, dzieci cię zastąpią; a lepiej się stanie gdy za dzieckiem przemówisz słowo u pani i sam w ręce ją oddasz.

Zaczęto zatem robić przybory na drogę dla jegomości. Gdy dzień wyjazdu nadszedł, zjechały przed ganek szerokie łubiaste sanie tęgą trójką fornalską zaprzężne. Tego dnia wszystka robota przy gospodarstwie ustała; a mnóstwo z sąsiedztwa przyjaciółek Magdusi zjechało się na pożegnanie. Cały dom był w poruszeniu; wynoszono węzełki po węzełkach; w jednych była garderoba Magdusi, w drugich wiktuały na drogę. Już jegomość wdział na siebie wilczurę, i włożył

na głowę ogromną lisią kapuzę, kiedy Magdusia otulona różnokolorowemi chustkami, że tylko jej nosek było widać zegnała się po kolei z matką, braćmi, domowymi i przyjaciółkami, wśród nieskończonych szlochów, błogosławieństw i przestroóg. Na samym końcu wystąpił ksiądz proboszcz, a wzięwszy ją za rękę, miał śliczną przemowę o jej nowym zawodzie, o niebezpieczeństwach i pokusach światowych.—Córko moja—mówił on — żyj w niewinności i bojaźni Boga, staraj się o miłość u ludzi, a otrzymasz w tém życiu pociechę wewnętrzną, a w przyszłym nadgodę.

Przemowa ta wzruszyła obecnych do głośnego płaczu; wszyscy ściskali i błogosławili odjeżdżającą, matka przybiegła raz jeszcze, przycisnęła do serca, coś chciała powiedzieć, ale łkanie nie dało jej dokończyć; padła więc na ławkę i zakrywszy oczy w głos szlochała...

Jegomość przeżegnawszy swoich, dawszy parę poleceń względem gorzelni i młocki, już zasiadał w saniach i wołał na Magdusię aby się spieszyła, bo na nocleg niezdążą. Magdusia wydarłszy się z objęć tylu serc przychylnych,

stawiała już nogę w saniach, kiedy nagle tuż prawie, rozległ się płacz żałosny jakby dziecięcy; wszyscy obrócili się ciekawi kto to taki? aż postrzeżono szesnastoletniego Michasia studenta ze szkół Łukowskich, a syna właścicielki sąsiedniego przysiółka. Michaś dowiedziawszy się o wyjeździe Magdusi, przybiegł ją także pożegnać. Dzieci te chowały się zawsze razem; razem uczyły się czytać, razem czas wakacyi spędzały na zabawkach i igraszkach; a ztąd wzrosło z latami osobliwe przywiązanie między niemi. Magdusia na dziewczynę szesnastoletnią więcej rozwinięta i już patrząca wyżej, traktowała Michasia jak dziecko, lecz taki zawsze lubiła pustować z nim i przypominać sobie dziecinne swawole. Michaś znowu nieśmiały i wstydlivy studentek, lubo kochał ją jak siostrę, bał się z razu należyć do uprzywilejowanej kompanii, która ją żegnała, i tylko przyczajony w kącie patrzył na cały ten obraz; lecz kiedy ujrzał ją wsiadającą do sanek, przemogło uczucie, wybiegł zza węgła—rozbeczał się na głos, a Magdusia wrzuszona podała mu obie ręce i rzekła: bądź zdrów

Michasiu, niedesperuj, zobaczymy się!—Chłopak uchwycił jej dłonie, przycisnął do twarzy, jakby chciał ucałować, lecz odbiegła go siła i puścił je całe łzami oblane, sanki tymczasem ruszyły po skrzypiącym śniegu...

III.

Chcieć opisywać podróż do Warszawy odbywaną po wyborniej sannój drodze, ze wszystkimi szczegółami popasów, noclegów, rachunków z karczmarzami, na końcu przygodę z urzędnikami kabakowymi, na rogatece od Pragi, byłoby to wkraczać w przywilój poczciwego pana Snopkiewicza, który mu służył przez lat dziesięć, przywilój opowiadania każdemu kogo spotkał, lub przyjmował u siebie, trzeciój i ostatniój wycieczki do stolicy królestwa. Dla tego wybaczą czytelnicy, że wszystko pominę, aż do chwili, gdy podróżni nasi przybili do portu jednego, z małych zajezdnych domów na przedmieściu.— Pan Snopkiewicz dopatrzywszy, aby koniom dano dobre miejsce przy źłobie, kazawszy poznosić tłumoki do izby naprzód wytargowanój,

przebrał się sam w granatowy kontusz, nałożył teje barwy czapkę z czarnym barankiem i wzięwszy trzcinę z dużym kutasem, naglił na Magdusię, aby czém prędzej toaletę swoją kończyła. Wyszędłszy oboje na miasto, po różnych dopytywaniach się przybyli do pałacyku pani podczaszyny, którego wesoła i elegancka powierzchność miłe zrobiła na dziecięciu wrażenie. Zdawało się, że podczaszyna przyjazd ich odgadła przecuciem, bo ledwie weszli do sieni, już staruszka sama naprzeciw nich wybiegła; Magdusię pochwyciła w ramiona i uściskała jakby własne dziecko, a pana Snopkiewicza kiedy jęj się skłonił do kolan i rękę całował, cmoknęła w łysinę.

— Witajże ojcze! witaj córko! Chodźcie! siadajcie! mówiła uradowana podczaszyna—możebyście co przejedli,—Kawę niech podadzą: napijcie się dobrej kawy.

I starego posadziła przy kominku, a Magdusię przy sobie na sofce, którą głaskała i pieściła, wypytujac czy ją sobie zachowała w pamięci, czy bardzo tęskni za domem, czy się jęj War-

szawa podoba? Dziewczyna siliła się na odpowiedzi jak mogła, lecz uwaga jej ciągle była rozrywaną widokiem wspaniałych salonów; dziwiły ją niemało ogromne wzorzyste kobierce, a najbardziej lustra od góry do dołu, które jej zgrabniuchną postać po kilkanaście razy odbijały. Niemniejszego wrażenia doznała w słodkim i uprzejmém obejściu się podczaszyny; dobór wyrazów, przytém znizenie się do prostoty dziecka, wyraz dobroci i łagodności malujący się w każdym ruchu staroświeckiej matrony, były to rzeczy, o jakich ani słyszała na wsi, gdzie prostoduszna rubaszność panuje w miejscu grzeczności i dobrego wychowania wielkiego świata. Przy bystrém swém pojęciu, zaraz odgadła Magdusia, że mówi z istotą zupełnie inną od znanych dotąd; a że miała ową powszechną zdolność w młodych do naśladownictwa, więc po godzinnej pogadance z podczaszyną, już schwyciła jej ton, i usiłowała kształcić się podług wzoru, jaki jej się przedstawiał. Wiejska sztywność i nieśmiałość ustępowały powoli, i dziewczę coraz swobodniejsze przybierało ruchy i przytomniej zaczęło odpowia-

dać; w końcu rozgadała się na dobre, i tak ubawiła staruszkę, że ta kładła się od śmiechu, przysięgając, że już niepamięta nawet, kiedy była w tak różowym humorze.—Pan Snopkiewicz wcześniej odszedł do swojej gospody, chcąc rzeczy przysłać Magdusi, która została na noc z podczaszyną; dziewczę więc gawędziło jeszcze jakiś czas, lecz znużone drogą, oczki zaczęło mrużyć, i głowę chylić na sofę, co postrzegłszy staruszka, wzięła ją za rękę, zaprowadziła do bardzo ładnego pokoiku, pocałowała w czoło, i rzekła odchodząc: wypocznij sobie moje dziecię, póki sama zechcesz, ja cię niekażę budzić.

Po odejściu podczaszyny, weszła garderobiana, i zaczęła ją rozbierać; Magdusia przywykła w domu sama robić swoją toaletę strasznie była zaambarasowaną, mianowicie, gdy służąca ukłękła i zaczęła jej rozwiązywać trzewiki. Jednakże pół śpiąca, dała wszystko ze sobą zrobić. Już była położyła się, kiedy raz jeszcze otworzywszy oczy, rzuciła wzrok przelotny po swoim gabinecie, i ze zdziwieniem postrzegła złoczone meble i ogromne lustro, nad którym rzeźba wy-

obrażała parę amorków— i tak marząc o amorkach i lustrach, usnęła przyjemnemi sny ukołysana.

Na wsi zwykle skoro świt wstają; nasza wieśniaczka obudziła się nazajutrz równo z ptaszkami. Piérwsze spójrzenie rzuciła na zwierciadło i powitała wdzięcznym uśmiechem swoją poważną twarzyczkę. Niebawem nadeszła garderbiana i przygotowała jój wszystko do ubrania; w dużej srebrnej miednicy była woda do mycia, mydełka pachnące, różne perfumy i wódki i wszystko co najwybredniejsza elegantka zażądać może. Magdusia wstydziła się wstępnej swój toalety, odprawiać w przytomności służącej, więc oddaliwszy ją, jak dziecko zaczęła się w wodzie pluskać, mydełkami nacierać i oblewać wonnościami, a co chwila zaglądać w zwierciadło. Właśnie z miłym zadowoleniem przyglądała się swój łabędziej i białej szyjce, która pod migdałową mączką jeszcze bardziej zbieła, gdy w tém, drzwi się otwarły na ościesz, i wszedł piękny mężczyzna w mundurze ułańskim.... Magdusia krzyknęła przeraźliwie i poskoczyła schować się

za pawilon.—Ułan, który już był w pół pokoju, cofnął się ku drzwiom, wybąknął: przepraszam—myślałem, że tu nikogo niema.—A chociaż ułan, zarumienił się po same uszy, Magdusia także spiekła raczka;—i na tém koniec przygody.

IV.

Na tym biednym świecie, rzecz arcytrudna i niemiła dla wszystkich, a mianowicie dla młodych podlotków, jest utrzymanie się w granicach rozsądku; aby być rozsądnym, lub rozsądną, kosztuje dużo pracy i umartwień, gdy przeciwnie do głupstwa najłatwiej się przychodzi, byleś sobie popuścić wodze. Homer powiada, że Syzyfus był najmędrszym z ludzi; a jednak poeci każą mu ustawnie wtaczać ogromną skałę na szczyt góry, z której zawsze spada na biedaka, aby ją wtaczał na nowo. Niewątpię, że przez tę alegoryję starożytni wyobrazili sobie mądrość. Bo czémże zaiste jest mądrość jeżeli nie ową skałą, którą dzwigamy, aby nam spadała na głowę? O tém wszakże nie zapominajmy, że od chwili, kiedy się nam z rąk wymknie, nikt nam nie po-

liczy długich lat strawionych na jej dźwiganie; przeciwnie zaś, niech głupi zrobi przypadkiem coś mądrego, wszyscy go pod niebiosa wynoszą. Głupstwo wcale nie jest syzyfowym kamieniem, lecz raczej bańką mydlaną, która unosi się przed nami ubarwiona kolorami tęczy. Zdarza się, że bańka niekiedy prysnie i zabryzga nam oczy; lecz natomiast tworzy się inna, którą, aby utrzymać w powietrzu, dość jednego tchnienia.

Filozoficzne te uwagi mają dowieść, iż nie było dziwnego, że się Magdusia zajęła cokolwiek dziarskim ułanem, który tak niespodzianie naszedł ją przy gotowalni; służą one niemniej do ułagodzenia zbyt ostrych zdań, z jakimi mógłby kto przeciw niej wystąpić. Wiemy, że jeżeli miłość wmięsza gdzie swoje trzy grosze, nie potrzebuje niczyjej pomocy, ani protekcyi; miłość sama sobie radzi; zamykaj nie zamykaj drzwi, zawsze się wśliznie; tą razą miłość wślizła się przez okno; zobaczymy jakim sposobem.

Ów piękny mężczyzna w mundurze ułańskim był Pan Stanisław syn podczaszyny, który po wielu trudnościach wypląawszy się z romansu,

pędem wiatru, a raczej sanek, przyleciał do matki. Przeznaczenie tak chciało, aby gabinecik Magdusi był w jedném skrzydle pałacyku, a mieszkanie ułana w drugiem skrzydle zupełnie okno w okno, i w niewiększym oddaleniu nad trzydzieści kroków. Magdusia zwykle obiad jadła z podszyną i już całe poobiedzie do nocy spędzała w jej towarzystwie; lecz od rana do południa ciągle siedziała u siebie. Że zaś Pan Stanisław cały ranek także spędzał w pokoju swoim, przeto Magdusia najbardziej lubiła szyć przy oknie, i często gęsto spoglądać na sąsiada.

Sąsiedztwo od wiek wieków bywało przyczyną różnych nieszczęść; nie masz nic niebezpieczniejszego, jak piękna sąsiadka, a nawet i brzydka; gdy patrząc na nią ciągle, prędzej lub później upatrzymy w niej, że nie jest tak szpetną jak się wydaje. Sąsiedztwo Pana Stanisława groziło dla serca Magdusi wielkiem niebezpieczeństwem. Ileż to razy z po za firanki, nieunosila się nad jego miękkimi i połyskującemi włosami, które gładził przy oknie, ileż myśli nienastręczał ten pokrętny wąsik, pod którym uroczy się rozpromie-

niał uśmiech, a taż pierś szeroka, ta figura wcięta, tak przecudnie wydaję się w ułańskim mundurze! Możemy sobie wyobrazić jakimi złotemi snami kołysało się biedne dziewczę w chwilach samotnych godzin; co tam zamków brylantowych, co tam scen najczulszych! że i największy romans by ich nie objął.

Pan Stanisław zwykle objadał u matki, potem wychodził na miasto na cały wieczór; że zaś Magdusia nigdy nie mogła usnąć póki niewrócił, więc czekała przybycia jego zawsze w swym oknie; dla tego nieraz ułan nasz wracając o późnej godzinie, a widząc światło u niej, mówił przechodząc przez dziedziniec: Cóż to się znaczy, że to dziewczę nie śpi? Dziwne pytanie, dziwna niedomyślność, jakżeż mogła usnąć, niepowiedziawszy mu w sercu dobranoc!—Zdarzało się czasami, że ułan gładząc sobą wąsy, lub zawiązując chustkę przy oknie, rzucił na Magdusię spójrzenie rostargnione, które ją przeszywało aż do samej głębi; w takim razie dziewczyna natychmiast odwracała główkę i wołałaby skończyć na miejscu, niż ten wzrok wytrzymać. Ta-

kiemi to urojeniami stroiła ona samotność swoją; lecz w salonie wcale było inaczej. Siedząc obok podczaszyny, usiłowała zachować powagę, skromność i słuchać niezmordowanie opowiadań staruszki. Gdy pan Stanisław do niej przemówił, odpowiadała przytomnie i trafnie; lecz co najosobliwsza, bez najmniejszego pomieszania i wzruszenia. Niechże tu kto wytłómaczy, co się tam dzieje w głowie szesnasto-letniej; miłość jej, że tak powiem, zamykała się w jej pokoju; znachodziła ją wchodząc doń, a zostawiała wychodząc.

Można wnosić nareszcie, że obecność i widok podczaszyny powinien ją być robić uważną i dawać wiele do myślenia, albowiem dość było spojrzeć na damę wyższego świata, aby widzieć przestrzeń dzielącą biedną Magdusię od syna podczaszyny. Kto inny niż ona wpadłby był w rozpacz z tego powodu, albo wyleczyłby się z namiętności, przewidując jej koniec; lecz Magdusia nigdy niedbała do czego ją ta miłość doprowadzi; i zaiste jestże próżniejsze zapytanie jak to, które zwykle rozkochanym zadają: na co ci ta miłość? Na co? o dziwni ludzie! ażeby kochać.

Magdusia codziennie za pierwszym ócz otwarciem, wybiegała z łóżka i odstawiając franki u okna, patrzyła czy u pana Stanisława okienice otwarte. Jeżeli były zamknięte, znowu się kładła, usypiając lekko jak ptaszek na gałęzi i budząc się za pierwszym okienicy skrzypnięciem. Wtenczas wstawiała na dobre, i wzięwszy ranny szlafroczek, otwierała okno i wychylała się, jakby chcąc się dowiedzieć czy pogoda na dworze. Po czym stawiała przy oknie zwierciadło i rozczesywała piękne swe warkocze. W niewiadomości swojej nierozumiała tego, że wyćwiczona zalotnica pokazuje się wtedy tylko, gdy jest w stroju zupełnym. Zakryta zwierciadłem, czasami zerknęła oczkiem, lecz je zaraz spuszczała, gdy pan Stanisław patrzył. Ugładziwszy włosy, kładła ranny czepeczek, i brała książeczkę od modlenia i wtenczas niewiadomo, czy więcej myśli biegły za okno, czy do nieba. Jeżeli piła kawę u siebie, co się często zdarzało, więc ze wchodzącą sługą, która takową przynosiła, wlatywał angielski wyzełek pana Stanisława, ujęty przez Magdusią różnemi przysmaczkami.

Z nim dzieliła się śniadaniem; szczoteczką gładziła mu długie uszy, pieściła, głaskała, a niekiedy i pocałowała w główkę, zwłaszcza jeżeli okno było otwarte i kto patrzył.... I byłż to roztropna dziewczyna?—Zapewne, że roztropna, uczciwa i niewinna.—Ależ te wyraźne zaloty?—Miłość musi się przez coś objawić. A gdyby pan Stanisław poznał się na tém i chciał korzystać z jej skłonności?—Natenczas, byłaby mu niezawodnie dała odkosza.—Dziwne to serce szesnastoletnie, nikt powiedzieć nie może czego mu się zachciéwa.

V.

Tak stały rzeczy przez całą wiosnę i lato, aż pewnego dnia podczaszyna długą miała rozmowę ze synem. Odtąd często przebijała jakaś tajemnica w ich słowach, i zawsze coś niezrozumiałego dla Magdusi. Wkrótce potem rzekła podczaszyna do niej: moje dziecko, niebawem zobaczysz rodziców; pojedziemy na jesień do Brzozowa.

Brzozów był to staroswiecki dworzec, o małe ćwierć milki odległy od wioski, gdzie rodzice Magdusi mieszkali. Podczaszyna rzadko tam by-

wała. Więc ów nagły wyjazd, owe tajemne rozmowy z panem Stanisławem dawały wiele do myślenia rozkochanej dziewczynie.

Nazajutrz rano po przyjeździe podczaszyny do Brzozowa, cała rodzina Snopkiewiczów przybyła złożyć jej swój hołd i uszanowanie, ale jak to mówią nie z próżnemi rękami, albowiem przybyły z nimi kosze wybornych owoców, plastry świeżego miodu, słoiki konfitur, kurczęta i inne wiejskie delicje. Podczaszyna przyjęła te ofiary ze znaną swoją dobrocią i uprzejmością, że zaś pamiętała również o przychylniej sobie rodzinie, więc każdemu z jej członków stosowny podarek przywiozła z Warszawy. Obie strony były zarówno uszczęśliwione, lecz nadewszystko ojciec, matka i bracia nieposiadali się z radości, gdy nadbiegła Magdusia śliczna, wesoła i zdrowa jak rybka. Po długich uściskaniach, łzach tajemnie o-tartych i wykrzyknikach, głos zabrała podczaszyna, wychwalając jej łagodność, rozsądek, dobre sprawowanie się, które to pochwały dziewczynie i tak już rumianej od mocnych całusów, jeszcze większego napędziły rumieńca. Pani

Snopkiewiczowa przypatrując się eleganckiemu strojowi Magdusi, z wielkiem swém zadowoleniem powiedziała na głos, że jeszcze nigdy nie widziała ją tak ładną.—Co prawda, to nie grzech, wtrącił ojciec—wyładniałaś mi waszeć o sto procent.

—O, że ładne dziewczę, to niema wątpliwości, odezwał się przy drzwiach głos, który ją przeszył do głębi duszy, był to głos wchodzącego pana Stanisława.

W tej chwili przez drzwi otwarte od sieni, postrzeżono młodego chłopaka, który niesmiało zaglądał i znowu się chował—był to ów Michaś studencik. Jako przyczepka towarzyszył rodzinie Snopkiewiczów, lecz odwaga odbiegła go w sieni.—Podczaszyna postrzegłszy go, zaprosiła pięknie i ośmieliła. On też czapeczkę miętosząc w rękę, oddał niezgrabny ukłon.—Michaś przyszedł cię także zobaczyć,—rzekła pani Snopkiewiczowa—podziękujże mu Magdusiu.—Toś nie zapomniał o mnie?—mówiła dziewczyna podając mu rękę.—Póki życia nie zapomnę—odrzekł po cichu, cały drżący i zarumieniony, poczem za-

kręcił się ku drzwiom i jak kot z pęcherzem zmykał przez rowy i płoty.

Po oddaleniu się Snopkiewiczów, Magdusia sama jedna przechodziła się po szpalerowej ulicy, powtarzając do siebie półgłosem: więc on powiada, że ładna?—cóż jemu do tego?—jaka śmiałość nazywać kogo ładnym w obec wszystkich?—ja nie mam odwagi w oczy mu spojrzeć, a on z najzimniejszą krwią powiada że piękna? Zda je mi się, że powiedzieć dziewczynie: piękną jesteś, wychodzi prawie na jedno co zrobić wyznanie.....

Nad tą myślą zastanowiła się Magdusia i zaczęła głęboko roztrząsać, co to jest wyznanie miłości, albo oświadczenie się. Wiele już o tém słyszała, a jednak rzetelnej jasnej nie mogła zdać sobie sprawy. Czy dość powiedzieć dwa słowa: kocham ciebie?—I toż miałyby oświadczenie stanowić? Dwa proste słowa i nic więcej?—Magdusi zdawało się, że oświadczenie uroczystsze być musi, że do tego potrzebna jakaś tajemnica, jakiś osobny język, jakieś czary pełne niebezpieczeństw i uroku. Biedaczka, z kądże miała wie-

dzieć, kiedy w życiu nie czytała żadnego roman-
su, prócz kilku kartek poszarpanej Magellony.

Porównywając pamięcią każde słówko, każde
znalezienie się pana Stanisława względem niej, nie
mogła przypuścić, żeby jej uczuciem gardził, lecz
się na niem nie poznawał. Cóż na to robić?
Nieraz poddawała się losowi, to znowu wpadała
w niecierpliwość. Najobojętniejsze zdarzenia sta-
wały się dla niej powodem do wielkiej radości
lub zmartwienia. Grzeczne słówko, lub chwilo-
we spójrzenie Stanisława upajało ją szczęściem
na cały dzień, przeciwnie, jeżeli przechodząc
przez pokój nawet na nią nie spójrzył, jeżeli idąc
spać nawet jej głową nie kiwnął, jeżeli mu coś
podawała a nie przyjął, zaraz biedziła się po
całych nocach dochodząc przyczyny, w czém za-
robiła na jego niechęć.

Były znowu dni, gdzie wpadała w zwątpie-
nie o swojej piękności; upatrywała w sobie zmia-
nę, albo co gorzej, rozbierając każdy rys, chcia-
ła mieć nosek dłuższy i równiejszy, oczy więk-
sze, brwi bardziej łuczaste. Innego znowu ra-
zu budziła się w niej pycha niewieścia; stojąc

przed zwierciadłem, wzruszała tylko ramionami, dziwiąc się obojętności pana Stanisława. Wpadłszy w stan rozpacz i rozczarowania, burzyła gładko uczesane włosy, mięta czepeczek i kołnierzyk, ubierała się w najbrzydszą suknię; znowu kiedy nagle duch podobania się zawiął, bez przyczyny stroiła się w suknie świąteczne i chciała być piękną na przekór zawistnemu losowi.

Przepraszam czytelnika za tyle różnych drobnostek dziecinnych, lecz trudno opowiadać inaczej, kiedy bohaterka moja była dzieckiem. Pewnego dnia podczaszyna była zaproszona na obiad w sąsiedztwo; pan Stanisław i Magdusia towarzyszyli jej. Jak zwykle u nas, obiad był późno, potem kawa, więc już pod wieczór wracano do Brzozowa. Magdusia z podczaszyną zajmowały głąb powozu; pan Stanisław siedząc na przodzie, z początku ożywiał rozmowę, lecz w końcu oparł głowę i zdrzymał się. Podczaszyna poszła za jego przykładem. Wieczór był cokolwiek chłodny, rozłożono zatem salopę, która przykrywała Magdusię i Podczaszynę. Pierwsza wciśnąwszy się w kącik, siedziała cicho, nie usypia-

jąc bynajmniej, owszem pełna niespokojności, czy pan Stanisław usnął lub nie. Jeżeli czasami promyk księżycy wcisnął się do powozu, odważyła się zakaszleć lekko; lecz pan Stanisław był nieruchomy. Po chwili wychyliła głowę i spojrzęła na pole; myśl o długiej podróży ma tyle podobieństwa z myślą o długiej miłości, iż widząc blask księżycy i szerokie pola, zapomniała, że podróż niebawem się skończy, i przymknawszy oczy, zaczęła marzyć, że tak z panem Stanisławem podróżuje za granicą, gdzie do Włoch lub Szwajcaryi; to marzenie tyle innych słodszych napędziło marzeń, iż dała się im porwać zupełnie, i przymknawszy powieki, aby nic nie spłoszyło marzenia, zdrzymała się na dobre. Niechcący, bo przez sen, wyciągnęła nogę i oparła ją o siedzenie na przodzie; przypadek zrządził, że mała jej nóżka oparła się jak raz na rękę pana Stanisława, który zdawał się nieczuć tego; przeciwnie Magdusia zbudziła się nagle i umknęła nogę. Zdarzenie to nasunęło jej tysiąc myśli; jakąż lekkomyślność popełniłam? mówiła w duchu, czy się spostrzegł na tem? czy śpi? czy udaje?—

Jeżeli spostrzegł, dla czegoż ręki nie usunął? Jeżeli śpi, dla czegoż się nie zbudził? Może mną pogardza i niechce nawet okazać, że czuł moje dotknięcie; może mu to przyjemność sprawiło i czeka drugi raz na to samo? Nic w tém przyjemnego nie ma, aby ktoś deptał po rękę, chyba jeżeli cię to spotka z osobą którą kochasz. Tak rozmyślając, lekuchno usuwała nogę drżącą jak listek i usuwając, znowu go dotknęła....Nigdy jej serce nie zabiło tak gwałtownie; miała się za zgubioną, wyobrażając sobie, że błędu tego niczém nie zdoła naprawić.—Ach! cóż on pomyśli o mnie. Jaką poweźmie opinię? Nigdy nie odważę się spojrzeć mu w oczy. Jakżeż go przekonam, że to się stało przypadkiem? Nigdy mi nie uwierzy. Będzie ze mnie żartował, opowiadał każdemu, nawet i matce swojej; matka to powie ojcu; i już mi nigdzie nie pokazać oczu. Gdzież się podzieję? Co ze sobą zrobię? Niepozostaje mi, jak wyjść z domu podczaszyny!—Na tę myśl zadrżała. Szukała środków usprawiedliwienia się; chciała list pisać, i wręczyć tajemnie panu Stanisławowi, list dowodzący jej niewinności....Lecz jeżeli on nie-

śpi — pomyślała — jeżeli odgaduje moją miłość? jeżeli jutro pierwszy zacznie o tém mówić? jeżeli mi powie, że dzieli moje uczucie? jeżeli się oświadczy...?

Wtém powóz zatrzymał się przed gankiem brzozowskiego dworu. Pan Stanisław, który, spał jak zabity, dopiero się przebudził, ziewając i przecierając oczy. Lokaj otworzył drzwiczki od powozu.— Co to?—zapytał pan Stanisław— czyśmy już w domu? — W domu panie! — odpowiedział służący— Anim wiedział jakieśmy zajęchali— odrzekł i wysiadł.— Po tém smutném odkryciu spełzły wszystkie rojenia i niepokoje Magdusi, i kiedy jój rękę podawał do wysiadania, postrzegła niestety! że odbywała podróż samotną.

VI.

Nazajutrz uderzyło Magdusię, że pan Stanisław zwyczajem swoim nieposzedł na polowanie, i że w ubiorze jego było więcej staranności i elegancyi niż codzień. Po obiedzie syn wzięwszy matkę pod ramię, wyszedł z nią za bramę na

gościniec; rozmawiali coś żywo, i zdawali się być niespokojni. Magdusia śledząc ich ruchy przez okno, postrzegła gościńcem pędzący czworokonny pojazd. Pan Stanisław znalazł się przy pojeździe, otworzył drzwiczki i podał rękę podszłej damie, a następnie dziewiętnastoletniej pannie, pięknej i hożej jak poranek majowy. Podczaszyna przyjęła gości z wielkimi oznakami ukontentowania, i prawie miejsca nie umiając im znaleźć. Zaraz ustąpiono im najlepsze pokoje we dworcu, gdzie znoszono tłumoki i pudełka. Skoro przyjezdne panie zajęły miejsce na kanapie i wszczęły rozmowę, podczaszyna dała znak Magdusi żeby wyszła, co biedne dziewczę bardzo niechętnie uczyniło, przeczuwając złowróżbą przyszłość z przybyciem tych obcych osób.

Magdusia wahała się nazajutrz czy ma zejść na dół w godzinie obiadowej lub nie; lecz podczaszyna sama przyszła po nią i przedstawiała pani kasztelanowej i jej córce pannie Taidzie. Gdy dano do stołu, a wszyscy usiedli, postrzegła Magdusia, że jej miejsce obok pana Stanisława

zajęła panna Taida, i że sąsiad nie spuszczał prawie z niej oka. Magdusia przez cały obiad nie przemówiła i słowa, a kiedy podawała talerz brzoskwiń panu Stanisławowi, które tak lubił, ani się postrzegł prawie kto mu podawał, i tylko obojętną ręką sięgnął po owoc. Po obiedzie wszyscy wynieśli się do ogrodu, podczaszyna podała ramię kasztelanowej, pan Stanisław pannie Taidzie, Magdusia nie mając pary, szła ostatnia, i nikt ani myślał o niej, ani zagadał. Smutna wróciła do siebie. Wieczorem, proszono panny Taidy aby usiadła do fortepianu i zaśpiewała; prześlicznie śpiewana aryja z jakiejś włoskiej opery wprawiła słuchaczy w podziwienie. Magdusia słysząc ją, z boleścią wspomniła na dom swych rodziców, gdzie jej piosneczki przy wtórze gitary, wprawiwały wszystkich w zachwycenie i szeroko słynęły w okolicy. Teraz nie spytano jej nawet czy umie śpiewać lub nie. Dnia tego tyle doznała przykrości, taki smutek ogarnął młode jej serce, że całą noc spędziła bezsennie.

Jaki interes sprowadził tych gości, jak długo

bawić będą w Brzozowie? były to zagadki trudne dla niej do rozwiązania; domyślała się tylko, że ich przybycie miało związek z owymi tajemniczymi rozmowami matki ze synem. Przeczutowała nieboga, że całe jój szczęście mieściło się w tej tajemnicy. Z razu mniemała, że to jakie kuzynki; lecz znowu, za cóż im okazywano tyle przyjaźni i tyle uprzedzającej grzeczności? Podczaszyna w czasie przechadzki pokazywała kasztelanowej obszar swych gruntów, wyliczała dochody; czyliżby zamysłała sprzedać Brzozów? Lecz jakieżby powód miała sprzedawać tę majątność od niepamiętnych czasów zostającą w ręku jój familii? Zresztą kasztelanowa i jój córka ciągle mówiły o stolicy, o wielkim świecie; a takie osoby nierade przebywać w zaciszu wiejskiem. Raz przy obiedzie kasztelanowa wspominała, że jest damą honorową, że ma wpływ u dworu; kto wie może przez nią, stara się podczaszyna o awans dla pana Stanisława? w takim razie łatwo sobie wytłumaczyć powód owych nadskakiwań i uprzedzających grzeczności. Tego rodzaju były wnioski Magdusi, lecz umysł jój mimo chęci ca-

łój nie zaspokajał się niemi, a serce niedopuszczało schwycić najpodobniejszą i rzeczywistą prawdę.

VII.

Szczególna i dziwna rzecz, iż w sprawach tego świata najbardziej oszukują się ci, których te sprawy najbardziej obchodzą. Widząc zabiegi pana Stanisława około panny Taidy, człowiek najobojętniejszy i obcy byłby odgadł co się między niemi święci. Tymczasem Magdusia nie poznawała się na tém, a może też i niechciała się poznać. Mimo zmartwienia jakiego ztąd doznawała, uczucie nieodgadnione, któremu mało kto uwierzy, przeszkadzało przekonać się o prawdzie; pod tém uczuciem rozumem ową wysoką admiracyję, jaką Magdusia powzięła dla panny Taidy.

Panna Taida była słuszną blondynką, pełną uroku i dziwnie ujmującą. W spójrzeniu jej i w mowie rozlewał się spokój tak słodki, że niepodobna było się oprzeć jej widokowi. Po kilku dniach pobytu, okazała wiele przyjaźni Magdusi; pierwsza nawet zbliżyła się do niej. Zastawszy

ją przy krosienkach, pokazała jej kilka nowych ściągów i różnych haftów; na przechadzce brała ją pod ramię i uczyła się od niej piosnek większych. Te dowody życzliwości tém więcej wzruszały Magdusię, gdyż miała serce głęboko zranione. Od wielu dni zapomniana od wszystkich, błąkała się po domu jak zgubiona owca; dopiero pierwsza Taida zbliżyła się do niej i przemówiła słowo. Widząc się zaniedbaną przez pana Stanisława, uczuła w tym postępku swojej rywalki dziwną jakąś rozkosz na pół z goryczą; schlebiało jej, że tak piękna i znakomita osoba podniosła ją ku sobie, i zamiast wzniecić zazdrość, za pierwszym przemówieniem oczarowała. Zapoznawszy się bliżej i poufaliej z panną Taidą, rozkochała się w niej jak w czémś nadziemskim. Każdy jej ruch, każde słowo, aż do stroju, wszystko było przedmiotem zachwycenia dla biednej Magdusi. Codziennie rano przybiegała do pokoju panny Taidy powiedzieć jej dzień dobry; spytać czy czego nie potrzebuje i każdą jej chęć zgadywać; gdy ją zastała przy gotowalni, pomagała jej ubierać się, dobierając wstążek i kwia-

tów, któreby harmoniowały z twarzą i strojem. Nadewszystko zaś lubowała w jej piosenkach włoskich; szczęśliwa, jeżeli zatrzymała jaką nutę, powtarzała ją nieustannie, choć nie na głos, to w myśli. A jednak wśród tych drobnych roz-targnień i przyjemności, pożerał ją wewnętrzny smutek, i byle samotną się znalazła, zaraz łzy puszczały się strumieniem.

Podczaszyna, jak wiemy, osoba umysłu lek-kiego, niezastanawiała się nad nagłą zmianą w Magdusi, a jednak mówiła nieraz: co tobie moje dziecko, zdajesz mi się taka blada, czyś nie dobrze spała? — I nie czekając odpowiedzi wpadała w inny przedmiot. Pan Stanisław prze-nikliwsze miał oko, i kiedy mu przychodziła chwila zastanowienia się, odgadywał powód smutku i zmiany w Magdusi, wszakże tłumaczył to sobie jako kaprys dziecięcy, jako zazdrość zwykłą między kobietami, jako małą skłonność, którą czas zgasi. Magdusia zresztą unikała wszel-kiej sposobności spotkania się z nim sam na sam, i zawsze, ilekroć postrzegła go zdaleka, a była sama jedna w ogrodzie lub pokoju, zaraz wra-

cała się lub wychodziła; tak dalece, że pan Stanisław widząc tę jej ostrożność nadzwyczajną w ukrywaniu swjej skłonności, posądzał ją raczej o dzikość charakteru, niż zalotność. Osobliwa dziewczyna—mówił nieraz do siebie, gdy ją widział uciekającą przed nim; i nieraz na przekor umyślnie za nią gonił i zaczepiał. Wtedy spuszczała w ziemię oczy, odpowiadała po słówku i stulała listeczki, jak ów kwiatek zwany czułością. Dnie upływały w nudnej jednostajności, ani grano, ani wyjeżdżano; ani bawiono się, tylko jak boży czas szepty jakieś i narady, w ciągu których podczaszyna po kilka razy dawała Magdusi do zrozumienia; że jest niepotrzebną w pokoju. Jeżeli kiedy weszła do salonu niespodziewanie, zaraz rozmowa ucinana się, i obie matki dawały sobie jakieś znaki tajemne; przeciwnie, gdy ją przywoływano po tych skrytych naradach, usiadała, nie śmiejąc ocz podnieść i taka niespokojność nią miotła, jak kiedy przeczuwamy wielką burzę.

Pewnego ranku przechodząc koło drzwi panny Taidy, usłyszała ją wołającą na siebie. Po

kilku obojętnych wyrazach Magdusia postrzegła na rękę Taidy piękny pierścionek. Sprobuj czy się zmieści na twój palec—rzekła Taida—Gdzież moja ręka do takiego klejnotu! — odparła Magdusia. — Przeciwnie, ślicznie się wydaje na twojej ręce. W dniu mego ślubu przyjmiesz go odemnie na pamiątkę. Czy pani za mąż idziesz?—zapytała Magdusia zmieszana. Cóż w tém dziwnego? albośmy nie panny? jeśli nie dziś, to jutro spotyka nas ta kolej.

Można sobie wystawić, co się działo w duszy Magdusi, gdy usłyszała to wyznanie; sto razy powtarzała słowa Taidy, lecz machinalnie, nieśmiejąc zastanowić się nad niemi. Jednakże tego lub innego dnia, gdy przyniesiono kawę, a pan Stanisław podał jęj filiżankę, odsunęła ją od siebie i rzekła: na weselu swoim podaj mi pan, to przyjmę. Pan Stanisław uśmiechnął się i okazał zdziwienie, lecz podczaszyna usłyszawszy, zmarszczyła brwi i dała do zrozumienia Magdusi, aby niemieszła się w nieswoje rzeczy.

• Wypadek ten otworzył jęj oczy; to co tak pragnęła i lękała się wiedzieć, teraz nie podpa-

dało wątpliwości. Niemogąc wytrzymać wśród obcych, pobiegła do siebie i w dłoniach utopiwszy czoło, zalewała się łzami. Napłakawszy się do woli, bo nikt nie odgadując jój bolesti, niestarał się jój przerywać; uczuła się cokolwiek spokojniejszą, i zaczęła zwolna wglądać w stan swojej duszy.

Pomimo tak młodych latek i téj szalonej miłości, Magdusia miała wiele zdrowego rozsądku. Nasamprzód postrzegła się na nierówności swych sił w téj walce z wypadkami. Zrozumiała narreszcie, że pan Stanisław kochał Taidę, że obie rodziny zgodziły się na to, i że związek ten jest skutkiem zobopólnych życzeń. Kto wie, może nawet dzień ślubu wyznaczony? cóż znaczył ów urzędnik sprowadzony z miasta, który zapisał tyle stęplowanego papieru? zapewne to były układy familijne lub intercyza. Panna Taida była majątną, pan Stanisław po śmierci swéj matki także ogromny obejmie majątek, otoż i wszystkie warunki sprzyjające temu związkowi. Im więcej wierzyła w te szczegóły, tém mocniej czuła, że zapory są nieprzełamane. Niemogąc

przeszkodzić, sądziła, że nic innego jój niepozostaje, jak usunąć się i nie być świadkiem ich szczęścia. Z pod łóżka wyciągnęła tłómaczek i kuferek, postawiła na środku pokoju i chciała składać rzeczy, mając zamiar wrócić do rodziców; lecz odbiegła ją odwaga: zamiast kuferek otworzyć, usiadła na nim, i głośno zaczęła szlochać. Więcej godziny zostawała w tym żalonym stanie, pośród łez ustawnie płynących, mięszały się w głowie myśli, i gniotły ją jak ołów. Darmo męczyła się aby coś stanowczego przedsięwziąć, aż dopiero dogorywająca świeca w lichtarzu przywołała ją do pamięci. Razem ogarnęła ją ciemność, wyszła chcąc zawołać o światło; lecz w kredensie wszyscy spali. Powracała więc długim kurytarzem, prowadzącym do jój pokoju. Zdarza się często, że okoliczność mało znacząca, zmienia kierunek naszych myśli, ciemność szczególniej umie wywierać ten skutek. Otoż kiedy Magdusia omackiem błądziła po krętym kurytarzu, ogarnęła ją jakaś trwoga, jakieś przypomnienie o strachach, które miały kiedyś ten dworzec nawiedzać, przytuliła się

zatém do zimnej ściany; jakaś myśl okropna przeszła ją dreszczem, naturalne osłabienie nasunęło obraz śmierci, i ta chwila acz krótka i przemijająca, wróciła jej odwagę i siłę, tak, że mogła już trafić do siebie, i snu dość spokojnego zażywać. Ze wschodzącym słońcem zbiegła do ogrodu. Jesień w tym roku była precudną. Liście ozłociły i urumieniły wszystkie drzewa i krzewy. Wietrzyk ciepły i cichy nieśmiał ich jeszcze otrząsać. Dobroczynne światło słoneczne, ułagodziło wewnętrzne jej cierpienia. Zaczęła rozmyślać o rodzicach, o braciach, o Panu Bogu, i znowu wpadała na zamiar powrotu do domu. Lecz po chwili pomyślała, cóż przewiniłam takiego, aby porzucić te miejsca, gdzie spędziłam najpiękniejsze dni życia? Wyobrażała sobie, że będzie mogła pozostać; wprawdzie nie bez ciężkich udręczeń, lecz przynajmniej bez tak wielkiej tęsknoty za miejscem tylu pamiątek. W tych dumaniach zapuściła się w ciemne i kręte ulice, raz zwolna postępując, znowu biegnąc co tchu starczyło; kilka razy zatrzymała się nagle, i rzekła żałośnym głosem. Och! to niemała rzecz

kochać, jakiej to trzeba odwagi! — Ten wyraz kochać, i pewność, że nikt nieodgadną jej uczuć, mimowolną, upajały ją nadzieją. Skarb tajemniczy leżał ukryty na dnie serca, wyrwać go ztamtąd niepodobna jej było, owszem, poprzysięgała w duchu, wiecznie czuwać nad nim, i bronić go przeciw całemu światu. Na przekór rozumowi, ułuda znowu brała górę, a kochając po dziecęcemu, rozpaczając po dziecinnemu, pocieszała się lada czém jak dziecko. Znowu stanął jej w oczach pan Stanisław w mundurze ułańskim, z jasnym włosiem i męzką postacią, zaczęła wmawiać w siebie, że małżeństwo to nieprzyjdzie do skutku, że słowa podczaszyuy inne miały znaczenie. Zmęczona burzami serca, skołatana myślami, położyła się w gęstwinie, i wpadła w jakieś odrętwienie cielesne i moralne, któreby można nazwać snem czuwającym. Po niejakiem czasie jakby zbudzona, opamiętała się; aż w tém o kilka kroków szelest w ulicy zwrócił jej uwagę. Przez sploty gałęzi postrzegła Taidę i Stanisława. Niezbyt opodal stała kamienna ławeczka, Taida usiadła na niej i kilka

kwiatków jesiennych składała w bukiet; pan Stanisław stał przed nią poglądając z czułością; poczem ukląkł, pochwycił jęj dłonie i okrywał pocałunkami.... Na ten widok Magdusia zerwała się; nieogarniona boleść krwawiła jęj serce, i niewiedząc dokąd i po co, uciekała w pole gdzie ją oczy niosły....

VIII.

W ciągu całej powieści przepomnieliśmy wyprowadzić na widok osobę nie małej wagi; pokazawszy ją tylko dwa razy, i to w niebardzo romansowém świetle; chcę tu mówić o Michaśiu trochę dzikim i płochliwym gimnazyście. Trzeba wiedzieć, iż Michaś ukończył już powiatową szkołę, teraz zaś od wakacyi ćwiczył się w praktyczném gospodarstwie przy młodych Snopkiewiczach, mając różne widoki na przyszłość: czy to przyjdzie mu na swoim kawałku ziemi pracować, czy też jeżeli gdzie dobra kondycja się zdarzy, żeby mógł przyjąć obowiązek, i z czasem wyjść na rządzcę dóbr jakiego magnata. Biedny chłopak strasznie lubił Magdusię;

nieraz przez pola leciał co mógł wyskoczyć, i podkradłszy się pod ogród brzozowski, czatował, aby ją powitać, często przynieść orzechów lub gruszek, a najczęściej aby się rozplakać nad swoją dolą. Dziewczyna zwykle nażartowała się z niego, w końcu pogładziła po twarzy i pocałowała, dając przytém macierzyńskie przestrogi, aby się aplikował do gospodarstwa, a ona mu z czasem może wyrobić, że go podczaszyna przyjmie na pisarza lub ekonoma. Chłopak wtedy nieposiadał się z radości, o niczem nie marzył tylko o swoim urzędzie, rojąc też o Magdusi, która na szczęście znajdzie się blisko niego. Och! bez Magdusi on by i żyć nie chciał i urzędem rządzczy-by wzgardził—bez Magdusi!... Właśnie w dniu, kiedy rozpacz bohaterki niniejszej powiastki doszła najwyższego kresu, Michaś różmyślając o niej, i jakby przeczuwając coś okropnego, z oczyma wlepionemi w ziemię, szedł sobie nad brzegiem rzeki—w prostym celu aby zobaczyć, czy szkody niema w ozimynie, co wszakże nieprzeszkadzało przestrzeń między domem a oziminą napełnić myślami o Magdusi.

Aczkolwiek Michaś w ziemię patrzył, jednak pomnąc co to jest gospodarskie oko, zaglądał to tam, to sam po brózdach, czy czasem nie rogate stworzenia nie ryją zasiewów—gdy w tém o parę set kroków przed sobą widzi kobietę biegnącą w bieli—biegła, jakby ją kto gonił, biegła wprost ku rzece i na raz mu znikła śród łoz i wierzb nad brzeżnych. Ten widok nabawił go niespokojności i zdziwienia; poskoczył chcąc zobaczyć co się z nią stało; lecz skoro nadbiegł w miejsce gdzie mu zniknęła, darmo jój szukał do koła, nigdzie nietylko takiej kobiety, ale żywego ducha nie było, dorozumiewał się więc, że weszła do młyna odległego o kilkaset kroków i szedł z biegiem wody. Rzeka po świeżych ulewach cokolwiek przybrała i pęd jój był gwałtowniejszy. Michaś przypatrując się falom, postrzegł coś białego między trzcunami, ciekawość go wzięła; rozgarnął trzciny, wskoczył na kępę, a ujawszy za ową bieliznę wyciągnął—trupa;—była to Magdusia, już niedawała znaku życia; oczy stały słupem, a wszystkie członki skostniałe!

Na ten widok chłopak łamał ręce i krzyczał

w niebogłoty. Rozpacz jego była tak gwałtowną, że chciał się sam w wodę rzucić, i umrzeć obok ukochanej. Jednakże po chwili rozważenia przypomniał sobie, że topielcy przychodzą do życia, jeżeli się im da wczesny ratunek. Na jego krzyk wybiegł parobek z młyna, który widząc Magdusię bez znaku życia, utrzymywał, że już niema żadnego ratunku.

—Jest ratunek, musi być ratunek!— wołał Michaś:— Mój Kubo, zróbcie chrześcijański uczynek i pomóżcie mi zanieść ją do młyna, tam łatwiej poradzić.— Kiedy tak oba niosą ciało nieszczęśliwej Magdusi, dziwnym trafem postrzegli groblą idącego żyda cyrulika z pobliskiego miasteczka. —Panie cyrulik!— wołał Michaś— zatrzymaj się i ratuj!— Tymczasem wnieśli ją do młyna, gdzie nie było młynarza ani młynarki, rozgospodarowali się sami i położyli ją na łóżku gospodyni. Żyd obejrzawszy ciało, wstrząsnął głową, dając do zrozumienia, że tu niema co robić, albowiem zdaniem jego, trup musiał dłużej niż ćwierć godziny zostawać pod wodą. —Ani dziesięciu minut— mówił Michaś— musisz

ją ratować koniecznie. — Jak ja mam ratować? — ofuknął żydzisko — ja nié mam instrumentów, mnie pilno do pana Komisarza, który każe sobie pijawki stawiać... — Słuchaj panie cyrulik, oto masz karbowanica, więcéj nié mam przy sobie, tylko rób co możesz. — Żyd zmiękczoney widokiem rubla, zaczął się krzątać, kazał ją obłożyć ciepłym popiołem, jakieś krople trzeźwiące, które miał przy sobie, lał jęj w usta; lecz wszystko to nie pomagało, Magdusia nie dawała znaku życia, cyrulik się kręcił i chciał koniecznie odchodzić. — Nie puszczę cię — mówił Michaś zastępując ode drzwi, — radź jeszcze, szukaj innego sposobu. — Żyd kazał sobie podać pęcherz i założywszy doń piórka starał się powietrzem napełnić jęj płuca, ale daremnie dmuchał, ścięte zęby trudno było otworzyć, a powietrze uciekało bokami... Przy tęg pracy cyrulik się zmęczył, z Michasia lał się pot zimny, a ona jak martwa tak martwa. — Kto raz umrze, tego tylko Pan Bóg wskrzesi — mruknął cyrulik — puść mię aspan panie Michaś, bo mi śpieszno do chorego... — Michaś jeszcze usiłował go zatrzymać, nakoniec widząc, że żyda

nie przeprze, puścił na złamanie karku. Sam więc został przy łożku, milczący, w ponurój rozpaczy; kiedy niekiedy tylko wstawał i odmieniał popioł, kiedy niekiedy wstrząsał martwém ciałem, a oczy miał ciągle w jój twarz wlepione, czy nie dojrzy jakiego drgnięcia, jakiego cienia życia. Już kilka godzin tak upłynęło, już przypomniał sobie, że potrzeba uwiadomić ojca, matkę i Podczaszynę, już wychodził z izby, gdy mu się przysłyszało, jakoby jęk rozległ się przytłumiony; zadrdzał i wrócił do łożka, lecz cień śmierci roztaczał się na całym ciele, tylko, czy mu się przywidziało, usta wprzód zamknięte, teraz były otwarte; ta zmiana go zastanawia— myśl przychodzi szczęśliwa: bierze pęcherz i chce wpuścić powietrza, lecz pęcherz złą pełni usługę, powietrze stronami ucieka... Rozguiewany, cisnął o ziemię pęcherzem, nachylił się nad nieżywą i w rozpaczy, niewiedząc prawie co robi, usta swe na jój ustach położył, a dobywszy wszystkiego tchu z piersi, ożywne powietrze wlał w płuca dziewczyny. Jakby cudem, w téjże samej chwili, drgnienie przebiegło po ciele, i dwoje ra-

mion podniosło się, i opadło na szyję Michasia; dziewczyna wydała głębokie i ciężkie westchnienie, i słumionym głosem, rzekła: ach jakże mi zimno! Ty żyjesz Magdusiu! Dla Boga ty żyjesz! i chłopak upadł na klęczki wznosząc ręce ku niebu.—Cóż to się znaczy? zapytała—co się ze mną dzieje?—Wszystko dobrze—tylko uspokój się.

W tej chwili, uwiadomiony przez cyrulika ojciec Magdusi i podczaszyna, wpadli do izby, i ujrzeli dziewczynę wspartą na ramieniu Michasia.

—Cóż to się dzieje! wołał stary Snopkiewicz—dali mi znać żeś się utopiła. Dla Boga dziecko moje, co to się stało?—i starzec rzucił się na szyję córki i tulił ją do piersi.

—Och! mój ojczy! rzekła ze łzami Magdusia—byłbyś mnie już więcej żywą niewidział...

Niepodobna opisać tak smutku jak radości z powodu tego wypadku—w jednej chwili cała izba napełniła się przybywającymi osobami. Podczaszyna wzięwszy na bok pana Snopkiewicza, wyjaśniała mu mniej więcej przyczynę, dla któ-

rój Magdusia chciała odjąć sobie życie. — Jak tylko stary wyrozumiał, że córka jego pobyt swój u podczaszyny miała stratą własnego życia okupić, ciężko mu zrobiło się na duszy; zachmurzył czoło, wąs kręcił i rzekł z goryczą:

—Jasna pani! skwitowaliśmy się. Wielem ci był winien, wielem też zapłacił. Dzieci moje, pójdźcie ze mną!—I wzięwszy Magdusię za rękę, a Michasia za drugą, wrócił wraz z resztą rodziny do siebie.

IX.

Prawie w kilka lat po tém zdarzeniu, kiedy w kraju wrzała wojna, jakiś oficer mocno ranny, w czasie bitwy, nie mogąc zdążyć za swoimi, przedzierał się ku Warszawie lasami i manowcami. Postrzelony w nogę i rękę, ledwie się mógł utrzymać na koniu; przytém zmęczyła go do reszty jazda całodzienna i wielki post, bo całą dobę nic nie miał w ustach. Owóz gdy dzień miał się ku schyłkowi, przywłókł się do jakiejś wioski wśród boru; zabudowania gospodarskie i porządny domek, gdzie w oknach było światło,

kazały się domyślać, że dziedzic lub dzierżawca jest u siebie. Owoż zajechał na dziedziniec i prosił o gościnność. Dzierżawca młody człowiek, na samą wzmiankę, że oficer i że ranny, przyjął go z otwartymi rękoma; po chwili nadbiegła i żona dzierżawcy, młoda i ładna kobiecina; z nią do pokoju wysypało się troje drobniutkich dzieci. Oficer ujrzawszy ją wchodzącą, krzyknął z podziwienia. Ona zaś powitała go z uśmiechem dawniej znajomości.

—Jeżeli się niemyłę—rzekł oficer—pani byłaś przy matce mojej, podczaszynie—pani masz na imię Magdalena?

—Do usług pańskich—odrzekła Magdusia—zapewne mam zaszczyt mówić z panem pułkownikiem Stanisławem?... Teraz pozwolisz pan, że mu przedstawię mego męża. Jest to ten sam poczciwy Michaś, który mi życie uratował, a to są moje dziatki—uściskaj je pan—tylko tylko zostało z licznej rodziny!—A gdzie bracia? spytał oficer.—Wszyscy sześciu polegli! odpowiedziała łzę ocierając.—I ja także straciłem ma-

tkę — dodał pan Stanisław; a z nią straciłem wszystko....

Oficer doznał wszelkich wygod; Magdusia opatrywała mu rany, wymyślała przysmaki, słowem, byłby tam został, aż do zupełnego wyzdrowienia, lecz powinność radziła czemprędzej spieszyc do stolicy. Nazajutrz tedy żegnając gościnnych gospodarstwa, kiedy już wsiadać miał na koń, szepnął na ucho Magdusi: a cóż, dawne amory czy całkiem wyszły z pamięci? — Ach panie pułkowniku! — odparła ze śmiechem Magdusia — moje amory utonęły w rzece.



Spis rzeczy.

	<i>Str.</i>
I. Powieść niepodobna do prawdy	5
I. Rysy Górali Tatrzańskich. Podania.—Rozbojnicy.—Pieśni	62
II.	68
III.	74
IV.	83
V.	89
VI.	106
VII.	114
VIII.	117
Djabeł w Krakowie. Stara gawęda	118
Typy i charaktery w literaturze	148
Powieść o pięknej Kasztelanowej i o rycerzu Węgierskim	162
Portret Króla Jana	184
Róża z mogiły. (Legenda z XIV wieku)	203
I. Panna respektowa	228
II.	239
III.	251

	<i>Str.</i>
IV.	256
V.	262
VI.	270
VII.	274
VIII.	283
IX.	290



This is
the Librarian
stamped by
A. Fisher
et al.

